

Numer **1** na liście bestsellerów „New York Timesa”!

KARIN
Slaughter



NIEWIERNY

*Nie czytaj tego w samotności. Nie czytaj tego po zmroku.
Ale czytaj koniecznie.*



KARIN SLAUGHTER

NIEWIERNY

(Faithless)

Tłumaczenie Andrzej Jankowski

TMN

Wydanie polskie: 2013

Wydanie oryginalne: 2005

Tytuł oryginału **Faithless**

Copyright © by Karin Slaughter, 2005

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal,
MMXIII

Copyright © for the Polish translation by Grupa Wydawnicza Foksal,
MMXIII

Przekład Andrzej Jankowski

Koordinacja

EUROGRAF

Korekta **Katarzyna Humeniuk**

Adiustacja **Maria Karpińska**

Projekt graficzny wnętrza i okładka **Krzysztof Kielbasiński**

Skład TYPO

Wydanie I

Warszawa

ISBN 978-83-7881-218-0

FOKSAL
GRUPA WYDAWNICZA

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54

biuro@gwfoksal.pl

Susan i Richardowi
A także dla mojej Mani, Harrego i Macia

NIEDZIELA

1

Sara Linton stała przed frontowymi drzwiami domu rodziców, trzymając w rękach tyle plastikowych toreb z zakupami, że nie czuła palców. Próbowała otworzyć drzwi łokciem, ale skończyło się na tym, że walnęła ramieniem w szybę. Odsunęła się i nacisnęła klamkę stopą, ale drzwi nadal nie ustępowały. W końcu poddała się i zastukała w nie czołem. Patrzyła przez faliste szkło, jak korytarzem idzie jej ojciec. Otworzył drzwi z nietypowym dla niego grymasem na twarzy.

– Dlaczego nie wzięłaś tego na dwa razy? – zapytał Eddie, biorąc od niej parę toreb.

– Dlaczego drzwi są zamknięte na klucz?

– Twój samochód stoi niecałe piętnaście stóp od wejścia.

– Tato – odparła. – Dlaczego drzwi są zamknięte na klucz?

Patrzył ponad jej ramieniem.

– Masz brudny samochód. – Postawił torby na podłodze. – Dasz radę zanieść je na dwa razy do kuchni?

Sara otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale ojciec schodził już ze schodów. Zapytała:

– Gdzie idziesz?

– Umyć twój samochód.

– Na dworze jest dziesięć stopni.

Odwrócił się i spojrzał na nią znacząco.

– Brud przylepia się bez względu na pogodę. – Powiedział to takim

tonem, jakby był szekspirowskim aktorem, a nie hydraulikiem z wiejskiej okolicy Georgii.

Zanim zdążyła obmyślić odpowiedź, był już w garażu. Stała na werandzie, kiedy ojciec wyłonił się ponownie z przyborami niezbędnymi do mycia samochodu. Podciągnął spodnie od dresu, gdy przyklęknął, by napełnić wiadro wodą. Sara poznała spodnie z czasów szkoły średniej – jej szkoły; nosiła je, gdy uprawiała biegi.

– Masz zamiar tam stać i wpuszczać zimno? – zapytała Cathy, wciągając ją do środka i zamykając drzwi.

Sara pochyliła się, by matka mogła pocałować ją w policzek. Ku swojej wielkiej konsternacji, od piątej klasy była o dobrą stopę wyższa od matki. Podczas gdy Tessa, młodsza siostra Sary, odziedziczyła po matce drobną budowę, jasne włosy i niewymuszoną grację ruchów, Sara wyglądała jak dziecko sąsiadów, które pewnego popołudnia przyszło na obiad i postanowiło u nich zostać.

Cathy pochyliła się, by podnieść parę toreb z zakupami, ale potem jakby się rozmyśliła.

– Weź je, dobrze?

Sara zgarnęła wszystkie osiem toreb, znowu narażając się na utratę czucia w palcach.

– O co chodzi? – zapytała, myśląc, że matka nie wygląda najlepiej.

– Isabella – odparła Cathy i Sara stłumiła śmiech. Ciotka Bella była jedyną znaną jej osobą, która podróżowała z własnym zapasem alkoholu.

– Rum?

– Tequila – szepnęła Cathy takim tonem, jakby mówiła: Rak.

Sara skrzywiła się ze współczuciem.

– Powiedziała, jak długo ma zamiar tu zostać?

– Jeszcze nie – odparła Cathy.

Bella nie cierpiała hrabstwa Grant i nie była u nich od narodzin Tesy. Pojawiła się dwa dni temu, z trzema walizkami w bagażniku mercedesa kabrioletu i bez żadnych wyjaśnień. Normalnie nie udałoby się Belli utrzymać czegokolwiek w tajemnicy, ale zgodnie z nową, obowiązują-

cą w rodzinie Lintonów zasada: „Nic nie mów, o nic nie pytaj”, nikt nie domagał się od niej żadnego wyjaśnienia. Tyle się zmieniło od ubiegłego roku, kiedy Tessa została napadnięta. Nie otrząsnęli się jeszcze z szoku, chociaż wydawało się, że nikt nie ma ochoty rozmawiać o tym. Napastnik w ułamku sekundy zmienił życie nie tylko Tessy, ale całej rodziny. Sara często się zastanawiała, czy ktoś z nich dojdzie kiedykolwiek w pełni do siebie.

– Dlaczego drzwi były zamknięte na klucz? – zapytała.

– Musiała to zrobić Tessa – powiedziała Cathy i na chwilę zaszkliły się jej oczy.

– Mamo...

– Idź – przerwała jej Cathy i wskazała kuchnię. – Zaraz tam będę.

Sara podniosła torby i poszła korytarzem, zerkając na zdjęcia, które wisiały na ścianach. Nikt nie mógł przejść od drzwi frontowych na tył domu, nie obejrzawszy obrazkowej historii rozwoju dziewcząt Lintonów. Oczywiście na większości z nich Tessa wyglądała ślicznie i była szczupła. Sara nigdy nie miała tyle szczęścia. Było tam jedno szczególnie okropne zdjęcie Sary z obozu letniego po ósmej klasie, które zdarłaby ze ściany, gdyby tylko matka jej na to pozwoliła. Stała na łodzi w kostiumie kąpielowym, który wyglądał jak kawałek czarnego kartonu przypięty do jej kościstych ramion. Na nosie wyszły jej piegi, nadając jej skórze niezbyt miły, pomarańczowy odcień. Jej rude włosy wyszły na słońcu i wyglądały jak błazeńskie afro.

– Kochanie! – krzyknęła radośnie Bella, rozkładając szeroko ramiona, kiedy Sara weszła do kuchni. – Spójrz na siebie! – powiedziała, jakby był to komplement.

Sara doskonale wiedziała, że nie wygląda najlepiej. Zwlokła się z łóżka godzinę temu i nie zadbała nawet o to, żeby się uczesać. Jako nieodrodna córka swojego ojca miała na sobie koszulę, w której spała, a dresowe spodnie z czasów, kiedy była członkinią licealnego zespołu biegaczek, były tylko odrobinę mniej zabytkowe. Natomiast Bella była w jedwabnej niebieskiej sukience, która prawdopodobnie kosztowała fortunę. W jej uszach iskrzyły się brylantowe kolczyki, a liczne pier-

ścianki na palcach błyszcząły w słońcu wpadającym strumieniem przez okna kuchni. Miała, jak zwykle, idealny makijaż i fryzurę i nawet w niedzielne przedpołudnie wyglądała olśniewająco.

– Przepraszam, że nie przyjechałam wcześniej – powiedziała Sara.

– Eee. – Ciotka zbyła przeprosiny machnięciem ręki i usiadła. – Odkąd robisz mamie zakupy?

– Odkąd nie może się ruszyć z domu, bo cię zabawia, czyli od dwóch dni. – Sara postawiła torby na blacie kuchennym i zaczęła rozcierać palce, by przywrócić krążenie krwi.

– Nie tak trudno jest mnie zabawić – powiedziała Bella. – To twoja matka musi częściej wychodzić.

– Z powodu tequili?

Bella uśmiechnęła się szelmowsko.

– Nigdy nie miała mocnej głowy. Jestem przekonana, że tylko z tego powodu wyszła za twojego ojca.

Sara roześmiała się, wstawiając mleko do lodówki. Serce zabiło jej żywiej, kiedy zobaczyła półmisek, na którym piętrzyły się gotowe do smażenia kurczaki.

– Wczoraj wieczorem przygotowałyśmy fasolkę szparagową – rzuciła Bella.

– Świetnie – mruknęła Sara, myśląc, że to najlepsza wiadomość, jaką słyszała w tym tygodniu. Duszona fasolka szparagowa Cathy była doskonałym dodatkiem do smażonych kurczaków. – Jak było w kościele?

– Jak dla mnie, trochę za dużo ognia i siarki – wyznała Bella, biorąc pomarańczę z miski na stole. – Opowiedz mi, jak żyjesz. Zdarzyło się coś ciekawego?

– Wszystko po staremu – odparła Sara, przeglądając puszkę.

Bella obierała pomarańczę, a w jej głosie zabrzmiało rozczarowanie, kiedy powiedziała:

– Czasami rutyna podnosi na duchu.

Sara wydała z siebie „hm”, ustawiając puszkę zupy na półce nad kuchenką.

– Bardzo podnosi na duchu.

– Hm – powtórzyła Sara, dokładnie wiedząc, do czego to zmierza.

Kiedy studiowała medycynę na Emory University w Atlancie, mieszkała krótko u ciotki. Przyjęcia do późnej nocy, picie i nieustanny przepływ mężczyzn doprowadziły w końcu do rozstania. Sara musiała wstawać o piątej rano, żeby zdążyć na zajęcia, nie wspominając o tym, że wieczorami potrzebowała spokoju, by móc się uczyć. Trzeba przyznać, że Bella starała się ograniczyć swoje życie towarzyskie, ale ostatecznie zgodziły się, że najlepiej dla Sary będzie, jeśli znajdzie sobie własny kąt. Rozmawiały ze sobą bardzo serdecznie, dopóki Bella nie zasugerowała, by Sara zajrzała do jednego z segmentów domu emeryta przy Clairmont Road.

Do kuchni wróciła Cathy, wycierając ręce w fartuch. Przetawiła puszkę zupy, którą Sara postawiła na półce, odsuwając przy tym córkę na bok.

– Dostałaś wszystko z listy?

– Oprócz cherry – powiedziała Sara, siadając naprzeciwko Belli. – Wiedziałaś, że w niedzielę nie można kupić alkoholu?

– Tak – powiedziała Cathy takim tonem, że słowo to zabrzmiało jak oskarżenie. – Właśnie dlatego powiedziałam ci, żebyś pojechała do sklepu wczoraj wieczorem.

– Przepraszam – rzekła Sara. Wzięła od ciotki kawałek pomarańczy.

– Pertraktowałam do ósmej z firmą ubezpieczeniową z Zachodu. To była jedyna pora, kiedy mogliśmy porozmawiać.

– Jesteś lekarką – stwierdziła Bella oczywisty fakt. – Dlaczego, u licha, musisz rozmawiać z firmami ubezpieczeniowymi?

– Ponieważ nie chcą płacić za badania, na które kieruję pacjentów.

– Czy nie jest to ich zadaniem?

Sara wzruszyła ramionami. Złamała się w końcu i wynajęła na pełen etat kobietę, by pokonywała różne przeszkody, które piętrzyły firmy ubezpieczeniowe, ale mimo to dwie do trzech godzin każdego dnia, który spędzała w klinice dziecięcej, marnowała na wypełnianie nużących formularzy albo na rozmowy, a czasami kłótnie telefoniczne z szefami tych firm. Zaczęła przyjeżdżać do pracy godzinę wcześniej, by nad tym

zapanować, ale wydawało się, że na te firmy nic nie działa.

– To śmieszne – mruknęła Bella, gryząc kawałek pomarańczy. Miała dobrze ponad sześćdziesiątkę, ale z tego, co wiedziała Sara, nigdy jeszcze nie chorowała. Może jednak palenie jednego papierosa za drugim i picie tequili do świtu miało pewne plusy.

Cathy, grzebiąc w torbach, zapytała:

– Kupiłaś szatnię?

– Chyba tak. – Sara wstała, by jej pomóc, ale Cathy odsunęła ją na bok. – Gdzie jest Tess?

– W kościele – odparła Cathy.

Sara wolała nie dociekać, dlaczego matka powiedziała to tonem dezaprobaty. Najwidoczniej Bella również była tego samego zdania, bo uniosła brew, spoglądając na Sarę i podając jej drugi kawałek pomarańczy. Tessa przestała chodzić do kościoła pierwszych baptystów, do którego chodziła Cathy od czasu, kiedy i ona, i Bella były jeszcze dziećmi, wybrawszy w celu zaspokojenia potrzeb duchowych mniejszy kościół w sąsiednim hrabstwie. W normalnych okolicznościach Cathy byłaby zadowolona z tego, że przynajmniej jedna z jej córek nie jest bezbożna, ale najwidoczniej w wyborze Tessy było coś, co ją niepokoiło. Jak w wypadku wielu innych spraw, ostatnio nikt nie drażył tej kwestii.

Cathy otworzyła lodówkę, przesunęła mleko na drugą stronę półki i zapytała:

– O której wróciłaś wczoraj do domu?

– Koło dziewiątej – odparła Sara, obierając drugą pomarańczę.

– Nie zjesz obiadu – upomniała ją Cathy. – Jeffrey wprowadził się już ze wszystkim?

– Pra... – Sara w ostatniej chwili ugryzła się w język, czerwieniąc się jak burak. Przełknęła parę razy ślinę, zanim zdołała wydobyć z siebie głos. – Kiedy się dowiedziałas?

– Och, złotko – zachichotała Bella – mieszkasz w niewłaściwym mieście, jeśli chcesz, żeby ludzie nie wtykali nosa w twoje sprawy. Głównie z tego powodu wyjechałam za granicę, kiedy tylko stać mnie było na bilet.

– Raczej kiedy znalazłaś faceta, który zapłacił za ten bilet – dodała cierpko Cathy.

Sara ponownie przełknęła ślinę. Czowała się tak, jakby obrzmiał jej język.

– Tata wie?

Cathy wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze ze świstem między zębami. Komentarz ojca na temat przyklepania się brudu nabrał nagle sensu.

– Jest zły?

– Trochę – przyznała Cathy. – Bardziej niezadowolony.

Bella syknęła, przyciskając język do zębów.

– Małe miasta, małe umysły.

– To nie miasto – zaoponowała Cathy. – To Eddie.

Bella usiadła wygodniej, jakby przygotowując się do rozpoczęcia opowieści.

– Żyłam z pewnym chłopcem w grzechu. Byłam tuż po college’u, właśnie przeniosłam się do Londynu. On był spawaczem, ale jego dłonie... och, miał dłonie artysty. Czy mówiłam wam kiedyś...

– Tak, Bello – powiedziała Cathy znużonym tonem.

Bella zawsze wyprzedzała swoje czasy – była bitniczka, hipiska, weganka, ale ku jej ogromnej konsternacji nigdy nie udało jej się zgorszyć rodziny. Sara była przekonana, że jednym z powodów wyjazdu ciotki z kraju było to, iż mogła opowiadać, że jest czarną owcą. W hrabstwie Grant nikt nie kupował takich historii. Babcia Earnshaw, która działała na rzecz emancypacji kobiet, była dumna z bezwstydnego zachowania córki, a dziadek w rozmowach z każdym, kto chciał go słuchać, nazywał ją swoją „małą petardą”. Prawdę mówiąc, Belli udało się zaszokować ich tylko raz, kiedy oznajmiła, że wychodzi za mąż za maklera o nazwisku Colt i przenosi się na przedmieście. Na szczęście małżeństwo trwało tylko rok.

Sara czuła, że wzrok matki wwierca się w nią jak laser. W końcu ustąpiła:

– O co chodzi?

– Nie wiem, dlaczego po prostu za niego nie wyjdiesz.

Sara okręcała pierścień na palcu. Jeffrey był futbolistą na uniwersytecie Auburn i od tamtej pory nosiła jego uniwersytecki sygnet jak zadurzona nastolatka.

– Twój ojciec go nie znosi. – Bella wskazała na ten oczywisty fakt takim tonem, jakby była to jakaś zachęta.

Cathy założyła ręce na piersi.

– Dlaczego? – Powtórzyła i odczekała chwilę. – Dlaczego po prostu za niego nie wyjdiesz? On chce się z tobą ożenić, prawda?

– Tak.

– No więc dlaczego się nie zgodzisz, żeby mieć to wreszcie za sobą?

– To skomplikowane – odparła Sara, mając nadzieję, że na tym zakończy się ta rozmowa.

Obie kobiety znały historię jej związku z Jeffreyem od chwili, kiedy się w nim zakochała i wzięła ślub, po ów wieczór, gdy wróciła wcześniej z pracy i zastała go w łóżku z inną kobietą. Następnego dnia wystąpiła o rozwód, ale z jakiegoś powodu nie potrafiła się od niego uwolnić.

Trzeba powiedzieć na jej obronę, że w ostatnich kilku latach Jeffrey się zmienił. Dojrzał i stał się mężczyzną, którego zapowiedź widziała w nim prawie piętnaście lat wcześniej. Miłość, którą go darzyła, była nowa, w pewnym sensie bardziej podniecająca niż za pierwszym razem. Nie była to już ta przyprawiająca o zawrót głowy namiętność, którą odczuwała przedtem, obsesyjne myślenie „umrę, jeśli nie zadzwoni”. Było jej z nim dobrze. Pod koniec dnia wiedziała, że będzie na nią czekał. Po pięciu latach życia w samotności wiedziała też, że bez niego czułaby się podle.

– Jesteś zbyt dumna – orzekła Cathy. – To twoje ego...

– To nie moje ego – przerwała jej Sara, nie wiedząc, jak to wyjaśnić, bardzo rozdrażniona, że czuje się do tego zmuszona. Takie już miała szczęście, że jej związek z Jeffreyem wydawał się jedyną rzeczą, o której matka lubiła rozmawiać. Podeszła do zlewu, żeby splukać z rąk sok pomarańczy. Starając się zmienić temat, zapytała Bellę: – Jak było we Francji?

– Po francusku – odparła Bella, ale nie poddała się tak łatwo. – Ufasz mu?

– Tak – powiedziała – bardziej niż pierwszym razem i właśnie dlatego nie potrzebuję świstka papieru, by wiedzieć, co czuję.

Bella była bardzo zadowolona z siebie, kiedy powiedziała:

– Wiedziałam, że znowu się zejdziecie. – Wycelowała w Sarę palec. – Gdybyś poważnie myślała o usunięciu go ze swojego życia, to rzuciłaś byś posadę koronera.

– To tylko część etatu – rzekła Sara, chociaż wiedziała, że Bella ma rację. Jeffrey był szefem policji w Grant. Sara była patomorfologiem. Każdy podejrzany zgon w trójmiejskim obszarze sprowadzał go z powrotem w jej życie.

Cathy wyjęła litrową colę z ostatniej torby z zakupami.

– Kiedy miałaś zamiar nam powiedzieć?

– Dzisiaj – skłamała Sara. Spojrzenie, które Cathy rzuciła jej przez ramię, świadczyło, że nie było to zbyt dobre łgarstwo. – W końcu – dodała, wycierając dłonie w spodnie i siadając przy stole. – Robisz pieczeń na jutro?

– Tak – odparła Cathy, ale nie dała się odwieść od tematu. – Mieszkaś niecałą milę od nas, przy tej samej ulicy, Saro. Myślałaś, że ojciec nie zobaczy samochodu Jeffrey'a zaparkowanego w każdy ranek na podjeździe?

– Z tego, co słyszałam – rzekła Bella – byłby tam bez względu na to, czy się wprowadził czy nie.

Sara patrzyła, jak matka przelewa colę do dużej miski tupperware. Cathy doda jeszcze parę składników i będzie przez noc moczyć udziec w tej zaprawie, a jutro przez cały dzień piec go w brytfannie. Rezultatem końcowym będzie najbardziej kruche mięso, jakie kiedykolwiek znalazło się na talerzu, ale choć wydawało się to łatwe, Sarze nigdy nie udało się powtórzyć osiągnięcia matki. Dostrzegała ironiczną wymowę tego, że mimo iż ukończyła z wyróżnieniem chemię na jednej z lepszych uczelni medycznych w kraju, za nic nie potrafiła przyrządzić marynowanej w coli pieczeni według przepisu swojej matki.

Cathy z roztargnieniem dodała trochę przypraw do zalewy i powtórzyła pytanie:

– Kiedy miałaś zamiar nam powiedzieć?

– Nie wiem – odparła Sara. – Po prostu chcieliśmy najpierw oswoić się z tą myślą.

– Nie oczekuj, że twój ojciec szybko się z nią oswoi – poradziła jej Cathy. – Wiesz, że ma w takich sprawach ustalone poglądy.

Bella zachichotała.

– Od prawie czterdziestu lat stopa tego człowieka nie stanęła w kościele.

– To nie są względy religijne – sprostowała Cathy. Zwróciła się do Sary: – Oboje wiemy, jaka byłaś przybita, kiedy odkryłaś, że Jeffrey robi skoki w bok. Twojemu ojcu jest po prostu ciężko pogodzić się z tym, że najpierw widzi cię taką załamana, a potem Jeffrey wraca do ciebie jakby nigdy nic.

– Nie powiedziałabym, że było to jakby nigdy nic – rzekła Sara. Ich pogodzenie się nie było wcale takie łatwe.

– Nie mogę ci powiedzieć, że ojciec kiedykolwiek mu wybaczy.

– Tobie Eddie wybaczył – zauważyła Bella.

Sara patrzyła, jak z twarzy matki odpływa cała krew. Krótkimi, opanowanymi ruchami Cathy wytarła dłonie w fartuch.

– Obiad będzie gotowy za kilka godzin – powiedziała cicho i wyszła z kuchni.

Bella wzruszyła ramionami i ciężko westchnęła.

– Próbowałam, kotku.

Sara ugryzła się w język. Parę lat temu Cathy opowiedziała jej o czymś, co nazwała nierozważnym postępkim w swoim małżeństwie, a co zdarzyło się, zanim urodziła się Sara. Chociaż matka powiedziała, że romans ten nie został nigdy skonsumowany, omal nie rozwiodła się z Eddiem z powodu tego drugiego mężczyzny. Sara mogła sobie wyobrazić, że matka nie lubi, by przypomniano jej o tym ponurym okresie życia, zwłaszcza w obecności jej najstarszego dziecka. Ona sama niezbyt lubiła o tym słuchać.

– Halo? – zawołał Jeffrey z korytarza.

Sara starała się ukryć uczucie ulgi.

– Tutaj – odkrzyknęła.

Wszedł z uśmiechem na twarzy, więc Sara pomyślała, że ojciec był zbyt zajęty myciem samochodu, by zdenerwować Jeffreya.

– Oho – powiedział, patrząc to na jedną, to na drugą z pełnym uznania uśmiechem. – Kiedy śnię o tym, to zwykle jesteśmy wszyscy nadzy.

– Ty zbereźniku – zbesztła go Bella, ale Sara widziała, że jej oczy pojaśniały z radości. Mimo że wiele lat mieszkała w Europie, nadal była prawdziwą południową pięknoscią.

Jeffrey ujął jej dłoń i pocałował.

– Za każdym razem, kiedy cię widzę, Isabello, wyglądasz coraz lepiej.

– Dobre wino, przyjacielu. – Bella puściła do niego oko. – To znaczy picie go.

Jeffrey roześmiał się, a Sara odczekała chwilę, po czym zapytała:

– Widziałeś się z tatą?

Jeffrey potrząsnął głową akurat w chwili, gdy trzasnęły drzwi frontowe. W korytarzu rozległy się ciężkie kroki Eddiego. Sara chwyciła Jeffreya za rękę.

– Chodźmy na spacer – powiedziała, niemal wyciągając go przez tylne wyjście. – Powiedz mamie, że wrócimy w porę na obiad – poprosiła Bellę.

Jeffrey zszedł, potykając się, po schodach tarasu, a ona pociągnęła go na bok, by nie widziano ich z kuchennych okien.

– Co się dzieje? – Potarł ramię, jakby się uderzył.

– Nadal cię boli? – zapytała. Niedawno zranił bark i mimo fizykoterapii staw wciąż go bolał.

Lekko wzruszył ramionami.

– Nic mi nie jest.

– Przepraszam – powiedziała, kładąc dłoń na jego zdrowym barku. Nie mogła na tym poprzestać; objęła go i wtuliła twarz w jego szyję. Wciągnęła głęboko jego zapach, który uwielbiała. – Boże, tak ładnie

pachniesz.

Pogładził ją po włosach.

– Co się dzieje?

– Brakuje mi ciebie.

– Przecież tu jestem.

– Nie – odchyliła się, żeby go widzieć. – Przez cały tydzień. – Zapuścił sobie dłuższe włosy, więc często zakładała mu je za uszy. – Wpadasz, zostawiasz parę pudeł i wychodzisz.

– We wtorek wprowadzają się najemcy. Obiecałem im, że do tego czasu wyszykuję kuchnię.

Pocałowała go w ucho i wyszeptwała:

– Zapomniałam, jak wyglądasz.

– Ostatnio mam młyn w pracy. – Odsunął się o parę cali. – Papierkowa robota i tak dalej. Przez dom i pracę nie mam czasu dla siebie, a co dopiero mówić o spotykaniu się z tobą.

– Nie o to chodzi – powiedziała. Zdziwił ją jego defensywny ton. Oboje za dużo pracowali; nie była niewinna, żeby rzucać w niego kamieniem.

– Wiem, że nie odpowiedziałem na parę twoich telefonów – powiedział, cofając się o kilka kroków.

– Jeff – zatrzymała go. – Przypuszczałam, że jesteś zajęty. To nie jest wielki problem.

– No to o co chodzi?

Sara założyła ręce na piersi, czując nagle, że jest jej zimno.

– Tata wie.

Wydawało się, że się trochę uspokoił, zaczęła się więc zastanawiać, czy nie spodziewał się usłyszeć czegoś innego.

– Chyba nie myślałaś, że uda się to nam utrzymać w sekrecie, co?

– Nie wiem – przyznała Sara. Widziała, że coś go gnębi, ale nie wiedziała, jak to z niego wyciągnąć. zaproponowała: – Przejdźmy się wokół jeziora, dobrze?

Zerknął na dom, a potem na nią.

– Dobrze.

Poprowadziła go przez ogród kamiennym chodnikiem, który położył ojciec, zanim się urodziła. Trzymając się za ręce, szli w milczeniu piaszczystą ścieżką, która biegła brzegiem jeziora. Sara pośliznęła się na mokrym kamieniu i złapała ją za łokieć, uśmiechając się z powodu jej niezdarności. W górze słyszała jazgot wiewiórek, a tuż nad drzewami zanurkował duży myszołów z rozpostartymi nieruchomo skrzydłami.

Jezioro Grant było sztucznym zbiornikiem o powierzchni trzech tysięcy dwustu akrów. Miejscami miało trzysta stóp głębokości. Z wody nadal wystawały wierzchołki drzew, które rosły w dolinie przed jej zatopieniem. Sara często myślała o znajdujących się na dnie opuszczonych domach i zastanawiała się, czy zagnieździły się w nich ryby. Eddie miał zdjęcie tego terenu sprzed utworzenia jeziora. Wyglądał tak jak wiejskie okolice hrabstwa – ładne domy, tu i ówdzie jakaś chałupa. Pod wodą były sklepy, kościoły i przędzalnia bawełny, która przetrwała wojnę secesyjną i odbudowę po to tylko, by zamknięto ją w okresie wielkiego kryzysu. Wszystko to zmiotły pędzące wody rzeki Ochawahee, by zapewnić Grant pewne źródło energii.

Latem lustro wody to się podnosiło, to opadało, w zależności od potrzeb tamy, więc w dzieciństwie Sara nabrała zwyczaju gaszenia wszystkich świateł w domu, myśląc, że dzięki temu powierzchnia wody utrzyma się na tyle wysoko, by mogła jeździć po jeziorze na nartach. Większa część terenu, ponad tysiąc akrów, należała do National Forestry Service. Jedna strona dotykała obszaru mieszkalnego, gdzie stały domy Sary i jej rodziców, a po drugiej mieścił się Grant Institute of Technology. Sześćdziesiąt procent osiemdziesięciomilowej linii brzegowej było pod ochroną, a ulubiony kawałek Sary znajdował się dokładnie pośrodku. W lesie wolno było rozbijać namioty, ale brzeg był zbyt skalisty i stromy, by można było korzystać z przyjemności obozowania nad wodą. Przybywała tu przeważnie młodzież, by się obściskować albo po prostu uciec od rodziców. Dom Sary znajdował się naprzeciwko widowiskowej grupy skał, które prawdopodobnie były wykorzystywane przez Indian, zanim ich stamtąd wyparto, i czasami o zmierzchu widziała błysk zapalki, kiedy ktoś zapalał papierosa albo kto wie co innego.

Znad wody powiał zimny wiatr i zadrżała. Jeffrey objął ją i spytał:

– Naprawdę myślałaś, że się nie dowiedzą?

Sara zatrzymała się i odwróciła twarzą do niego.

– Chyba miałam tylko taką nadzieję.

Obdarzył ją jednym ze swoich krzywych uśmiechów i wiedziała z doświadczenia, że zaraz usłyszy przeprosiny.

– Przepraszam, że tak dużo pracuję.

– Ja przez cały tydzień nie wracałam do domu przed siódmą.

– Udało ci się wreszcie dojść do ładu z tą firmą ubezpieczeniową?

Jęknęła.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– W porządku – powiedział, wyraźnie starając się wymyślić jakiś temat do rozmowy. – Jak się ma Tess?

– O tym też nie chcę rozmawiać.

– W porządku... – Znowu się uśmiechnął, a słońce tak zaiskrzyło w jego niebieskich tęczęwkach, że aż zadrżała.

– Chcesz wracać? – zapytał, odczytując błędnie jej reakcję.

– Nie – powiedziała, obejmując go za szyję. – Chcę, żebyś wziął mnie za te drzewa i wyobracał.

Roześmiał się, ale przestał, kiedy zobaczył, że Sara nie żartuje.

– Tutaj, na otwartej przestrzeni?

– Wokół nie ma nikogo.

– Nie mówisz poważnie.

– To już dwa tygodnie – rzekła, chociaż do tej pory zbytnio się nad tym nie zastanawiała. Tak długie przerwy nie leżały w jego naturze.

– Jest zimno.

Przyłożyła wargi do jego ucha i szepnęła:

– Usta mam ciepłe.

– Jestem trochę zmęczony – powiedział, wbrew reakcji swojego ciała.

Przytuliła się mocniej.

– Mnie nie wydajesz się zmęczony.

– W każdej chwili zaczniesz padać.

Niebo było zachmurzone, ale w wiadomościach podawali, że deszcz spadnie za dobre trzy godziny.

– Chodź – powiedziała. Chciała go pocałować, ale zrezygnowała gdy zauważyła, że Jeffrey zdaje się wahać. – Co się stało?

Cofnął się o krok i spojrzał na jezioro.

– Powiedziałem ci, że jestem zmęczony.

– Nigdy nie jesteś zmęczony – rzekła. – Nie aż tak.

Machnięciem ręki wskazał na jezioro.

– Tutaj jest strasznie zimno.

– Nie jest tak zimno – odparła, czując, że podejrzenia przenikają ją niczym pełznący wzdłuż kręgosłupa dreszcz strachu. Po piętnastu latach знаła wszystkie oznaki świadczące o stanie ducha Jeffreya. Drapał paznokieć kciuka, kiedy czuł się winny, i skubał prawą brew, kiedy w sprawie, którą prowadził, było coś, co starał się odgadnąć. Gdy miał szczególnie ciężki dzień, garbił się i mówił monotonnym głosem, dopóki nie udało się jej nakłonić go w jakiś sposób, by wyrzucił z siebie to, co mu leżało na wątrobie. Układ jego ust w tej chwili świadczył, że jest coś, o czym musi jej powiedzieć, ale albo nie chce, albo nie wie jak.

Skrzyżowała ramiona i spytała:

– Co się dzieje?

– Nic.

– Nic? – powtórzyła, wpatrując się w niego, jakby mogła siłą woli wydusić z niego prawdę. Nadal miał zacięte usta i ręce złożone przed sobą. Prawym kciukiem drapał skórę wokół paznokcia lewego. Zaczęło ją ogarniać niejasne uczucie, że kiedyś już to przerabiali; to podziało na nią jak uderzenie obuchem. – O Chryste – wyszeptała, nagle zrozumiawszy. – O Boże – powiedziała. Przyłożyła dłoń do brzucha, starając się zapanować nad wzbierającą falą nudności.

– Co?

Odwróciła się i poszła ścieżką. Czuła się głupio i była na siebie zła. Kręciło się jej od tego w głowie.

– Saro... – Położył rękę na jej ramieniu, ale ją strząsnęła. Podbiegł parę kroków, by zastąpić jej drogę, tak żeby musiała na niego spojrzeć. –

Co się stało?

– Kto to jest?

– Jaki kto?

– Kim ona jest? – wyjaśniła Sara. – Kto to jest, Jeffrey? Ta sama co ostatnim razem?

Zaciskała zęby tak mocno, że aż zabolą ją szczęki. Wszystko zaczęło się układać w sensowną całość: ten roztargniony wyraz jego twarzy, asekurancki sposób mówienia, ten dystans, który starał się zachować. Każdego wieczoru przez cały tydzień znajdował różne wymówki: pakowanie pudeł, praca do późna w komisariacie, konieczność wykończenia tej przeklętej kuchni, której remont zajął prawie dziesięć lat. Za każdym razem kiedy go wpuszczała, kiedy zmniejszała czujność i czuła się swobodnie, znajdował jakiś sposób, by ją odepchnąć.

– Kogo pieprzysz tym razem? – zapytała wprost.

Cofnął się o krok, a na jego twarzy pojawiło się zmieszanie.

– Chyba nie myślisz...

Poczuła, że łzy napływają jej do oczu, i zasłoniła twarz rękami, by je ukryć. Pomyślałby, że jest zraniona, podczas gdy była na niego tak wściekła, że mogła mu rozszarpać gardło gołymi rękami.

– Boże – wyszeptała. – Jestem taka głupia.

– Jak mogłaś pomyśleć coś takiego? – powiedział takim tonem, jakby został skrzywdzony.

Opuściła ręce, nie dbając o to, co zobaczy.

– Wyrządź mi przysługę, dobrze? Tym razem mnie nie okłamuj. Nie waż się mnie okłamywać.

– Nie okłamuję cię – upierał się, mówiąc z taką samą wściekłością, jaką czuła Sara.

Jego oburzony ton byłby dla niej bardziej przekonujący, gdyby nie użył go za pierwszym razem.

– Saro...

– Odejdź – powiedziała, zawróciwszy w stronę jeziora. – Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, jaka jestem głupia.

– Nie oszukuję cię – powiedział, idąc za nią. – Posłuchaj mnie, do-

brze? – Znowu wysunął się przed nią i zagroził jej drogę. – Nie oszukuję cię.

Zatrzymała się i patrzyła na niego, pragnąc mu uwierzyć.

– Nie patrz na mnie w ten sposób – powiedział.

– Nie wiem, jak inaczej mam na ciebie patrzeć.

Westchnął ciężko, jakby na piersi legł mu ogromny ciężar. Jak na kogoś, kto utrzymywał, że jest niewinny, zachowywał się bardzo podejrzanie.

– Wracam do domu – powiedziała mu, ale podniósł głowę i w wyrazie jego twarzy dostrzegła coś, co ją powstrzymało.

Przemówił tak cicho, że musiała wytężyć słuch:

– Mogę być chory.

– Chory? – powtórzyła, nagle przestraszona. – Na co?

Odszedł, usiadł na głazie i opuścił ramiona. Tym razem to ona poszła za nim.

– Jeff? – powiedziała, ukłękawszy obok niego. – Co się stało? – Znowu łzy napłynęły jej do oczu, ale tym razem serce waliło nie ze złości, lecz z trwogi. Ze wszystkich rzeczy, które mógł powiedzieć, najbardziej wstrząsnęło nią to, co usłyszała.

– Zadzwoń Jo.

Sara usiadła na piętach. Złożyła ręce na podolku i wpatrywała się w niego niewidzącym wzrokiem. W szkole średniej Jolene Carter miała to wszystko, czego brakowało Sarze: wdzięk, apetycznie zaokrąglone kształty, lecz szczupłą sylwetkę, i powodzenie u chłopców, dzięki któremu mogła wybierać najprzystojniejszych. Była królową balu na zakończenie roku szkolnego, główną cheerleaderką, przewodniczącą klasy. Była naturalną blondynką, miała niebieskie oczy i mały pieprzyk, znamię piękności, na prawym policzku, który nadawał jej idealnym poza tym rysom światowy, egzotyczny wygląd. Nawet tuż przed czterdziestką Jolene Carter miała nadal idealne ciało, o czym Sara wiedziała, bo pięć lat temu, wróciwszy do domu, zastała Jo zupełnie nagą, z tą jej idealną dupą w górze, ujeżdżającą Jeffreya w ich łóżku.

– Ona ma zapalenie wątroby – powiedział Jeffrey.

Sara roześmiała się, gdyby miała więcej energii. W tej sytuacji zdobyła się tylko na pytanie:

– Jakiego typu?

– Złego.

– Jest parę złych – rzekła Sara, zastanawiając się, jak doszło do tego, że znalazła się w takiej sytuacji.

– Spałem z nią tylko raz, wtedy. Wiesz o tym, Saro.

Przez kilka sekund patrzyła na niego, rozdarta między chęcią, by wstać i uciec, i pragnieniem pozostania, by poznać fakty.

– Kiedy do ciebie zadzwoniła?

– W zeszłym tygodniu.

– W zeszłym tygodniu – powtórzyła, a potem wzięła głęboki oddech i zapytała: – Którego dnia?

– Nie wiem. Na początku.

– W poniedziałek? We wtorek?

– A jakie to ma znaczenie?

– Jakie to ma znaczenie? – powtórzyła z niedowierzaniem. – Jestem pediatrą, Jeffrey. Przez cały dzień robię dzieciom, małym dzieciom, zastrzyki. Pobieram im krew. Dotykam ich skaleczeń i zadrapań. Są środki ostrożności. Różne środki... – Zawiesiła głos, zastanawiając się, ile dzieci na to naraziła, starając się przypomnieć sobie każdy zastrzyk, każde ukłucie. Czy nie była zagrożeniem? Zawsze kłuła się igłami. Nie mogła nawet pozwolić sobie na martwienie się o własne zdrowie. Tego było już za dużo.

– Wczoraj poszedłem do Hare'a – powiedział, jakby fakt odbycia wizyty u lekarza w tydzień po uzyskaniu złej wiadomości go rozgrzeszał.

Zacisnęła usta, starając się sformułować właściwe pytania. Zawsze martwiła się o dzieci, którymi się opiekowała, ale dopiero teraz dotarły do niej w pełni konsekwencje tego, co się stało. Ona też mogła być chora. Mogła mieć przewlekłą, może śmiertelną, chorobę, którą zaraził ją Jeffrey.

Przełknęła ślinę, gardło miała ściśnięte.

– Czy zlecił pilne wykonanie prób wątrobowych?

– Nie wiem.

– Nie wiesz. – Było to potwierdzenie, nie pytanie. Oczywiście, że nie wiedział. Jeffrey miał typowo męski stosunek do wszystkiego, co związane było z jego zdrowiem – wypierał to. Wiedział więcej o historii utrzymania swojego samochodu niż o stanie swojego zdrowia i mogła sobie wyobrazić, jak siedzi w gabinecie Hare’a ze skonsternowaną miną, starając się wymyślić jakąś wymówkę, by wyjść stamtąd jak najszybciej.

Sara wstała. Musiała pospacerować.

– Zbadał cię?

– Powiedział, że nie wykazuję żadnych objawów.

– Chcę, żebyś poszedł do innego lekarza.

– A co jest nie tak z Hare’em?

– On... – Nie mogła znaleźć odpowiednich słów. Jej umysł nie funkcjonował jak należy.

– To, że jest twoim durnym kuzynem, nie znaczy, że nie jest dobrym lekarzem.

– Nic mi nie powiedział – powiedziała, czując się zdradzona przez nich obu.

Jeffrey spojrzał na nią uważnie.

– Prosiłem go o to.

– Oczywiście – rzekła, czując się nie tyle zła, ile zaskoczona. – Dlaczego ty sam mi nie powiedziałeś? Dlaczego nie wzięłeś mnie ze sobą, żebym mogła zapytać o to, o co trzeba?

– Dlatego – powiedział, wskazując na jej chodzenie w tę i z powrotem. – I tak masz dosyć na głowie. Nie chciałem, żebyś się denerwowała.

– Gówno prawda i wiesz o tym. – Jeffrey nie cierpiał przekazywania złych wiadomości. Choć w pracy musiał być ostry, w domu nie był zdolny do stwarzania kłopotliwych sytuacji. – To dlatego nie chciałeś się ze mną kochać?

– Byłem ostrożny.

– Ostrożny – powtórzyła.

– Hare powiedział, że mogę być nosicielem.

– Za bardzo się bałeś powiedzieć mi o tym.

– Nie chciałem, żebyś się denerwowała.

– Nie chciałeś, żebym się denerwowała na ciebie – poprawiła go. – To nie ma nic wspólnego z oszczędzaniem moich uczuć. Nie chciałeś, żebym się na ciebie wściekła.

– Proszę, nie rób tego. – Wyciągnął rękę, by ująć jej dłoń, ale gwałtownie się odsunęła.

– To nie moja wina.

Spróbował jeszcze raz:

– To było wiele lat temu, Saro. Musiała mi powiedzieć, bo kazał jej to zrobić jej lekarz. – Jakby mogło to poprawić sytuację, dodał: – Ona też chodzi do Hare’a. Zadzwoń do niego. To on jej powiedział, że musi mnie o tym poinformować. To tylko środek ostrożności. Jesteś lekarką. Wiesz o tym.

– Przestań – rozkazała, podnosząc ręce do góry. Miała już coś na końcu języka, ale powstrzymała się przed wypowiedzeniem tych słów, choć przyszło jej to z trudem. – Nie mogę teraz o tym rozmawiać.

– Gdzie idziesz?

– Nie wiem – odparła, idąc w stronę brzegu. – Do domu – powiedziała. – Dzisiaj możesz zostać na noc u siebie.

– Widzisz – rzekł, jakby zwracał na coś jej uwagę. – Właśnie dlatego ci nie powiedziałem.

– Nie obwiniaj mnie za to – odparowała, a jej gardło ścisnęło się przy tych słowach. Chciała wrzeszczeć, ale była tak przepelniona wściekłością, że nie mogła podnieść głosu. – Nie jestem na ciebie wściekła, Jeffrey, za to, że pieprzyłeś się z kim popadnie. Jestem na ciebie wściekła za to, że trzymałeś to w tajemnicy przede mną. Mam prawo wiedzieć. Nawet jeśli nie szkodzi to mnie, mojemu zdrowiu i moim pacjentom, to szkodzi tobie.

Podbiegł, by się z nią zrównać.

– Nic mi nie jest.

Zatrzymała się i odwróciła, by na niego spojrzeć.

– Czy ty chociaż wiesz, co to jest wirusowe zapalenie wątroby?

Wzruszył ramionami.

– Myślałem, że zajmę się tym, kiedy będę musiał. Jeśli będę musiał.

– Jezu – wyszeptała Sara. Czowała, że nie jest w stanie już nic zrobić. Mogła jedynie odejść. Skierowała się w stronę drogi, myśląc, że powinna obrać długą trasę do domu rodziców, by się uspokoić. Jej matka będzie miała używanie w związku z tym, i słusznie.

Jeffrey ruszył za nią.

– Dokąd idziesz?

– Zadzwoń do ciebie za kilka dni. – Nie czekała na odpowiedź. – Potrzebuję trochę czasu, żeby to przemyśleć.

Dogonił ją i pogładził jej ramię.

– Musimy porozmawiać.

– Teraz chcesz o tym rozmawiać. – Roześmiała się.

– Saro...

– Nie ma nic więcej do powiedzenia – rzekła, przyspieszając kroku.

Jeffrey nie dawał za wygraną, jego ciężkie kroki dudniły za nią. Zaczęła przechodzić w trucht, kiedy wpadł na nią. Upadła na ziemię z głuchym uderzeniem, które pozbawiło ją tchu. Odgłos tego uderzenia rozbrzmiewał jej w uszach jak odległe echo.

Odepchnęła go, pytając ze złością:

– Co ty...

– Jezu, przepraszam. Nic ci nie jest? – Ukłękł przed nią i wyjął gałązkę z jej włosów. – Nie chciałem...

– Ty dupku – warknęła. Przestraszył ją nie na żarty, więc była wściekła. – Co ty, do diabła, wyprawiasz?

– Potknąłem się – powiedział, próbując pomóc jej wstać.

– Nie dotykaj mnie. – Odtrąciła go i sama wstała.

– Nic ci nie jest? – spytał ponownie, otrzepując jej spodnie z piachu.

Odsunęła się od niego.

– Nie.

– Na pewno?

– Nie jestem z porcelany. – Spojrzała z gniewną miną na pobrudzoną ziemią bluzę. Miała naderwany rękaw. – Co ty wyprawiasz?

– Powiedziałem ci, że się potknąłem. Myślisz, że zrobiłem to celowo?

– Nie – odparła, chociaż nie złagodziło to jej złości. – Boże, Jeffrey. – Zbadała swoje kolano i stwierdziła, że ścięgno jest nienaruszone. – To naprawdę bolało.

– Przepraszam – powtórzył i znów wyjął z jej włosów gałązkę.

Popatrzyła na naderwany rękaw, teraz bardziej zirytowana niż zła.

– Co się stało?

Odwrócił się i przeczesywał wzrokiem teren.

– Musiał tam być... – Urwał.

Podążyła za jego spojrzeniem i zobaczyła sterczący z ziemi kawałek metalowej rury. Jej otwór obwiązany był kawałkiem drucianej siatki, który przytrzymywała gumowa opaska.

Powiedział tylko „Sara”, ale lęk w jego głosie wstrząsnął nią.

Odtwarzała tę scenę w głowie, dźwięk, który się rozległ, gdy upadła. Powinno to być ciężkie walnięcie, a nie głucho echo. Coś było pod nimi. Coś było tam zakopane.

– Chryste – wyszeptał Jeffrey. Ściągnął siatkę i zajrzał do rury.

Sara wiedziała, że przez otwór o średnicy pół cala niczego nie dojrzy. Mimo to zapytała:

– Widzisz coś?

– Nie. – Spróbował poruszyć rurą do tyłu i do przodu, ale nawet nie drgnęła. Coś pod ziemią trzymało ją mocno w tej pozycji.

Osunęła się na kolana i zaczęła zmiatać rękami liście i szpilki sosnowe, posuwając się do tyłu po luźnej ziemi. Była mniej więcej cztery stopy od Jeffrey'a, kiedy obojgu zaświtało w głowie, co może być pod nimi.

Sara poczuła, że jej przerażenie narasta tak samo jak przerażenie Jeffrey'a, kiedy zaczął rozdrapywać palcami ziemię. Piasek dawał się łatwo wygrzebać, jakby ktoś niedawno tam kopał. Wkrótce znalazła się na kolanach obok niego, wyciągając bryły ziemi i skały, starając się nie myśleć o tym, co mogą znaleźć.

– Kurwa! – Jeffrey szarpnął ręką do góry i Sara zobaczyła głębokie rozcięcie na boku jego dłoni, w miejscu, gdzie ostry patyk wbił się w cia-

ło. Rana obficie krwawiła, ale powrócił do roboty, wykopując ziemię i odrzucając ją na bok.

Sara natrafiła paznokciami na coś twardego i kiedy wyciągnęła rękę, zobaczyła pod ziemią drewno.

– Jeffrey – powiedziała, ale on nadal kopał. – Jeffrey.

– Wiem – odparł. Odślonił kawałek drewna wokół rury. Otaczał ją metalowy kołnierz, trzymając mocno w miejscu.

Jeffrey wyjął szczyryk i Sara mogła się tylko przyglądać, jak stara się odkręcić śruby. Krew z rozcięcia na dłoni sprawiała, że ręce ześlizgiwały mu się z trzonka, i w końcu dał za wygraną, odrzucił nóż i chwycił rurę. Naparł na nią ramieniem, krzywiąc się z bólu. Mimo to pchał nadal, aż drewno złowieszczo jęknęło, a potem trzasnęło, kiedy wysunął się z niego metalowy kołnierz rury.

Sara zasłoniła nos, kiedy z otworu buchnęło stęchłe powietrze. Dziura miała z grubsza trzy cale kwadratowe, a ostre drzazgi sterczały w niej jak zęby. Jeffrey przyłożył do niej oko. Potrzęsnał głową.

– Nic nie widzę.

Sara nadal kopała, posuwając się do tyłu wzdłuż drewna, a każda nowa część, którą odkrywała, sprawiała, że czuła się tak, jakby miało jej pęknąć serce. Było tam kilka desek o wymiarach jedna na dwie stopy, zbitych razem i tworzących górę czegoś, co mogło być tylko długą, prostokątną skrzynią. Sarze brakowało tchu i mimo że wiał chłodny wiatr, zlana była zimnym potem. Nagle poczuła, że bluza krępuje jej ruchy jak kaftan bezpieczeństwa, ściągnęła ją więc przez głowę i cisnęła na bok, by móc się swobodniej poruszać. Rzadko się modliła, ale myśl o tym, co mogą znaleźć pod tymi deskami, sprawiała, że błagała o pomoc tego, kto jej słuchał, kimkolwiek była ta istota.

– Uważaj – ostrzegł ją Jeffrey, używając rury jak łomu, by podważyć deski.

Sara odchyliła się i osłoniła oczy, kiedy prysnęły w górę ziarna piachu. Drewno, w większej części nadal przysypane ziemią, trzeszczało, ale Jeffrey nie przerywał, wyłamywał rękami cienkie deski. Rozległ się niski, jękliwy dźwięk, kiedy pod jego naporem ustąpiły gwoździe. Sarę

owionął, niczym kwaśny powiew wiatru, odór świeżego rozkładu, ale nie odwróciła oczu, kiedy Jeffrey położył się płasko na ziemi, by włożyć rękę w wąski otwór. Podniósł na nią wzrok, kiedy macał pod deskami z zaciśniętymi szczękami.

– Coś czuję – powiedział. – Kogoś.

– Oddycha? – zapytała Sara, ale potrząsnął głową, zanim to słowo wyszło z jej ust.

Jeffrey pracował teraz wolniej, bardziej metodycznie, kiedy podważał drugą deskę. Obejrzał jej spód, po czym podał ją Sarze. Zobaczyła na zbutwiałej powierzchni ślady zadrapań, jakby pod ziemią uwięziono jakieś zwierzę. W następnym kawałku, który wręczył jej Jeffrey, tkwił paznokieć wielkości jej własnego. Sara położyła deskę na ziemi spodem do góry. Następny kawałek był mocniej podrapany. Położyła go obok pierwszego, utrzymując porządek, w jakim zostały przybite, wiedząc, że jest to dowód. Mogło to być zwierzę. Psikus jakiegoś dziecka. Stary cementarz indiański. Przez głowę przebiegały jej różne wyjaśnienia, ale mogła tylko patrzeć, jak Jeffrey wyrywa kolejne deski, z których każdą czuła jak drzazgę wbijaną w serce. Było ich ogółem prawie dwadzieścia, ale już przy dwunastej zobaczyli, co jest w środku.

Jeffrey wpatrywał się we wnętrze trumny, a jego jabłko Adama poruszało się w górę i w dół, gdy przełykał ślinę. Wydawało się, że, podobnie jak Sarze, odebrało mu mowę.

Ofiara była młodą kobietą, prawdopodobnie osiemnasto-dziewiętnastoletnią. Jej ciemne włosy sięgały do pasa, okrywając ciało jak koc. Miała na sobie prostą, niebieską sukienkę, sięgającą do połowy łydek, i białe skarpetki, ale była bez butów. Jej usta i oczy były szeroko otwarte w wyrazie paniki, którą Sara czuła niemal namacalnie. Jedna ręka była wyciągnięta do góry, ze skurczonymi palcami, jakby dziewczyna nadal starała się wydobyć z trumny. Twardówka jej oczu usiana była drobnymi punkcikami wybroczyn, cienkie czerwone linie w białkach były świadectwem dawno zaschniętych łez. W skrzyni znajdowało się kilka pustych butelek po wodzie i słoik, który ewidentnie służył do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Po jej prawej stronie leżała latarka, po lewej

do połowy zjedzony kawałek chleba. Na jego brzegach osiadła pleśń, podobna do pleśni, która pokryła jej górną wargę jak delikatny wąsik. Dziewczyna nie była uderzającą piękną, ale była prawdopodobnie ładna na swój skromny sposób.

Jeffrey wolno wypuścił powietrze i usiadł na ziemi. Podobnie jak Sara, cały był pokryty ziemią. Podobnie jak ona, zdawał się na to nie zważać.

Gapili się oboje na dziewczynę, patrzyli, jak wietrzyk znad jeziora porusza jej włosami i potrąca długie rękawy jej sukienki. Sara zauważyła pasującą do sukienki niebieską wstążkę w jej włosach i zastanawiała się, kto ją zawiązał. Czy zrobiła to jej matka lub siostra? Czy dziewczyna siedziała w swoim pokoju i patrząc w lustro, zawiązała ją sama? A co się zdarzyło potem? Kto ją tutaj sprowadził?

Jeffrey wytarł ręce o dzinsy, zostawiając na nich krwawe ślady palców.

– Nie mieli zamiaru jej zabić – wyraził przypuszczenie.

– Tak – zgodziła się Sara, ogarnięta przytłaczającym smutkiem. – Chcieli ją tylko śmiertelnie przerazić.

2

W klinice zapytali Lenę o sińce.

– Nic ci nie jest, kochanie? – powiedziała starsza czarna kobieta, ścigając z troską brwi.

Lena odparła machinalnie, że nie, czekając, aż pielęgniarka wyjdzie, żeby skończyć się ubierać.

Miała sińce, które pochodziły stąd, że była policjantką – otarcia na biodrze, w miejscu, gdzie rewolwer wrzynał się tak głęboko, że w niektóre dni czuła, jakby kość została trwale wgnieciona. Cienka sina linia, jak kreska zrobiona kredką, na przedramieniu od przyciskania tego kawałka stali, kiedy trzymała rękę jak najbliżej boku, starając się nie wywołać wśród ludzi popłochu, że nosi ukrytą broń.

Kiedy była nowicjuszka, miała jeszcze więcej dolegliwości: ból pleców, otarcia od pasa z bronią, pręgi od pałki obijającej się o nogi, gdy biegła co sił, by dogonić jakiegoś przestępcę. Czasami, kiedy któregoś z nich schwytała, miło było użyć tej pałki, dać im posmakować, jak się czuła, ścigając takiego dupka przez pół mili w trzydziestostopniowym upale, w chłostającym ciału osiemdziesięciofuntowym ekwipunku. Poza tym była jeszcze kamizelka kuloodporna. Lena знаła gliniarzy – potężnych, krzepkich facetów – którzy podczas upałów mdleli z wycieńczenia. W sierpniu było tak gorąco, że zastanawiali się, co lepsze – dostać postrzał w klatkę piersiową czy umrzeć na udar cieplny.

A jednak kiedy dostała w końcu złotą odznakę detektywa, zrzuciła

mundur i czapkę, po raz ostatni zameldowała się przez swoje przenośne radio, brakowało jej ciężaru tego całego sprzętu. Brakowało jej ciężaru, który przypominał o tym, że jest gliną. Bycie detektywem oznaczało pracę bez rekwizytów. Nie miałaś munduru, który na ulicy mówił za ciebie, ani wozu patrolowego, którego sam widok sprawiał, że samochody zwalniały, nawet jeśli już wcześniej jechały z dozwoloną prędkością. Musiałaś znaleźć inne sposoby onieśmiania złych facetów. O tym, że jesteś gliną, przypominał ci tylko twój mózg.

Kiedy pielęgniarka zostawiła ją w tym pokoju w Atlancie, który w klinice nazywano salą pozabiegową, Lena patrzyła na te dobrze znane sińce, porównując je z nowymi. Ślady palców owinięte wokół ramienia jak opaska. Spuchnięty przegub po wykręceniu ręki. Nie widziała sińca w kształcie pięści nad lewą nerką, ale czuła go za każdym razem, gdy wykonała nieostrożny ruch.

Widziała to wszystko w pierwszym roku noszenia munduru. Awantury domowe, po których kobiety rzucały kamieniami w twój samochód, myśląc, że odwiodą cię w ten sposób od odwiezienia maltretujących je mężów do aresztu. Sąsiedzi rżnący się nawzajem nożami z powodu zbyt nisko zwisających gałęzi morwy czy zaginionej kosiarki do trawy, która odnajdywała się później w jakimś kącie garażu, zwykle obok torebki z marihuaną albo czymś twardszym. Małe dzieci czepiające się ojców i błagające, by nie zabierano ich z domu, a kiedy zawiozłaś je do szpitala, lekarze odkrywali oznaki rozerwania pochwy lub odbytu.

Instruktorzy w akademii starali się przygotować cię na tego rodzaju rzeczy, ale nigdy nie mogłaś być w pełni przygotowana. Musiałaś to zobaczyć na własne oczy, posmakować tego, poczuć to sama. Nikt nie wyjaśnił, jak przerażająca jest kontrola drogowa jakiegoś podróznego spoza miasta, kiedy podchodziłaś z walącym sercem i ręką na kolbie rewolweru do drzwi od strony kierowcy, zastanawiając się, czy facet w samochodzie też nie trzyma ręki na broni. W podręcznikach były zdjęcia zwłok i Lena pamiętała, jak faceci z jej roku śmiali się z niektórymi z nich. Ta kobieta, która się upiła i straciła przytomność w wannie, z rajstopami wokół kostek. Ten facet, który wieszając się, wyrwał sobie jądro, i kiedy

patrzyłaś na niego, uświadamiałaś sobie w pewnej chwili, że to, co trzyma w ręku, nie jest dojrzałą śliwką. Prawdopodobnie był czyimś mężem, ojcem, a na pewno synem, ale dla wszystkich kadetów był „śliwojajcym”.

Nic z tego nie przygotowywało cię do widoku i smrodu prawdziwego trupa. Oficer szkoleniowy nie potrafił opisać atmosfery śmierci, którą czułaś, kiedy wchodziłaś do jakiegoś pomieszczenia i jeżyły ci się włosy na karku, co oznaczało, że stało się albo – co gorsza – zaraz stanie się coś złego. Twój szef nie potrafił cię przestrzec przed odruchowym spluwaniami, próbą pozbycia się tego ohydneho smaku, który czułaś w ustach. Nikt ci nie powiedział, że choćbyś nie wiadomo ile razy szorowała ciało, odór śmierci może usunąć z twojej skóry tylko czas. Codzienny trzymilowy bieg w palącym słońcu, wyciskanie ciężarów w siłowni, pot lejący się z ciebie jak deszcz z czarnych chmur, aż w końcu uwalniałaś się od tego zapachu, a wtedy udawałaś się na wezwanie – do stacji paliw, porzuconego samochodu, domu sąsiada, przed którego drzwiami leżała sterta gazet, a ze skrzynki na listy wysypywała się korespondencja – i znajdowałaś ponownie czyjąś babcię, brata, siostrę czy wujka, których znowu musiałaś wypocić ze swojego ciała.

Nikt nie wiedział, jak pomóc ci uporać się z tym, że w twoje życie wkradła się śmierć. Nikt nie potrafił przegonić żalu, który czułaś, wiedząc, że twoje działania położyły kres czyjemuś życiu, bez względu na to, jak złe było to życie. Jako glina uczyłaś się szybko, że jesteście „my” i „oni”. Lena nigdy nie przypuszczała, że będzie żałowała jakichś „ich”, ale ostatnio mogła myśleć tylko o tym. A teraz odebrała życie kolejnej istocie, miała kolejną śmierć na sumieniu.

Przez ostatnie kilka dni czuła wydobywający się z niej zapach śmierci i nic nie mogło uwolnić jej zmysłów od tego wrażenia. W ustach czuła gorycz, każdy haust powietrza potęgował zapach, który wydawał się jej odorem rozkładu. W uszach brzmiał przenikliwy dźwięk syreny, a skóra nabrała jakiejś oślizgłości – miała wrażenie, jakby przylgnęła do niej w grobie. Jej ciało nie było jej ciałem, a umysł stał się czymś, nad czym nie panowała. Od chwili, kiedy opuściła klinikę, przez noc, którą spędziła

dzili w pokoju hotelowym w Atlancie, po moment, gdy weszła do domu wuja, nie mogła myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, co zrobiła, o złych decyzjach, które ją tutaj przywiodły.

Leżąc w łóżku, wyjrzała przez okno, na przynębiający ogród. Hank nic nie zmienił w domu od czasów, kiedy była dzieckiem. W rogu jej sypialni nadal była brązowa plama po zacieku w miejscu, gdzie podczas burzy gałąź przedziurawiła dach. Tam, gdzie użył niewłaściwego podkładu gruntującego, złuszczała się farba, a w tapetę wsiąknęło tyle nikotyny, że nadawała wszystkiemu to samo chorobliwe, żółte zabarwienie.

Lena wychowała się tutaj ze swą siostrą bliźniaczką, Sybil. Ich matka zmarła przy porodzie, a kilka miesięcy przedtem Calvin Adams, ich ojciec, został zastrzelony podczas kontroli drogowej. Trzy lata temu została zabita Sybil. Kolejna śmierć, kolejne porzucenie. Może to dzięki siostrze Lena była zakorzeniona w życiu. Teraz dawała się unosić wydarzeniom, dokonując jeszcze gorszych wyborów i nigdy nie próbując ich naprawić. Żyła, ponosząc konsekwencje swoich działań. A może lepszym określeniem byłoby stwierdzenie, że zaledwie udawało się jej je przetrwać.

Dotknęła palcami brzucha, gdzie niespełna przed tygodniem było dziecko. Tylko jedna osoba ponosiła tego konsekwencje. Tylko jedna osoba przetrwała. Czy dziecko miałoby jej ciemną karnację, czy dałyby o sobie znać geny jej meksykańskiej babki, czy też odziedziczyłoby szarostalowe oczy i jasną skórę po ojcu?

Podniosła się i wsunęła palce do tylnej kieszeni. Wyjęła z niej długi szczyrzyk i ostrożnie wysunęła jego ostrze. Koniec był odłamany, a w półkolu zaschniętej krwi widać było odcisk palca Ethana.

Spojrzała na ramię, na siniec w miejscu, gdzie chwycił ją Ethan, i zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, by palec, który pozostawił ten ślad spiralnej linii na ostrzu, ręka, która trzymała ten nóż, pięść, która zadała tyle bólu, była tą samą dłonią, która delikatnie przesuwiała się po jej ciele.

Głos policjantki mówił jej, że powinna go aresztować. Głos kobiety, że jest on złym człowiekiem. Głos realistki, że pewnego dnia ją zabije.

Jakieś nienazwane miejsce w jej głowie odrzucało te myśli, stwierdziła więc, że jest najgorszego rodzaju tchórzem. Była tą kobietą obrzucającą kamieniami samochód policyjny. Była tym sąsiadem z nożem. Była tym głupim dzieckiem przywierającym do swojego oprawcy. Była tą małą dziewczynką z łzami, które uwięzły jej w głębi gardła, krztuszącą się tym, co kazał jej połknąć.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Lee?

Zamknęła scyzoryk i szybko usiadła. Kiedy Hank otworzył drzwi, trzymała się kurczowo za brzuch. Czuła się tak, jakby coś z niej wyrwanono.

Podszedł i stanął z boku z dłonią wyciągniętą w stronę jej ramienia, ale go nie dotknął.

– Dobrze się czujesz?

– Za szybko usiadłam.

– Chcesz coś zjeść? – Włożył rękę do kieszeni.

Skinęła głową, łowiąc powietrze lekko rozchylonymi ustami.

– Mam ci pomóc wstać?

– To już tydzień – powiedziała, jakby była to odpowiedź na jego pytanie. Powiedziano jej, że będzie mogła wrócić do pracy dwa dni po zabiegu, ale nie miała pojęcia, jak kobietom udaje się to zrobić. Pracowała w policji hrabstwa Grant od dwunastu lat i aż do tej pory nigdy nie brała urlopu. Byłoby zabawne, gdyby można się było z tego śmiać.

– Zjadłem obiad w drodze do domu – powiedział.

Widząc jego porządnie uprasowaną hawajską koszulę i białe dżinsy, odgadła, że przez cały ranek był w kościele. Zerknęła na zegar; było po południu. Spała piętnaście godzin.

– Będę za minutę – powiedziała.

Hank stał tam nadal z rękami w kieszeniach, jakby czekał, aż Lena jeszcze coś powie.

– Potrzebujesz czegoś?

– Na przykład czego, Hank?

Zacisnął cienkie wargi, drapiąc się po ramionach, jakby go swędzia-

ły. Nawet po tych wszystkich latach były widoczne ślady po igłach na jego skórze, a ona nie cierpiała ich widoku, nie cierpiała tego, że zdawał się nie dbać o to, iż przypominały o wszystkim, co się między nimi źle układało.

– Przygotuję ci talerz – powiedział.

– Dzięki – na tyle się zdobyła, zwieszając nogi z łóżka.

Oparła stopy mocno na podłodze, starając się przypomnieć sobie, że jest tutaj, w tym pokoju. W ostatnim tygodniu podróżowała w myślach, przenosiła się w miejsca, w których czuła się lepiej, bezpieczniej. Nadal żyła Sybil. W jej życie nie wkroczył jeszcze Ethan Green. Było łatwiej.

Miło byłoby wziąć długą, gorącą kąpiel, ale jeszcze przez co najmniej tydzień nie wolno jej było usiąść w wannie. Seksu nie wolno jej było uprawiać jeszcze przez dwa tygodnie. Myślała, że zamiast próbować znaleźć jakieś usprawiedliwienie za każdym razem, kiedy nie będzie mogła iść do łóżka, byłoby łatwiej pozwolić Ethanowi to zrobić. Jeśli coś by jej się stało, byłaby to wyłącznie jej wina. Musi kiedyś nadejść dzień sądu za to, co zrobiła. Musi być jakaś kara za to łgarstwo, którym było jej życie.

Wzięła szybki prysznic, żeby się rozbudzić, starając się nie zamoczyć włosów, bo sama myśl o trzymaniu suszarki przez wiele minut była nie do zniesienia. Rozleniwiła się przez to wszystko, siedząc i gapiąc się przez okno, jakby zaśmiecone podwórze z samotną oponą zawieszoną w charakterze huśtawki i cadillakiem z 1959 roku, który tkwił tam jeszcze przed przyjściem na świat jej i Sybil, było początkiem i końcem jej świata. Mogło być. Hank mówił co najmniej kilkakrotnie, że z powrotem może się do niego wprowadzić, a poczucie wolności, jaką napawała ją ta propozycja, kołysało ją jak prąd oceaniczny. Jeśli wkrótce nie wyjedzie, zacznie dryfować bez nadziei dotarcia do lądu. Nigdy już nie poczuje pod stopami twardej ziemi.

Hank sprzeciwiał się zawiezieniu jej do kliniki w Atlancie, ale musiała mu oddać sprawiedliwość, że uszanował jej decyzję. Przez te wszystkie lata zrobił dla niej wiele rzeczy, w których słuszność nie wierzył – czy to z powodów religijnych, czy przez swój przeklęty ośli upór

– i dopiero teraz zaczęła sobie uświadamiać, jakim to było dla niej darem. Nie żeby kiedykolwiek mu się do tego przyznała. Chociaż Hank Norton był jednym z nielicznych stałych punktów w jej życiu, doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że była dla niego jedyną osobą, której mógł się trzymać, jedyną rzeczą, która mu pozostała. Gdyby była mniejszą egoistką, byłoby jej żal starego.

Kuchnia była tuż za łazienką, owinęła się więc szlafrokiem, zanim otworzyła drzwi. Hank stał nad zlewem, zdzierając skórę z kawałka pieczonego kurczaka. Na blacie rozrzucone były pudełka z napisem KFC, obok papierowego talerza z ziemniakami purée, surówką z białej kapusty i paroma biszkoptami.

– Nie wiedziałem, który kawałek chcesz – powiedział.

Widziała krzepnący na ziemniakach brązowy sos pieczeniowy, a zapach majonezu z surówki sprawił, że ścisnął się jej żołądek. Na samą myśl o jedzeniu robiło jej się niedobrze. Na jego widok i zapach omal nie wymiotowała.

Hank położył udko na blacie i rozłożył ręce, jakby miał zamiar ją podtrzymać, gdyby upadła:

– Usiądź.

Chociaż raz zrobiła to, o co ją proszono, wyciągnąwszy spod kuchennego stołu rozchwiane krzesło. Na blacie leżały tony broszur – spotkania AA i NA były najtrwalszym uzależnieniem Hanka – ale odsunęła je i zrobiła trochę miejsca, żeby zjeść. Oparła łokcie na stole i wsparła głowę na dłoniach. Nie kręciło jej się w głowie, po prostu źle się czuła w tym otoczeniu.

Roztarł jej plecy, zaczepiając szorstką skórą palców o materiał szlafroka. Zacisnęła zęby. Woląta, żeby jej nie dotykał, ale nie odsunęła się, by nie widzieć jego zranionej miny.

Odchrząknął.

– Chcesz, żebym wezwał lekarza?

– Nic mi nie jest.

– Nigdy nie miałaś silnego żołądka – stwierdził.

– Nic mi nie jest – powtórzyła, obawiając się, że Hank stara się przy-

pomnieć ich dzieje, fakt, że był świadkiem wszystkich jej trudnych przeżyć.

Wyciągnął drugie krzesło i usiadł naprzeciwko niej. Czuła, że czeka, aż na niego spojrzy, i była mu wdzięczna za to, że się nie odzywa. Będąc dzieckiem, uważała, że Hank jest stary, ale teraz, kiedy miała trzydzieści cztery lata, czyli tyle, ile Hank, kiedy wziął na wychowanie bliźniaczki swojej zmarłej siostry, wyglądał na zupełnie zgrzybiałego. Życie, które prowadził, wyżłobiło głębokie zmarszczki na jego twarzy, tak jak igły, które wbijał sobie w żyły, zostawiły ślady. Jej spojrzenie odwzajemniły lodowato niebieskie oczy, a pod troską widziała w nich złość. Złość była stałą towarzyszką Hanka i czasami, kiedy Lena na niego patrzyła, widziała swoją przyszłość wypisaną w jego pooranej twarzy.

Podróż do kliniki w Atlancie przebiegła w milczeniu. Zwykle nie mieli sobie dużo do powiedzenia, ale ta cisza legła na jej piersiach jak ciężar. Powiedziała Hankowi, że chce wejść do kliniki sama, ale kiedy już znalazła się w budynku, którego fluorescencyjne światła niemal pulsowały wiedzą o tym, co chce zrobić, zatęskniła za jego obecnością.

W poczekalni była jeszcze tylko jedna kobieta, żałośnie chuda mysia blondynka, która bez przerwy wykręcała sobie dłonie, unikając wzroku Leny niemal tak samo starannie jak Lena jej. Była o parę lat młodsza od Leny, ale włosy miała upięte na szczycie głowy w ciasny kok, jakby była starszą panią. Lena przyłapała się na tym, że zastanawia się, co spowodowało tam tę dziewczynę – czyżby była studentką, w której starannie zaplanowanym życiu pojawiła się nagle przeszkoda? Nieostrożną flirtiarą, która posunęła się za daleko na jakimś przyjęciu? Ofiarą czułości jakiegoś pijanego wuja?

Nie pytała jej – nie miała śmiałości i nie chciała dawać pretekstu do tego, by dziewczyna spytała ją o to samo. Siedziały więc tam prawie przez godzinę, dwie więźniarki czekające na wyrok śmierci. Obie zżerane poczuciem winy z powodu swojej zbrodni. Lena niemal poczuła ulgę, kiedy zabrano ją do sali zabiegowej, a ulżyło jej podwójnie, kiedy zobaczyła Hanka, gdy wywieźli ją na parking. Musiał chodzić w tę i z powrotem przy swoim samochodzie, cały czas paląc. Chodnik zaśla-

ny był brązowymi niedopałkami papierosów, które spalił do samego filtra.

Zabrał ją potem do hotelu na Dziesiątej Ulicy, wiedząc, że nie powinna opuszczać Atlanty, na wypadek gdyby wystąpiły jakieś komplikacje po zabiegu. Reese, miejscowość, w której Hank wychował ją i Sybil, była małą dziurą, gdzie ludzie nie mieli lepszych tematów do rozmowy niż obgadywanie sąsiadów. Poza tym żadne z nich nie ufało, że tamtejszy lekarz będzie wiedział, co robić, gdyby Lena potrzebowała pomocy. Człowiek ten odmawiał wypisywania recept na środki antykoncepcyjne, a miejscowa gazeta często cytowała jego wypowiedzi, że kłopoty z niesforną młodzieżą biorą się stąd, że matki pracują zawodowo, zamiast siedzieć, jak Pan Bóg przykazał, z dziećmi w domu.

Pokój hotelowy był najprzyjemniejszym lokalem, w jakim kiedykolwiek mieszkała, czymś w rodzaju miniapartamentu z kompleksem wypoczynkowym. Hank siedział na kanapie i oglądał telewizję ze ściszym dźwiękiem. Zamawiał dania do pokoju i nie wychodził nawet na papierosa. W nocy ułożył się na tej kanapie, podciągając tyczkowate nogi, a jego lekkie pochrapywanie nie pozwalało Lenie zasnąć, ale jednocześnie dodawało jej otuchy.

Powiedziała Ethanowi, że jedzie do laboratorium szkoleniowego oddziału Biura Śledczego Stanu Georgia na kurs zabezpieczania miejsca przestępstwa, na który skierował ją Jeffrey. Nan, swojej współlokatorce, powiedziała, że chce trochę pobyc u Hanka, żeby przejrzeć rzeczy po Sybil. Patrząc na to z perspektywy czasu, doszła do wniosku, że powinna była powiedzieć im obojgu to samo kłamstwo, ale z jakiegoś powodu okłamywanie Nan ją peszyło. Jej siostra i Nan były kochankami, żyły ze sobą. Po śmierci Sybil Nan próbowała wziąć Lenę pod swoje skrzydła. Lena była marną namiastką Sybil, ale Nan przynajmniej próbowała. Lena nadal nie wiedziała, dlaczego nie mogła zdobyć się na to, by wyjawic jej prawdziwy powód swojego wyjazdu.

Nan była lesbijką i, sądząc z korespondencji, którą otrzymywała, prawdopodobnie jakiegoś rodzaju feministką. Bardziej niż Hank nadałaby się do tego, by zawieźć ją do kliniki, podtrzymywałaby ją na du-

chu, zamiast pograć się w cichej pogardzie. Pewnie pogroziłaby pięścią manifestantom przed kliniką, którzy wykrzykiwali „dzieciobójczy- ni” i „morderczyni”, kiedy pielęgniarka wiozła ją na skrzypiącym fotelu na kółkach do samochodu. Pewnie pocieszałaby ją, może przyniosła jej herbatę i skłoniła do zjedzenia czegoś, zamiast pozwalać jej cierpieć z głodu, jakby miała to być kara za to, co zrobiła, cieszyć się z jej zawrotów głowy i palącego bólu w brzuchu. Na pewno nie pozwoliłaby jej leżeć przez cały dzień w łóżku i gapić się przez okno.

I to właśnie było równie dobrym powodem jak każdy inny, by utrzymać to przed nią w sekrecie. Nan i tak już zbyt dużo wiedziała o jej niecnym sprawkach. Nie było potrzeby dodawania do tej listy kolejnej porażki.

– Musisz z kimś porozmawiać – powiedział Hank.

Oparła policzek na dłoni, patrząc przez ramię. Była tak zmęczona, że kiedy zmrużyła oczy, powieki jej zatrzepotały. Pięć minut. Da mu pięć minut, a potem wróci do łóżka.

– To, co zrobiłaś... – zawiesił głos. – Rozumiem, dlaczego to zrobiłaś. Naprawdę.

– Dzięki – powiedziała gładko.

– Jak Boga kocham, zrobiłbym to – zaczął, zaciskając dłonie. – Rozewrałbym chłopaka na strzępy i zakopał tam, gdzie nikomu nigdy nie przyszłoby na myśl go szukać.

Odbywali już takie rozmowy. Przeważnie Hank gadał, a Lena tylko na niego patrzyła, czekając, aż zrozumie, że ona nie ma ochoty na pogawędkę. Brał udział w zbyt wielu spotkaniach, widział zbyt wielu pijaków i narkomanów otwierających serca przed grupką nieznanym po to tylko, by mieć w kieszeni mały plastikowy żeton.

– Wychowałbym je – powiedział, nie pierwszy raz składając tę propozycję. – Tak jak wychowałem ciebie i twoją siostrę.

– Taa – odparła, owijając się ciaśniej szlafrokiem. – Tak wspaniale się spisałeś.

– Nigdy mnie do tego nie dopuściłaś.

– Do czego? – zapytała. Jego ulubienicą była zawsze Sybil. W dzie-

ciństwie była zawsze bardziej uległa, łatwiej było ją zadowolić. Lena była tym dzieckiem, nad którym nie można było zapanować. Tym, które chciało wystawiać jego cierpliwość na ciężkie próby.

Zdała sobie sprawę, że pociera brzuch, i zmusiła się, żeby przestać. Ethan uderzył ją prosto w brzuch, kiedy powiedziała mu, że był to fałszywy alarm, że nie jest w ciąży. Ostrzegł ją, że jeśli zabije ich dziecko, on ją też zabije. Ostrzegał ją przed zrobieniem wielu rzeczy, ale go nie słuchała.

– Jesteś taka silna – powiedział Hank. – Nie rozumiem, dlaczego pozwalasz, żeby ten chłopak nad tobą panował.

Wyjaśniłaby, gdyby wiedziała, jak to zrobić. Mężczyźni tego nie chwyтали. Nie rozumieli, że nie ma znaczenia, jak silna jesteś psychicznie czy fizycznie. Znaczenie miała wewnętrzna potrzeba, którą się czuje, i to, jak dzięki nim opuszczał cię ten ból. Dawniej Lena czuła odrazę do kobiet, które pozwalały się bić mężczyznom. Co było z nimi nie tak? Co sprawiało, że były tak słabe, iż nie troszczyły się o siebie? Były żalosne, dostawały to, o co same się prosiły. Czasami miała ochotę im przylać, potrząsnąć nimi, żeby wróciły do pionu, przestały pozwalać się traktować jak szmaty.

Od wewnątrz widziała to inaczej. Chociaż nienawidziła Ethana, kiedy go przy niej nie było, to kiedy był i okazywał jej czułość, nie chciała, by od niej odszedł. Chociaż jej życie było marne, to – w zależności od jego humoru – mogło być jeszcze gorsze lub lepsze. Przekazanie mu tego panowania, tej odpowiedzialności, było niemal ulgą, jeszcze jedną sprawą, z którą nie musiała się mierzyć. I, mówiąc szczerze, czasami oddawała mu cios za cios. Czasami to ona zaczynała.

Każda kobieta, która jest bita, mówi, że sama się o to prosi, prowokuje swojego chłopaka czy męża, wkurzając go, przypalając obiad czy robiąc coś innego, co służyło im za usprawiedliwienie tego, że były tłuczone na kwaśne jabłko, ale Lena wiedziała na pewno, że to ona wyzwała złe cechy w Ethanie. On chciał się zmienić. Kiedy go poznała, bardzo się starał być innym, dobrym człowiekiem. Gdyby Hank znał ten fakt, byłby wstrząśnięty, jeśli nie oburzony. To nie Ethan był sprawcą tych

sińców, ale ona. To ona stale go prowokowała. To ona bez przerwy go podpuszczała i podjudzała, dopóki nie rozzłościła go tak, że wybuchął, a kiedy był na niej, bijąc ją i pieprząc, wtedy czuła, że żyje. Czuła się jak nowo narodzona.

Za nic nie mogła sprowadzić dziecka na ten świat. Nie chciała, żeby ktokolwiek miał tak spierdolone życie jak ona.

Hank oparł łokcie na kolanach.

– Chcę tylko zrozumieć.

Akurat Hank, po tym wszystkim, co przeżył, powinien zrozumieć. Ethan był dla niej niedobry. Przemienił ją w osobę, którą pogardzała, a mimo to wracała do niego po więcej. Był najgorszym nałogiem, ponieważ nikt oprócz niej nie potrafił zrozumieć, co ją do niego ciągnęło.

Z sypialni dobiegł muzyczny trel i po chwili uświadomiła sobie, że to jej telefon komórkowy.

Kiedy Hank zobaczył, że wstaje, powiedział:

– Ja odbiorę. – Pobiegł do sypialni, zanim zdążyła go powstrzymać. Usłyszała, jak mówi: – Chwileczkę. – Wrócił do kuchni z zaciśniętymi szczękami. – To twój szef – powiedział, podając jej telefon.

Głos Jeffrey'ego był równie ponury jak nastrój Hanka.

– Lena – zaczął – wiem, że został ci jeszcze jeden dzień urlopu, ale potrzebuję cię tutaj.

Spojrzała na zegar na ścianie, spróbowała pomyśleć, ile czasu zajmie jej spakowanie się i powrót do Grant. Po raz pierwszy w tym tygodniu poczuła, że znowu bije jej serce, do krwi napływa adrenalina i czuje się tak, jakby budziła się z długiego snu.

Unikając spojrzenia Hanka, powiedziała:

– Mogę być za trzy godziny.

– Dobrze – odparł Jeffrey. – Spotkajmy się w kostnicy.

3

Sara skrzywiła się z bólu, oklejając plastrem złamany paznokieć. Ręce miała poobijane od kopania, a na koniuszkach palców widniały drobne zadrapania jak ślady ukłuć igłą. W tym tygodniu będzie musiała zachować w klinice wyjątkową ostrożność, dbać o to, by te skaleczenia były cały czas zakryte. Kiedy bandażowała kciuk, jej myśli pomknęły ku temu kawałkowi paznokcia, który znalazła tkwiący w desce, i opanowało ją poczucie winy, że przejmuje się swoimi błahymi problemami. Nie potrafiła sobie wyobrazić ostatnich chwil życia tej dziewczyny, ale wiedziała, że właśnie to będzie musiała zrobić, zanim skończy się dzień.

Pracując w kostnicy, naoglądała się strasznych sposobów, w jakie można umrzeć – od zadźgania nożem, zastrzelenia, pobicia, uduszenia. Starła się patrzeć na każdy przypadek okiem klinicysty, ale czasami ofiara stawała się żywą, oddychającą istotą, która błagała o pomoc. Martwa dziewczyna zakopana w tej skrzyni w głębi lasu krzyczała do niej. Wyraz przerażenia, który zastygł w każdym rysie jej twarzy, ręka chwytająca coś, co mogło utrzymać ją przy życiu. Wszystko błagało kogoś, kogokolwiek, o pomoc. Ostatnie chwile tej dziewczyny musiały być straszne. Sarze nie przychodziło na myśl nic bardziej przerażającego niż pogrzebanie żywcem.

W jej gabinecie zadzwonił telefon, przebiegła więc przez salę, by odebrać rozmowę, zanim włączy się automatyczna sekretarka. Spóźniła się o sekundę i z głośnika rozległ się zgrzyt sprzężenia, kiedy podniosła

słuchawkę.

– Sara? – zapytał Jeffrey.

– Tak – odparła, wyłączając sekretarkę. – Przepraszam.

– Nic nie znaleźliśmy – powiedział, a w jego głosie wyczuła uczucie zawodu.

– Żadnych zaginionych osób?

– Była pewna dziewczyna parę tygodni temu – powiedział. – Ale wczoraj pojawiła się u swojej babki. Zaczekaj. – Słyszała, jak coś mamrocze, a potem odezwał się znowu. – Zaraz oddzwonię.

Zanim Sara zdążyła odpowiedzieć, rozległ się trzask odkładanej słuchawki. Usiadła w fotelu, patrząc na swoje biurko, ze zgrabnie ułożonymi kupkami papierów i kartek z notatkami. Wszystkie pióra tkwiły w kubku, a telefon był ustawiony dokładnie równolegle do krawędzi metalowego biurka. Carlos, jej asystent, pracował w kostnicy na pełen etat, ale zdarzało się, że całymi dniami nie miał nic do roboty oprócz kręcenia palcami młynka i czekania, aż ktoś umrze. Najwidoczniej zajmował się wtedy porządkowaniem jej gabinetu. Przeciągnęła palcem po zadrapaniu na blacie, myśląc, że przez tyle lat, które tam przepracowała, nie zauważyła, że jest on zrobiony z laminatu imitującego drewno.

Pomyślała o deskach użytych do wykonania skrzyni, w której leżała dziewczyna. Drewno wyglądało na świeże, a siatkę na szczycie rury założono najwyraźniej po to, by ziemia czy liście nie odcięły dopływu powietrza. Ktoś trzymał tam tę dziewczynę dla swoich chorych celów. Czy ten, kto ją uprowadził, jest gdzieś teraz i myśląc o niej, uwięzionej w tej skrzyni, czerpie rozkosz seksualną ze świadomości, że ma nad nią taką władzę? Czy może już się zaspokoił, zostawiając ją tam po prostu na pewną śmierć?

Podskoczyła, kiedy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

– Jeffrey?

– Chwileczkę. – Zakrył mikrofon i mówił coś do kogoś, a Sara czekała, dopóki nie zapytał: – Jak myślisz, ile ona miała lat?

Sara nie lubiła zgadywać, ale powiedziała:

– Między szesnaście a dziewiętnaście. Trudno powiedzieć na tym

etapie.

Przekazał tę informację komuś, a potem zapytał:

– Myślisz, że ktoś ją zmusił, żeby włożyła to ubranie?

– Nie wiem – odparła, zastanawiając się, do czego on zmierza.

– Spód skarpet jest czysty.

– Mógł zabrać jej buty, gdy już znalazła się w skrzyni – zasugerowała Sara. Potem, uświadomiwszy sobie, że Jeffrey naprawdę się martwi, dodała: – Muszę wziąć ją na stół, zanim będę mogła powiedzieć, czy została zgwałcona.

– Może on na to czekał – postawił hipotezę Jeffrey i przez chwilę milczeli, zastanawiając się nad tym. – Leje tu jak z cebra – powiedział. – Próbujemy wykopać tę skrzynię, sprawdzić, czy uda się nam na niej coś znaleźć.

– Drewno wyglądało na świeże.

– Na boku jest pleśń – powiedział. – Może zakopane nie niszczeje tak szybko.

– Jest po obróbce ciśnieniowej?

– Tak – odparł. – Wszystkie deski są połączone kątowno na uciós. Bez względu na to, kto zrobił tę skrzynię, nie zbił jej byle jak. To wymagało pewnych umiejętności. – Przerwał na chwilę, ale nie słyszała, by rozmawiał z kimś innym. W końcu rzekł: – Saro, ona wygląda dziecinnie.

– Wiem.

– Ktoś za nią tęskni – powiedział. – Ona nie uciekła po prostu tak sobie.

Sara milczała. Podczas sekcji zwłok widziała już zbyt wiele razy, jak odslania się skrywana za życia tajemnica, by wyrazić jakiś pochopny sąd o tej dziewczynie. W to ciemne miejsce w lesie mogły ją przywieść różne okoliczności.

– Wysłaliśmy depeszę – rzekł Jeffrey. – Rozesłaliśmy ją po całym stanie.

– Myślisz, że mogła zostać tu przewieziona? – spytała zaskoczona Sara. Z jakiegoś powodu założyła, że dziewczyna jest miejscowa.

– To las publiczny – odparł. – Kręcą się tu różni ludzie.

– Ale to miejsce... – zawiesiła głos, zastanawiając się, czy w ubiegłym tygodniu była taka noc, kiedy wyjrzała przez okno w ciemność okrywającą tę dziewczynę i jej porywacza grzebiącego ją żywcem po drugiej stronie jeziora.

– Może chciał sprawdzić, co się z nią dzieje – odezwał się Jeffrey, jakby odgadując, że ona myśli o tym, kto uprowadził dziewczynę. – Rozpytujemy sąsiadów, czy widzieli ostatnio kogoś, kto wyglądał, jakby nie był stąd.

– Cały czas tam biegam – powiedziała Sara. – Nigdy nikogo nie widziałam. Nie wiedzielibyśmy nawet, że ona tam jest, gdybyś się nie potknął.

– Brad stara się zdjąć odciski palców z tej rury.

– Może powinienes posypać ją proszkiem, żeby je znaleźć – rzekła. – Albo ja to zrobię.

– Brad wie, co robi.

– Nie – powiedziała. – Skaleczyłeś się w rękę. Na tej rurze jest twoja krew.

Jeffrey milczał przez chwilę.

– On pracuje w rękawiczkach.

– I w okularach ochronnych? – zapytała. Czując się jak kamera nadzorująca, ale wiedziała, że musi podnieść tę kwestię. Jeffrey nie odpowiedział, wyjaśniła mu więc: – Nie chcę być upierdliwa, ale musimy być ostrożni, dopóki sprawa się nie wyjaśni. Nigdy byś sobie nie wybaczył, gdyby... – Przerwała, żeby sam sobie dopowiedział resztę. Ponieważ nadal nie odpowiadał, spytała: – Jeffrey?

– Prześlę to przez Carlosa – powiedział, ale po tonie poznała, że jest zirytowany.

– Przepraszam – rzekła, chociaż nie bardzo wiedziała za co.

Znowu milczał. Słyszała trzaski z jego telefonu komórkowego, kiedy się przemieszczał, prawdopodobnie chcąc odejść z miejsca zbrodni.

– Jak twoim zdaniem umarła? – zapytał.

Westchnęła. Nie lubiła spekulować.

– Na podstawie tego, w jakim stanie ją znaleźliśmy, domyślałabym

się, że zabrakło jej powietrza.

– A co z tą rurą?

– Może wpuszczała go za mało. Może dziewczyna wpadła w panikę.

– Przerwała. – Właśnie dlatego nie lubię wydawać opinii, nie poznawszy wszystkich faktów. Mogła być jakaś ukryta przyczyna, coś z jej sercem. Mogła być chora na cukrzycę. Mogła chorować na cokolwiek. Nie będę wiedziała, dopóki nie położę jej na stole, a i wtedy mogę nie wiedzieć na pewno, dopóki nie dostanę wyników wszystkich analiz, choć nawet wtedy mogę nie mieć pewności.

Jeffrey zdawał się rozważać wszystkie te możliwości.

– Myślisz, że wpadła w panikę?

– Wiem, że ja bym wpadła.

– Miała latarkę – zwrócił jej uwagę. – Baterie działały.

– To mała pociecha.

– Chcę, żeby zrobiono jej dobre zdjęcie i rozesłano, kiedy doprowadzi się ją do porządku. Ktoś musi jej szukać.

– Miała jedzenie. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby ten, kto ją tam zamknął, planował ją tam zostawić na zawsze.

– Zadzwoń do Nicka – powiedział. Nick był miejscowym agentem Biura Śledczego Stanu Georgia. – Jedź do swojego biura, żeby sprawdzić, czy uda mu się znaleźć w komputerze kogoś, kto pasowałby do jej rysopisu. To mogło być porwanie dla okupu.

Słyszając to, Sara poczuła się jakoś lepiej niż na myśl, że dziewczyna została uprowadzona z domu w bardziej sadystrycznych celach.

– Za godzinę w kostnicy powinna być Lena – rzekł.

– Chcesz, żebym do ciebie zadzwoniła, kiedy tu przyjedzie?

– Nie – odparł. – Robi się coraz ciemniej. Przyjadę, jak tylko zabezpieczymy to miejsce. – Zawahał się, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze.

– O co chodzi? – zapytała Sara.

– To jeszcze dziecko.

– Wiem.

Odchrząknął.

– Ktoś jej szuka, Saro. Musimy się dowiedzieć, kim ona jest.

– Dowiemy się.

Znowu zamilkł, a potem rzekł:

– Przyjadę najszybciej, jak będę mógł.

Odłożyła delikatnie słuchawkę, a w uszach nadal brzmiały jej słowa Jeffreya. Nieco ponad rok temu został zmuszony do zastrzelenia na służbie małej dziewczynki. Sara była tam, widziała tę scenę rozgrywającą się jak senny koszmar i wiedziała, że Jeffrey nie miał wyboru; wiedziała też, że nigdy sobie nie wybaczy tego, że on też odegrał rolę w doprowadzeniu do śmierci tej dziewczynki.

Podeszła do szafy z aktami stojącej przy ścianie, by zebrać formularze potrzebne przy sekcji zwłok. Chociaż przyczyną zgonu było prawdopodobnie uduszenie, trzeba było pobrać krew i mocz, oznaczyć i przesłać do laboratorium stanowego, gdzie próbki będą czekały, aż przeciążony pracą personel Biura Śledczego Stanu Georgia będzie mógł się do nich zabrać. Trzeba zabezpieczyć tkanki i przechowywać w kostnicy co najmniej przez trzy lata. Trzeba zebrać ślady, które mogą być materiałem dowodowym, datować je i zamknąć w papierowych torbach. W zależności od tego, co wykaże sekcja, trzeba będzie być może użyć zestawu do badań w przypadku gwałtu: obciąć paznokcie u rąk, pobrać wymaz z pochwy, odbytu i ust, a także próbki do badań DNA. Narządy zostaną zważone, ręce i nogi zmierzone. Kolor włosów, kolor oczu, znamiona, wiek, rasa, płeć, liczbę zębów, blizny, sińce, nieprawidłowości anatomiczne – wszystko to trzeba będzie odnotować na właściwym formularzu. Za parę godzin będzie mogła powiedzieć Jeffreyowi wszystko, czego można się będzie dowiedzieć o tej dziewczynie, oprócz jednej rzeczy, która naprawdę miała dla niego znaczenie – jej nazwiska.

Otworzyła rejestr, żeby wpisać numer sprawy. Dla biura koronera będzie to 8472. Obecnie były tylko dwie sprawy niezidentyfikowanych ciał znalezionych w hrabstwie Grant, więc policja będzie mówiła o dziewczynie jako o N.N. numer 3. Sara czuła przytłaczający smutek, kiedy zapisywała ten numer w rejestrze. Dopóki nie odnajdzie się jakiegось członka rodziny, ofiara będzie po prostu ciągiem cyfr.

Wyjęła następny plik formularzy i kartkowała je, aż znalazła urzędowe świadectwo zgonu. Zgodnie z prawem miała czterdzieści osiem godzin na wystawienie go tej dziewczynie. Proces przemiany ofiary z osoby w sekwencję cyfr będzie z każdym krokiem rozszerzany. Po sekcji Sara znajdzie przypisany do rodzaju zgonu numer kodowy i umieści go we właściwej rubryce formularza. Formularz zostanie przesłany do Narodowego Centrum Statystyki Zdrowia, które z kolei doniesie o zgonie Światowej Organizacji Zdrowia. Tam dziewczyna zostanie skatalogowana i przeanalizowana, otrzyma kolejne oznaczenia kodowe, kolejne numery, które zostaną porównane z innymi danymi z całego kraju, a potem z całego świata. Fakt, że miała rodzinę, przyjaciół, może kochanków, nie zostanie nigdy wprowadzony do tego równania.

Sara znowu pomyślała o tej dziewczynie leżącej w drewnianej trumnie, o wyrazie przerażenia na jej twarzy. Była czyjąś córką. Kiedy się urodziła, ktoś spojrział na twarz dziecka i dał mu imię. Ktoś ją kochał.

Stary mechanizm windy został ze zgrzytem wprawiony w ruch i Sara odłożyła papiery na bok i wstała zza biurka. Stała przy drzwiach windy, słuchając jęku maszynerii, kiedy kabina pięła się w górę szybu. Carlos był niewiarygodnie poważny i jeden z niewielu żartów, które słyszała z jego ust, był o tym, że kiedyś spadnie na dół w tym starodawnym urządzeniu i się zabije.

Wskaźnik pięter nad drzwiami windy był również starodawny – zegar z trzema cyframi. Wskazówka wahała się między jedyneką i zerem, ledwie się poruszając. Sara oparła się o ścianę i w myślach liczyła sekundy. Była przy trzydziestej ósmej i miała już zamiar wezwać pogotowie dźwigowe, kiedy w wyłożonym kafelkami pomieszczeniu rozległo się głośne „dzyń” i drzwi powoli się rozsunęły.

Za wózkiem stał Carlos z szeroko otwartymi oczami.

– Myślałem, że utknąłem – powiedział swoim angielskim z silnym hiszpańskim akcentem.

– Pomogę ci – zaproponowała, chwytając koniec wózka, żeby nie musiał sam wtaczać go do sali. Ręka dziewczyny była nadal zgięta pod niewielkim kątem, jak wtedy, kiedy próbowała wydostać się ze skrzyni,

więc Sara musiała przechylić wózek na bok, żeby nie zahaczyli nią o drzwi.

– Zrobiłeś rentgen na górze? – zapytała Sara.

– Tak, psze pani.

– Masa ciała?

– Pięćdziesiąt jeden kilogramów. Sto pięćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu.

Sara zapisała to wszystko na wycieranej na sucho tablicy przymocowanej do ściany. Założyła skuwkę na mazak, po czym powiedziała:

– Przenieśmy ją na stół.

Na miejscu zbrodni Carlos umieścił zwłoki w czarnym worku, więc teraz złapali za jego rogi i przełożyli na stół. Sara pomogła mu rozpiąć suwak, w milczeniu przygotowywali ciało do sekcji. Włożywszy rękawiczki, Carlos rozciął brązowe papierowe torby, które założono na ręce ofiary, by zabezpieczyć ewentualne dowody. Jej długie włosy były miejscami zmierzwione, ale mimo to spływały kaskadą ze stołu. Sara też włożyła rękawiczki i ułożyła włosy wokół ciała, mając świadomość tego, że starannie unika patrzenia na zastygłą w masce przerażenia twarz dziewczyny. Szybki rzut oka na Carlosa upewnił ją, że on robi to samo.

Kiedy Carlos zaczął rozbierać dziewczynę, Sara podeszła do metalowej szafki przy zlewach i wyjęła z niej fartuch chirurgiczny i okulary ochronne. Położyła je na tacy przy stole, czując niemal niemożliwy do zniesienia smutek, gdy Carlos obnażył mlecznobiałe ciało dziewczyny, wystawiając je na ostre światło kostnicy. Jej małe piersi przykrywało coś, co wyglądało jak sportowy stanik, miała też na sobie bawełniane figi, które Sarze zawsze kojarzyły się ze starszymi osobami; babcia Earnshaw dawała Sarze i Tessie co roku na Gwiazdkę opakowanie zawierające dziesięć sztuk w tym samym fasonie i Tessa zawsze nazywała je babczynymi majtkami.

– Nie ma metki – powiedział Carlos, więc Sara podeszła, żeby to sprawdzić. Rozpostarł sukienkę na arkuszu brązowego papieru, by znaleźć jakieś ślady. Zanim dotknęła materiału, Sara zmieniła rękawiczki, nie chcąc dopuścić do wymieszania ewentualnych śladów. Sukienka

była skrojona według prostego wzoru, miała długie rękawy i sztywny kołnierzyk. Sara przypuszczała, że materiał jest jakimś grubym bawełnianym melanżem.

Sprawdziła ścieg i stwierdziła:

– Nie wygląda na wyrób fabryczny.

Pomyślała, że to samo w sobie może być pewną wskazówką. Jeśli nie liczyć niefortunnego kursu prowadzenia gospodarstwa domowego w szkole średniej, Sara nigdy nie przyszyła niczego więcej niż guzik. Osoba, która uszyła tę sukienkę, wyraźnie znała się na tym.

– Wyglądają całkiem czysto – powiedział Carlos, kładąc stanik i figi na papierze. Obie części bielizny były znoszone, ale nieskazitelnie czyste, z metkami wypłowiałymi od częstego prania.

– Możesz obejrzeć je w ultrafiolecie? – zapytała, ale Carlos już podchodził do szafki, by wziąć lampę.

Sara wróciła do stołu sekcyjnego, czując ulgę, że nie widzi żadnych sińców ani śladów obrażeń na łonie i górnych częściach ud dziewczyny. Czekala, aż Carlos włączy fioletowe światło i omiecie nim ubranie ofiary. Nic się nie rozjarzyło, co znaczyło, że na częściach garderoby nie ma żadnych śladów nasienia ani krwi. Ciągnąc za sobą sznur przedłużacza, Carlos podszedł do stołu i podał lampę Sarze.

Pozwoliła mu to zrobić, więc przeciągnął powoli lampę w tę i z powrotem nad ciałem dziewczyny. Robił to pewną ręką, ze skupionym spojrzeniem. Sara często pozwalała mu wykonywać takie drobne zadania, wiedząc, że musi się nudzić jak mops, czekając cały dzień w kostnicy. Kiedy jednak zasugerowała pewnego razu, żeby pomyślał o powrocie do szkoły, potrząsnął głową z niedowierzaniem, jakby zaproponowała mu lot na Księżyc.

– Czyste – powiedział i rozchylił usta w rzadkim u niego uśmiechu, a jego zęby zaśniły w tym świetle fioletowo. Wyłączył lampę i zaczął zwijać kabel, by na powrót umieścić go pod blatem.

Sara przysunęła do stołu wózki z instrumentami. Carlos ułożył już na nich narzędzia do sekcji i chociaż rzadko popełniał błędy, Sara sprawdziła je, upewniając się, że jest tam wszystko, czego będzie potrze-

bowała.

Kilka skalpeli leżało w rzędzie obok różnych rodzajów ostrych nożyczek chirurgicznych. Na następnym wózku leżały różne klucze, re-traktory, zgłębniki, szczypce do cięcia drutu, nóż do krojenia chleba. Na dolnej półce leżały piła Strykera i hak sekcyjny, nad nimi stała waga sklepowa do ważenia narządów. Przy zlewie czekały na próbki tkanek nietłukące słoiki i probówki. Obok aparatu fotograficznego, który zostanie użyty do sporządzenia dokumentacji wszelkich nieprawidłowości anatomicznych, leżały sztywna miara i mała linijka.

Sara odwróciła się, akurat kiedy Carlos kładł ramiona dziewczyny na gumowym bloku, by wyprostować jej kark. Z pomocą Sary rozwinął białe prześcieradło i zarzucił je na zwłoki, zostawiając odkrytą zgiętą rękę ofiary. Obchodził się z ciałem delikatnie, jakby dziewczyna nadal żyła i czuła wszystko, co z nią robi. Nie po raz pierwszy Sara się zdumiała, że chociaż pracuje z Carlosem już od ponad dziesięciu lat, wie o nim tak mało.

Jego zegarek trzykrotnie zabrzączał, nacisnął więc jeden z wielu guzików, by go wyłączyć.

– Zdjęcie rentgenowskie powinno być już gotowe – powiedział.

– Zajmę się resztą – zaproponowała, chociaż nie zostało wiele do zrobienia.

Odczekała, aż usłyszy rozchodzący się echem po klatce schodowej odgłos jego ciężkich kroków, zanim pozwoliła sobie spojrzeć na twarz dziewczyny. W padającym z góry świetle reflektora wyglądała na starszą, niż początkowo myślała Sara. Mogła mieć dwadzieścia parę lat. Mogła być mężatką. Mogła mieć dziecko.

Sara znowu usłyszała kroki na schodach, ale tym razem nie był to Carlos, lecz Lena Adams, która pchnęła wahadłowe drzwi i weszła do sali.

– Hej – powiedziała Lena, rozglądając się po kostnicy, wydawało się, że ogarnia wzrokiem wszystko. Trzymała ręce na biodrach, pod pachą sterczał jej pistolet. Stała w sposób typowy dla policjanta, z szeroko rozstawionymi nogami, wyprostowanymi barkami; chociaż była drobną

kobietą, wydawało się, że wypełnia całą salę. Coś w niej zawsze Sarę krępowało i rzadko bywały razem same.

– Jeffreya jeszcze nie ma – powiedziała Sara, wyjmując kasetę do dyktafonu. – Możesz poczekać w moim gabinecie, jeśli chcesz.

– Tu jest w porządku – odparła Lena i podeszła do zwłok. Przez chwilę patrzyła na dziewczynę, po czym cicho gwizdnęła. Sara przyglądała jej się, myśląc, że w Lenie coś się zmieniło. Normalnie otaczała ją aura złości, ale dzisiaj jej mechanizm obronny wydawał się osłabiony. Czerwone obwódki wokół oczu świadczyły o znużeniu i wyraźnie straciła ostatnio na wadze, co nie pasowało do jej i tak już szczupłej figury.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Sara.

Zamiast odpowiedzieć na pytanie, Lena wskazała na dziewczynę, mówiąc:

– Co jej się stało?

Sara włożyła kasetę do kieszonki dyktafonu.

– Została zakopana żywcem w drewnianej skrzyni nad jeziorem.

Lena wzdrygnęła się.

– Jezu.

Sara wcisnęła stopą pedał pod stołem, włączając nagrywanie. Powiedziała parę razy „próba nagrywania”.

– Skąd wiesz, że była żywa? – zapytała Lena.

– Drapała deski – powiedziała Sara, przewijając kasetę. – Ktoś ją tam zamknął, żeby ją tam trzymać... Nie wiem. Trzymał ją w jakimś celu.

Lena wzięła głęboki oddech i z wysiłkiem uniosła ramiona.

– To dlatego jej ręka jest w takiej pozycji? Że starała się wydostać?

– Tak przypuszczam.

– Jezu.

Wyskoczył klawisz przewijania w dyktafonie. Obie milczały, kiedy urządzenie odtwarzało głos Sary.

– Próba nagrywania, próba nagrywania.

– Macie jakieś pojęcie, kto to jest? – zapytała Lena po chwili.

– Nie.

– Wyskoczyła nie wiadomo skąd?

Sara przerwała przygotowania i wyjaśniła, co się wydarzyło. Lena przyjęła to z kamienną twarzą. Sara wiedziała, że tamta wyćwiczyła się w nieokazywaniu emocji, ale sposób, w jaki Lena potrafiła zdystansować się do takiej przerażającej zbrodni, działał jej na nerwy.

Kiedy Sara skończyła, jedyną reakcją Leny był szept:

– Cholera.

– Tak – zgodziła się Sara. Kiedy zerknęła na zegar, zastanawiając się, co zatrzymuje Carlosa, on wszedł z Jeffreyem.

– Lena – powiedział Jeffrey – dzięki, że przyjechałaś.

– Nie ma sprawy – powiedziała, bagatelizując to.

Jeffrey spojrział na nią po raz drugi, uważnie:

– Dobrze się czujesz?

Lena rzuciła Sarze spojrzenie, z którego można było wyczytać coś w rodzaju poczucia winy.

– Nic mi nie jest. – Wskazała na martwą dziewczynę. – Masz już jej nazwisko?

Jeffrey zacisnął szczęki. Nie mogła zadać gorszego pytania.

– Nie – wykrztusił.

Sara wskazała Jeffreyowi zlew.

– Musisz obmyć sobie rękę.

– Już to zrobiłem.

– To zrób jeszcze raz – powiedziała. Pociągnęła go w kierunku zlewu i odkręciła kurek. – Rana jest mocno zabrudzona.

Syknął przez zęby, kiedy włożyła jego dłoń pod strumień gorącej wody. Rana była na tyle głęboka, że powinno się założyć szwy, ale minęło zbyt wiele czasu, żeby ją zszyć, nie ryzykując infekcji. Będzie musiała ją zabandażować, zsunąwszy jej brzegi, i być dobrej myśli.

– Wypiszę ci receptę na antybiotyk.

– Świetnie. – Obrzucił ją poirytowanym spojrzeniem, kiedy włożyła rękawiczki. Odpowiedziała mu takim samym, kiedy bandażowała mu rękę, wiedząc, że ta dyskusja przy świadkach była niepotrzebna.

– Doktor Linton? – Carlos patrzył na zdjęcia rentgenowskie dziewczyny.

Sara skończyła opatrywać ranę Jeffreya, nim do niego podeszła. Na szklanej płycie było kilka zdjęć, ale jej wzrok spoczął na tych, które pokazywały jamę brzuszną.

– Chyba muszę je zrobić jeszcze raz. To jest trochę zamazane.

Aparat rentgenowski był starszy od Sary, ale wiedziała, że zdjęciu nie można nic zarzucić.

– Nie – wyszeptała, czując, że ogarnia ją trwoga.

Jeffrey stał przy niej, skubiąc bandaż, którym przed chwilą owinęła mu rękę.

– Co jest?

– Była w ciąży.

– W ciąży? – powtórzyła jak echo Lena.

Sara przyglądała się uważnie kliszy, a w jej głowie nabierała już kształtu myśl o zadaniu, które ją czeka. Nienawidziła przeprowadzania sekcji niemowląt. To będzie najmłodsza ofiara, jaką kiedykolwiek miała w kostnicy.

– Jesteś pewna? – zapytał Jeffrey.

– Tutaj widać główkę – powiedziała Sara, wodząc palcem po zdjęciu – nogi, ręce, tułów...

Lena podeszła, żeby się lepiej przyjrzeć, a jej głos był bardzo cichy, kiedy zapytała:

– Jak bardzo była zaawansowana ciąża?

– Nie wiem – odparła Sara. Czowała się tak, jakby w piersiach miała kawałek szkła. Będzie musiała trzymać płód w ręku, przeprowadzając jego sekcję, jakby kroić owoc. Głowa będzie miękka, oczy i usta zaledwie zarysowane ciemnymi kreskami pod cienką jak papier skórą. Przez takie przypadki nienawidziła swojej pracy.

– Miesiące? Tygodnie? – naciskała Lena.

Sara nie potrafiła powiedzieć.

– Będę musiała to zbadać.

– Podwójne zabójstwo – rzekł Jeffrey.

– Niekoniecznie – przypomniała mu Sara. W zależności od tego, która strona krzyczała głośniej, politycy zmieniali prawa dotyczące zabój-

stwa płodu praktycznie codziennie. Na szczęście Sara nigdy nie musiała się w to zagłębiać. – Będę musiała sprawdzić u władz stanowych.

– Dlaczego? – zapytała Lena, tak dziwnym tonem, że Sara odwróciła się, by na nią spojrzeć. Lena wpatrywała się w zdjęcie rentgenowskie, jakby było ono jedyną rzeczą w tej sali.

– To już nie opiera się na zdolności płodu do przeżycia – wyjaśniła Sara, zastanawiając się, dlaczego Lena tak draży tę kwestię. Nigdy nie wydawała się jej typem, który lubi dzieci, ale się starzała. Może jej zegar biologiczny zaczął w końcu tykać.

Lena kiwnęła głową w stronę kliszy. Ręce skrzyżowała na piersiach.

– A czy ten był zdolny do przeżycia?

– Nie – powiedziała Sara, a potem poczuła potrzebę dodania: – Czytałam o płodach, które zostały wydane na świat w dwudziestym trzecim tygodniu i utrzymano je przy życiu, ale bardzo rzadko się zdarza, żeby...

– To drugi trymestr – przerwała jej Lena.

– Zgadza się.

– W dwudziestym trzecim tygodniu? – powtórzyła Lena jak echo i przelknęła ślinę.

Sara i Jeffrey spojrzeli na siebie. Jeffrey wzruszył ramionami, a potem zapytał Lenę:

– Dobrze się czujesz?

– Tak – odparła i wydawało się, jakby zmuszała się, by odwrócić wzrok od kliszy. – Tak – powtórzyła. – No to... eee... no to zaczynajmy.

Carlos pomógł Sarze włożyć kitel chirurgiczny i razem badali każdy cal ciała dziewczyny, mierząc i fotografując te nieliczne ślady, które znaleźli. Na gardle miała parę zadrapań; prawdopodobnie sama się podrapała, co zdarza się często osobom, które mają trudności z oddychaniem. Na koniuszkach palca wskazującego i środkowego brakowało kawałków skóry i Sara przypuszczała, że znajdą je na deskach, którymi zabita była skrzynia. Pod pozostałymi paznokciami tkwiły drzazgi od drapania w drewno, ale Sara nie znalazła pod nimi ani fragmentów skóry, ani innych tkanek.

Jama ustna była czysta, na tkance miękkiej nie widać było śladów łoż czy sińców. Dziewczyna nie miała plomb ani mostków, ale na prawym tylnym zębie trzonowym zaczątek ubytku spowodowanego próchnicą. Zęby mądrości były nienaruszone, dwa z nich już się wyrzyły. Pod prawym poślądkiem miała znamię w kształcie gwiazdy, a na prawym ramieniu plamę wyschniętej skóry. Miała na sobie sukienkę z długimi rękawami, więc Sara przypuszczała, że cierpiała na przewlekłą egzemę. Zima zawsze dawała się we znaki osobom o jasnej karnacji.

Zanim Jeffrey zrobił polaroidem zdjęcia w celu identyfikacji, Sara spróbowała złączyć wargi dziewczyny i zamknąć jej oczy, żeby złagodzić wyraz twarzy. Kiedy zrobiła wszystko, co mogła, zeskrobała cienkim skalpelem pleśń z górnej wargi dziewczyny. Nie było tego dużo, ale mimo to włożyła tę pleśń do słoika, żeby wysłać do laboratorium.

Jeffrey przysunął aparat do twarzy ofiary. Mignęła lampa błyskowa, w sali rozległ się głośny trzask. Sara zamrugła, żeby odzyskać jasne widzenie, a swąd spalonego plastiku z taniego aparatu na pewien czas stłumił inne zapachy, które wypełniały kostnicę.

– Jeszcze jedno – powiedział Jeffrey, pochylając się ponownie nad dziewczyną. Rozległ się następny trzask i aparat, warcząc, wypluł drugie zdjęcie.

– Nie wygląda na bezdomną – powiedziała Lena.

– Tak – zgodził się z nią Jeffrey, a jego ton wskazywał, że pragnie znaleźć odpowiedź. Pomachał polaroidem w powietrzu, jakby to mogło coś przyspieszyć.

– Weźmy odciski – powiedziała Sara, badając napięcie uniesionej ręki dziewczyny.

Nie poczuła takiego oporu, jakiego się spodziewała, i jej zdumienie musiało być widoczne, bo Jeffrey zapytał:

– Od jak dawna twoim zdaniem nie żyje?

Sara przycisnęła rękę dziewczyny do boku, żeby Carlos mógł posmarować jej palce tuszem i zdjąć odciski.

– Do całkowitego stężenia dochodzi w sześć do dwunastu godzin po zgonie. Sądząc z tego, jak postępuje, powiedziałabym, że nie żyje dzień,

najwyżej dwa dni. – Wskazała na zsinienie tylnej części ciała; nacisnęła palcami fioletowe plamy. – Rozpoczął się liver mortis. Zaczyna się rozkład. Musiało być tam zimno. Ciało było dobrze zachowane.

– A ta pleśń wokół ust?

Sara spojrzała na kartę, którą podał jej Carlos, by się upewnić, że dobrze zdjął odciski z tego, co pozostało z koniuszków palców dziewczyny. Skinęła głową, oddała mu kartę i powiedziała do Jeffreya:

– Są pleśnie, które mogą rozwijać się szybciej, szczególnie w takim środowisku. Mogła zwymiotować i na tym wyrosła pleśń. – Przyszła jej do głowy inna myśl. – Niektóre rodzaje grzybów mogą zmniejszać ilość tlenu w zamkniętym pomieszczeniu.

– Coś rośnie po wewnętrznej stronie skrzyni – przypomniał sobie Jeffrey, patrząc na zdjęcie dziewczyny. Pokazał je Sarze. – Nie jest takie złe, jak myślałem.

Sara kiwnęła głową, chociaż nie mogła sobie wyobrazić, jak by się czuła, gdyby знаła tę dziewczynę za życia i teraz zobaczyła to zdjęcie. Mimo prób złagodzenia wyrazu twarzy dziewczyny, nie było żadnych wątpliwości, że śmierć była okropna.

Jeffrey wyciągnął zdjęcie w stronę Leny, ale pokręciła głową.

– Myślisz, że była molestowana? – zapytał.

– To będzie następne zadanie – odparła Sara, zdając sobie sprawę, że odwleka to, co nieuniknione.

Carlos podał jej wziernik i obrócił przenośną lampę. Sara czuła, że wszyscy wstrzymują oddech, kiedy przeprowadzała badanie, a gdy powiedziała, że nie ma żadnych oznak napastowania seksualnego, wydawało się, że wszyscy odetchnęli. Nie wiedziała, dlaczego gwałt sprawia, że takie przypadki jak ten są jeszcze straszniejsze, ale nie mogła zaprzeczyć, że sama poczuła ulgę, iż ta dziewczyna nie musiała przed śmiercią znieść jeszcze jednego poniżenia.

Następnie Sara zbadała oczy; zauważyła popękane naczynia krwionośne. Usta dziewczyny były sine, lekko wysunięty język ciemnofioletowy.

– Zwykle nie obserwuje się wybroczyn w tego rodzaju uduszeniu –

powiedziała.

– Myślisz, że mogło ją zabić coś innego? – zapytał Jeffrey.

– Nie wiem – odpowiedziała Sara zgodnie z prawdą.

Włożyła igłę numer 18 w środek oka i wyciągnęła ciało szkliste z gałki. Carlos napełnił inną strzykawkę roztworem soli, który wprowadziła w miejsce pobranego materiału, by oko się nie zapadło.

– Gotowi? – spytała, gdy zakończyła zewnętrzne oględziny.

Jeffrey i Lena skinęli głowami. Sara nacisnęła pedał pod stołem, włączając dyktafon, i zaczęła nagrywać:

– Przypadek numer osiemdziesiąt cztery siedemdziesiąt dwa badany przez koronera to niezabalsamowane ciało nieznanego osobnika płci żeńskiej, rasy białej, o brązowych włosach i brązowych oczach. Wiek nieznan, ale został oceniony na osiemnaście do dwudziestu lat. Ciężar ciała: pięćdziesiąt jeden kilogramów; wzrost: sto pięćdziesiąt osiem centymetrów. Skóra zimna w dotyku; jej stan wskazuje na to, że ciało było pogrzebane pod ziemią przez nieokreślony czas. – Wyłączyła dyktafon i zwróciła się do Carlosa: – Potrzebujemy temperatury za ostatnie dwa tygodnie.

Kiedy Carlos zapisywał to na tablicy, Jeffrey zapytał:

– Myślisz, że była tam dłużej niż tydzień?

– W poniedziałek zaczęły się przymrozki – przypomniała mu. – W słoiku nie było dużo moczu, ale mogła ograniczać spożycie wody, na wypadek gdyby zaczęło jej brakować. Była też prawdopodobnie odwodniona z powodu wstrząsu. – Włączyła dyktafon, wzięła skalpel i powiedziała: – Badanie wewnętrzne zaczyna się od standardowego nacięcia Y.

Kiedy pierwszy raz przeprowadzała sekcję, trzęsła jej się ręka. Jako lekarka ogólna nauczona była używania lekkiego dotyku. Jako chirurg wiedziała, że każde cięcie powinno być obliczone i opanowane; każdy ruch jej ręki miał leczyć, nie szkodzić. Pierwsze cięcia wykonane podczas sekcji – wrzynanie się w ciało, jakby było kawałem surowego mięsa – były sprzeczne ze wszystkim, czego się nauczyła.

Zaczęła od prawej strony. Cięła między piersiami, czubek ostrza śli-

zgał się po żebrach. Zatrzymała się na wyrostku mieczykowatym. To samo zrobiła z lewej strony; skóra rozsuwała się na boki, kiedy cięła wzdłuż linii środkowej w stronę łona i wokół pępka, a żółty tłuszcz brzuszny zwijał się za ostrzem.

Carlos podał Sarze nożyczki. Kiedy rozcinała nimi otrzewną, Lena wciągnęła gwałtownie powietrze i przyłożyła dłoń do ust.

– Czy ty... – zaczęła Sara akurat w chwili, gdy Lena wypadła z pokoju, krztusząc się.

W kostnicy nie było łazienki, więc Sara przypuszczała, że Lena pobiegnie na górę, do szpitala. Sądząc z odgłosów wymiotowania, które niosły się echem po klatce schodowej, nie zdążyła. Lena kaszlnęła parę razy i usłyszeli wyraźnie, jak coś bryznęło na podłogę.

Carlos mruknął pod nosem i poszedł po mopa i wiadro.

Jeffrey miał kwaśną minę. Nie znośli, kiedy ktoś wymiotował w jego obecności.

– Myślisz, że nic jej nie jest?

Sara spojrzała na ciało, zastanawiając się, co wywołało taką reakcję u Leny. Już wcześniej brała udział w sekcjach zwłok i nigdy nie reagowała w taki sposób. Ciało nie było jeszcze do końca rozcięte, odsłoniła dopiero tylko część wnętrza jamy brzusznej.

– To przez ten zapach – powiedział Carlos.

– Jaki zapach? – zapytała Sara, zastanawiając się, czy nie przedziurawiła jelita.

Zmarszczył brwi.

– Jak w wesołym miasteczku.

Otworzyły się drzwi i wróciła Lena. Była zmieszana.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie wiem, co... – Zatrzymała się w pewnej odległości od stołu sekcyjnego, z ręką na ustach, jakby miała za chwilę znowu zwymiotować: – Jezu, co to jest?

Jeffrey wzruszył ramionami.

– Ja niczego nie czuję.

– Carlos? – zapytała Sara.

– To... jakby się coś przypaliło – powiedział.

– Nie – sprzeciwiła się Lena, cofając się o krok. – Jakby się zwarzyło. Jakby bolała cię szczęka od tego zapachu.

Sara usłyszała w głowie dzwonki alarmowe.

– Czy ten zapach jest gorzki? – zapytała. – Jak gorzkich migdałów?

– Tak – odparła Lena, nadal trzymając się z daleka.

Carlos też kiwał głową i Sara poczuła, że oblewa ją zimny pot.

– Chryste – wykrztusił Jeffrey i odsunął się od zwłok.

– Musimy to dokończyć w laboratorium stanowym – powiedziała Sara, zarzucając na zwłoki prześcieradło. – Nie mam tutaj nawet maski przeciwchemicznej.

– W Macon mają izolowaną salę – przypomniał jej Jeffrey. – Mógłbym zadzwonić do Nicka i dowiedzieć się, czy będziemy mogli z niej skorzystać.

Ściągnęła rękawiczki.

– To byłoby bliżej, ale pozwoliliby mi tylko się przyglądać.

– To jakiś problem?

– Nie – odparła Sara, zakładając maskę chirurgiczną.

Opanowała dreszcz, myśląc o tym, co mogło się zdarzyć. Carlos przyniósł worek na zwłoki.

– Ostrożnie – ostrzegła go Sara, podając mu maskę. – Mamy duże szczęście – powiedziała do nich Sara, pomagając Carlosowi zamknąć ciało. – Ten zapach potrafi wyczuć tylko około czterdziestu procent ludzi.

– Dobrze, że przyjechałaś – powiedział Jeffrey do Leny.

Lena patrzyła to na Sarę, to na Jeffreya.

– O czym wy mówicie?

– O cyjanku. – Sara zasunęła zamek worka. – To właśnie wyczułaś. – Lena wydawała się nadal nie rozumieć, więc Sara dodała: – Ona została otruta.

PONIEDZIAŁEK

Jeffrey ziewnął tak szeroko, że aż trzasnęła mu szczęka. Rozparł się w fotelu i patrząc przez okno swojego gabinetu na pokój odpraw w komisariacie, starał się sprawiać wrażenie skupionego. Brad Stephens, najmłodszy funkcjonariusz policji hrabstwa Grant, uśmiechnął się do niego głupkowato. Jeffrey skinął głową, czując rozdzierający ból w karku. Czuł się tak, jakby spał na betonie, co właściwie było prawdą, bo jedyną rzeczą oddzielającą go ostatniej nocy od podłogi był śpiwór, który był tak stary i cuchnący stęchlizną, że ludzie z Goodwill uprzemie odmówili przyjęcia go. Wzięli jednak jego materac, kanapę, która widziała lepsze dni, i trzy kartony przyborów kuchennych, o które Jeffrey walczył z Sarą podczas rozvodu. Ponieważ nie rozpakował ich w ciągu pięciu lat, które upłynęły od czasu podpisania papierów rozwodowych, doszedł do wniosku, że zabranie ich do niej z powrotem byłoby samobójstwem.

Opróżniając w minionych tygodniach swój mały dom, był zaskoczony tym, jak niewiele zgromadził podczas życia w samotności. Ostatniej nocy, zamiast liczyć barany, sporządził w myślach listę nowych nabytków. Oprócz dziesięciu kartonów książek, paru kompletów pościeli będących podarunkiem od pewnej kobiety – modlił się, by Sara nigdy jej nie spotkała – i kilku garniturów, które musiał sobie kupić do pracy, nie miał do pokazania niczego nowego z okresu, w którym żyli osobno. Rowery, kosiarka do trawy, narzędzia do majsterkowania – z wyjątkiem

wiertarki bezprzewodowej, którą nabył, kiedy przypadkowo upuścił starą do pięciogalonowego kubła farby – były w jego posiadaniu owego dnia, kiedy wyniósł się z domu Sary. A teraz wszystkie wartościowe rzeczy, które kiedykolwiek stanowiły jego własność, zostały tam z powrotem przeniesione.

I spał na podłodze.

Pociągnął łyk letniej kawy, zanim powrócił do zadania, które zajmowało go przez ostatnie trzydzieści minut tego ranka. Nigdy nie był jednym z tych facetów, którzy uważali, że czytanie instrukcji obsługi jakiegoś urządzenia uwłacza ich męskości, ale fakt, że oto po raz czwarty dokładnie robił, krok po kroku, to, co napisano w instrukcji dołączonej do telefonu komórkowego, i nadal nie potrafił przypisać swojego numeru do klawisza funkcji szybkiego wybierania, sprawiał, że czuł się jak idiota. Nie był nawet pewien, czy Sara przyjmie telefon. Znienawidził to cholerstwo, ale nie chciał, by jechała do Macon bez możliwości skontaktowania się z nim, gdyby coś się stało.

Wymamrotał pod nosem „Pierwszy krok”, jakby odczytywanie instrukcji na głos mogło przekonać telefon, by zaczął rozumować logicznie. Po raz piąty przeszedł następnych szesnaście kroków, ale kiedy nacisnął klawisz pamięci, nic się nie stało.

– Cholera – powiedział, waląc pięścią w biurko, a potem: – Kurwa! – bo uderzył zranioną lewą ręką. Obrócił ją i patrzył, jak biały bandaż, który poprzedniego wieczoru założyła mu w kostnicy Sara, nasiąka krwią. Na dokładkę rzucił: – Jezu – myśląc, że ostatnie dziesięć minut zadecydowało ostatecznie o tym, że będzie to wyjątkowo parszywy dzień.

W drzwiach stanął jak na zawołanie Brad Stephens.

– Potrzebuje pan pomocy?

Jeffrey rzucił mu telefon.

– Wprowadź mój numer do szybkiego wybierania.

– Numer pana komórki? – spytał Brad, nacisnąwszy kilka przycisków.

– Tak – odparł Jeffrey i zapisał na żółtej kartce samoprzylepnej nu-

mer domowy Cathy i Eddiego Lintonów. – Ten też.

– Dobra – rzekł Brad. Odczytywał numer z kartki leżącej do góry nogami i wciskał kolejne guziki.

– Potrzebna ci instrukcja?

Nie przerywając programowania telefonu, Brad zerknął na niego z ukosa, jakby Jeffrey go nabierał. Nagle Jeffrey poczuł się, jakby miał sześćset lat.

– W porządku – powiedział Brad. – Proszę. Niech pan wypróbuje.

Jeffrey wcisnął ikonkę książki telefonicznej i pojawiły się numery.

– Dziękuję.

– Jeśli pan jeszcze czegoś potrzebuje...

– Nie, dzięki – odparł Jeffrey, wstając z fotela. Włożył marynarkę i wsunął telefon do kieszeni. – Domyślam się, że nie było żadnych odpowiedzi na tę informację o niezidentyfikowanej osobie, którą opublikowaliśmy?

– Nie, szefie – odparł Brad. – Powiadomię pana, jak tylko się dowiem.

– Będę w klinice, potem tu wrócę. – Jeffrey wyszedł za Bradem z gabinetu. Idąc przez pokój odpraw, poruszał barkiem, starając się rozluźnić mięśnie, które były tak napięte, że ręka była jak zdrętwiała.

Punkt przyjęć interesantów był kiedyś połączony z holem wejściowym, ale teraz odgrodzono go ścianą z małym „kasowym” okienkiem, żeby interesanci mogli się tam zgłaszać. Marla Simms, sekretarka komisariatu od niepamiętnych czasów, sięgnęła pod biurko, by nacisnąć guzik z brzęczykiem i otworzyć mu drzwi.

– Będę w gabinecie Sary, gdybyście mnie potrzebowali – powiedział jej.

Marla wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Tylko bądź grzeczny.

Wychodząc, puścił do niej oko.

Jeffrey był w komisariacie od pół do szóstej; około czwartej nad ranem dał sobie spokój ze spaniem. W dni powszednie zwykle biegał przez trzydzieści minut, ale dzisiaj wmówił sobie, że nie będzie to ozna-

ką lenistwa, jeśli pójdzie prosto do pracy. Miał górę papierkowej roboty, włącznie z ukończeniem projektu budżetu komisariatu, żeby burmistrz mógł zawetować każdą pozycję na liście tuż przed wyjazdem na coroczną dwutygodniową konferencję burmistrzów w Miami. Jeffrey wyobrażał sobie, że za rachunek za korzystanie przez burmistrza z hotelowego barku mógłby kupić co najmniej dwie kamizelki z kevlaru, ale politycy nigdy nie widzieli spraw w ten sposób.

Heartsdale było miastem uniwersyteckim, więc idąc chodnikiem, Jeffrey minął kilkoro studentów zdążających na zajęcia. Studenci pierwszego roku musieli mieszkać w akademikach, więc pierwszą rzeczą, którą robił każdy student drugiego roku, który miał choć trochę pomysłu, było wyprowadzenie się z campusu. Jeffrey wynajmował swój dom dwóm studentkom przedostatniego roku, mając nadzieję, że są tak godne zaufania, jak na to wyglądają. Grant Tech była uczelnią jajogłowych i chociaż nie było tam bractw studenckich ani meczów futbolowych, niektórzy z nich wiedzieli, jak się bawić. Jeffrey starannie przeświecił potencjalnych bohaterów; był gliną wystarczająco długo, by wiedzieć, że na pewno nie dostanie z powrotem domu w jednym kawałku, jeśli wynajmie go paczce młodych mężczyzn. W tym wieku ma się coś nie tak ze zwojami mózgowymi i, bez względu na to, czy w grę wchodzi piwo czy seks, czy jedno i drugie, jeśli masz fart, mózg przestaje oddawać się wszelkim wyższym formom myślenia. Te dwie dziewczyny, które się wprowadzały, wymieniły czytanie jako swoje jedyne hobby. Biorąc pod uwagę to, jak ostatnio dopisywało mu szczęście, prawdopodobnie planowały przekształcić to miejsce w wytwórnię amfetaminy.

Uczelnia znajdowała się u wylotu Main Street, szedł więc ku bramie wejściowej za grupą studentek. Były młode i ładne i nie zwracały na niego uwagi. Był taki czas, że jego ego zaniepokoiłoby się, gdyby grupa młodych kobiet zignorowała go, ale teraz martwił się z innych powodów. Mógłby je śledzić, przysłuchiwać się ich rozmowom, by się dowiedzieć, jakie mają plany. Mógłby być kimkolwiek.

Rozległ się za nim klakson samochodu i Jeffrey zdał sobie sprawę, że zszedł na jezdnię. Kiedy przechodził przez ulicę, pomachał do kie-

rowcy, poznawszy Billa Burgessa z pralni chemicznej. Odmówił modlitwę dziękczynną, że staremu udało się go zobaczyć mimo zaćmy i w porę zatrzymać samochód.

Jeffrey rzadko pamiętał sny, co było darem, zważywszy na to, jak złe niektóre z nich bywają, ale ostatniej nocy śniła mu się ta dziewczyna w skrzyni. Czasami zmieniała się jej twarz i zamiast niej widział tę dziewczynę, którą zastrzelił rok temu. Była jeszcze dzieckiem, miała niewiele ponad trzynaście lat, a w jej świecie było więcej zła, niż większość dorosłych zaznaje w ciągu całego życia. Nastolatka rozpaczliwie potrzebowała czyjejs pomocy, groziła, że zabije inne dziecko, w nadziei, że to położy kres jej cierpieniom. Musiał ją zastrzelić, żeby uratować to drugie dziecko. A może nie. Może mogło być inaczej. Może nie zastrzeliłaby tego drugiego dziecka. Może oboje żyliby teraz i ta dziewczyna w skrzyni byłaby tylko jeszcze jedną sprawą, a nie koszmarem.

Jeffrey westchnął, idąc chodnikiem. W jego życiu było tyle „może”, że nie wiedział, co z tym robić.

Klinika Sary znajdowała się naprzeciwko stacji, tuż przy wejściu na uczelnię. Kiedy otwierał drzwi, zerknął na zegarek, myśląc, że powinna tu być parę minut po siódmej. W poniedziałek przyjmowano pacjentów dopiero od ósmej, ale w poczekalni chodziła już w tę i z powrotem młoda kobieta, potrząsając płaczącym niemowlęciem.

Jeffrey powiedział:

– Hej.

– Hej, szefie – powiedziała młoda matka i wtedy zobaczył ciemne kręgi pod jej oczami. Dziecko, które trzymała na biodrze, miało co najmniej dwa lata i tak silne płuca, że trzęsły się szyby w oknach.

Podniosła dziecko wyżej, podnosząc nogę, żeby je podeprzeć. Ważyła pewnie ze czterdzieści kilogramów w przemoczonym ubraniu i Jeffrey zastanawiał się, jak udaje się jej utrzymać dziecko na rękę.

Zauważyła, że się jej przygląda, i powiedziała:

– Doktor Linton powinna zaraz przyjść.

– Dzięki – odrzekł i zdjął marynarkę. Wschodnia ściana poczekalni zrobiona była z luksferów, więc nawet w najchłodniejsze zimowe ranki

wschodzące słońce sprawiało, że człowiek czuł się jak w saunie.

– Gorąco tutaj – powiedziała kobieta, powracając do chodzenia tam i z powrotem.

– Gorąco.

Jeffrey czekał, aż kobieta powie coś więcej, ale koncentrowała się na dziecku, uciszając je, starając się ukoić jego płacz. Nie mógł zrozumieć, jak matkom małych dzieci udawało się powstrzymać przed zapadnięciem w śpiączkę. W takich chwilach jak ta rozumiał, dlaczego jego matka zawsze trzymała w torebce butelkę.

Oparł się o ścianę i spojrzał na zabawki ułożone porządknie w kącie. Na ścianach wisiały co najmniej trzy plakaty, które ostrzegały: ZAKAZ UŻYWANIA TELEFONÓW KOMÓRKOWYCH. Sara uważała, że jeśli dziecko jest tak chore, że trzeba z nim iść do lekarza, to rodzice powinni poświęcać mu uwagę, a nie paplać przez telefon. Uśmiechnął się, myśląc o pierwszym i jedynym razie, kiedy Sara zabrała ze sobą telefon do samochodu. Stale naciskała przypadkiem guzik prostego wybierania, do którego przypisany był jego numer, więc podnosił swój aparat do ucha i przez parę minut słyszał, jak śpiewa z radiem. Trzeba było trzech telefonów, zanim się zorientował, że słyszy Sarę, która stara się, by jej głos współbrzmiał z głosem Boya George'a, a nie jakiegoś stukniętego dziwaka bijącego kota.

Sara otworzyła drzwi obok swojego gabinetu i podeszła do kobiety. Nie zauważyła Jeffreya, a on stał cicho, obserwując ją. W pracy zwykle związywała swoje kasztanowe włosy w kucyk, ale tego ranka miała je rozpuszczone i opadały jej na ramiona. Była w białej bluzce z wyłogami kołnierzyka zapinanymi na guziki i czarnej rozszerzanej spódnicy sięgającej tuż za kolana. Buty miała na niezbyt wysokim obcasie, ale jej łydki wyglądały w nich tak zgrabnie, że aż się uśmiechnął. W tym stroju każda inna kobieta wyglądałaby jak kelnerka z eleganckiej restauracji, ale wysoka, szczupła sylwetka Sary robiła na nim wrażenie.

Kobieta przeniosła dziecko na drugą rękę:

– Nadal jest marudny – powiedziała.

Sara przyłożyła rękę do policzka chłopca, by go uciszyć. Dziecko

uspokoilo się, jak pod wpływem czarów, i Jeffrey poczuł ucisk w gardle. Sara tak dobrze radziła sobie z dziećmi. Fakt, że sama nie mogła ich mieć, był czymś, o czym rzadko rozmawiali. Pewne sprawy były zbyt bolesne.

Przyglądał się, jak Sara poświęca jeszcze parę sekund dziecku, odgarniając jego cienkie włosy za ucho, a na jej ustach pojawia się uśmiech czystej przyjemności. Chwila ta wydawała się bardzo intymna, chrząknął więc, mając dziwne wrażenie, że jest natrętem.

Sara obróciła się, zaskoczona, niemal spłoszona.

– Chwilę – powiedziała do Jeffreya, a potem odwróciła się z powrotem do matki dziecka, odzyskując fachową rzeczowość, kiedy wręczała białą, papierową torebkę. – Te tabletki powinny wystarczyć na tydzień. Jeśli do czwartku nie będzie wyraźnej poprawy, proszę do mnie zadzwonić.

Kobieta wzięła lekarstwa jedną ręką, drugą przycisnęła dziecko mocno do siebie. Pewnie urodziła je, kiedy była jeszcze nastolatką. Jeffrey dowiedział się niedawno, że przed pójściem do college'u został ojcem. Miał dziecko, no, już nie dziecko – Jared był prawie dorosłym mężczyzną.

– Dziękuję, doktor Linton – powiedziała młoda matka. – Nie wiem, jak pani zapłacę za...

– Oby mu się tylko polepszyło – przerwała jej Sara. – A pani sama niech się trochę prześpi. Na nic mu się pani nie przyda, jeśli będzie pani cały czas wyczerpana.

Kobieta przyjęła upomnienie z lekkim skinieniem głowy i nawet nie znając jej, Jeffrey zrozumiał, że puściła tę radę mimo uszu.

Najwyraźniej Sara również o tym wiedziała.

– Niech pani przynajmniej spróbuje, dobrze? Sama się pani rozchoruje – poprosiła.

– Spróbuję – zgodziła się kobieta po krótkim wahaniu.

Sara spojrzała na swoją rękę i Jeffreyowi wydało się, że nie zdaje sobie sprawy z tego, że trzyma w dłoni nóżkę dziecka. Kciukiem pocierała jego kostkę, a na ustach znowu pojawił się ten uśmiech.

– Dziękuję pani – powiedziała matka dziecka. – Dziękuję, że przyszła pani tak wcześnie.

– W porządku. – Sara nigdy nie była dobra w przyjmowaniu pochwał czy wyrazów uznania. Odprowadziła kobietę do drzwi, a otwierając je, przypomniała: – Niech pani zadzwoni, jeśli mu się nie poprawi.

– Tak, psze pani.

Sara zamknęła za nimi drzwi i szła przez poczekalnię, nie spiesząc się i nie patrząc na Jeffreya. Otworzył usta, żeby się odezwać, ale ubiegła go.

– Jakież informacje o naszej N.N.?

– Nie – odparł. – Może dostaniemy coś później, kiedy zacznie się dzień pracy na Zachodnim Wybrzeżu.

– Ona mi nie wygląda na uciekinierkę z domu.

– Mnie też nie.

Przez chwilę oboje milczeli i Jeffrey nie wiedział, co powiedzieć.

Jak zwykle, milczenie przerwała Sara.

– Cieszę się, że tu jesteś – powiedziała, wracając do gabinetu. Poszedł za nią, myśląc, że słyszy dobrą nowinę, dopóki nie dodała: – Chcę ci pobrać krew do prób wątrobowych i analizy pod kątem wirusowego zapalenia wątroby.

– Już to wszystko zrobiłem.

– Tak, to dobrze – powiedziała, poprzestając na tym. Nie przytrzymała mu drzwi, i musiał je złapać, żeby nie walnęły go w twarz. Niestety, zrobił to lewą ręką i twarda płaszczyna uderzyła go w otwartą ranę. Poczł się, jakby ktoś dźgnął go nożem.

– Jezu, Sara – syknął.

– Przepraszam. – Przeprosiny wydawały się szczere, ale w jej oczach błysnęło coś podobnego do żądzy zemsty.

Sięgnęła po jego rękę, a on odruchowo ją cofnął. Wyraz irytacji, który pojawił się na jej twarzy, przekonał go, by pozwolił jej obejrzeć bandaż.

– Od jak dawna krwawi?

– Nie krwawi – upierał się, wiedząc, że jeśli powie jej prawdę, praw-

dopodobnie czeka go jakiś bolesny zabieg. Mimo to poszedł za nią korytarzem do pokoju pielęgniarek jak cielę na rzeź.

– Nie wykupiłeś tej recepty, prawda? – Pochyliła się nad blatem, pogrzebała w szufladzie i wyjęła garść jaskrawokolorowych opakowań. – Weź to.

Spojrzał na różowe i zielone opakowania. Na folii wydrukowane były zwierzęta gospodarskie.

– Co to jest?

– Antybiotyki.

– Nie są dla dzieci?

Jej spojrzenie mówiło, że ten żart nie przypadł jej do gustu.

– To połowa dawki dla osoby dorosłej z obrazkiem nawiązującym do filmu i po wyższej cenie – powiedziała. – Bierz dwie tabletki rano i dwie wieczorem.

– Jak długo?

– Dopóki ci nie powiem, żebyś przestał – rozkazała. – Chodź tutaj.

Wszedł za nią do gabinetu, czując się jak dziecko. Kiedy był mały, jego matka pracowała w szpitalnym bufecie, nie musiał więc chodzić do pediatry z różnymi guzami i zadrapaniami. Zajmował się nim Cal Rodgers, lekarz z izby przyjęć. Jeffrey podejrzewał, że zajmował się też jego matką, bo po raz pierwszy usłyszał, jak matka chichocze, kiedy Rodgers opowiedział głupi dowcip o paralytyku i zakonnicy.

– Usiądź – poleciła Sara, biorąc go pod łokieć, jakby potrzebował pomocy, by wdrapać się na stół do badań.

– Rozumiem – powiedział, ale już odwijając bandaż. Brzegi rany były rozchylone jak mokre usta, a w ramieniu czuł pulsujące rwanie.

– Otworzyłeś ją – skarciła go. Podsunęła srebrną miskę pod jego rękę i przemyła ranę.

Jeffrey starał się nie reagować na ból, ale prawda była taka, że bolało jak diabli. Nigdy nie rozumiał, dlaczego rana boli bardziej podczas opatrywania niż wtedy, kiedy się ją otrzymało. Prawie nie pamiętał, jak rozciął sobie tę rękę w lesie, ale teraz, za każdym razem gdy poruszył palcami, czuł się, jakby wbijano mu w skórę dziesiątki igieł.

– Co zrobiłeś? – zapytała z dezaprobatą.

Nie odpowiedział. Myślał o tym, jak Sara uśmiechała się do dziecka. Widział ją w przeróżnych sytuacjach, ale nigdy nie widział tego szczególnego uśmiechu.

– Jeff? – ponagliła go.

Potrząsnął głową. Miał ochotę dotknąć jej twarzy, ale bał się, że zamiast ręki zostanie mu tylko krwawiący kikut.

– Jeszcze raz założę opatrunek – powiedziała – ale musisz na to uważać. Chyba nie chcesz dostać zakażenia.

– Tak jest – odparł, czekając, aż spojrzy na niego i się uśmiechnie.

Zamiast to zrobić, zapytała:

– Gdzie spałeś tej nocy?

– Nie tam, gdzie chciałem.

Nie połknęła przynęty, lecz zaczęła ponownie owijać jego rękę, z ustami zaciśniętymi w cienką linię. Oderwała zębami kawałek przylepca.

– Musisz bardzo uważać i utrzymywać to w czystości.

– Może wpadnę później i ty to zrobisz?

– Dobrze... – powiedziała z roztargnieniem, otwierając i zamykając szuflady. Wyjęła probówkę i strzykawkę.

Jeffrey poczuł przypływ paniki, że zamierza wbić mu igłę w rękę, ale potem przypomniał sobie, że chciała pobrać krew.

Rozpięła mankiet jego koszuli i podwinęła rękaw. Wbił wzrok w sufit, nie chcąc patrzeć, czekając na ostre ukłucie igły. Nie nadeszło – zamiast tego usłyszał jej ciężkie westchnienie.

– Co? – zapytał.

Popukała palcami w jego przedramię, by znaleźć żyłę.

– To moja wina.

– Co jest twoją winą?

Nie odpowiedziała od razu, jakby musiała się zastanowić, jak ma to powiedzieć.

– Kiedy wyjechałam z Atlanty, byłam w trakcie szczepień przeciwko wirusowemu zapaleniu wątroby typu A i B. – Obwinęła ciasno gumką

jego biceps. – Dostaje się dwa zastrzyki w odstępie kilku tygodni, a po pięciu miesiącach dawkę przypominającą. – Znowu przerwała, przecierając jego skórę alkoholem. – Dostałam pierwszy i drugi, ale kiedy tutaj wróciłam, nie wzięłam trzeciego. Nie wiedziałam, co zrobię ze swoim życiem, nie mówiąc już o tym, czy będę nadal prowadziła praktykę lekarską. – Przerwała. – Nie pomyślałam, żeby dokończyć szczepienia, aż do czasu...

– Do czasu czego?

Zdjęła zębami kapturek z igły strzykawki.

– Rozvodu.

– No to dobrze – rzekł Jeffrey, starając się nie odskoczyć, kiedy wbiła mu igłę w żyłę. Robiła to delikatnie, ale nie cierpiał zastrzyków. Czasami na samą myśl o nich kręciło mu się w głowie.

– To igły dla dzieci – powiedziała, bardziej sarkastycznie niż z troski. – Dlaczego dobrze?

– Bo spałem z nią tylko raz – odparł. – Następnego dnia mnie wyko-pałaś.

– Racja. – Sara otworzyła probówkę i zwolniła opaskę.

– A więc zanim zaczęliśmy się znowu spotykać, dokończyłaś szczepienia. Powinnaś być uodporniona.

– Zapomniałaś o tym jednym razie.

– Jakim jednym... – Przerwał, przypomniawszy sobie. W wieczór przed zakończeniem sprawy rozwodowej pojawiła się na progu jego domu Sara, urznięta w trupa i skłonna do zbliżenia. Chcąc za wszelką cenę ją odzyskać, wykorzystał tę sytuację, po to tylko, by następnego ranka, tuż przed wschodem słońca, wymknęła się od niego chyłkiem. Następnego dnia nie odpowiadała na jego telefony, a kiedy wieczorem pojawił się u niej, zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

– Byłam w trakcie szczepienia – powiedziała. – Nie wzięłam trzeciej dawki.

– Ale wzięłaś dwie pierwsze?

– Mimo to istnieje ryzyko zakażenia. – Wyciągnęła igłę i nałożyła na nią kapturek. – I nie ma szczepionki przeciwko zapaleniu typu C. –

Przyłożyła mu wacik w miejscu ukłucia i zgięła rękę w łokciu. Kiedy spojrzała na niego, wiedział, że zaraz usłyszysz wykład.

– Jest pięć głównych typów wirusowego zapalenia wątroby, przy czym niektóre wywołują różne szczepy wirusów – zaczęła, wrzucając strzykawkę do czerwonego pudła na odpadki stwarzające zagrożenie biologiczne. – Typ A to coś w rodzaju ciężkiej grypy. Trwa przez parę tygodni, a potem masz przeciwciała. Nie możesz się ponownie zarazić.

– Zgadza się. – Był to jedyny szczegół, który zapamiętał z wizyty w gabinecie Hare’a. Reszta była zamazana, lekarz mówił o czynnikach ryzyka, ale on potrafił się skupić tylko na jednym, na tym, by jak najszybciej wyjść z jego gabinetu. Po bezsennej nocy ułożył sobie parę pytań, ale nie mógł się zmusić do tego, by zadzwonić do Hare’a i je zadać. W następnych dniach miotał się między wyparciem i paniką. Potrafił sobie przypomnieć każdy szczegół sprawy sprzed piętnastu lat, ale ani w ząb nie pamiętał, co powiedział Hare.

Sara ciągnęła:

– Typ B jest inny. Może minąć, ale może przejść w stan przewlekły. Około dziesięciu procent osób, które się nim zaraziły, staje się nosicielami. Ryzyko zakażenia przez nich innej osoby wynosi jeden do trzech. W przypadku AIDS to ryzyko wynosi jeden do trzystu.

Jeffrey z pewnością nie miał matematycznych zdolności Sary, ale potrafił obliczyć szanse.

– Od czasu Jo kochałem się z tobą więcej niż trzy razy.

Starła się to ukryć, ale widział, że wzdrygnęła się na dźwięk tego imienia.

– To rosyjska ruletka, Jeffrey.

– Nie mówiłem...

– Typ C przenosi się na ogół przez kontakt z krwią. Możesz to mieć i nawet o tym nie wiedzieć. Zwykle dowiadujesz się dopiero wtedy, kiedy zaczynają się pojawiać objawy, a potem to już może pójść z górki. Zwłóknienie wątroby. Marskość. Rak.

Mógł się tylko na nią gapić. Wiedział, do czego zmierza. To było jak wykolejenie się pociągu – nie mogłeś nic zrobić, tylko czekać i czekać, aż

koła wypadną z szyn.

– Jestem na ciebie taka zła – powiedziała, co było najbardziej oczywistym stwierdzeniem, jakie kiedykolwiek wyszło z jej ust. – Jestem zła, bo znowu przypomina mi to o tym wszystkim. – Przerwała, jakby chciała się uspokoić. – Chciałam zapomnieć, że to się zdarzyło, zacząć od nowa, a ta sprawa rozdrapuje stare rany. – Zamrugła, w oczach miała łzy. – A jeśli jesteś chory...

Jeffrey skupił się na tym, nad czym, jak mu się wydawało, mógł zapanować.

– To moja wina, Saro. Spieprzyłem wszystko. Ja to rozwalilem. Wiem o tym. – Już dawno temu nauczył się nie dodawać „ale”, chociaż w myślach to robił. Sara była stale nieobecna, spędzała więcej czasu w pracy i ze swoją rodziną niż z nim. Nie należał do mężów, którzy oczekują, że codziennie będą mieli podany obiad, ale uważał, że mogłaby wykroić ze swojego napiętego harmonogramu przynajmniej trochę czasu dla niego.

Jej głos był niewiele silniejszy od szeptu.

– Robiłeś z nią te rzeczy co ze mną?

– Saro...

– Nie dbałeś o bezpieczeństwo?

– Nawet nie wiem, co to znaczy.

– Wiesz – powiedziała. Teraz to ona gapiała się na niego i był to jeden z tych rzadkich momentów, gdy czytał w jej myślach.

– Jezu – mruknął, żałując jak cholera, że nie jest gdzie indziej. Nie chodziło o to, że byli parą zбочeńców, ale co innego robić pewne eksperymenty w łóżku, a co innego analizować je w środku dnia.

– Jeśli miałaś jakąś ranę w ustach, a ona... – Sara wyraźnie nie mogła dokończyć. – Nawet podczas normalnego stosunku ludzie mogą się podrapać, doznają mikroskopijnych uszkodzeń.

– Chwytam, co mówisz – powiedział tonem wystarczająco ostrym, by ją powstrzymał.

Sara podniosła probówkę z jego krwią i oznaczyła długopisem.

– Nie pytam dlatego, że chcę znać drastyczne szczegóły.

Nie powiedział jej, że kłamie. Wierciła mu dziurę w brzuchu po tym wydarzeniu, zadając podchwytliwe pytania o każdy ruch, który wykonał, o każdy pocałunek, każdy akt, jakby miała jakąś podglądacką obsesję.

Wstała, otworzyła szufladę i wyjęła jasnorożowy plaster. Przez cały czas trzymał rękę zgiętą w łokciu i kiedy ją wyprostował, miał zdrętwiałe ramię. Odsunawszy brzegi zabezpieczającej plaster folii, przykleiła go na wacik. Odezwała się ponownie dopiero wtedy, kiedy wrzuciła skrawki folii do kosza na śmieci.

– Nie powiesz mi, że muszę to w końcu przeboleć? – Udała, że lekceważąco wzrusza ramionami. – To było tylko raz, prawda? I nie miało żadnego znaczenia.

Jeffrey ugryzł się w język, rozpoznając pułapkę. Dobrą stroną tego, że przez ostatnich pięć lat międlili wszystko na okrągło, niepotrzebnie tracąc czas i energię, było to, że nauczył się, kiedy lepiej się nie odzywać. Mimo to powstrzymywał się z trudem, żeby nie zacząć sprzeczki. Ona nie chciała spojrzeć na sprawę z jego punktu widzenia, i może miała trochę racji, ale nie zmieniało to faktu, że miał powody, by zrobić to, co zrobił, i nie wszystkie z nich brały się stąd, że był skończonym sukinsynem. Wiedział, że jego rola polega na odgrywaniu skruszonego grzesznika. Chłosta była niską ceną za pokój.

– Zwykle mówisz, że powinnam dać już sobie z tym spokój – prowokowała go Sara. – Że to było dawno temu, że jesteś już inny, że się zmieniłeś. Że to nic dla ciebie nie znaczyło.

– Jeśli powiem to teraz, czy to coś zmieni?

– Nie – odparła Sara. – Nie sądzę, że to może cokolwiek zmienić.

Jeffrey oparł się o ścianę. Bardzo chciał móc teraz czytać w jej myślach.

– I co teraz?

– Chciałabym cię nienawidzić.

– To nic nowego – powiedział, ale chyba nie zauważyła braku powagi w jego głosie, bo skinęła głową na znak zgody.

Jeffrey przesunął się na stole, czując się jak idiota z nogami dyndają-

cymi pół metra nad ziemią. Słyszał, jak Sara mruknęła: „Kurwa”, i ze zdumienia aż poderwał głowę. Rzadko przeklinała, nie wiedział więc, czy ma wziąć to przekleństwo za dobry czy za zły znak.

– Irytujesz mnie jak diabli, Jeffrey.

– Myślałem, że uznasz to za urocze.

Obrzuciła go przesywającym spojrzeniem.

– Jeśli kiedykolwiek... – Zawiesiła głos. – Co to da? – zapytała, ale widział, że nie jest to pytanie retoryczne.

– Przepraszam – powiedział, i tym razem mówił szczerze. – Przepraszam, że nas w to wpakowałem. Przepraszam, że wszystko spieprzyłem. Przepraszam, że musieliśmy przechodzić przez to piekło, że ty musiałaś przechodzić przez to piekło, byśmy do tego doszli.

– Do czego?

– Myślę, że to zależy od ciebie.

Pociągnęła nosem, ukryła twarz w dłoniach i przeciągle wypuściła powietrze. Kiedy z powrotem na niego spojrzała, widział, że chce jej się płakać, ale się powstrzymuje.

Jeffrey spojrzał na swoją rękę, skubiąc przylepiec na bandażu.

– Nie skub tego – powiedziała, kładąc swoją dłoń na jego ręce. Zatrzymała ją tam i czuł ciepło przenikające przez opatrunek. Popatrzył na jej długie, zgrabne palce, niebieskie żyłki na grzbiecie dłoni, tworzące zawiłą mapę pod bladą skórą. Przeciągnął palcami wzdłuż jej palców, zastanawiając się, jak, u licha, mógł być kiedykolwiek tak głupi, by uważać, że zawsze będzie jego.

– Cały czas myślę o tej dziewczynie – powiedział. – Jest bardzo podobna do...

– Wendy – dokończyła Sara. Tak miała na imię dziewczynka, którą zastrzelił.

Położył drugą dłoń na jej dłoni. Mógł z nią rozmawiać o czymkolwiek, tylko nie o tamtym strzale.

– O której jedziesz do Macon?

Spojrzała na zegarek.

– Carlos ma się spotkać ze mną w kostnicy za pół godziny.

– To niesamowite, że oboje wyczuli cyjanek – powiedział Jeffrey. – Babka Leny pochodziła z Meksyku. Carlos jest Meksykaninem. Czy to ma z tym jakiś związek?

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Przyglądała mu się uważnie, czytając w jego twarzy jak w otwartej księdze.

– Nic mi nie jest – powiedział, zsuwając się ze stołu.

– Wiem. A co z tym dzieckiem?

– Gdzieś musi być jego ojciec. – Jeffrey wiedział, że jeśli znajdą tego mężczyznę, będą musieli dokładnie sprawdzić, czy to nie on jest mordercą.

– Kobieta w ciąży jest bardziej narażona na śmierć z powodu zabójstwa niż z powodu jakiegokolwiek innego czynnika – zwróciła mu uwagę. Z zatroskaną miną podeszła do umywalki, żeby umyć ręce.

– Cyjanek nie leży na półce w sklepie spożywczym – powiedział. – Gdzie mógłbym go kupić, gdybym chciał kogoś zabić?

– Zawierają go niektóre produkty sprzedawane na wolnym rynku. – Zakreśliła kurek i wytarła ręce papierowym ręcznikiem. – Było parę przypadków zgonów dzieci wskutek zatrucia zmywaczami do paznokci.

– Jest w nich cyjanek?

– Tak – odparła Sara i wrzuciła ręcznik do kosza. – Nie mogłam w nocy zasnąć, więc sprawdziłam w kilku książkach.

– I?

Położyła dłoń na stole.

– Naturalnym źródłem jest większość owoców pestkowych: brzoskwinie, morele, wiśnie. Potrzebowałbyś ich mnóstwo, nie jest to więc praktyczne. Cyjanek wykorzystuje się w różnych gałęziach przemysłu, w niektórych laboratoriach medycznych.

– W jakich gałęziach przemysłu? – zapytał. – Myślisz, że mogą go mieć na uczelni?

– To możliwe – powiedziała, zapisał więc sobie, żeby to sprawdzić. Grant Tech była przede wszystkim szkołą rolniczą i przeprowadzano tu rozmaite eksperymenty na zlecenie dużych firm chemicznych, które

szukały kolejnego środka, dzięki któremu pomidory rosłyby szybciej albo groszek był bardziej zielony.

– Służy też jako utwardzacz w galwanotechnice – podpowiedziała Sara. – W niektórych laboratoriach używa się go do aparatury pomiarowej. Czasami jest używany do odkazania. Zawiera go dym papierosowy. Cyjanowódór powstaje podczas spalania wełny i różnych tworzyw sztucznych.

– Byłoby bardzo trudno skierować dym w dół rury.

– Ten ktoś musiałby też mieć maskę, ale masz rację. Są lepsze sposoby.

– Na przykład?

– Do jego aktywowania potrzebny jest kwas. Zmieszaj sole cyjanku z octem domowym, a możesz zabić słonia.

– Czy to nie tego używał Hitler w obozach? Soli?

– Tak sędzę – powiedziała, trąc ramiona dłońmi.

– Gdyby użyto gazu – myślał głośno Jeffrey – to bylibyśmy w niebezpieczeństwie, kiedy otworzyliśmy tę skrzynię.

– Mógł się rozwiać. Albo zostać wchłonięty przez drewno i ziemię.

– Czy cyjanek mógł się znaleźć w jej organizmie wskutek skażenia gleby?

– To jest dosyć uczęszczany park stanowy. Stale można się tam natknąć na kogoś, kto uprawia jogging. Wątpię, by komukolwiek udało się tam przemycić niepostrzeżenie kupę toksycznych odpadów. Ktoś by to zauważył i narobił hałasu.

– A mimo to...

– A mimo to – zgodziła się – ktoś miał dosyć czasu, żeby ją tam zakopać. Wszystko jest możliwe.

– Jak ty byś to zrobiła?

Sara myślała przez chwilę.

– Rozpuściłabym sole cyjanku w wodzie – powiedziała. – Wlałabym do rury. Dziewczyna miałaby oczywiście usta koło jej wylotu, żeby dochodziło do niej powietrze. Jak tylko te sole dostałyby się do jej żołądka, kwas uaktywniłby truciznę. Po paru minutach byłaby martwa.

– Na skraju miasta jest zakład galwanizacyjny – powiedział Jeffrey. – Facet zajmuje się pozłacaniem czy czymś w tym rodzaju.

– Dale Stanley – podpowiedziała Sara.

– Brat Pata Stanleya? – zapytał Jeffrey. Pat był jednym z jego najlepszych podkomendnych.

– To jego żonę tutaj widziałeś.

– Co jest jej dziecku?

– Infekcja bakteryjna. Ich najstarsze dziecko było u mnie jakieś trzy miesiące temu, z taką astmą, jakiej dawno nie widziałam. Wychodzi ze szpitala i zaraz tam wraca.

– Wyglądała, jakby sama była chora.

– Nie wiem, jak ona się trzyma – przyznała Sara. – Nie chce się leczyć.

– Myślisz, że coś jej dolega?

– Myślę, że czeka ją załamanie nerwowe.

Jeffrey powoli to przetrawił.

– Chyba powinienem złożyć im wizytę.

– To straszna śmierć, Jeffrey. Cyjanek pochłania cały tlen z krwi. Ona wiedziała, co się dzieje. Jej serce musiało walić jak szalone. – Sara potrząsnęła głową, jakby chciała wyrzucić z niej ten obraz.

– Jak długo twoim zdaniem umierała?

– To zależy od tego, w jakiej postaci podano truciznę. Od dwóch do pięciu minut. Muszę myśleć, że śmierć nastąpiła szybko. Nie wykazywała żadnego z klasycznych objawów powolnego zatrucia cyjankiem.

– To znaczy?

– Ostrej biegunki, wymiotów, drgawek, omdlenia. Organizm robi wszystko, co może, żeby jak najszybciej pozbyć się trucizny.

– A może? To znaczy sam z siebie?

– Zazwyczaj nie. Cyjanek jest niezwykle toksyczny. Lekarze mogą próbować dziesięciu różnych rzeczy, od węgla drzewnego po azotan amylu – inhalatory – ale tak naprawdę można tylko leczyć objawy, jeśli występują, i mieć nadzieję, że wszystko się dobrze skończy. Cyjanek działa niewiarygodnie szybko i prawie zawsze prowadzi do zejścia

śmiertelnego.

Musiał zapytać:

– Ale myślisz, że to się stało szybko?

– Taką mam nadzieję.

– Chcę, żebyś to wzięła – powiedział, sięgając do kieszeni i wyjmując telefon komórkowy.

Zmarszczyła nos.

– Nie chcę tego.

– Lubię wiedzieć, gdzie jesteś.

– Wiesz, gdzie mam być – powiedziała. – Z Carlosem, w Macon, a potem znowu tutaj.

– A jeśli coś znajdą podczas sekcji?

– To zadzwonię z jednego z dziesięciu telefonów w laboratorium.

– A jeśli zapomnę słów Karma Chameleon?

Rzuciła mu spojrzenie, które mogło zabić.

Roześmiał się.

– Uwielbiam, kiedy mi śpiewasz.

– Nie dlatego tego nie chcę.

– Przypuszczam, że nie zmienisz zdania, jeśli poproszę cię, żebyś wzięła go ze względu na mnie? – spytał, kładąc telefon na stole.

Patrzyła na niego przez chwilę, po czym wyszła z pokoju. Zastanawiał się, czy powinien pójść za nią, kiedy wróciła z książką w rękę.

– Nie wiem, czy mam nią w ciebie rzucić, czy ci ją dać.

– Co to jest?

– Zamówiłam ją parę miesięcy temu – powiedziała. – Przyszła w ubiegłym tygodniu. Miałam zamiar dać ci ją, kiedy się w końcu wprowadzisz. – Podniosła książkę do góry, żeby mógł przeczytać tytuł na rdzawoczerwonej opasce. – Andersonville Kantora – powiedziała i dodała. – Pierwsze wydanie.

Gapił się na książkę, otwierając i zamykając usta, zanim wybąkał:

– Musiała kosztować majątek.

– Wtedy myślałam, że jesteś tego wart. – Podała mu powieść, patrząc na niego cierpko.

Wyjął książkę z papierowej obwoluty. Czuł się tak, jakby trzymał Świętego Graala. Płócienna oprawa była niebiesko-biała, kartki lekko spłowiały na brzegach. Ostrożnie otworzył książkę na stronie tytułowej.

– Jest podpisana. Podpisał ją MacKinlay Kantor.

Wzruszyła lekko ramionami, jakby była to błahostka.

– Wiem, że lubisz tę książkę, więc...

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś – zdołał wykrztusić Jeffrey. – Nie mogę w to uwierzyć.

Kiedy był chłopcem, panna Fleming, nauczycielka angielskiego, pożyczyła mu ją na wakacje. Aż do tamtej pory Jeffrey był kiepskim uczniem i pogodził się z myślą, że w przyszłości może zostać co najwyżej mechanikiem, robotnikiem w fabryce albo, co gorsza, drobnym złodziejaszkiem jak jego stary, ale ta książka coś w nim otworzyła, coś, co sprawiło, że chciał się uczyć. Zmieniła jego życie.

Psychiatra powiedziałaby prawdopodobnie, że między jego fascynacją jednym z cieszących się najbardziej ponurą sławą więzień konfederatów i tym, że jest gliniarzem, istnieje związek, ale on sam lubił myśleć, że Andersonville dało mu poczucie empatii, którego aż do tamtej pory mu brakowało. Zanim się przeprowadził do Grant i został komendantem komisariatu, pojechał do Sumter w Georgii, żeby obejrzeć to miejsce na własne oczy. Nadal pamiętał dreszczyk emocji, który czuł, stojąc w otoczonym palisadą Forcie Sumter. Podczas czterech latach funkcjonowania więzienia zmarło ponad trzysta tysięcy jeńców. Stał tam, dopóki nie zaszło słońce i nie było już nic widać.

– Podoba ci się? – zapytała Sara.

Zdołał powiedzieć tylko:

– Jest śliczna. – Przeciągnął kciukiem po złożonym grzbiecie. Kantor dostał za tę książkę Pulitzera. Jeffreyowi dała życie.

– W każdym razie myślałam, że ci się spodoba.

– Podoba mi się. – Starał się wymyślić coś głębokiego, co powiedziałoby jej, jaki jest wdzięczny, ale zamiast tego usłyszał, jak mówi: – Dlaczego dajesz mi ją teraz?

– Bo powinieneś ją mieć.

– Jako prezent pożegnalny? – To pytanie tylko częściowo było żartem.

– Po prostu dlatego, że powinieneś ją mieć.

Od strony wejścia do budynku dobiegł głos mężczyzny.

– Szeffie?

– Brad – stwierdziła Sara. Wyszła na korytarz i zanim Jeffrey zdążył cokolwiek rzec, powiedziała: – Tutaj.

Brad otworzył drzwi. W jednej ręce miał kapelusz, w drugiej telefon komórkowy.

– Zostawił pan telefon w komisariacie – powiedział do Jeffreya.

– Przyjechałeś aż tutaj, żeby mi o tym powiedzieć? – Jeffrey dał upust swojej irytacji.

– N-nie – wyjąkał Brad. – To znaczy tak, ale dostaliśmy też telefon. – Przerwał dla zaczerpnięcia tchu. – Zaginiona osoba. Dwadzieścia jeden lat, brązowe włosy, brązowe oczy. Po raz ostatni widziana dziesięć dni temu.

– No proszę – wyszeptała Sara.

Jeffrey chwycił marynarkę i książkę. Podał Sarze nowy telefon komórkowy.

– Zadzwoń, jak tylko będziesz coś wiedziała o sekcji – rzucił, zanim zdążyła zaproponować, zapytał Brada: – Gdzie jest Lena?

Lena chciała pobiegać, ale w Atlancie powiedziano jej, że przez kilka tygodni nie może się forsować. Została więc w łóżku tak długo, jak mogła, udając, że śpi, dopóki Nan nie wyszła do pracy, a potem wymknęła się na kilkuminutowy spacer. Chciała mieć czas, by pomyśleć o tym, co widziała na zdjęciu rentgenowskim tej zmarłej dziewczyny. Dziecko było wielkości dwóch złożonych pięści, takie samo jak to, które wyjęto z jej łona.

Idąc ulicą, Lena przyłapała się na tym, że myśli o tej drugiej kobiecie w klinice, o ukradkowych spojrzeniach, jakimi się nawzajem obrzucały, o widocznym poczuciu winy, z jakim tamta zapadła się w swój fotel, jakby chciała zniknąć. Lena zastanawiała się, w którym tamta była miesiącu i co przywiodło ją do kliniki. Słyszała opowieści o kobietach, które zamiast używać środków antykoncepcyjnych, dokonują aborcji, ale nie mogła uwierzyć, by ktoś dobrowolnie zdecydował się przechodzić takie męki więcej niż raz. Mimo iż minął już tydzień, nie mogła zmrużyć powiek, by nie pojawił się wypaczony obraz płodu. To, co sobie wyobrażała, było z pewnością gorsze od tego, co faktycznie zrobiła.

Wdzięczna była tylko za jedno – za to, że nie musi uczestniczyć w sekcji zwłok, którą miano dzisiaj przeprowadzić. Nie chciała zobaczyć, jak rzeczywiście wyglądało jej dziecko. Chciała tylko dalej żyć swoim życiem, a to oznaczało życie z Ethanem.

Ubiegłego wieczoru wytropił ją w domu, wyciągnąwszy od Hanka

informacje o tym, gdzie się podziewa. Powiedziała mu prawdę o swoim powrocie, o tym, że Jeffrey wezwał ją z powrotem do miasta i kazał jej całą uwagę poświęcić sprawie tego morderstwa. A to oznaczało, że w czasie najbliższych tygodni nie będzie mogła często się z nim spotykać. Ethan był sprytny, pod wieloma względami chyba dużo sprytniejszy niż ona, i kiedy tylko wyczuł, że się od niego odsuwa, zawsze robił coś, co sprawiało, że czuła się tak, jakby nie miała wyboru. Kiedy mówił jej przez telefon, że ma robić to, co do niej należy, i zadzwonić do niego, gdy tylko będzie miała okazję, głos miał miękki jak jedwab. Zastanawiała się, jak daleko może się posunąć, ile luzu jest w pętli, którą ma na szyi. Dlaczego była wobec niego tak słaba? Kiedy zdobył nad nią tę władzę? Musiała coś zrobić, żeby pozbyć się go ze swojego życia. Musiał być jakiś lepszy sposób na życie.

Skreśliła w Sanders Street i wsunęła ręce do kieszeni kurtki, kiedy zimny powiew poruszył liśćmi. Piętnaście lat temu zaczęła pracować w policji w Grant, żeby być blisko siostry. Sybil pracowała na uczelni, na wydziale nauk ścisłych, i miała przed sobą dobrze zapowiadającą się karierę, kiedy jej życie zostało gwałtownie przerwane. Lena nie mogła powiedzieć tego samego o swoich perspektywach zawodowych. Parę miesięcy temu zrezygnowała z pracy w policji, robiąc sobie, jak to teraz uprzejmie nazywano, przerwę i podejmując na pewien czas pracę w kampusie, zanim postanowiła znowu wrócić w utarte koleiny. Jeffrey zachował się bardzo szlachetnie, pozwalając jej wrócić na stare stanowisko, ale wiedziała, że paru innych gliniarzy żywi do niej urazę.

Nie mogła ich za to winić. Na zewnątrz musiało to sprawiać wrażenie, jakby przyszło jej to bardzo łatwo. Ale ona wiedziała lepiej, przez co musiała przejść. Od czasu, kiedy została zgwałcona, minęły prawie trzy lata. Na dłoniach i stopach nadal miała głębokie blizny w miejscach, gdzie napastnik przybił ją do podłogi. Prawdziwy ból zaczął się dopiero wtedy, gdy została uwolniona.

Jednak w jakimś sensie było jej już łatwiej. Mogła wejść do pustego pomieszczenia, nie czując, że jeżą jej się włosy na karku. Myśl o tym, że zostanie sama w domu, nie wywoływała już u niej paniki. Czasami bu-

działa się i mogła robić różne rzeczy przez pół ranka, nie pamiętając o tym, co się jej przydarzyło.

Musiała przyznać, że jednym z powodów tego, że żyło się łatwiej, była Nan Thomas. Kiedy Sybil ją przedstawiła, Lena znienawidziła ją od pierwszego wejrzenia. Nie chodziło o to, że Sybil nie miała przedtem innych kochanek, ale w Nan było coś stałego. Lena przestała nawet przez pewien czas odzywać się do siostry, kiedy ta zamieszkała z Nan. Jak w odniesieniu do wielu innych rzeczy, teraz tego żałowała, a Sybil już nie było; nie mogła jej przeprosić. Lena przypuszczała, że mogłaby przeprosić Nan, ale ilekroć o tym pomyślała, nie potrafiła znaleźć właściwych słów.

Mieszkanie z Nan było podobne do próby nauczenia się słów znanej piosenki. Zaczynasz sobie mówić, że tym razem będziesz naprawdę uważała, będziesz słuchała słów, ale po trzech liniijkach zapominasz o tym postanowieniu i po prostu poddajesz się znanemu rytmowi muzyki. Po pół roku życia we wspólnym domu Lena nadal niewiele wiedziała o tej bibliotekarce. Mimo ostrej alergii Nan kochała zwierzęta, lubiła szydełkować i każdy piątkowy i sobotni wieczór spędzała na czytaniu. Śpiewała pod prysznicem, a rano, przed wyjściem do pracy, piła zieloną herbatę w niebieskim kubku, który wcześniej należał do Sybil. Grube szkła jej okularów zawsze były wysmarowane, ale bardzo pedantycznie dbała o swoje ubrania, chociaż sukienki miała w kolorach bardziej odpowiednich dla wielkanocnych pisanek niż dla dojrzałej, trzydziestoseksioletniej kobiety. Jej ojciec, podobnie jak ojciec Leny i Sybil, był gliniarzem. Jeszcze żył, ale Lena nigdy go nie spotkała ani nie słyszała, żeby rozmawiał z Nan przez telefon. Prawdę mówiąc, kiedy w ich domu dzwonił telefon, był to zwykle Ethan.

Kiedy Lena weszła na podjazd przed domem, brązowa corolla Nan była zaparkowana za jej celicą. Lena zerknęła na zegarek, by sprawdzić, jak długo spacerowała. Jeffrey dał jej wolny ranek za wczorajszy dzień, cieszyła się więc, że będzie mogła spędzić trochę czasu sama. Nan zwykle przyjeżdżała do domu na obiad, ale było dopiero po dziewiątej.

Idąc do drzwi frontowych, Lena podniosła z trawnika „Grant Obse-

river” i przejrzała tytuły artykułów. W sobotni wieczór zapalił się czyjś toster i wezwano straż pożarną. Dwoje uczniów z Liceum imienia Roberta E. Lee zajęło drugie i piąte miejsce w stanowym konkursie matematycznym. O dziewczynie znalezionej w lesie nie było żadnej wzmianki. Prawdopodobnie gazetę złożono, zanim Jeffrey i Sara natknęli się na grób. Lena była pewna, że jutro na tytułowej stronie będzie obszerny artykuł. Może to pomoże im odnaleźć rodzinę dziewczyny.

Otworzyła gazetę i przeczytała doniesienie o pożarze spowodowanym przez toster, zastanawiając się, dlaczego do jego ugaszenia potrzebnych było aż szesnastu członków ochotniczej straży pożarnej. Wyczuwając jakąś zmianę w pokoju, podniosła wzrok i z zaskoczeniem zobaczyła Nan siedzącą w fotelu naprzeciwko Grega Mitchella, dawnego chłopaka Leny. Mieszkali ze sobą przez trzy lata, zanim Greg postanowił, że ma dość jej humorów. Spakował manatki i wyniósł się, kiedy była w pracy – co było tchórzliwym, ale z perspektywy czasu zrozumiałym posunięciem – zostawiwszy krótką wiadomość na kartce przyklejonej do lodówki. Tak krótką, że wciąż pamiętała każde słowo. „Kocham cię, ale nie mogę już tego znieść. Greg”.

W ciągu prawie siedmiu lat, które minęły od tamtej pory, rozmawiali ze sobą w sumie dwa razy. Obie rozmowy przeprowadzili przez telefon i obie zakończyły się trzaśnięciem przez Lenę słuchawką, zanim Greg zdołał powiedzieć coś więcej niż: „To ja”.

– Lee! – Nan właściwie krzyknęła, szybko wstając, jakby została na czymś przyłapana.

– Hej – zdołała wykrztusić Lena przez ściśnięte gardło. Przyłożyła gazetę do piersi, jakby potrzebowała jakiejś osłony. Może potrzebowała.

Na kanapie obok Grega siedziała kobieta mniej więcej w wieku Leny. Miała oliwkową skórę i włosy związane w luźny kucyk. W korzystnym oświetleniu mogłaby uchodzić za jedną z jej dalszych kuzynek – tych brzydkich, ze strony Hanka. Teraz, siedząc obok Grega, wyglądała bardziej na kurwę. To, że Greg zadowolił się gorszą kopią, sprawiło jej pewną satysfakcję, ale mimo to musiała pokonać odrobinę zazdrości, zanim zapytała:

– Co tutaj robisz? – Wydawał się zaskoczony, więc postarała się złagodzić swój ton. – To znaczy z powrotem w mieście. Co tu robisz?

– No... ee... – Uśmiechnął się z zakłopotaniem. Może się spodziewał, że uderzy go gazetą. Robiła to wcześniej. – Złamałem nogę – powiedział, wskazując na swoją kostkę. Lena dostrzegła laskę opartą o kanapę między nim i dziewczyną. – Wróciłem na pewien czas do domu, żeby mama się mną zaopiekowała.

Lena wiedziała, że dom jego matki znajduje się dwie ulice dalej. Jej serce zaczęło wyczyniać jakieś dziwne koziołki, kiedy zastanawiała się, od jak dawna Greg tam jest. Wytężyła mózg, żeby wymyślić jakąś sensowną odpowiedź, i w końcu się zdecydowała.

– Jak ona sobie radzi? To znaczy twoja matka.

– Zrędzi jak zawsze. – Jego oczy były kryształowo niebieskie, zupełnie nie pasowały do kruczoczarnych włosów. Teraz nosił je dłuższe albo może zapomniał podciąć. Zawsze zapominał o takich rzeczach. Potrafił spędzać godziny przed komputerem i pisać jakiś program, podczas gdy wszystko wokół niego się waliło. Stale się o to kłócili. Stale kłócili się o wszystko. Nigdy mu nie odpuściła, w żadnej sprawie nie ustąpiła nawet na cal. Wkurzał ją jak cholera, szczerze go nienawidziła i był prawdopodobnie jedynym mężczyzną, którego kiedykolwiek kochała.

– A ty? – zapytał.

– Co? – powiedziała, nadal pogrążona w myślach. Stukał palcami po łasce i widziała, że paznokcie ma ogryzione do żywego ciała.

Greg zerknął na siedzącą obok niego kobietę z nieco bardziej niepewnym uśmiechem.

– Zapytałem, jak sobie radzisz.

Wzruszyła ramionami, po czym nastąpiła długa chwila milczenia, kiedy mogła tylko gapić się na niego. W końcu zmusiła się, by spojrzeć na swoje dłonie. Postrzępiła róg gazety jak nerwowa gospodyni domowa. Jezu, jeszcze nigdy nie czuła się tak skrępowana. Wariaci w zakładzie dla obłąkanych są bardziej towarzyscy niż ona.

– Leno – powiedziała Nan, głosem, w którym słychać było nutę zde-nerwowania. – To Mindy Bryant.

Mindy wyciągnęła rękę, a Lena ją uścisnęła. Zobaczyła, że Greg patrzy na blizny na grzbiecie jej dłoni, i cofnęła ją z zażenowaniem.

– Słyszałem, co się stało. – W jego głosie brzmiał cichy smutek.

– Tak – wydusiła z siebie, wsuwając dłonie w tylne kieszenie spodni.

– Słuchaj, muszę się przygotować do pracy.

– Och, w porządku – powiedział.

Próbował się podnieść. Mindy i Nan wyciągnęły ręce, by mu pomóc, ale Lena została tam, gdzie stała. Chciała mu pomóc, czuła nawet, jak drgnęły jej mięśnie, ale z jakiegoś powodu jej stopy były jak przyklejone do podłogi.

– Pomyślałem sobie, że wpadnę i dam wam znać, że wróciłem – powiedział Greg, opierając się na lasce. Pochylił się i pocałował Nan w policzek. Lena pamiętała, ile razy kłócili się z powodu orientacji seksualnej Sybil. Zawsze brał stronę jej siostry i pewnie było dla niego naprawdę śmieszne, że Lena mieszka teraz z Nan. A może nie. Greg nie był małostkowy i nigdy długo nie żywił urazy; była to jedna z jego wielu cech, których nie mogła zrozumieć.

– Przykro mi z powodu Sybil. Mama powiedziała mi o tym, dopiero kiedy wróciłem – zwrócił się do Leny.

– Nie dziwi mnie to – odparła Lena. Lu Mitchell znienawidziła Lenę od pierwszego spojrzenia. Była jedną z tych kobiet, które uważają, że ich syn jest ósmym cudem świata.

– Pójdę już – powiedział Greg.

– Tak – odparła Lena i odsunęła się, żeby mógł przejść.

– Wpadaj tutaj. – Nan poklepała go po ramieniu. Nadal zachowywała się nerwowo i Lena zauważyła, że często mruga. Wyglądała jakoś inaczej niż zwykle, ale Lena nie mogła się zorientować, co jest tego przyczyną.

– Świetnie wyglądasz, Nan – powiedział Greg. – Naprawdę wspa-
niale.

Nan się zaczerwieniła i Lena uświadomiła sobie, że nie ma na nosie okularów. Kiedy Nan kupiła sobie szkła kontaktowe? I skoro już o tym mowa, dlaczego? Nigdy nie należała do osób, które troszczą się o swój

wygląd, a dzisiaj zrezygnowała nawet ze swoich zwykłych pastel i włożyła dzinsy i prosty, czarny T-shirt. Lena nie widziała jej nigdy w niczym ciemniejszym niż seledyn.

– Słucham? – Lena spytała Mindy, która coś powiedziała.

– Powiedziała, że miło mi było cię poznać. – Mówiła przez nos, co było drażniące, i Lena miała nadzieję, że uśmiech, na który się zdobyła, nie zdradza jej awersji.

– Mnie też było miło cię poznać – powiedział Greg i uściśnął rękę Mindy.

Lena otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale potem się rozmyśliła. Greg stał przy drzwiach, z ręką na klamce.

– Zobaczymy się jeszcze. – Spojrzał przez ramię na Lenę.

– Tak – odparła Lena, myśląc, że to prawie wszystko, co powiedziała przez ostatnich pięć minut.

Trzasnęły zamykane drzwi i zostały w trójkę, stojąc w kółku.

Mindy roześmiała się nerwowo i Nan przyłączyła się do niej, trochę za głośno. Zakryła dłonią usta.

– Lepiej wróć do pracy – powiedziała Mindy. Pochyliła się, żeby pocałować Nan w policzek, ale Nan się odsunęła. W ostatniej chwili uświadomiła sobie, co zrobiła, i pochyliła się do przodu, uderzając Mindy w nos.

Mindy roześmiała się, pocierając nos.

– Zadzwoń do ciebie.

– Eee, dobrze – odparła Nan czerwona jak burak. – Będę tu. To znaczy dzisiaj. Albo jutro w pracy. – Robiła wszystko, żeby nie patrzeć na Lenę. – To znaczy, będę albo tu, albo tam.

– Dobrze – rzekła Mindy, a jej uśmiech stał się bardziej cierpki. – Miło było cię poznać – powiedziała do Leny.

– Tak, mnie ciebie też.

– Na razie. – Mindy rzuciła Nan ukradkowe spojrzenie.

Nan pomachała ręką, a Lena poczuła się tak, jakby w pokoju zabrakło nagle powietrza. Nan nadal się rumieniła, a usta miała tak mocno zaciśnięte, że zaczęły się robić białe. Lena postanowiła przełamać lody.

– Wydaje się miła.

– Taa – zgodziła się Nan. – To znaczy nie. Nie o to chodzi, że nie jest miła. Ja po prostu... O rany. – Przycisnęła palce do ust, jakby chciała powstrzymać słowa.

Lena starała się wymyślić coś pozytywnego.

– Jest ładna.

– Tak uważasz? – Nan znowu się zaczerwieniła. – A zresztą to nieważne. Ja po prostu...

– Wszystko w porządku, Nan.

– Jeszcze na to za wcześnie.

Lena nie wiedziała, co powiedzieć. Nie była dobra w pocieszaniu innych. Nie była dobra w niczym, co miało związek z emocjami. Greg wielokrotnie o tym mówił, zanim w końcu dopiekła mu tak, że się wyprowadził.

– Greg właśnie zapukał do drzwi – powiedziała, a kiedy Lena spojrzała na wejście, dodała: – Nie teraz, przedtem. Siedziałyśmy tu. Mindy i ja. Właśnie rozmawiałyśmy, kiedy zapukał i... – Przerwała, robiąc głęboki wdech. – Greg dobrze wygląda.

– Tak.

– Powiedział, że często spaceruje po okolicy – rzekła Nan. – Ze względu na nogę. Chodzi na fizykoterapię. Nie chciał być niegrzeczny. No wiesz, gdybyśmy zobaczyły go na ulicy i zaczęły się zastanawiać, co robi z powrotem w mieście.

Lena skinęła głową.

– Nie wiedział, że tu jesteś. Że tu mieszkasz.

– Och.

Znowu zapadło milczenie.

– No tak. – Nan powiedziała to akurat w chwili, gdy Lena stwierdziła:

– Myślałam, że jesteś w pracy.

– Wzięłam wolny ranek.

Lena oparła rękę o drzwi wejściowe. Nan wyraźnie chciała utrzymać swoją randkę w tajemnicy. Może się wstydziła, a może obawiała się re-

akcji Leny.

– Umówiłaś się z nią na kawę? – spytała Lena.

– To za wcześnie po Sybil – rzekła Nan. – Nie zauważyłam, dopóki nie weszłaś...

– Czego?

– Jest do ciebie podobna. Do Sybil. – Poprawiła się: – Niezupełnie podobna, nie taka ładna. Nie taka... – Nan potarła palcami oczy, a potem wyszeptała: – Cholera.

Lena znowu nie wiedziała, co powiedzieć.

– Głupie soczewki – powiedziała Nan. Opuściła rękę, ale Lena wiedziała, że ma łzy w oczach.

– W porządku, Nan – powiedziała Lena, mając dziwne poczucie odpowiedzialności. – To już trzy lata – zauważyła, chociaż miała wrażenie, jakby minęły zaledwie trzy dni. – Zaslugujesz na to, by zacząć nowe życie. Chciałabyś...

Nan ucieła jej ruchem głowy, pociągając głośno nosem, pomachała dłońmi przed twarzą.

– Lepiej pójde wyjąć te głupie soczewki. Czuję się, jakbym miała igły w oczach.

Pobiegła do łazienki i zatrzasnęła za sobą drzwi. Lena zastanawiała się, czy nie stanąć przy drzwiach i nie zapytać jej, jak się czuje, ale wydawało się to pogwałceniem prawa do prywatności. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że Nan może się pewnego dnia umówić na randkę. Po pewnym czasie zaczęła uważać ją za istotę aseksualną, istniejącą tylko w kontekście ich domowego życia. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że przez cały ten czas Nan musiała się czuć strasznie samotna.

Lena była tak zatopiona w myślach, że telefon zadzwonił kilka razy, zanim Nan krzyknęła z łazienki:

– Masz zamiar odebrać?

Lena podniosła słuchawkę tuż przed włączeniem się poczty głosowej:

– Halo?

– Lena – powiedział Jeffrey. – Wiem, że dałem ci wolny ranek...

Pojawiła się ulga, jak promień słońca.

– Kiedy będę ci potrzebna?

– Jestem na podjeździe.

Podeszła do okna i spojrzała na jego biały wóz patrolowy.

– Potrzebuję minuty, żeby się przebrać.

Siedziała na miejscu dla pasażera, patrząc na uciekające do tyłu widoki, kiedy Jeffrey jechał żwirową drogą na obrzeżach miasta. Grant obejmowało trzy miasta: Heartsdale, Madison i Avondale. Heartsdale, siedziba Grant Tech, było perłą hrabstwa i ze swoimi ogromnymi przedwojennymi posiadłościami i domkami jak chatki z piernika z pewnością na nią wyglądało. Dla odmiany Madison było obskurną, miniaturową wersją tego, czym powinno być miasto, a Avondale, od czasu, kiedy zlikwidowano tam bazę wojskową, było zupełną dziurą. Lena i Jeffrey mieli szczęście, że wezwanie przyszło z Avondale. Każdy gliniarz, którego znała, drżał na samą myśl o wezwaniu z tej części hrabstwa, gdzie z powodu nędzy i nienawiści wrzało jak w kotle, z którego lada moment wykipi.

– Zapuściłaś się kiedyś aż tutaj na wezwanie? – zapytał Jeffrey.

– Nie wiedziałam nawet, że są tu domy.

– Nie było ich ostatnim razem, kiedy tu patrolowałam. – Jeffrey podał jej podkładkę z klipsem, z przypiętą do niej kartką zawierającą wskazówki, jak dojechać. – Jakiej drogi szukamy?

– Plymouth – przeczytała. Na górze kartki widniało nazwisko. – Ephraim Bennett?

– Najwyraźniej ojciec. – Jeffrey zwolnił, żeby mogli odczytać wypłowiały znak drogowy. Była to standardowa zielona tablica z białymi literami, ale wyglądała, jakby zrobił ją w domu jakiś majsterkowicz, używając do tego celu zestawu ze sklepu żelaznego.

– Nina Street – odczytała, zastanawiając się, kiedy zbudowano te wszystkie drogi.

Po dziewięciu latach pracy w patrolu myślała, że zna hrabstwo jak nikt inny. Rozglądając się wokół, czuła się, jakby była na obcym terytorium.

– Nadal jesteśmy w Grant? – zapytała.

– Jesteśmy na samej granicy – odparł. – Po lewej jest hrabstwo Catoogah, po prawej Grant.

Zwolnił przed kolejnym znakiem.

– Pinta Street – powiedziała. – Kto odebrał wezwanie?

– Ed Pelham – powiedział, prawie wypluwając to nazwisko. Hrabstwo Catoogah było o ponad połowę mniejsze od Grant, co uzasadniało zatrudnienie tylko jednego szeryfa i czterech zastępców. Rok temu Joe Smith, dobroduszny dziadek, który przez trzydzieści lat zajmował stanowisko szeryfa, doznał zawału serca podczas programowego przemówienia w Klubie Rotarian, otwierając tym brzydki polityczny wyścig między dwoma swoimi zastępcami. Obaj uzyskali tyle samo głosów w wyborach i, zgodnie z obowiązującymi w hrabstwie przepisami, zwycięzcę trzeba było wyłonić przez trzykrotny rzut monetą. Ten, na którego wypadło dwa razy, Ed Pelham, objął urząd z przezwiskiem „Ćwierć Dolara” nie tylko dlatego, że utorowały mu drogę dwie ćwierćdolarówki. Był niemal takim samym leniuchem jak szczęściarzem i bez skrupowania pozwalał na to, by inni wykonywali za niego robotę, podczas gdy sam sprawował tylko urząd i zgarniał za to pieniądze.

– Zgłoszenie odebrał wczoraj wieczorem jeden z jego zastępców. Nic z tym nie zrobił aż do dzisiejszego ranka, kiedy zdał sobie sprawę, że to nie jest jego rejon.

– To Ed do ciebie zadzwonił?

– Zadzwonił do tej rodziny i powiedział im, że będą musieli skontaktować się z nami.

– Ładnie – powiedziała Lena. – Wiedział o naszej N.N.?

Jeffrey zachował się bardziej dyplomatycznie, niż zrobiłaby to ona.

– Ten skurwysyn nie wiedziałby nawet o tym, że pali mu się jego własna dupa.

Parsknęła śmiechem.

– Kto to jest Lev?

– Co?

– To imię tutaj – powiedziała, pokazując mu wskazówki. – Napisałeś

„Lev” i podkreśliłeś to.

– Aha – odparł, wyraźnie nie zwracając na nią uwagi, kiedy zwolnił, by odczytać następny znak.

– Santa Maria – przeczytała Lena, rozpoznając nazwy statków, o których uczyła się na lekcjach historii w gimnazjum. – Kim oni są, grupą pielgrzymów?

– Pielgrzymi przyплыли na Mayflower.

– Och – rzekła. Pedagog szkolny miał powód, żeby powiedzieć jej, że studia nie są dla wszystkich.

– Nina, Pinta i Santa Maria to były statki Kolumba.

– Racja. – Czują, że Jeffrey jej się przygląda, prawdopodobnie zastanawiając się, czy ma mózg. – Kolumba.

Na szczęście zmienił temat.

– Lev to ten, który zadzwonił dziś rano – powiedział i przyspieszył. Opony wyrzuciły żwir i Lena zobaczyła w lusterku bocznym obłok kurzu.

– To jej wuj. Oddzwoniłem i porozmawiałem z ojcem.

– Wuj, tak?

– Tak – odparł Jeffrey. – Będziemy musieli dobrze mu się przyjrzeć.

– Nacisnął na hamulec, kiedy za ostrym zakrętem w lewo pojawił się ślepy zaułek.

– Plymouth – powiedziała Lena, pokazując wąską piaszczystą drogę po prawej.

Jeffrey wycofał samochód, żeby móc skręcić, nie wjeżdżając do rowu.

– Sprawdziłem ich nazwiska w komputerze.

– I znalazłeś coś?

– Dwa dni temu ojciec dostał mandat w Atlancie za przekroczenie szybkości.

– Dobre alibi.

– Atlanta nie leży tak daleko – zauważył Jeffrey. – Kto, do diabła, mieszkałby na takim zadupiu?

– Nie ja – odparła Lena. Wyjrzała przez okno na pofalowane łąki.

Pasło się na nich kilka krów, a w oddali widać było, jak na filmie, parę koni. Niektórzy mogliby pomyśleć, że to fragment rajy, ale Lena musiała robić coś więcej, niż tylko patrzeć przez cały dzień na krowy.

– Kiedy to wszystko powstało? – zapytał Jeffrey.

Lena spojrzała na jego stronę drogi i zobaczyła duże gospodarstwo z rzędami drzew.

– To orzechy ziemne?

– Trochę za wysokie.

– Co innego może tu wyrosnąć?

– Republikanie i bezrobocie – powiedział. – Ta farma musi należeć do jakiejś spółki. Nikt nie poradziłby sobie z prowadzeniem gospodarstwa takiej wielkości.

– Proszę bardzo. – Lena wskazała tablicę na początku krętego podjazdu, który prowadził do rzędu budynków. Fantazyjnymi złotymi literami były na niej wypisane słowa: „Spółdzielnia Święcie Uprawianej Soi”. Pod tym, mniejszymi literami, „Zał. w 1984”.

– Jak hipisi? – zapytała.

– Kto wie. – Jeffrey podkreślił szybę, kiedy do samochodu napłynął zapach nawozu. – Nie chciałbym mieszkać naprzeciwko tego miejsca.

Zobaczyli dużą, nowoczesnie wyglądającą stodołę; pod nią kłębiło się co najmniej pięćdziesięciu pracowników. Prawdopodobnie mieli przerwę.

– Uprawa soi musi być dobrym interesem. – Jeffrey zatrzymał samochód na środku drogi. – Czy to miejsce jest chociaż na mapie?

Lena otworzyła skrytkę i wyjęła spiralnie oprawioną mapę drogową Grant i okolic. Przerzucała kartki, szukając Avondale, kiedy Jeffrey zmełł przekleństwo w ustach i zawrócił w stronę farmy. Jedną z rzeczy, która podobała się jej w szefie, było to, że nie bał się pytać o drogę. Greg był taki sam – zwykle to Lena mówiła, że powinni przejechać jeszcze parę mil i przekonać się, czy dopisało im szczęście i znaleźli się u celu podróży.

Podjazd do stodoły przypominał drogę dwupasmową – po obu jej stronach ciągnęły się głębokie koleiny. Prawdopodobnie mieli ciężkie

ciężarówki do przewożenia soi, czy co tam uprawiali. Nigdy nie widziała, jak wygląda soja, ale wyobrażała sobie, że trzeba jej mnóstwo, by wypełnić skrzynkę, a co dopiero całą ciężarówkę.

– Spróbujemy tutaj – powiedział Jeffrey, przełączając biegi na luz. Widziała, że jest zirytowany, ale nie wiedziała, czy dlatego, że się zgubili, czy też dlatego, że przez ten objazd rodzina ofiary musiała czekać jeszcze dłużej. W ciągu wielu lat wspólnej pracy nauczyła się od Jeffrey, że złe nowiny należy przekazywać jak najszybciej, chyba że dzięki zwłóce można uzyskać coś ważnego.

Obeszli ogromną, czerwoną stodołę dookoła i Lena zobaczyła stojącą za nią drugą grupę robotników i starszego, żylastego mężczyznę, który wrzeszczał tak głośno, że słyszała go wyraźnie nawet z odległości stu pięćdziesięciu metrów.

– Pan nie znosi lenistwa! – krzyczał, machając palcem przed nosem młodszego mężczyzny. – Przez twoją słabość praca całego ranka poszła na marne.

Mężczyzna, któremu niemal wtykał palec w twarz, wbił skruszony wzrok w ziemię. W tłumie były dwie dziewczyny i obie płakały.

– Słabość i chciwość! – oznajmił stary. Złość w jego głosie sprawiała, że każde słowo brzmiało jak oskarżenie. W drugiej ręce trzymał Biblię, którą uniósł w górę jak pochodnię oświetlającą drogę ku oświeceniu. – Twoja słabość cię zdemaskuje! – krzyczał. – Pan cię wystawi na próbę, więc musisz być silny!

– Chryste – mruknął Jeffrey, a potem powiedział: – Przepraszam pana.

Stary się odwrócił, jego gniewną minę zastąpił wyraz zdziwienia, potem jego twarz ponownie przybrała marsowy wygląd. Miał na sobie białą koszulę z długimi rękawami, tak mocno wykrochmaloną, że wydawało się, iż kołnierzyk o mało nie podetnie mu gardła. Jego dzinsy wyglądały podobnie, miały kanty zaprasowane na brzytwę. Na głowie tkwiła czapka bejsbolowa Bravesów, po której obu stronach sterczały uszy niczym billboardy. Tyłem rękawa otarł ślinę z ust.

– Czy mogę panu w czymś pomóc? – Lena zauważyła, że głos miał

ochrypli od krzyku.

– Szukamy Ephraima Bennetta – powiedział Jeffrey.

Mina starego znowu zmieniała się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Uśmiechnął się promiennie, jego oczy rozbliły.

– To po drugiej stronie drogi – powiedział, wskazując w stronę, z której przyjechali Jeffrey i Lena. – Zawróćcie, skróćcie w lewo i około czterystu metrów dalej zobaczycie po prawej jego dom.

Pomimo jego pogodnego zachowania w powietrzu wisało napięcie niczym ciężka chmura. Trudno było uwierzyć, że mężczyzna, który przed paroma minutami wrzeszczał, i dobrotliwy dziadek proponujący im teraz pomoc, to jeden i ten sam człowiek.

Lena popatrzyła na grupę robotników; było ich około dziesięciu. Niektórzy wyglądali, jakby byli jedną nogą w grobie. Szczególnie jedna dziewczyna sprawiała wrażenie, jakby ledwie trzymała się na nogach, chociaż Lena nie była pewna, czy wynika to z żalu czy z odurzenia, alkoholowego lub narkotykowego. Wszyscy wyglądali na bandę wyniszczonych narkotykami hipisów.

– Dziękuję panu – powiedział Jeffrey do starego, ale miał minę, jakby nie chciał odjechać.

– Niech pana Bóg błogosławi – odparł stary, po czym odwrócił się do Jeffrey'a i Leny plecami, dając im tym znak, że uważa rozmowę za zakończoną. – Dzieci – powiedział, podnosząc wysoko Biblię – wracajmy na pole.

Lena wyczuwała wahanie Jeffrey'a i nie poruszyła się, dopóki on tego nie zrobił. Nie była to sytuacja, w której mogliby przycisnąć tego człowieka do muru i zapytać go, co się tu, do diabła, dzieje, ale oboje myśleli to samo: działo się tutaj coś dziwnego.

W milczeniu wsiedli do samochodu. Jeffrey uruchomił silnik i wycofał, by zawrócić.

– To było niesamowite – powiedziała Lena.

– W jakim sensie niesamowite?

Zastanawiała się, czy się z nią nie zgadza, czy też chce poznać jej opinię o tej sytuacji.

– Cały ten biblijny szajs – odparła.

– Wydawał się nieco nawiedzony – przyznał Jeffrey – ale tutaj jest dużo takich ludzi.

– Mimo wszystko – powiedziała. – Kto bierze ze sobą do pracy Biblię?

– Domyślam się, że wielu ludzi.

Wrócili na główną drogę i prawie natychmiast Lena dostrzegła skrzynkę na listy po swojej stronie.

– Trzy dziesięć – powiedziała. – To ten dom.

Jeffrey skręcił.

– To, że ktoś jest religijny, nie znaczy, że coś jest z nim nie w porządku.

– Tego nie powiedziałam – odparła, chociaż może powiedziała. Od chwili kiedy skończyła dziesięć lat, nienawidziła kościoła i wszystkiego, co pachniało mężczyzną stojącym na kazalnicy i wydającym nakazy i zakazy. Jej wuj Hank był teraz tak pochłonięty religią, że stało się to gorszym uzależnieniem niż to od amfy, którą przez prawie trzydzieści lat ładował sobie w żyły.

– Postaraj się pozbyć uprzedzeń – powiedział Jeffrey.

– Tak – odparła, zastanawiając się, czy uleciało mu z głowy, że parę lat temu została zgwałcona przez faceta walniętego na punkcie Jezusa, którego rajcowało krzyżowanie kobiet. Jeśli była przeciwniczką religii, to miała ku temu cholernie zasadny powód.

Jeffrey ruszył podjazdem tak długim, że zaczęła się zastanawiać, czy nie skręcił w złą drogę. Pochylona stodoła i coś, co wyglądało na budynek gospodarczy, sprawiły, że Lena doznała uczucia déjà vu. W Reese, gdzie dorastała, wszędzie były takie miejsca. Reaganomika i deregulacja powaliły farmerów na kolana. Rodziny rolników po prostu opuszczały ziemię, która należała do nich od pokoleń, zostawiając bankowi zmartwienie, co z nią zrobić. Bank zwykle sprzedawał ją międzynarodowej korporacji, która z kolei zatrudniała na czarno emigrantów, tnąc koszty i zwiększając zyski.

– Czy dzisiaj używa się cyjanku w pestycydach? – zapytał Jeffrey.

– Tu mnie masz. – Lena wyjęła notes, żeby zapisać sobie, że ma to sprawdzić.

Jeffrey zwolnił, kiedy przejeżdżali przez strome wzniesienie. Na podjeździe stały trzy kozy, nacisnął więc klakson, by się ruszyły. Kiedy odbiegały truchtem w stronę czegoś, co przypominało zagrodę dla kur, dźwięczały dzwonki u ich szyj. Obok zagrody dla świń stali nastoletnia dziewczyna i mały chłopiec, trzymając razem wiadro. Dziewczyna była w prostej, luźnej sukience, chłopiec w kombinezonie, bez koszuli i bez butów. Śledzili wzrokiem samochód, kiedy obok nich przejeżdżali, i Lena poczuła, że jeżą się jej włosy na rękach.

– Jeśli ktoś zacznie grać na bandzo, zmiatam stąd – powiedział Jeffrey.

– Będę zmiatała za tobą – rzekła Lena, widząc z ulgą, że w końcu pojawiają się oznaki cywilizacji.

Dom był skromnym budynkiem z dwoma oknami mansardowymi w stromym dachu. Deski na ścianach wyglądały na świeżo pomalowane i dobrze utrzymane i gdyby nie poobijana stara ciężarówka przed wejściem, budynek mógłby zostać łatwo poczytany za dom jakiegoś profesora z Heartsdale. Frontową werandę okalały kwiaty, które biegły wzdłuż brzegów ścieżki do podjazdu. Kiedy wysiedli z samochodu, Lena dostrzegła kobietę stojącą za siatkowymi drzwiami. Miała złożone z przodu ręce i po jej wyczuwalnym napięciu Lena się domyśliła, że jest to matka zaginionej dziewczyny.

– To nie pójdzie łatwo – powiedział Jeffrey i Lena nie po raz pierwszy ucieszyła się, że to jego, a nie jej zadanie.

Lena zamknęła drzwi i oparła rękę na masce samochodu, kiedy z domu wyszedł jakiś mężczyzna. Spodziewała się, że za nim wyjdzie ta kobieta, ale zamiast niej pojawił się starszy, powłóczący nogami mężczyzna.

– Komendant Tolliver? – zapytał młodszy z mężczyzn. Miał ciemnorude włosy, ale nie miał piegów, które zwykle towarzyszą temu kolorowi włosów. Jego skóra była tak blada, jak można się było spodziewać, a zielone oczy tak jasne w porannym słońcu, że Lena mogła powiedzieć,

jaką mają barwę, co najmniej z odległości trzech metrów. Był przystojny, jeśli ktoś lubił ten typ, ale jego koszula z zapinanymi na guziki rogami kołnierzyka i krótkimi rękawami, wciśnięta w spodnie koloru khaki, nadawała mu wygląd nauczyciela matematyki w liceum.

Z jakiegoś powodu Jeffrey przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, ale szybko doszedł do siebie i zapytał:

– Pan Bennett?

– Lev Ward – wyjaśnił tamten. – To jest Ephraim Bennett, ojciec Abigail.

– Aha – rzekł Jeffrey i Lena widziała, że jest zdziwiony. Nawet w czapce bejsbolowej i kombinezonie Ephraim Bennett wyglądał na faceta koło osiemdziesiątki, który raczej nie mógł być ojcem dwudziestoparoletniej dziewczyny. Mimo to był szczupły i zylasty, ze zdrowym błyskiem w oku. Obie jego ręce zauważalnie drżały, ale Lena przypuszczała, że wie, co się wokół niego dzieje.

– Przykro mi, że poznaję pana w tych okolicznościach – powiedział Jeffrey.

Ephraim podał Jeffreyowi rękę w sposób, który mimo widocznego drżenia wyglądał na stanowczy uścisk dłoni.

– Doceniam, że zajął się pan tym osobiście. – Miał silny głos z zaśpiewem, którego Lena nie słyszała nigdzie oprócz hollywoodzkich filmów. Dotknął runda kapelusza i zwrócił się do Leny: – Witam panią.

Lena skinęła w odpowiedzi głową, przyglądając się Levowi, który, mimo że był o trzydzieści parę lat młodszy, wydawał się szefem.

– Dziękuję, że przyjechaliście tak szybko – powiedział Ephraim, chociaż Lena nie określiłaby ich reakcji jako szybkiej. Zgłoszenie nadeszło poprzedniego wieczoru. Gdyby na miejscu odbiorcy siedział Jeffrey, a nie Ed Pelham, pojechałby do Bennettów od razu, nie czekając do następnego dnia.

– Wynikła kwestia rejonu działania – wyjaśnił Jeffrey.

– To moja wina – rzekł Lev. – Farma leży w hrabstwie Catoogah. Chyba nie myślałem, co robię.

– Nikt z nas nie myślał – pospieszył z usprawiedliwieniem Ephraim.

Lev pochylił głowę, jakby przyjmował odpuszczenie win.

– Zatrzymaliśmy się na farmie po drugiej stronie drogi, żeby zapytać, jak tu dojechać. Był tam mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu pięciu, siedemdziesięciu lat...

– Cole – powiedział Lev. – Nasz brygadzysta.

Jeffrey nie odpowiedział, prawdopodobnie czekając na dalsze informacje. Kiedy ich nie otrzymał, dodał:

– Powiedział nam, jak dojechać.

– Przepraszam, że nie opisałem dokładniej, jak się tu dostać – powiedział Lev. – Może wejdziemy i porozmawiamy z Esther?

– Pana siostrą? – zapytał Jeffrey.

– Najmłodszą siostrą – wyjaśnił Lev. – Mam nadzieję, że nie macie nic przeciw temu, ale przyjdą też moi bracia i pozostałe siostry. Przez całą noc byliśmy na nogach, martwiąc się o Abby.

– Czy wcześniej uciekała z domu? – zapytała Lena.

– Przepraszam – powiedział Lev, skupiając uwagę na Lenie. – Nie przedstawiłem się. – Wyciągnął do niej rękę. – Leviticus Ward.

Lena spodziewała się sflaczałej dłoni, jak w wypadku większości mężczyzn, którzy lekko ujmują palce kobiety, jakby się bali, że je połamią, ale wymienił z nią mocny uścisk, taki sam jak z Jeffreyem, patrząc jej prosto w oczy.

– Lena Adams.

– Detektyw? – domyślił się. – Tak się niepokoiimy. Proszę mi wybaczyć kiepskie maniery.

– To zrozumiałe – odparła Lena, zdając sobie sprawę, że udało mu się uchylić od odpowiedzi na pytanie o Abby.

– Pani pierwsza – powiedział uprzejmie do Leny, cofając się o krok.

Lena ruszyła w stronę domu, przyglądając się posuwającym się za nimi ich cieniom i dziwiąc się ich staroświeckim manierom. Kiedy doszli do drzwi frontowych, Lev je otworzył i przepuścił Lenę przodem.

Na kanapie siedziała Esther Bennett. Nogi miała skrzyżowane w kostkach, a ręce złożone na podołku. Siedziała sztywno wyprostowana i Lena, która zwykle miała skłonność do garbienia się, stwierdziła, że

odchyła barki do tyłu, jakby próbowała jej dorównać.

– Komendant Tolliver? – zapytała Esther Bennett. Była dużo młodsza od męża, prawdopodobnie miała czterdzieści parę lat, a jej ciemne włosy zaczynały lekko siwieć na skroniach. W białej bawełnianej sukience i fartuchu w czerwoną kratkę wyglądała jak żywcem przeniesiona z książki kucharskiej Betty Crocker. Włosy miała upięte w ciasny kok z tyłu głowy, ale sądząc po kilku kosmykach, które się wymknęły, prawie tak samo długie jak córka.

Lena nie miała żadnych wątpliwości, że martwa dziewczyna była córką tej kobiety. Każda z nich była wiernym odbiciem drugiej.

– Proszę mi mówić Jeffrey – zaproponował Jeffrey, a potem powiedział: – Ma pani piękny dom, pani Bennett.

Zawsze to mówił, nawet jeśli dom był norą. Jednak w tym wypadku słowem najlepiej opisującym dom Bennettów było „prosty”. Na niskim stoliku nie było żadnych bibelotów, a półka nad kominkiem także była pusta, jeśli nie liczyć wiszącego na cegle prostego drewnianego krzyżyka. Po obu stronach wychodzącego na podwórko okna stały dwa wypłowiałe, ale wyglądające na solidne, fotele z uszakami. Pomarańczowa kanapa stanowiła prawdopodobnie zabytek z lat sześćdziesiątych, ale była w dobrym stanie. W oknach nie było żadnych zasłonek ani żaluzji, a na podłodze z desek nie leżały żadne dywany czy chodniki. Sufitowe oświetlenie należało prawdopodobnie do oryginalnego wyposażenia domu, a więc miało mniej więcej tyle lat co Ephraim. Lena domyśliła się, że są w oficjalnym salonie, chociaż szybki rzut oka na korytarz dowodził, że reszta domu jest urządzona w tym samym minimalistycznym stylu.

Jeffrey musiał myśleć to samo, bo zapytał:

– Od dawna tutaj mieszkacie?

– Wprowadziliśmy się, zanim Abby przyszła na świat.

– Proszę – powiedziała Esther i wyciągnęła rękę. – Usiądźcie. – Wstała, kiedy Jeffrey siadał, więc poderwał się na nogi. – Proszę – powtórzyła, wskazując mu gestem ręki fotel.

– Zaraz powinna tu być reszta rodziny – powiedział Lev.

– Może chciałby się pan czegoś napić, komendancie Tolliver? – zaproponowała Esther. – Może lemoniady?

– Byłoby miło – odparł Jeffrey, prawdopodobnie dlatego, że wiedział, iż przyjęcie tej propozycji pomoże jej się odprężyć.

– A pani, panno...?

– Adams – powiedziała Lena. – Ja dziękuję.

– Esther, ta pani jest detektywem – wyjaśnił Lev.

– Och – powiedziała. Wydawała się zdenerwowana swoją pomyłką.

– Przepraszam, detektyw Adams.

– W porządku – zapewniła ją Lena, zastanawiając się, dlaczego czuje się tak, jakby to ona powinna była przeprosić. W tej rodzinie było coś dziwnego i Lena zastanawiała się, jakie tajemnice ukrywają. Od chwili, kiedy spotkali na farmie tego starego czubka, jej radar był w stanie najwyższego pogotowia. Nie wyobrażała sobie, by jabłko padło daleko od jabłoni.

– Lemoniada byłaby w sam raz, Esther – powiedział Lev i Lena zdała sobie sprawę, jak zręcznie panuje on nad sytuacją. Zdawał się być bardzo dobry w kierowaniu innymi, a ta cecha zawsze nastawiała Lenę nieufnie.

Esther odzyskała panowanie nad sobą.

– Proszę się rozgościć. Zaraz wrócę.

Wyszła cicho z pokoju, przystając tylko na moment, by położyć dłoń na ramieniu męża.

Mężczyźni stali, jakby na coś czekali. Lena zauważyła wyraz twarzy Jeffreya i spytała:

– Może pójde jej pomóc?

Wydawało się, że mężczyźni odetchnęli z ulgą, i kiedy szła korytarzem za Esther, usłyszała, jak Lev chichocze z czegoś, czego nie rozumiała. Coś powiedziało jej, że ma to jakiś związek z tym, że miejsce kobiety jest w kuchni. Miała niejasne wrażenie, że ta rodzina robi wszystko w staroświecki sposób, mężczyźni rządzą, a kobiety widać, ale ich nie słychać.

Lena poszła niespiesznie na tył domu, mając nadzieję, że zobaczy

coś, co mogłoby wyjaśnić, co jest tak niesamowitego w jego mieszkańcach. Po prawej było troje drzwi, wszystkie zamknięte, jak przypuszczała, wiodły do sypialni. Po lewej było pomieszczenie, które wyglądało na pokój dzienny, i duża biblioteka, wypełniona od podłogi po sufit książkami, co było dla niej pewnym zaskoczeniem. Z jakiegoś powodu uważała zawsze, że fanatycy religijni niczego nie czytają.

Jeśli Esther miała tyle lat, na ile wyglądała, to jej brat Lev musiał mieć około pięćdziesiątki. Potrafił gładko mówić i miał głos baptystycznego kaznodziei. Leny nigdy szczególnie nie pociągali bladzi mężczyźni, ale Lev miał w sobie coś niemal magnetycznego. Z wyglądu przypominał jej Sarę Linton. Oboje otaczała aura pewności siebie, ale u Sary było to odpychające. U Leva działało uspokajająco. Gdyby był sprzedawcą używanych samochodów, byłby pewnie jednym z najlepszych w swojej branży.

– Och – powiedziała Esther, spłoszona nagłym pojawieniem się Leny w kuchni. Trzymała w ręku zdjęcie i wydawało się, że się waha, czy pokazać je Lenie. W końcu się zdecydowała i podała jej fotografię. Przedstawiała dziewczynkę w wieku około dwunastu lat, z długimi brązowymi kucykami.

– Abby? – zapytała Lena, nie mając cienia wątpliwości, że jest to dziewczyna, którą Jeffrey i Sara znaleźli w lesie.

Esther przyglądała się badawczo Lenie, jakby chciała odczytać jej myśli. Wydawało się, że doszła do wniosku, iż nie chce ich znać, bo odwróciwszy się do niej tyłem, powróciła do swojej pracy.

– Abby uwielbia lemoniadę – powiedziała. – Lubi słodką, ale muszę powiedzieć, że ja za taką nie przepadam.

– Ja też – rzekła Lena, nie dlatego, że było tak naprawdę, lecz dlatego, że chciała wydawać się miła. Od chwili przekroczenia progu tego domu czuła się niespokojna. Jako policjantka, nauczyła się ufać swojemu pierwszemu wrażeniu.

Esther przecięła cytrynę na pół i wycisnęła z niej sok przez metalowe sitko. Zrobiła to samo z sześcioma cytrynami, aż miska pod sitkiem była prawie pełna.

– Mogę pomóc? – zapytała Lena, myśląc o tym, że jedyne napoje, jakie kiedykolwiek zrobiła, pochodziły z kartonów i zazwyczaj wędrowały do miksera.

– Już gotowe – powiedziała Esther, a później, jakby w jakiś sposób obraziła Lenę, dodała przeproszającym tonem: – Dzbanek stoi nad piecem.

Lena podeszła do szafki i wyjęła duży kryształowy dzbanek. Był ciężki i prawdopodobnie stary. Zniosła go na stół w obu rękach.

Starając się znaleźć jakiś temat do rozmowy, powiedziała:

– Podoba mi się światło tutaj.

Pod sufitem wisiała duża neonówka, ale nie była włączona. W ścianie nad zlewem były trzy duże okna, a nad stołem dwa podłużne świetliki, i to przez nie wpadało słońce do kuchni. Podobnie jak reszta domu, było to prosto urządzone pomieszczenie i Lena dziwiła się, jak ludzie mogą z własnej woli wybrać życie w takim surowym otoczeniu.

– Tak, miło tu, prawda? Zbudował to od podstaw ojciec Ephraima – powiedziała Esther, patrząc na słońce.

– Od dawna jest pani mężatką?

– Od dwudziestu dwóch lat.

– Abby jest pani najstarszym dzieckiem?

Esther uśmiechnęła się i wyjęła z torby jeszcze jedną cytrynę.

– Tak.

– Wjeżdżając tu, widzieliśmy dwoje dzieci.

– Rebeccę i Zeke’a – powiedziała Esther, uśmiechając się z dumą. – Becca jest moim dzieckiem. Zeke jest synem Leva i jego zmarłej żony.

– Dwie dziewczynki – powiedziała Lena, myśląc, że brzmi to idiotycznie. – To musi być miłe.

Esther potoczyła cytrynę po desce do krojenia, żeby ją zmiękczyć.

– Tak – odparła, ale Lena usłyszała w jej głosie wahanie.

Wyjrzała przez okno na pastwisko. Zobaczyła stado krów leżących pod drzewami.

– Ta farma po drugiej stronie drogi – zaczęła.

– Spółdzielnia – dokończyła Esther. – To tam poznałam Ephraima.

Przyszedł tam do pracy... och, musiało to być tuż po tym, jak tato kupił drugi kawałek w połowie lat osiemdziesiątych. Trochę później pobraliśmy się i przeprowadziliśmy tutaj.

– Musiała pani być w wieku Abby – zgadła Lena.

Esther spojrzała na nią, jakby nigdy nie przyszło jej to do głowy.

– Tak – powiedziała. – Ma pani rację. Zakochałam się i przeniosłam na swoje. Miałam cały świat u swoich stóp. – Wycisnęła do miski jeszcze jedną cytrynę.

– A ten starszy facet, na którego się natknęliśmy – zaczęła Lena. – Cole?

– On jest na farmie od zawsze. Tata poznał go wiele lat temu. – Esther uśmiechnęła się.

Lena czekała na więcej, ale nic nie usłyszała. Wydawało się, że podobnie jak Lev, Esther nie ma ochoty dostarczać dobrowolnie informacji o Cole’u, co jeszcze bardziej podsyciło ciekawość Leny. Przypomniała sobie pytanie, przed którym uchylił się Lev, i pomyślała, że ma teraz wyjątkową okazję, żeby je ponowić.

– Czy uciekała wcześniej z domu?

– Och nie, ona nie jest takim typem.

– A jaka jest? – zapytała Lena, zastanawiając się, czy matka wiedziała, że córka jest w ciąży.

– Abby jest bardzo oddana rodzinie. Nigdy nie zrobiłaby czegoś tak niestosownego.

– Czasami dziewczęta w tym wieku robią różne rzeczy, nie myśląc o konsekwencjach.

– To bardziej w stylu Becki – powiedziała Esther.

– Rebecca uciekała?

Starsza kobieta zostawiła pytanie bez odpowiedzi. Zamiast tego powiedziała:

– Abby nigdy nie przechodziła okresu buntu. Pod tym względem jest bardzo podobna do mnie.

– No więc jak?

Wydawało się, że Esther już ma jej odpowiedzieć, ale się rozmyśliła.

Wzięła dzbanek i przelała do niego sok z cytryn. Podeszła do zlewu, odkręciła kurek i czekała, aż zacznie płynąć zimna woda.

Lena zastanawiała się, czy ta kobieta jest z natury powściągliwa, czy też odczuwa potrzebę cenzurowania swoich odpowiedzi, by jej brat nie odkrył, że powiedziała za dużo. Próbowwała wymyślić jakiś sposób nakłonienia jej do mówienia.

– Ja byłam najmłodsza – powiedziała, co było prawdą, choć Sybil była tylko o kilka godzin starsza. – Zawsze pakowałam się w kłopoty.

Esther mruknęła coś na znak zgody, ale nie powiedziała nic więcej.

– Trudno jest pogodzić się z tym, że rodzice są takimi samymi ludźmi jak inni – powiedziała Lena. – Domagasz się, żeby traktowali cię jak osobę dorosłą, ale sama nie chcesz wyświadczyć im tej uprzejmości.

Esther spojrzała przez ramię na długi korytarz, zanim powiedziała:

– Rebecca uciekła w zeszłym roku. Dzień później wróciła, ale napełdziła nam strachu.

– Czy Abby zniknęła kiedykolwiek przedtem? – powtórzyła Lena.

– Czasami chodziła na farmę, nie mówiąc nam o tym. – Głos Esther przeszedł prawie w szept.

– Tylko na drugą stronę drogi?

– Tak, tylko na drugą stronę drogi. Głupio pomyśleć, że byliśmy zdenerwowani. Ta farma jest przedłużeniem naszego domu, Abby była przez cały czas bezpieczna. Martwiliśmy się tylko, kiedy nadeszła pora kolacji i nie mieliśmy od niej żadnej wieści.

Lena zdała sobie sprawę, że Esther mówi o jednym konkretnym razie, a nie o powtarzających się sytuacjach.

– Abby spędziła tam noc?

– Z Levem i z tatą. Mieszkają tam z Mary. Moja matka umarła, kiedy miałam trzy lata.

– Kto to jest Mary?

– Moja najstarsza siostra.

– Starsza od Leva?

– Och nie, Lev jest najstarszym dzieckiem. Następna jest Mary, potem Rachel, potem Paul, a potem ja.

– Całkiem spora rodzina – powiedziała Lena, myśląc, że ich matka musiała umrzeć z wyczerpania.

– Tata był jedynym dzieckiem. Chciał mieć kupę dzieci wokół siebie.

– Pani ojciec jest właścicielem tej farmy?

– Do rodziny należy jej większość, reszta do kilku innych inwestorów – odparła Esther, otwierając jedną z szafek i wyjmując półtorakilogramową torbę cukru. – Tata założył ją ponad dwadzieścia lat temu.

Lena postarała się sformułować następne pytanie dyplomatycznie.

– Myślałam, że spółdzielnie są własnością pracowników.

– Wszyscy pracownicy mają po dwóch latach możliwość zainwestowania w farmę – wyjaśniła, odmierzając kubek cukru.

– Skąd pochodzą ci pracownicy?

– Przeważnie z Atlanty. – Mieszała lemoniadę drewnianą łyżką, by rozpuścił się cukier. – Niektórzy z nich przebywają tu przejściowo, szukając paru miesięcy samotności. Inni przyjmują taki sposób życia i postanawiają zostać. Nazywamy ich „duszami”, bo są jak zagubione dusze. – Na jej ustach pojawił się cierpki uśmiech. – Nie jestem naiwna. Niektórzy z nich ukrywają się po prostu przed prawem. Z tego powodu zawsze się wahamy, czy powiadamić policję. Chcemy im pomagać, nie utrzymywać ich, ale niektórzy uciekają od agresywnych małżonków czy rodziców. Nie możemy chronić tylko tych, z którymi się zgadzamy. Muszą być wszyscy albo nikt.

– O czym powiadamić policję?

– W przeszłości zdarzały się kradzieże – powiedziała Esther, po czym dodała: – Wiem, że wyrwałam się z tym jak filip z konopi, ale Lev pewnie nie wspomnieliby o tym w rozmowie z wami. Jak pani pewnie zauważyła, żyjemy tu na odludziu, a miejscowy szeryf niezbyt się pali do tego, żeby rzucać wszystko i pędzić tu tylko dlatego, że okazało się, iż brakuje jakichś wideł.

Pelham nie popędziłby nigdzie, najwyżej na obiad.

– I to wszystko? Brak wideł?

– Zginęło parę łopat, jakieś taczki.

– Drewno też?

Esther obrzuciła ją skonsternowanym spojrzeniem.

– Nic o tym nie wiem. Na farmie nie używamy dużo drewna. Ma pani na myśli tyczki? Soja nie pnie się jak winorośl.

– Co jeszcze zginęło?

– Mniej więcej miesiąc temu skradziono ze stodoły pudełko, które było kasą podręczną. Zdaje się, że było w nim około trzystu dolarów.

– Po co jest ta kasa podręczna?

– Żeby pojechać do sklepu żelaznego, czasami kupić pizzę, jeśli ludzie pracują do późna. Sami przerabiamy tutaj te rośliny, co jest monotonna pracą. Niektóre dusze nie mają wysokich kwalifikacji, ale inne szybko się tym nudzą. Przenosimy ich do innych działów farmy, takich jak dostawy, księgowość. Nie jakaś tam wielka księgowość, ale wystawianie faktur, przechowywanie dokumentów. Naszym celem jest nauczyć ich jakiejś pożytecznej umiejętności, dać im poczucie, że coś osiągnęli, by mogli to przenieść w swoje prawdziwe życie.

Dla Leny wyglądało to na jakąś sektę i nie mogła się powstrzymać, by nie powiedzieć:

– Więc przywozicie ich z Atlanty i w zamian za to mają tylko odmawiać wieczorne modlitwy?

Esther uśmiechnęła się, jakby spełniała jej kaprys.

– Prosimy ich tylko o uczestnictwo w niedzielnym nabożeństwie. Nie jest to obowiązkowe. Co wieczór o ósmej mamy spotkania w domu modlitwy i wtedy również są mile widziani. Większość z nich woli nie brać udziału w nabożeństwach i spotkaniach i nie robimy z tego problemu. Nie wymagamy niczego oprócz stosowania się do naszych zasad i odnoszenia się z szacunkiem do nas i do współpracowników.

Zboczyły z tematu i Lena próbowała znów skierować nań rozmowę.

– Pracuje pani na farmie?

– Normalnie uczę dzieci. Większość kobiet, które tu przyjeżdżają, ma dzieci. Staram się pomagać im, jak mogę, ale, jak już mówiłam, zwykle nie zostają tutaj długo. Mogę je nauczyć tylko organizacji.

– Ilu ludzi macie tutaj naraz?

– Myślę, że około dwustu osób. Może pani zapytać o to Leva. Nie

prowadzę kartoteki zatrudnienia ani takich tam rzeczy.

Lena zanotowała sobie w pamięci, żeby sprawdzić te kartoteki, chociaż przemknął jej przez głowę obraz dzieciaków poddawanych praniu mózgow, by oddawały swój ziemski dobytek i przyłączały się do tej dziwnej rodziny. Zastanawiała się, czy siedzący w salonie Jeffrey odnosi to samo wrażenie.

– Nadal uczy pani Abby?

– Przeważnie rozmawiamy o literaturze. Obawiam się, że mogę zaoferować jej niewiele więcej, niż obejmuje zwykły program szkoły średniej. Rozmawiałam z Ephraimem o wysłaniu jej do małego college'u, może w Tifton albo w zachodniej Georgii, ale nie była tym zainteresowana. Widzi pani, ona kocha pracę na farmie. Ma dar pomagania innym.

– Zawsze pani się tym zajmowała? – zapytała Lena. – To znaczy nauczaniem w domu.

– Wszyscy z nas uczyli się w domu. Wszyscy oprócz Leva. – Uśmiechnęła się z dumą. – Paul miał jeden z najwyższych w stanie wyników testów kwalifikacyjnych, kiedy poszedł na uniwersytet.

Leny nie interesowała naukowa kariera Paula.

– To pani jedyne zajęcie na farmie? Nauczanie?

– Och nie! – Esther roześmiała się. – Każdy na farmie musi kiedyś robić wszystko. Zaczęłam od pracy w polu, tak jak teraz robi Becca. Zeke jest na to jeszcze trochę za mały, ale za parę lat i on zacznie. Tata uważa, że jeśli masz któregoś dnia pokierować farmą, to musisz poznać każdą część działalności spółki. Na pewien czas utknęłam w księgowości. Niestety, mam talent do liczb. Gdyby to ode mnie zależało, leżałabym cały dzień na kanapie z książką w ręku. Tata chce, żebyśmy byli przygotowani, kiedy coś mu się stanie.

– Pokieruje pani kiedyś farmą?

Esther znowu się roześmiała, jakby prowadzenie farmy było czymś, z czym kobieta nie mogłaby sobie poradzić.

– Może Zeke albo któryś z chłopców. Chodzi o to, żeby być przygotowanym. Jest to ważne również z tego względu, że nasza siła robocza

nie ma szczególnej motywacji, by tu zostać. To ludzie z miasta, przywykli do szybszego tempa życia. Początkowo bardzo im się tutaj podoba: ten spokój, samotność, łatwość, w porównaniu z życiem na ulicy, które przedtem wiedli, ale potem zaczynają się trochę, a w końcu bardzo nudzić, i zanim się spostrzegą, wszystko, co im się tutaj tak podobało, robi się takie odpychające, że chcą od tego uciec jak najdalej. Staramy się uważnie dobierać ludzi do przyuczenia. Nie ma się ochoty poświęcić całego sezonu na nauczanie kogoś wykonywania jakiejś specjalistycznej pracy, żeby ją ni z tego, ni z owego rzucił i wrócił do miasta.

– Narkotyki? – spytała Lena.

– Oczywiście – odparła Esther. – Ale jesteśmy tu bardzo ostrożni. Musisz zasłużyć na zaufanie. Nie pozwalamy pić alkoholu ani palić papierosów na farmie. Jeśli chcesz jechać do miasta, proszę bardzo, ale nikt cię nie podwiezie. Zanim postawią nogę w tym miejscu, muszą podpisać zobowiązanie, że będą się właściwie zachowywać. Jeśli złamią przepisy, do widzenia. Większość to rozumie, a nowi dowiadują się od tych, co są tutaj od dawna, że kiedy mówimy, że za naruszenie zasad wracasz do Atlanty, to tak jest! – Jej ton złagodniał. – Wiem, że wygląda to na ostre traktowanie, ale musimy się pozbyć złych osób, żeby te, które starają się być dobre, miały szansę. Na pewno jako policjantka rozumie to pani.

– Ile osób przychodzi i odchodzi? – zapytała Lena. – Mniej więcej.

– Och, powiedziała bym, że mamy mniej więcej siedemdziesięcioprocentową rotację. – I znowu zdała się na mężczyzn z rodziny. – Musiała by pani zapytać Leva albo Paula o dokładne dane. Oni zajmują się tymi sprawami.

– Ale zauważyła pani ludzi, którzy pojawiają się tu i znikają?

– Oczywiście.

– A co z Abby? – zapytała Lena. – Jest tutaj szczęśliwa?

Esther się uśmiechnęła.

– Mam taką nadzieję, ale nigdy nie zmuszamy nikogo, żeby tu został, jeśli nie chce. – Lena kiwnęła głową, jakby zrozumiała, ale Esther czuła potrzebę, żeby dodać: – Wiem, że dla pani może to brzmieć dziw-

nie. Jesteśmy ludźmi religijnymi, ale nie widzimy sensu w nawracaniu ludzi na siłę. Kiedy przychodzisz do Pana, musisz to zrobić z własnej woli, bo inaczej nic to dla Niego nie znaczy. Zorientowałam się z pani pytań, że odnosi się pani sceptycznie do funkcjonowania tej farmy i mojej rodziny, ale mogę panią zapewnić, że pracujemy tutaj po prostu dla większego dobra. Jak widać, nie inwestujemy w dobra materialne. – Wskazała wewnątrz domu. – Inwestujemy w zbawienie dusz.

Jej łagodny uśmiech był bardziej odpychający niż wszystko inne, z czym Lena się spotkała tego dnia.

– Jakie obowiązki wykonuje Abby na farmie? – spytała, by się pozbyć tego wrażenia.

– Z liczbami radzi sobie nawet lepiej niż ja – powiedziała z dumą Esther. – Przez pewien czas pracowała w biurze, ale zaczęło ją to nudzić, wszyscy więc się zgodziliśmy, żeby zaczęła pracować jako sortowaczka. Nie jest to zbyt trudne zajęcie, ale dzięki niemu ma kontakty z mnóstwem ludzi. Lubi być wśród ludzi, wmieszać się w tłum. Przypuszczam, że każda młoda dziewczyna to czuje.

Lena odczekała chwilę, zastanawiając się, czemu ta kobieta nie zapytała jeszcze o swoją córkę. Albo wypierała myśl, że stało się jej coś złego, albo dokładnie wiedziała, gdzie jest Abby.

– Czy Abby wiedziała o tych kradzieżach?

– Wiedziało niewiele osób – odparła Esther. – Lev pozwala, by Kościół sam rozwiązywał swoje problemy.

– Kościół? – zapytała Lena, jakby się jeszcze nie domyśliła.

– Och, przepraszam – powiedziała, a Lena zaczęła się zastanawiać, dlaczego Esther prawie każde zdanie zaczyna od przeprosin. – Kościół Dla Większego Dobra. Zawsze zakładam, że każdy wie, czym się zajmujemy.

– A czym się zajmujecie?

Lenie wyraźnie niezbyt się udawało ukryć cynizm, ale Esther cierpliwie wyjaśniła:

– Farma subsydiuje pomoc, której udzielamy potrzebującym w Atlancie.

– Jakiego rodzaju pomoc?

– Staramy się kontynuować dzieło Jezusa, który pomagał ubogim. Mamy kontakty z paroma schroniskami dla bezdomnych i dla maltretowanych kobiet. Niektóre ośrodki resocjalizacji mają nasz numer zakodowany w swoich telefonach. Czasami przyjmujemy mężczyzn i kobiety, którzy właśnie wyszli z więzienia i nie mają dokąd pójść. To przerażające, jak nasz system karny przeżuwa tych ludzi i wypluwa.

– Przechowujecie jakieś informacje o nich?

– Tyle, ile możemy – odparła Esther, wracając do lemoniady. – Mamy bazę szkoleniową, gdzie uczą się pracy przy produkcji. Branża sojowa bardzo się zmieniła w ostatnich dziesięciu latach.

– Soja jest prawie we wszystkim – powiedziała Lena, myśląc, że byłoby niemądrze wspomnieć, że wie to tylko dlatego, iż mieszka z jedzącą tofu, stukniętą na punkcie zdrowej żywności lesbijką.

– Tak – przyznała Esther. Wyjęła z szafki trzy szklanki.

– Wezmę lód – zaproponowała Lena. Otworzyła zamrażarkę i zamiast kostek, których się spodziewała, zobaczyła duży blok lodu.

– Proszę to wyjąć rękami – powiedziała Esther. – Ale może ja...

– Już mam – Lena wyjęła blok i zamoczyła sobie przy tym przód koszuli.

– Po drugiej stronie drogi mamy lodownię, gdzie trzymamy to, co musi być przechowywane w chłodzie. Byłoby wstyd marnować tutaj wodę, kiedy jest jej mnóstwo po drugiej stronie drogi. – Pokazała Lenie, że powinna umieścić blok w zlewie. – Staramy się, jak możemy, chronić zasoby naturalne – powiedziała, odłupując szpikulcem kilka kawałków. – Tata był pierwszym farmerem w tym rejonie, który stosował naturalne nawadnianie z wykorzystywaniem deszczówki. Oczywiście mamy teraz na to za dużo ziemi, ale odzyskujemy, ile możemy.

Przypomniawszy sobie wcześniejsze pytanie Jeffreya o źródło pochodzenia cyjanku, Lena zapytała:

– A co z pestycydami?

– O nie – powiedziała Esther, wrzucając trochę lodu do szklanek. – Tego nie stosujemy, i nigdy nie stosowaliśmy. Stosujemy tylko natural-

ny nawóz. Nie ma pani pojęcia co fosfory robią z wodą stołową. O nie. – Roześmiała się. – Tata postawił sprawę jasno od początku: Będziemy używać tylko metod naturalnych. Jesteśmy częścią tej ziemi. Mamy zobowiązania wobec naszych sąsiadów i tych, którzy przyjdą na tę ziemię po nas.

– To brzmi bardzo... – Lena szukała jakiegoś słowa o pozytywnym wydźwięku – ...odpowiedzialnie.

– Większość ludzi uważa, że to gra niewarta świeczki – powiedziała Esther. – To trudny dylemat. Czy mamy zatruwać środowisko i zarabiać więcej pieniędzy, które potem możemy wykorzystać na pomoc dla potrzebujących, czy zachować nasze zasady i pomóc mniejszej liczbie osób? To pytanie z rodzaju tych, które często stawiał Chrystus: pomagać wielu czy nielicznym? – Podała Lenie jedną ze szklanek. – Nie jest za słodka dla pani? Obawiam się, że normalnie nie używamy tu dużo cukru.

Lena pociągnęła łyk i poczuła, jak zaciskają się jej szczęki w śmiertelnym skurczu.

– Trochę cierpkie – udało się jej wykrztusić przez ściśnięte gardło.

– Och. – Esther wyjęła z powrotem torbę i dosypała łyżeczką cukru do jej szklanki. – A teraz?

Lena znowu spróbowała, tym razem biorąc mniejszy łyk.

– Smakuje dobrze – powiedziała.

– Dobrze – powtórzyła Esther niczym echo, dosypując cukru do drugiej szklanki. Trzecią zostawiła i Lena miała nadzieję, że nie jest ona przeznaczona dla Jeffreya.

– Każdy ma inne upodobania, prawda? – powiedziała Esther, przechodząc obok Leny ku drzwiom prowadzącym na korytarz.

Lena poszła za nią.

– W jakim sensie?

– Mówię o smaku – wyjaśniła Esther. – Abby uwielbia słodcyce. Pewnego razu, kiedy była jeszcze mała, zjadła prawie cały kubek cukru, zanim się zorientowałam, że dobrała się do szafki.

– Macie mnóstwo książek – powiedziała Lena, kiedy mijały bibliote-

kę.

– Przeważnie klasykę. Oczywiście trochę chałtury i powieści o Dzikim Zachodzie. Ephraim lubi kryminały. Myślę, że pociąga go w nich to, że wszystko jest tam albo czarne, albo białe. Z jednej strony dobrzy, z drugiej źli faceci.

– To byłoby piękne – powiedziała Lena, zanim zdała sobie sprawę z tego, co mówi.

– Becca uwielbia romanse. Pokaż jej książkę z długowłosym adoniselem na okładce, a skończy ją w dwie godziny.

– Pozwala jej pani czytać romanse? – spytała Lena. Myślała, że ci ludzie są takimi samymi oszołomami jak ci, którzy domagają się zakazu wydawania Harry’ego Pottera.

– Pozwalamy dzieciom czytać, co się im podoba. To rekompensata za to, że nie mamy w domu telewizora. Nawet jeśli czytają szmirę, to i tak lepiej, niż gdyby oglądały ją na ekranie.

Lena kiwnęła głową, chociaż zastanawiała się, jakby to było żyć w domu bez telewizora. Oglądanie bezmyślnych programów było jedyną rzeczą, która przez ostatnie trzy lata pozwoliła jej pozostać przy zdrowych zmysłach.

– Jesteście – powiedział Lev, kiedy weszły do pokoju. Wziął od Esther szklankę i podał ją Jeffreyowi.

– Och nie – powiedziała Esther, zabierając ją z powrotem. – Ta jest dla ciebie. – Podała słodsza lemoniadę Jeffreyowi, który, podobnie jak Ephraim, stał, kiedy weszły. – Nie przypuszczam, żeby lubił pan taką cierpką jak Lev.

– Nie, proszę pani – przyznał Jeffrey. – Dziękuję.

Otworzyły się drzwi frontowe i wszedł mężczyzna wyglądający jak męska wersja Esther, trzymając pod łokieć starszą kobietę, która wydawała się zbyt słaba, by chodzić bez niczyjej pomocy.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział mężczyzna.

Jeffrey przesunął się, biorąc swoją lemoniadę, żeby kobieta mogła usiąść w fotelu. Do domu weszła jeszcze jedna kobieta, która była bardziej podobna do Leva, z jasnymi, rudawymi włosami upiętymi w kok

na czubku głowy. Według Leny wyglądała jak typowa, krzepka chłopka, która może urodzić dziecko na polu i przez resztę dnia zbierać bawełnę. Do diabła, wszyscy w tej rodzinie wyglądali krzepko. Najniższa była Esther, a była o dobre dwadzieścia centymetrów wyższa od Leny.

– Mój brat Paul – powiedział Lev, wskazując świeżo przybyłego. – To jest Rachel. – Chłopka skinęła głową na powitanie. – I Mary.

Z tego, co powiedziała Esther, wynikało, że Mary jest młodsza od Leva, ma prawdopodobnie czterdzieści parę lat, ale wyglądała i zachowywała się, jakby była o dwadzieścia lat starsza. Powoli sadowiła się w fotelu, jakby się bała, że upadnie i złamie sobie biodro. Nawet jej głos brzmiał starczo, kiedy powiedziała tonem, który budził litość:

– Musicie mi wybaczyć, nie czuję się dobrze.

– Ojciec nie może do nas dołączyć – powiedział Lev, zręcznie schodząc siostrze z drogi. – Miał wylew. Ostatnio nieczęsto wychodzi.

– W porządku – powiedział Jeffrey, a potem zwrócił się do pozostałych członków rodziny: – Jestem komendant Tolliver. To detektyw Adams. Dziękuję państwu za przybycie.

– Może usiądziemy? – zaproponowała Rachel. Podeszła do kanapy i pokazała Esther, żeby usiadła obok niej. I znowu Lena wyczuła podział obowiązków między mężczyzn i kobiety w tej rodzinie – do jednych należało rozmieszczenie wszystkich przy stole czy w salonie i obowiązki kuchenne, do drugich cała reszta.

Jeffrey przechylił lekko głowę w bok, wskazując Lenie miejsce po lewej ręce Esther, sam zaś oparł się o gzyms kominka. Lev poczekał, aż Lena usiądzie, po czym pomógł Ephraimowi usiąść w fotelu obok Jeffreya. Jeffrey uniósł nieco brwi i Lena już wiedziała, że pewnie sporo się nasłuchał, kiedy była w kuchni. Nie mogła się doczekać, kiedy porównają zdobyte informacje.

– A więc – powiedział Jeffrey, jakby pogawędki już się skończyły i mogli wreszcie przejść do spraw poważnych. – Mówicie, że waszej Abby nie ma od dziesięciu dni?

– To moja wina – rzekł Lev i Lena zaczęła się zastanawiać, co ma zamiar wyznać. – Myślałem, że Abby jest z rodziną na misji w Atlancie.

Ephraim myślał, że jest z nami na farmie.

– Wszyscy tak myśleliśmy – odezwał się Paul. – Nie sądzę, że musimy obarczać kogoś winą za to.

Lena po raz pierwszy przyjrzała się badawczo temu mężczyźnie, myśląc, że mówi jak prawnik. Jako jedyna osoba z tej rodziny był w ubraniu, które wyglądało na kupione w sklepie. Miał garnitur w prążki, krawat w kolorze fuksji do białej koszuli. Włosy miał fachowo ostrzyżone i ułożone. Paul Ward wyglądał na mieszczaucha, stojącego obok wieśniaków – swoich braci i sióstr.

– Bez względu na to, jak było, nikt z nas nie sądził, że dzieje się coś niemiłego – powiedziała Rachel.

Jeffrey musiał usłyszeć pełną historię farmy, bo jego następne pytanie nie dotyczyło rodziny ani funkcjonowania spółdzielni.

– Czy na farmie był ktoś, z kim Abby lubiła przebywać? Może jeden z robotników?

– Właściwie nie pozwalaliśmy jej zadawać się z nimi – powiedziała Rachel.

– Na pewno spotykała się z innymi ludźmi – rzekł Jeffrey i pociągnął łyk lemoniady. Kiedy odstawił szklanke na gzyms kominka, zdawał się robić wszystko, co było w jego mocy, by się nie otrząsnąć po wypiciu cierpkiego napoju.

– Oczywiście chodziła na zebrania kościelne, ale robotnicy rolni to ludzie nieokrzesani – dodała Esther. – Abby właściwie nie została zapoznana z tą częścią farmy. Powiedziano jej, żeby trzymała się od nich z daleka.

– Ale trochę pracowała w polu? – zapytała Lena, pamiętając wcześniejszą rozmowę z Esther.

– Tak, ale tylko z innymi członkami rodziny. Przeważnie z kuzynami – powiedział Lev. – Mamy dość dużą rodzinę.

Esther zaczęła wymieniać:

– Rachel ma czwórkę, Paul sześćoro. Synowie Mary mieszkają w stanie Wyoming, a... – Nie dokończyła.

– A? – podchwycił Jeffrey.

Rachel odchrząknęła, ale to Paul przemówił.

– Nieczęsto nas odwiedzają – powiedział, a napięcie w jego głosie odzwierciedlało to, co Lena nagle wyczuła w pokoju. – Nie było ich tu kawałek czasu.

– Dziesięć lat – powiedziała Mary, patrząc w sufit, jakby chciała powstrzymać łzy. Lena zastanawiała się, czy nie uciekli z farmy z krzykiem. Ona na pewno by tak zrobiła.

– Wybrali inną drogę – kontynuowała Mary. – Modłę się za nich codziennie, kiedy wstanę, i każdego wieczoru, zanim pójdę spać.

Wyczuwając, że Mary może na pewien czas zdominować rozmowę, Lena zapytała Leva:

– A pan jest żonaty?

– Już nie. – Po raz pierwszy wydawał się nie panować nad wyrazem twarzy. – Żona odeszła parę lat temu przy porodzie. – Uśmiechnął się boleśnie. – Naszego jedyne go dziecka, niestety, ale mam na pociechę mojego Ezekiela.

Jeffrey odczekał stosowną chwilę, zanim stwierdził:

– A zatem wy myśleliście, że Abby jest z rodzicami, a jej rodzice, że z wami. To było ile? Dziesięć dni temu, kiedy pojechaliście na misję?

– Zgadza się – odparła Esther.

– I jeździcie na te misje cztery razy w roku?

– Tak.

– Jest pani dyplomowaną pielęgniarką?

Esther skinęła głową i Lena starała się ukryć zaskoczenie. Ta kobieta wydawała się na skinienie ręki dostarczać z własnej woli mnóstwa bezużytecznych informacji o sobie. To, że zachowała ten jeden szczegół dla siebie, wydawało się podejrzane.

– Kiedy się pobraliśmy z Ephraimem, studiowałam w Georgia Medical College. Tata uważał, że dobrze będzie mieć na farmie kogoś z wiedzą praktyczną o pierwszej pomocy, a pozostałe dziewczyny nie znoszą widoku krwi.

– To prawda – potwierdziła Rachel.

– Dużo zdarza się tu wypadków? – zapytał Jeffrey.

– Dzięki Bogu nie. Trzy lata temu pewien mężczyzna przeciął sobie ścięgno Achillesa. To był niezły pasztet. Dzięki mojemu wykształceniu udało mi się zatamować krwawienie, ale nie mogłam zrobić dla niego nic poza podstawowym opatrzeniem rany. Naprawdę potrzebujemy tu lekarza.

– U kogo zwykle się leczycie? – zapytał Jeffrey. – Macie tu dzieci. – Jakby się tłumaczył, dodał: – Moja żona jest pediatrą w mieście.

– Sara Linton. Oczywiście – wtrącił Lev. Przez jego twarz przemknął lekki uśmiech, który świadczył o tym, że wie, o kim mowa.

– Zna pan Sarę?

– Dawno temu chodziliśmy razem do szkoły niedzielnej. – Lev przeciągnął słowo „dawno”, jakby kryło się w nim wiele wspólnych sekretów.

Lena widziała, że Jeffreya zirytowała ta zażyłość; czy był zazdrosny czy tylko opiekuńczy – tego nie wiedziała.

Nie pozwolił jednak, żeby irytacja przeszkodziła w śledztwie, skierował więc znowu rozmowę na właściwe tory.

– Czy normalnie pani nie telefonuje, żeby sprawdzić, co się dzieje? – zwrócił się do Esther. Ponieważ wydawała się zdezorientowana, dodał: – Kiedy jest pani w Atlancie. Nie dzwoni pani, żeby sprawdzić, co robią dzieci?

– Są z rodziną – odparła. Powiedziała to powściągliwym tonem, ale Lena zobaczyła błysk w jej oczach, jakby poczuła się obrażona.

– Jesteśmy bardzo ze sobą zżyci, komendancie Tolliver. Jeśli pan jeszcze tego nie zauważył. – Rachel podjęła temat poruszony przez siostrę.

Jeffrey przyjął tego prztyczka w nos lepiej, niż zrobiłaby to Lena.

– Może mi pani powiedzieć, kiedy pani zdała sobie sprawę, że Abby zaginęła? – zapytał Esther.

– Wróciliśmy wczoraj późnym wieczorem – odparła. – Najpierw pojechaliśmy na farmę, żeby zobaczyć się z tatą i zabrać Abby i Beccę...

– Becca też nie pojechała z wami? – wtrąciła Lena.

– Och, oczywiście, że nie – powiedziała jej matka, jak gdyby Lena

zasugerowała coś niedorzecznego. – Ona ma dopiero czternaście lat.

– Racja – rzekła Lena, nie mając pojęcia, jaki jest odpowiedni wiek na objazd schronisk dla bezdomnych w Atlancie.

– Becca została z nami w domu – powiedział Lev. – Lubi spędzać czas z moim synem Zekiem. Kiedy Abby nie pojawiła się pierwszego wieczoru na kolacji – mówił dalej – Becca po prostu doszła do wniosku, że Abby zmieniała zamiary i pojechała do Atlanty. Nie uznała nawet za stosowne poruszyć tego tematu.

– Chciałbym z nią porozmawiać – rzekł Jeffrey.

Levowi wyraźnie nie spodobała się ta prośba, ale kiwnął głową na znak zgody.

– W porządku.

Jeffrey spróbował jeszcze raz:

– Abby się z nikim nie spotykała? Z jakimś chłopakiem, którym była zainteresowana?

– Wiem, że z powodu jej wieku trudno w to uwierzyć – odparł Lev – ale Abby żyła pod kloszem. Nauki pobierała w domu. Niewiele wiedziała o życiu poza farmą. Próbowaliśmy ją do tego przygotować, zabierając ją do Atlanty, ale nie lubiła tego. Woląca życie bardziej zbliżone do klasztornego.

– Była przedtem na misjach.

– Tak. Dwa razy. Nie podobało jej się to, nie lubiła wyjeżdżać – wyjaśniła Esther.

– „Zbliżone do klasztornego” to ciekawe określenie – zauważył Jeffrey.

– Wiem, że to brzmi tak, jakby była zakonnica – powiedział Lev – i może nie jest tak bardzo odległe od prawdy. Oczywiście nie jest katoliczką, ale jest niezwykle pobożna. Ma zamiłowanie do służenia naszemu Panu.

– Amen – bąknął pod nosem Ephraim, ale w uszach Leny zabrzmiało to zdawkowo, jak „na zdrowie”, kiedy ktoś kichnie.

– Była bardzo silna w wierze – dodała Esther i szybko położyła dłoń na ustach, jakby uświadomiła sobie swoje przejęzyczenie. Po raz pierw-

szy powiedziała o córce w czasie przeszłym. Siedząca obok niej Rachel wzięła ją za rękę.

– Czy na farmie kręcił się ktoś, kto wydawał się zwracać na nią większą uwagę, niż powinien? – kontynuował Jeffrey. – Może jakiś obcy?

– Mamy tu wielu obcych, komendancie Tolliver – odparł Lev. – Taki jest charakter naszej pracy: zapraszać obcych do naszych domów. Iza-jasz błaga nas, byśmy „przyprawiali ubogich, którzy są wyrzuceni, do waszego domu”. Naszym obowiązkiem jest im pomagać.

– Amen – wyrecytowała monotonicznie rodzina.

– Pamięta pani, jak była ubrana, kiedy widziała ją pani po raz ostatni? – Jeffrey znowu zwrócił się do Esther.

– Tak, oczywiście. – Esther przerwała na chwilę, jakby to wspomnienie mogło przerwać tamę i uwolnić emocje, które powstrzymywała. – Wspólnie uszyliśmy niebieską sukienkę. Abby uwielbiała szyc. Znalazłyśmy wykrój w starym kufrze na strychu, który, jak mi się zdaje, należał do matki Ephraima. Dokonałyśmy paru zmian, żeby uwspółcześić fason. Miała ją na sobie, kiedy się zegnałyśmy.

– To było tutaj, w domu?

– Tak, wczesnym rankiem tamtego dnia. Becca poszła już na farmę.

– Becca była u mnie – wyjaśniła Mary.

– Coś jeszcze? – zapytał Jeffrey.

– Abby jest bardzo spokojna. W dzieciństwie nigdy się nie rozłościła. Taka wyjątkowa dziewczyna.

Odezwał się Lev, śmiertelnie poważnym głosem, który sprawiał, że jego słowa brzmiały nie jak komplement pod adresem siostry, lecz ze-znanie do protokołu:

– Abby jest bardzo podobna do swojej matki, komendancie Tolliver. Mają taki sam kolor włosów, taki sam migdałowy kształt oczu. Jest bardzo atrakcyjną dziewczyną.

Lena powtórzyła jego słowa w myślach, zastanawiając się, czy daje do zrozumienia, że jego siostrzenicy mógłby pragnąć inny mężczyzna, czy też wyjawia coś o sobie. Tego faceta trudno było rozgryźć. W jednej

chwili wydawał się bardzo otwarty i szczerzy, a w następnej nie była nawet pewna, czy uwierzyłaby mu, gdyby powiedział, że niebo jest niebieskie. Było oczywiste, że ten kaznodzieja jest nie tylko głową Kościoła, ale również rodziny, i Lena miała niejasne wrażenie, że jest dużo bystrzejszy, niż daje po sobie poznać.

Esther dotknęła swoich włosów, przywołując wspomnienia.

– Zawiązałam jej wstążkę we włosach. Niebieską. Teraz sobie przypominam. Ephraim załadował wszystko do samochodu i byliśmy gotowi do wyjazdu, kiedy znalazłam tę wstążkę w torebce. Trzymałam ją, bo myślałam, że będę ją mogła wykorzystać jako ozdobę do sukienki czy coś takiego, ale tak dobrze pasowała do jej sukienki, że powiedziałam jej, by podeszła, a ona się pochyliła, kiedy zawiązałam jej tę wstążkę we włosach... – Jej głos ucichł i Lena zobaczyła, że przetyka ślinę. – Miała najdelikatniejsze włosy...

Rachel ścisnęła rękę siostry. Esther patrzyła przez okno, jakby chciała być poza domem, z dala od tej sceny. Lena wiedziała, że jest to mechanizm obronny, który znają aż nazbyt dobrze. Było o wiele łatwiej uciec od rzeczywistości, niż uzewnętrzniać swoje emocje.

– Rachel i ja mieszkamy z naszymi rodzinami na farmie – powiedział Paul. – Oczywiście w oddzielnych domach, ale blisko głównego budynku. Kiedy ostatniej nocy nie mogliśmy ustalić miejsca pobytu Abby, przeszukaliśmy dokładnie cały teren. Robotnicy szli tyralierą. Sprawdziliśmy domy, pozostałe budynki, od piwnic po strych. Ponieważ nie udało nam się jej znaleźć, zadzwoniliśmy do szeryfa.

– Przepraszam, że zajęło mu tyle czasu, by na to zareagować – powiedział Jeffrey. – Są tam bardzo zajęci.

– Nie sądzę – zaczął Paul – by wiele osób w policji przejmowało się tym, że zaginęła dwudziestojednoletnia dziewczyna.

– A to dlaczego?

– Dziewczyny stale uciekają, prawda? – odparł. – Nie jesteśmy tutaj zupełnie nieświadomi tego, co się dzieje na świecie.

– Nie rozumiem.

– Jestem w tej rodzinie czarną owcą – powiedział Paul i po reakcji

jego rodzeństwa Lena poznała, że to stary rodzinny dowcip. – Jestem prawnikiem. Zajmuję się prawną stroną działalności farmy. Większość czasu spędzam w Savannah. Co drugi tydzień spędzam w mieście.

– Był pan tutaj w ubiegłym tygodniu? – zapytał Jeffrey.

– Przyjechałem wczoraj, kiedy dowiedziałem się o Abby – odparł i w pokoju zapadła cisza.

– Słyszeliśmy pogłoski – powiedziała Rachel. – Straszne pogłoski.

Ephraim przyłożył rękę do piersi. Jego palce drżały.

– To ona, prawda?

– Tak sędzę. – Jeffrey sięgnął do kieszeni i wyjął polaroidowe zdjęcie.

Ephraimowi za bardzo trzęsły się ręce, żeby mógł je wziąć, więc zrobił to Lev. Lena przyglądała się, jak obaj patrzą na zdjęcie. Podczas gdy Ephraim był opanowany i cichy, Lev głośno wciągnął powietrze, a potem zamknął oczy, chociaż nie popłynęły z nich łzy. Lena patrzyła, jak jego usta poruszają się w bezgłośnie modlitwie. Ephraim gapił się tylko na zdjęcie, a drżenie jego ciała tak się nasiliło, że fotel zdawał się wibrować.

Za nim stał Paul i patrzył na zdjęcie z obojętną miną. Przyglądała mu się bacznie, wypatrując jakichś oznak poczucia winy, potem oznak jakichkolwiek uczuć. Ale stał nieruchomo jak głaz, podskoczyło tylko jego jabłko Adama, gdy przelatywał ślinę.

Esther odchrząknęła.

– Mogę? – powiedziała, prosząc o zdjęcie. Wydawała się zupełnie opanowana, ale widać było, że pod tym pozornym spokojem kryją się strach i ból.

– Och, matko – zaczął Ephraim, głosem łamiącym się ze smutku. – Możesz spojrzeć, jeśli chcesz, ale, wierz mi, nie chciałabyś widzieć jej w takim stanie. Nie chciałabyś zachować tego w pamięci.

Esther nie sprzeciwiła się życzeniu męża, ale po zdjęcie sięgnęła Rachel. Lena widziała, jak jej usta zaciskają się w napiętą linię.

– Drogi Jezu – wyszeptała starsza kobieta. – Dlaczego?

Bez względu na to, czy chciała to zrobić czy nie, Esther zerknęła

przez ramię siostry i zobaczyła zdjęcie swojego martwego dziecka. Jej ramiona zaczęły się trząść, początkowo nieznacznie, a potem chwycił ją spazm rozpaczy, kiedy ukryła twarz w dłoniach.

– Nie! – załkała.

Mary siedziała spokojnie w swoim fotelu, ale nagle wstała z rękami przyciśniętymi do piersi i wybiegła z pokoju. Parę sekund później usłyszeli, jak zatraskują się drzwi kuchni.

Lev w milczeniu, patrzył, jak siostra wychodzi, ale chociaż Lena nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy, miała wrażenie, że rozzłościło go melodramatyczne wyjście Mary.

Odchrząknął i powiedział:

– Komendancie Tolliver, mógłby pan nam powiedzieć, co się stało?

Jeffrey się zawahał, a Lena zastanawiała się, ile im powie.

– Znaleźliśmy ją w lesie – powiedział. – Była zakopana w ziemi.

– O Boże – jęknęła Esther, zginając się wpół, jakby poczuła przeszywający ból. Rachel, z drżącymi ustami i łzami spływającymi po twarzy, potarła plecy siostry.

– Zabrakło jej powietrza. – Jeffrey nie wdawał się w szczegóły.

– Moje małeństwo – jęczała Esther. – Moja biedna Abigail.

Wróciły dzieci z zagrody dla świń, a za nimi zatrzasnęły się z hałasem siatkowe drzwi. Wszyscy dorośli podskoczyli jak na odgłos wystrzału.

Pierwszy przemówił Ephraim. Z wyraźnym trudem starał się opanować:

– Zeke, co ci mówiono o zamykaniu drzwi?

Zeke oparł się o nogę Leva. Był chudym chłopcem i na razie nic nie świadczyło, że będzie kiedyś równie wysoki jak jego ojciec. Ręce miał cienkie jak zapalki.

– Przepraszam, wujku Eph.

– Przepraszam, tato – powiedziała Becca, mimo że to nie ona trzasnęła drzwiami. Również ona była chuda jak tyczka i chociaż Lena nie była dobra w odgadywaniu wieku, dałaby jej czternaście lat. Najwyraźniej nie weszła jeszcze w okres kwitnienia.

Zeke patrzył na ciotkę, jego wargi drżały. Widać było, że wyczuwa, iż coś się stało. W jego oczach pojawiły się łzy.

– Chodź tutaj, dziecko – powiedziała Rachel i posadziła go sobie na kolana. Położyła dłoń na jego nodze, pieszcząc go i uspokajając. Starła się zapanować nad swoim żalem, ale jej się nie udało.

Rebecca trzymała się przy drzwiach.

– Co się stało? – zapytała.

– Twoja siostra odeszła do Pana – wyjaśnił Lev, kładąc jej rękę na ramieniu.

Oczy nastolatki się rozszerzyły. Otworzyła usta i przyłożyła rękę do brzucha. Próbowwała o coś zapytać, ale z jej ust nie wydobyło się żadne słowo.

– Pomódlmy się wspólnie – powiedział Lev.

– Co? – wyszeptwała Rebecca, jakby uszło z niej powietrze.

Nikt nie odpowiedział na to pytanie. Wszyscy oprócz Rebecki pochylili głowy, ale zamiast wysłuchać, jak spodziewała się Lena, grzmiącego kazania z ust Leva, trwali w milczeniu.

Rebecca stała z ręką przyciśniętą do brzucha i szeroko otwartymi oczami, podczas gdy reszta jej rodziny się modliła.

Lena rzuciła Jeffreyowi pytające spojrzenie, zastanawiając się, co powinni teraz zrobić. Czuła się zdenerwowana, skrepowana. Hank przestał ciągnąć ją i Sybil do kościoła, kiedy podarła Biblię innej dziewczynki. Nie była przyzwyczajona do przebywania wśród ludzi religijnych, chyba że znajdowali się w komisariacie.

Jeffrey wzruszył tylko ramionami i pociągnął łyk lemoniady. Ramiona powędrowały mu do góry i widziała, jak rusza szczęką, żeby pozbyć się kwaśnego smaku.

– Przepraszam – powiedział do nich Lev. – Co możemy zrobić?

– Potrzebuję dokumentów dotyczących zatrudnienia wszystkich osób pracujących na farmie. Chciałbym porozmawiać z każdym, kto miał kontakty z Abigail w ostatnim roku. Chcę przeszukać jej pokój, żeby sprawdzić, czy nie uda się nam czegoś znaleźć. Chciałbym wziąć komputer, o którym pan wspomniał, i sprawdzić, czy nie nawiązała

z kimś kontaktu przez internet.

– Nigdy nie była sama przy komputerze – rzekł Ephraim.

– Mimo to, panie Bennett, musimy wszystko sprawdzić.

– Są dokładni, Ephraimie – powiedział Lev. – Ostateczna decyzja należy do ciebie, ale myślę, że powinniśmy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby im pomóc, choćby tylko po to, by wyeliminować pewne ewentualności.

Jeffrey skwapliwie to wykorzystał.

– Nie miałby pan nic przeciwko poddaniu się badaniom na wykrywaczu kłamstw?

– Sądzę, że tak. – Paul wyglądał tak, jakby miał się roześmiać.

– Nie mów za mnie, proszę – przeciwstawił się Lev bratu. Do Jeffreyego powiedział: – Zrobimy wszystko, co możemy, żeby wam pomóc.

– Nie sądzę... – zaoponował Paul.

Esther wyprostowała ramiona. Twarz miała spuchniętą od płaczu, czerwone obwódki wokół oczu.

– Proszę, nie sprzeczczać się – rzekła do braci.

– Nie sprzeczcza się – powiedział Paul, ale takim tonem, jakby rwał się do kłótni.

W ciągu wielu lat pracy Lena widziała, jak żal obnaża prawdziwą osobowość ludzi. Wyczuwała napięcie między Paulem i jego starszym bratem i zastanawiała się, czy jest to zwykła rywalizacja między rodzeństwem, czy ma to głębsze przyczyny. Ton Esther dawał do zrozumienia, że ta para sprzeczczała się już wcześniej.

Lev podniósł głos, ale mówił do dzieci.

– Rebecco, może weźmiesz Zeke'a do ogrodu? Jest tam ciocia Mary i jestem pewien, że cię potrzebuje.

– Chwileczkę – odezwał się Jeffrey. – Mam do niej kilka pytań.

Paul położył dłoń na ramieniu siostrzenicy.

– Niech pan zaczyna – powiedział, a jego ton i postawa wskazywały, że będzie trzymał Jeffreyego krótko.

– Rebecco, wiedziałaś, czy twoja siostra się z kimś spotyka? – zapytał Jeffrey.

Dziewczyna spojrzała na wuja, jakby prosząc o pozwolenie. W końcu jej wzrok spoczął ponownie na Jeffreyu.

– To znaczy z chłopakiem?

– Tak – odparł, a Lena od razu wiedziała, że to bezowocne wysiłki. Nie było mowy, żeby ta dziewczyna mówiła otwarcie przed całą rodziną, tym bardziej że sama była nastawiona trochę buntowniczo. Jedynym sposobem wydobywania z niej prawdy była rozmowa z nią sam na sam, a Lena poważnie wątpiła, by Paul – czy którykolwiek inny z tych mężczyzn – pozwolił na to.

Rebecca znowu spojrzała na wuja, zanim odpowiedziała:

– Abby nie wolno było umawiać się z chłopcami.

Jeśli Jeffrey zauważył, że nie odpowiedziała na pytanie, to nie dał tego po sobie poznać.

– Uważałaś, że to dziwne, kiedy nie dołączyła do ciebie na farmie po wyjeździe rodziców?

Lena obserwowała dłoń Paula na ramieniu dziewczynki, starając się zobaczyć, czy nie wywiera na nią presji. Nie mogła się zorientować.

– Rebecca? – ponaglił ją Jeffrey.

Dziewczynka uniosła nieco brodę i powiedziała:

– Myślałam, że się rozmyśliła. – Po chwili dodała: – Czy ona naprawdę...?

Jeffrey skinął głową.

– Obawiam się, że tak – powiedział. – Właśnie dlatego potrzebujemy twojej pomocy, żeby się dowiedzieć, kto jej to zrobił.

Do jej oczu napłynęły łzy, a Lev wydawał się tracić nieco opanowanie na widok cierpienia siostrzenicy.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko... – zwrócił się do Jeffrey'a. – Zabierz Zeke'a do ciotki Mary, skarbie. Wszystko będzie dobrze – powiedział do niej, kiedy policjant skinął głową.

Paul poczekał, aż wyjdą, po czym wrócił do sprawy.

– Muszę panu przypomnieć, że dokumenty zatrudnienia są różnej jakości. Dajemy jedzenie i dach nad głową w zamian za uczciwą pracę.

– Nikomu nie płacicie? – wyrwało się Lenie.

– Oczywiście, że płacimy – warknął Paul. Musiał być już wcześniej o to pytany. – Niektórzy biorą pieniądze, inni przekazują je na Kościół. Jest paru pracowników, którzy są tu od dziesięciu, dwudziestu lat i nigdy nie mieli grosza w kieszeni. W zamian za pracę mają zapewnione miejsce, gdzie żyją bezpiecznie, rodzinę i przekonanie, że nie zmarnowali życia. – Dla podkreślenia wskazał na pokój, w którym stał, zupełnie tak samo, jak wcześniej zrobiła to jego siostra w kuchni. – Wszyscy żyjemy bardzo skromnie, pani detektyw. Naszym celem jest pomaganie innym, nie sobie.

Jeffrey odchrząknął.

– Mimo to chcielibyśmy z nimi wszystkimi porozmawiać.

– Komputer może pan wziąć teraz – zaproponował Paul. – Mogę załatwić, żeby ludzi, którzy mieli kontakty z Abby, przywieziono jutro z samego rana do komisariatu.

– Żniwa – przypomniał mu Lev, po czym wyjaśnił: – Specjalizujemy się w edamame, młodych strąkach soi. Najlepsza pora zbiorów jest od wschodu słońca do dziewiątej rano, potem strąki trzeba obrobić i zamrozić. To bardzo pracochłonny proces, a nie używamy zbyt wielu maszyn.

Jeffrey spojrział przez okno.

– Nie możemy jechać tam teraz?

– Chociaż bardzo chcę dotrzeć do tego, kto się za tym kryje – zaczął Paul – nie możemy przerywać pracy.

– Musimy też szanować naszych robotników – dodał Lev. – Jestem pewien, że może pan sobie wyobrazić, że niektórzy z nich robią się nerwowi na widok policji. Niektórzy byli ofiarami brutalności policji, inni siedzieli niedawno w więzieniu i są bardzo bojaźliwi. Mamy tutaj kobiety i dzieci, które były bite w domu, a miejscowa policja im nie pomogła...

– Zgoda – rzekł Jeffrey, jakby już wcześniej słyszał tę mowę.

– To własność prywatna – przypomniał mu Paul; mówił i wyglądał w każdym calu jak prawnik.

– Możemy przesunąć ludzi, żeby zastąpili tych, którzy stykali się

z Abby. Może być w środę rano?

– Chyba nie mam wyboru – odparł Jeffrey, a jego ton świadczył, że jest niezadowolony z tej zwłoki.

Esther trzymała ręce złożone na podolku i Lena czuła, że promieniuje od niej coś w rodzaju złości. Wyraźnie nie zgadzała się z braćmi i równie wyraźnie widać było, że się im nie przeciwstawi.

– Zaprowadzę was do jej pokoju – zaproponowała.

– Dziękuję – powiedziała Lena i wszyscy jednocześnie wstali. Na szczęście poszedł za nimi tylko Jeffrey.

Esther zatrzymała się przed ostatnimi drzwiami po prawej i oparła się mocno dłonią o drewno, jakby nie ufała nogom, że ją utrzymają.

– Wiem, że to dla pani ciężkie – powiedziała Lena. – Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby znaleźć tego, kto to zrobił.

– Była bardzo zamknięta w sobie.

– Myśli pani, że miała przed panią jakieś sekrety?

– Wszystkie córki mają sekrety przed matkami. – Esther otworzyła drzwi i zajrzała do pokoju, a jej twarz ściągnęła się ze smutku, kiedy zobaczyła rzeczy córki. Lena tak samo odnosiła się do rzeczy Sybil, każda z nich przywoływała jakieś wspomnienia, jakieś szczęśliwsze czasy, kiedy Sybil żyła.

– Pani Bennett? – powiedział Jeffrey. Esther blokowała wejście.

– Proszę – powiedziała i złapała go za rękaw marynarki. – Odkryjcie, dlaczego to się stało. Musi być jakiś powód.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy...

– To nie wystarczy – nalegała. – Proszę. Muszę wiedzieć, dlaczego odeszła. Muszę to wiedzieć dla spokoju mojego ducha.

Lena zobaczyła, że Jeffreyowi chodzi grdyka.

– Nie chcę składać pustych obietnic, pani Bennett. Mogę tylko pani obiecać, że będę się starał. – Wyjął swoją wizytówkę, zerkając przez ramię, by się upewnić, że nikt tego nie widzi. – Na odwrocie jest mój numer domowy. Może pani zadzwonić o każdej porze.

Esther zawahała się, zanim wzięła wizytówkę, a potem odsunęła się, pozwalając im wejść do pokoju córki.

– Zostawiam was tutaj.

Kiedy Esther wróciła do rodziny, Jeffrey wymienił z Leną jeszcze jedno spojrzenie. Lena widziała, że martwi się tak samo jak ona. Prośba była zrozumiała, ale oznaczała jeszcze większą presję w sprawie, która i tak zapowiadała się jako niezwykle trudna.

Weszła do pokoju, żeby zacząć przeszukiwanie, ale Jeffrey został na korytarzu i patrzył w stronę kuchni. Zerknął na pokój dzienny, jakby chciał się upewnić, że nie jest obserwowany, po czym poszedł korytarzem. Lena miała już iść za nim, kiedy pojawił się w drzwiach z Rebeccą Bennett.

Zręcznie wprowadził dziewczynkę do sypialni siostry, trzymając ją pod łokieć jak zatroskany wuj.

– To bardzo ważne, żebyś porozmawiała z nami o Abby – powiedział cicho.

Rebecca zerknęła nerwowo w stronę drzwi.

– Chcesz, żebym je zamknęła? – zaproponowała Lena, kładąc dłoń na klamce.

Po chwili zastanowienia Rebecca potrząsnęła głową. Lena przyglądała się jej badawczo, myśląc, że jest piękna, podczas gdy jej siostra miała pospolitą urodę. Rozplotła warkocz i gęste pasma opadających falami na ramiona ciemnobrązowych włosów lekko się kręciły. Esther powiedziała, że dziewczynka ma czternaście lat, ale mimo młodego wieku było w niej coś kobiecego, co pewnie przyciągało uwagę mężczyzn na farmie. Lena przyłapała się na tym, że się zastanawia, jak to się stało, że uprowadzona i pogrzebana w skrzyni została Abby zamiast Rebecki.

– Czy Abby się z kimś spotykała? – zapytał Jeffrey.

Rebecca zagryzła dolną wargę. Jeffrey umiał dawać ludziom czas, ale Lena widziała, że robi się nerwowy, bo członkowie rodziny dziewczynki mogli w każdej chwili wejść do pokoju.

– Ja też mam starszą siostrę – powiedziała Lena, pomijając fakt, że siostra nie żyje. – Wiem, że nie chcesz na nią donosić, ale Abby już nie ma. Nie wpędzisz jej w kłopoty, mówiąc nam prawdę.

Dziewczynka nadal zagryzała wargę.

– Nie wiem – wybąkała, a do oczu napłynęły jej łzy. Spojrzała na Jeffrey'a i Lena odgadła, że z nich dwojga to on jest dla Rebecki ważniejszy.

– Powiedz mi, Rebecca – nalegał Jeffrey.

– Czasami w dzień gdzieś szła – przyznała z trudem.

– Sama?

Rebecca skinęła głową.

– Mówiła, że jedzie do miasta. Ale to za długo trwało.

– Jak długo?

– Nie wiem.

– Dojazd stąd do centrum zabiera około piętnastu minut – obliczał za nią Jeffrey. – Powiedzmy, że jechała do sklepu, to zajęłoby kolejne piętnaście albo dwadzieścia minut, prawda? – Dziewczynka skinęła głową. – Powinna więc wrócić najpóźniej za godzinę, prawda?

Dziewczynka znowu kiwnęła głową.

– Tylko że to były bardziej dwie godziny.

– Czy ktoś ją o to pytał?

– Po prostu zauważyłam.

– Założę się, że zauważasz wiele rzeczy – rzekł Jeffrey. – Pewnie zwracasz większą uwagę niż dorośli na to, co się dzieje.

Rebecca wzruszyła ramionami, ale komplement podzielał.

– Po prostu zachowywała się śmiesznie.

– Jak?

– Rano wymiotowała, ale powiedziała mi, żebym nie mówiła mamie.

Ciąża, pomyślała Lena.

– Czy powiedziała ci, dlaczego wymiotowała? – spytał Jeffrey.

– Powiedziała, że coś zjadła, ale ona dużo nie jadła.

– Jak myślisz, dlaczego nie chciała, żebyś powiedziała mamie?

– Bo mama by się martwiła – odparła Rebecca. Wzruszyła ramionami. – Abby nie lubiła, kiedy ludzie się o nią martwili.

– A ty się martwiłaś?

Lena zobaczyła, że dziewczynka przetyka ślinę.

– Czasami płakała w nocy. – Przechyliła głowę na bok. – Następny

pokój jest mój. Słyszałam ją.

– Płakała z jakiegoś konkretnego powodu? – zapytał Jeffrey, a po tonie jego głosu Lena poznała, że się wysiła, by być miłą dla dziewczynki.
– Może ktoś zranił jej uczucia?

– Biblia uczy nas wybaczać – odparła Rebecca. Gdyby Lena usłyszała to od kogoś innego, mogłaby pomyśleć, że zachowuje się teatralnie, ale ta mała zdawała się przekazywać to, co uważała za mądrą radę, a nie za kazanie. – Jeśli nie potrafimy wybaczać innym, to Pan nam nie będzie mógł wybaczyć.

– Był ktoś, komu musiała wybaczyć?

– Gdyby był – zaczęła Rebecca – to modliłaby się o pomoc.

– Jak myślisz, dlaczego płakała?

Rebecca spojrzała na pokój, z widocznym smutkiem ogarniając wzrokiem rzeczy siostry. Prawdopodobnie myślała o Abby, o tym, jaki wydawał się ten pokój, kiedy jej starsza siostra żyła. Lena zastanawiała się, jak układały się stosunki między nimi. Ona i Sybil, chociaż były bliźniaczkami, walczyły ze sobą o wszystko, począwszy od tego, która z nich usiądzie na przednim fotelu w samochodzie, a skończywszy na tym, która odbierze telefon. Nie mogła sobie jakoś wyobrazić Abby zachowującej się w podobny sposób.

– Nie wiem, dlaczego była smutna. Nie mówiła mi – odpowiedziała w końcu Rebecca.

– Na pewno, Rebecco? – zapytał Jeffrey. Uśmiechnął się do niej zachęcająco. – Możesz nam powiedzieć. Nie rozzłościemy się ani nie będziemy jej osądzać. Chcemy tylko znać prawdę, żebyśmy mogli znaleźć osobę, która skrzywdziła Abby, i ukarać ją.

– Wiem, że chcecie pomóc. – Skinęła głową, ze łzami w oczach.

– Nie możemy pomóc Abby, jeśli ty nam nie pomożesz – powiedział Jeffrey. – Cokolwiek, Rebecco, bez względu na to, jak głupie to się teraz wydaje. Pozwól nam zadecydować, czy to ważne czy nie.

Spoglądała to na Lenę, to na Jeffrey'a. Lena nie mogła się zorientować, czy dziewczynka coś ukrywa, czy też po prostu boi się rozmawiać z obcymi bez zgody rodziców. Tak czy inaczej, musieli ją skłonić, by od-

powiedziała na ich pytania, zanim ktoś zacznie się zastanawiać, gdzie jest.

– Chcesz porozmawiać tylko ze mną, skarbie? Możemy porozmawiać tylko we dwie, jeśli chcesz. – Lena starała się mówić łagodnym głosem.

I znowu Rebecca zdawała się nad tym zastanawiać. Minęło co najmniej pół minuty, zanim powiedziała:

– Ja... – akurat w chwili, kiedy trzasnęły z impetem drzwi do ogrodu. Dziewczynka podskoczyła, jak na odgłos wystrzału.

Z pokoju frontowego odezwał się męski głos:

– Becca, to ty?

Na korytarzu pojawił się Zeke i kiedy Rebecca zobaczyła swojego kuzyna, podeszła do niego i wzięła go za rękę.

– To ja, tato – zawołała i poprowadziła chłopca do rodziny.

Lena zmeła przekleństwo, które cisnęło się jej na usta.

– Myślisz, że ona coś wie? – zapytał Jeffrey.

– Za cholerę nie wiem.

Jeffrey zdawał się z nią zgadzać. Usłyszała nutę zawodu w jego głosie, kiedy powiedział:

– Kończmy z tym.

Podeszła do dużej komody przy drzwiach. Jeffrey zajął się stojącym naprzeciw niej biurkiem. Pokój był mały, miał chyba trzy na trzy metry. Do ściany pod oknem, które wychodziło na stodołę, przysunięte było podwójne łóżko. Na białych ścianach nie było żadnych plakatów ani innych ozdób, które świadczyłyby, że to pokój młodej dziewczyny. Łóżko było porządnie zasłane, różnobarwna narzuta ułożona na kant ostry jak brzytwa. O poduszki oparty był pluszowy Snoopy, prawdopodobnie starszy od Abby, z głową przechyloną na bok od wieloletniego przytulania.

W jednej z górnych szuflad leżały schludnie złożone skarpety. Lena otworzyła drugą i zobaczyła tak samo złożoną bieliznę. To, że dziewczyna traciła czas na składanie bielizny, wywarło na Lenie ogromne wrażenie. Widać było, że Abby była pedantką, dbającą o porządek

w swoich rzeczach. Niższe szuflady świadczyły o dokładności graniczącej z obsesją.

Każdy ma ulubione miejsce, w którym chowa ważne rzeczy, tak jak każdy policjant ma ulubione miejsce, w które zagląda. Jeffrey sprawdzał pod łóżkiem, między materacem i sprężynami. Lena podeszła do szafy wnękowej i uklękła, by sprawdzić buty. Stały tam trzy pary, wszystkie znoszone, ale dobrze utrzymane. Adidasy były wypastowane do białości, czółenka miały naprawione obcasy. Trzecia para była nieskazitelna, prawdopodobnie były to jej niedzielne buty.

Lena postukała kostkami palców w deski podłogi, szukając skrytki. Nie usłyszała żadnego podejrzanego dźwięku, a deski były solidnie przybite. Następnie przejrzała sukienki wiszące rzędem na drążku. Nie miała linijki, ale przysięgłaby, że odstęp między nimi były równe, żadna nie dotykała sąsiedniej. Był tam też długi płaszcz zimowy, najwyraźniej kupiony w sklepie. Kieszenie miał puste, podszewkę nienaruszoną. Nic nie było schowane w rozprutym szwie ani w sekretnej kieszonce.

– I co? – zapytał Lev, który stanął w drzwiach z komputerem w rękach.

Lena drgnęła, ale starała się tego nie pokazać. Jeffrey wyprostował się, z rękami w kieszeniach.

– Nic przydatnego – odparł.

Lev podał Jeffreyowi komputer z wlokącym się za nim kablem. Kiedy przeszukiwali pokój, Lena zastanawiała się, czy sam go sprawdził. Paul niewątpliwie zrobiłby to.

– Możecie go trzymać tak długo, jak chcecie – powiedział Lev. – Zdziwiłbym się, gdybyście w nim coś znaleźli.

– Jak pan powiedział – odparł Jeffrey, owijając kabel wokół komputera – musimy wyeliminować każdą ewentualność. – Skinął głową na Lenę i wyszła za nim z pokoju. Idąc korytarzem, słyszała rozmowy, ale kiedy doszli do salonu, wszyscy milczeli.

– Przykro mi z powodu straty, której pani doznała – powiedział Jeffrey do Esther.

Patrzyła prosto na niego, a spojrzenie jej bladozielonych oczu nawet

Lenie wydawało się przesywające. Nie powiedziała ani słowa, ale jej niema prośba była oczywista.

Lev otworzył drzwi frontowe.

– Dziękuję państwu – powiedział. – Będę u was w środę o dziewiątej rano.

Wydawało się, że Paul chce coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Lena niemal widziała, co przebiega przez jego prawniczy mózg. Prawdopodobnie dobijało go to, że Lev zgodził się poddać badaniu wariografem. Wyobrażała sobie, że Paul nieźle nagada bratu, kiedy stąd wyjadą.

– Będziemy musieli wezwać kogoś, żeby przeprowadził to badanie – powiedział Jeffrey do Leva.

– Oczywiście – zgodził się Lev. – Ale muszę powtórzyć, że tylko ja mogę się zgłosić dobrowolnie. Podobnie ludzie, z którymi będziecie jutro rozmawiać, zgłoszą się tam na ochotnika. Nie chcę panu mówić, komendancie Tolliver, jak ma pan wykonywać swoją pracę, ale sprowadzenie ich tam będzie trudne. Jeśli spróbuje pan ich zmusić do poddania się badaniu na wykrywaczu kłamstw, to pewnie wyjdą.

– Dziękuję za radę – powiedział Jeffrey nieszczerym tonem. – Mógłby pan przysłać również waszego brygadzystę?

– Cole’a? – Paul zdawał się zaskoczony tą prośbą.

– On prawdopodobnie miał kontakty ze wszystkimi na farmie – powiedział Lev. – To dobry pomysł.

– Skoro już przy tym jesteśmy – rzekł Paul, zerkając w stronę Jeffrey’a. – Farma jest własnością prywatną. Na ogół nie gościmy tu policji, chyba że służbowo.

– Uważa pan, że to nie jest służbowa sprawa?

– Sprawa rodzinna – odparł, po czym wyciągnął rękę. – Dziękuję za całą pomoc.

– Mógłby mi pan powiedzieć, czy Abby miała prawo jazdy?

Paul opuścił rękę.

– Oczywiście. Była wystarczająco dorosła.

– Miała samochód?

– Pożyczała od Mary – odparł Paul. – Siostra jakiś czas temu przestała prowadzić. Abby korzystała z jej samochodu, by dostarczać posiłki, robić różne sprawunki w mieście.

– Sama to robiła?

– Na ogół – przyznał Paul niechętnie, jak każdy prawnik, który udziela informacji, nie uzyskując nic w zamian.

– Abby kochała pomagać ludziom – dodał Lev.

Paul położył dłoń na ramieniu brata.

– Dziękuję wam – rzekł Lev.

Lena i Jeffrey stali u stóp schodów, przyglądając się, jak Lev wchodzi do domu i stanowczo zamyka za sobą drzwi.

Lena westchnęła, idąc w stronę samochodu. Jeffrey ruszył za nią, zatrzymując swoje myśli dla siebie. Nie odezwał się, dopóki nie wjechali na główną drogę i nie minęli budynków spółdzielni. Lena widziała teraz to miejsce w nowym świetle i zastanawiała się, co się tam naprawdę dzieje.

– Dziwna rodzina – powiedział Jeffrey.

– Mowa.

– Nie wyjdzie nam na dobre, jeśli damy się zaślepić naszym uprzedzeniom – powiedział, rzuciwszy jej ostre spojrzenie.

– Chyba mam prawo do własnego zdania.

– Masz – powiedział i czuła, że jego wzrok spoczął na bliznach na grzbietach jej dłoni. – Ale jak się będziesz czuła za rok, jeśli ta sprawa nie zostanie rozwiązana, bo potrafiliśmy się skupić tylko na ich religii?

– A jeśli stanie się tak dlatego, że są nawiedzonymi fanatykami?

– Ludzie zabijają z różnych powodów – przypomniał jej. – Dla pieniędzy, z miłości, z pożądania, z zemsty. Na tym musimy się skupić. Kto ma motyw? Kto ma środki?

Miał rację, ale Lena wiedziała z pierwszej ręki, że czasami ludzie robią pewne rzeczy, bo są pieprzonymi czubkami. Bez względu na to, co powiedział Jeffrey, było zbyt dużym zbiegiem okoliczności, że ta dziewczyna skończyła życie pogrzebana żywcem w skrzyni w środku lasu, a jej rodzina była bandą fanatycznie wierzących wieśniaków.

– Nie sądzisz, że to może być mord rytualny? – zapytała.

– Myślę, że żal jej matki był autentyczny.

– Tak – zgodziła się z nim. – Ja też odniosłam takie wrażenie. – Czuliła potrzebę, by zwrócić na coś jego uwagę: – To nie znaczy, że nie maczała w tym palców reszta rodziny. Wyznają tam jakiś pieprzony kult.

– Wszystkie religie są kultami – powiedział i chociaż Lena nienawidziła religii, nie mogła się z nim zgodzić.

– Nie nazwałabym baptystów kultem.

– Mają podobne zapatrywania, uznają te same wartości i mają takie same przekonania religijne. To kult.

– Hmm – mruknęła. Nadal się z nim nie zgadzała, ale nie wiedziała, jak zakwestionować to, co powiedział. Wątpiła, by papież przyznał, że jest głową kultu. Są dominujące religie i są świry, które hodoją węże i uważają, że elektryczność jest kanałem prowadzącym prosto do diabła.

– Cały czas pozostaje kwestia cyjanku – powiedział Jeffrey. – Skąd pochodził?

– Esther powiedziała, że nie stosują pestycydów.

– Nie ma mowy, byśmy dostali nakaz przeszukania, żeby to sprawdzić. Nawet gdyby Ed Pelham zgodził się współpracować z nami, nie mamy podstaw.

– Żałuję, że się lepiej nie rozejrzeliśmy, kiedy tam byliśmy.

– Trzeba się dokładniej przyjrzeć temu Cole’owi.

– Myślisz, że przyjedzie w środę rano?

– Trudno powiedzieć – rzekł, potem zapytał: – Co robisz dziś wieczorem?

– Dlaczego pytasz?

– Chcesz pójść do Różowego Kociaka?

– Do tego baru z gołymi pannami przy A-16?

– Do lokalu ze striptizem – poprawił ją, jakby go obraziła. Prowadząc samochód jedną ręką, pogrzebał w kieszeni i wyciągnął kartonik zapalek. Rzucił je Lenie, która rozpoznała na opakowaniu logo Różowego Kociaka. Przed barem był ogromny neon, który widać było z odległości wielu kilometrów.

– Powiedz mi, dlaczego naiwna dwudziestojednolatka miałaby wziąć zapalki firmowe z klubu striptizowego i wsunąć je w tyłek swojego ulubionego pluszaka? – zapytał Jeffrey.

To dlatego tak się interesował pieskiem na łóżku Abby. Ukryła w nim te zapalki.

– Dobre pytanie – odpowiedziała i otworzyła kartonik. Ani jedna zapalka nie była zużyta.

– Podjadę po ciebie o dziesiątej trzydzieści.

6

Kiedy Tessa otworzyła frontowe drzwi, Sara leżała na kanapie z mokrą szmatką na twarzy.

– Sissy? – zawołała Tessa. – Jesteś w domu?

– Tutaj – wymamrotała Sara przez szmatkę.

– O Chryste – powiedziała Tessa. Sara czuła, że siostra kręci się przy wezłowie kanapy. – Co znowu zrobił Jeffrey?

– Dlaczego obwiniasz Jeffreya?

Tessa ściszyła odtwarzacz płyt kompaktowych.

– Słuchasz Dolly Parton tylko wtedy, kiedy jesteś przygnębiona.

Sara przesunęła szmatkę na czoło, by mogła widzieć siostrę. Tessa czytała tekst na tylnej ściance opakowania płyty.

– To nowe nagrania starych przebojów.

– Domyślam się, że opuściłaś szóstą piosenkę? – zapytała Tessa, rzucając pudełko na stertę, którą Sara ułożyła, kiedy szukała czegoś do słuchania. – Boże, wyglądasz okropnie.

– Czuję się okropnie – przyznała Sara. Przyglądanie się sekcji zwłok Abigail Bennett było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie musiała ostatnio zrobić. Dziewczyna nie odeszła łagodnie. Jej narządy przestały funkcjonować jeden po drugim, aż w końcu pozostał tylko mózg. Abby wiedziała, co się dzieje, czuła każdą sekundę konania aż do bolesnego końca.

Sara była tak rozstrojona, że zadzwoniła z komórki do Jeffreya. Za-

miast otworzyć przed nim serce, musiała odpowiadać na jego szczegółowe pytania dotyczące sekcji. Jeffrey tak się spieszył, by skończyć rozmowę, że nawet się z nią nie pożegnał.

– To jest lepsze – powiedziała Tessa, kiedy z głośników rozległ się szept Steely’ego Dana.

Sara wyjrzała przez okno, zaskoczona, że zaszło już słońce.

– Która godzina?

– Prawie siódma – rzekła Tessa, ścisząc odtwarzacz. – Mama coś ci przysłała.

Sara usiadła z westchnieniem, pozwalając, by szmatka spadła z jej twarzy. U stóp Tessy zobaczyła brązową papierową torbę.

– Co?

– Pieczeń wołową i tort czekoladowy.

Sara usłyszała, że burczy jej w żołądku. Po raz pierwszy tego dnia poczuła głód. Jak na hasło wpadły charty. Ocaliła je parę lat temu, a one w podzięce za to starały się zjeść wszystko, co miała w domu.

– Odejdź – powiedziała Tessa ostrzegawczo do Boba, większego z dwóch psów, kiedy obwąchiwał torbę. Teraz dla odmiany podszedł Billy, ale odepchnęła go nogą.

– Ty w ogóle je karmisz? – spytała siostrę.

– Czasami.

Tessa podniosła torbę i postawiła ją na blacie kuchennym obok butelki wina, którą Sara otworzyła, gdy tylko wróciła do domu. Nawet się nie przebrała, tylko naląła sobie wina, pociągnęła zdrowy łyk i zmoczyła szmatkę, po czym padła na kanapę.

– Tata cię podrzucił? – zapytała Sara, zastanawiając się, dlaczego nie słyszała samochodu. Tessa nie powinna prowadzić, kiedy brała leki przeciwpadaczkowe, ale zasada ta musiała zostać złamana.

– Wzięłam rower – odparła, patrząc na wino, którego Sara sobie naląła. – Za trochę tego mogłabym zabić.

Sara otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Tessa nie powinna mieszać leków z alkoholem, ale była dorosła, a Sara nie była jej matką.

– Wiem – powiedziała Tessa, odczytując wyraz twarzy siostry. – Ale

mogę czegoś chcieć, prawda? – Otworzyła torbę i wyjęła plik korespondencji. – Wzięłam to z twojej skrzynki – powiedziała. – Sprawdzasz od czasu do czasu swoją pocztę? Jest tu z milion katalogów.

Na jednej z kopert było coś brązowego i Sara podejrzliwie to powąchała. Z ulgą stwierdziła, że to sos pieczeniowy.

– Przepraszam – powiedziała Tessa. Wyjęła papierowy talerz zawinięty w folię aluminiową i podsunęła go Sarze. – Chyba przeciekło.

– Och tak. – Sara prawie jęknęła, kiedy odwinęła folię. Cathy Linton robiła marny tort czekoladowy według przepisu przekazywanego w rodzinie Earnshawów od trzech pokoleń. – Za dużo tego – powiedziała Sara, zauważywszy, że porcja tortu wystarczyłaby dla dwóch osób.

– Proszę – rzekła Tessa, wyjmując z torby jeszcze dwa pojemniki tupperware. – Masz się tym podzielić z Jeffreyem.

– Dobrze. – Sara wyjęła z szuflady widelczyk, po czym usiadła na stołku przy stole kuchennym.

– Nie zjesz pieczeni? – zapytała Tessa.

Sara włożyła duży kawałek tortu do ust i popiła go winem.

– Mama zawsze mówiła, że kiedy będę mogła zapłacić za własny dach nad głową, to będę mogła jeść na kolację, co będę chciała.

– Chciałabym móc zapłacić za własny dach nad głową – mruknęła Tessa, zgarniając palcem trochę czekolady z talerza Sary. – Mam dosyć nicnierobienia.

– Nadal pracujesz.

– Jako pomagierka taty, podając mu narzędzia.

– Depresja jest skutkiem ubocznym leków, które bierzesz. – Sara zjadła kolejny kawałek tortu.

– Pozwól, że dodam to do listy.

– Masz inne problemy?

Tessa wzruszyła ramionami, zgarniając okruchy z blatu.

– Brakuje mi Devona – powiedziała. Mówiła o swoim byłym mężu, ojcu jej nieżyjącego dziecka. – Brakuje mi mężczyzny.

Sara dziubnęła tort, nie po raz pierwszy żałując, że nie zabiła Devona Lockwooda, kiedy miała okazję.

– No tak – powiedziała Tessa i zmieniła temat. – Powiedz mi, co tym razem zrobił Jeffrey.

Sara jęknęła, wracając do tortu.

– Powiedz.

– Może mieć wirusowe zapalenie wątroby – ustąpiła Sara po kilku sekundach.

– Którego typu?

– Dobre pytanie.

Tessa zmarszczyła brwi.

– Ma jakieś objawy?

– Inne niż ciężka głupota i ostre wyparcie? – zapytała Sara. – Nie.

– Jak się zaraził?

– A jak myślisz?

– Aa. – Tessa przyciągnęła stółek do stołka Sary i usiadła. – Ale to było dawno temu, prawda?

– Czy to ważne? – Poprawiła się. – To znaczy tak, to ważne. To było przedtem. Ten jeden raz przedtem.

Tessa zasznurowała usta. Nie robiła tajemnicy z tego, że nie sądzi, by Jeffrey przespał się z Jolene tylko raz. Sara już myślała, że chce znowu o tym rozmawiać, ale zamiast tego Tessa zapytała:

– No i co z tym robicie?

– Sprzeczamy się – przyznała Sara. – Po prostu nie mogę przestać o niej myśleć. O tym, co z nią robił. – Wzięła kolejny kawałek tortu, przeżuła i przełknęła. – On nie tylko... – Starła się znaleźć słowo, które oddawałoby całe jej obrzydzenie. – On nie tylko ją przeleciał. On się do niej zalecał. Dzwonił do niej. Śmiał się z nią. Może posyłał jej kwiaty. – Gapiała się na czekoladę ściekającą z boku talerza. Czy rozsmarowywał czekoladę na jej udach i zlizywał? Ile przeżyli intymnych chwil prowadzących do tego ostatniego dnia? Ile ich było potem?

Wszystko, co robił Jeffrey, by czuła się wyjątkowa, by myślała, że jest mężczyzną, z którym chce dzielić resztę życia, łatwo można było zastosować wobec innej kobiety. Do diabła, pewnie nie tylko wobec jednej. Jeffrey miał tak bogate życie seksualne, że nie powstydziliby się go Hugh

Hefner. Jak to możliwe, żeby mężczyzna, który potrafił być tak miły, był tym samym sukinsynem, przez którego czuła się jak zbity pies? Czy był to jakiś nowy sposób, który wynalazł, żeby ją z powrotem zdobyć? Czy użyje go w stosunku do innej, kiedy już ją usidli?

Problem polegał na tym, że Sara doskonale wiedziała, jak Jo udało się go poderwać. Dla Jeffreya musiała być to gra, wyzwanie. Jolene miała w tych sprawach dużo większe doświadczenie niż Sara. Prawdopodobnie wiedziała, jak ma z nim toczyć tę grę, równoważąc umiejętnie flirt z podpuszczaniem, żeby połknął haczyk, a potem powoli wyciągnęła go jak dorodną rybę. Na pewno nie skończyła na pierwszej randce z piętami zapartymi o krawędź zlewozmywaka w kuchni, wijąc się z ekstazy na podłodze i gryząc się w język, by nie wykrzykiwać jego imienia.

– Dlaczego tak się uśmiechasz do zlewozmywaka? – zapytała Tessa.

Sara potrząsnęła głową i upiła łyk wina.

– Po prostu nienawidzę tego. Nienawidzę tego wszystkiego. A Jimmy Powell znowu źle się czuje.

– Ten chłopiec z białaczką?

Sara kiwnęła głową.

– Nie wygląda to dobrze. Jutro muszę go obejrzyć w szpitalu.

– Jak było w Macon?

W głowie Sary pojawił się nieproszony obraz dziewczyny na stole, z rozpiętym ciałem, i lekarza sięgającego do jej łona, by wyjąć płód. Jeszcze jedno dziecko stracone. Jeszcze jedna rodzina zdruzgotana. Nie wiedziała, ile jeszcze razy będzie mogła być świadkiem czegoś takiego, zanim się załamie.

– Saro? – zapytała Tessa.

– Było tak okropnie, jak przypuszczałam. – Sara pokręciła palcem w resztkę sosu czekoladowego. Podczas tej rozmowy zjadła całą porcję tortu.

Tessa podeszła do lodówki, wyjęła pudełko lodów i wróciła do poprzedniego tematu.

– Musisz to sobie odpuścić, Saro. Jeffrey zrobił to, co zrobił, i nic tego

nie zmieni. Albo wraca do twojego życia, albo nie, ale nie możesz stale to przyjmować go, to odtrącać. – Otworzyła pudełko. – Chcesz trochę?

– Nie powinnam – powiedziała Sara, podsuwając swój talerz.

– Ja zawsze zdradzałam, a nie byłam zdradzana – zauważyła Tessa. Wyjęła dwie łyżki i zamknęła szufladę biodrem. – Devon po prostu odszedł. Nie zdradzał mnie. Myślę, że nie zdradzał. – Nałożyła parę łyżek lodów na talerz Sary. – A może zdradzał.

Sara podłożyła drugą rękę pod talerz, żeby go nie upuścić.

– Nie sądzę.

– Nie – zgodziła się Tessa. – Ledwie znajdował czas dla mnie, a co dopiero dla innej kobiety. Mówiłam ci, że raz zasnął w czasie, gdy się kochaliśmy? – Sara skinęła głową. – Jezu, jak ludzie mogą interesować się sobą przez pięćdziesiąt lat?

Sara wzruszyła ramionami. Nie była w tych sprawach specjalistką.

– Boże, ale kiedy nie spał, był dobry w łóżku – westchnęła Tessa, trzymając łyżkę w ustach. – Musisz o jednym pamiętać, jeśli chodzi o twoje stosunki z Jeffreyem. Nigdy nie lekceważ wzajemnego pociągu seksualnego. – Nałożyła porcję lodów na talerz Sary. – Devon się mną znudził.

– Nie mów głupstw.

– Naprawdę – powiedziała. – Był znudzony. Nie chciał już robić tych rzeczy.

– Jakich? Na przykład wyjść gdzieś z tobą?

– Na przykład mogłam go skłonić do położenia się na mnie tylko w jeden sposób – stawiając sobie telewizor na brzuchu i wkładając pilota w...

– Tess!

Tessa zachichotała i włożyła do ust dużą porcję lodów. Sara pamiętała, kiedy ostatnim razem jadły wspólnie lody. W dniu, w którym Tessa została napadnięta, poszły do Dairy Queen na koktajl mleczny. Dwie godziny później Tessa leżała na ziemi z rozciętą głową, a dziecko w jej brzuchu nie żyło.

Tessa zapała się rękami o blat i zacisnęła powieki. Sara, przestra-

szona, zeskoczyła ze stołka, ale Tessa wyjaśniła:

– Ból głowy po lodach.

– Dam ci wody.

– Poradzę sobie. – Włożyła głowę pod kran kuchenny i pociągnęła łyk. Otarła usta i spytała: – Jezu, skąd się to bierze?

– Nerw trójdzielny w...

– Nie musisz odpowiadać na każde pytanie, Saro – weszła jej w słowo Tessa.

Sara przyjęła to jako naganę i spuściła wzrok.

Tessa włożyła do ust mniejszą porcję lodów, po czym podjęła temat Devona.

– Po prostu mi go brakuje.

– Wiem, skarbie.

Nie było nic więcej do powiedzenia w tej sprawie. Zdaniem Sary Devon pokazał w końcu swoje prawdziwe oblicze, odchodząc chyłkiem, kiedy sytuacja stała się trudna. Jej siostra dobrze wyszła na tym, że się go pozbyła, chociaż Sara rozumiała, że w tamtej chwili trudno jej było to pojąć. Jeśli chodzi o Sarę, to jedyny raz, kiedy zobaczyła Devona w centrum, przeszła na drugą stronę ulicy, żeby nie musiała mijać go na chodniku. Był z nią Jeffrey i prawie wyrwała mu rękę, żeby go powstrzymać, by nie podszedł do tamtego i nie powiedział mu paru słów.

– Nie będę się już z nikim kochać – oświadczyła Tessa ni z tego, ni z owego.

Sara roześmiała się w głoś.

– Mówię poważnie.

– Dlaczego?

– Masz Cheetos?

Sara podeszła do szafki, żeby wyjąć torebkę.

– To przez ten nowy Kościół? – Starła się ostrożnie zadać to pytanie.

– Nie. – Tessa wzięła torebkę. – Może. – Otworzyła opakowanie zębami. – Chodzi po prostu o to, że to, co dotychczas robiłam, się nie sprawdza. Byłabym głupia, żeby dalej to robić.

– Co się nie sprawdza?

– Wszystko. – Podsunęła torebkę Sarze, ale ta odmówiła i rozpięła zamek spódnicy, żeby móc oddychać.

– Powiedział ci ktoś, dlaczego jest tu Bella? – zapytała Tessa.

– Miałam nadzieję, że ty będziesz wiedziała.

– Nic mi nie mówią. Za każdym razem, kiedy wchodzę do pokoju, przerywają rozmowę. Jestem jak przycisk wyłączający głos w telefonie.

– Ja też – uświadomiła sobie Sara.

– Zrobisz mi przysługę?

– Oczywiście – odparła Sara, zauważywszy zmianę w jej głosie.

– Jedź ze mną do kościoła w środę wieczorem.

Sara poczuła się jak ryba wyrzucona z akwarium; łapała powietrze szeroko otwartymi ustami, kiedy starała się wymyślić jakąś wymówkę.

– To nie jest nawet Kościół – powiedziała Tessa. – To bardziej przypomina zebranie kółka zainteresowań. Ludzie się kręcą, rozmawiają. Są nawet ciastka.

– Tess...

– Wiem, że nie chcesz iść, ale ja chcę, żebyś tam poszła. – Tessa wzruszyła ramionami. – Zrób to dla mnie.

Był to sposób stosowany od dwudziestu lat przez Cathy, żeby skłonić córki do wzięcia udziału w nabożeństwach wielkanocnych i bożonarodzeniowych.

– Tessie – zaczęła Sara. – Wiesz, że ja nie wierzę...

– Ja też nie jestem pewna, czy wierzę – przerwała jej Tessa. – Ale tam jest miło.

Sara wstała, żeby włożyć pieczeń do lodówki.

– Parę miesięcy temu poznałam na fizykoterapii Thomasa.

– Kto to jest Thomas?

– Ktoś w rodzaju głowy tego Kościoła – odparła Tessa. – Jakiś czas temu miał wylew. Dość poważny. Naprawdę trudno go zrozumieć, ale on potrafi rozmawiać z tobą, nie mówiąc ani słowa.

W zmywarce były od paru dni czyste naczynia, więc Sara zaczęła ją opróżniać tylko po to, by się czymś zająć.

– To było niesamowite – kontynuowała Tessa. – Robiłam moje głupie ćwiczenia ruchowe, wkładając kołeczki w odpowiednie dziury, kiedy poczułam, że ktoś się na mnie gapi, podniosłam głowę i to był ten stary na wózku inwalidzkim. Nazwał mnie Cathy.

– Cathy? – powtórzyła Sara.

– Tak, on zna mamę.

– Skąd zna mamę? – zapytała Sara, przekonana, że zna wszystkich znajomych matki.

– Nie wiem.

– Zapytałaś ją?

– Próbowałam, ale była zajęta.

Sara zamknęła zmywarkę i oparła się o blat.

– I co było potem?

– Zapytał, czy chciałabym przyjść do kościoła. – Tessa zamilkła na chwilę. – Chodząc na fizykoterapię, widząc tych wszystkich ludzi, którzy są w dużo gorszym stanie niż ja... – Wzruszyła ramionami. – To naprawdę sprawia, że zaczynasz patrzeć na wszystko inaczej, wiesz? Zupełnie jakbym zmarnowała swoje życie.

– Nie zmarnowałaś swojego życia.

– Mam trzydzieści cztery lata i nadal mieszkam z rodzicami.

– Nad garażem.

Tessa westchnęła.

– Po prostu myślę, że to, co mi się przydarzyło, nie powinno pójść na marne.

– To się w ogóle nie powinno było zdarzyć.

– Leżałam na tym szpitalnym łóżku, użalając się nad sobą, wkurzona na cały świat za to, co mi się przytrafiło. I wtedy to do mnie dotarło. Przez całe życie byłam egoistką.

– Nie byłaś.

– Owszem, byłam. Nawet ty to mówiłaś.

Jeszcze nigdy Sara nie żałowała tak bardzo słów, które wypowiedziała.

– Byłam wtedy na ciebie zła, Tess.

– Wiesz co? To tak, jak kiedy człowiek się upije, a potem mówi, że nie chciał czegoś powiedzieć, więc powinnaś mu wybaczyć i zapomnieć, bo był pijany. Alkohol znosi zahamowania – wyjaśniła. – Nie gadasz wtedy kłamstw. Byłaś na mnie zła i powiedziałaś, co naprawdę myślałaś.

– Nie myślałam tak. – Sara starała się ją zapewnić, ale nawet dla niej samej nie zabrzmiało to przekonująco.

– Prawie umarłam i za co? Co zrobiłam ze swoim życiem? – Zaciśnęła pięści. Ponownie zmieniła temat. – Jaka jest jedyna rzecz, której żałowałabyś, że nie zrobiłaś, gdybyś umarła?

Że nie miałam dziecka, pomyślała natychmiast Sara, ale nie powiedziała tego.

Tessa wyczytała to z jej miny.

– Zawsze możesz adoptować.

Sara wzruszyła ramionami. Nie mogła zdobyć się na odpowiedź.

– Nigdy o tym nie rozmawiamy. To się stało prawie piętnaście lat temu, a nigdy o tym nie rozmawiamy.

– Jest powód.

– Jaki?

Sara nie chciała się w to zagłębiać.

– Jaki jest sens rozmawiać o tym, Tessie? Nic się nie zmieni. Nie ma żadnej cudownej terapii.

– Tak dobrze sobie radzisz z dziećmi, Saro. Byłabyś dobrą matką.

Sara wypowiedziała dwa słowa, których nienawidziła bardziej niż jakichkolwiek innych:

– Nie mogę. – Potem: – Tessie, proszę.

Tessa skinęła głową, chociaż Sara widziała, że jest to tylko chwilowy odwrót.

– No cóż, żałowałabym tego, że nie zostawię nic po sobie. Że nie zrobiłam nic, by uczynić świat lepszym.

– I tak to robisz. – Sara wzięła chusteczkę, by wydmuchać nos.

– Nic nie dzieje się bez powodu – upierała się Tessa. – Wiem, że w to nie wierzysz. Wiem, że nie ufasz niczemu, co nie ma oparcia w jakiejś

teorii naukowej albo za czym nie stoi biblioteka pełna książek, ale ja tego potrzebuję. Muszę wiedzieć, że wszystko się dzieje z jakiegoś powodu. Muszę myśleć, że wyjdzie coś dobrego z tego, że straciłam... – W tym miejscu urwała, nie mogąc wymówić imienia dziecka, które utraciła.

Na cmentarzu była mała płytką z imieniem jej córeczki, wciśnięta między grób rodziców Cathy i ukochanego wuja, który zginął w Korei. Za każdym razem, kiedy pomyślała o tym zimnym grobie i utraconych możliwościach, Sarze ścisnęło się serce.

– Znasz jego syna.

Sara zmarszczyła brwi.

– Czyjego syna?

– Toma. Chodził z tobą do szkoły. – Tessa włożyła do ust garść ciasteczek, po czym zamknęła torebkę. – Ma rude włosy jak ty – powiedziała, żując.

– Chodził ze mną do szkoły? – zapytała sceptycznie Sara. Rudzi uważali się nawzajem, ponieważ wyróżniali się z ogółu i pasowali do innych jak pięść do nosa.

Sara wiedziała na pewno, że podczas całej nauki w Szkole Podstawowej Cady Stanton była jedynym dzieckiem o rudych włosach. Dotąd zostały jej blizny na duszy, które tego dowodziły.

– Jak się nazywa?

– Lev Ward.

– W Stanton nie było żadnego Leva Warda.

– To była szkoła niedzielna – wyjaśniła Tessa. – Zna o tobie parę zabawnych opowieści.

– O mnie? – powtórzyła Sara, bo ciekawość zaczęła brać górę.

– A poza tym – dodała Tessa, jakby to mogło ją przekonać – ma najcudowniejszego pięcioletniego synka, jakiego kiedykolwiek widziałas.

Sara przejrzała podstęp.

– Spotygam cudownych pięciolatek w klinice.

– Po prostu przemyśl moją prośbę. Nie musisz mi dawać odpowiedzi teraz. – Tessa spojrzała na zegarek. – Muszę wrócić, zanim się ściem-

ni.

– Chcesz, żebym cię odwiozła?

– Nie, dzięki. – Tessa pocałowała ją w policzek. – Na razie.

Sara otarła okruszy pączków z policzka siostry.

– Uważaj na siebie.

– To nie tylko seks. – Tessa zbierała się już do wyjścia, ale się zatrzymała.

– Co?

– Twoje sprawy z Jeffreyem – wyjaśniła. – Nie tylko pociąg seksualny. Kiedy sprawy przybierają zły obrót, zawsze stajecie się silniejsi. Zawsze tak było. – Wyciągnęła rękę, by podrapać Billy'ego, a potem Boba, za uszami. – Za każdym razem, kiedy go potrzebowałam, był na miejscu. Mnóstwo mężczyzn uciekło by gdzie pieprz rośnie.

Tessa skończyła karesy z psami i wyszła, zamykając delikatnie drzwi za sobą.

Sara podniosła torebkę z Cheetos, zastanawiając się, czy jej nie dokończyć, mimo że otwarty zamek spódnicy wrzynał jej się w ciało. Chciała zadzwonić do matki i zapytać, co się stało. Chciała zadzwonić do Jeffreya i nakrzyczeć na niego, a potem zadzwonić ponownie i powiedzieć mu, żeby przyszedł i obejrzał z nią stary film w telewizji.

Zamiast tego wróciła na kanapę z kolejnym kieliszkiem wina, starając się wyrzucić wszystko z umysłu. Oczywiście im bardziej starała się nie myśleć o tych sprawach, tym natrętniej powracały do niej. Przebiegały jej przez głowę obrazy tej dziewczyny w lesie, chorego na białaczkę Jimmy'ego Powella i Jeffreya w szpitalu w ostatnim stadium niewydolności wątroby.

W końcu postarała się skupić na sekcji. Cały czas stała za grubą szybą, ale nawet ta odległość była za mała, by mogła zachować komfort psychiczny. Wyniki badań dziewczyny nie wykazały nic nadzwyczajnego, poza obecnością cyjanku w żołądku. Sara znowu zadrżała, kiedy pomyślała o pióropuszu dymu, który uniósł się z jej wnętrza, gdy koroner stanowy rozciął jej żołądek. Płód niczym się nie wyróżniał – zdrowe dziecko, które w końcu żyłoby pełnią życia.

Rozległo się pukanie do drzwi, najpierw nieśmiało, potem, kiedy Sara nie odpowiedziała, coraz bardziej natarczywie. W końcu krzyknęła:

– Wejść!

– Sara? – rzekł Jeffrey. Rozejrzył się po pokoju, wyraźnie zdumiony, że widzi ją na kanapie. – Nic ci nie jest?

– Ból brzucha – powiedziała i faktycznie bolał ją brzuch. Może matka miała rację, mówiąc, że na kolację nie jada się deseru.

– Przepraszam, że wcześniej nie mogłem porozmawiać.

– W porządku – odparła, chociaż niezupełnie tak było. – Co się stało?

– Nic – powiedział. Widać było, że jest zawiedziony. – Spędziłem całe popołudnie w college’u, chodząc od wydziału do wydziału i szukając kogoś, kto mógłby mi powiedzieć, jakie tam trzymają trucizny.

– Żadnego cyjanku?

– Wszystko oprócz niego – powiedział.

– A co z rodziną dziewczyny?

– Niewiele się od nich dowiedziałem. Wysłałem prośbę o sprawdzenie wiarygodności farmy. Odpowiedź powinna przyjść jutro. Frank obdzwonił wszystkie schroniska, starając się dowiedzieć, co się rzeczywiście dzieje podczas tych misji. – Wzruszył ramionami. – Przez resztę dnia sprawdzaliśmy zawartość ich komputera. Był zupełnie czysty.

– Sprawdziliście pilne wiadomości?

– Brad sprawdził je w pierwszym rzędzie. Było parę maili do i od ciotki, która mieszka na farmie, ale większość o studiach nad Biblią, harmonogramach pracy, o której godzinie ma wpaść, kto ma się zająć jednego wieczoru kurami, kto ma obierać marchew następnego. Trudno powiedzieć, które były od Abby, a które od Rebecki.

– Było coś podczas tych dziesięciu dni po wyjeździe rodziny do Atlanty?

– Jeden plik został otwarty w dniu ich wyjazdu – powiedział Jeffrey.

– Około dziesiątej piętnaście tamtego ranka. Rodziców już by nie było o tej porze. Był to życiorys Abigail Ruth Bennett.

– Starła się o pracę?

– Na to wygląda.

– Myślisz, że próbowała wyjechać?

– Rodzice chcieli, żeby poszła do college’u, ale ona odmówiła.

– Miło mieć wybór – mruknęła Sara. Cathy właściwie zmusiła swoje córki. – Jakiego rodzaju pracy szukała?

– Nie mam pojęcia. Na liście miała głównie biura rachunkowe. Na farmie dużo zajmowała się księgowością i innymi pracami biurowymi. Myślę, że dla potencjalnego pracodawcy wyglądałoby to na gruntowne wykształcenie.

– Uczyła się w domu? – zapytała Sara. Wiedziała, że nie wszędzie tak było, ale z jej doświadczenia wynikało, że ludzie wybierali nauczanie domowe z dwóch powodów: żeby trzymać białe dzieci z dala od mniejszości etnicznych albo żeby mieć pewność, że nie będzie się ich uczyć niczego poza kreacjonizmem i abstynencją.

– Najwyraźniej tak jak większość osób w tej rodzinie. – Jeffrey połuźnił krawat. – Muszę się przebrać. – Potem, jakby poczuł potrzebę wytłumaczenia się, dodał: – Wszystkie moje dzinsy są tutaj.

– Dlaczego musisz się przebrać?

– Jadę porozmawiać z Dale’em Stanleyem, a potem z Leną do Różowego Kociaka.

– Tego baru z gołymi dupami na szesnastce?

Zmarszczył brwi.

– Dlaczego kobietom wolno tak go nazywać, a mężczyźni dostają za to kopa w jaja?

– Dlatego, że kobiety nie mają jaj. – Usiadła, czując, że ścisła ją w żołądku. Dzięki Bogu nie jadła płatków. – Dlaczego tam jedziesz? A może chcesz mnie w ten sposób ukarać?

– Ukarać cię? Za co? – zapytał, kiedy weszła za nim do sypialni.

– Po prostu nie zwracaj na mnie uwagi – odparła, nie będąc pewna, dlaczego to powiedziała. – Miałam naprawdę zły dzień.

– Mogę ci jakoś pomóc?

– Nie.

Otworzył pudło.

– W pokoju tej dziewczyny znaleźliśmy kartonik zapalek. Są z Różowego Kociaka. Dlaczego miałbym cię karać?

Sara usiadła na łóżku i przyglądała się, jak przekopuje się przez kartony w poszukiwaniu swoich džinsów.

– Nie zrobiła na mnie wrażenia dziewczyny w typie tych, co chodzą do Różowego Kociaka.

– Cała ta rodzina jest nietypowa – powiedział. W końcu znalazł właściwy karton. Spojrzał na nią, kiedy rozpiął spodnie i zrzucił je. – Nadal się na mnie wściekasz?

– Sama chciałam wiedzieć.

– Ja też. – Zdjął skarpety i wrzucił je do kosza z rzeczami do prania.

Sara wyjrzała przez okna sypialni na jezioro. Rzadko zaciągała zasłony, bo rozpościerał się stąd jeden z najpiękniejszych widoków w mieście. Często leżała nocą w łóżku, patrząc, jak księżyc przesuwają się po niebie, kiedy zapadała w sen. Ile razy w zeszłym tygodniu wyjrzała przez te okna, nie wiedząc, że po drugiej stronie wody leży Abigail Bennett, prawdopodobnie przemarznięta, na pewno przerażona? Czy leżała zadowolona w ciepłym łóżku, podczas gdy pod osłoną ciemności zabójca truł Abby?

– Saro? – Jeffrey stał w bieliźnie, przyglądając się jej. – Co się dzieje? Nie chciała mu odpowiedzieć.

– Opowiedz mi więcej o rodzinie Abigail.

Zawahał się chwilę, zanim powrócił do ubierania się.

– Są naprawdę dziwni.

– W jakim sensie?

Wyciągnął parę skarpetek i usiadł na łóżku, by je włożyć.

– Może to tylko moje wrażenie. Może widziałem zbyt wielu ludzi szukających chorych usprawiedliwień religijnych dla swojego pociągu seksualnego do nastoletnich dziewcząt.

– Czy wydawali się wstrząśnięci, kiedy powiedziałeś im, że ona nie żyje?

– Słyszeli plotki o tym, co znaleźliśmy. Nie wiem skąd, skoro ta far-

ma sprawia wrażenie hermetycznie zamkniętej. Jeden z wujów denatki trochę wyjeżdża. Jest w nim coś, co sprawia, że mu nie wierzę, ale nie wiem co.

– Może masz coś przeciwko wujom.

– Może. – Potarł dłońmi oczy. – Jej matka była bardzo przybita.

– Nie mogę sobie wyobrazić, jak to jest, usłyszeć taką wiadomość.

– Naprawdę mnie rozbroiła.

– To znaczy?

– Błagała mnie, żebym znalazł tego, kto to zrobił – powiedział. – Może jej się to nie spodobać, kiedy go znajdzie.

– Naprawdę myślisz, że maczała w tym palce jej rodzina?

– Nie wiem. – Wstał, żeby dokończyć ubieranie, cały czas wyjaśniając Sarze bardziej szczegółowo, jakie wrażenie zrobili na nim ci ludzie. Jeden z wujów był apodyktyczny i wydawał się mieć dużo większą władzę nad rodziną, niż Jeffrey uważał za normalne. Mąż był o tyle lat starszy od żony, że mógłby być jej ojcem.

Sara słuchała, siedząc oparta plecami o wezgielnicę łóżka, z rękami założonymi na piersi. Im więcej jej o nich mówił, tym więcej słyszała dzwonek ostrzegawczych.

– Te kobiety są bardzo... staroświeckie – powiedział. – Pozwalają mężczyznom brać cały ciężar rozmowy na siebie. Zdają się na mężów i braci.

– To typowe dla bardzo konserwatywnych wyznań – zwróciła mu uwagę Sara. – Mężczyzna, przynajmniej w teorii, jest głową rodziny. – Czekala, że Jeffrey wygłosi smutną opinię, a kiedy nic nie powiedział, zapytała: – Wyciągnąłeś coś od siostry ofiary?

– Od Rebecki – podsunął. – Nie i nie ma mowy, żeby pozwolili mi z nią jeszcze raz porozmawiać. Mam wrażenie, że ten wuj powiesiłby mnie za włosy, gdyby się dowiedział, że rozmawiałem z nią w pokoju Abby.

– Myślisz, że mimo to coś z niej wydobędziesz?

– Kto wie? – powiedział. – Nie mogłem się zorientować, czy coś ukrywa, czy jest po prostu smutna.

– To dla niej ciężkie przeżycie – rzekła Sara. – Pewnie teraz nie potrafi nawet myśleć.

– Lena dowiedziała się od matki Rebecki, że ta mała już wcześniej uciekała z domu.

– Dlaczego?

– Tego z niej nie wydobyła.

– Hmm, to może być coś.

– Może tylko to, że jest nastolatką – zauważył, jakby Sarze trzeba było przypominać, że przed osiemnastym rokiem życia jedno na siedmioro dzieci przynajmniej raz ucieka z domu. – Zupełnie nie wygląda na swój wiek.

– Wyobrażam sobie, że trudno być obytym w świecie, wychowując się w takim otoczeniu. – Zaraz dodała: – Nie żeby było coś złego w próbach trzymania swoich dzieci z dala od wielkiego świata. – Nie zastanawiając się, co mówi, stwierdziła: – Gdyby to było moje dziecko... – Zreflektowała się. – Chodzi mi o to, że niektóre z dzieci, które oglądam w klinice... jestem w stanie zrozumieć, dlaczego ich rodzice chcą je trzymać pod kloszem.

Przestał się ubierać, patrząc na nią z lekko rozchylonymi ustami, jakby chciał coś powiedzieć.

– No więc – powiedziała, starając się pokonać ucisk w gardle – ta rodzina świata nie widzi poza swoim Kościołem?

– Tak – odparł po chwili, a ta zwłoka uświadomiła jej, że zdaje sobie sprawę z tego, co się z nią dzieje. – Nie wiem jednak, jak jest z tą dziewczyną. Wyczułem w niej coś, jeszcze zanim Lena powiedziała mi, że uciekała z domu. Wydawała się nastawiona buntowniczo. Kiedy ją wypytywałem, odniosłem wrażenie, jakby przeciwstawiała się wujowi.

– W jaki sposób?

– On jest prawnikiem. Nie chciał, żeby odpowiadała na jakiegokolwiek pytania. A mimo to odpowiedziała. – Kiwał głową sam do siebie, jakby podziwiał jej odwagę. – Nie sądzę, żeby tego rodzaju niezależność pasowała do stosunków w tej rodzinie, zwłaszcza jeśli się zważy na to, że wykazuje się nią dziewczyna.

– Młodsze dzieci są bardziej asertywne – powiedziała Sara. – Tessa zawsze wpadała w tarapaty. Nie wiem, czy było tak dlatego, że tata był wobec niej surowszy, czy dlatego, że gorzej się zachowywała.

Jeffrey nie mógł ukryć uśmiechu uznania. Zawsze podziwiał niezależnego ducha Tessy. Mężczyźni często to robili.

– Ona jest trochę narwana.

– A ja nie – powiedziała Sara, starając się, by w jej głosie nie pojawiła się nuta żalu. Tessa zawsze była ryzykantką, podczas gdy jej największe przewinienia w dzieciństwie miały zwykle związek z nauką i przesiadywaniem do późna w bibliotece, żeby coś przestudiować, i przemycaaniem do łóżka latarki, żeby mogła poczytać, kiedy powinna już spać. – Myślisz, że dowiesz się czegoś podczas tych przesłuchań w środe?

– Wątpię. Może będzie coś miał Dale Stanley. Są pewni, że to sól cyjanku?

– Tak.

– Sprawdziłem. On ma jedyny zakład galwanizacyjny w okolicy. Coś mi mówi, że nitka prowadzi do tej farmy. Dla mnie to zbyt duży zbieg okoliczności, że mają tam wałęsającą się po całym gospodarstwie bandę przestępców, a tę dziewczynę znajdujemy martwą. Poza tym – spojrzał na nią – dom Dale'a Stanleya znajduje się niedaleko granicy z hrabstwem Catoogah.

– Myślisz, że to Dale Stanley zamknął ją w tej skrzyni?

– Nie mam pojęcia – odparł Jeffrey. – Na tym etapie nie ufam nikomu.

– Myślisz, że to ma jakieś konotacje religijne? Zakopanie kogoś w ziemi?

– I otrucie? – zapytał. – Właśnie tego nie mogę rozgryźć. Lena jest przekonana, że ma to jakiś związek z religią i że ta rodzina jest w to zamieszana.

– Ma powody, żeby być przeciwko wszystkiemu, co pachnie religią.

– Lena jest moim najlepszym detektywem – odparł. – Wiem, że ma... problemy. – Zdawał się rozumieć, że jest to bardzo eufemistyczne określenie, ale mimo to mówił dalej: – Nie chcę, żeby biegła w jednym

kierunku tylko dlatego, że pasuje to do jej obrazu świata.

– Ona ma zawężone spojrzenie na rzeczywistość.

– Każdy ma – powiedział i chociaż Sara się z tym zgodziła, wiedziała, że Jeffrey uważa, iż on jest wyjątkiem. – Muszę jej oddać sprawiedliwość, że to miejsce jest niesamowite. Choćby ten facet, na którego wpadliśmy na początku. Stał przy stodole, trzymał w ręku Biblię i głosił Słowo Boże.

– To samo robi ojciec Hare'a na zjazdach rodzinnych – zauważyła Sara, chociaż dwie siostry jej wuja śmiały mu się w twarz, kiedy zaczął je nawracać, i to tak głośno, że wujowi Roderickowi rzadko udawało się wyjść poza pierwsze zdanie.

– Mimo to jest to podejrzane.

– To jest Południe, Jeffrey – powiedziała. – Ludzie tutaj trzymają się religii.

– Rozmawiasz z chłopakiem ze środkowej Alabamy – przypomniał jej. – I nie jest tak tylko na Południu. Jedź na Środkowy Zachód, do Kalifornii albo nawet na północ stanu Nowy Jork, a wszędzie znajdziesz enklawy, w których żyją religijne wspólnoty. Po prostu prasa więcej o nas pisze, bo mamy lepszych kaznodziejów.

Sara nie spierała się z nim. Im dalej odjechałeś od dużego miasta, tym bardziej religijnych ludzi spotykałeś. Prawdę mówiąc, była to jedna z rzeczy, które lubiła w małych miastach. Chociaż sama nie była religijna, podobała się jej idea Kościoła, filozofia leżąca u podstaw miłości bliźniego i nadstawiania drugiego policzka. Niestety, wydawało się, że ostatnio niezbyt stosowano się do tych zasad.

– No więc powiedzmy, że instynkt nie myli Leny i cała ta rodzina jest w to zamieszana. Są złą sektą i z jakiegoś powodu pogrzebali Abby.

– Była w ciąży.

– No więc pogrzebali ją, bo była w ciąży. Dlaczego mieliby ją otruć? To nie ma sensu.

Musiała się z nim zgodzić.

– Jeśli już o tym mowa, to dlaczego mieliby ją pogrzebać? Na pewno występują w obronie życia?

– To się po prostu nie trzyma kupy. Musi być jakiś inny powód.

– A więc to człowiek z zewnątrz – powiedziała Sara. – Dlaczego człowiek z zewnątrz miałby zadawać sobie tyle trudu, żeby zakopać ją żywcem, zamiast ją zabić?

– Może wraca i odkopuje zwłoki. Może znaleźliśmy ją, zanim zdążył dokończyć dzieła.

Sara nie wzięła tego pod uwagę i teraz myśl o tym przyprawiła ją o zimny dreszcz.

– Wysłałem próbki drewna do analizy – powiedział. – Jeśli jest na nich jakieś DNA, to znajdziemy je. – Pomyślał i dodał: – W końcu.

Sara wiedziała, że na wyniki badań trzeba będzie czekać tygodniami, jeśli nie miesiącami. Laboratorium Biura Śledczego Stanu Georgia było tak archaiczne, że to, iż w tym stanie w ogóle rozwiązywano zagadki jakichś zbrodni, graniczyło z cudem.

– Nie możesz po prostu pojechać na farmę i zacząć rozmawiać z ludźmi?

– Bez uzasadnionej przyczyny nie mogę. I to zakładając, że ten duppek szeryf nie opieprzy mnie za to, że włożę na jego teren.

– A opieka społeczna? – zasugerowała Sara. – Z tego, co powiedziałeś, wnioskuję, że na tej farmie są dzieci. Niektóre z nich mogą być małoletnimi uciekinierami.

– Słuszna uwaga – powiedział i uśmiechnął się. Uwielbiał, kiedy udawało mu się znaleźć sposób ominięcia przeszkód. – Będę musiał zachować ostrożność. Coś mi mówi, że ten facet, Lev, zna swoje prawa. Założę się, że farma ma dziesięciu prawników do dyspozycji.

Usiadła.

– Co?

– Powiedziałem, że pewnie mają dziesięciu prawników...

– Nie, jego imię.

– Lev, jeden z wujów tej dziewczyny – wyjaśnił Jeffrey. – To dziwne, ale on cię trochę przypomina. Rude włosy. – Włożył T-shirt. – Bardzo niebieskie oczy.

– Ja mam zielone – powiedziała, zirytowana jego starym dowcipem.

– W jakim sensie mnie przypomina?

– W takim, jak powiedziałem. – Wzruszył ramionami i wygładził swój T-shirt Lynyrd Skynyrd. – Czy wyglądam na buraka, który pasuje do klubu ze striptizem?

– Opowiedz mi o tym facecie, o tym Levie.

– Dlaczego on cię tak interesuje?

– Po prostu chcę wiedzieć – rzekła, po czym dodała: – Do tego kościoła wybiera się Tessa.

Roześmiał się z niedowierzaniem.

– Żartujesz.

– Dlaczego tak trudno w to uwierzyć?

– Tessa? W kościele? Bez twojej mamy stojącej za nią z batem?

– Co to znaczy?

– Oni są po prostu naprawdę... pobożni – odparł, przeczesując włosy palcami. Usiadł na skraju łóżku. – Nie wydają się ludźmi pokroju Tessy.

– A jacy są ludzie jej pokroju? – Co innego, jeśli Sara nazywała Tesse rozwiązała, a co innego, jeśli robił to ktoś inny – nawet Jeffrey.

Położył rękę na jej stopie, wyraźnie wyczuwając pułapkę.

– Saro...

– Zapomnij o tym – powiedziała, zastanawiając się, dlaczego stale stara się sprowokować kłótnię.

– Nie chcę o tym zapomnieć. Co się z tobą dzieje, Saro?

– Po prostu miałam naprawdę zły dzień. – Zwinęła się w kłębek na łóżku.

Pomasował jej plecy.

– Przez tę sekcję?

Skinęła głową.

– Zadzwoń do mnie, bo musiałaś o tym porozmawiać – powiedział. – Powinienem być cię wysłuchać.

Przełknęła ślinę, bo ścisnęło się jej gardło. To, że uświadomił sobie swój błąd, znaczyło dla niej prawie tyle samo, ile znaczyłoby to, że go nie popełnił.

– Wiem, że to było trudne, dziecino – uspokajał ją. – Przepraszam, że nie mogłem tam być z tobą.

– W porządku.

– Nie chcę, żebyś przechodziła przez coś takiego sama.

– Był ze mną Carlos.

– To nie to samo. – Dalej masował jej plecy, robiąc dłońią małe kółka.

Zniżył głos do szeptu: – Co się z tobą dzieje?

– Nie wiem – przyznała. – Tessa chce, żebym w środę wieczorem pojechała z nią do tego kościoła.

Jego dłoń znieruchomiała.

– Wolałbym, żebyś tego nie robiła.

– Dlaczego? – Spojrzała na niego przez ramię.

– Ci ludzie – powiedział. – Nie ufam im. Nie potrafię ci powiedzieć dlaczego, ale coś się tam dzieje.

– Naprawdę myślisz, że to oni zabili Abigail?

– Nie wiem, co zrobili – odparł. – Wiem tylko, że nie chcę, żebyś się w to mieszała.

– A w co miałabym się mieszać?

Nie odpowiedział. Zamiast tego pociągnął ją za rękaw i poprosił:

– Odwróć się.

Sara przekręciła się na plecy, a na jej ustach igrał uśmiech, kiedy przeciągnął palcem wzdłuż do połowy rozpiętego zamka jej spódnicy.

– Co jadłaś na kolację?

Za bardzo się wstydziła, żeby mu powiedzieć, potrząsnęła więc tylko głową.

Jeffrey podciągnął jej koszulę i zaczął masować jej brzuch.

– Lepiej?

Skinęła głową.

– Masz taką miękką skórę – wyszeptał, masując ją koniuszkami palców. – Czasami myślę o tym i mam takie uczucie, jakbym się unosił w powietrzu. – Uśmiechnął się, jakby odtwarzał w myślach jakieś intymne wspomnienie. Minęło kilka minut, zanim powiedział: – Słyszałem, że Jimmy Powell wrócił do szpitala.

Sara zamknęła oczy, koncentrując się na jego dłoni. Przez cały dzień była bliska płaczu, a jego słowa sprawiły, że jeszcze trudniej było jej się opanować. Wszystko, przez co przeszła w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, podziało na nią tak, że czuła się jak ciasno zwinięty kłębek sznurka, ale jego delikatny dotyk zdołał jakoś rozplątać ten kłębek.

– To będzie jego ostatni pobyt – powiedziała, a jej gardło ścisnęło się na myśl o tym chorym dziewięciolatku. Znała Jimmy’ego od urodzenia, widziała, jak z niemowlęcia staje się dzieckiem. Rozpoznanie u niego tej choroby było dla niej prawie takim samym ciosem jak dla jego rodziców.

– Chcesz, żebym pojechał z tobą do szpitala? – zapytał Jeffrey.

– Proszę.

– A później? – Ucisk jego palców zelżał.

– Później? – zapytała, mając ochotę mruzczyć jak kot.

– Gdzie będę spał?

Nie odpowiedziała od razu. Marzyła o tym, by nagle zrobiło się jutro i by decyzja została już podjęta. W końcu wskazała gestem ręki kartony, które przywiózł ze swojego domu.

– Wszystkie twoje rzeczy są tutaj.

Uśmiech, który jej rzucił, niezbyt dobrze ukrył jego rozczarowanie.

– Myślę, że to równie dobry powód jak każdy inny.

Jeffrey ściszył radio, kiedy wyjeżdżał z Heartsdale. Uświadomił sobie, że zgrzyta zębami, dopiero wtedy, kiedy poczuł przeszywający ból szczęki. Usłyszał, jak z jego piersi dobywa się westchnienie starego człowieka. Bolało go ramię i strajkowało prawe kolano, nie wspominając już o tym, że nadal rwała rana dłoni. Przez wiele lat grał w futbol i nauczył się nie zwracać uwagi na bóle i dolegliwości, ale im był starszy, tym trudniej mu było stosować tę sztuczkę. Dzisiaj czuł się naprawdę stary – nie tylko stary, wręcz zgrzybiały. Postrzał, który otrzymał parę miesięcy temu w ramię, był pewnego rodzaju przypomnieniem, że nie będzie żył wiecznie. Był taki czas, kiedy mógł wybiec na boisko i nadwerężyć wszystkie mięśnie, a następnego dnia po przebudzeniu czuł się wyśmienicie. Teraz bolało go ramię, jeśli zbyt energicznie szczotkował zęby.

A teraz ten szajs, wirusowe zapalenie wątroby. Kiedy w ubiegłym tygodniu zadzwoniła do niego Jo, żeby mu o tym powiedzieć, wiedział, że to ona, jeszcze zanim się odezwała. Miała zwyczaj robienia pauzy, zanim coś powiedziała, jakby czekała, aż ta druga osoba przejmie inicjatywę. To była jedna z jej cech, które mu się podobały, fakt, że pozwalała mu grać pierwsze skrzypce. Nie chciała się spierać i ze zgadzania się z rozmówcą uczyniła sztukę. Bycie z kobietą, która nie musiała zastanawiać się nad każdym cholernym zdaniem, które wychodziło z jej ust, miało wiele zalet.

Przynajmniej nie będzie dzisiaj znowu spać na podłodze. Wątpił,

czy Sara powita go w łóżku z otwartymi ramionami, ale wydawało się, że złość powoli jej przechodzi. Zanim zadzwoniła Jo, układało się między nimi tak dobrze, łatwo więc było mu winić kogoś innego za jego obecne problemy. Prawda była taka, że zaczynało się wydawać, jakby każdy dzień z Sarą oznaczał jeden krok do przodu i dwa kroki do tyłu. Zaczynał go drażnić fakt, że co najmniej czterokrotnie prosił ją, by za niego wyszła, i za każdym razem właściwie dostawał w twarz. Więcej nie mógł już zdzierżyć.

Skręcił na zwirowy podjazd, myśląc, że między farmą a domem Dale'a Stanleya jego samochód będzie wyglądał jak w strefie działań wojennych.

Zaparkował za czymś, co wyglądało na całkowicie odnowionego dodge'a darta.

– Cholera – mruknął, wysiadając ze swojego samochodu i nie mogąc ukryć uznania. Dodge był wiśniowo-granatowy, z przyciemnionymi szybami, z uniesionym tyłem. Zderzak był nieskazitelny, jasny chrom błyszczał w świetle lampy nad garażem.

– Hej, szefie. – Z garażu wyszedł niezwykle wysoki, chudy mężczyzna w kombinezonie roboczym. Wycierał ręce w brudny ręcznik. – Zda je mi się, że poznaliśmy się w ubiegłym roku na pikniku.

– Cieszę się, że cię znowu widzę, Dale. – Niewielu było mężczyzn, w rozmowie z którymi Jeffrey musiał zadzierać głowę, ale Dale Stanley był jak tyczka. Był bardzo podobny do swojego młodszego brata; gdyby ktoś chwycił Pata za głowę i stopy i rozciągnął go w każdą stronę o dobre trzydzieści centymetrów, młody policjant wyglądałby tak samo jak Dale. Mimo ogromnego wzrostu Dale'a otaczała aura niefrasobliwości, jakby nie było takiej rzeczy na świecie, która by go niepokoiła. Jeffrey ocenił jego wiek na mniej więcej trzydzieści lat.

– Przepraszam, że musiałeś przyjechać tak późno – rzekł Dale. – Nie chciałem niepokoić dzieci. Robią się nerwowe, kiedy zjawia się tu jakiś gliniarz. – Zerknął nerwowo na dom. – Chyba wiesz dlaczego.

– Rozumiem – powiedział Jeffrey i zdawało się, że Dale się nieco rozluźnił. Policjant Pat Stanley, młodszy brat Dale'a, znalazł się parę

miesiący wcześniej w bardzo niebezpiecznej sytuacji, został wzięty jako zakładnik i ledwie uszedł z życiem. Jeffrey nie mógł sobie wyobrazić, jak się czuł Dale, słysząc o tym w wiadomościach, a potem czekając, aż podjedzie samochód policyjny, by poinformować go, że jego brat nie żyje.

– Nie lubią nawet syren policyjnych w telewizji – powiedział Dale i Jeffrey pomyślał, że należy on do facetów, którzy zgarniają pająki na szufelkę i wynoszą z domu, zamiast je po prostu zabić.

– Masz brata? – zapytał Dale.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł Jeffrey, a Dale odrzucił głowę do tyłu i zarżał jak koń.

– Jesteśmy na samej granicy hrabstwa, prawda? – zapytał Jeffrey, kiedy Dale skończył się śmiać.

– Tak – przyznał Dale. – Z tej strony jest Avondale, z tamtej Catoogah. Moje dzieci pójdą do szkoły w Mason Mill.

Jeffrey rozejrzał się wokół, starając się zorientować w otoczeniu.

– Wygląda na to, że masz tu ładne miejsce.

– Dzięki. – Dale wskazał ręką garaż. – Napijesz się piwa?

– Pewnie. – Kiedy weszli do warsztatu, Jeffrey nie był w stanie ukryć podziwu. Dale dbał o porządek. Podłoga była pomalowana na jasnoszaro, nigdzie nie było widać ani kropelki oleju. Narzędzia wisały na tablicy, a czarne kontury wskazywały, gdzie jest którego miejsce. Pod górnymi szafami wisały jak kieliszki do wina w barze słóiczki po jedzeniu dla niemowląt, zawierające śruby i nakrętki. Całość była tak oświetlona, że w warsztacie było jasno jak w dzień.

– Co właściwie tutaj robisz? – zapytał Jeffrey.

– Przeważnie odnawiam zabytkowe samochody – powiedział Dale, wskazując na darta. – Z tyłu mam lakiernię. Mechanikę robię tutaj. Moja żona robi tapicerkę.

– Terri?

Dale rzucił Jeffreyowi spojrzenie przez ramię; prawdopodobnie był pod wrażeniem, że Jeffrey zapamiętał jej imię.

– Zgadza się.

– Z tego, co mówisz, masz to całkiem dobrze zorganizowane.

– Tak – rzekł Dale, otwierając małą lodówkę i wyjmując bud lighta. – Dobrze by nam szło, gdyby nie mój najstarszy. Tim widuje twoją byłą żonę częściej niż mnie. A do tego rozchorowała się moja siostra, musiała zrezygnować z pracy w fabryce. Duży stres dla rodziny. Duży stres dla mężczyzny, który stara się zadbać o nich.

– Sara wspomniała, że Tim ma astmę.

– Taa, i to ciężką. – Otworzył butelkę i podał Jeffreyowi piwo. – Musimy z nim naprawdę uważać. Rzuciłem palenie w dniu, w którym żona przyniosła go od lekarza. Tak mnie skręcało z głodu nikotyny, że myślałem, że wykituję. Ale robimy dla naszych dzieci to, co musimy. Ty nie masz dzieci, prawda? – Roześmiał się i dodał: – To znaczy nic ci o tym nie wiadomo.

Jeffrey zmusił się do śmiechu, chociaż, biorąc pod uwagę jego sytuację, nie było to wcale zabawne.

– Myślałem, że zajmujesz się galwanizacją – powiedział po chwili.

– Nadal to robię – odparł Dale, podnosząc z blatu kawałek metalu. Jeffrey zobaczył, że jest to stara plakietka Porsche'a, powleczona lśnią-cym, żółtym złotem. Leżący obok zestaw cienkich pędzelków świadczył o tym, że Dale pracował nad uzupełnianiem kolorów. – To jest dla szwagra. Miła jazda.

– Możesz wprowadzić mnie w ten proces?

– Galwanizację? – Otworzył szeroko oczy ze zdumienia. – Przejecha-łeś taki kawał drogi na lekcję chemii?

– Możesz spełnić moje życzenie?

– Jasne. – Dale zgodził się bez zastanowienia i poprowadził Jeffreya w stronę stołu na tyłach warsztatu. Wydawało się, że znaleźszy się na znajomym terytorium, odetchnął z ulgą. – Nazywa się to procesem trój-stopniowym, ale to coś więcej. Zasadniczo po prostu naładowujesz me-tal za pomocą tego. – Wskazał na aparat, który wyglądał jak prostownik. Dołączone były do niego dwie elektrody, jedna z czarnym, druga z czer-wonym uchwytem. Obok tego urządzenia znajdowała się jeszcze jedna elektroda z żółto-czerwonym uchwytem. – Z tego czerwonego płynie ła-

dunek dodatni, z czarnego ujemny. – Dale wskazał płytką wanienkę. – Najpierw bierzesz to, co chcesz powlec, i wkładasz tutaj. Wlewasz roztwór. Używasz elektrody dodatniej, czyścisz to zmywaczem chromu. Ładujesz ujemnie, aktywujesz nikiel.

– Myślałem, że to złoto.

– Pod spodem jest nikiel. Złoto musi mieć do czego przywrzeć. Aktywujesz ten nikiel roztworem kwasu, z jednej strony przyczepiasz elektrodę ujemną. Używasz syntetycznej opaski na końcu elektrody powlekającej, maczasz ją w roztworze złota, a potem spajasz złoto z niklem. Pomijam wszystkie seksowne etapy, ale to właściwie wszystko.

– Co to za roztwór?

– Podstawowy materiał, który biorę od dostawcy – powiedział i sięgnął na górę metalowej szafki znajdującej się nad stanowiskiem do galvanizacji. Pomacał i wyjął klucz do szafki.

– Zawsze trzymasz tam ten klucz?

– Tak. – Otworzył szafkę i wyjął, jedną po drugiej, butelki. – Dzieciaki tam nie sięgną.

– Czy ktoś może wejść do warsztatu bez twojej wiedzy?

– Nigdy w życiu – odparł Dale, wskazując na warte tysiące dolarów narzędzia i sprzęt. – To moje źródło utrzymania. Jak ktoś tu wejdzie i zwinie ten majdan, jestem skończony.

– Nigdy nie zostawiasz otwartych drzwi? – zapytał Jeffrey, mając na myśli drzwi do warsztatu. Nie było tam okien ani żadnych otworów. Wejść lub wyjść można było tylko przez metalowe zwijane drzwi. Wyglądały na wystarczająco mocne, by zatrzymać ciężarówkę.

– Zostawiam je otwarte, tylko kiedy tu jestem – zapewnił go Dale. – Zamykam je nawet wtedy, kiedy idę do domu, żeby się wysikać.

Jeffrey pochylił się, żeby odczytać naklejki na butelkach.

– Te tutaj wyglądają na toksyczne.

– Zakładam maskę i rękawiczki, kiedy ich używam – powiedział Dale. – Jest jeszcze gorsze świństwo, ale przestałem go używać, kiedy Tim zachorował.

– Jakie świństwo?

– Przeważnie cyjanek albo arszenik. Wlewasz to z kwasem. Jest bardzo lotne i, szczerze mówiąc, boję się tego jak cholera. Mają teraz na rynku nowy produkt, który też jest paskudny, ale cię nie zabije, jeśli się niechcący nawdychasz. – Wskazał na jedną z plastikowych butelek. – To ten roztwór.

Jeffrey przeczytał etykietkę.

– Nie zawiera cyjanku?

– Tak. – Dale znowu zachichotał. – Klnę się przed Bogiem, że szukałem wymówki, by zmienić branżę. Kiedy chodzi o umieranie, to jestem wielki cykor.

Jeffrey przyjrzał się wszystkim butelkom, nie dotykając ich, tylko czytając etykiety. Wyglądało na to, że zawartość każdej z nich mogłaby zabić konia.

Dale kołysał się na piętach, czekając. Wyraz jego twarzy zdawał się świadczyć, że oczekuje jakiegoś odwzajemnienia za cierpliwość, którą dotąd okazał.

Po chwili milczenia Jeffrey zapytał:

– Znasz tę farmę w Catoogah?

– Tę od soi?

– Tak.

– Pewnie. Pojedź dalej tą drogą – wskazał na drogę biegnącą na południowy wschód – a wyjedziesz prosto na nią.

– Przychodzi tutaj ktoś stamtąd?

Dale zaczął odstawiać butelki do szafki.

– Dawniej chodzili czasami na skróty przez las do miasta. Ale zaczęło mnie to trochę wkurzać. Niektórzy z nich to niezupełnie porządne typy.

– Którzy?

– Robotnicy – odparł Dale, zamykając szafkę. Przekręcił w zamku klucz i odłożył go na poprzednie miejsce. – Jak chcesz znać moje zdanie, to ta rodzina jest bandą pieprzonych idiotów, że pozwalają tym ludziom tam mieszkać i w ogóle.

– Jak to? – sondował Jeffrey.

– Niektórzy z tych gości, co ich przywożą z Atlanty, to nieźle łachmyty. Prochy, gorzała, co tylko. To doprowadza do tego, że robi się pewne rzeczy, potworne rzeczy. Traci się wiarę.

– Przeszkadza ci to?

– Niespecjalnie. To znaczy chyba można by powiedzieć, że wykonują dobrą robotę. Po prostu nie lubię, jak włożą na moją ziemię.

– Martwisz się, że zostaniesz obrabowany?

– Musieliby mieć palnik acetylenowy, żeby się tu dostać – zauważył.

– Albo wejść po moim trupie.

– Trzymasz tu broń?

– A jak?

– Mogę ją zobaczyć?

Dale przeszedł na drugą stronę pomieszczenia i sięgnął na wierzch innej szafki. Wyjął rewolwer Smith & Wesson i podał Jeffreyowi.

– Ładna broń – rzekł Jeffrey i sprawdził bębenek. Broń była załadowana i tak samo nieskazitelnie czysta jak warsztat. – Wygląda na gotowy do użycia – powiedział, oddając mu rewolwer.

– Ostrożnie – ostrzegł Dale, prawie żartobliwym tonem. – Ma czuły spust.

– Naprawdę? – zapytał Jeffrey, myśląc, że facet jest pewnie zadowolony z siebie, że wymyślił sobie takie dobre alibi na wypadek, gdyby kiedyś „przypadkowo” postrzelił intruza.

– Nie bardzo się martwię, że mnie obrabują – wyjaśnił Dale, odkładając broń do skrytki. – Jak ci powiedziałem, jestem naprawdę ostrożny. Tylko że jak przyleżą tutaj i psy zaczną wariować, żona się przeleknie, dzieciaki zaczną ryczeć, to się cholernie wnerwie, a wiesz, że to niedobrze. – Przerwał, wyglądając na podjazd. – Nie cierpię być taki, ale nie mieszkamy w Mayberry. Są tam różne łachmyty na tej farmie, a ja nie chcę, żeby kręcili się koło moich dzieciaków. Do diabła, szefie, nie muszę ci o tym mówić.

Jeffrey zaczął się zastanawiać, czy Abigail Bennett korzystała ze skrótu przez las.

– Przychodzą czasem do twojego domu jacyś ludzie z farmy?

– Nigdy – odparł Dale. – Jestem tutaj przez cały dzień. Widziałbym ich.

– Rozmawiałeś kiedyś z którymś z nich?

– Tylko po to, żeby im powiedzieć, żeby zjeżdżali z mojej ziemi. Nie martwię się o dom. Psy rozerwałyby ich na strzępy, gdyby tylko zapukali do drzwi.

– Co byś zrobił? – zapytał Jeffrey. – To znaczy, żeby powstrzymać ich od chodzenia tędy na skróty.

– Zadzwoiłbym do Ćwierć Dolara. To znaczy do szeryfa Pelhama. Jeffrey puścił określenie Dale’a mimo uszu.

– I dokąd by cię to doprowadziło?

– Do punktu wyjścia – powiedział Dale, kopiąc czubkiem buta podłogę. – Nie chciałem zawracać Patowi tym głowy, więc po prostu sam do nich zadzwoniłem. Pogadałem z synem starego Toma, Levem. Jak na świrniętego na punkcie Jezusa, nie jest taki zły. Poznałeś go?

– Tak.

– Wyjaśniłem sytuację, powiedziałem, że nie chcę widzieć jego ludzi na mojej ziemi. Powiedział: „Dobrze”.

– Kiedy to było?

– O, jakieś trzy, może cztery miesiące temu – odparł Dale. – Nawet tu przyjechał i przeszliśmy wzdłuż tylnej granicy mojej ziemi. Powiedział, że postawi tam płot, żeby nie mogli tamtędy chodzić.

– I postawił?

– Tak.

– Wziąłeś go do warsztatu?

– Pewnie. – Dale mówił nieśmiało jak dziecko, które chwali się swoimi zabawkami. – Pracowałem właśnie nad mustangiem z sześćdziesiątego dziewiątego. Ta skubana bryka wyglądała, jakby łamała prawo, tylko stojąc na podjeździe.

– Lev interesuje się samochodami? – zapytał Jeffrey, zaskoczony tym szczegółem.

– Nie znam faceta, na którym ten wóz nie zrobiłby wrażenia. Rozebrałem go od spodu do góry – nowy silnik, nowe zawieszenie i układ

wydechowy – chyba jedyną oryginalną częścią w tym cacku była rama, a i tak przeciąłem słupki i podniosłem dach o trzy cale.

Jeffreya aż kusilo, by dać się odwieść od tematu, ale wiedział, że nie może sobie na to pozwolić.

– Jeszcze jedno pytanie.

– Wal.

– Masz tu gdzieś cyjanek?

Dale pokręcił głową.

– Nie mam od czasu, jak rzuciłem palenie. Za bardzo mnie kusilo, żeby skończyć z tym wszystkim. – Roześmiał się, a potem, widząc, że Jeffrey się do niego nie przyłącza, umilkł. – Pewnie, trzymam go tutaj – powiedział, wracając do szafki w galwanizatorni. Znowu wyjął klucz ze skrytki i otworzył szafkę. Sięgnął do niej głęboko, jego ręka zniknęła na kilka chwil w zakamarkach najwyższej półki. Wyjął grubą, foliową torebkę, w której znajdowała się szklana buteleczka. Trupia czaszka i skrzyżowane piszczele na naklejce przeprowiły Jeffreya o dreszcz, kiedy pomyślał, przez co przeszła Abigail Bennett.

Dale położył torebkę na blacie, tak że buteleczka zadzwoniła.

– Nie lubię nawet dotykać tego gówna – powiedział. – Wiem, że jest szczelnie zamknięte, ale mam cykora jak cholera.

– Zostawiasz czasami tę szafkę otwartą?

– Tylko kiedy używam tego, co w niej jest.

Jeffrey pochylił się, żeby przyjrzeć się buteleczce.

– Możesz mi powiedzieć, czy nie brakuje trochę tych soli?

Dale ukląkł i przyjrzał się buteleczce zmrużonymi oczami.

– Nie widzę, żeby brakowało. – Podniósł się. – Oczywiście nie mierzę tego.

– Czy Lev wydawał się zainteresowany zawartością szafki?

– Wątpię, czy ją w ogóle zauważył. – Skrzyżował ręce na piersi i powiedział: – Powinienem się czymś martwić?

– Nie – odparł Jeffrey, chociaż nie był tego pewien. – Mogę porozmawiać z Terri?

– Jest u Sally – powiedział Dale, po czym wyjaśnił: – U mojej siostry.

Ona ma problemy z... – Wskazał na podbrzusze. – Terri przyjeżdża do niej, kiedy Sally ma zły okres i pomaga jej przy dzieciach.

– Muszę z nią porozmawiać – rzekł Jeffrey. – Może widziała koło warsztatu kogoś, kogo nie powinno tu być.

Dale zeszywniał, jakby podano w wątpliwość jego szczerość.

– Nikt tu nie przychodzi beze mnie – powiedział i Jeffrey mu uwierzył. Facet nie trzymał tu tej spluwy dlatego, że było mu z nią do twarzy. Dale odprężył się i rzekł łaskawie: – Wróci jutro rano. Powiem jej, żeby się z tobą zobaczyła, jak tylko się tu zjawi.

– Będę wdzięczny. – Jeffrey wskazał na truciznę. – Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że to wezmę? – zapytał. – Chcę zdjąć odciski palców.

– Ucieszę się, jak się tego stąd pozbędę – zgodził się Dale. Otworzył jedną z szuflad i wyjął lateksową rękawiczkę. – Chcesz jej użyć?

Jeffrey przyjął propozycję, włożył rękawiczkę i wziął torebkę.

– Przepraszam, Dale, że nie mogę ci powiedzieć dokładnie, o co chodzi. Naprawdę bardzo mi pomogłeś, ale wolałbym, żebyś nikomu nie mówił, że tu byłem.

– Nie ma sprawy. – Teraz, kiedy skończyło się wypytywanie, Dale był w niemal euforycznym nastroju. Kiedy Jeffrey wsiadał do samochodu, zaproponował: – Wpadnij kiedyś, jak będziesz mógł trochę posiedzieć. Robiłem zdjęcia tego mustanga na każdym etapie.

Kiedy Jeffrey zajechał przed jej dom, Lena siedziała na schodach frontowych.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział, kiedy wsiadała do samochodu.

– Nie ma sprawy.

– Rozmawiałem z Dale’em Stanleyem o galwanizacji.

Przerwała zapinanie pasa bezpieczeństwa.

– I co?

– Niewiele. – Opowiedział jej o pracy Dale’a i wizycie Leva. – Ten cyjanek podrzuciłem do komisariatu, zanim do ciebie przyjechałem – rzekł. – Brad zawiezie go jeszcze dzisiaj do Macon, żeby mu się przyj-

rzeli ci faceci od odcisków palców.

– Myślisz, że coś znajdziesz?

– Przy tym jak postępuje ta sprawa? – powiedział. – Wątpię.

– Czy Lev był choć przez chwilę sam w warsztacie?

– Nie. – Rzucił to pytanie przed wyjazdem od Dale’a. – Nie wiem, jak mógłby ukraść te sole, a co dopiero przewieźć je, ale to bardzo dziwny zbieg okoliczności.

– Mowa – zgodziła się z nim, moszcząc się w fotelu.

Bębniła palcami o podłokietnik. Rzadko widział u niej ten nerwowy odruch.

– Co się stało? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Byłaś już kiedyś w tym miejscu? – zapytał.

– W Różowym Kociaku? – Znowu pokręciła głową. – Wątpię, czy wpuszczają tam kobiety bez towarzystwa mężczyzn.

– Lepiej, żeby nie wpuszczali.

– Jak chcesz to zrobić?

– W poniedziałkowy wieczór nie powinno tam być zbyt dużego ruchu – powiedział. – Pokażemy zdjęcie, zobaczymy, czy ktoś ją rozpozna.

– Myślisz, że powiedzą nam prawdę?

– Nie wiem – przyznał – ale myślę, że mamy większą szansę na to, że ktoś z nami porozmawia, jeśli wejdziemy łagodnie, zamiast wpadać tam z hukiem.

– Ja się zajmę tymi dziewczynami – zaproponowała. – Ciebie nikt nie wpuści do przebieralni.

– Niezły plan.

Opuściła osłonę przeciwsłoneczną i otworzyła lusterko, by – jak się domyślał – sprawdzić makijaż. Przyjrzał się jej uważniej. Z tym latynoskim zabarwieniem skóry i gładką cerą Lena pewnie nie spędzała wielu nocy samotnie, nawet jeśli robiła to z tym punkiem Ethanem Greenem. Dzisiejszego wieczoru nie ubrała się w swoją zwykłą spódnicę i żakiet. Zamiast tego wybrała czarne dżinsy i dopasowaną, czerwoną, jedwabną bluzkę z rozpiętym kołnierzykiem. Widział też, że nie ma stanika, i było

oczywiste, że jest jej zimno.

Wyłączył klimatyzację. Miał nadzieję, że nie zauważyła, iż się jej przygląda. Lena nie była aż tak młoda, że mogłaby być jego córką, ale przeważnie zachowywała się tak, jakby była w takim właśnie wieku, i nie mógł nic poradzić na to, że z powodu tego, iż dostrzegał jej atrakcyjność, czuł się jak obleśny starzec.

Lena zamknęła lusterko i podniosła osłonę przeciwsłoneczną.

– Co? – Znowu patrzyła na niego.

Jeffrey szukał właściwych słów.

– To dla ciebie problem?

– W jakim sensie?

Zastanawiał się, jak to powiedzieć, żeby jej nie wkurzyć, ale w końcu się poddał.

– Chodzi mi o to, czy nadal za dużo pijesz?

– A ty nadal się pieprzysz ze swoją żoną? – warknęła.

– Ona nie jest moją żoną – odparował, zdając sobie sprawę, że to marna riposta, już w chwili kiedy wypowiedział te słowa. – Słuchaj – powiedział – to bar. Jeśli to dla ciebie za trudne...

– Nic nie jest dla mnie za trudne – odparła, kończąc rozmowę.

Resztę drogi przejechali w milczeniu. Jeffrey patrzył prosto przed siebie, na autostradę, zastanawiając się, w jaki sposób stał się specjalistą od wybierania towarzystwa najbardziej drażliwych kobiet w hrabstwie. Zastanawiał się też, co znajdą w barze. Dziewczyna taka jak Abigail Bennett nie miała żadnego powodu, żeby chować ten kartonik zapalek w swoim Snoopym. Starannie zszyła potem pluszowego zwierzaka i Jeffreyowi nie przyszłoby nawet do głowy, żeby w nim czegoś szukać, gdyby nie szarpnął za koniec nitki i nie rozpruł szwu jak swetra, gdy pociągnie się luźny kawałek przędzy.

Chociaż byli jeszcze o dobre dwie mile od baru, w oddali jarzył się różowy, neonowy kot. Im byli bliżej, tym więcej widzieli szczegółów, aż w końcu wyłoniła się przed nimi w całej okazałości górująca nad otoczeniem dziesięciometrowa kocica w szpilkach i czarnym, skórzanym topie.

Jeffrey zaparkował samochód tuż przy drodze. Oprócz szyldu budynku był nijaki – pozbawiona okien, parterowa konstrukcja z różowym, metalowym dachem i parkingiem na tyle dużym, że zmieścić się tam mogło ze sto samochodów. Ponieważ był to poniedziałkowy wieczór, zajętych było około tuzina miejsc, głównie przez ciężarówki i samochody terenowe. Wzdłuż tylnej części ogrodzenia zaparkowany był osiemnastokołowy TIR.

Mimo zamkniętych okien samochodu Jeffrey słyszał buchającą z klubu muzykę.

– Rozegramy to powoli – przypomniał Lenie.

Lena odpięła pas i wysiadła, wyraźnie nadal wkurzona na niego za to, że zapytał ją o picie. Zniósłby to ze strony Sary, ale prędzej trafiłby go szlag, niż pozwoliliby wyładowywać się na sobie swojej podwładnej.

– Pozbieraj się do kupy – powiedział.

Stała jak wryta, tyłem do niego.

– Lepiej zmień to nastawienie – ostrzegł ją. – Nie będę tolerował żadnych zasranych zagrywek. Zrozumiano?

– Nic mi nie jest. – Spojrzała mu prosto w oczy i powtórzyła: – Naprawdę nic mi nie jest.

Gdyby nie to, że prawie każdy, z kim się dzisiaj spotkał, ukrywał przed nim jakąś istotną informację o sobie, podczas gdy on stał jak dupa, pewnie machnąłby na to ręką. Ponieważ jednak było tak, jak było, powiedział:

– Żebym więcej nie słyszał takich odzywek, Leno.

– Tak jest – powiedziała bez cienia sarkazmu w głosie.

– W porządku.

Otworzył drzwi baru. Wewnątrz wisiała gęsta chmura dymu tytoniowego i musiał się zmusić do wejścia. Kiedy szedł w stronę baru, ciągnącego się po lewej stronie sali, w skroniach zaczęło mu pulsować w rytm ciężkiego basu wydobywającego się z aparatury stereo. Pomieszczenie było wilgotne i mogło wywołać klaustrofobię – sufit i podłoga pomalowane na matową czerń, krzesła i boksy wokół sceny wyglądały, jakby zostały żywcem wzięte z jakiejś restauracji Denny's sprzed

pięćdziesięciu lat. Jego nozdrza wypełnił odór potu, moczu i czegoś, o czym wolał nie myśleć. Podłoga była lepka, zwłaszcza wokół sceny, która znajdowała się pośrodku sali.

Było tam ze dwunastu facetów w różnym wieku, różnej wagi i postury, z których większość przeciskała się do sceny, na której tańczyła dziewczyna w ledwie widocznych tangach i bez biustonosza. Przy końcu baru tkwiło dwóch mężczyzn z brzuchami wylewającymi się z dzinsów i wzrokiem przyklejonym do dużego lustra za nimi, a przed każdym z nich stało z pół tuzina pustych kieliszków. Jeffrey pozwolił sobie zerknąć w lustro i zobaczył odbicie dziewczyny tańczącej przy rurze. Była chuda jak chłopiec, z tym spojrzeniem, które one wszystkie zdawały się przybierać, kiedy były na scenie: „Mnie tu nie ma. Ja tego naprawdę nie robię”. Miała gdzieś ojca. Może to właśnie z jego powodu była tutaj. Musiał pomyśleć, że w domu jest naprawdę źle, skoro młode dziewczyny uciekały do takich miejsc.

Barman uniósł brodę i Jeffrey odpowiedział na ten sygnał, podnosząc dwa palce.

– Rolling Rock – powiedział.

Barman miał na piersi identyfikator, który oznajmiał, że ten, kto go nosi, nazywa się Chip, czyli Mucha, i z pewnością miał muchy w nosie, kiedy nalewał piwo. Cisnął obie szklanki na bar, aż po ich bokach zaczęła ściekać piana. Zmieniła się muzyka, a słowa były tak głośne, że Jeffrey nawet nie usłyszał, ile kosztuje to piwo. Rzucił na bar dziesiątkę, zastanawiając się, czy dostanie resztę.

Odwrócił się i popatrzył na to, co przy dużej dozie dobrej woli można było nazwać tłumem. Kiedy pracował w Birmingham, zaliczył wraz z innymi gliniarzami sporo wizyt w barach z cypatyami. Kiedy kończyli służbę, otwarte były tylko lokale ze striptizem, wszyscy więc szli tam rządkiem, by się odprężyć, trochę pogadać, dużo wypić i zetrzeć z ust smak ulicy. Dziewczyny były tam świeższe, nie takie młode i nie tak zagłodzone, że z odległości sześciu metrów można im było policzyć zębra.

W tych miejscach zawsze obecna była w atmosferze jakaś nuta rozpacz; emanowała albo od facetów patrzących na scenę, albo od tańczą-

cych na niej dziewczyn. Jednej z tych nocy w Birmingham był w toalecie i odlewał się, kiedy została zaatakowana dziewczyna. Wyważył drzwi przebieralni i zepchnął z niej napastnika. W oczach dziewczyny widział nieskrywaną pogardę – nie tylko dla niedoszłego gwałciiciela, ale i dla wybawcy, dla niego. Wpadły tam pozostałe dziewczyny, wszystkie na pół ubrane, wszystkie patrzące na niego w ten sam sposób. Ich wrogość, ich ostra jak brzytwa nienawiść, wbiła się w niego jak nóż. Nigdy już tam nie poszedł.

Lena została przy drzwiach, czytając ogłoszenia na tablicy. Kiedy szedł przez salę, patrzyli na nią wszyscy, albo wprost, albo przez jedno z wielu luster. Zaciekawiona wydawała się nawet dziewczyna na scenie, bo straciła na chwilę rytm przy wyginaniu się przy rurze. Zastanawiała się pewnie, czy nie pojawiła się konkurentka.

Lena ich ignorowała, ale Jeffrey widział te spojrzenia, prześlizgujące się w górę i w dół po jej ciele we wzrokowym gwałcie, poczuł, że zaciśkają mu się pięści, ale Lena, zauważywszy to, pokręciła głową dając mu znak, by nie reagował.

– Pójdę na zaplecze i sprawdzę dziewczyny.

Jeffrey skinął głową i odwrócił się, by wziąć swoje piwo. Na barze leżały dwa dolary i trochę drobnych, ale nigdzie nie było widać Chipa. Jeffrey upił łyk z kufła, niemal krztusząc się ciepłym napojem. Albo chrzcili to piwo wodą ze ścieków, albo podłączyli kurki do tabuna koni, które trzymali pod barem.

– Przepraszam – powiedział jakiś facet, który wpadł na niego. Jeffrey odruchowo sięgnął ręką do kieszeni, by sprawdzić, czy ma jeszcze portfel, ale miał.

– Jesteś stąd? – zapytał ten facet.

Jeffrey zignorował to pytanie, myśląc, że dla mężczyzny to wyjątkowo głupie miejsce na szukanie partnerów do łóżka.

– Ja jestem stąd – powiedział tamten, przechylając się lekko.

Jeffrey obrócił się, by na niego spojrzeć. Facet miał około metra sześćdziesięciu i włosy jak strąki, które wyglądały, jakby od wielu tygodni nie były myte. Zalany w pestkę jedną ręką trzymał się kurczowo

baru, a drugą miał wysuniętą prosto w bok, jakby pomagała mu zachować równowagę. Jego paznokcie miały czarne obwódki, cera była jasno-żółta.

– Często tu przychodzisz? – zapytał Jeffrey.

– Co wieczór – powiedział, pokazując w uśmiechu wystający ząb.

Jeffrey wyjął zdjęcie Abigail Bennett.

– Poznajesz ją?

– Ładna jest. – Facet gapił się na zdjęcie, oblizując usta i nadal chwiejąc się w przód i w tył.

– Nie żyje.

Facet wzruszył ramionami.

– Nie przeszkadza, że jest ładna. – Kiwnął głową w stronę dwóch kufla piwa. – Wypijesz to?

– Proszę bardzo – powiedział Jeffrey, odsuwając się od niego. Facet prawdopodobnie szukał po prostu czegoś do wypicia. Jeffrey znał to z własnego doświadczenia. Widział to każdego ranka u swojego ojca, kiedy Jimmy Tolliver zwlekał się z łóżka.

Do baru przepchnęła się Lena, a jej mina była odpowiedzią na jego pytanie.

– Tylko jedna dziewczyna na zapleczu – powiedziała. – Jak chcesz znać moje zdanie, to uciekła z domu. Zostawiłam jej moją wizytówkę, ale wątpię, czy to coś da. – Spojrzała za bar. – A gdzie poszedł barman?

Jeffrey zaryzykował domysł:

– Powiedzieć szefowi, że są tu gliny.

– Nie ma to jak wejść łagodnie – powiedziała.

Jeffrey zauważył drzwi obok baru i domyślił się, że tam właśnie zniknął Chip. Obok drzwi było lustro o ciemniejszym odcieniu niż pozostałe. Prawdopodobnie po jego drugiej stronie siedział szef czy właściciel lokalu, przyglądając się gościom.

Nie zadał sobie trudu, by zapukać. Drzwi były zamknięte na klucz, ale udało mu się je otworzyć mocnym przekręceniem gałki.

– Hej! – powiedział Chip, cofając się pod ścianę z podniesionymi do góry rękami.

Mężczyzna za biurkiem liczył pieniądze, jedną ręką przebierając banknoty, drugą wciskając klawisze kalkulatora.

– Czego chcesz? – zapytał, nie zadając sobie nawet trudu, by podnieść wzrok znad kalkulatora. – Mój lokal jest czysty. Zapytajcie, kogo chcecie.

– Wiem, że jest – powiedział Jeffrey, wyjmując z tylnej kieszeni zdjęcie Abigail. – Muszę wiedzieć, czy widział pan tutaj tę dziewczynę.

Mężczyzna nadal nie raczył podnieść głowy.

– Nigdy jej nie widziałem.

– Może zechciałby pan rzucić okiem i jeszcze raz nam powiedzieć? – rzekła Lena.

Wtedy podniósł głowę. Na jego wilgotne usta wypełznął uśmiech. Wziął cygaro z popielniczki przy łokciu i zaczął je żuć. Jego fotel jęknął jak siedemdziesięcioletnia dziwka, kiedy odchylił się w nim do tyłu.

– Zwykle nie mamy przyjemności gościć takiego świetnego towarzystwa.

– Niech pan spojrzy na zdjęcie – powiedziała Lena i, zerknąwszy na tabliczkę z nazwiskiem na biurku, dodała: – panie Fitzgerald.

– Albert – rzekł, biorąc polaroidową fotkę od Jeffreya. Przyjrzał się jej uważnie, a jego uśmiech trochę przygasł, zanim ją zwrócił. – Ta dziewczyna wygląda na martwą.

– Dobry strzał – powiedziała Lena. – Gdzie idziesz?

Jeffrey przyglądał się już od pewnego czasu, jak Chip przesuwają się w kierunku drzwi, ale Lena złapała go pierwsza.

– N...nigdzie – wyjąkał Chip.

– I tak trzymaj – ostrzegł go Jeffrey.

W jasnym świetle biura barman wyglądał mizernie, prawdopodobnie dlatego, że był narkomanem i nałóg sprawiał, że niewiele jadł. Miał włosy obcięte nad uszami i gładko wygoloną twarz, ale mimo to sprawiał wrażenie wraka.

– Chcesz na to zerknąć, Chippie? – zapytał Albert. Wyciągnął do niego zdjęcie, ale barman go nie wziął. Coś się z nim jednak działo. Jego wzrok biegał od Leny do Jeffreya, potem od zdjęcia do ściany. Nadal

przesuwał się w stronę wyjścia, przyciśnięty plecami do ściany, jakby myślał, że uda mu się wymknąć, mimo że na niego patrzą.

– Jak się nazywasz? – zapytał Jeffrey.

– Donner, jak ten od grupy Donnera¹. Pan Charles Donner – odpowiedział za niego Albert.

Stopy Chipa nadal przesuwają się w stronę drzwi.

– Ja nic nie zrobiłem.

– Zostań tam – powiedziała Lena. Zrobiła krok w jego stronę i wtedy, otworzywszy pchnięciem drzwi, rzucił się do ucieczki. Skoczyła za nim, złapała go za tył koszuli i okręciła tak, że potoczył się prosto na Jeffreya. Reakcja Jeffreya była wolna, ale udało mu się złapać młokosa, zanim padł na twarz. Mimo to nie zdołał go uchronić przed rąbnięciem w metalowe biurko.

– Cholera – zaklął Chip, łapiąc się za łokieć.

– Nic ci nie jest. – Jeffrey podniósł go za kołnierz.

Chłopak zgiął się w pasie, nadal trzymając się za łokieć.

– Cholera, to boli.

– Zamknij się – powiedziała Lena i podniosła z podłogi zdjęcie. – Tylko spójrz na to zdjęcie, kutasie. – Dlaczego próbowałeś uciec?

– Mam kartotekę.

– Nie pieprz – rzekła. – Dlaczego próbowałeś uciec? – Kiedy nie odpowiadał, uderzyła go w tył głowy.

– Chryste, kobieto. – Chip pocierał głowę, patrząc na Jeffreya, błagając go wzrokiem o pomoc. Był niewiele niższy od Leny i chociaż ważył z pięć kilogramów więcej niż ona, Lena była z pewnością bardziej umięśniona.

– Odpowiedz na jej pytanie – poradził mu Jeffrey.

¹ Grupa Donnera, w oryg. Donner Party, grupa osadników, którzy w 1846 roku wyruszyli do Kalifornii. Zaskoczeni przez ostrą zimę w górach Sierra Nevada, nie mogli jechać dalej na zachód. Kiedy skończyła się żywność, niektórzy z członków grupy jedli zwłoki zmarłych towarzyszy niedoli. W 1847 roku cztery ekipy ratunkowe zdołały uratować 46 spośród 87 pionierów (przyp. tłum.).

– Nie chcę wracać do pierdla.

– Masz nakaz aresztowania? – domyślił się Jeffrey.

– Jestem na zwolnieniu warunkowym – powiedział, wciąż trzymając się za rękę.

– Przyjrzyj się jeszcze raz temu zdjęciu – powiedział Jeffrey. Zaciśnął szczęki, ale Chip był wyraźnie przyzwyczajony do tego, że ma robić, co mu się każe. Spojrzał na fotografię. Jego mina nie zdradzała w żaden sposób, że rozpoznał sportretowaną osobę, ale Jeffrey zauważył, że grdyka podskoczyła mu w górę, jakby starał się zapanować nad swoimi emocjami.

– Znasz ją, prawda?

Chip zerknął na Lenę, jakby się bał, że znowu go uderzy.

– Jeśli pan chce, żebym to powiedział, to tak. W porządku.

– Chcę, żebyś powiedział mi prawdę – rzekł Jeffrey i kiedy Chip podniósł na niego wzrok, jego źrenice były duże jak ćwierćdolarówki. Chłopak najwyraźniej był naćpany i miał odlot jak latawiec. – Wiesz, że ona była w ciąży, Chip?

Chłopak zamrugał parę razy powiekami.

– Człowieku, jestem bez grosza. Ledwie starcza mi na jedzenie.

– Nie dorwaliśmy cię po to, żebyś łożył na dziecko, ty głupi kutasie – powiedziała Lena.

Otworzyły się drzwi i stanęła w nich dziewczyna ze sceny, ogarniając spojrzeniem sytuację.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

Jeffrey odwrócił wzrok od Chipa, kiedy otwierała drzwi, i Chip wykorzystał tę okazję, by walnąć go prosto w twarz.

– Chip! – wrzasnęła dziewczyna, kiedy wyskoczył, odepchnąwszy ją na bok.

Jeffrey walnął na podłogę z takim impetem, że dosłownie zobaczył gwiazdy. Dziewczyna zaczęła wrzeszczeć i walczyć z Leną. Gryzła ją i drapała, próbując powstrzymać ją od puszczenia się w pogoń za Chipem. Jeffrey zamrugał; widząc podwójnie, a potem potrójnie. Zamknął oczy i nie otwierał ich przez czas, który wydawał mu się niewiarygod-

nie długi.

Kiedy Lena podrzuciła go do Sary, czuł się już lepiej. Ta striptizerka, Patty O’Ryan, zdarła pasek skóry z grzbietu dłoni Leny, ale tylko tyle udało jej się osiągnąć, zanim Lena wykręciła jej rękę na plecy i przycisnęła ją do podłogi. Zakładała jej kajdanki, kiedy Jeffreyowi udało się w końcu otworzyć oczy.

– Przepraszam – było pierwszą rzeczą, którą powiedziała Lena.

Zagłuszyła nieco wulgarne życzenie striptizerki:

– Pierdolcie się, wy pierdolone świnię!

Charles Wesley Donner uciekł, ale jego szef był pomocny i po krótkiej namowie podał im wszystkie szczegóły na temat Chipa, oprócz rozmiaru jego bielizny. Dwudziestolatek pracował w Różowym Kociaku od niespełna roku. Jeździł chevroletem nova z 1980 roku i mieszkał w norze na Cromwell Road w Avondale. Jeffrey zadzwonił już do kurator sądowej Chipa, która nie była zbyt zadowolona z tego, że w środku nocy obudził ją telefon. Potwierdziła adres i Jeffrey wysłał radiowóz, żeby mieć to miejsce na oku. Wysłano list gończy, ale Donner siedział przez sześć lat w więzieniu za handel narkotykami i wiedział, jak się ukrywać przed policją.

Jeffrey uchylił drzwi wejściowe najciszej, jak mógł, żeby nie obudzić Sary. Chip nie był silny, ale jego cios był dokładnie wymierzony. Pięść wylądowała pod lewym okiem, zaledwie musnąwszy nos. Jeffrey wiedział z doświadczenia, że siniak będzie wyglądał jeszcze gorzej, a opuchlizna już utrudniała mu oddychanie. Jak zwykle, jego nos obficie krwawił, przez co wyglądał gorzej, niż faktycznie było. Kiedy Jeffrey dostał w nos, zawsze leciała mu z niego krew jak z kranu.

Wstrzymując oddech, czekał, aż zawoła go Sara. Ponieważ się nie odezwała, zapalił światła nad blatem w kuchni, otworzył lodówkę i wyjął paczkę mrożonego groszku. Najciszej jak potrafił, rozerwał torebkę termoizolacyjną i oddzielił palcami ziarna groszku. Zacisnął zęby i syknął, kiedy przycisnął torebkę do twarzy. Zastanawiał się ponownie, dlaczego w chwili, gdy zostajesz ranny, ból jest mniejszy niż później, kiedy próbujesz się leczyć.

– Jeff?

Podskoczył, upuszczając groszek.

Sara włączyła światło i nad ich głowami zamigotały neonówki. Wydawało mu się, że od ich blasku rozrywa mu się głowa, w rytm ich migotania pulsował tępy ból.

Zmarszczyła brwi, widząc siniak pod jego okiem.

– Gdzie oberwałeś?

Jeffrey pochylił się, żeby podnieść groszek, i krew napłynęła mu do głowy.

– Tam, gdzie się obrywa. – Brzmiało to bardziej jak oskarżenie.

Spojrzał na swoją koszulę, którą w jasnym świetle kuchni widać było dużo lepiej niż w toalecie w Różowym Kociaku.

– To twoja krew? – zapytała.

Wzruszył ramionami, wiedząc, o co jej chodzi. Wydawała się bardziej przejmować możliwością, że jakiś obcy zarazi się od niego zapaleniem wątroby niż tym, że pewien głupi gnojek o mało nie złamał mu nosa.

– Gdzie jest aspiryna? – zapytał.

– Mam tylko tylenol, a nie powinienes tego brać, dopóki nie będą znane twoje wyniki badań krwi.

– Boli mnie głowa.

– Nie powinienes też pić.

Ta uwaga tylko go zirytowała. Nie był taki jak ojciec. Na pewno mógł odstawić alkohol, a jeden łyk chrzczonego wodą piwa trudno było określić mianem picia.

– Jeff.

– Daj spokój, Saro.

Skrzyżowała ramiona na piersiach jak rozgniewana nauczycielka.

– Dlaczego nie bierzesz tego poważnie?

Słowa te popłynęły z jego ust, zanim zdążył się zastanowić, jaką mogą wywołać burzę:

– Dlaczego traktujesz mnie jak jakiegoś pieprzonego trędowatego?

– Możesz być nosicielem groźnej choroby. Wiesz, co to znaczy?

– Oczywiście, że wiem, co to znaczy – powiedział z naciskiem. Nagle poczuł się zupełnie oklapnięty, jakby nie mógł już nic znieść. Ile razy już przez to przechodzili? Ile sprzeczek mieli już w tej kuchni, oboje doprowadzeni do granicy wytrzymałości? On zawsze był tym, który się mitygował, on zawsze przeproszał, on łagodził. Robił to przez całe życie, od uśmierzania pijackich wybuchów złości matki, po wystawianie się na ciosy ojca. Jako gliniarz codziennie mieszał się w sprawy innych ludzi, chłonąc ich ból i wściekłość, ich lęk i strach. Nie mógł już tego robić. Musi nadejść taki czas, kiedy zazna trochę spokoju.

– Musisz być ostrożny, dopóki nie dostaniemy wyników z laboratorium – pouczała go Sara.

– To tylko kolejna wymówka, Saro.

– Wymówka po co?

– Po to, żeby mnie odtrącić – powiedział podniesionym głosem. Wiedział, że powinien umilknąć i uspokoić się, ale nie potrafił wybiec poza tę chwilę. – To kolejna rzecz, którą wykorzystujesz, żeby trzymać się ode mnie z daleka.

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tak myślisz.

– A jeśli to mam? – zapytał. I znowu powiedział pierwszą rzecz, która mu przyszła do głowy. – Nigdy już mnie nie dotkniesz? To właśnie próbujesz mi powiedzieć?

– Nie wiemy...

– Moja krew, moja ślina. Wszystko będzie skażone. – Słyszał, że krzyczy, ale nie dbał o to.

– Są sposoby obejścia...

– Nie myśl, że nie zauważyłem, że się ode mnie odsuwasz.

– Odsuwam?

Roześmiał się gorzko. Był tak cholernie znużony, że nie miał nawet siły ponownie podnieść głosu.

– Nawet mi nie powiesz, że mnie kochasz. Myślisz, że jak się z tego powodu czuję? Ile razy muszę chodzić po tej linii, zanim pozwolisz mi do siebie wrócić?

Założyła ręce za plecy.

– Wiem, Saro. I już niewiele tych razy zostało. – Spojrzał w okno nad zlewem, z którego patrzyło na niego jego odbicie.

Minęła co najmniej pełna minuta, zanim się odezwała.

– Naprawdę tak się czujesz?

– Tak się czuję – odparł i wiedział, że to prawda. – Nie mogę się cały czas zastanawiać, czy jesteś na mnie zła czy nie. Muszę wiedzieć... – Starał się dokończyć, ale nie miał siły. Po co to wszystko?

Trwało to trochę czasu, ale jej odbicie pojawiło się w szybie obok niego.

– Co musisz wiedzieć?

– Muszę wiedzieć, że mnie nie zostawisz.

Odkręciła kurek i oderwała papierowy ręcznik z rolki.

– Zdejmij koszulę – powiedziała.

– Co?

– Masz krew na szyi – zmoczyła ręcznik.

– Chcesz, żebym dał ci rękawiczki?

Zignorowała ten przytyk i ściągnęła mu koszulę przez głowę, uważając, by nie trącić go w nos.

– Nie potrzebuję twojej pomocy – powiedział.

– Wiem. – Otarła mu szyję papierowym ręcznikiem. Patrzył ponad jej głowę, jak zmywa z niego zaschniętą krew. Strumyk krwi spłynął aż do mostka. Starła go, po czym wyrzuciła ręcznik do kosza.

Wzięła butelkę mlecza nawilżającego, którą zawsze trzymała przy zlewie, i naalała go trochę na dłoń.

– Masz suchą skórę.

Kiedy go dotknęła, jej ręce były zimne, wydał więc dźwięk podobny do skowytu bólu.

– Przepraszam – powiedziała, rozcierając ręce, żeby się zagrzały. Położyła niepewnie palce na jego piersi. – Dobrze?

Skinął głową. Czuł się lepiej i pragnął, by nie było tak z jej powodu. Była to ta sama stara szarpanina i znowu pozwalał się w to wciągnąć. Nadal wcierała płyn w jego ciało, zataczając dłońmi małe kółka. Zmniejszyła nacisk palców, zatrzymując się na dłużej wokół różowej blizny na

jego barku. Rana jeszcze niezupełnie się zagoiła i czuł w uszkodzonej skórze mrowienie, jak pod wpływem prądu.

– Nie myślałam, że z tego wyjdiesz – powiedziała i wiedział, że mówi o dniu, w którym został postrzelony.

– Włożyłam dłonie w twoje ciało, ale nie wiedziałam, czy uda mi się powstrzymać krwawienie.

– Uratowałaś mi życie.

– Mogłam cię stracić.

Pocałowała bliznę, mruczając coś, czego nie dosłyszał. Całowała go nadal, z zamkniętymi oczami. Poczł, że jemu też zamykają się oczy, kiedy przesuwała wolno usta po jego piersi. Po chwili zaczęła schodzić w dół, rozpinając jego dżinsy. Oparł się plecami o zlew, kiedy przed nim uklękała. Jej język był ciepły i twardy, kiedy wodziła nim wzdłuż całej jego długości. Chwycił się mocno blatu, by nie ugięły się pod nim nogi. Całe jego ciało trzęsło się z pożądania, ale zmusił się, by położyć ręce na jej ramionach i podnieść ją.

– Nie – powiedział, myśląc, że prędzej umrze, niż zaryzykuje zarażenie jej jakąś straszną chorobą. – Nie – powtórzył, chociaż niczego bardziej nie pragnął, niż zanurzyć się w niej.

Sięgnęła w dół, kładąc dłoń tam, gdzie przedtem były jej usta. Jeffrey głośno złapał oddech, kiedy objęła go drugą dłonią. Próbował się odsunąć, ale utrudnił mu to widok jej twarzy. Miała przymknięte powieki i zaróżowione policzki. Usta trzymała o parę cali od jego ust, kusząc go obietnicą pocałunku. Czł jej oddech, kiedy mówiła, ale znowu nie słyszał słów. Zaczęła go całować, a jej język był tak miękki i delikatny, że ledwie mógł oddychać. Jej dłonie pracowały zgodnie i prawie stracił kontrolę nad sobą, gdy ujęła jego dolną wargę zębami.

– Saro – jęknął.

Całowała jego twarz, szyję, usta i w końcu usłyszał, co mówi.

– Kocham cię – wyszeptała, pieszcząc go, aż w końcu nie mógł już dłużej się opierać. – Kocham cię.

WTOREK

Lena usłyszała wrzaski Jeffrey'a dochodzące zza zamkniętych drzwi jego gabinetu, gdy tylko weszła do pokoju odpraw. Stała obok ekspresu do kawy przy wejściu do gabinetu, ale nie mogła nic zrozumieć.

Podszedł do niej Frank, wyciągając kubek, by dolać sobie kawy, chociaż był już pełny.

– Marty Lam – powiedział Frank, wzruszając ramionami. – Czy to nie on miał obserwować tamten dom w nocy?

– Dom Chipa Donnera? – zapytała. Jeffrey wydał rozkaz, by przed domem Donnera stał radiowóz, na wypadek gdyby chłopak się pojawił.

– Tak. A co?

– Rano szef podjechał tam w drodze do roboty i nie było nikogo.

Oboje umilkli, starając się rozpoznać słowa Jeffrey'a, kiedy podniósł głos.

– Szef jest nieźle wkurzony – rzekł Frank.

– Tak myślisz? – zapytała Lena z sarkazmem mocniejszym od kawy.

– Uważaj – powiedział Frank. Zawsze myślał, że z powodu tych prawie trzydziestu lat różnicy między nimi należy mu się trochę szacunku.

– Dostałeś już ten raport o stanie finansowym farmy? – Lena zmieniła temat.

– Tak – odparł. – Z tego, co się zorientowałem, są na plusie.

– Dużym?

– Nie bardzo – powiedział. – Staram się o kopię ich zeznania podat-

kowego. Nie będzie to łatwe. Farma jest własnością prywatną.

Lena stłumiła ziewnięcie. Ostatniej nocy spała może dziesięć sekund.

– A co mówią o nich w schroniskach?

– Że powinniśmy wszyscy dziękować Bogu, że na ziemi są tacy ludzie – powiedział Frank, ale nie wyglądał na skłonnego do modlitwy dziękczynnej.

Drzwi gabinetu Jeffreya otworzyły się z impetem i wyszedł z nich Marty Lam jak skazaniec wlokący się do celi śmierci. Miał kapelusz w rękach i wzrok wbity w podłogę.

– Frank – powiedział Jeffrey, podchodząc do nich.

Lena widziała, że jest jeszcze zły, i mogła sobie tylko wyobrazić, jak zmył głowę Marty'emu. Fakt, że miał pod okiem siniec koloru dojrzałego granatu, na pewno nie poprawiał mu nastroju.

– Skontaktowałaś się z tą firmą dostawczą dla jubilerów? – zapytał Franka.

– Mam tu listę klientów, którzy kupili cyjanek – odparł Frank, wyjmując z kieszeni kartkę. – Sprzedali te sole dwóm sklepom w Macon i jednemu przy Siedemdziesiątej Piątej. W Augustie jest też zakład galvanizacyjny. W tym roku wzięli jak dotychczas trzy butelki.

– Wiem, że to jest jak drzazga w dupie, ale chcę, żebyś sprawdził ich osobiście. Rozejrzyj się, czy nie ma tam jakichś rzeczy o Jezusie, które mogłyby ich łączyć z tym Kościołem albo z Abby. Później porozmawiam z jej rodziną i spróbuję się dowiedzieć, czy kiedykolwiek wyjeżdżała sama z miasta. – Zwrócił się do Leny: – Nie dostaliśmy odcisków palców z tej buteleczki cyjanku od Dale'a.

– Żadnych? – zapytała.

– Dale zawsze wkładał rękawiczki, kiedy brał ją do ręki – powiedział Jeffrey. – Może to z tego powodu.

– Może ktoś je stał.

– Chcę, żebyś poszła pogadać z tą O'Ryan – powiedział do niej Jeffrey. – Parę minut temu dzwonił Buddy Conford. Reprezentuje ją.

Poczuła, że na dźwięk nazwiska tego adwokata marszczy się jej nos.

– Kto go wynajął?

– Za cholerę nie wiem.

– Ma coś przeciwko temu, że z nią porozmawiamy? – zapytała Lena. Jeffrey wyraźnie nie miał ochoty, żeby go wypytywano.

– Czy ja coś źle zrozumiałem? Teraz ty jesteś moją szefową? – Nie pozwolił jej odpowiedzieć. – Sprowadź ją do tego pieprzonego pokoju, zanim on się pojawi.

– Tak jest – odparła Lena, wiedząc, że lepiej go nie denerwować.

Frank uniósł brwi, kiedy wychodziła, a ona wzruszyła ramionami, nie wiedząc, co powiedzieć. W ostatnich kilku dniach nie mogli rozszyfrować nastroju Jeffrey'a.

Pchnęła drzwi przeciwpożarowe prowadzące do tylnej części komisarjatu. Przy kranie stał Marty Lam, ale nie pił wody. Skinęła do niego głową, przechodząc obok. Wyglądał jak jelen, który dostał się w światła samochodu. Znała to uczucie.

Wstukała kod w panel otwierający drzwi cel i wyjęła klucze. Patty O’Ryan leżała skulona na pryczy; kolanami niemal dotykała brody. Mimo że była nadal ubrana, a raczej półubrana, w swój strój striptizerki z poprzedniej nocy, wyglądała na jakieś dwanaście lat, kiedy spała, niewiniątko, którym miotał okrutny świat.

– O’Ryan! – wrzasnęła Lena, potrząsając zamkniętymi drzwiami celi. Metal zagrzechotał o metal i dziewczyna tak się przestraszyła, że spadła na podłogę.

– Wstań i się rozpromień – zaśpiewała Lena.

– Zamknij się, ty głupia suko – warknęła O’Ryan, nie wyglądając już ani jak dwunastolatka, ani jak niewiniątko. Przyłożyła rękę do uszu, kiedy Lena na dokładkę jeszcze raz potrząsnęła drzwiami. Było widać, że dziewczyna ma kaca, pytanie tylko po czym.

– Wstań – powiedziała Lena. – Odwróć się, ręce na plecy.

Dziewczyna znała więzienny regulamin i prawie nie drgnęła, kiedy Lena założyła jej kajdanki na przeguby. Były tak cienkie i kościste, że Lena musiała przesunąć zatrzask na ostatni ząbek. Dziewczyny takie jak O’Ryan rzadko padały ofiarami morderstw. One ze wszystkiego wycho-

dziły cało. To osoby takie jak Abigail Bennett musiały stale zerkać za siebie.

Lena otworzyła drzwi celi, wzięła dziewczynę za ramię i poprowadziła ją korytarzem. Będąc obok niej tak blisko, czuła smród potu i substancji chemicznych, wydobywających się wszystkimi porami jej skóry. Jej mysiobrazowe włosy już od dość dawna nie były myte i zwisały w strąkach do pasa. Kiedy szły, Lena dostrzegła w zgięciu łokciowym jej lewej ręki ślad po ukłuciu.

– Lubisz amfę. – Domyśliła się. Jak w większości małych miast w całej Ameryce w Grant nastąpił w ostatnich pięciu latach tysiącrotny wzrost w handlu amfetaminą.

– Znam swoje prawa – wyszczała O’Ryan. – Nie macie żadnego pretekstu, żeby mnie tu trzymać.

– Przeszkadzanie policji, napaść na funkcjonariuszkę, stawianie oporu podczas aresztowania – wyrecytowała Lena. – Chcesz nasikać w kubek? Jestem pewna, że możemy do tego jeszcze coś dorzucić.

– Chcę naszczać na ciebie – powiedziała dziewczyna i splunęła na podłogę.

– Jesteś prawdziwą damą, O’Ryan.

– A ty prawdziwą cipą, ty druciaro.

– Ups – powiedziała Lena, szarpnąwszy ją za ramię, tak że dziewczyna się potknęła. Zapiszczała z bólu, co sprawiło Lenie satysfakcję. – Tutaj – rozkazała Lena, wpychając ją do pokoju przesłuchań.

– Suka – wyszczała O’Ryan, kiedy Lena posadziła ją siłą na najbardziej niewygodnym krześle w całym komisariacie.

– Niczego nie próbuj – ostrzegła ją Lena. Otworzyła jedną z obrzączek kajdanków i przełożyła ją przez pierścień, który Jeffrey przyspawał do stołu. Stół był przykręcony do podłogi, co już nieraz okazało się dobrym pomysłem.

– Nie macie prawa trzymać mnie tutaj – powiedziała O’Ryan. – Chip nic nie zrobił.

– To dlaczego uciekł?

– Bo wiedział, że wy, pojeby, i tak go zapuszkujecie.

– Ile masz lat? – zapytała Lena, siadając naprzeciwko niej.

Podniosła wyzywająco brodę do góry.

– Dwadzieścia jeden – powiedziała, czym upewniła Lenę, że jest niepełnoletnia.

– Nie pomagasz tym sobie – powiedziała Lena.

– Chcę adwokata.

– Jest już w drodze.

– Kto? – spytała, zaskoczona.

– Nie wiesz?

– Kurwa – wyrzuciła z siebie, a jej twarz znowu przybrała wyraz małej dziewczynki.

– Coś nie tak?

– Nie chcę adwokata.

Lena westchnęła. Wszystkie problemy z tą dziewczyną załatwiłoby porządne lanie w tyłek.

– A to dlaczego?

– Po prostu nie chcę – powiedziała. – Zabierzcie mnie do aresztu. Oskarżcie. Zróbcie, co chcecie. – Oblizwała usta z fałszywą skromnością, rzucając na Lenę okiem. – Chcesz jeszcze czegoś ode mnie?

– Nie pochlebiaj sobie.

Skoro nie podziałała propozycja seksualna, O’Ryan przeistoczyła się na powrót w małą, przestraszoną dziewczynkę. Po jej policzkach pociekły krokodyle łzy.

– Zróbcie mi proces. Nie mam nic do powiedzenia.

– Mamy parę pytań.

– Pierdol się ze swoimi pytaniami – powiedziała. – Znam swoje prawa. Nie muszę ci mówić żadnego gówna, a ty nie możesz mnie do tego zmusić.

Jeśli nie liczyć przekleństw, mówiła prawie to samo co Albert, właściciel Różowego Kociaka, kiedy wczoraj w nocy Jeffrey poprosił go, żeby przyjechał do komisariatu. Lena nie cierpiała, kiedy ludzie znali swoje prawa. To czyniło jej pracę dużo trudniejszą.

– Patty, nie pomagasz sobie – powiedziała Lena, pochyliwszy się

nad stołem.

– Pierdol się z tym swoim pomaganiem sobie. Najlepiej sobie pomogę, trzymając dziób na kłódkę.

Na stół przyskała ślina i Lena odchyliła się do tyłu, zastanawiając się, co spowodowało, że Patty O’Ryan wybrała takie życie. Kiedyś była czyjąś córką, czyjąś przyjaciółką. Teraz była jak pijawka, myślała tylko o sobie.

– Nigdzie nie pójdziesz, Patty – rzekła. – Mogę tu siedzieć cały dzień.

– Możesz siedzieć dupą na grubym kutasie, ty druciaro.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Jeffrey, a za nim Buddy Conford.

W jednej chwili O’Ryan zmieniła się nie do poznania. Wybuchnęła płaczem jak dziecko, które się zagubiło.

– Tato, proszę, zabierz mnie stąd! Przysięgam, że nic nie zrobiłam – mówiła, szlochając do Buddy’ego.

Siedząc w gabinecie Jeffreya, Lena wsunęła stopę pod dolną deskę jego biurka, zaparła się i odchyliła w fotelu do tyłu. Buddy przyglądał się jej nodze i nie wiedziała, czy robi to z zainteresowaniem czy z zazdrością. Kiedy był nastolatkiem, stracił w wypadku samochodowym prawą nogę od kolana w dół. Parę lat później rak wyżarł mu lewe oko, a niedawno rozzłoszczony klient postrzelił go z bliska z powodu rachunku. W wyniku tego Buddy stracił nerkę, ale mimo to udało mu się doprowadzić do zmiany zarzutu wobec tego klienta z usiłowania zabójstwa na zwykłą napaść. Kiedy mówił, że jest adwokatem oskarżonego, nie kłamał.

– Ten twój chłopak trzyma się z dala od kłopotów?

– Nie mówmy o tym – powiedziała Lena, żałując po raz kolejny, że zaangażowała Buddy’ego Conforda w wyciągnięcie Ethana z tarapatów. Problem polegał na tym, że kiedy siedzisz po przeciwnej stronie biurka i potrzebujesz adwokata, chcesz mieć najsprytniejszego, najcwańszego. Stare przysłowie mówi, że kto kładzie się spać z psami, budzi się z pchłami. Lenę nadal swędziała skóra od tego.

– Uważasz na siebie? – naciskał Buddy.

Lena odwróciła się, by zobaczyć, co zatrzymuje Jeffreya. Rozmawiał z Frankiem, trzymając w ręku jakąś kartkę.

Poklepał go po ramieniu, po czym ruszył w stronę gabinetu.

– Przepraszam – powiedział. Pokręcił głową, patrząc na Lenę – dał jej do zrozumienia, że nie ma żadnego przełomu w sprawie. Usiadł za biurkiem – kartkę położył zapisaną stroną do dołu.

– Ładny siniak – rzekł Buddy, wskazując oko Jeffreya.

Jeffrey wyraźnie nie miał ochoty na pogaduszki.

– Nie wiedziałem, że masz córkę, Buddy.

– Pasierbicę – poprawił go Buddy z miną, jakby żałował, że musi to przyznać. – W zeszłym roku ożeniłem się z jej mamą. Chodziliśmy ze sobą i zrywaliśmy przez dobre dziesięć lat. Same z nią kłopoty.

– Z mamą czy z córką? – zapytał Jeffrey i obaj zachichotali.

Buddy westchnął, chwytając się obu poręczy fotela. Miał dzisiaj założoną protezę, ale mimo to przyszedł z laską. Z jakiegoś powodu laska przypomniała Lenie Grega Mitchella. Przyłapała się na tym, że kiedy rano jechała do pracy, rozglądała się wbrew swoim intencjom za byłym chłopakiem, mając nadzieję, że wyszedł na spacer. Nie żeby wiedziała, co miałyby mu powiedzieć.

– Patty ma problem z narkotykami – powiedział Buddy. – Co i rusz oddajemy ją na leczenie.

– Gdzie jest jej ojciec?

– Tu mnie zażyliście. – Buddy rozłożył ręce.

– Amfa? – zapytała Lena.

– A co innego? – powiedział, opuszczając ręce. Buddy dobrze żył z amfetaminy, nie bezpośrednio, ale reprezentując klientów, których oskarżano o handel nią.

– Ona ma siedemnaście lat – powiedział. – Jej mama uważa, że ona robi to już od pewnego czasu. Niedawno zaczęła ćpać na nowo. W żaden sposób nie potrafię jej powstrzymać.

– Ten narkotyk ciężko rzucić – zauważył Jeffrey.

– To prawie niemożliwe – przyznał Buddy. Znał się na tym. Połowa

jego klientów była recydywistami. – W końcu musieliśmy wyrzucić ją z domu – mówił dalej. – To było około pół roku temu. Nic takiego nie robiła, ale siedziała do późna w nocy, dawała sobie w żyłę i spała do trzeciej po południu. Kiedy w końcu się obudziła, to przeważnie po to, żeby skląć matkę, mnie i cały świat. Wiecie, jak to jest, wszyscy oprócz ciebie są dupkami. A przy tym buzia się jej nie zamyka, ma coś w rodzaju dobrowolnej koprolalii. Co za syf. – Postukał palcami w nogę, a pokój wypełniły głucho, trzaskające dźwięki. – Robisz, co możesz, żeby pomóc ludziom, ale pewnych spraw nie przeskoczysz.

– Gdzie poszła, kiedy się wyprowadziła?

– Spała głównie u przyjaciółek, chociaż wydaje mi się, że zabawiała się też z chłopakami za parę centów. Kiedy nadużyła gościnności przyjaciółek, zaczęła pracować w Kociaku. – Przestał bębnić palcami po nodze. – Wierzcie mi albo nie, ale myślałem, że dzięki temu w końcu się ustatkuje.

– Jak to? – zapytała Lena.

– Możesz sobie pomóc dopiero wtedy, kiedy sięgniesz dna. – Rzucił jej znaczące spojrzenie, które sprawiło, że miała ochotę dać mu w twarz. – Nie mogę sobie wyobrazić większego dna niż zdejmowanie ubrania przed bandą niedomytych ćwoków w Różowym Kociaku.

– Nie zadawała się przypadkiem z ludźmi z tej farmy w Catoogah?

– Tymi religijnymi oszołomami? – Buddy zaśmiał się. – Nie sądzę, żeby ją przyjęli.

– Ale wiesz o tym?

– Możecie ją zapytać, ale wątpię. Ona nie jest typem religijnym. Jeśli gdzieś idzie, to tylko patrzy, jak zdobyć prochy, jak się ustawić. Oni mogą być grupą walniętych na punkcie Biblii szaleńców, ale nie są głupi. Od razu by ją przejrzeni. Ona też zna swoją publiczność. Nie marnowałyaby czasu.

– Znasz tego faceta, Chipa Donnera?

– Tak, reprezentowałem go parę razy, robiąc przysługę Patty.

– Nie ma go w mojej kartotece – powiedział Jeffrey, mając na myśli to, że nigdy nie został przymknięty przez policję hrabstwa Grant.

– Nie, bo to było w Catoogah. – Buddy poprawił się w fotelu. – Muszę powiedzieć, że to nie jest zły chłopak. Jest stąd, nigdy nie był dalej niż pięćdziesiąt mil od domu. Po prostu głupi. Większość z nich jest po prostu głupia. Połącz to z nudą i...

– A co powiesz o Abigail Bennett? – przerwał mu Jeffrey.

– Nigdy o niej nie słyszałem. Pracuje w tym klubie?

– To ją znaleźliśmy zakopaną w lesie.

Buddy zadrżał, jakby przeszedł go dreszcz.

– Jezu, co za straszna śmierć. Tata zwykł nas straszyć, kiedy szliśmy na cmentarz, na grób jego mamy. Dwie kwatery dalej pochowany był kaznodzieja, z drutem sterczącym z grobu i idącym do słupa telefonicznego. Tata powiedział nam, że umieścili w jego trumnie telefon, żeby mógł zadzwonić w przypadku, gdyby naprawdę nie umarł. – Buddy zachichotał. – Pewnego razu mama przyniosła dzwonek, jeden z tych dzwonekó w rowerowych, a my staliśmy właśnie wokół grobu babci, starając się wyglądać poważnie. Zadzwoniła tym dzwoniem i o mało się nie zesrałem w spodnie.

Jeffrey pozwolił sobie na uśmiech.

Buddy westchnął.

– Nie przyszedłem tu opowiadać starych historii. Czego chcecie od Patty?

– Chcemy wiedzieć, co ją łączy z Chipem.

– Ja mogę wam to powiedzieć – rzekł. – Zadurzyła się w nim. On nawet by na nią nie spojrział, ale ona była w niego strasznie zapatrzona.

– Chip zna Abigail Bennett.

– Skąd?

– Tego właśnie chcielibyśmy się dowiedzieć – powiedział Jeffrey. – Mieliliśmy nadzieję, że Patty mogłaby nam to powiedzieć.

Buddy oblizał usta. Lena wiedziała, dokąd to zmierza.

– Przykro mi to mówić, szefie, ale ja nie mam nad nią żadnej władzy.

– Moglibyśmy pójść na układ – zaproponował Jeffrey.

– Nie – uciął Buddy, podnosząc rękę. – Nie nabieram was. Ona mnie

nienawidzi. Wini mnie za to, że zabrałem jej mamę, za wyrzucenie jej z domu. Ja jestem tutaj złym facetem.

– Może bardziej niż ciebie nienawidzi więzienia – zasugerowała Lena.

– Może. – Buddy wzruszył ramionami.

– A więc – rzekł Jeffrey, wyraźnie niezadowolony – pozwolimy jej wydusić to z siebie innego dnia?

– Myślę, że tak byłoby najlepiej – zgodził się Buddy. – Nie chcę, żeby zabrzmiało to zbyt mocno, ale ona potrzebuje czegoś więcej niż zdrowy rozsądek, żeby dać się do tego przekonać. – Musiała się odezwać jego natura adwokata, bo szybko dodał: – No i oczywiście oczekujemy, że w zamian za zeznania znikną zarzuty napaści i utrudniania pracy policji.

– Właśnie dlatego ludzie nie cierpią prawników. – Lena nie mogła się powstrzymać, by nie stęknąć z odrazą.

– Wydawało mi się, że ci to nie przeszkadza, kiedy potrzebne były moje usługi – zauważył wesoło Buddy. Potem zwrócił się do Jeffreya: – No to jak?

Jeffrey usiadł wygodniej w fotelu i złożył dłonie tak, że stykały się czubkami palców.

– Jutro rano z nami porozmawia albo nici z naszej umowy.

– Umowa stoi – rzekł Buddy, wyciągając rękę, żeby przypieczętować układ. – Dajcie mi teraz parę minut, żebym mógł pogadać z nią sam na sam. Postaram się odmalować jej to w ładnych barwach.

Jeffrey podniósł słuchawkę telefonu.

– Brad? Zabierz Buddy'ego do Patty O'Ryan, żeby z nią porozmawiał. – Odłożył słuchawkę na widełki. – Czeka w areszcie.

– Dziękuję – powiedział Buddy. Wstając, oparł się mocno na lasce. Puścił oko do Leny, zanim wyszedł.

– Dupek – powiedziała.

– On tylko wykonuje swoją pracę – rzekł Jeffrey, ale wiedziała, że czuje to samo.

Miał do czynienia z Buddym Confordem prawie co tydzień i zwykle

opłacało mu się zawierać z nim układy, ale myślała, że O’Ryan w końcu zaczęłyby mówić sama z siebie i niepotrzebne były żadne negocjacje, które miały ocalić jej dupę i uratować od dwóch lat odsiadki. Poza tym Lena wolałaby, żeby się z nią skonsultowano w sprawie wypuszczenia tej suki, zważywszy na to, że to na nią się rzuciła.

– Powiedziałem Dale’owi Stanleyowi, żeby z samego rana przysłał tutaj swoją żonę – rzekł Jeffrey, wyglądając na parking.

– Myślisz, że przyjdzie?

– A kto to, kurwa, wie. – Z westchnieniem osunął się na oparcie fotela. – Chcę jeszcze raz porozmawiać z tą rodziną.

– Jutro mają tu przyjechać.

– Uwierzę, kiedy zobaczę.

– Myślisz, że Lev da się podłączyć do wykrywacza kłamstw?

– Tak czy inaczej, to by nam cholernie dużo powiedziało – odparł, znowu wyglądając przez okno. – Przyjechała.

Lena podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczyła niską kobietę, wysiadającą z klasycznego dodge’a. Za nią szło jedno dziecko, a drugie trzymała na ręku. Obok nich zmierzał w stronę komisariatu wysoki mężczyzna.

– Wygląda znajomo.

– Piknik policyjny – powiedział Jeffrey, wkładając kurtkę. – Mogłabyś zająć się Dale’em?

– Eee – zaczęła Lena, zaskoczona tą propozycją. Zwykle razem przesłuchiwali świadków. – Tak – odparła. – Nie ma problemu.

– Może się bardziej otworzyć, kiedy go przy niej nie będzie – wyjaśnił Jeffrey. – On lubi gadać.

– Nie ma problemu – powtórzyła.

Na widok dzieci Marla siedząca przy biurku koło wejścia zapiszczała, głosem tak przenikliwym, że mogłoby od niego pęknąć szkło. Uszczypnęła niemowlaka w policzek, a dziecko, zamiast się rozplakać, roześmiało się. Marla wzięła je na ręce, jakby była jego dawno utraconą babcią. Kiedy Lena zobaczyła w końcu Terri Stanley, omal nie przysiadła z wrażenia.

– Och – powiedziała Terri, jakby zabrakło jej tchu.

– Dzięki, że przyjechaliście. – Jeffrey uściśnął dłoń Dale’a. – To jest Lena Adams... – Jego głos ucichł, a Lena zmusiła się do zamknięcia ust, które otworzyła szeroko na widok Terri. Jeffrey spojrział na nią, potem na Terri i spytał: – Pamiętacie piknik w zeszłym roku?

Terri odezwała się, a przynajmniej poruszyły się jej usta, ale Lena nie słyszała słów, bo od nagłego przyływu krwi do głowy dudniło jej w uszach. Jeffrey nie musiał zawracać sobie głowy przedstawianiem ich sobie. Lena dokładnie wiedziała, kim jest Terri Stanley. Ta kobieta była od niej niższa i co najmniej o dziesięć kilogramów lżejsza. Chociaż była ledwie po trzydziestce, włosy miała upięte w kok jak starsza pani. Jej usta były blade, niemal sine, a z oczu wyzierał strach, który zdawał się być odbiciem strachu Leny. Widziała już wcześniej ten strach, nieco ponad tydzień temu, kiedy czekała na wywołanie swojego nazwiska, by opuścić poczekalnię w klinice.

– Ja... ja... – wyjąkała Lena. Urwała, starając się uspokoić.

Jeffrey przyglądał im się uważnie. Bez ostrzeżenia zmienił ustaloną wcześniej strategię.

– Terri, nie masz nic przeciwko temu, że Lena zada ci parę pytań? – Dale zrobił minę, jakby chciał zaprotestować, ale Jeffrey szybko zapytał: – Mogę jeszcze raz rzucić okiem na tego darta? Wspaniały wózek.

Wydawało się, że ta sugestia nie przypadła Dale’owi do gustu, i Lena widziała, że stara się wymyślić jakąś wymówkę. W końcu skapitulował i podniósł stojącego obok niego malca.

– Dobra.

– Zaraz wrócimy – powiedział Jeffrey do Leny, rzucając jej znaczące spojrzenie. Będzie chciał usłyszeć wyjaśnienie, ale nie przychodziła jej do głowy żadna historyjka, która by jej nie obciążała.

– Ja się nim zajmę – zaoferowała się Marla. Podniosła niemowlaka, czym wywołała jego pisk.

– Możemy porozmawiać w gabinecie Jeffrey’a – powiedziała Lena.

Terri tylko skinęła głową. Lena widziała cienki złoty łańcuszek na jej szyi, z wiszącym na nim małym krzyżykiem. Terri pogładziła go palca-

mi, jakby był talizmanem. Wyglądała na równie przestraszoną jak Lena.

– Tędy – powiedziała Lena. Poszła przodem, słuchając powłóczących kroków Terri za sobą, kiedy zmierzały do gabinetu Jeffreya. Pokój odpraw był prawie pusty, było tam tylko paru gliniarzy z patrolu, którzy wpadli, by wypełnić jakieś papierki albo po prostu schronić się przed zimnem. Zanim dotarła do gabinetu Jeffreya, poczuła, że po plecach ścieka jej strużka potu. Był to jeden z najdłuższych spacerów w jej życiu.

Terri nie odezwała się, dopóki Lena nie zamknęła drzwi.

– Byłaś w klinice.

Lena stała do niej tyłem, patrząc przez okno na Jeffreya i Dale’a chodzących wokół samochodu.

– Wiem, że to byłaś ty – powiedziała Terri zduszonym głosem.

– Tak – przyznała Lena i odwróciła się.

Terri siedziała na jednym z foteli naprzeciw biurka Jeffreya, zaciskając dłonie na jego poręczach, jakby chciała je oderwać.

– Terri...

– Dale mnie zabije, jeśli się dowie. – Powiedziała to z takim przekonaniem, że Lena nie miała żadnych wątpliwości, że zrobiłby to.

– Ode mnie się nie dowie.

– A od kogo? – Była wyraźnie przerażona i Lena poczuła, że opuszcza ją panika, kiedy uświadomiła sobie, że obie są związane tą tajemnicą, Terri widziała ją w klinice, ale ona też widziała Terri. – Zabije mnie – powtórzyła Terri, a jej chude ramiona drżały.

– Ja mu nie powiem – powtórzyła Lena, myśląc, że stwierdza to, co jest oczywiste.

– Lepiej, cholera, żebyś tego nie zrobiła – warknęła Terri. Słowa te miały zabrzmieć jak groźba, ale Terri brakowało przekonania, żeby je wymówić z odpowiednim naciskiem. Ledwie mogła złapać dech. W oczach miała łzy.

– Czego się boisz? – Lena usiadła na fotelu obok niej.

– Ty też to zrobiłaś – powiedziała głosem, który uwiązał jej w gardle.
– Jesteś tak samo winna jak ja. Zamordowałaś... zabiłaś swoje... zabi-

łaś...

I znowu Lena stwierdziła, że jej usta się poruszają, ale nie wychodzi z nich żadne słowo.

– Mogę pójść do piekła za to, co zrobiłam, ale nie zapomnij, że mogę cię zabrać ze sobą – wyrzuciła z siebie Terri.

– Wiem – rzekła Lena. – Terri, nie mam zamiaru nikomu mówić.

– O Boże – jęknęła Terri, przyciskając pięść do piersi. – Proszę, nie mów mu.

– Obiecuję – przyrzekła Lena, czując, że ogarnia ją litość. – Terri, już dobrze.

– On nie zrozumie.

– Ja nie powiem – powtórzyła Lena, kładąc rękę na dłoni Terri.

– Jest mi tak ciężko – powiedziała Terri, chwyciwszy ją za rękę. – Tak ciężko.

Lena poczuła, że do oczu napływają jej łzy, i zacisnęła szczęki, walcząc z sobą, by się nie rozkleić.

– Terri – zaczęła. – Terri, uspokój się. Jesteś tutaj bezpieczna. Ja nie powiem.

– Czułam je... – zaczęła Terri, trzymając się za brzuch. – Czułam, jak się we mnie porusza. Czułam, jak kopie. Nie mogłam do tego dopuścić. Nie mogłam mieć jeszcze jednego. Nie mogłam już... Nie mogę... Nie jestem taka silna... Dłużej już tego nie wytrzymam. Nie wytrzymam...

– Ćśś – szepnęła Lena, odgarniając kosmyk włosów, który opadł Terri na oczy. Ta kobieta wyglądała tak młodo, niemal jak nastolatka. Po raz pierwszy od wielu lat Lena czuła potrzebę pocieszenia kogoś. Tak długo sama potrzebowała pomocy, że prawie zapomniała, jak oferuje się ją innym. – Spójrz na mnie – powiedziała, zbierając się w sobie, walcząc z własnymi emocjami. – Nic ci nie grozi, Terri. Ja nie powiem. Nikomu nie powiem.

– Jestem taką złą kobietą – powiedziała Terri. – Jestem taka zła.

– Nie jesteś.

– Nie czuję się czysta – wyznała Terri. – Choćbym nie wiem ile się kąpała, nie czuję się czysta.

– Wiem – powiedziała Lena, czując, jakby spadł z jej piersi wielki ciężar, kiedy to przyznała.

– Czuję na sobie ten zapach – rzekła Terri. – Znieczulenia. Chemika-liów.

– Wiem – powiedziała Lena, walcząc z pragnieniem ponownego po-grażenia się w żalu. – Bądź silna, Terri.

Terri skinęła głową. Była tak zgarbiona, że wyglądała, jakby mogła się złożyć na pół.

– On mi tego nigdy nie wybaczy.

Lena nie wiedziała, czy mówi o mężu, czy o jakiejś sile wyższej, ale kiwnęła głową na znak zgody.

– On mi nigdy nie wybaczy.

Lena zerknęła przypadkiem przez okno. Dale był przy samochodzie, ale Jeffrey stał z boku i rozmawiał z Sarą Linton. Spoglądał na komisa-riat, wymachując ręką, jakby był zły. Sara coś powiedziała, potem Jef-frey skinął głową i wziął od niej coś, co wyglądało jak torebka na dowo-dy. Poszedł z powrotem do komisariatu.

– Terri – powiedziała Lena, wiedząc, że zaraz wejdzie Jeffrey. – Po-słuchaj – zaczęła. – Wytrzymaj oczy. Spójrz na mnie. – Terri podniosła gło-wę. – Dobrze się czujesz – rzekła raczej rozkazującym niż pytającym to-nem.

Terri skinęła głową.

– Musisz się trzymać. Terri.

Kobieta znowu skinęła głową, zrozumiawszy zaniepokojenie Leny.

Zobaczyła Jeffreya w pokoju odpraw. Zatrzymał się, żeby powie-dzieć coś Marli.

– Idzie – powiedziała i Terri przestała się garbić – wyprostowała się jak aktorka na dane hasło.

Jeffrey zapukał do drzwi, zanim wszedł do gabinetu. Był wyraźnie czymś poruszony, ale nic nie mówił. Z kieszeni wystawała mu torebka, którą Sara dała mu na parkingu, ale Lena nie mogła się zorientować, co zawiera. Spojrzał na nią, unosząc brwi w wiecznym pytaniu, i Lena po-czuła skurcz w żołądku, kiedy zdała sobie sprawę, że nie zrobiła tego,

co kazał jej zrobić.

Skłamała bez mrugnięcia okiem.

– Terri mówi, że nigdy nie widziała w warsztacie nikogo oprócz Dale’a.

– Tak – potwierdziła Terri, kiwając głową i wstając z fotela. Odwróciła głowę i Lena dziękowała losowi, że Jeffrey jest zbyt zaabsorbowany, by zauważyć, że ta kobieta płakała.

Nawet nie podziękował jej za przyjsście, pozbywając się jej zdaniem:

– Dale czeka na zewnątrz.

– Dziękuję – powiedziała Terri, ryzykując spojrzenie na Lenę, zanim wyszła. Prawie przebiegła przez pokój odpraw, chwyciła dziecko z rąk Marli i skierowała się do wyjścia.

– Przesłano to Sarze do kliniki – powiedział Jeffrey, podając Lenie torebkę.

W środku była wyrwana z notesu kartka w linie. Lena odwróciła torebkę i przeczytała treść kartki. Składały się na nią cztery słowa, napisane fioletowym atramentem, drukowanymi literami, które zajmowały pół strony: ABBY NIE BYŁA PIERWSZA.

Lena szła przez las, przeczesała ziemię wzrokiem. Pragnęła się skoncentrować. Jej myśli przeskakiwały jak łódka miotana wiatrem od możliwości, że w lesie zakopana jest jeszcze jedna dziewczyna, do wspomnienia trwogi w głosie Terri Stanley, kiedy ta błagała ją, by nie zdradziła jej sekretu. Tę kobietę przerażała perspektywa, że jej mąż odkryje, co zrobiła. Dale wydawał się nieszkodliwy i Lenie trudno było sobie wyobrazić, by zdolny był do takich napadów wściekłości jak Ethan, ale rozumiała strach Terri. Terri była młodą kobietą, która pewnie nigdy nie pracowała poza domem. Gdyby Dale zostawił ją z dwójką dzieci, byłaby zupełnie bezradna. Lena rozumiała, dlaczego Terri czuje się jak w pułapce, tak jak rozumiała jej strach, że postępek wyjdzie na jaw.

Przez cały czas niepokoiła się, jak zareagowałby Ethan, ale teraz wiedziała, że ma więcej powodów do zmartwienia niż groźba użycia przemocy przez Ethana. Co by było, gdyby Jeffrey się dowiedział? Jeden Bóg wiedział, w jakie gówno wpakowała się w ostatnich trzech latach,

przeważnie na własne życzenie, ale nie miała pojęcia, jaka była ostateczna granica, której przekroczenie spowodowałoby, że Jeffrey odwróciłby się od niej. Jego żona była pediatrą i z tego, co wiedziała, Jeffrey uwielbiał dzieci. Nie znaczy to, że cały czas spierali się na tematy ideologiczne. Nie miała pojęcia, jakie było jego stanowisko wobec aborcji. Wiedziała jednak, że byłby wkurzony jak diabli, gdyby odkrył, że w rzeczywistości nie przesłuchała Terri. Były tak pogrążone we wzajemnych obawach, że w ogóle nie zapytała jej o warsztat, nie mówiąc już o gościach, o których nie wiedział Dale. Musiała znaleźć jakiś sposób, żeby się z nią ponownie skontaktować, zapytać ją o cyjanek, ale nie wiedziała, jak to zrobić bez wzbudzania podejrzeń Jeffrey'a.

On szedł pół metra od niej i mruzczał coś pod nosem. Wezwał prawie wszystkich gliniarzy zatrudnionych w komisariacie i skierował ich do lasu, by szukali innych grobów. Poszukiwania te były męczące, jak szukanie igły w stogu siana, a temperatura w lesie zmieniała się krańcowo – w jednej chwili prażyło słońce, w następnej, w chłodnym cieniu drzew, jej spocone ciało przenikał ziąb. Pod wieczór zrobiło się jeszcze zimniej, ale Lena wiedziała, że lepiej nie wracać po kurtkę. Jeffrey zachowywał się jak opętany. Wiedziała, że czuje się winny, ale wiedziała też, że w żaden sposób nie może mu pomóc.

– Powinniśmy byli zrobić to w niedzielę – powiedział Jeffrey, tak jakby mógł w jakiś cudowny sposób odgadnąć, że jedna trumna w lesie oznaczała, że musi być co najmniej jeszcze jedna. Lena nie zwracała sobie głowy zwracaniem mu na to uwagi; bezskutecznie próbowała zrobić to już parę razy. Zamiast tego wzrok miała cały czas utkwiony w ziemię, a liście i igły sosnowe zlewały się w jedną masę, kiedy jej myśli krążyły gdzie indziej. Obraz jej się zamazywał, co groziło tym, że lada chwila popłyną jej łzy.

Po prawie ośmiu godzinach poszukiwań, w czasie których sprawdzili zaledwie połowę z ponad dwustu akrów, wątpiła, by była w stanie zobaczyć wielką neonową strzałę wskazującą w dół, nie mówiąc już o kawałku wystającej z ziemi metalowej rury. Tym bardziej że szybko się ściemniało. Słońce było już nisko i w każdej chwili mogło zniknąć za

horyzontem. Dziesięć minut temu wyjęli latarki, ale ich światło niezbyt pomagało w poszukiwaniach.

Jeffrey podniósł głowę i spojrzał na drzewa, rozcierając kark. Zrobili tylko jedną przerwę, w porze obiadowej, by zjeść kanapki, które Frank zamówił w miejscowych delikatesach.

– Dlaczego ktoś miałby wysłać ten list do Sary? – zapytał Jeffrey. – Ona nie ma z tym nic wspólnego.

– Wszyscy wiedzą, że jesteście razem – zauważyła Lena. Marzyła o tym, by gdzieś usiąść. Potrzebowała tylko dziesięciu minut, żeby obmyślić, jak skontaktować się ponownie z Terri. Dodatkowym problemem był Dale. Jak ma mu wyjaśnić, że musi znowu porozmawiać z jego żoną?

– Nie chcę, żeby wciągano w to Sarę – powiedział Jeffrey i Lena zrozumiała, że jednym z powodów jego złości był fakt, że zaangażowanie Sary w tę sprawę mogło narazić ją na niebezpieczeństwo. – Na liście był stempel miejscowej poczty – rzekł. – To ktoś stąd, z Grant.

– Może ktoś z farmy nie był na tyle głupi, żeby wysłać list z Catoogah – zauważyła, myśląc, że każdy mógł wrzucić list do skrzynki pocztowej w Grant.

– Wysłano go w poniedziałek – powiedział. – A więc ktokolwiek to zrobił, wiedział, co się dzieje, i chciał nas ostrzec. – Jego latarka zamigotała i zgasła. Potrząsnął nią, ale nic to nie dało. – To jest jakiś pierdolony absurd. – Wyjął swój przenośny radiotelefon i włączył mikrofon. – Frank?

Minęło parę sekund, zanim Frank odpowiedział.

– Tak?

– Musimy mieć tu jakieś lampy – powiedział. – Zadzwonź do sklepu żelaznego i zobacz, czy możemy coś od nich pożyczyć.

– Robi się.

Lena poczekała, aż Frank się rozłączy, po czym spróbowała przekonać Jeffreya, że kontynuowanie poszukiwań nie ma sensu.

– W żaden sposób nie uda się nam sprawdzić dzisiaj całego tego lasu.

– Chcesz przyjechać jutro rano i uświadomić sobie, że dzisiaj można było uratować jakąś dziewczynę, gdybyśmy nie skończyli zbyt wcześnie?

– Jest późno – powiedziała. – Możemy przejść tuż obok i nawet tego nie zauważyć.

– Albo znaleźć to – rzekł. – Bez względu na to, co się zdarzy, jutro rano jesteśmy tu z powrotem i szukamy dalej. Nie obchodzi mnie, czy będziemy musieli sprowadzić tu buldożery i przekopać każdy pieprzony metr kwadratowy. Kapujesz?

Spojrzała w dół, szukając czegoś, choć nie wierzyła, że tam jest.

Jeffrey poszedł za jej przykładem, ale się nie poddawał.

– Powinienem być zrobić to w niedzielę. Powinniśmy byli wziąć się do tego w pełnym składzie, z pomocą ochotników. – Zatrzymał się. – Co zaszło między tobą a Terri Stanley?

– O co ci chodzi? – rzuciła niedbale, ale nawet dla niej zabrzmiało to żałośnie.

– Nie rób mnie w wała – ostrzegł. – Coś jest między wami.

Lena oblizwała wargi, czując się jak zwierzę w pułapce.

– Za dużo wypila na pikniku w zeszłym roku – skłamała. – Znalazłam ją w toalecie, z głową w sedesie.

– Jest alkoholiczką? – zapytał Jeffrey, wyraźnie gotowy potępić tę kobietę.

Lena wiedziała, że to jeden z jego czułych punktów, więc nie mając pojęcia, co innego może zrobić, nacisnęła ten punkt mocniej.

– Tak – powiedziała, myśląc, że tak długo, jak długo jej mąż nie odkryje, co robiła w zeszłym tygodniu w Atlancie, Terri Stanley może żyć w błogiej nieświadomości, że Jeffrey myśli, iż jest pijaczką.

– Myślisz, że to nałóg? – zapytał Jeffrey.

– Nie wiem.

– Było jej niedobrze? – dociekał. – Wymiotowała?

Lena czuła, że od tych kłamstw oblewa ją zimny pot, ale wiedziała, że w tych okolicznościach dokonała najlepszego wyboru.

– Powiedziałam jej, żeby się lepiej pozbierała – rzekła. – Myślę, że

ma nad tym kontrolę.

– Porozmawiam z Sarą – powiedział Jeffrey i Lenie zamarło serce. – Zadzwoń do Opieki nad Dziećmi.

– Nie – zaproponowała Lena, starając się, by w jej głosie nie zabrzmiał ton rozpacz. Czym innym było kłamać, a czym innym wpakować Terri w kłopoty. – Powiedziałam ci, że ma nad tym kontrolę. Chodzi na spotkania i w ogóle. – Łamała sobie głowę, usiłując przypomnieć sobie, co mówił Hank o AA, czując się jak pajak schwyty w własną sieć. – W zeszłym miesiącu dostała swój żeton.

Spojrzał na nią zmrużonymi oczami, pewnie starając się rozstrzygnąć, czy jest szczerą czy nie.

– Szefie? – zaskrzeczał głos w jego radiotelefonie. – Zachodni róg, koło uczelni. Coś znaleźliśmy.

Jeffrey ruszył biegiem, a ona za nim. Światło jej latarki skakało w górę i w dół, kiedy machała rękami. Jeffrey był od niej co najmniej dziesięć lat starszy, ale był o wiele szybszy. Kiedy dotarł do tłumu stojących na polanie umundurowanych funkcjonariuszy, była o dobre sześć metrów za nim.

Kiedy się z nim zrównała, Jeffrey klęczał obok zagłębienia w ziemi. Sterczała z niego na jakieś pięć centymetrów zardzewiała metalowa rura. Temu, kto ją odkrył, musiało dopisać szczęście. Nawet wiedząc, czego szukać, Lena z trudem widziała ją pośród liści.

Z tyłu nadbiegł Brad Stephens z dwoma łopatami i łomem. Jeffrey chwycił jedną z łopat i zaczęli obaj kopać. Wieczne powietrze było chłodne, ale zanim łopata stuknęła w drewno, obaj ociekali potem. Kiedy Jeffrey ukląkł, by odgarnąć rękami resztki ziemi, pusty dźwięk nadal rozbrzmiewał jej w uszach. W niedzielę musiał robić z Sarą to samo. Nie mogła sobie wyobrazić jego oczekiwania na to, co tam znajdzie, strachu, który poczuł, kiedy uświadomił sobie, co odkrywa. Jeszcze teraz trudno jej było przyjąć do wiadomości, że ktoś w Grant był zdolny do takich strasznych rzeczy.

Brad wepchnął łom pod krawędź skrzyni i obaj z Jeffreyem naciskali, by podważyć pokrywę. Odskoczyła jedna deska i w otwór natych-

miast skierowały się światła latarek. Wydobywał się z niego przykry zapach – nie rozkładającego się ciała, ale stęchlizny i gnijącego drewna. Jeffrey z powrotem zabrał się do pracy, odrywając następną deskę, która złożyła się jak kartka papieru. Była zbutwiała i ociekała wilgocią, czarna od ziemi. Najwyraźniej skrzynia długo leżała w ziemi.

Szóstą deskę Jeffrey oderwał gołymi rękami. Latarki oświetliły wnętrze pokrytej plamami skrzyni, Jeffrey usiadł na piętach i opuścił ramiona z ulgą albo z rozczarowaniem. Lena sama czuła mieszaninę tych emocji.

Skrzynia była pusta.

Lena została przy możliwym miejscu zbrodni, dopóki nie wzięto ostatniej próbki. Skrzynia prawie się rozpadła z upływem czasu, drewno wsiąknęło w ziemię. To, że ta skrzynia była starsza od pierwszej, którą znaleźli, było oczywiste, tak jak oczywiste było, że została wykorzystana w tym samym celu. W deskach, które oderwał Jeffrey, były głębokie wyżłobienia od drapania paznokciami. Na spodzie ciemne plamy. Ktoś tam krwawił, załatwiał się, może umarł. Kiedy i dlaczego – to były dodatkowe pytania na coraz dłuższej liście. Na szczęście Jeffrey przyjął w końcu do wiadomości, że nie mogą kontynuować poszukiwań następnej skrzyni w zupełnej ciemności. Ogłosił koniec na ten wieczór i kazał dziesięcioosobowej ekipie stawić się tam o świcie.

Wróciwszy do komisariatu, Lena umyła ręce, nie zadając sobie trudu przebrania się w zapasowy strój, który miała w szafce. Wiedziała, że tylko długi, gorący prysznic może splukać choćby część cierpienia, które czuła. A mimo to, kiedy dojechała do drogi prowadzącej do jej domu, stwierdziła, że redukuje bieg swojej celiki i wbrew znakom drogowym, zawraca, omijając swoją ulicę. Odpięła pas bezpieczeństwa i jadąc, trzymała kierownicę kolanami i zdejmowała kurtkę potrząśnięciem ramion. Opuściła szyby i wyłączyła radio, zastanawiając się, kiedy ostatnio miała dla siebie taką chwilę jak ta. Ethan myślał, że jest nadal w pracy. Nan prawdopodobnie szykowała się do snu, a ona była zupełnie sama, tylko ze swoimi myślami.

Ponownie przejechała przez centrum, zwalniając koło jadłodajni.

Mysłała o Sybil, o ostatnim razie, kiedy ją widziała. Od tamtej pory spieprzyła tyle rzeczy. Był taki czas, kiedy bez względu na wszystko nie pozwalała, żeby jej życie osobiste kolidowało z pracą. Bycie gliną było jedyną rzeczą, w której była dobra, tylko to umiała robić. Teraz dopuściła do tego, że jej powiązanie z Terri Stanley przeszkodziło jej w wykonaniu obowiązków służbowych. Po raz kolejny emocje zagrażały temu, co w jej życiu było jedynym stałym punktem. Co teraz powiedziałyby o niej Sybil? Jak bardzo jej siostra wstydziłaby się z powodu osoby, którą Lena się stała?

Main Street kończyła się ślepą ulicą przed wjazdem na teren uczelni, skręciła więc w lewo, do kliniki pediatrycznej, robiąc kółko i wyjeżdżając z miasta. Podkręciła szyby, kiedy poczuła chłód, i przyłapała się na tym, że kręci gałkami radia, starając się znaleźć łagodną muzykę, która dotrzymałaby jej towarzystwa. Zerknęła w bok, kiedy mijała stację benzynową Stop-N-Go, i rozpoznała czarnego dodge'a darta stojącego przy jednym z dystrybutorów.

Bez zastanowienia zawróciła i zatrzymała się równolegle do darta. Wsiadła z samochodu i zajrzała do wozu, szukając wzrokiem Terri Stanley. Była w środku, płaciła facetowi przy kasie i nawet z tej odległości Lena niemal czuła emanujący z niej zapach klęski. Przygarbione ramiona, spuszczone wzrok. Stłumiła pragnienie podziękowania Bogu, że przypadkiem wpadła akurat na nią.

Zbiornik celiki był prawie pełny, ale mimo to Lena włączyła dystrybutor, niespiesznie otworzyła wlot paliwa i włożyła końcówkę węża. Przy pierwszym kliknięciu pompy Terri wyszła ze sklepu. Miała na sobie cienki żakiet Member's Only, a kiedy szła przez jasno oświetloną stację paliw, podciągnęła jego rękawy do łokci. Była tak pochłonięta myślami, kiedy podchodziła do swojego samochodu, że Lena musiała parę razy chrząknąć, zanim ją zauważyła.

– Och – powiedziała Terri, tak samo jak wtedy w komisariacie, kiedy zobaczyła Lenę.

– Hej. – Lena poczuła się głupio ze sztucznym uśmiechem. – Muszę cię zapytać o...

– Śledzisz mnie? – Terri rozejrzała się wokół, jakby się bała, że ktoś może je zobaczyć razem.

– Po prostu tankowałam benzynę. – Lena wyjęła z celiki końcówkę węża, mając nadzieję, że Terri nie zauważy, iż wlała mniej niż pół galona. – Muszę z tobą porozmawiać.

– Czeka na mnie Dale – powiedziała Terri, opuszczając rękawy żakietu. Ale Lena zdążyła jednak coś zauważyć, coś zbyt dobrze znanego. Stały tam przez najdłuższą w życiu Leny chwilę i obie nie wiedziały, co powiedzieć.

– Terri...

– Muszę jechać. – To była jej jedyna odpowiedź.

Lena czuła, że słowa więzną jej w gardle jak ości. Usłyszała wysoki, piskliwy głos, niemal jak dźwięk ostrzegającej ją syreny.

– On cię bije?

Terri patrzyła, zawstydzona, na pokryty plamami beton. Lena знаła ten wstyd, ale teraz, kiedy zobaczyła go u Terri, wyzwolił w niej złość, jakiej dawno nie czuła.

– Chodź tutaj – powiedziała, chwytając jej rękę.

Terri skrzywiła się z bólu, kiedy Lena podciągnęła jej rękaw. Na jej ręce był czarny siniec.

– To nie tak – powiedziała Terri, ale nie odsunęła się.

– A jak?

– Nie rozumiesz.

– Nie rozumiem, do diabła? – powiedziała, ściskając mocniej jej rękę.

– To dlatego to zrobiłaś? – Napierała na nią, a złość ogarniała ją, jak pożar ogarnia busz. – To dlatego byłaś w Atlancie?

Terri próbowała się wyrwać.

– Proszę, puść mnie.

Lena poczuła, że nie może już dłużej zapanować nad przepętniającą ją złością.

– Ty się go boisz – powiedziała. – To dlatego to zrobiłaś, ty tchórze.

– Proszę...

– O co? – zapytała Lena. – O co prosisz? – Terri płakała już szczer-

mi łzami, tak bardzo starając się jej wyrwać, że prawie leżała na ziemi. Lena puściła ją, przerażona widokiem czerwonej pręgi na przegubie Terri, wyłaniającej się pod sińcem, który zrobił Dale. – Terri...

– Zostaw mnie.

– Nie musisz tego robić.

Terri skierowała się do swojego samochodu.

– Jadę.

– Przepraszam – powiedziała Lena, idąc za nią.

– Mówisz jak Dale.

Łatwiej zniosłaby cios nożem w brzuch. Mimo to próbowała dalej:

– Proszę. Pozwól mi sobie pomóc.

– Nie potrzebuję twojej pomocy – wyrzuciła z siebie Terri, otwierając szarpnięciem drzwi samochodu.

– Terri...

– Zostaw mnie – wrzasnęła Terri, zatrzasnąwszy z łoskotem drzwi. Zamknęła je od środka, jakby się bała, że Lena może wyciągnąć ją z samochodu.

– Terri... – spróbowała jeszcze raz Lena, ale Terri odjechała z piśkiem opon. Wąż dystrybutora najpierw się naprężył, a potem wyskoczył z wlewu paliwa darta. Kiedy benzyna rozlała się po ziemi, Lena szybko się cofnęła.

– Hej! – krzyknął pracownik stacji. – Co się tu dzieje?

– Nic – powiedziała Lena. Podniosła końcówkę węża i włożyła ją z powrotem w uchwyt w dystrybutorze. Pogrzebała w kieszeni i rzuciła młokosowi dwa dolary. – Masz. Wracaj do środka. – Wsiadła do samochodu, zanim zdążył coś jeszcze krzyknąć.

Opony celiki zapisały i zarzuciło samochodem, kiedy odjeżdżała. Nie zdawała sobie sprawy z tego, z jaką prędkością jedzie, dopóki nie przemknęła obok zepsutego kombi, które od tygodnia stało na poboczu drogi. Zmusiła się do zdjęcia stopy z pedału gazu. Serce nadal waliło jej jak młotem. Terri się jej przestraszyła – patrzyła na nią, jakby się bała, że Lena robi jej krzywdę. Może by zrobiła. Może posunęłyby się do rękoczynów i wyładowałyby swoją wściekłość na tej biednej kobiecie tylko

dlatego, że mogła. Co się, do diabła, z nią działo? Stojąc na stacji paliw, wrzeszcząc na Terri, czuła się tak, jakby wrzeszczała na siebie. To ona była tchórzem. To ona bała się tego, co mogło się z nią stać, gdyby ktoś się dowiedział.

Samochód zwolnił tak, że włókł się niemal jak żółw. Była teraz na skraju Heartsdale, dobre dwadzieścia minut jazdy od domu. Przy tej drodze, na płaskiej równinie za kościołem baptystów, znajdował się cmentarz, na którym była pochowana Sybil. Po śmierci siostry jeździła na jej grób co najmniej raz, czasami dwa razy w tygodniu. Z upływem czasu bywała tam coraz rzadziej, a potem zupełnie przestała. Uświadomiła sobie ze wstrząsem, że nie odwiedziła Sybil co najmniej od trzech miesięcy. Była zbyt zajęta, zbyt pochłonięta pracą i szamotaniną z Ethannem. Zdjęta wstydem, pomyślała, że jedyną stosowną rzeczą, którą mogła teraz zrobić, jest pójście na cmentarz.

Zaparkowała przed kościołem i ruszyła w stronę bramy cmentarnej. Drzwi i okna samochodu zostawiła otwarte. Teren był dobrze oświetlony. Czuła, że przyjechała tu z określonego powodu. Wiedziała, co musi zrobić.

Przy wejściu na cmentarz ktoś posadził kępkę bratków, które kołysały się w lekkich podmuchach wiatru. Grób Sybil znajdował się na skraju otaczającego kościół terenu. Lena szła powoli przez trawnik, rozkoszując się samotnością. Była na nogach prawie od dwunastu godzin, ale przebywanie tutaj, blisko Sybil, miało w sobie coś, co sprawiało, że nie czuła zmęczenia. Zawsze myślała, że Sybil podobałoby się, że pochowano ją właśnie tutaj. Lubiła otwartą przestrzeń.

Obok płyty nagrobnej Sybil nadal tkwił betonowy bloczek, który Lena postawiła pionowo i wykorzystywała jako ławkę. Usiadła na nim i objęła ramionami kolana. W dzień miejsce to ocieniała wielka hikora, przez której liście przedzierały się promienie słońca. Marmurowa płyta na grobie Sybil była wyczyszczona do połysku i szybki rzut oka na inne groby przekonał Lenę, że zrobił to ktoś, kto odwiedził grób Sybil, a nie służba cmentarna.

Na grobie nie było żadnych kwiatów. Nan była alergiczką.

Poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Była taką straszną osobą. Choć Dale był niedobry dla Terri, Lena była jeszcze gorsza. Była policjantką, jej obowiązkiem było chronienie ludzi, a nie napędzanie im strachu, nie wykręcanie ręki, tak że tworzyły się sińce. Na pewno nie miała prawa nazwać Terri Stanley tchórzem. Jeśli już mogła to komuś zarzucić, to tylko sobie. To ona czmychnęła do Atlanty, zasłaniając się kłamstwami, płacąc jakiemuś nieznanemu za to, żeby usunął jej błąd, ukrywając się przed konsekwencjami tego czynu jak przestraszone dziecko.

Sprzeczką z Terri przywołała wszystkie wspomnienia, które Lena starała się stłumić. Znalazła się z powrotem w Atlancie, przeżywając jeszcze raz całą tę mękę. Siedziała w samochodzie z Hankiem, a jego milczenie cięło jak nóż. Była w klinice, siedziała naprzeciw Terri, unikając jej wzroku, modląc się, żeby było już po wszystkim. Znowu zabrano ją do zimnej sali operacyjnej, jej stopy spoczywały w zimnych jak lód strzemionach, nogi były szeroko rozwarte przed lekarzem, który mówił tak cicho, tak spokojnie, że poczuła się, jakby zapadała w hipnotyczny trans. Wszystko będzie świetnie. Wszystko będzie dobrze. Odpręż się. Oddychaj. Powoli. Odpręż się. Już po wszystkim. Usiądź. Oto twoje ubranie. Zadzwoń do nas, jeśli będą jakieś komplikacje. Dobrze się czujesz, kochanie? Czy ktoś na ciebie czeka? Usiądź na tym fotelu. Wywieziemy cię na zewnątrz. Morderczyni. Zabójczyni dzieci. Rzeźniczka. Po twór.

Protestujący czekali przed kliniką; siedzieli na krzesłach turystycznych, popijali gorącą kawę z termosów, wyglądali jak kibice czekający przed bramą stadionu na wielki mecz. Pojawienie się Leny spowodowało, że wszyscy wstali jak na komendę, zaczęli na nią wrzeszczeć, wymachując tablicami z przeróżnymi drastycznymi, krwawymi obrazami. Jeden nawet podniósł, co było naprawdę nieprzyzwoite, słój, którego zawartość była oczywista dla każdego, kto stał w promieniu trzech metrów od niego. Jednak to, co było w środku, nie wyglądało na prawdziwe, i dziwiła się, jak ten mężczyzna – bo oczywiście był to mężczyzna – mógł siedzieć w domu, może przy stole kuchennym, przy którym każdego ranka jego dzieci jadły śniadanie, i przygotowywać ten eksponat

w słoiku, by męczyć jego widokiem przestraszone kobiety, które podejmowały najtrudniejszą, o czym dobrze wiedziała, decyzję w swoim życiu.

Teraz, siedząc na cmentarzu, patrząc na grób siostry, zaczęła się po raz pierwszy zastanawiać, co zrobiła klinika z ciałkiem, które usunęła z jej łona. Czy leży teraz gdzieś w spalarni, czekając na kremację? Czy zostało zakopane w ziemi, w nieoznakowanym grobie, którego nigdy nie zobaczy? Kiedy myślała o tym, co zrobiła – o tym, co straciła – czuła ucisk w brzuchu, w łonie.

W myślach mówiła Sybil o tym, co się stało, o wyborach, które ją tutaj doprowadziły. Mówiła o Ethanie, o tym, jak coś w niej umarło, kiedy zaczęła się z nim spotykać, o tym, jak pozwalała, by wszystko, co było w niej dobre, odpływało, jak piasek unoszony przez odpływ. Mówiła o Terri, o strachu w jej oczach. Gdyby tylko mogła to wszystko odwrócić. Gdyby nigdy nie poznała Ethana, nigdy nie widziała Terri w klinice. Sytuacja stale się pogarszała. Opowiadała nowe kłamstwa, żeby ukryć stare, pograżała się po uszy w oszustwie. Nie widziała z tego wyjścia.

Najbardziej ze wszystkiego pragnęła, by siostra znalazła się przy niej, choć na chwilę, i powiedziała jej, że wszystko będzie dobrze. Taki był od samego początku charakter ich związku – Lena musiała każdą rzecz spieprzyć, a Sybil to naprawiała, rozmawiając z nią o tym, ukazując jej drugą stronę medalu. Bez jej mądrych wskazówek każda sprawa wydawała się przegrana. Lena się rozsypywała. Nie mogła urodzić dziecka Ethana. Ledwie potrafiła zadbać o siebie.

– Lee?

Odwróciła się gwałtownie, tak że omal nie spadła z wąskiego blocka.

– Greg?

Wyłonił się z ciemności, mając za plecami jasno świecący księżyc. Kuśtykał ku niej, z laską w jednej, kwiatami w drugiej ręce.

– Co tu robisz? – zapytała. Szybko wstała, wytarła oczy i otrzepała pył z siedzenia spodni.

– Mogę przyjść, kiedy skończysz. – Opuścił bukiet.

– Nie – powiedziała, mając nadzieję, że ciemność ukryje, iż płakała. – Ja tylko... w porządku. – Obejrzała się na grób, żeby nie musieć patrzeć na niego. Mignął jej przed oczami obraz pogrzebanej żywcem Abigail Bennett i poczuła, że ogarnia ją bezsensowna panika. Przez ułamek sekundy myślała, że jej siostra żyje, błaga o pomoc, próbuje się wydostać z trumny.

Ponownie otarła oczy, zanim znowu na niego spojrzała, myśląc, że chyba traci rozum. Chciała opowiedzieć mu o wszystkim, co się wydarzyło – nie tylko w Atlancie, ale wcześniej, poczynając od dnia, kiedy wróciła do komisariatu po zawiezieniu jakichś próbek do Macon i Jeffrey powiedział jej, że Sybil nie żyje. Chciała położyć głowę na jego ramieniu i poczuć ulgę. Nade wszystko zaś chciała od niego rozgrzeszenia.

– Lee? – zapytał Greg.

– Zastanawiałam się tylko, skąd się tutaj wziąłeś. – Szukała odpowiedzi.

– Musiałem poprosić mamę, żeby mnie tu przywiozła – wyjaśnił. – Siedzi w samochodzie.

Lena spojrzała nad jego ramieniem, jakby mogła dojrzeć parking przed kościołem.

– Trochę późno – powiedziała.

– Oszukała mnie – rzekł. – Zawiozła mnie na spotkanie swojego kółka robótek ręcznych.

Czuła się, jakby miała obrzmiały język, ale nie chciała niczego więcej, niż słuchać go. Zapomniała, jaki miał kojący głos, jaki łagodny ton.

– Kazała ci trzymać przedzę?

– Tak. Mogłabyś pomyśleć, że już za tym nie przepadam. – Roześmiał się.

Poczuła, że też się uśmiecha, wiedząc, że wcale nie został oszukany. Zaprzeczyłby temu nawet pod lufą broni, ale zawsze był maminsynkiem.

– Przywiozłem to dla Sybil – powiedział, znowu podnosząc kwiaty.

– Przyjechałem tu wczoraj, nie było żadnych kwiatów, więc pomyśla-

łem... – Uśmiechnął się. W blasku księżyca zobaczyła, że nadal nie naprawił sobie zęba, który przypadkiem wyszczerbił podczas gry we frisbee.

– Uwielbiała margerytki – powiedział i wręczył jej kwiaty. Na chwilę ich ręce się zetknęły i poczuła się tak, jakby dotknęła przewodu elektrycznego pod napięciem.

Natomiast Greg wydawał się niewzruszony. Chciał odejść, ale zatrzymała go:

– Zaczekaj.

Odwrócił się powoli.

– Usiądź – powiedziała, wskazując bloczek.

– Nie chcę zajmować twojego miejsca.

– Nie przejmuj się. – Cofnęła się, by położyć kwiaty przed nagrobkiem Sybil. Kiedy się obejrzała, Greg przyglądał się jej oparty na lasce.

– Nic ci nie jest? – zapytał.

Lena starała się wymyślić jakąś odpowiedź. Pociągnęła nosem, zastanawiając się, czy jej oczy są tak czerwone, jak się jej wydaje.

– Alergia – powiedziała.

– Aha.

Skrzyżowała ręce za plecami, żeby znowu nie zaczęła ich sobie wykręcać.

– A właściwie to co ci się stało w nogę?

– Wypadek samochodowy – powiedział, a potem znowu się uśmiechnął. – Całkowicie moja wina. Starałem się znaleźć CD i na chwilę odwróciłem wzrok od drogi.

– To wystarczy.

– Tak – powiedział, a potem rzekł: – Pan Jingles zmarł w zeszłym roku.

Jego kot. Nie cierpiała tego zwierzaka, ale z jakiegoś powodu wiadomość, że nie żyje, napęłniła ją smutkiem.

– Przykro mi.

Podniósł się wietrzyk, w jego powiewie zaszeleściły liście w górze.

Greg zerknął z ukosa na księżyc, potem znowu spojrział na Lenę.

– Kiedy mama powiedziała mi o Sybil... – Urwał i dźgał laską ziemię, wykopując żółta trawy. Pomyślała, że widzi łzy w jego oczach, i odwróciła wzrok, by jego smutek nie rozniecił na nowo jej smutku.

– Po prostu nie mogłem w to uwierzyć – rzekł.

– Domyślam się, że o mnie też ci powiedziała.

Skinął głową, a potem zrobił coś, co mogłoby zrobić niewielu ludzi, rozmawiając o gwałcie – spojrzał jej prosto w oczy.

– Była przygnębiona.

– No pewnie. – Lena nawet nie próbowała ukryć sarkazmu.

– Naprawdę – zapewnił ją Greg, nadal patrząc na nią, a w jego jasnoniebieskich oczach była sama szczerść. – Moja ciotka Shelby... pamiętasz ją? – Lena skinęła głową. – Została zgwałcona, kiedy była w szkole średniej. To było okropne.

– Nie wiedziałam – powiedziała Lena. Spotkała Shelby parę razy. Podobnie jak z matką Grega, łączyły ją z nią dosyć oficjalne stosunki. Nigdy by się nie domyśliła, że ta starsza kobieta przeżyła kiedyś coś takiego. Była bardzo zasadnicza, ale taka była większość kobiet w rodzinie Mitchellów. Zdumiewało Lenę to, że zgwałcenie dało jej członkostwo w niezbyt ekskluzywnym klubie.

– Gdybym wiedział... – zaczął Greg, ale nie dokończył.

– Co? – zapytała.

– Nie wiem. – Schylił się i podniósł orzeszek, który spadł z hikory. – Naprawdę byłem przygnębiony, kiedy się o tym dowiedziałem.

– To było bardzo przygnębiające – przyznała Lena i na jego twarzy pojawiło się zdziwienie. – O co chodzi? – zapytała.

– Nie wiem – powtórzył, rzucając orzeszek do lasu. – Wcześniej nie mówiłaś o takich rzeczach.

– O jakich?

– O takich jak uczucia.

Zmusiła się do śmiechu. Jej całe życie było jedną walką z uczuciami.

– A co mówiłam?

– To ma być życie? – spróbował po zastanowieniu się, naśladowując jej wzruszenie jednym ramieniem. – Ten szajs?

Wiedziała, że Greg ma rację, ale nie miała pojęcia, jak to wyjaśnić.

– Ludzie się zmieniają.

– Nan mówi, że się z kimś spotykasz.

– Tak, owszem. – Tyle tylko zdołała powiedzieć, ale jej serce gwałtownie zabiło na myśl, że zadał sobie trud, żeby o to zapytać. Zabije Nan za to, że jej nie powiedziała.

– Nan dobrze wygląda – powiedział.

– Jest jej ciężko.

– Nie mogłem uwierzyć, że mieszkanie razem.

– To dobra dziewczyna. Przedtem tego nie widziałam. – Do diabła, przedtem nie widziałam wielu rzeczy. Uczyniła sztukę ze spieprzania wszystkiego w swoim życiu, co było choćby trochę pozytywne. Greg był tego żywym dowodem.

Nie wiedząc, co zrobić, spojrzała na drzewo. Liście opadną lada dzień. Greg ponownie zbierał się do odejścia, zapytała więc:

– Jakie CD?

– Hę?

– No, ten twój wypadek. – Wskazała na jego nogę. – Jakiego kompaktu szukałeś?

– Heart – powiedział, a na jego twarzy wykwił dziwny uśmiech.

– Bebe Le Strange? – zapytała, czując, że także się do niego uśmiecha. Kiedy mieszkali razem, sobota była dniem porządków domowych i tyle razy słuchali tego właśnie albumu Heart, że Lena do dzisiejszego dnia nie mogła wyczyścić ubikacji, nie słysząc w głowie Even It Up.

– To był nowy krążek – powiedział.

– Nowy?

– Nagrali go mniej więcej rok temu.

– Kawałki w stylu Lovemonger?

– Nie – powiedział z widocznym podnieceniem. Jedyłą rzeczą, którą Greg lubił bardziej niż słuchanie muzyki, było gadanie o niej. – Cza-dowe kawałki. W stylu Heart z lat siedemdziesiątych. Nie mogę uwierzyć, że o nim nie słyszałaś. Poszedłem do sklepu pierwszego dnia, kiedy się ukazał.

Uświadomiła sobie, ile czasu minęło, odkąd słuchała muzyki, którą naprawdę lubiła. Ethan wolał punk rocka, ten szajs, w którego rytm wrzeszczeli zepsuci biali chłopcy. Nie wiedziała nawet, gdzie są jej stare kompakty.

– Lee?

Umknęło jej coś, co powiedział.

– Przepraszam, co?

– Muszę iść – powiedział. – Mama czeka.

Nagle poczuła się tak, jakby znowu miała się rozpłakać. Zmusiła się, żeby zostać w miejscu i nie zrobić czegoś głupiego, na przykład nie podbiec do niego. Boże, stawała się pochlipującą idiotką. Taką jak jedna z tych głupich kobiet w romansach.

– Trzymaj się.

– Tak – odparła, starając się wymyślić coś, żeby go zatrzymać. – Ty też.

Zdała sobie sprawę z tego, że wciąż trzyma w ręku margerytki, pochyliła się więc, by położyć je na grobie Sybil. Kiedy się obejrzała, Greg kuśtykał w stronę parkingu. Patrzyła za nim, pragnąc, by się odwrócił. Nie zrobił tego.

ŚRODA

Jeffrey oparł się o płytki, pozwalając, by ukrop z prysznicza parzył jego skórę. Kąpał się poprzedniego wieczoru, ale nic nie mogło uwolnić go od uczucia, że jest pokryty brudem. I to nie zwykłym brudem, ale brudem z grobu. Otworzenie tej drugiej skrzyni, wdychanie stęchłego zapachu zgnilizny było prawie tak samo okropne jak znalezienie Abby. Ta druga skrzynia wszystko zmieniła. Była tam jeszcze jedna dziewczyna, jeszcze jedna rodzina, jeszcze jeden zgon. Miał przynajmniej nadzieję, że tylko jedna. Laboratorium nie zdoła dostarczyć wyników analizy DNA wcześniej niż pod koniec tygodnia. Na te badania i analizę listu, który dostała Sara, poszła połowa budżetu na resztę roku, ale nie przejmował się tym. Jeśli będzie musiał, znajdzie sobie pracę na stacji paliw Texaco. A tymczasem jakiś reprezentant stanu Georgia je sobie w Waszyngtonie śniadanie za dwieście dolarów.

Zmusił się do wyjścia spod prysznicza, choć czuł się tak, jakby musiał postać jeszcze godzinę pod strumieniem gorącej wody. W pewnej chwili musiała wejść Sara i postawić na półce nad umywalką kubek kawy, ale jej nie słyszał. Poprzedniego wieczoru zadzwonił do niej z miejsca zbrodni i podał jej niezbędne szczegóły tego, co znaleźli. Potem sam zawiózł do Macon te znikome dowody, wrócił do komisariatu i przejrzał notatki, które miał w tej sprawie. Sporządził dziesięciostronicową listę osób, z którymi powinien porozmawiać, tropów, którymi powinni podążyć. Kiedy skończył, była północ, zaczął się więc zastanawiać, czy ma

jechać do Sary czy do siebie. Przejechał nawet obok swojego domu, przypomniawszy sobie za późno, że te dziewczyny już się wprowadziły. Chociaż było koło pierwszej w nocy, w domu paliły się jeszcze światła i słyszał z ulicy muzykę, co świadczyło o tym, że impreza trwa w najlepsze. Był zbyt zmęczony, by wejść i powiedzieć im, by ją ściszyli.

Włożył dżinsy i poszedł do kuchni, trzymając w ręku kubek z kawą. Przy kanapie stała Sara, składała koc, pod którym spał poprzedniej nocy.

– Nie chciałem cię obudzić – powiedział, na co skinęła głową. Wiedział, że mu nie uwierzyła, tak jak wiedział, że mówi prawdę. Bez względu na to, czy to się komu podobało czy nie, przez ostatnie kilka lat sypiał przeważnie samotnie. Nie wiedział też, jak przynieść do domu, który teraz dzielił z Sarą, wiedzę o tym, co znalazł w lesie. Nawet po tym, co się stało dwa dni temu w kuchni, położenie się z nią do łóżka w świeżej pościeli wywołałoby u niego poczucie, że narusza jakiś zakaz.

Zobaczył pusty kubek Sary na blacie i zapytał:

– Chcesz jeszcze kawy?

Pokręciła głową, wygładzając koc, który położyła w nogach kanapy.

Mimo to nalał jej kawy. Kiedy się odwrócił, Sara siedziała przy stole i przeglądała korespondencję.

– Przepraszam – powiedział.

– Za co?

– Czuję się, jakbym... – Zamilkł. Właściwie nie wiedział, jak się czuje.

Przekartkowała jakieś czasopismo, nie tykając kawy, którą jej nalał. Kiedy nie dokończył swojej myśli, podniosła głowę.

– Nie musisz mi tego wyjaśniać – powiedziała i poczuł się tak, jakby z piersi spadł mu wielki ciężar.

Mimo to spróbował.

– To był ciężki wieczór.

Uśmiechnęła się do niego, ale zaniepokojenie nie pozwoliło, by uśmiech objął jej oczy.

– Wiesz, że rozumiem.

Jeffrey nadal wyczuwał napięcie, ale nie wiedział, czy jego źródłem jest Sara czy jego wyobraźnia.

– Powinieneś zabandażować dłoń – powiedziała, kiedy wyciągnął do niej rękę.

Zdjął bandaż po tym kopaniu w lesie. Spojrzał na ranę, która miała teraz jasnoczerwony kolor. Kiedy o niej pomyślał, poczuł w tym miejscu rwanie.

– Myślę, że ją zainfekowałem.

– Brałeś te tabletki, które ci dałam?

– Tak.

Podniosła wzrok znad czasopisma; wiedziała, że kłamie.

– Parę – powiedział, zastanawiając się, gdzie położył to cholerstwo.

– Wziąłem parę. Dwie.

– Jeszcze lepiej – powiedziała, wracając do lektury. – Możesz wykształcić u siebie odporność na antybiotyki. – Przerzuciła jeszcze kilka stron.

– I tak zabije mnie zapalenie wątroby. – Spróbował zażartować.

Podniosła głowę i zobaczył, że do oczu napłynęły jej łzy.

– To wcale nie jest zabawne.

– Tak – przyznał. – Po prostu... po prostu musiałem być sam. Ostatniej nocy.

– Wiem. – Otarła oczy.

Mimo to musiał zapytać:

– Nie jesteś na mnie zła?

– Oczywiście, że nie – odparła z naciskiem, ujmując jego zdrową dłoń. Uścisnęła ją krótko i wróciła do przeglądania czasopisma. Zobaczył, że to „Lancet”, zamorski periodyk medyczny.

– I tak nie miałabyś żadnej pociechy z mojego towarzystwa – powiedział, przypominając sobie bezsenłą noc. – Nie mogłem przestać o tym myśleć – rzekł. – Znaleźć pustą skrzynię i nie wiedzieć, co się stało, jest jeszcze gorzej.

W końcu zamknęła to czasopismo i poświęciła mu całą uwagę.

– Mówiłeś wcześniej, że ktoś może zabierać ciała po śmierci.

– Wiem – powiedział. Była to jedna z tych spraw, które nie dały mu zasnąć. Widział w swojej karierze parę naprawdę strasznych rzeczy, ale nie miał jeszcze do czynienia z przestępcą, który był tak chory, że zabijał dziewczyny, a potem z jakiegoś powodu zabierał ich zwłoki. Jeffrey nie był na to gotowy. – Kto mógł zrobić coś takiego? – zapytał.

– Osoba psychicznie chora – odparła.

Sara była w głębi duszy naukowcem i uważała, że zawsze są konkretne powody tego, iż ludzie robią takie czy inne rzeczy. Nigdy nie wierzyła w istnienie zła, ale też nigdy nie siedziała naprzeciwko człowieka, który zamordował kogoś z zimną krwią albo zgwałcił dziecko. Jak większość ludzi mogła sobie pozwolić na filozofowanie o tym na podstawie wiedzy podręcznikowej. On miał z tym do czynienia w praktyce, widział te sprawy zupełnie inaczej i był święcie przekonany, że osoba zdolna do popełnienia takiej zbrodni musiała mieć jakąś skazę na duszy.

Ześliznęła się ze stołka.

– Dzisiaj powinni ustalić grupy krwi – powiedziała, otwierając szafkę obok zlewu. Wyjęła kilka opakowań antybiotyków i otworzyła jedno, a potem drugie. – Kiedy byłeś pod prysznicem, zadzwoniłam do Rona Bearda z laboratorium stanowego. Pierwszą rzeczą, którą rano robi, będzie przeprowadzenie tych analiz. Będziemy przynajmniej mieli jakieś pojęcie o tym, ile mogło być ofiar.

Jeffrey zażył tabletki i popił kawą.

Dała mu jeszcze dwa opakowania reklamowe.

– Będziesz łaskaw wziąć je po obiedzie?

Pewnie nie będzie dzisiaj jadł obiadu, ale mimo to się zgodził.

– Co myślisz o Terri Stanley?

– Wydaje się miła. Przemęczona, ale kto by nie był przemęczony na jej miejscu? – Wzruszyła ramionami.

– Myślisz, że ona pije?

– Alkohol? – zapytała Sara ze zdziwieniem. – Nigdy go od niej nie wyczułam. A dlaczego pytasz?

– Lena powiedziała, że widziała, jak wymiotowała na pikniku

w ubiegłym roku.

– Na tym policyjnym pikniku? – zapytała. – Nie sądzę, żeby Lena tam była. Nie miała wtedy tej przerwy w pracy?

Jeffrey musiał to przetrwać, ignorując ton, jakim powiedziała o „przerwie”.

– Lena mówiła, że widziała ją na pikniku.

– Możesz sprawdzić w kalendarzu – rzekła Sara. – Może się mylę, ale sądzę, że jej tam nie było.

Sara nigdy się nie myliła co do dat. W głowie Jeffreya zrodziło się dręczące pytanie. Dlaczego Lena skłamała? Co chciała ukryć tym razem?

– Może miała na myśli przedostatni piknik? – zasugerowała Sara. – Przypominam sobie, że wtedy wiele osób wypiło za dużo. – Zachichotała. – Pamiętasz, jak Frank co chwila śpiewał hymn państwowy, jakby był Ethel Merman?

– Tak – przyznał, ale wiedział, że Lena skłamała. Nie mógł tylko zrozumieć dlaczego. O ile wiedział, nie była w szczególnie bliskich stosunkach z Terri Stanley. Do diabła, z tego, co wiedział, z nikim nie była w bliskich stosunkach. Nie miała nawet psa.

– Co masz zamiar dzisiaj robić? – zapytała Sara.

Postarał się skierować myśli z powrotem na właściwy tor.

– Jeśli Lev mówił prawdę, powinniśmy z samego rana mieć w komisaracie jakichś ludzi z farmy. Zobaczymy, czy podda się badaniom za pomocą wariografu. Porozmawiamy z nimi, zobaczymy, czy ktoś wie, co się stało z Abby. – Potem dodał: – Spokojna głowa, nie oczekujemy wyznania jak na spowiedzi.

– A co z Chipem Donnerem?

– Wysłaliśmy za nim list gończy – powiedział Jeffrey. – Nie wiem, Saro, ale on mi do tego nie pasuje. To tylko głupi punk. Nie sądzę, żeby miał tyle dyscypliny, by to zaplanować. Poza tym ta druga skrzynia jest stara. Ma może cztery, pięć lat. Chip siedział wtedy w więzieniu. To właściwie jedyny znany nam fakt.

– Wobec tego uważasz, że kto to zrobił?

– Jest ten brygadzysta, Cole – zaczął Jeffrey. – Ci bracia. Te siostry. Matka i ojciec Abby. Dale Stanley. – Westchnął. – Zasadniczo każdy, z kim rozmawiałem, odkąd się ta cholerna sprawa zaczęła.

– Ale nikt się nie wyróżnia?

– Cole – odparł.

– Ale tylko dlatego, że wrzeszczał do tych ludzi o Bogu?

– Tak – przyznał. W ustach Sary powód ten zabrzmiał nieprzekonująco. Starał się wyperswadować Lenie patrzeć na sprawę pod kątem religii, ale być może sam zaraził się jej uprzedzeniami. – Chcę jeszcze raz porozmawiać z tą rodziną, może z każdym na osobności.

– Porozmawiaj z kobietami – zasugerowała. – Mogą być bardziej rozmowne, kiedy nie będzie w pobliżu ich braci.

– Dobry pomysł. – Spróbował jeszcze raz. – Ja naprawdę nie chcę, żebyś się zadawała z tymi ludźmi, Saro. Nie bardzo mi się też podoba, że Tessa obraca się w tym towarzystwie.

– Dlaczego?

– Bo mam przeczucie – odparł. – I to przeczucie mówi mi, że oni coś kombinują. Nie wiem tylko co.

– Pobożność nie jest przestępstwem – powiedziała. – Gdyby tak było, musiałbyś aresztować moją matkę. – Potem dodała: – Prawdę mówiąc, musiałbyś aresztować większość mojej rodziny.

– Nie twierdzę, że to ma coś wspólnego z religią – rzekł. – Chodzi o to, jak się zachowują.

– A jak się zachowują?

– Jakby mieli coś do ukrycia.

Sara oparła się o blat. Widział, że nie ma zamiaru się poddać.

– Tessa prosiła mnie, żebym to dla niej zrobiła.

– A ja cię proszę, żebyś tego nie robiła.

– Chcesz, żebym wybierała między tobą a moją rodziną? – Wydawała się zaskoczona.

Właśnie o to ją prosił, ale wolał tego nie mówić. Już przegrał kiedyś tę rywalizację, ale tym razem lepiej znał reguły.

– Ja tylko chcę, żebyś była ostrożna – powiedział.

Otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale zadzwonił telefon.

Przez parę sekund szukała słuchawki bezprzewodowego aparatu, zanim znalazła ją na stoliku.

– Halo?

Słuchała przez chwilę, po czym podała telefon Jeffreyowi.

– Tolliver – powiedział, usłyszawszy z zaskoczeniem kobiecy głos.

– Tu Esther Bennett – powiedziała kobieta ochryłym szeptem. – Pana wizytówka. Ta, którą pan mi dał. Jest na niej ten numer. Przepraszam, ja... – Głos jej się załamał i zaczęła szlochać.

Sara spojrzała na niego pytająco, ale potrząsnęła głową.

– Esther – powiedział do telefonu. – Co się stało?

– Becca – odparła roztrzęsionym głosem. – Becca zaginęła.

Jeffrey zaparkował samochód na parkingu przy Dipsy's Diner, myśląc, że nie był w tym lokalu, odkąd odszedł poprzedni szeryf Catoogah, Joe Smith. Kiedy Jeffrey zaczął pracować w Grant, spotykał się ze Smithem co parę miesięcy przy lurowatej kawie i gumowatych pączkach. W miarę upływu czasu, kiedy w ich małych miastach amfetamina zaczęła być coraz poważniejszym problemem, te spotkania stały się bardziej regularne i poświęcone poważniejszym sprawom. Kiedy urząd szeryfa objął Ed Pelham, Jeffreyowi nawet nie przyszło do głowy, żeby zaproponować kurtuazyjną wizytę, nie mówiąc już o wspólnym posiłku z tym człowiekiem. Jego zdaniem, Ćwierć Dolara nie zastąpiłby nawet trzyletniej dziewczynki, a co dopiero takiego faceta jak Joe Smith.

Rozejrzał się po parkingu, zastanawiając się, skąd Esther Bennett wiedziała o tym miejscu. Nie mógł sobie wyobrazić, że ona może jeść cokolwiek, co nie wyszło z jej kuchni albo nie pochodziło z jej ogrodu. Jeśli Dipsy's spełniało jej wyobrażenie o tym, jaka powinna być restauracja, to byłoby dla niej lepiej, gdyby siedziała w domu i jadła karton.

Za ladą stała May-Lynn Bledsoe, która obrzuciła go zjadliwym spojrzaniem.

– Zaczynam myśleć, że mnie już nie kochasz.

– Niemożliwe – odparł, zastanawiając się, dlaczego próbuje z nim żartować. Był w tej knajpie może z pięćdziesiąt razy i nigdy nie poświę-

ciła mu ani chwili uwagi. Rozejrzał się po sali i zauważył, że jest pusta.

– Przyjechałeś, zanim zaczął się tłok – powiedziała, chociaż wątpił, by niedługo goście zaczęli tam walić drzwiami i oknami. Oprócz kwaśnej miny May-Lynn i letniej kawy niewiele można było polecić w tym miejscu. Joe Smith przepadał za frytkami domowymi z serem i cebulą i zawsze zamawiał do kawy ich potrójną porcję. Jeffrey przypuszczał, że nagły zawał serca, który powalił Joego w wieku pięćdziesięciu sześciu lat, odstręczył nieco klientów.

Zobaczył, że na parking wjeżdża najnowszy model toyoty, i czekał, aż z auta wysiądzie kierowca. Wczesnoporanny wiatr podnosił ze zwierowej nawierzchni parkingu tumany kurzu i kiedy Esther Bennett wysiadła z samochodu, przytrzasnęły ją drzwi. Jeffrey chciał jej przyjść z pomocą, ale przed drzwiami stała May-Lynn, jakby się bała, że się rozmyśli i odjedzie. Wydłubywała sobie coś spomiędzy tylnych zębów, wkładając do ust mały palec aż po nasadę.

– To co zwykle?

– Proszę tylko kawę – powiedział, patrząc, jak Esther Bennett szybko wchodzi po stopniach prowadzących do wejścia, przyciskając obiema rękami płaszcz do ciała. Kiedy weszła, zadźwięczał dzwonek nad drzwiami, i Jeffrey wstał, żeby się z nią przywitać.

– Komendancie Tolliver – powiedziała Esther bez tchu – przepraszam za spóźnienie.

– Nic nie szkodzi – odparł, wskazując jej miejsce przy stole. Chciał wziąć od niej płaszcz, ale mu nie pozwoliła.

– Przepraszam – powtórzyła, wślizgując się do boksu, a jej niepokój był tak samo wyraźny jak unoszący się w powietrzu zapach cebuli opiekanej na ruszcie.

– Proszę mi powiedzieć, co się dzieje. – Usiadł naprzeciw niej.

Na stół padł długi cień. Podniósłszy głowę, zobaczył stojącą obok May-Lynn z bloczkiem w dłoni. Esther spojrzała i na chwilę się zmieszła.

– Mogę dostać trochę wody? – spytała po chwili.

Kelnerka wykrzywiła usta w jedną stronę, jakby obliczała wysokość

napiwku.

– Woda.

Jeffrey poczekał, aż odejdzie za ladę.

– Od dawna jej nie ma? – zapytał Esther.

– Dopiero od wczorajszego wieczoru – powiedziała Esther. Jej dolna warga drżała. – Lev i Paul powiedzieli, że powinnam odczekać dzień, bo może wróci, ale ja nie mogę...

– W porządku – rzekł, zastanawiając się, jak ktokolwiek mógł patrzeć na tę spanikowaną kobietę i mówić jej, żeby poczekała. – Kiedy pani zauważyła, że jej nie ma?

– Poszłam sprawdzić. Po tym, co się stało Abby... – przerwała, a jej gardło spazmatycznie drgało. – Chciałam sprawdzić i upewnić się, że Becca śpi. – Przyłożyła dłoń do ust. – Weszłam do jej pokoju i...

– Woda – powiedziała May-Lynn, stawiając przed nią szklanekę z takim impetem, że aż rozlała się jej zawartość.

– Daj nam minutę, dobrze? – Cierpliwość Jeffreya się skończyła.

May-Lynn wzruszyła ramionami, jakby to on zawinił, i powłócząc nogami, odeszła za bar.

– Przepraszam za to – powiedział, wycierając wodę garścią cienkich papierowych serwetek. – Interes idzie kiepsko.

Esther patrzyła na jego ręce, jakby nigdy nie widziała, by mężczyzna wycierał stół.

– A więc wczoraj wieczorem zorientowała się pani, że zniknęła?

– Najpierw zadzwoniłam do Rachel. Tej nocy, kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że nie ma Abby, Becca została u mojej siostry. Nie chciałam, żeby chodziła z nami w ciemnościach, kiedy jej szukaliśmy. Musiałam wiedzieć, gdzie jest. – Esther przerwała i wypła łyk wody. – Pomyślałam, że mogła tam wrócić.

– Ale nie wróciła?

Esther pokręciła głową.

– Potem zadzwoniłam do Paula – rzekła. – Powiedział mi, żebym się nie martwiła. – Wydała odgłos, który zabrzmiał niemal jak wyraz obrzydzenia. – To samo powiedział Lev. Ona zawsze wraca, ale po tym, co się

stało Abby... – Wciągnęła haust powietrza, jakby miała trudności z oddychaniem. – Po tym, co się stało Abby...

– Powiedziała coś, zanim zniknęła? – zapytał Jeffrey. – Może zachowywała się inaczej niż zwykle?

– Zostawiła to. – Esther włożyła rękę do kieszeni płaszcza i wyjęła kawałek papieru.

Jeffrey wziął złożoną kartkę, którą mu podała, czując się trochę tak, jakby został oszukany. Papier miał różowy odcień, atrament był czarny. Napisane na nim było dziewczęcymi bazgrołami: Mamo, nie martw się o mnie. Wróć.

Jeffrey gapił się na kartkę, nie wiedząc, co powiedzieć. Fakt, że dziewczynka zostawiła liścik, dużo zmieniał.

– To jej pismo?

– Tak.

– W poniedziałek powiedziała pani mojej detektyw, że Rebecca uciekała już wcześniej.

– Nie w taki sposób – powiedziała z naciskiem Esther. – Wcześniej nigdy nie zostawiła liściku.

Jeffrey pomyślał, że w obecnej sytuacji dziewczyna pewnie starała się po prostu nie zranić matki.

– Ile razy to się zdarzyło?

– W maju i w czerwcu ubiegłego roku – wyliczała Esther. – W lutym tego roku.

– Zna pani jakiś możliwy powód tej ucieczki?

– Nie rozumiem.

Jeffrey starał się ostrożnie dobierać słowa:

– Dziewczęta zwykle nie uciekają ni z tego, ni z owego. Zwykle uciekają od czegoś.

Ta kobieta zareagowałaby lepiej, gdyby uderzył ją w twarz. Złożyła kartkę i, wstając, włożyła ją do kieszeni.

– Przepraszam, że zajęłam panu niepotrzebnie czas.

– Pani Bennett...

Była już za drzwiami i nie udało mu się jej złapać, kiedy zbiegała ze

schodów.

– Pani Bennett – powiedział, idąc za nią na parking. – Proszę tak nie odjeżdżać.

– Powiedzieli, że pan to powie.

– Kto tak powiedział?

– Mój mąż. Moi bracia. – Trzęsły się jej ramiona. Wyjęła chusteczkę i wytarła nos. – Powiedzieli, że pan będzie nas obwiniał, że nie warto nawet próbować rozmawiać z panem.

– Nie przypominam sobie, żebym kogoś obwiniał.

– Wiem, co pan sobie myśli, komendancie Tolliver. – Potrząsnęła głową i odwróciła się.

– Wątpię...

– Paul powiedział, że tak będzie. Ludzie z zewnątrz nigdy nie rozumieją. Pogodziliśmy się z tym. Nie wiem, dlaczego próbowałam. – Zaciśnęła usta. Jej determinację wzmagala złość. – Może się pan nie zgadzać z moimi przekonaniem, ale jestem matką. Jedna z moich córek nie żyje, a druga zaginęła. Wiem, że dzieje się coś złego. Wiem, że Rebecca nigdy nie byłaby taką egoistką, żeby zostawić mnie w takim okresie, gdyby nie uważała, że musi.

Jeffrey pomyślał, że odpowiada na jego wcześniejsze pytanie, nie przyznając się do tego sama przed sobą. Tym razem postarał się być jeszcze ostrożniejszy.

– Dlaczego musiałyby to zrobić?

Esther zdawała się szukać odpowiedzi, ale nie udzieliła jej Jeffreyowi.

– Dlaczego musiałyby uciekać? – Spróbował ponownie.

– Wiem, co pan myśli.

– Dlaczego miałyby uciec? – nalegał.

Nic nie odpowiedziała.

– Pani Bennett?

– Nie wiem! – krzyknęła i podniosła ręce w geście poddania. Zimny wiatr smagał jej kołnierz. Nos miała czerwony od płaczu, po policzkach płynęły łzy. – Nie zrobiłaby tego – łkała. – Nie zrobiłaby tego, gdyby nie

musiała.

Po paru sekundach wyciągnął rękę i otworzył drzwi samochodu. Pomógł jej wsiąść i przyklęknął obok, żeby mogli porozmawiać. Wiedział bez patrzenia, że May-Lynn stoi przy oknie, przyglądając się temu widowisku, i chciał zrobić, co było w jego mocy, by chronić Esther Bennett.

– Proszę mi powiedzieć, od czego uciekała – poprosił i miał nadzieję, że słyszy w jego głosie współczucie.

Esther przetarła oczy, a potem skupiła się na chusteczce, którą trzymała w ręku, składając ją i rozkładając, jakby gdzieś na tym zmiętym papierze mogła znaleźć odpowiedź.

– Ona tak się różni od Abby – powiedziała w końcu. – Jest taka buntownicza. Zupełnie niepodobna do mnie, kiedy byłam w jej wieku. Niepodobna do nikogo z nas. – Wbrew własnym słowom, zaraz dodała: – Ona jest taka kochana. Taka silna dusza. Mój dziki aniołek.

– Przeciw czemu się buntowała? – zapytał Jeffrey.

– Przeciw zasadom – odparła Esther. – Przeciw wszystkiemu.

– Kiedy uciekała wcześniej – zaczął Jeffrey – to dokąd?

– Mówiła, że obozowała w lesie.

Jeffrey poczuł, że przestaje mu bić serce.

– W którym lesie?

– W lesie Catoogah. Kiedy były małe, cały czas tam obozowały.

– Nie w parku stanowym Grant?

Pokręciła głową.

– Jak by się tam dostała? – zapytała, potrząsając przecząco głową. – To wiele mil od domu.

Jeffreyowi nie spodobała się myśl o tym, że Rebecca może być w lesie, zwłaszcza zważywszy na to, co się stało z jej siostrą.

– Spotykała się z jakimiś chłopcami?

– Nie wiem – wyznała Esther. – Nie wiem nic o jej życiu. Myślałam, że wiem o sprawach Abby, ale teraz... – Przyłożyła rękę do ust. – Nic nie wiem.

Jeffreya zaczęło boleć kolano, przysiadł więc na piętach, by go nie

przeciążać.

– Rebecca nie chciała należeć do waszego Kościoła? – domyślił się.

– Pozwalamy im wybierać. Nie narzucamy niczego siłą. Dzieci Mary wybrały... – Wzięła głęboki oddech, po czym powoli wypuściła powietrze. – Pozwalamy im dokonać wyboru, kiedy są już na tyle duże, że mają wyrobione zdanie. Lev poszedł na studia. Paul na pewien czas oddalił się od nas. Wrócił, ale nigdy nie przestałam go kochać. Nigdy nie przestał być moim bratem. – Wyrzuciła ręce w powietrze. – Po prostu nie rozumiem. Dlaczego miałyby uciekać? Dlaczego zrobiła to teraz?

Przez te wszystkie lata Jeffrey zajmował się wieloma przypadkami zaginionych dzieci. Na szczęście większość tych spraw szybko znajdowała rozwiązanie. Dziecko zmarzło albo zgłodniało; wracało do domu, uświadomiwszy sobie, że są gorsze rzeczy niż sprzątanie swojego pokoju albo jedzenie groszku. Coś mu mówiło, że Rebecca Bennett nie uciekała od obowiązków domowych, ale czuł potrzebę uśmierzenia chociaż części niepokoju Esther.

– Becca już wcześniej uciekała. – Powiedział tak łagodnie, jak potrafił.

– Tak.

– Zawsze wraca po dniu czy dwóch.

– Zawsze wraca do swojej rodziny, do całej rodziny. – Wydawała się prawie zrezygnowana, jakby jej nie rozumiał. – Nie jesteśmy tacy, jak pan myśli.

Nie był pewien, co myśli. Nie chciał tego przyznać sam przed sobą, ale rozumiał, dlaczego bracia Esther nie byli tak zaniepokojeni jak ona. Jeśli Rebecca nabrała zwyczaju uciekania na parę dni, napędzania wszystkim strachu, a potem wracania, to mógł to być kolejny rozpaczliwy gest z jej strony, by zwrócili na nią uwagę. Pozostawało tylko pytanie, dlaczego uważała, że potrzebuje uwagi. Czy była to zwykła chęć nastolatki, by się nią zainteresowano, czy też robiła to z bardziej ponurego powodu?

– Niech pan pyta – rzekła Esther, wyraźnie zbijając się w sobie. – Śmiało.

– Pani Bennett – zaczął.

– Uważam, że jeśli ma mnie pan zamiar zapytać, czy moje córki były molestowane przez moich braci, to powinien pan przynajmniej zwracać się do mnie po imieniu.

– Tego właśnie się boisz, Esther?

– Nie – odparła bez namysłu. – W poniedziałek bałam się, że powiesz mi, że moja córka nie żyje. Teraz boję się, że powiesz, że nie ma nadziei na odnalezienie Rebecki. Przeraza mnie prawda, komendancie Tolliver. Domysłów się nie boję.

– Musisz odpowiedzieć na moje pytanie, Esther.

Milczała przez chwilę, jakby zrobiło się jej niedobrze na samą myśl o tym, że można dopuścić taką możliwość.

– Moi bracia nigdy nie zachowywali się niewłaściwie wobec moich dzieci. Mój mąż nigdy nie zachowywał się niewłaściwie wobec moich dzieci.

– A Cole Connolly?

Pokręciła głową.

– Uwierz mi, kiedy to mówię – rzekła. – Gdyby ktokolwiek skrzywdził moje dzieci, nie tylko moje, ale jakiegokolwiek dziecko, zabiłabym go gołymi rękami i czekała, aż Bóg mnie osądzi.

Patrzył na nią przez chwilę. W jej jasnozielonych oczach widać było niezłomne przekonanie. Wierzył jej, a przynajmniej wierzył, że ona wierzy w to, co powiedziała.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała.

– Mogę wystawić list gończy i zadzwonić w parę miejsc. Zadzwonię do szeryfa w Catoogah, ale stawiając sprawy uczciwie, ona nie uciekła po raz pierwszy, a poza tym zostawiła list. – Cekał, aż Esther to przetrawi, i sam się nad tym zastanawiał. Gdyby chciał uprowadzić Rebecę, zrobiłby to właśnie w taki sposób i zostawiłby list, a historia jej wcześniejszych ucieczek chroniłaby go przez kilka dni.

– Myślisz, że ją znajdziecie?

Nie pozwolił sobie na zastanawianie się nad możliwością, że ta czternastolatka leży gdzieś w płytkim grobie.

– Znajdę ją – zaczął. – Chcę z nią porozmawiać.

– Już z nią rozmawiałeś.

– Chcę z nią porozmawiać w cztery oczy – powiedział, wiedząc, że nie ma prawa prosić o to, tak jak wiedział, że Esther może w każdej chwili wycofać się z przyrzeczenia. – Jest nieletnia. Zgodnie z prawem, nie mogę z nią rozmawiać bez zgody co najmniej jednego z rodziców.

Milczała, wyraźnie rozważając konsekwencje. W końcu skinęła głową:

– Masz moje pozwolenie.

– Wiesz, że ona prawdopodobnie gdzieś obozuje – powiedział, mając poczucie winy, że wykorzystał jej rozpacz, i pokładając w Bogu nadzieję, że nie myli się co do tej dziewczyny. – Pewnie za dzień, dwa sama wróci.

– Znajdź ją – powiedziała, wciskając mu do ręki liścik Rebecki, który ponownie wyjęła z kieszeni. – Proszę, znajdź ją.

Kiedy wrócił do komisariatu, w głębi parkingu stał duży autobus z napisem „Święta Uprawa Soi” wymalowanym na boku za pomocą szablonu. Mimo zimna wokół kręcili się robotnicy i widział, że korytarz jest zatłoczony. Stłumił przekleństwo i wysiadł z samochodu. Zastanawiał się, czy Lev Ward nie żartuje sobie z niego.

Wszedłszy do środka, przepchnął się przez najbardziej cuchnącą bandę włóczęgów, jaką widział od czasu, gdy przejeżdżał przez centrum Atlanty. Wstrzymał oddech, czekając, aż Marla go wpuści. Czuł, że jeśli jeszcze trochę zostanie w tym dusznym pomieszczeniu, to zrobi mu się niedobrze.

– Cześć, szefie – powiedziała Marla, biorąc jego kurtkę. – Myślę, że wiesz, o co tu chodzi.

Wszedł Frank z kwaśną miną.

– Są tu od dwóch godzin. Samo spisanie ich nazwisk zajmie cały dzień.

– Gdzie jest Lev Ward? – zapytał Jeffrey.

– Connolly powiedział, że musiał zostać w domu z jedną ze swoich sióstr.

– Z którą?

– Za cholere nie wiem – odparł Frank. Przesłuchanie jednego z tych cuchnących włóczęgów najwyraźniej zrobiło na nim wrażenie. – Powiedział, że ona ma cukrzycę czy coś w tym stylu.

– Cholera – zaklął Jeffrey, myśląc, że Ward naprawdę gra mu na nerwach. Jego nieobecność oznaczała, że nie tylko niepotrzebnie traci czas, ale również że Mark McCallum, specjalista od badania wariografem, przysłany przez Biuro Śledcze Stanu Georgia, spędzi w mieście jeszcze jedną noc na koszt policji Grant.

Jeffrey napisał na kartce nazwisko Rebecki Bennett i podał jej rysopis. Wyciągnął z kieszeni zdjęcie i dał je Frankowi.

– Siostra Abby – powiedział. – Podaj w depeszy szczegóły jej wyglądu. Wyszła z domu wczoraj o dziesiątej wieczorem i dotychczas nie wróciła.

– Cholera.

– Już wcześniej uciekała – uściślił Jeffrey – ale nie podoba mi się, że zdarzyło się to tak szybko po śmierci jej siostry.

– Myślisz, że ona coś wie?

– Myślę, że nie uciekała bez powodu.

– Zadzwoń do Ćwierć Dolara?

Jeffrey zachmurzył się. Zadzwoił do Eda Pelhama w drodze do komisariatu. Jak przewidywał, szeryf z sąsiedniego hrabstwa prawie roześmiał się mu w twarz. Nie mógł obwiniać tego człowieka – w końcu dziewczyna już nieraz uciekała z domu – ale sądził, że biorąc pod uwagę to, co przydarzyło się Abigail Bennett, Ed potraktuje tę sprawę poważniej.

– Czy Brad nadal przeszukuje ten teren nad jeziorem? – zapytał. Frank skinął głową. – Powiedz mu, żeby pojechał do domu i wziął plecak, sprzęt do obozowania czy co tam będzie potrzebne. Niech jada z Hemmingiem do lasu stanowego w Catoogah i zaczynają się rozglądać. Jeśli ktoś ich zatrzyma, niech mówią, że wybrali się pod namiot.

– W porządku.

Frank odwrócił się, by odejść, ale Jeffrey go zatrzymał.

– Do listu gończego za Donnerem trzeba dodać, że być może jest z dziewczyną. – Uprzedzając pytanie Franka, wzruszył ramionami i powiedział: – Rzuć to o ścianę i zobacz, co się przylepi.

– Zrobi się – powiedział Frank. – Connolly’ego wzięłem na przesłuchanie pierwszego. Chcesz się potem do niego zabrać?

– Chcę go ugotować – odparł Jeffrey. – Jak myślisz, ile czasu zabierze nam przesłuchanie całej tej reszty?

– Pięć, może sześć godzin.

– Macie już coś interesującego?

– Nie, jeśli nie liczyć tego, że Lena zagroziła jednemu z nich, że mu przyłoży, jeśli nie przestanie pieprzyć o Panu Jezusie. – Po chwili dodał: – Myślę, że to główniana strata czasu.

– Muszę się z tobą zgodzić – rzekł Jeffrey. – Chcę, żebyś pojechał i pogadał z tymi ludźmi z listy, którzy kupili sole cyjanku w tym sklepie w Atlancie.

– Wyjadę, jak tylko porozmawiam z Bradem i uaktualnię list gończy.

Jeffrey poszedł do swojego gabinetu i jeszcze zanim usiadł, podniósł słuchawkę telefonu. Wybrał numer Leva Warda i przebrnął przez centralę telefoniczną. Kiedy czekał, aż ktoś po drugiej stronie odbierze telefon, weszła Marla i położyła na jego biurku plik wiadomości. Podziękował jej akurat w chwili, kiedy włączyła się poczta głosowa Leva Warda.

– Tu komendant Tolliver – powiedział. – Proszę, żeby pan jak najszybciej do mnie zadzwonił. – Zostawił numer swojego telefonu komórkowego, nie chcąc, by Lev łatwo się wykpił, zostawiając mu wiadomość.

Odłożył słuchawkę i wzięł swoje notatki z ostatniej nocy. Nie mógł dojrzeć żadnego sensu w długich listach, które zrobił. Były tam pytania do każdego z członków tej rodziny, ale w zimnym świetle dnia uświadomił sobie, że próba przepytania któregośkolwiek z nich natychmiast sprowadziaby mu na głowę Paula Warda.

Zgodnie z prawem żaden z nich nie musiał rozmawiać z policją. Nie miał żadnych podstaw, by zmusić ich do przyjazdu do komisariatu, i poważnie wątpił, czy Lev Ward dotrzyma obietnicy i podda się badaniu na wykrywaczu kłamstw. Sprawdzenie ich nazwisk w komputerze

niewiele dało. Wprowadził nazwisko Cole'a Connolly'ego, ale bez inicjału drugiego imienia albo dokładniejszej informacji, na przykład daty urodzenia czy poprzedniego adresu, uzyskał listę około sześciuset Cole'ów Connollych w południowych stanach. Po poszerzeniu hasła do Colemana Connolly'ego otrzymał jeszcze około trzystu.

Spojrzał na rękę, na miejsce, gdzie zaczął odstawać bandaż. Esther złapała go za tę rękę, zanim odjechała; błagała, by odnalazł jej córkę. Był przekonany, że gdyby coś wiedziała, to wyprułaby sobie flaki i zrobiła wszystko, co w jej mocy, by sprowadzić swoje jedyne żyjące dziecko do domu. Już przez sam fakt, że zdecydowała się z nim porozmawiać, przeciwstawiła się braciom i mężowi, a kiedy ją zapytał, czy zamierza im o tym powiedzieć, odparła zagadkowo: „Jeśli mnie zapytają, powiem im prawdę”. Zastanawiał się, czy ci mężczyźni dopuściliby w ogóle możliwość, że Esther zrobiła coś samowolnie, bez ich pozwolenia. Ryzyko, które podjęła, było wystarczającą wskazówką, że rozpaczliwie pragnęła poznać prawdę. Problem polegał na tym, że nie wiedział, od czego zacząć. Sprawa ta była jak wielkie koło: mógł tylko dreptać po jego obwodzie, czekając, aż ktoś popełni błąd.

Przerzucił wiadomości, starając się skupić na nich wzrok na tyle długo, by je przeczytać. Był wyczerpany i czuł rwący ból w ręce. Dwa telefony od burmistrza i notatka, że dzwonił z Dew Drop Inn, by porozmawiać w sprawie rachunku za pobyt Marka McCalluma, specjalisty od badań na wariografie, którego usługi zamówił, nie poprawiły mu samopoczucia. Ten młody człowiek najwyraźniej lubił korzystać z wygód hotelowych.

Przetarł oczy i skoncentrował się na nazwisku Buddy'ego Conforda. Został wezwany do sądu, ale przyjedzie do komisariatu najszybciej, jak będzie mógł, i przywiezie swoją pasierbicę na rozmowę. Jeffrey zapomniał o Patty O'Ryan. Odłożył tę wiadomość na bok i nadal przeglądał stertę kartek.

Serce mu zamarło, kiedy rozpoznał nazwisko u góry przedostatniej wiadomości. Dzwonił kuzyn Sary, doktor Hareton Earnshaw. Niżej Marla napisała: „Mówi, że wszystko w porządku”, a potem dodała py-

tanie od siebie: „Nic ci nie dolega?”.

Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer Sary w klinice. Po paru minutach słuchania klasycznego rocka w wykonaniu Chipmunks usłyszał jej głos.

– Dzwonił Hare – powiedział. – Wszystko w porządku.

– To dobra wiadomość. – Westchnęła łagodnie.

– Tak. – Pomyślał o tamtej nocy, o tym, co ryzykowała, całując go. Oblał go zimny pot, a potem ogarnęła go jeszcze większa ulga niż ta, którą poczuł, kiedy po raz pierwszy przeczytał wiadomość od Hare’a. W pewnym sensie pogodził się z tym, że otrzyma złą wiadomość, ale myśl o tym, że może pociągnąć za sobą Sarę, była tak bolesna, że odganiał ją od siebie. I tak już wyrządził dużo krzywdy.

– Co powiedziała Esther? – spytała Sara.

Poinformował ją o zaginionym dziecku i obawach Esther. Sara odniosła się do nich wyraźnie sceptycznie.

– Ona zawsze wracała? – zapytała.

– Tak – odparł. – Nie wiem nawet, czy w ogóle przyjąłbym zawiadomienie o zaginięciu, gdyby nie ta sprawa z Abby. Waham się między myślą, że ukrywa się gdzieś po prostu dlatego, że chce, by poświęcano jej więcej uwagi, a podejrzeniem, że ukrywa się z jakiegoś powodu.

– A ten powód jest taki, że Rebecca wie, co się stało z Abby? – zapytała Sara.

– Albo jakiś inny – odparł, gdyż sam nie był pewny, w co wierzy. Wyraził głośno myśl, którą starał się wyprzeć od chwili, gdy rano zatelefonowała Esther. – Ona może gdzieś być, Saro. W takim samym miejscu jak Abby.

Sara milczała.

– Wysłałem zespół na przeszukiwanie lasu. Frank sprawdza zakłady jubilerskie. Mamy pełen komisariat byłych narkomanów i alkoholików, z których część śmierdzi jak wszyscy diabli. – Urwał, myśląc, że mógłby jeszcze przez godzinę albo dwie wymieniać urywające się tropy.

– Powiedziałam Tess, że dziś wieczorem pojedę z nią do tego kościoła – powiedziała Sara ni z tego, ni z owego.

Jeffrey poczuł skurcz żołądka.

– Naprawdę wolę, żebyś tam nie jechała.

– Ale nie potrafisz mi wyjaśnić dlaczego.

– Nie – przyznał. – To wewnętrzne przeczucie, ale rzadko mnie zawodzi.

– Muszę to zrobić dla Tess – powiedziała. – I dla siebie.

– Stajesz się religijna?

– Muszę coś sprawdzić – powiedziała. – Nie mogę o tym teraz mówić, ale powiem ci później.

Zaczął się zastanawiać, czy nie jest na niego nadal zła za to, że śpi na kanapie.

– Co się stało?

– Nic złego, naprawdę. Muszę tylko jeszcze trochę to przemyśleć, zanim będę mogła o tym mówić. Posłuchaj, czeka pacjent.

– W porządku.

– Kocham cię.

Jeffrey poczuł, że na usta wraca mu uśmiech.

– Do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę na widełki i patrzył na mrugające lampki. Czuł się tak, jakby złapał drugi oddech, i pomyślał, że nadeszła pora porozmawiać z Cole'em Connollym.

Odnalazł Lenę w korytarzu przy łazience. Stała oparta o ścianę, pijąc colę. Kiedy podszedł, drgnęła i rozlała napój na koszulę.

– Cholera – mruknęła, strzepując płyn z bluzki.

– Przepraszam – powiedział. – Co się dzieje?

– Musiałam łyknąć trochę powietrza – odparła i Jeffrey skinął głową. Pracownicy farmy najwyraźniej spędzali wczesne godziny poranne na żmudnej pracy w polu, czego dowodził zapach ich ciał.

– Jakiś postęp?

– Właściwie cały czas to samo. To była miła dziewczyna, chwala Panu. Robiła, co mogła. Jezus cię kocha.

Jeffreyowi nie przypadł do gustu jej sarkazm, chociaż całkowicie podzielał jej uczucie. Zaczynał sądzić, że nazywając ich sektą, Lena była

niezbyt daleka od prawdy. Z całą pewnością zachowywali się, jakby zostali poddani praniu mózgow.

– Wiesz, jeśli pominąć całe to ich pieprzenie, to wydaje się, że była naprawdę miłą dziewczyną. – Westchnęła i zacisnęła usta. Jeffrey zdumiał się, widząc tę stronę jej osobowości. Minęło to jednak równie szybko, jak się pojawiło. – No dobra – powiedziała. – Musiała mieć coś do ukrycia. Każdy ma.

Wychwycił w jej oczach cień winy, ale zamiast zapytać ją o Terri Stanley i piknik policyjny, rzekł:

– Zaginęła Rebecca Bennett.

Jej mina wskazywała, że jest wstrząśnięta.

– Kiedy?

– Ubiegłego wieczoru – podał jej kartkę, którą Esther wcisnęła mu do ręki przed restauracją. – Zostawiła to.

– Coś tu nie gra – stwierdziła Lena, przeczytawszy ją. Ucieszył się, że ktoś bierze to poważnie. – Dlaczego uciekła tak krótko po śmierci siostry? – zapytała. – Nawet ja nie byłam taką egoistką, kiedy miałam czternaście lat. Jej matka musi odchodzić od zmysłów.

– To jej matka mi o tym powiedziała – rzekł Jeffrey. – Zadzwoniła do mnie rano, kiedy byłem u Sary. Jej bracia nie chcieli, żeby to zgłosiła.

– Dlaczego? – zapytała Lena, oddając mu liścik. – W jaki sposób to mogłoby zaszkodzić?

– Nie chcą, żeby się do tego mieszała policja.

– Tak – powiedziała Lena. – No to zobaczymy, czy nie będą chcieli, żeby się do tego mieszała policja, kiedy ona nie wróci. Myślisz, że została uprowadzona?

– Abby nie zostawiła listu.

– Tak – powiedziała. – Nie podoba mi się to.

– Mnie też – zgodził się z nią, wkładając list z powrotem do kieszeni.

– Chcę, żebyś poprowadziła przesłuchanie Connolly’ego. Nie sądzę, by spodobało mu się, że pytania zadaje kobieta.

Na jej twarzy pojawił się przelotny uśmiech.

– Chcesz, żebym go wkurzyła?

– Nie celowo.

– Czego szukamy?

– Chcę go po prostu wyczuć – odparł. – Dowiedzieć się o jego stosunkach z Abby. Rzucić mimochodem imię Rebecki. Zobaczyć, czy chwyci przynętę.

– W porządku.

– Chcę też, żebyś porozmawiała z Patty O’Ryan. Musimy się dowiedzieć, czy Chip się z kimś spotykał.

– Z kimś takim jak Rebecca Bennett?

Czasami przerażał go sposób, w jaki pracował umysł Leny. Wzruszył tylko ramionami.

– Buddy powiedział, że będzie tu za parę godzin.

Rzuciła puszkę po coli do kosza na śmieci i skierowała się w stronę pokoju przesłuchań.

– Nie mogę się tego doczekać.

Jeffrey otworzył drzwi, przepuścił ją przodem i patrzył, jak Lena przeistacza się w glinę, którym, jak wiedział, potrafiła być. Szła ciężkim krokiem, jakby miała między nogami mosiężne jaja. Wyciągnęła krzesło i usiadła bez słowa naprzeciw Cole’a Connolly’ego, parę stóp od stołu, z rozchyłonymi nogami. Rękę położyła na oparciu stojącego obok niej pustego krzesła.

– Hej – rzuciła.

Spojrzenie Cole’a przesunęło się szybko na Jeffreya, a potem z powrotem na Lenę.

– Hej.

Sięgnęła do tylnej kieszeni spodni, wyjęła notes i cisnęła go na stół.

– Jestem detektyw Lena Adams. To komendant Jeffrey Tolliver. Mógłby nam pan podać swoje pełne nazwisko?

– Cletus Lester Connolly, psze pani. – Przed nim, obok podnieszczonoj od częstego używania Biblii, leżało pióro i parę kartek. Kiedy Jeffrey oparł się o ścianę z ramionami skrzyżowanymi na piersi, Connolly wygładził kartki. Miał co najmniej sześćdziesiąt pięć lat, ale wciąż był bardzo schludny, jego biały T-shirt był czysty, dżinsy zaprasowane na ostry

kant. Dzięki pracy w polu zachował szczupłą sylwetkę, miał dobrze rozwiniętą klatkę piersiową, a z rękawów wylaniały się potężne bicepsy. Sztywna, siwa szczecina wystawała mu z wycięcia koszuli przy szyi, z uszu, pokrywała ramiona jak sierść. Tylko jego głowa była łyśa.

– Dlaczego nazywają pana Cole? – zapytała Lena.

– Tak miał na imię mój ojciec – wyjaśnił, a jego wzrok powędrował z powrotem do Jeffreya. – Miałem dosyć obrywania za to, że mam na imię Cletus. Lester nie jest dużo lepsze, więc kiedy skończyłem piętnaście lat, przybrałem imię taty.

Jeffrey pomyślał, że wyjaśnia to przynajmniej, dlaczego nie znalazł go w komputerze. Nie było jednak wątpliwości, że już od pewnego czasu jest w systemie. Miał w sobie tę czujność, której nabywa się w więzieniu. Cały czas miał się na baczności, cały czas szukał możliwości ucieczki.

– Co się panu stało w rękę? – zapytała Lena i Jeffrey zauważył cienkie, długie na dwa i pół centymetra rozcięcie na prawym palcu wskazującym Connolly’ego. Nie było to nic znaczącego, na pewno nie zadrapanie paznokciem ani rana zadana przez kogoś w obronie. Wyglądało raczej na skaleczenie, które może ci się przytrafić, jeśli pracujesz fizycznie i na ułamek sekundy przestaniesz uważać.

– Praca w polu – przyznał Connolly, patrząc na rozcięcie. – Chyba powinienem założyć na to plaster.

– Jak długo służył pan w wojsku? – zapytała.

Wydawał się zaskoczony, ale wskazała na tatuaż na jego ramieniu. Jeffrey rozpoznał emblemat wojskowy, ale nie był pewien jakiej formacji. Rozpoznał też pod nim niezdarny tatuaż więzienny. W którymś momencie swojego życia Connolly użył igły i tuszu z długopisu, by na trwałe wyryć w swoim ciele słowa „Jezus Zbawia”.

– Dwanaście lat, zanim mnie wylali – odparł Connolly. Potem dodał, jakby wiedział, dokąd to zmierza: – Powiedziano mi, że albo pójdę na leczenie, albo mnie wywalą. – Klasnął dłońmi, unosząc je do góry jak samolot odrywający się od ziemi. – Zwolnienie dyscyplinarne.

– To musiało być trudne.

– Pewnie, że było – przyznał, kładąc rękę na Biblii. Jeffrey wątpił, by oznaczało to, że ma zamiar powiedzieć prawdę, ale obraz ten był wymowny. Cole wyraźnie wiedział, jak odpowiedzieć na pytanie, nie wyjaśniając zbyt dużo. Był podręcznikowym przykładem uchylania się od wyjaśnień – siedział wyprostowany i patrzył prosto w oczy. – Ale nie tak ciężkie jak życie na zewnątrz – dodał nieproszony.

Lena pociągnęła go trochę za język:

– To znaczy?

– Zapuszkowali mnie za rąbnięcie samochodu, kiedy miałem siedemnaście lat – zaczął wyjaśniać, trzymając dłoń na Biblii. – Sędzia powiedział mi, że mogę iść albo do armii, albo do więzienia. Przepraszam za wyrażenie, ale prosto od cycka mamy poszedłem do Wuja Sama. – Błyszczały mu oczy, kiedy o tym mówił. Po paru minutach przestał się mieć na baczności przed Leną i zaczął ją traktować jak jednego z chłopaków. Na ich oczach Cole Connolly przeistoczył się w pomocnego starszaka, gotowego odpowiedzieć na ich pytania – przynajmniej na te, które uważał za bezpieczne. – Nie wiedziałem, jak sobie radzić w rzeczywistym świecie. Jak tylko wyleciałem z armii, poznałem paru kolegów, którzy uważali, że obrobienie miejscowego sklepu całodobowego to bułka z masłem.

Jeffrey chciałby mieć tyle dolarów, ilu było skazańców w celach śmierci, którzy zaczynali od rabowania sklepów całodobowych.

– Jeden z nich sypanął nas, zanim tam dotarliśmy. Obiecali, że zmniejszą mi wyrok za narkotyki. Skuli mnie, zanim zdążyłem wejść. – Connolly się roześmiał, w jego oczach pojawił się błysk. Jeśli miał żal o to, że został wsypany, to wydawało się, że nie zostało w nim wiele gorczy. – W więzieniu było wspaniale, jak w armii. Trzy posiłki dziennie, ludzie, którzy mi mówili, kiedy mam jeść, kiedy kłaść się spać, kiedy się wysrać. Doszło do tego, że kiedy przyszło zwolnienie warunkowe, nie chciałem wyjść.

– Odsiedział pan cały wyrok?

– Zgadza się – odparł, prężąc pierś. – Wkurzyłem sędziego swoją postawą. Kiedy siedziałem, miałem charakterek. Strażnikom też się to

nie podobało.

– Nie wyobrażam sobie, żeby mogło się podobać.

– Dostałem swoją porcję tego. – Wskazał na podsiniaczone oko Jeffrey, prawdopodobnie bardziej po to, by pokazać, że zdaje sobie sprawę z jego obecności w pokoju.

– Dużo się pan bił w pudle?

– Jakby pani zgadła – przyznał. Przyglądał się uważnie Lenie, mierząc ją wzrokiem. Jeffrey wiedział, że Lena to widzi, tak jak wiedział, że przesłuchanie Cole’a Connolly’ego będzie bardzo trudnym zadaniem.

– A więc – powiedziała – to w pace odkrył pan Jezusa? To zabawne, że On tak się kręci po więzieniach.

Connolly’ego wyraźnie ubodły te słowa. Zacisnął pięści, górna część jego ciała zeszywniała. Ton Leny był w porządku i Jeffrey przez chwilę widział tego człowieka z pola, mężczyznę, który nie znosi słabości.

– W więzieniu człowiek ma mnóstwo czasu, żeby się nad sobą zastanowić – naciskała łagodnie Lena.

Connolly kiwnął sztywno głową, sprężony jak wąż gotowy do ataku. Lena nadal siedziała odchyłona swobodnie do tyłu, z jedną ręką zwisającą za oparciem krzesła. Jeffrey widział pod stołem, że drugą rękę przysunęła bliżej broni, i wiedział, że tak samo jak on, wyczuwa niebezpieczeństwo.

Mówiła jednak nadal lekkim tonem, starając się używać tej samej retoryki co Connolly.

– Więzienie to dla mężczyzny czas próby. Albo zrobi cię silnym, albo słabym.

– Szczera prawda.

– Niektórzy mu ulegają. W pace jest mnóstwo narkotyków.

– Tak, psze pani. Łatwiej je tam dostać niż na zewnątrz.

– Mnóstwo czasu, żeby ćpać.

Connolly nadal miał zaciśnięte szczęki. Jeffrey zaczął się zastanawiać, czy Lena nie posunęła się za daleko, ale wołał się nie mieszać.

– Ja też brałem narkotyki – powiedział Connolly urywanymi słowami. – Nigdy temu nie zaprzeczałem. To złe rzeczy. Jak w ciebie wejda,

skłaniają cię do robienia tego, czego nie powinieneś. Musisz być silny, żeby to zwalczyć. – Spojrzał na Lenę, a jego żarliwe uczucia religijne uspokoiły złość tak szybko jak oliwa wzburzoną wodę. – Byłem słaby, ale zobaczyłem światło. Modliłem się do Pana o zbawienie, a On wyciągnął do mnie dłoń. – Podniósł rękę, jakby chciał to zilustrować. – Ująłem ją i powiedziałem: „Tak, Panie. Pomóż mi się podnieść. Pomóż mi narodzić się na nowo”.

– To wielka przemiana – zauważyła Lena. – Co sprawiło, że zmienił pan swoje postępowanie?

– W ostatnim roku mojej odsiadki zaczął tam przyjeżdżać Thomas. Jest narzędziem Pana. Za jego pośrednictwem Pan wskazał mi lepszą drogę.

– To ojciec Leva? – upewniła się Lena.

– Działał w ramach programu pomocy więźniom – wyjaśnił Connolly. – My, stare garusy, lubiliśmy spokój. Idziesz do kościoła, na czytanie Biblii, to jest mniejsze ryzyko, że się znajdziesz w sytuacji, gdzie cię wpieni jakiś młody kozak, który szuka okazji, żeby sobie wyrobić nazwisko. – Roześmiał się z tego, stając się na powrót tym miłym starszym, którym był, zanim dał się ponieść złości. – Nigdy nie myślałem, że na koniec sam zostanę jednym z tych nawiedzonych głosicieli Słowa Bożego. Ludzie albo są za Jezusem, albo przeciw Niemu, a ja byłem przeciw. Zapłata za moje grzechy byłaby na pewno straszna śmierć w samotności.

– Ale wtedy spotkał pan Thomasa Warda?

– Ostatnio jest chory, miał wylew, ale wtedy był jak lew, niech go Bóg błogosławi. Ocalił moją duszę. Dał mi miejsce, gdzie mogłem iść, kiedy wyszedłem z więzienia.

– Dał panu trzy posiłki dziennie? – podpowiedziała Lena, nawiązując do wcześniejszej opowieści Connolly’ego o tym, jak troszczono się o niego w wojsku, a potem w więzieniu.

– Ha! – Stary uderzył ręką w stół i roześmiał się, rozbawiony tym porównaniem. Leżące przed nim papiery rozsypały się, złożył je więc z powrotem na kupkę i wyrównał jej brzegi. – Chyba można to i tak

ująć. W głębi serca nadal jestem żołnierzem, ale teraz żołnierzem Pana.

– Zauważył pan ostatnio coś podejrzanego na farmie? – zapytała Lena.

– Raczej nie.

– Nikt nie zachowywał się dziwnie?

– Nie chcę tego lekceważyć – zastrzegł się – ale musicie pomyśleć o tym, jacy ludzie tam się przewijają. Wszyscy są trochę dziwni. Nie byłoby ich tam, gdyby nie byli.

– Zgoda – przyznała. – Chodzi mi o to, czy ktoś z nich zachowywał się podejrzenie? Jakby maczał palce w jakiejś brudnej sprawie?

– Oni wszyscy maczali palce w jakichś brudnych sprawach, a niektórzy robią to dalej na farmie.

– To znaczy?

– Siedzą w jakimś schronisku w Atlancie, użalając się nad sobą, chcą zmienić otoczenie, myśląc, że dzięki temu sami się w końcu zmieniają.

– Ale się nie zmieniają?

– Niektórzy tak – przyznał Connolly – ale dużo więcej z nich przyjeżdża tutaj i zdaje sobie sprawę, że trzyma ich tu to samo, przez co wpadli w alkoholizm i narkomanię i zeszli na złą drogę. – Nie czekał, aż Lena skłoni go, by powiedział więcej. – Słabość, młoda damo. Słabość duszy, słabość ducha. Robimy, co możemy, żeby im pomóc, ale najpierw muszą mieć tyle siły, żeby mogli sami sobie pomóc.

– Powiedziano nam, że ktoś ukradł kasę podręczną – rzekła Lena.

– To było parę miesięcy temu – potwierdził Connolly. – Nigdy nie złapaliśmy tego, kto to zrobił.

– Jacyś podejrzeni?

– Około dwustu. – Roześmiał się i Jeffrey pomyślał, że praca ze zgrają alkoholików i ćpunów niezbyt sprzyja budowaniu zaufania w miejscu pracy.

– Nikt nie interesował się Abby bardziej, niż powinien? – zapytała Lena.

– Była naprawdę ładną dziewczyną – powiedział. – Oglądało się za nią wielu chłopaków, ale postawiłem sprawę jasno, że dla nich to owoc

zakazany.

– Musiał pan to mówić komuś w szczególności?

– Nie przypominam sobie. – Trudno było przełamać nawyki więzienne, a Connolly odznaczał się typową dla więźnia niezdolnością do dania odpowiedzi twierdzącej lub przeczącej.

– Czy nie zauważył pan, że kręciła się koło kogoś? Może spędzała czas z kimś, z kim nie powinna?

Pokręcił głową.

– Niech mi pani uwierzy, łamię sobie głowę, odkąd się to stało, starając się wpaść na to, kto mógł chcieć zrobić krzywdę tej słodkiej dziewczynie. Nikt nie przychodzi mi na myśl, a cofam się o parę lat.

– Dużo sama jeździła – przypomniała sobie Lena.

– Nauczyłem ją prowadzić starego buicka Mary, kiedy miała piętnaście lat.

– Byliście w takich bliskich stosunkach?

– Abigail była dla mnie jak wnuczka. – Zamrugał powiekami, by pozbyć się łez. – Kiedy człowiek jest w moim wieku, myśli, że nic nie może nim wstrząsnąć. Zaczyna chorować wielu znajomych. Wytrąciło mnie z równowagi, kiedy w zeszłym roku Thomas dostał tego wylewu. To ja go znalazłem. Mówię pani, aż żal było patrzeć, jak ten człowiek przygaśł. – Otarł oczy wierzchem dłoni. Jeffrey widział, że Lena kiwa głową, jakby rozumiała. – Ale Thomas był już stary – ciągnął Connolly. – Możesz się nie spodziewać, że to się stanie, ale nie możesz być zaskoczony. Abby była jeszcze dziewczynką. Dobrą dziewczynką. Miała przed sobą całe życie. Nikt nie zasługuje na taką śmierć, a już szczególnie ona.

– Z tego, co się dowiedzieliśmy, była niezwykłą młodą kobietą.

– To prawda – zgodził się z Leną. – Była aniołem. Czysta i nieskazitelna jak świeży śnieg. Oddałbym za nią życie.

– Zna pan młodego mężczyznę nazwiskiem Chip Donner?

– Nie przypominam sobie – powiedział po zastanowieniu Connolly.
– Dużo ludzi się u nas przewija. Niektórzy zostają tydzień, niektórzy dzień. Szczęściarze na całe życie! – Podrapał się po brodzie. – To nazwisko brzmi znajomo, ale nie wiem, gdzie je słyszałem.

– A Patty O’Ryan?

– Nie.

– Przypuszczam, że zna pan Rebeccę Bennett.

– Becce? – powiedział. – Oczywiście, że znam.

– Nie wróciła do domu od ubiegłego wieczoru.

Connolly skinął głową; najwyraźniej nie było to dla niego nowiną.

– Uparciuch z tego dziecka. Ucieka, napędza mamie strachu, wraca i znowu panują miłość i szczęście.

– Wiemy, że uciekała już wcześniej.

– Tym razem miała przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby zostawić wiadomość.

– Wie pan, dokąd mogła uciec?

Wzruszył ramionami.

– Zwykle obozuje w lesie. Kiedy byłem młodszy, zabierałem tam dzieciaki. Pokazywałem im, jak korzystać z narzędzi, które dał nam Bóg. To je uczy szacunku dla Jego dobroci.

– Zabierał je pan w jakieś konkretne miejsce?

Kiwał potakująco głową, kiedy mówiła, bo spodziewał się tego pytania.

– Byłem tam dzisiaj z samego rana. Z tego obozowiska od lat nikt nie korzystał. Nie mam pojęcia, dokąd mogła uciec. – Po chwili dodał: – Szkoda, że nie wiem, gdzie jest. Przyłałbym jej różgą w tyłek za to, że zrobiła to matce właśnie teraz.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła Marla.

– Przepraszam, że przeszkadzam, szefie – powiedziała, podając Jeffreyowi złożoną kartkę papieru.

Tymczasem Lena pytała Connolly’ego:

– Od jak dawna jest pan członkiem tego Kościoła?

– Będzie dwadzieścia jeden lat – odparł. – Byłem tam, kiedy Thomas odziedziczył tę ziemię po swoim ojcu. Dla mnie wyglądała jak pustynia, ale Mojżesz też zaczął na pustyni.

Jeffrey cały czas przyglądał się badawczo temu mężczyźnie, starając się wychwycić coś, co wskazywałoby, czy mówi prawdę. Większość lu-

dzi ma jakiś zły nawyk, nad którym nie potrafi zapanować, kiedy kłamie. Niektórzy drapią się po nosie, niektórzy się wiercą. Connolly siedział zupełnie nieruchomo, patrzył prosto w oczy. Był albo urodzonym łgarzem, albo uczciwym człowiekiem. Jeffrey nie założyłby się o to, czy jest jednym czy drugim.

Connolly kontynuował opowieść o powstaniu spółdzielni.

– Było nas wtedy ze dwadzieścia osób. Oczywiście dzieci Thomasa były jeszcze małe i nieduży był z nich pożytek, szczególnie z Paula. On zawsze był leniem. Kiedy inni pracowali, on wolał siedzieć i potem zbierać owoce. Po prostu jak prawnik. – Lena kiwnęła głową. – Zaczynaliśmy od stu akrów soi. Nigdy nie stosowaliśmy żadnych środków chemicznych ani pestycydów. Ludzie myśleli, że jesteśmy wariatami, ale teraz jest moda na produkty z tych organicznych upraw. Nadszedł nasz czas. Chciałbym tylko, żeby Thomas mógł sobie zdać z tego sprawę. On był naszym Mojżeszem, dosłownie naszym Mojżeszem. Wywiódł nas z niewoli: niewoli narkotyków, alkoholu, rozpusty. Był naszym zbawcą. – Connolly przybrał jeszcze bardziej uroczysty ton: – Pan się nim opiekuje.

Jeffrey otworzył kartkę od Marli, zerknął na nią i już chciał ją ponownie złożyć, kiedy dotarła do niego jej treść. Spojrzał ponownie, stłumił przekleństwo i zapytał Connolly'ego:

– Może pan jeszcze coś dodać?

– Nic mi nie przychodzi na myśl. – Connolly wydawał się zaskoczony jego szorstkością.

Jeffrey nie musiał mówić Lenie, co ma robić. Wstała, a za nią Connolly. Jeffrey zwrócił się do niego:

– Chciałbym kontynuować jutro rozmowę z panem, jeśli to możliwe. Powiedzmy rano?

Przez chwilę Connolly wyglądał, jakby znalazł się w potrzasku, ale szybko doszedł do siebie.

– Nie ma problemu – powiedział z tak wymuszonym uśmiechem, że Jeffrey myślał, iż trzasną mu zęby. – Jutro jest nabożeństwo za Abby. Może po nim?

– Z samego rana powinniśmy porozmawiać z Levem – rzekł Jeffrey, mając nadzieję, że ta informacja dotrze do Leva Warda. – Może przyjedzie pan z nim?

– Zobaczymy – odparł Connolly, do niczego się nie zobowiązując. Jeffrey otworzył drzwi.

– Jestem wdzięczny za przybycie i przywiezienie tu wszystkich.

Connolly był nadal zakłopotany i wydawał się mocno zdenerwowany kartką w rękę Jeffrey'a, jakby chciał się dowiedzieć, jaka jest jej treść. Jeffrey nie potrafił powiedzieć, czy był to nawyk wyniesiony z kryminalnej przeszłości, czy po prostu zwykła ciekawość.

– Może pan jechać i zabrać ze sobą wszystkich pozostałych. Na pewno macie kupę roboty. Nie chcemy wam zabierać cennego czasu.

– Nie ma problemu – powtórzył Connolly i wyciągnął rękę. – Proszę dać mi znać, jeśli będzie pan jeszcze czegoś potrzebował.

– Doceniam to – powiedział Jeffrey, czując, jak chrząszczą mu kości dłoni w uścisku Connolly'ego. – Widzę tu pana rano z Levem.

Connolly wyczuł groźbę w tych słowach. Zrzucił maskę uprzejmego staruszka.

– Dobrze.

Lena ruszyła za nim, ale Jeffrey ją powstrzymał. Pokazał jej kartkę, którą dała mu Marla, upewniwszy się, że Connolly nie widzi starannego jak u nauczycielki szkoły podstawowej, pochylego pisma sekretarki:

– Wezwanie z Cromwell Road 25. Gospodyni informuje o podejrzanym zapachu.

Znaleźli Chipa Donnera.

Przy Cromwell Road 25 wznosił się ładny dom z lat trzydziestych należący do zamożnej rodziny. Z upływem lat duże salony z frontu podzielono na małe pokoje, a górne kondygnacje na klitki dla lokatorów, którym nie przeszkadzało korzystanie z jednej łazienki. Było niewiele miejsc, do których mógł się udać były więzień po wyjściu z zakładu karnego. Jeśli był na zwolnieniu warunkowym, miał ograniczony czas na znalezienie mieszkania i pracy, by kurator nie wpakował go z powrotem za kratki. Pięćdziesiąt dolców, które dawał mu stan przy wyjściu,

nie starczało na długo, więc takie domy jak ten przy Cromwell Road zaspokajały tę konkretną potrzebę.

Jeffrey pomyślał, że sprawa stwarza jego zmysłowi powonienia niepowtarzalną szansę odkrycia wielu różnych nowych doznań. Dom przy Cromwell Road przesiąknięty był zapachem potu i smażonych kurczaków, z niepokojącą nutą gnijącego mięsa dobiegającą z pokoju na górze.

W drzwiach powitała go gospodyni z chusteczką, którą zasłaniała nos i usta. Była to potężna kobieta z obfitymi fałdami skóry zwisającymi na ramionach. Jeffrey starał się nie patrzeć, jak się kołyszą, kiedy się poruszała.

– Nigdy nie sprawiał nam żadnych kłopotów – zapewniła Jeffreya, prowadząc go do środka.

Ciemnozielony dywan na podłodze był niegdyś puszysty, ale teraz wytarty przez stopy, które deptały po nim od lat, i zabrudzony czymś, co wyglądało jak olej silnikowy. Ściany nie były malowane pewnie od czasów, gdy w Białym Domu urzędował Nixon, a na każdej listwie przypodłogowej i w każdym rogu widać było czarne rysy. Stolarka była w swoim czasie olśniewająca, ale rzeźbienia desek zakryło parę warstw farby. W korytarzu wisiał zupełnie niepasujący do tego śliczny żyrandol z rżniętego szkła, który prawdopodobnie był pozostałością pierwotnego wyposażenia domu.

– Słyszała pani coś w nocy? – zapytał Jeffrey, starając się oddychać przez usta i nie wyglądać jak dyszący pies.

– Ani piśnięcia – powiedziała, po czym dodała: – Oprócz telewizora pana Harrisa, który mieszka obok Chipa. – Wskazała na schody. – Ogłuchł w ciągu ostatnich paru lat, ale jest tu najdłużej z nich. Zawsze mówię nowym chłopakom, że jak nie mogą znieść tego hałasu, to niech sobie poszukają miejsca gdzie indziej.

Jeffrey wyrzwał przez drzwi frontowe na ulicę, zastanawiając się, co zatrzymuje Lenę. Wysłał ją po Brada Stephensa, żeby pomógł mu zabezpieczyć miejsce przestępstwa. Brad nadal był w lesie z połową załogi komisariatu, szukając wszelkich podejrzanych śladów.

– Jest tu tylne wejście? – zapytał.

– Przez kuchnię. – Wskazała na tył domu. – Chip trzymał swój samochód pod wiatą – wyjaśniła. – Z podwórka jest przejście prosto na Sanders.

– Sanders to ulica, która biegnie równolegle do Cromwell? – upewnił się Jeffrey, myśląc, że gdyby nawet Marty Lam zgodnie z poleceniem pilnował wejścia frontowego, to nie zobaczyłby, jak Chip wchodzi do domu. Może Marty pomyśli o tym, siedząc na dupie w domu podczas tygodniowego zawieszenia.

– Za skrzyżowaniem z McDougall Broderick skręca do Sanders – powiedziała gospodyni.

– Odwiedzał go ktoś?

– O nie, on trzymał się z dala od innych.

– Jakież telefony?

– W holu jest automat. Nie wolno im korzystać z telefonu domowego. Nieczęsto dzwoni.

– Nie przychodziły jakieś konkretne panie?

Zachichotała, jakby zażenowało ją to pytanie.

– Nie pozwalamy na wizyty żadnych kobiet. Jestem jedyną panią, która może tu przebywać.

– Tak – rzekł Jeffrey. Odwlekał to, co było nieuniknione. – Który pokój jest jego? – zapytał w końcu.

– Pierwszy po lewej. – Wskazała na górę, przy czym zakołysała się jej ramię. – Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, żebym tu została.

Jeffrey westchnął.

– Zaglądała pani do tego pokoju?

– O Boże, nie. – Pokręciła głową. – Zdarzyło się to tutaj już parę razy. Wiem, jak to wygląda, bez przypominania.

– Parę razy? – zapytał Jeffrey.

– No, nie umarli tutaj – wyjaśniła. – Nie, zaraz, jeden umarł. Chyba nazywał się Rutherford. A może Ratherford? – Machnęła ręką. – W każdym razie ten, którego zabrała karetka, był ostatni. To było jakieś osiem, dziesięć lat temu. Miał igłę w ramieniu. Weszłam tam z powodu zapa-

chu. – Ściszyła głos. – Osrał się.

– Uuu...

– Myślałam, że już po nim, ale potem przyjechało pogotowie i zabrali go do szpitala. Powiedzieli, że ma jeszcze szansę.

– A ten drugi?

– Och, pan Schwartz – powiedziała. – Bardzo miły starszy pan. Chyba był Żydem, niech mu ziemia lekka będzie. Umarł we śnie.

– Kiedy to było?

– Żyła jeszcze moja matka, więc musiało to być w tysiąc dziewięćset... – zastanowiła się – chyba w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym.

– Chodzi pani do kościoła?

– Pierwszych baptystów – powiedziała. – Widziałam tam pana?

– Możliwe – odparł, myśląc, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat był w kościele tylko raz, żeby zobaczyć Sarę. W Boże Narodzenie i Wielkanoc sztuka kulinarna Cathy dawała jej możliwość wpływania na córki; Sara na ogół dawała się przekonać, żeby iść w te dni do kościoła, po to by później rozkoszować się znakomitym jedzeniem.

Jeffrey zerknął na strome schody. Perspektywa znalezienia tego, co czekało na niego na górze, nie napawała go entuzjazmem.

– Wkrótce będzie tu moja partnerka. Niech pani jej powie, żeby przyszła na górę, jak tylko tu dotrze – poprosił gospodynię.

– Oczywiście. – Włożyła rękę do kieszeni z przodu sukienki, pogrzebała w niej i po chwili wyjęła klucz.

Jeffrey przemógł się, by wziąć ten ciepły, lekko wilgotny klucz, a potem ruszył po schodach. Poręcz była chwiejna, oderwana w paru miejscach od ściany, a niemalowane drewno miało oleisty połysk.

Im bliżej był szczytu schodów, tym bardziej wzmagał się ten odór i nawet bez wskazówek odnalazłby łatwo ten pokój, kierując się zapachem.

Drzwi były zamknięte od zewnątrz na skobel i kłódkę. Jeffrey włożył lateksowe rękawiczki, żałując jak diabli, że nie zrobił tego, zanim wziął klucz od gospodyni. Kłódka była zardzewiała. Starał się ją otwo-

rzyć, trzymając za krawędzie, żeby nie zatrzeć ewentualnych odcisków palców. Naciskał mocno klucz, mając nadzieję, że nie złamie się w kłódce. Po paru sekundach modlitwy i pocenia się w panującej w domu wilgotnej duchocie usłyszał przyjemne szczęknięcie i kłódka się otworzyła. Dotykając tylko brzegów metalu, zdjął kłódkę ze skobla, po czym nacisnął klamkę.

Pokój wyglądał zupełnie tak, jak można się było spodziewać po zobaczeniu holu wejściowego. Na podłodze leżał taki sam brudny zielony dywan. W oknie wisiała tania roleta, której dolny koniec przyklejony był do parapetu niebieską taśmą klejącą, by do pokoju nie wpadały promienie słońca. Nie było tam łóżka, a jedynie składana kanapa, która była do połowy otwarta, jakby komuś przerwano w trakcie wkładania do niej pościeli. Otwarte były wszystkie szuflady jedynej komódki w pokoju, a ich zawartość rozsypana na dywanie. W rogu leżały szczotka i grzebień oraz stała szklana misa zawierająca około tysiąca jednocentówek; misa była rozbita na pół – monety rozsypane. Na podłodze stały dwie lampy stołowe bez abażurów, obie nietknięte. W pokoju nie było szafy, ale ktoś wbił w ścianę dwa gwoździe, pomiędzy którymi rozciągnął sznur do bielizny, by mieć na czym powiesić koszule. Koszule, nadal na wieszakach, zaścielały podłogę. Jeden koniec sznura był nadal przybity do ściany. Drugi Chip Donner trzymał w martwej dłoni.

Za Jeffreyem Lena postawiła z głuchym stuknięciem kuferek z przyrządami do zabezpieczania śladów na miejscu zbrodni.

– Chyba pokojówka miała wychodne.

Jeffrey słyszał kroki Leny na schodach, ale nie mógł oderwać oczu od ciała. Twarz Chipa wyglądała jak kawał surowego mięsa. Dolna warga była prawie całkowicie oderwana i leżała na lewym policzku, jakby ktoś odsunął ją na bok. Przez dziurki na brodzie wystawały kikuty kilku wybitych zębów. To, co zostało ze szczęki, zwisało krzywo. Jedno oko było zupełnie wklęsnięte, drugi oczodół pusty, a gałka oczna spoczywała na policzku, wisząc na czymś, co wyglądało jak zakrwawione nitki. Donner był bez koszuli, a jego biała skóra niemal lśniła w świetle padającym z korytarza. Przez tors biegło około trzydziestu cienkich, czerwono-

nych cięć, krzyżujących się i tworzących wzór, którego Jeffrey nie mógł rozszyfrować. Z odległości, w której stał, wyglądało to tak, jakby ktoś wziął mazak i narysował na całym tułowiu Donnera idealnie proste linie.

– Kastet – domyśliła się Lena, wskazując na klatkę piersiową i brzuch ofiary. – W akademii policyjnej był trener, który miał taki sam ślad tutaj, na szyi. Zza kubła na śmieci wyskoczył jakiś łobuz i przyłożył mu tym, zanim tamten zdążył wyciągnąć spluwę.

– Nie wiem nawet, czy on ma jeszcze szyję.

– Co, u diabła, sterczy mu z boku? – zapytała Lena. – Chryste – rzekła. – Kogo on, do diabła, tak wkurzył?

Jeffrey przykucnął, żeby mieć lepszy widok, nadal jednak nie przekraczając progu. Zmrużył oczy, starając się zorientować, co widzi.

– Myślę, że to jego zebra.

Sara przeniosła ciężar ciała z jednej nogi na drugą, czując, że zdrętwiały jej stopy. Rozpoczęła sekcję zwłok Charlesa Donnera ponad trzy godziny temu i nadal nie mogła znaleźć nic rozstrzygającego.

Włączyła ponownie dyktafon i powiedziała:

– Pozaotrzewnowe pęknięcie pęcherza spowodowane uderzeniem zadaniem z wielką siłą tępym narzędziem. Nie widać żadnego pęknięcia kości miednicowej. – Zwróciła się do Jeffreya. – Jego pęcherz był pusty. Może Donner był w łazience, zanim poszedł do swojego pokoju.

Jeffrey zapisał coś w notesie. Podobnie jak Sara i Carlos, miał na twarzy maskę chirurgiczną i okulary ochronne. Kiedy Sara weszła do domu na Cromwell, omal nie zakrztusiła się od panującego tam smrodu. Donner najwyraźniej zmarł bardzo niedawno, ale ten zapach dało się łatwo wyjaśnić naukowo. Jelita i żołądek były pęknięte, a ich treść i żółć wypełniły jamę brzuszną i wyciekały przez dziury w boku. Reszty dopełniło gorące powietrze w tym zagraconym pokoju – trzewia ofiary zaczęły się rozkładać jak ropiejąca rana. W wyniku działania bakterii brzuch Donnera był tak obrzęknięty, że kiedy Sara otworzyła go w kostnicy, zawartość chlusnęła aż na podłogę.

– Poprzeczne złamanie mostka, obustronne złamania żeber, pęknięte płuca, powierzchniowe uszkodzenia nerek i śledziony – przerwała, czując się tak, jakby odczytywała listę zakupów. – Lewy płąt wątroby odcięty i zmiażdżony między przednią ścianą brzucha i kręgosłupem.

– Myślisz, że brały w tym udział dwie osoby? – zapytał Jeffrey.

– Nie wiem – odparła. – Na rękach ani na ramionach nie ma żadnych ran, które wskazywałyby na to, że się bronił, ale może to znaczyć tylko tyle, że wzięto go z zaskoczenia.

– Jak mogła to zrobić jedna osoba?

Wiedziała, że nie jest to pytanie filozoficzne.

– Ściana brzucha jest luźna i podatna na ugniatanie. Zwykle, kiedy coś w nią uderzy, łatwo przenosi siłę tego uderzenia na narządy znajdujące się w jamie brzusznej. To jak uderzenie dłonią w powierzchnię wody. W zależności od siły uderzenia, mogą pęknąć narządy, które są puste w środku, takie jak żołądek i jelita, śledziona zostaje rozerwana, wątroba uszkodzona.

– W ten sposób zginął Houdini – powiedział Jeffrey i mimo tych okoliczności uśmiechnęła się na myśl o własnym zamiłowaniu do takich historyjek. – Rzucił wyzwanie całemu światu, ogłaszając, że każdy, kto chce, może go z całej siły uderzyć w brzuch. Jakiś chłopak zaskoczył go, walnął i w konsekwencji zabił.

– To prawda – zgodziła się Sara. – Jeśli napniesz mięśnie brzucha, możesz rozproszyć energię uderzenia. Jeśli nie, możesz dać się zabić. Wątpię, czy Donner miał czas, żeby o tym pomyśleć.

– Możesz już postawić jakąś hipotezę na temat przyczyny śmierci?

Sara spojrzała na zwłoki, na to, co zostało z głowy i szyi.

– Gdybyś mi powiedział, że ten chłopak zginął w wypadku samochodowym, uwierzyłabym ci bez wahania. Nigdy w życiu nie widziałam tak rozległego urazu spowodowanego uderzeniami tęym narzędziem. – Wskazała na miejsca, w których narzędzie starło skórę. – Te rany powstałe w wyniku zerwania skóry, te uszkodzenia narządów wewnętrznych... – Potrząsnęła głową. – Został tak mocno uderzony w pierś, że na tylnej ścianie serca powstał siniec od uderzenia w kręgosłup.

– Jesteś pewna, że stało się to ostatniej nocy?

– Przynajmniej w ciągu ostatnich dwunastu godzin.

– Skonał w tym pokoju?

– Na pewno.

Ciało Donnera zaczęło się rozkładać w sokach jelitowych, wyciekających przez otwartą ranę w jego boku. Kwas z żołądka wyżarł czarne dziury w dywanie. Kiedy Sara i Carlos starali się przesunąć ciało, odkryli, że jest przyklepione do dywanu. Zmuszeni byli rozciąć jego dżinsy i wyciąć kawałek dywanu, do którego się przykleiły, by wynieść go z miejsca zbrodni.

– A więc co było przyczyną śmierci? – zapytał Jeffrey.

– Wybierz dowolny numer – odparła. – Przesunięcie kręgu szczytowego mogło doprowadzić do przecięcia rdzenia kręgowego. Przyspieszenie rotacyjne mogło spowodować krwiaka podtwardówkowego. – Wyliczała możliwości na palcach. – Arytmia serca, przerwanie aorty, zamartwica pourazowa, wylew krwi do płuc. – Przerwała wyliczanie. – Albo mógł to być zwykły wstrząs. Za duży ból, za duży uraz i organizm po prostu się wyłącza.

– Myślisz, że Lena miała rację, mówiąc, że te uderzenia zadano kastetem?

– To ma sens – przyznała. – Nigdy nie widziałam podobnych śladów. Mają odpowiednią szerokość, co wyjaśniałoby, jak ktoś mógł to zrobić pięściami. Urazy zewnętrzne byłyby minimalne, tylko takie, jakie metal spowodował na skórze, ale wewnętrzne są rozległe. – Wskazała na zmasakrowane wnętrzności. – To jest właśnie to, co spodziewałabym się znaleźć.

– Co za okropna śmierć.

– Znalazłeś coś w tym pokoju? – zapytała.

– Żadnych odcisków palców oprócz Donnera i jego gospodyni – odparł, przerzucając kartki w notesie. – Parę torebek, prawdopodobnie heroiny, i kilka igieł schowanych pod siedzeniem kanapy. Około stu docłców w banknotach wepchniętych w podstawę lampy. Parę pism pornograficznych.

– Mniej więcej w porządku – powiedziała, zastanawiając się, kiedy przestała ją dziwić ilość pornografii, którą pochłaniali mężczyźni. Doszło do tego, że jeśli mężczyzna nie miał na podorędziu jakiegoś rodzaju

pornografii, natychmiast stawał się dla niej podejrzany.

– Miał pistolet, dziewięć milimetrów – rzekł Jeffrey.

– Był na zwolnieniu warunkowym? – zapytała Sara, wiedząc, że za złamanie zakazu posiadania broni palnej Donner powędrowałby z powrotem do więzienia, zanim zdążyłby otworzyć usta, by wyjaśnić, skąd ją ma.

Jeffrey zdawał się tym nie przejmować.

– Też miałbym pistolet, gdybym mieszkał w tej dzielnicy.

– Żadnego śladu Rebecki Bennett?

– Nie, jeśli o to chodzi, żadnego śladu tej dziewczyny. Jak powiedziałem, w pokoju były odciski placów tylko dwóch osób.

– To może być podejrzane samo w sobie.

– Właśnie.

– Znalazłeś portfel? – Po rozcięciu džinsów Donnera Sara zauważyła, że ich kieszenie były puste.

– Za komódką znaleźliśmy trochę drobnych luzem i paragon ze sklepu spożywczego za jakieś płatki – powiedział Jeffrey. – Ale portfela nie.

– Pewnie opróżnił kieszenie, kiedy wrócił do domu, poszedł do łazienki, a potem do swojego pokoju, gdzie został znienacka napadnięty.

– Ale przez kogo? – zapytał Jeffrey, zadając to pytanie bardziej sobie niż Sarze. – Mógł to być jakiś diler, którego orznął. Znajomy, który wiedział, że Donner ma prochy, ale nie wiedział, gdzie je trzyma. Złodziej z sąsiedztwa, który szukał forsy.

– Przypuszczam, że barman trzymał gdzieś u siebie gotówkę.

– Nie pobito go po to, by wyciągnąć z niego informacje – rzekł Jeffrey.

Sara przyznała mu rację. Nikt nie przerwał bicia Chipa Donnera, by zapytać go, gdzie trzyma kosztowności.

Jeffrey wydawał się sfrustrowany.

– Mógł to być ktoś związany z Abigail Bennett. Mógł to być ktoś, kto jej nigdy nie spotkał. Nie wiemy nawet, czy tych dwoje coś łączyło.

– Nie wyglądało na to, jakby były tam ślady walki – powiedziała

Sara. – Pokój wyglądał na przetrząśnięty.

– Nie tak znowu przetrząśnięty – zaproponował Jeffrey. – Ten, kto tam czegoś szukał, nie popisał się.

– Ćpun nie potrafi się skupić. – Zaraz sama sobie zaprzeczyła, mówiąc: – Oczywiście nikt naćpany nie miałby wystarczającej koordynacji ruchów, by przeprowadzić taki atak.

– Nawet będąc na PCP?

– Nie pomyślałam o tym – przyznała Sara.

PCP był narkotykiem lotnym i wiadomo było, że osobom, które go zażywają, daje niezwykłą siłę, a także wywołuje sugestywne halucynacje. Kiedy pracowała w Grady Hospital w Atlancie, pewnej nocy podczas dyżuru przyjęła pacjenta, który wyłamał pręt z łóżka, do którego był przykuty, i groził nim osobie z personelu.

– To możliwe – przyznała.

– Może ten, kto go zabił, celowo zrobił taki bałagan w pokoju, żeby wyglądało to na napad rabunkowy.

– Wobec tego musiałyby to być osoba, która przyszła tam specjalnie po to, by go zabić.

– Nie rozumiem, dlaczego nie ma żadnych ran świadczących o tym, że się bronił – powiedział Jeffrey. – Po prostu się położył i poddawał biciu?

– Ma poprzeczne złamanie żuchwy, typu Le Fort III. Widziałam to tylko w podręcznikach.

– Mów po angielsku.

– Ma prawie całkowicie zdarte mięśnie z twarzy – wyjaśniła. – Gdybym miała zgadywać, co się tam wydarzyło, powiedziałabym, że ktoś go całkowicie zaskoczył, walnął w twarz i pozbawił przytomności.

– Jednym uderzeniem?

– To drobny facet – zauważyła. – Pierwsze uderzenie mogło mu przerwać rdzeń kręgowy. Głowa mu odskakuje gwałtownie w bok i to jest to.

– Trzymał się sznura do bielizny – przypomniał jej Jeffrey. – Był owinięty wokół jego dłoni.

– Mógł złapać się go odruchowo, kiedy padał – zbiła jego argument.
– Ale w tym momencie nie można absolutnie powiedzieć, które rany powstały przed, a które po śmierci. Sądzę, że odkryjemy, iż ten, kto to zrobił, wiedział, jak spuścić komuś lanie, i zrobił to szybko i metodycznie, a potem wyszedł.

– Może Donner znał napastnika.

– To możliwe. A co z jego najbliższym sąsiadem? – spytała.

– Ma około czterdziestu lat i jest głuchy jak pień – odparł Jeffrey. – Prawdę mówiąc, sądząc po panującym w jego pokoju zapachu, myślę, że nie opuszcza go nawet po to, żeby iść do łazienki.

Sara pomyślała, że to samo można by powiedzieć o wszystkich mieszkańcach tego domu. Po zaledwie półgodzinnym pobycie w pokoju Donnera czuła się bardzo brudna.

– Czy ostatniej nocy ktoś jeszcze był w domu?

– Na dole była gospodyni, ale ona głośno nastawia telewizor. Mieszka tam jeszcze dwóch innych facetów, ale obaj mają alibi.

– Jesteś pewien?

– Zostali zatrzymani za zakłócanie porządku po pijanemu na godzinę przed tym, co się stało. Przespali się za twoje dolary w areszcie w Grant.

– Cieszę się, że mogę coś dać miejscowej społeczności. – Sara ściągnęła rękawiczki.

Carlos jak zwykle stał obok niej w milczeniu.

– Możesz go zszyć? – zapytała.

– Tak, psze pani – powiedział i podszedł do szafki po odpowiednie materiały.

Sara zdjęła okulary ochronne i czepek, rozkoszując się świeżym powietrzem. Wrzuciła kitel do kosza na brudną odzież i skierowała się do swojego gabinetu.

Jeffrey poszedł za nią.

– Chyba jest już za późno, żebyś pojechała dzisiaj z Tessą do tego kościoła – rzekł.

Zerknęła na zegarek.

– Niezupełnie. Mam jeszcze czas, żeby pobiec do domu i wziąć prysznic.

– Nie chcę, żebyś tam jechała – powiedział, opierając się o jej biurko.

– Nie podobają mi się ci ludzie.

– Widzisz jakiś związek między tym Kościołem i Donnerem?

– Luźny też się liczy?

– Masz na myśli jakąś konkretną osobę, która twoim zdaniem mogła to zrobić?

– Cole Connolly siedział w więzieniu. On wiedziałby, jak spuścić komuś łanie.

– Wydawało mi się, że mówiłeś, że jest stary.

– Jest w lepszej formie niż ja – powiedział Jeffrey. – Ale nie kłamał o tym więzieniu. Choć jego kartoteka jest dość stara, ale pokazuje dwadzieścia jeden lat odsiadki w Atlancie. Do tej kradzieży samochodu, kiedy miał siedemnaście lat, doszło pewnie w latach pięćdziesiątych. Nawet nie było tego w komputerze, a on jednak wspomniał o tym.

– Ale dlaczego miałyby zabić Chipa? Albo Abby, skoro już o tym mowa. I skąd wzięłyby cyjanek?

– Gdybym potrafił odpowiedzieć na te pytania, to pewnie nie byłoby nas tutaj – przyznał. – Co to takiego, co musisz sama sprawdzić?

Pamiętała, co powiedziała mu wcześniej przez telefon, i miała ochotę kopnąć się pod stołem za to, że w ogóle coś powiedziała.

– To po prostu coś głupiego.

– W jakim sensie?

Wstała i zamknęła drzwi, chociaż Carlos był prawdopodobnie najbardziej dyskretną osobą, jaką kiedykolwiek poznała. Znowu usiadła i złożyła ręce na biurku.

– Coś głupiego, co mi przyszło do głowy.

– Nigdy nie przychodzi ci do głowy nic głupiego.

Pomyślała, żeby to sprostować, bo najświeższym przykładem było jej ryzykowne zachowanie tamtej nocy, ale zamiast tego powiedziała:

– Nie chcę teraz o tym mówić.

Wpatrywał się w ścianę za jej plecami, cmokając językiem. Widziała,

że jest zdenerwowany.

– Jeff. – Wzięła jego dłoń w swoje dłonie i przytuliła do piersi. – Obiecuję, że ci powiem, dobrze? Po dzisiejszym wieczorze powiem ci, dlaczego musiałam to zrobić, i oboje będziemy się z tego śmiali.

– Nadal jesteś na mnie wściekła z powodu tego, że spałem na kanapie?

Pokręciła głową, zastanawiając się, dlaczego tego nie odpuści. Kiedy zastała go śpiącego na kanapie, poczuła się zraniona, nie wściekła. Widocznie nie była tak dobrą aktorką, za jaką ją uważał.

– Dlaczego miałabym się za to na ciebie wściekać?

– Po prostu nie rozumiem, dlaczego tak się uparłaś, żeby się zadawać z tymi ludźmi. Biorąc pod uwagę sposób, w jaki została zabita Abigail Bennett, i fakt, że zaginęła inna dziewczyna związana z tą sprawą, uważam, że najlepiej byś zrobiła, trzymając Tessę z dala od nich.

– Nie mogę teraz tego wyjaśnić – powiedziała. – Nie ma to nic wspólnego z tobą ani z nim – machnęła ręką w kierunku prosektorium – ani z tą sprawą, ani z jakimś religijnym nawróceniem się z mojej strony. Obiecuję ci to. Przysięgam.

– Nie lubię być tak wyłączony z twojego życia.

– Wiem, że nie lubisz – powiedziała. – I wiem, że to nie w porządku. Chcę tylko, żebyś mi zaufała, dobrze? Daj mi tylko trochę swobody. – Chciała dodać, że potrzebuje takiej samej swobody, jaką dała jemu ostatniej nocy, ale postanowiła nie wracać już więcej do tego tematu. – Po prostu mi zaufaj.

Patrzył na jej dłonie otaczające jego dłoń.

– Naprawdę mnie niepokoisz, Saro. To mogą być bardzo niebezpieczni ludzie.

– Masz zamiar mi tego zabronić? – Spróbowała się z nim podroczyć: – Nie widzę obrączki na moim palcu, panie Tolliver.

– Faktycznie – powiedział, wysuwając szufladę jej biurka. Przed sekcją zawsze zdejmowała biżuterię i zostawiała ją w gabinecie. Obok pary diamentowych kolczyków, które dał jej w zeszłym roku na Boże Narodzenie, leżał jego sygnet z Auburn.

Podniósł go, a ona wysunęła rękę, żeby mógł włożyć go jej na palec. Myślała, że znowu poprosi ją, żeby tam nie jechała, ale powiedział jej tylko:

– Bądź ostrożna.

Sara zaparkowała przed domem rodziców. Z zaskoczeniem zauważyła, że jej kuzyn Hare stoi oparty o swój kabriolet Jaguara, wystrojony jak model z magazynu „GQ”.

– Cześć, Marchewko – rzucił jej, zanim zdążyła zamknąć drzwi swojego samochodu.

Sara spojrzała na zegarek. Była pięć minut spóźniona na spotkanie z Tessą.

– Co tutaj robisz?

– Mam randkę z Bellą – powiedział, zdejmując okulary przeciwsłoneczne i podchodząc do niej. – Dlaczego drzwi są zamknięte na klucz?

Wzruszyła ramionami.

– Gdzie mama i tata?

Poklepał się po kieszeniach, udając, że ich szuka. Sara bardzo lubiła kuzyna, naprawdę lubiła, ale jego niezdolność do traktowania czegokolwiek poważnie sprawiała, że czasami miała ochotę go udusić.

– Tessa jest w domu? – Zerknęła na pokój nad garażem.

– Ma niewidzialny kostium, jeśli jest – odparł Hare. Włożył z powrotem okulary przeciwsłoneczne i oparł się o jej samochód. Miał na sobie białe spodnie i Sara żałowała przez chwilę, że ojciec umył jej wóz.

– Mamy jechać w jedno miejsce – powiedziała Sara. Nie chcąc znosić jego kpin, nie powiedziała mu gdzie. Znowu spojrzała na zegarek, postanawiając, że da Tessie jeszcze dziesięć minut, po czym wraca do domu. Pójście do kościoła nie podniecało jej zbytnio, a im więcej myślała o obawach Jeffrey'a, tym mocniej zaczynała wierzyć, że to zły pomysł.

Hare zdjął okulary i mrugając rzęsami, zapytał:

– Nie powiesz mi, że ślicznie wyglądam?

Sara nie mogła się powstrzymać, żeby nie wywrócić oczami. Najbardziej nie cierpiała w Hare'emu tego, że nie wystarczało mu, iż sam się wygłupia. Zawsze starał się sprowokować innych do szczeniackich za-

chowań.

– Powiem ci, jeśli ty mi powiesz – zaproponował. – Ty pierwsza.

Sara ubrała się do kościoła, ale nie miała zamiaru chwycić przynęty.

– Rozmawiałam z Jeffreyem – powiedziała, krzyżując ramiona na piersiach.

– Wzięliście już ślub?

– Wiesz, że nie.

– Nie zapomnij, że chcę być druhną.

– Hare...

– Opowiadałem ci ten dowcip, prawda? O krowie dostającej mleko za darmo?

– Krowy nie piją mleka – odparła. – Dlaczego nie powiedziałeś mi, że on mógł się zarazić?

– Była taka przysięga, którą składaliśmy po studiach medycznych – zaczął. – Przysięga... tego, no... Alcybiadesa...

– Hare...

– Nie, Herostratesa...

– Hare – westchnęła Sara.

– Hipokratesa! – krzyknął, pstrykając palcami. – Zastanawiałem się, dlaczego wszyscy musieliśmy tam stać w togach, jedząc kanapki, ale wiesz, że nigdy nie przepuszczam okazji, żeby włożyć sukienkę.

– Od kiedy masz skrupuły?

– Zniknęły, kiedy miałem około trzynastu lat. – Mrugnął do niej. – Pamiętasz, jak próbowałaś je łapać, kiedy braliśmy wspólne kąpiele?

– Mieliśmy po dwa lata, kiedy to robiłam – przypomniała mu, obrzucając go pogardliwym spojrzeniem z góry. – I przychodzi na myśl powiedzenie „igła w stogu siana”.

– Och! – wydyszał, przykładając dłoń do ust.

– Hej! – zawołała Tessa. Szła ulicą z Bellą. – Przepraszam za spóźnienie.

– Nic się nie stało – powiedziała Sara z ulgą i zarazem z rozczarowaniem.

Tessa pocałowała Hare’a w policzek.

– Ślicznie wyglądasz!

– Dziękuję – odpowiedzieli jednomyślnie Hare i Sara.

– Chodźmy do domu – rzekła Bella. – Hare, przynieś mi cołą, proszę. – Pogrzebała w kieszeni i wyjęła klucz. – A mój szal wisi na oparciu fotela.

– Tak, proszę pani – powiedział, biegnąc szybko w stronę domu.

– Jesteśmy już spóźnione – rzekła Sara do Tessy. – Może powinniśmy...

– Daj mi chwilę, żebym mogła się przebrać – powiedziała Tessa, pędząc po schodach do swojego pokoju, zanim Sara zdążyła się elegancko wycofać.

Bella objęła Sarę za ramię.

– Wyglądasz, jakbyś miała zasłabnąć.

– Miałam nadzieję, że Tessa to zauważy.

– Pewnie zauważyła, ale jest za bardzo podekscytowana tym, że z nią jedziesz, by pozwolić, żeby weszło jej to w paradę. – Bella usiadła na schodach i oparła się o poręcz.

Sara dołączyła do ciotki.

– Nie rozumiem, dlaczego ona chce, żebym z nią pojechała.

– To dla niej coś nowego – rzekła Bella. – Chce się tym podzielić.

Sara odchyliła się do tyłu i oparła na łokciach, żałując, że Tessa nie znalazła czegoś ciekawszego, żeby się z nią podzielić. Na przykład w kinie w centrum był przegląd filmów Hitchcocka. Zawsze też mogły się nauczyć szydełkowania.

– Bello – zapytała Sara. – Dlaczego tu jesteś?

Bella także odchyliła się do tyłu.

– Zrobiłam z siebie idiotkę z powodu miłości.

Gdyby to powiedział ktoś inny, Sara roześmiałaby się, ale wiedziała, że w kwestii romansów Bella była szczególnie wrażliwa.

– Miał pięćdziesiąt dwa lata – powiedziała Bella. – Mógłby być moim synem!

Sara uniosła brwi na wieść o takim skandalu.

– Zostawił mnie dla czterdziestoletniej cipki – powiedziała ze

smutkiem Bella. – Rudej. – Mina Sary musiała wyrażać pewnego rodzaju solidarność, bo Bella dodała: – Nie takiej jak ty. – Potem, żeby to dobitniej zaakcentować: – Dywan nie bardzo pasował do zasłon. – Spojrzała tęsknie na drogę: – Ale był niezłym facetem. Bardzo czarującym. Eleganckim.

– Przykro mi, że go straciłaś.

– Najgorsze jest to, że rzuciłam mu się do nóg – wyznała Bella. – Co innego zostać porzuconym, a co innego błagać o jeszcze jedną szansę i dostać w twarz.

– On chyba...

– Och, dobry Boże, oczywiście, że nie. – Bella roześmiała się. – Niech Bóg ma w opiece zbłąkaną duszę, która ośmieliłaby się podnieść rękę na twoją ciotkę Bellę.

Sara się uśmiechnęła.

– Powinnaś potraktować to jako nauczkę – przestrzegła ją starsza kobieta. – Kosza można dostać tylko parę razy.

Sara zagryzła usta, myśląc, że zaczyna ją już męczyć to ciągle gadanie o tym, że powinna wyjść za Jeffrey'a.

– Jak będziesz w moim wieku – kontynuowała Bella – to sama się przekonasz, że liczą się inne rzeczy niż wtedy, kiedy byłaś młoda i niezaangażowana emocjonalnie.

– Na przykład co?

– Na przykład towarzystwo. Na przykład rozmowy o literaturze, teatrze i bieżących wydarzeniach. Na przykład to, że masz koło siebie kogoś, kto cię rozumie, przeszedł przez to samo co ty i wyszedł z tego dużo mądrzejszy.

Wyczuwała smutek ciotki, ale nie wiedziała, jak go rozproszyć.

– Przykro mi, Bello.

– Cóż. – Bella poklepała Sarę po nodze. – Nie martw się o swoją ciotkę Bellę. Była już w gorszych tarapatkach, ja ci mówię. Odrzucona jak pudełko zużytych kredek – mrugnęła do niej – ale zawsze udawało mi się zachować te same żywe kolory. – Zasznurowała usta, przyglądając się badawczo Sarze, jakby po raz pierwszy ją zobaczyła. – Co ci chodzi po

głowie, kotku?

Sara wołała nie kłamać.

– Gdzie jest mama?

– Na zebraniu Ligi Głosujących Kobiet – powiedziała Bella. – Nie wiem, gdzie poszedł ten twój ojciec. Pewnie do Gofrowni głądzić o polityce z innymi starcami.

Sara wzięła głęboki oddech, myśląc, że teraz nadeszła dobra pora.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Wal.

Sara odwróciła się do niej twarzą, zniżając głos na wypadek, gdyby Tessa miała otwarte okna albo podkradł się do nich Hare.

– Wspomniałaś jakiś czas temu, że tata wybaczył mamie, kiedy go oszukała.

– To ich sprawa. – Bella obrzuciła ją nieufnym spojrzeniem.

– Wiem – zgodziła się Sara. – Ja tylko... – Zdecydowała się powiedzieć prosto z mostu. – To był Thomas Ward, prawda? Zainteresowała się Thomasem Wardem.

Bella zastanawiała się chwilę, po czym kiwnęła głową. Ku zaskoczeniu Sary powiedziała:

– Był najlepszym przyjacielem twojego ojca od czasów szkolnych.

Sara nie mogła sobie przypomnieć, by Eddie kiedykolwiek wspomniał o tym człowieku, chociaż biorąc pod uwagę okoliczności, było to zrozumiałe.

– Stracił przez to najlepszego przyjaciela. Myślę, że bolało go to tak samo jak możliwość utraty twojej matki.

– Tym człowiekiem, który jest przywódcą Kościoła, którym tak się ekscytuje Tessa, jest Thomas Ward.

Bella ponownie skinęła głową.

– Wiedziałam o tym.

– Chodzi o to, że... – zaczęła Sara, zastanawiając się, jakich użyć słów. – On ma syna.

– Przypuszczam, że nawet kilku. I parę córek.

– Tessa mówi, że on jest do mnie podobny.

– Co ty mówisz? – Brwi Belli podskoczyły w górę.

– Boję się powiedzieć cokolwiek.

Nad ich głowami otworzyły się i trzasnęły drzwi Tessy. Słysząc było jej szybkie kroki na schodach. Sara niemal czuła jej podniecenie.

– Złotko – powiedziała Bella, kładąc dłoń na jej kolanie. – To, że siedzisz w kurniku, nie czyni z ciebie kury.

– Bello...

– Gotowa? – zapytała Tessa.

– Bawcie się dobrze – rzekła Bella. Wstając, oparła się mocno o ramię Sary. – Zostawię światło.

Kościół był zupełnie inny, niż Sara się spodziewała. Usytuowany na skraju farmy przypominał stare kościoły z Południa z ilustracji, które widziała w historyjkach dla dzieci, kiedy była mała. W przeciwieństwie do wielkich, ozdobnych budowli, uświetniających Main Street w Heartsdale, ich witraży ożywiających swoimi barwami środek miasta, Kościół Większego Dobra niewiele różnił się od zwykłego drewnianego domu, o ścianach pomalowanych na biało i drzwiach bardzo podobnych do drzwi frontowych jej własnego domu. Nie byłaby zdziwiona, gdyby miejsce to nadal oświetlano świecami.

To, co było wewnątrz, to już zupełnie inna historia. Szerokie przejście w głównej nawie wysłane było czerwonym chodnikiem, po którego obu stronach stały jak strażnicy drewniane ławy w stylu shakerystów. Drewno było bejcowane i na ślimakowato wygiętych oparciach, w miejscach, gdzie były ręczne rzeźbienia, Sara widziała słoje i sęki. Z sufitu zwisało kilka dużych żyrandoli. Kazalnica wykonana była z mahoni i robiła duże wrażenie, a krzyż w prezbiterium wyglądał, jakby został przeniesiony z góry Synaj. A jednak widziała kościoły o bardziej ozdobnych wnętrzach, w których bogactwo bardziej rzucało się w oczy. W samym projekcie tego wnętrza było coś niemal podnoszącego na duchu, jakby architekt miał pewność, że uwaga zebranych nie będzie się skupiać na budynku, ale raczej na tym, co się w nim dzieje.

Kiedy wchodziły do kościoła, Tessa wzięła Sarę za rękę.

– Miło, hę?

Sara kiwnęła głową.

– Tak się cieszę, że jesteś tu ze mną.

– Mam nadzieję, że cię nie rozczaruję.

Tessa ścisnęła jej dłoń.

– Jak mogłabyś mnie rozczarować? – zapytała, prowadząc Sarę do drzwi za kazalnica. – Zaczyna się w sali braterstwa, a potem wchodzimy tu na nabożeństwo.

Tessa otworzyła drzwi, ukazując dużą, jasno oświetloną salę. Pośrodku stał długi stół, a przy nim dość krzeseł, by posadzić co najmniej pięćdziesiąt osób. Świeczniki były zapalone, a płomyki świec łagodnie się chygotały. Przy stole siedziała garstka osób, ale większość obecnych stała koło ognia buzującego z tyłu sali. Na stoliku do kart pod dużym oknem stał termos z kawą, a obok niego leżało coś, co wyglądało na te osławione ciasteczka miodowe, o których mówiła Tessa.

Przygotowując się na dzisiejszy wieczór, Sara poszła na wielkie ustępstwo i włożyła rajstopy, ponieważ kiedy się zastanawiała, w co się ubrać, przypomniały jej się pouczenia matki sprzed wielu lat o związku między gołymi nogami w kościele i pójściem do piekła. Teraz, patrząc na tłum, zobaczyła, że mogła sobie oszczędzić tego kłopotu. Większość była w dzinsach. Kilka kobiet przywdziało spódnice, ale były one domowej roboty, jak ta, którą miała na sobie Abigail Bennett.

– Chodź, poznasz Thomasa – powiedziała Tessa, ciągnąc ją na przód stołu. Siedział tam w fotelu na kółkach starzec, a po obu jego stronach stały kobiety.

– Thomas – powiedziała Tessa, pochylając się i kładąc dłoń na jego dłoni. – To moja siostra Sara.

Jego twarz była z jednej strony zwiotczała, usta lekko rozchylone, ale kiedy spojrział na Sarę, w jego oczach błysnęła iskra zadowolenia. Kiedy przemówił, jego usta poruszały się z wielkim trudem, ale Sara i tak nie zrozumiała ani słowa.

Jedna ze stojących przy nim kobiet przetłumaczyła:

– Mówi, że ma pani oczy po matce.

Sara nie sądziła, że ma cokolwiek po matce, ale uśmiechnęła się

uprzejmie.

– Zna pan moją matkę?

Thomas odpowiedział uśmiechem, a kobieta powiedziała:

– Cathy była tutaj wczoraj, ze wspaniałym tortem czekoladowym. – Poklepała go po ręku, jakby był dzieckiem. – Prawda, tato?

– O! – wykrztusiła Sara.

Jeśli Tessa była zaskoczona, to nic po sobie nie pokazała.

– Tam jest Lev – powiedziała do Sary. – Zaraz wrócę.

Sara stała ze złożonymi z przodu rękami, zastanawiając się, co, do diabła, chciała osiągnąć, przyjeżdżając tutaj.

– Jestem Mary – przedstawiła się kobieta, która tłumaczyła słowa Thomasa. – To moja siostra Esther.

– Pani Bennett – powiedziała Sara, zwracając się do Esther – przykro mi z powodu straty, której pani doznała.

– To pani znalazła naszą Abby – uświadomiła sobie kobieta. Nie patrzyła prosto na Sarę, ale gdzieś nad jej ramieniem. Po paru sekundach skupiła na niej ponownie wzrok. – Dziękuję, że się pani nią zajęła.

– Żałuję, że nie mogłam zrobić nic więcej.

Usta Esther zadrżały. Chociaż były do siebie zupełnie niepodobne, przypominała Sarze jej matkę. Miała w sobie spokój Cathy, tę spokojną pewność, która bierze się ze ślepej wiary.

– Pani i pani mąż jesteście bardzo mili – powiedziała Esther.

– Jeffrey robi, co może – rzekła Sara, nie wiedząc, czy wspomnieć o Rebecce albo o spotkaniu Esther z Jeffreyem w restauracji.

– Dziękuję pani – przerwał im wysoki, dobrze ubrany mężczyzna. Znalazł się obok Sary tak cicho, że go nie zauważyła. – Jestem Paul Ward. – Poznałaby, że jest prawnikiem, nawet gdyby Jeffrey jej o tym nie mówił. – Jestem wujkiem Abby. To znaczy jednym z wujków.

– Miło mi pana poznać – powiedziała Sara, myśląc, że pasuje do tego towarzystwa jak pięść do nosa. Niezbyt znała się na modzie, ale mogłaby przysiąc, że garnitur, który miał na sobie, musiał sporo kosztować. Leżał na nim jak druga skóra.

– Cole Connolly – powiedział mężczyzna stojący obok niego. Był

dużo niższy od Paula i pewnie ze trzydzieści lat starszy, ale promieniowała od niego taka energia, że Sara natychmiast przypomniała sobie, co jej matka zawsze mówiła o tych, których przenika Duch Boży. Przypomniała sobie też to, co mówił o tym człowieku Jeffrey. Connolly wyglądał na nieszkodliwego faceta, ale Jeffrey rzadko się mylił w ocenie ludzi.

– Może zajrzałybyś do Rachel? – zwrócił się Paul do Esther.

Esther zdawała się wahać, ale w końcu przystała na to.

– Jeszcze raz dziękuję, pani doktor – powiedziała do Sary, po czym odeszła.

Ni z tego, ni z owego Paul rzekł do Sary:

– Lesley, moja żona, nie mogła dzisiaj przyjść. Została w domu z jednym z naszych chłopców.

– Mam nadzieję, że nie jest chory.

– Normalne sprawy – powiedział. – Na pewno wie pani, o czym mówię.

– Wiem – odparła, zastanawiając się, dlaczego czuje się tak, jakby musiała zachowywać czujność w obecności tego człowieka. Na pozór wyglądał na diakona w tym kościele – i prawdopodobnie nim był – ale Sarze nie podobał się zażyły ton, którym do niej mówił, jakby wiedząc, jaki wykonuje zawód, wiedział również coś o niej.

Paul postawił kropkę nad „i”.

– Pani jest koronerem okręgowym?

– Tak.

– Jutro jest nabożeństwo za Abby. – Ściszył głos: – Pozostaje sprawa świadectwa zgonu.

Sara czuła się nieco wstrząśnięta tym, że był na tyle bezczelny, by ją o to pytać, ale powiedziała:

– Jutro wyślę parę odpisów do domu pogrzebowego.

– Zakład Brocka – wymienił nazwę firmy pogrzebowej w Grant. – Byłbym zobowiązany, gdyby pani to zrobiła.

Connolly chrząknął z zakłopotaniem.

– Paul – szepnęła Mary, wskazując ich ojca. Ich rozmowa wyraźnie zaniepokoiła starca. Poruszył się na fotelu, odwracając głowę w bok.

Sara nie była pewna, czy widzi łzy w jego oczach.

– To zwykła sprawa urzędowa – wyjaśnił Paul. Szybko zmienił temat. – Wie pani, doktor Linton, głosowałem parę razy na panią. – Posada koronera była obieralna, ale Sarze bynajmniej nie pochlebilo jego wyznanie, od dwunastu lat bowiem ubiegała się o nią, nie mając żadnych rywali.

– Mieszka pan w Grant? – zapytała.

– Tata mieszkał – odparł, kładąc dłoń na ramieniu starca. – Nad jeziorem.

Sara poczuła, że ma ściśnięte gardło. Blisko jej rodziców.

– Moja rodzina przeprowadziła się tutaj parę lat temu – powiedział Paul. – Nigdy nie zawracałem sobie głowy zmianą zameldowania.

– Wie pani – odezwała się Mary – myślę, że Ken też tego nie zrobił. Ken jest mężem Rachel – wyjaśniła. – Jest tu gdzieś. – Wskazała na okrągłego faceta, wyglądającego jak Święty Mikołaj, który rozmawiał z grupą młodzieży. – To on.

– Aha. – Tylko tyle zdołała wydusić z siebie Sara. Otaczająca go młodzież składała się głównie z dziewcząt, ubranych tak, jak ubrana była Abby. Wszystkie były mniej więcej w jej wieku. Obiegła wzrokiem resztę sali, myśląc, że jest tam dużo młodych kobiet. Starannie unikała Cole'a Connolly'ego, ale doskonale zdawała sobie sprawę z jego obecności. Wydawał się normalny, ale jak miał wyglądać człowiek, który zakopał i otruił młodą dziewczynę, może kilka dziewczyn? Przecież nie miał długich kłów i rogów.

Thomas coś powiedział i Sara zmusiła się, by ponownie skierować uwagę na rozmowę. I znowu słowa ojca przetłumaczyła Mary:

– Mówi, że on też na panią głosował. Dobry Boże, tato. Nie mogę uwierzyć, że żaden z was nie zmienił zameldowania. To jest na pewno niezgodne z prawem. Cole, musisz przypilnować, żeby to zrobili.

Cole miał skruszoną minę.

– Ja jestem zameldowany w Catoogah.

– A ty nadal w Grant, Lev? – zapytała Mary.

Sara odwróciła się i wpadła na potężnego mężczyznę, który trzymał

na rękach dziecko.

– Oj – rzekł Lev, ujmując ją za łokieć. Był wyższy od niej, ale miał takie same zielone oczy i ciemnorude włosy jak ona.

– Pan jest Lev – zdołała z siebie wydusić.

– To moja wina – powiedział, rozchylając usta w uśmiechu i pokazując idealnie białe zęby.

Zwykle Sara nie była mściwą osobą, ale chciała usunąć ten uśmiech z jego twarzy. Wybrała chyba najbardziej niestosowny sposób:

– Przykro mi z powodu pana siostrzenicy.

Uśmiech natychmiast zniknął.

– Dziękuję. – Jego oczy zwilgotniały, uśmiechnął się do syna i odepchnął te emocje niemal tak szybko, jak się pojawiły. – Dzisiejszego wieczoru zebraliśmy się, by świętować życie – powiedział. – Jesteśmy tutaj po to, by wznieść nasz głos i pokazać, że radujemy się w Panu.

– Amen – powiedziała Mary, podkreślając to klepieniem dłoni w poręcz fotela ojca.

– To mój syn, Zeke – powiedział Lev.

Sara uśmiechnęła się do dziecka, myśląc, że Tessa miała rację, że jest to chyba najcudowniejszy chłopczyk, jakiego widziała. Był trochę mały jak na pięciolatka, ale widząc jego duże dłonie i stopy, wiedziała, że wkrótce zaczną rosnąć jak na drożdżach.

– Miło mi cię poznać, Zeke – powiedziała.

Pod czujnym okiem ojca chłopiec wyciągnął rękę do Sary. Ujęła jego palce, czując natychmiast, że łączy ich obopólna sympatia.

– Moja radość i duma – powiedział Lev, pocierając jego plecy z miną, która bezsprzecznie świadczyła, że jest szczęśliwy.

Sara mogła tylko skinąć głową. Zeke ziewnął tak szeroko, że widać było jego migdałki.

– Jesteś śpiący? – zapytała.

– Tak, psze pani – odparł.

– Jest zupełnie wykończony – usprawiedliwił go Lev. Postawił chłopca na podłodze i powiedział: – Idź poszukać cioci Esther i powiedz, że jesteś gotowy, żeby iść spać. – Pocałował go w czubek głowy,

a potem pogonił klepieniem w pupę.

– To trudne dni dla nas wszystkich – rzekł Lev do Sary. Czowała jego żal i smutek, ale zastanawiała się, czy nie robi tego na pokaz, wiedząc, że powie o tym Jeffreyowi.

– Pociesza nas myśl o tym, że ona jest w lepszym miejscu – powiedziała Mary.

Lev zmarszczył brwi, jakby nie rozumiał, o czym mówi jego siostra, ale szybko się pozbierał.

– Tak, tak. To prawda – potwierdził.

Z jego reakcji Sara zorientowała się, że słowa siostry go zaskoczyły. Zastanawiała się, czy mówiąc to, myślał o Rebecce, a nie o Abby, ale nie mogła go o to zapytać bez ujawnienia tego, co zrobiła Esther.

Po drugiej stronie sali zobaczyła Tessę. Odwijiała miodowe ciastko, rozmawiając z młodym mężczyzną o długich włosach zaczesanych w kucyk. Gdy Tessa zobaczyła, że Sara na nią patrzy, przeprosiła rozmówcę i skierowała się w jej stronę. Mijając Zeke'a, pogładziła go po głowie. Sara jeszcze nigdy nie uradowała się tak na widok siostry – dopóki ta nie otworzyła ust.

– Jesteś do niego bardziej podobna niż do mnie – powiedziała, wskazując na Leva.

Roześmiali się, a Sara udawała, jak mogła, że się do nich przyłącza. Zarówno Lev, jak i Paul byli od niej wyżsi, a Mary i Esther dorównywały jej wzrostem. Przynajmniej raz Tessa była jedyną osobą, której wzrost sprawiał, że wydawała się nie pasować do towarzystwa. Sara tylko kilka razy w życiu czuła się bardziej nieswojo.

– Pamiętasz mnie, prawda? – zapytał Lev.

Sara rozejrzała się po sali, zawstydzona, że nie może sobie przypomnieć chłopca, którego poznała przed ponad trzydziestu laty.

– Przykro mi, ale nie pamiętam.

– Szkoła niedzielna – powiedział. – To była pani Dugdale, tato? – Thomas skinął głową, a prawa strona jego twarzy ułożyła się w kształt uśmiechu. – To ty stale zadawałaś te wszystkie pytania – powiedział Lev. – Chciałem ci zakleić usta, bo po czytaniu wersetów z Biblii mieli-

śmy mieć przerwę, a ty cały czas podnosiłaś rękę i zadawałaś różne pytania.

– Tak było – powiedziała Tessa. Jadła sobie spokojnie ciastko na miodzie, zachowując się tak, jakby miała wszystko w nosie, jakby guzik ją obchodziło, że jej matka miała romans z mężczyzną siedzącym obok niej w fotelu na kółkach, z mężczyzną, który spłodził dziecko wyglądające prawie tak jak Sara, prawie tak samo jak Sara.

Lev zwrócił się do ojca:

– Była tam taka historyjka z rysunkiem przedstawiającym Adama i Ewę i ona stale pytała: „Pani Dugdale, jeśli Adama i Ewę stworzył Bóg, to dlaczego oni mają pępki?”.

Thomas zaniósł się czymś, co było niewątpliwie śmiechem, do którego przyłączył się jego syn. Sara widocznie przyzwyczała się do wymowy Thomasa, bo doskonale go rozumiała, gdy powiedział:

– To zasadne pytanie.

– Nie wiem, dlaczego nie powiedziała ci po prostu, że to wyobrażenie artysty, a nie rysunek z natury.

Sara pamiętała niewiele ponad to, że pani Dugdale była zawsze radosna, ale przypomniała sobie coś jeszcze.

– Zdaje się, że odpowiedziała mi, że trzeba mieć wiarę.

– Oho – rzekł z zadumą Lev. – Wyczuwam pogardę naukowca dla religii.

– Przepraszam – powiedziała Sara. Na pewno nie przyjechała tu po to, żeby kogokolwiek obrażać.

– Religia bez nauki jest ślepa – zacytował Lev.

– Zapomniałeś o pierwszej części – zauważyła. – Einstein powiedział też, że nauka bez religii jest ułomna.

Brwi Leva podskoczyły do góry.

– I powiedział też, że powinniśmy szukać tego, co jest, a nie tego, co myślimy, że powinno być. – Sara nie mogła się powstrzymać, żeby tego nie dodać.

– Wszystkie teorie są z natury rzeczy nieudowodnionymi koncepcjami.

Thomas znowu się roześmiał, najwyraźniej dobrze się bawił. Sara poczuła zażenowanie, jakby przyłapano ją na popisywaniu się.

Lev starał się podtrzymać jej zaangażowanie w dyskusję.

– To ciekawa dychotomia, prawda?

– Nie wiem – mruknęła. Nie miała zamiaru wchodzić w filozoficzny spór z tym mężczyzną przed całą jego rodziną, stojąc w zakrystii kościoła, który jego ojciec prawdopodobnie zbudował własnymi rękami. Nie chciała też stwarzać złego klimatu dla Tessy.

Lev zdawał się nie zwracać na to uwagi.

– Kura czy jajko? – zapytał. – Czy Bóg stworzył człowieka, czy człowiek stworzył Boga?

Starając się nie dać wciągnąć w tę dyskusję, Sara postanowiła powiedzieć coś, co zawsze chciała usłyszeć:

– Religia odgrywa w społeczeństwie ważną rolę.

– O tak – zgodził się z nią Lev i nie mogła się zorientować, czy się z nią drażni, czy kpi. Tak czy inaczej była poirytowana.

– Religia daje poczucie wspólnoty – powiedziała. – Tworzy grupy, rodziny, z których powstają społeczeństwa mające wspólne wartości i cele. Społeczeństwom tym powodzi się lepiej niż grupom bez religii. Przekazują ten imperatyw dzieciom, dzieci swoim dzieciom i tak dalej.

– Gen Boga – podsunął Lev.

– Przypuszczam – przyznała, szczerze żałując, że dała się w to wciągnąć.

Nagle odezwał się Connolly, wściekleszy niż mogła sobie wyobrazić:

– Młoda damo, albo jest pani po prawicy Boga, albo nie.

– Ja tylko... – Sara splonęła rumieńcem, słysząc jego ton.

– Albo się wierzy, albo nie – rzekł z naciskiem Connolly. Wziął do ręki Biblię, która leżała na stole: – Współczuję niewiernym, albowiem czeka ich wieczność w ogniu piekła – wyrecytował podniesionym głosem.

– Amen – mruknęła Mary, ale Sara nie spuszczała wzroku z Connolly'ego. W mgnieniu oka przeistoczył się w człowieka, przed którym

ostrzegając ją Jeffrey, podjęła więc starania, by go udobruchać.

– Przepraszam, jeśli...

– Dość tego, Cole – przerwał jej Lev kpiącym tonem, jakby Connolly był bezzębnym tygrysem. – Tylko sobie tak żartujemy.

– Religia nie jest tematem do żartów – zaproponował Connolly, a żyły na jego szyi nabrzmiały. – Pani, młoda damo, niech pani nie igra z życiem ludzi! Mówimy tu o zbawieniu! O życiu i śmierci!

– Daj spokój, Cole – powiedziała Tessa, starając się załagodzić sytuację. Sara na pewno sama by sobie poradziła, ale ucieszyła się ze wsparcia siostry, zwłaszcza że nie miała pojęcia, do czego zdolny jest Connolly.

– To nasz gość, Cole. – Ton Leva był nadal uprzejmy, ale pobrzmiwało w nim coś – nie tyle groźba, ile powaga autorytetu, którym cieszył się w tym miejscu. – Gość, który ma prawo do swojego zdania tak samo jak ty.

W tym momencie odezwał się Thomas Ward, ale Sara zrozumiała tylko parę słów. Mówił coś o tym, że Bóg błogosławi człowieka, który ma swobodę wyboru.

Widziała, że Connolly z trudem powściąga przepelniającą go złość.

– Zobaczę, czy nie trzeba pomóc Rachel – rzucił i odszedł jak burza, z opuszczonymi rękami i zaciśniętymi pięściami.

Sara patrzyła na jego szerokie ramiona i muskularne barki. Pomyślała, że mimo swojego wieku Cole Connolly mógłby sobie łatwo poradzić z połową mężczyzn w tym pomieszczeniu.

Lev odprowadził go wzrokiem. Nie знаła tego kaznodziei na tyle dobrze, by się zorientować, czy jest rozbawiony czy zirytowany, ale wydawało się, że mówi szczerze, gdy rzekł:

– Przepraszam za to.

– O co właściwie poszło? – zapytała Tessa. – Nigdy jeszcze nie widziałam go tak zdenerwowanego.

– Strata Abby bardzo nas przygnębiła – powiedział Lev. – Każdy z nas radzi sobie z żalem na swój sposób.

Sara po chwili odzyskała głos.

– Przepraszam, że go zdenerwowałam.

– Nie musisz przepraszać – rzekł Lev, a Thomas wydał dźwięk aprobaty.

– Cole jest z innego pokolenia – ciągnął Lev. – Nie jest zdolny do introspekcji. – Uśmiechnął się szeroko. – Starość powinna się wypalić i wyszumieć u schyłku dnia...

– Wściekłość, wściekłość na umieranie światła – dokończyła Tessa.

Sara nie wiedziała, co nią bardziej wstrząsnęło – napad złości Connolly'ego czy to, że jej siostra zacytowała Dylana Thomasa. W oczach siostry zobaczyła iskierki i w końcu zrozumiała przyczynę jej nawrócenia. Tessa zadurzyła się w pastora.

– Przepraszam, że cię zdenerwował – powiedział Lev do Sary.

– Nie jestem zdenerwowana – skłamała Sara. Starła się powiedzieć to tak, by zabrzmiało przekonująco, ale Lev wyglądał na zmartwionego tym, że obrażono jego gościa.

– Problem z religią polega na tym – zaczął Lev – że zawsze dochodzisz do punktu, w którym nie można odpowiedzieć na pytania.

– Wiara – usłyszała Sara swój głos.

– Tak. – Uśmiechnął się i nie wiedziała, czy się z nią zgadza czy nie.

– Podniósł brew, patrząc na ojca. – Wiara to trudna propozycja.

Sara musiała wyglądać na tak złą, jak się czuła, bo Paul powiedział:

– Bracie, to naprawdę dziwne, że nie udało ci się drugi raz ożenić, skoro masz takie podejście do kobiet.

Thomas znowu się roześmiał, a po jego brodzie ściekła strużka śliny, którą Mary szybko starła. Przemówił z widocznym wysiłkiem; to, co miał do powiedzenia, nie było bynajmniej krótkie, ale Sara znowu nie zrozumiała ani słowa.

Zamiast przetłumaczyć, Mary powiedziała z naganą:

– Tato.

Wyreńczył ją Lev.

– Powiedział, że gdybyś była o trzydzieści centymetrów niższa i trochę mniej poirytowana, byłabyś wykapaną matką.

Tessa roześmiała się razem z nim.

– To miłe, że czasami przypną się dla odmiany do kogoś innego. – Zwróciła się do Thomasa: – Ludzie zawsze mówią, że jestem podobna do mamy, a Sara do listonosza.

Sara nie była pewna, ale wydawało się jej, że Thomas uśmiechnął się z pewną rezerwą.

– Niestety, jedyną rzeczą, którą ja odziedziczyłem po tacie, jest ośli upór – powiedział Lev.

Cała rodzina roześmiała się dobrodusznie.

Lev zerknął na zegarek.

– Za parę minut zaczynamy. Saro, nie masz nic przeciwko temu, żeby stanąć ze mną na przedzie?

Otworzył drzwi kaplicy i przytrzymał je przed nią, a potem cicho je zamknął. Trzymał rękę na klamce, jakby chciał mieć pewność, że nikt za nimi nie wejdzie.

– Postuchaj – powiedział – przepraszam, jeśli za bardzo na ciebie wsiadłem.

– Nie wsiadłeś – odparła.

– Brakuje mi teologicznych dyskusji z ojcem – wyjaśnił. – Jak widziałś, ma kłopoty z mówieniem, a ja... mogłem się trochę zagalopować. Chcę cię przeprosić.

– Nie jestem obrażona – powiedziała.

– Cole bywa trochę drażliwy – ciągnął. – On widzi wszystko w czarno-białych kolorach.

– Zorientowałam się.

– Ludzie są różni. – Lev pokazał zęby w uśmiechu. – Żyłem przez parę lat w świecie naukowców. Psychologia. – Wydawał się niemal zażenowany. – Osoby z wyższym wykształceniem mają skłonność do traktowania każdego, kto wierzy w Boga, jako głupiego albo naiwnego.

– Nie miałam najmniejszego zamiaru sprawiać wrażenia, że uważam cię za kogoś takiego.

Przyjął spokojnie ten prztyczek i oddał jej pięknym za nadobne:

– Jak rozumiem, Cathy jest bardzo religijna.

– Owszem – powiedziała Sara, myśląc, że nie chce, żeby ten czło-

wiek choćby myślał o jej matce, nie mówiąc już o tym, by wymieniał jej imię. – Jest jedną z najinteligentniejszych osób, jakie znam.

– Moja matka zmarła krótko po moich narodzinach. Nigdy nie miałem przyjemności jej poznać.

– Przykro mi to słyszeć – powiedziała Sara.

Lev popatrzył na nią, a potem skinął głową, jakby podjął jakąś decyzję. Gdyby nie byli w kościele i gdyby nie miał złotego krzyżyka wpiętego w klapę marynarki, przysięgłaby, że z nią flirtuje.

– Twój mąż jest szczęściarzem – powiedział.

– Dziękuję – odrzekła Sara, zamiast go poprawić.

Kiedy Sara wróciła do domu, Jeffrey leżał w łóżku, czytając Andersonville. Tak się ucieszyła, że tam jest, iż przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Zamknął książkę, zaznaczając palcem miejsce, w którym skończył.

– No i jak było?

– Tessa była szczęśliwa. – Wzruszyła ramionami.

Rozpięła bluzkę i spódnicę. Rajstopy zostały na podłodze samochodu, gdzie je położyła, zdjawszy w drodze do domu.

– Widziałaś księżyc? – zapytał i musiała chwilę pomyśleć, zanim zrozumiała, co ma na myśli.

– Och. – Wyjrzała przez okno sypialni. Na tafli jeziora widniało prawie idealne odbicie księżyca w pełni. – Jest wspaniały.

– Nadal żadnej wieści o Rebecce Bennett.

– Rozmawiałam dzisiaj z jej matką – powiedziała Sara. – Bardzo się martwi.

– Ja też.

– Myślisz, że coś jej grozi?

– Myślę, że nie będę dobrze spał, dopóki się nie dowiemy, gdzie ona jest.

– Poszukiwania w lesie nic nie dały?

– Nie – potwierdził. – Frank nic nie znalazł u jubilerów. Nadal nie mamy odpowiedzi z laboratorium w kwestii grupy krwi z tej drugiej skrzyni.

– Ron musiał być bardzo zajęty – powiedziała, myśląc, że to dziwne, iż patolog nie zrobił tego, co obiecał zrobić. – Musieli mieć nawał pracy albo coś takiego.

– Coś się dzisiaj stało? – Przyjrzał jej się uważnie.

– To znaczy? – zapytała. Przypomniało jej się starcie z Cole’em Connollym, ale była nadal zdenerwowana tą dyskusją. Nie bardzo wiedziała, jak powiedzieć Jeffreyowi o swoich odczuciach, i im więcej o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że Lev właściwie zinterpretował zachowanie Connolly’ego. Wstydziała się też swojego zachowania i nie była całkowicie pewna, czy to ona nie sprowokowała tej sprzeczki.

– Ten Paul poprosił mnie o kopię zgonu Abby – powiedziała.

– To dziwne – skomentował Jeffrey. – Zastanawiam się dlaczego?

– Może jest jakiś testament albo fundusz powierniczy? – Sara odpięła biustonosz, idąc do łazienki.

– To prawnik – powiedział Jeffrey. – Jestem pewien, że kryje się za tym jakiś prawny kruczek. – Odłożył książkę na szafkę nocną i usiadł.

– Coś jeszcze?

– Poznałam syna Leva – rzekła, zastanawiając się, dlaczego o tym wspomina. To dziecko miało najdłuższe i najładniejsze rzęsy, jakie kiedykolwiek widziała, i sama myśl o tym, jak ziewał, otwierając szeroko buzię z takim zapamiętaniem, na jakie może się zdobyć tylko dziecko, zasiała w jej sercu pustkę, którą starała się zappełnić już dawno temu.

– Zeke’a? – zapytał Jeffrey. – To słodki dzieciak.

– Tak – zgodziła się, szukając w koszu na brudną bieliznę jakiegoś podkoszulka, który byłby na tyle czysty, żeby mogła położyć się w nim spać.

– Co jeszcze się wydarzyło?

– Dałam się wciągnąć w dyskusję religijną z Levem. – Sara znalazła jedną z koszul Jeffrey’a i włożyła ją. Kiedy się wyprostowała, zauważyła jego szczoteczkę do zębów w kubku obok jej szczoteczki. Krem i maszynka do golenia były równo ułożone obok siebie, a przy jej dezodorancie stał na półce jego dezodorant.

– Kto wygrał? – zapytał.

– Nikt – zdołała wykrztusić, wyciskając pastę do zębów na szczoteczkę. Kiedy czyściła zęby, zamknęła oczy. Czuła się śmiertelnie zmęczona.

– Nie dałaś się nikomu namówić na chrzest, co?

Była zbyt zmęczona, by się roześmiać.

– Nie. Oni wszyscy są bardzo mili. Rozumiem, dlaczego Tessa lubi tam jeździć.

– Nie trzymali w rękach węży ani nie mówili językami?

– Śpiewali Amazing Grace i rozmawiali o dobrych uczynkach. – Wypłukała usta i wstawiła szczoteczkę do kubka. – Mogę ci powiedzieć, że jest tam dużo przyjemniej niż w kościele mamy.

– Naprawdę?

– Aha.

Weszła do łóżka. Dotyk świeżej pościeli sprawiał jej przyjemność. Fakt, że Jeffrey robił pranie, był wystarczającym powodem, by wybaczyć mu większość przewinień, jeśli nie wszystkie.

Wśliznęła się obok niej i oparł się na łokciu.

– W jakim sensie przyjemniej?

– Nie ma ognia i siarki, jak powiedziała Bella. Powiedziałaś im, że jestem twoją żoną? – przypomniała sobie nagle.

Miał tyle przyzwoitości, żeby zrobić zakłopotaną minę.

– Mogło mi się wymknąć.

Uderzyła go lekko w pierś, a on padł na plecy, jakby wymierzyła mu potężny cios.

– Są zwartą grupą – rzekła.

– Ta rodzina?

– Nie zauważyłam w nich nic szczególnie dziwnego. Nie są dziwniejsi od mojej rodziny i zanim otworzy pan usta, panie Tolliver, przypomnę panu, że poznałam pańską matkę.

Przyjął porażkę lekkim skinieniem głowy.

– Była tam Mary?

– Tak.

– To ta druga siostra. Lev tłumaczył się, że nie przyjechał, bo była

chora.

– Dla mnie nie wyglądała na chorą – rzekła Sara. – No, ale jej nie zbadałam.

– A co powiesz o pozostałych?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Rachel niezbyt się udzielała. Ten Paul na pewno lubi kontrolować sytuację.

– Lev też.

– Powiedział, że mój mąż jest szczęściarzem. – Uśmiechnęła się, wiedząc, że to go zirytuje.

– Tak? – Jeffrey potarł szczękę.

Roześmiała się i położyła głowę na jego piersi.

– Odpowiedziałam na to, że to ja jestem szczęściarą, że mam takiego uczciwego męża.

Wygladziła włosy na jego piersi, bo łaskotały ją w nos. Jeffrey przeciągnął palcem po swoim sygnecie szkolnym z Auburn, który nadal nosiła. Zamknęła oczy, czekając, że coś powie, że zada jej to samo pytanie, które zadawał od pół roku, ale nie zrobił tego.

– Co musiałaś tam dzisiaj sprawdzić? – spytał zamiast tego.

Wiedząc, że nie może już dłużej odsuwać tego, co nieuniknione, odparła:

– Mama miała romans.

Zesztywniał.

– Twoja matka? Cathy? – Powiedział to z takim niedowierzaniem jak ona, gdy się o tym dowiedziała.

– Powiedziała mi parę lat temu – rzekła Sara. – Powiedziała, że nie był to związek seksualny, ale że się wyprowadziła z domu i zostawiła tatę.

– To do niej zupełnie niepodobne.

– Mam nikomu o tym nie mówić.

– Ja nie powiem – zgodził się. – Boże, kto by mi uwierzył.

Sara znowu zamknęła oczy, żałując, że matka w ogóle jej o tym powiedziała. Wtedy Cathy starała się pomóc jej dostrzec, że może ułożyć

swoje sprawy z Jeffreyem, jeśli będzie tego naprawdę chciała, ale teraz informacja ta była prawie tak samo niepotrzebna jak dyskusja teologiczna z Cole'em Connollym.

– To był facet, który założył ten Kościół. Thomas Ward – powiedziała.

Jeffrey odczekał chwilę.

– I?

– I nie wiem, co się stało, ale mama i tata znowu się zeszli. – Spojrzała na Jeffreya. – Powiedziała mi, że się znowu połączyli, bo była w ciąży ze mną.

Minęła sekunda, zanim Jeffrey odpowiedział.

– To nie jedyny powód, że do niego wróciła.

– Dzieci dużo zmieniają – rzekła Sara, zbliżając się na tyle, na ile śmiała, do tematu swojej niemożliwości posiadania dzieci. – Dziecko tworzy więź między dwojgiem ludzi. Wiąże cię z drugą osobą na całe życie.

– Tak samo miłość – powiedział, przykładając dłoń do jej policzka. – Z drugą osobą wiąże cię miłość. Przeżycia. Wspólne życie. To, że widzicie, jak się starzejecie.

Sara położyła głowę na poduszce.

– Wiem tyle – kontynuował Jeffrey, jakby nie rozmawiali o sobie – że twoja matka kocha twojego ojca.

– Powiedziałeś, że Lev ma moje włosy i oczy – powiedziała Sara, zebrawszy siły.

Jeffrey nie oddychał przez dwadzieścia sekund.

– Chryste – wyszeptał w końcu, nie wierząc własnym uszom. – Nie myślisz chyba, że... – Przerwał. – Wiem, że się z tobą droczyłem, ale... – Nawet on nie mógł tego głośno powiedzieć.

Głowa Sary spoczywała na piersi Jeffreya – przechyliła ją i spojrzała na jego brodę. Ogolił się, pewnie w nadziei, że uczczą wiadomość o dobrych wynikach badań krwi.

– Jesteś zmęczony? – zapytała.

– A ty?

– Może byłabym skłonna dać się przekonać. – Zanurzyła palce w jego włosach.

– Jak bardzo skłonna?

Sara położyła się na plecach i pociągnęła go za sobą.

– Dlaczego sam nie sprawdzisz?

Skorzystał z jej propozycji i pocałował ją namiętnie.

– Jestem taka szczęśliwa – powiedziała.

– Jestem szczęśliwy, że ty jesteś szczęśliwa.

– Nie. – Przyłożyła dłonie do jego twarzy. – Jestem szczęśliwa, że jesteś zdrowy.

Znowu ją pocałował, powoli, drażniąc jej wargi. Sara poczuła, że zaczyna się odprężyć, kiedy przycisnął się do niej. Lubiła czuć na sobie jego ciężar, lubiła, kiedy dotykał ją w odpowiednich miejscach. Jeśli seks był sztuką, to Jeffrey był w niej mistrzem. Kiedy przesunął usta po jej szyi, odwróciła głowę z półprzymkniętymi oczami i rozkoszowała się jego dotykiem, dopóki nie dostrzegła kątem oka niezwykłego błysku po drugiej stronie jeziora.

Zmrużyła oczy, zastanawiając się, czy to odblask światła księżyca na wodzie, czy coś innego.

– Co? – zapytał Jeffrey, wyczuwając, że myślimi jest gdzieś indziej.

– Ćśś – powiedziała, patrząc na jezioro. Znowu zobaczyła ten błysk i nacisnęła pierś Jeffreya. – Poczekaj.

– Co się dzieje? – zapytał, gdy zrobił to, o co go prosiła.

– Nadal przeszukują ten las?

– Nie w ciemnościach – odparł. – Co...

Sara wyłączyła nocną lampkę i wstała z łóżka. Trwało chwilę, zanim jej wzrok przystosował się do mroku, trzymała więc ręce przed sobą, idąc po omacku w stronę okna.

– Zobaczyłam coś – powiedziała. – Chodź tutaj.

Jeffrey stanął obok niej, patrząc na jezioro.

– Nie widzę... – Przerwał.

Znowu pojawił się błysk. To było na pewno światło. Po drugiej stronie jeziora był ktoś z latarką – niemal dokładnie w miejscu, gdzie zna-

leżli Abby.

– Rebecca.

Jeffrey podskoczył, jakby na odgłos wystrzału. Wciągnął na siebie dzinsy, zanim Sara zdołała znaleźć swoje ubranie. Słyszała, jak w ogrodzie chrzęszczą pod jego stopami igły sosnowe, kiedy wsunęła na nogi tenisówki i wyszła za nim.

Księżyc w pełni oświetlał ścieżkę wokół jeziora i Sara szła żwawo, trzymając się parę metrów za Jeffreyem. Nie włożył koszuli i wiedziała, że nie ma butów, bo ona je wzięła. Pięta prawej tenisówki zagięła się do środka, zatrzymała się więc na parę sekund, by wsunąć but prawidłowo. Zajął jej to cenny czas, zmusiła się więc do jeszcze większego wysiłku. Biegając, czuła, że serce omal nie wyskoczy jej z piersi. W większość ranków biegła tą trasą, ale teraz miała wrażenie, że nigdy nie dotrze na drugi brzeg jeziora.

Jeffrey był sprinterem, natomiast Sara była lepiej przygotowana do długich dystansów. Kiedy w końcu minęła dom rodziców, złapała drugi oddech i zrównała się z nim. Oboje zwolnili, gdy dotarli do lasu, i w końcu zatrzymali się, kiedy ścieżkę przed nimi przeciął snop światła latarki.

Sara poczuła, że Jeffrey ściąga ją szarpnięciem w dół, kiedy przykucnął, by nie było go widać. Oboje głośno dyszeli i pomyślała, że zdradzi ich ten hałas.

Patrzyli, jak światło latarki przesuwają się wśród drzew, zbliżając się do miejsca, gdzie zaledwie przed trzema dniami znaleźli Abigail.

Sara poczuła przyływ paniki. Może zabójca wrócił po ciało. Może była jeszcze trzecia skrzynia, na którą nie naprowadziły ich te wszystkie poszukiwania, i porywacz wrócił, by dokonać innej części rytuału.

Usta Jeffreya znalazły się przy jej uchu.

– Zostań tutaj – szepnął i oddalił się pochylony, zanim zdążyła go powstrzymać. Pamiętała, że jest boso, i zastanawiała się, czy w ogóle myśli o tym, co robi. Rewolwer zostawił w domu. Nikt nie wiedział, że są tutaj.

Poszła za nim, trzymając się z tyłu, rozpaczliwie starając się nie na-

depnąć na coś, co spowodowałoby hałas. Widziała, że światło latarki się zatrzymało i skierowane było na ziemię, prawdopodobnie na dół, w którym leżała Abby.

W lesie rozległ się wysoki krzyk i Sara zamarła. Potem usłyszała śmiech – raczej chichot – który przeraził ją bardziej niż ten krzyk.

– Zostań, gdzie jesteś – powiedział Jeffrey stanowczym, władcym głosem. Dziewczyna znowu krzyknęła. Światło latarki podniosło się i Jeffrey rozkazał: – Zabierz to z mojej twarzy. – Ktokolwiek trzymał latarkę, posłuchał, i Jeffrey zrobił jeszcze jeden krok do przodu. – Co wy tu, do kurwy, robicie? – powiedział.

Teraz Sara ich widziała – nastoletni chłopiec i dziewczyna, stojący przed Jeffreyem. Chociaż był tylko w dżinsach, wyglądał groźnie.

Dziewczyna znowu krzyknęła, kiedy Sara nastąpiła przypadkowo na gałązkę.

– Jezu – syknął Jeffrey, nadal nie mogąc złapać tchu. – Wiecie, co się tutaj stało? – zapytał.

Chłopak miał około piętnastu lat i był prawie tak samo przerażony jak dziewczyna.

– Ja... ja jej tylko pokazywałem... – Jego głos się załamywał, chociaż miał już dawno za sobą to krępujące stadium. – Po prostu chcieliśmy się zabawić.

– Uważasz, że to zabawne? – warknął Jeffrey. – Zginęła tu kobieta. Została pogrzebana żywcem.

Dziewczyna zaczęła płakać. Sara natychmiast ją poznała. Płakała prawie za każdym razem, kiedy była w klinice, bez względu na to, czy dostawała zastrzyk czy nie.

– Liddy? – zapytała.

Dziewczyna drgnęła, chociaż już parę sekund temu zobaczyła Sarę.

– Doktor Linton?

– Już dobrze.

– Nie jest dobrze – warknął Jeffrey.

– Śmiertelnie ich przestraszyłeś – powiedziała Sara, a potem zwróciła się do nastolatków: – Co wy tu robicie o takiej późnej porze?

– Roger chciał mi pokazać... pokazać... to miejsce... – Chlipnęła: – Przepraszam.

– Ja też przepraszam – włączył się Roger. – Tak się tu tylko płaczemy. Przepraszam. – Mówił teraz szybko, uświadomiwszy sobie chyba, że Sara może ich z tego wyciągnąć. – Przepraszam, doktor Linton. Nie mieliśmy złych zamiarów. Po prostu...

– Jest późno – powiedziała Sara, tłumiąc pragnienie uduszenia ich. Kłudo ją w boku po biegu i czuła chłód w powietrzu.

– Tak, psze pani – powiedział Roger. Złapał Liddy za ramię i praktycznie pociągnął ją ku drodze.

– Głupie szczeniaki – mruknął Jeffrey.

– Nic ci nie jest?

Zdusiwszy przekleństwo w ustach, usiadł na kamieniu, wciąż ciężko dysząc.

– Rozpieprzyłem sobie stopę.

Sara usiadła obok niego, zdając sobie sprawę, że i jej brakuje tchu.

– Postanowiłeś, że nie odpuścisz sobie w tym tygodniu ani jednego dnia, żeby się nie zranić?

– Można by tak pomyśleć – przyznał. – Chryste. Wystraszyli mnie jak cholera.

– Przynajmniej nie był to... – Nie dokończyła zdania. Oboje wiedzieli, kto to mógł być.

– Muszę się dowiedzieć, kto to zrobił – powiedział Jeffrey. – Jestem to winien jej matce. Muszę się dowiedzieć, dlaczego do tego doszło.

Sara spojrzała na drugą stronę jeziora, starając się znaleźć wzrokiem swój dom – ich dom. Kiedy wybiegali, włączyła wyłącznik czasowy, i teraz światła zgasły.

– Jak twoja stopa? – zapytała.

– Rwie. – Jego pierś uniosła się w westchnieniu. – Jezu, zaraz się rozpadnę.

– Nic ci nie jest. – Potarła jego plecy.

– Kolano, ramię. – Podniósł nogę. – Stopa.

– Zapomniałeś o oku – powiedziała, obejmując go w pasie i starając

się pocieszyć.

– Starzeję się.

– Są gorsze rzeczy – zauważyła, chociaż jego milczenie świadczyło, że nie jest w nastroju do przekomarzania się.

– Ta sprawa mnie dręczy.

Doskwierały mu wszystkie sprawy, które prowadził; była to jedna z jego cech, które kochała.

– Wiem – powiedziała i przyznała: – Czułabym się dużo lepiej, gdybyśmy wiedzieli, gdzie jest Rebecca.

– Coś przeoczyłem – powiedział. Ujął ją za rękę. – Musi być coś, co przeoczyłem.

Sara spojrzała na jezioro.

W falach uderzających o brzeg lśnił księżyc. Czy była to ostatnia rzecz, którą widziała Abby, zanim pogrzebano ją żywcem? Czy była to ostatnia rzecz, którą widziała Rebecca?

– Muszę ci coś powiedzieć – rzekła.

– Jeszcze coś o swoich rodzicach?

– Nie – odparła. Miała ochotę kopnąć się za to, że nie powiedziała mu o tym wcześniej. – O Cole’u Connollym. To na pewno nic ważnego, ale...

– Powiedz – przerwał jej. – Ja zdecyduję, czy to coś ważnego czy nie.

CZWARTEK

Lena siedziała przy kuchennym stole, gapiąc się na swój telefon komórkowy. Musiała zadzwonić do Terri Stanley. Nie mogła się od tego wykpić. Musiała ją przeprosić, powiedzieć jej, że robi wszystko, co w jej mocy, żeby jej pomóc. Co poza tym może zrobić, było tajemnicą. Jak mogła jej pomóc? Co mogła zrobić, żeby uratować Terri, skoro nie mogła nic zrobić, żeby uratować samą siebie?

Nan zamknęła ze szczękiem drzwi łazienki. Lena czekała, dopóki nie usłyszała lecącej z prysznicy wody, a później głosu Nan, nucącego fałszywie jakąś piosenkę, nadawaną przez wszystkie stacje radiowe, zanim otworzyła telefon i wybrała numer Stanleyów.

Od czasu sprzeczki na stacji paliw umysł Leny przekształcił ten numer w mantrę, tak że kiedy wciskała guziki, miała wrażenie *déjà vu*. Przyłożyła aparat do ucha i naliczyła sześć sygnałów, zanim ktoś podniósł słuchawkę. Zamarło jej serce, bo modliła się, żeby osobą po drugiej stronie nie był Dale.

Najwyraźniej na wyświetlaczu telefonu Stanleyów pojawiło się nazwisko Leny, bo Terri syknęła:

– Czego chcesz? – Jej głos był niewiele silniejszy od szeptu.

– Gdzie jest Dale?

– Na zewnątrz. – Głos Terri był coraz bardziej przestraszony. – Może wrócić w każdej chwili. Zobaczysz twój numer na wyświetlaczu.

– Powiedz mu, że zadzwoniłam, żeby ci podziękować za przybycie.

- Nie uwierzy.
- Terri, posłuchaj mnie...
- Chyba nie mam wyboru.
- Nie powinnam była cię ranić.
- Już to słyszałam.

Lena skrzywiła się, wiedząc, co to znaczy.

- Musisz się stamtąd wydostać.
- Dlaczego myślisz, że chcę? – spytała Terri po chwili milczenia.

– Bo wiem – odparła Lena, a do oczu napłynęły jej łzy. – Jezu, Terri, wiem, dobrze? Zaufaj mi.

Terri milczała tak długo, że Lena pomyślała, iż się rozłączyła.

- Terri?
- Skąd wiesz?

Serce Leny waliło tak mocno, że niemal obijało się o jej zębra. Nigdy nie wyznała nikomu niczego o Ethanie i nadal nie czuła się zdolna, by to zrobić.

- Stąd co i ty – wykrztusiła.

Terri znowu milczała. W końcu zapytała:

- Próbowalas kiedyś uciec?

Lena myślała o tym za każdym razem, kiedy chciała się odizolować – kiedy nie odbierała telefonów, unikała sali gimnastycznej, kryła się w pracy. Zawsze ją znajdował. Zawsze znajdował sposób, żeby wrócić.

– Myślisz, że możesz mi pomóc? – zapytała Terri. W pytaniu tym była niemal histeryczna nuta.

- Jestem policjantką.

– Siostro, jesteś niczym – powiedziała szorstko Terri. – Toniemy w tym samym oceanie.

Lena czuła, że te słowa wbijają się w nią jak sztylety. Próbowwała coś powiedzieć, ale usłyszała na linii cichy szcęk, a potem już nic. Czekala, dopóki w słuchawce nie odezwał się głos operatora, radzącego jej, żeby wybrała numer na nowo.

Do kuchni weszła Nan w eleganckim różowym szlafroku, z głową owiniętą ręcznikiem.

– Zostaniesz w domu na kolację?

– Tak – powiedziała Lena. Potem poprawiła się: – Nie. Nie wiem. Dlaczego pytasz?

– Pomyślałam, że dobrze byłoby pogadać – rzekła, stawiając czajnik na kuchenkę. – Dowiedzieć się, jak sobie radzisz. Nie rozmawialiśmy, odkąd wróciłaś od Hanka.

– Wszystko w porządku – zapewniła ją Lena.

Nan odwróciła się i przyjrzała się jej uważnie.

– Wyglądasz na zmartwioną.

– Miałam ciężki tydzień.

– Właśnie widziałam, jak podjechał Ethan na rowerze.

Lena wstała tak szybko, że aż zakreśliło się jej w głowie.

– Powinnam się zbierać do pracy.

– Dlaczego nie zaprosisz go do środka? – zaproponowała Nan. – Zrobię więcej herbaty.

– Nie – mruknęła Lena. – Już jestem spóźniona. – Zawsze się denerwowała, kiedy Ethan był przy Nan. Był zbyt wybuchowy i nie chciała, żeby Nan zobaczyła, z jakim typem się zadaje. Za bardzo się tego wstydziała.

– Zobaczymy się później – powiedziała Lena, chowając komórkę do kieszeni kurtki. Prawie wybiegła z domu. Zatrzymała się, kiedy zobaczyła Ethana stojącego przy jej samochodzie. Zdejmował coś, co było przyklejone taśmą do okna od strony kierowcy.

Schodząc po schodach, czuła się tak, jakby serce miała w gardle.

– Co to? – zapytał Ethan, podnosząc do góry kopertę. Z odległości dziesięciu stóp rozpoznała pismo Grega. – Kto jeszcze nazywa cię Lee?

Wyrwała mu kopertę, zanim zdążył ją powstrzymać.

– Prawie każdy, kto mnie zna – powiedziała. – Co tutaj robisz?

– Pomyślałem, że wpadnę się z tobą zobaczyć przed pracą.

– Spóźnisz się. – Spojrzała na zegarek.

– Nie szkodzi.

– Twoja kuratorka powiedziała, że jeśli jeszcze raz się spóźnisz, wrócisz do więzienia.

- Ta lesba może mnie pocałować w dupę.
- Ona może odesłać cię z powrotem do więzienia, Ethan.

– Wyluzuj, dobrze? – Chciał chwycić kopertę, ale znowu była szybsza. Zmarszczył brwi i zapytał: – Co to jest?

Lena widziała, że nie ma zamiaru zejść z podjazdu, dopóki nie otworzy koperty. Obróciła ją, odrywając ostrożnie taśmę, jak starsza pani, która stara się zachować papier, w który zapakowany był prezent.

- Co to jest? – powtórzył Ethan.

Otworzyła kopertę, modląc się, by w środku nie było czegoś, co spowodowałoby problem. Wyjęła płytę kompaktową z czarną naklejką.

- Kompakt.

- Jaki kompakt?

– Ethan – zaczęła i obejrzała się na dom. Widziała, że Nan patrzy na nich przez okno frontowe. – Wsiadaj do samochodu – powiedziała.

- Dlaczego?

Otworzyła bagażnik, żeby mógł schować rower.

- Dlatego, że spóźnisz się do pracy.

- Co to za kompakt?

– Nie wiem. – Zaczęła podnosić jego rower, ale wyręczył ją, a pod T-shirtem z długimi rękawami napięły się jego mięśnie. W czasach, kiedy był skinheadem, wytatuował sobie na całym ciele aryjskie symbole nazi-stowskie i teraz zwykle ubierał się tak, by je zasłonić, zwłaszcza do pracy w uniwersyteckim barze kawowym.

Wsiadła do samochodu i czekała, aż zapakuje rower do bagażnika i wsiądzie obok niej. Włożyła płytę kompaktową za osłonę przeciwsłoneczną, mając nadzieję, że Ethan o niej zapomni. Wyjął ją, gdy tylko wsiadł do samochodu.

- Kto ci ją przesłał?

- Znajomy. Zapnij pas.

- Dlaczego była przyklejona taśmą do szyby?

- Może nie chciał wchodzić do domu.

Uświadomiła sobie, że powiedziała „znajomy”. Starła się zachowywać, jakby nic się nie stało, włączając bieg wsteczny i wyjeżdżając

z podjazdu. Kiedy się odwróciła, zerknęła na Ethana. Miał tak mocno zaciśnięte szczęki, że dziwiła się, iż nie popękały mu zęby.

Nic nie mówiąc, włączył radio i nacisnął guzik z napisem EJECT. Z odtwarzacza wysunął się jego kompakt z nagraniami Radiohead. Ujął płytę za brzeg i wsunął płytę Grega, jakby była to tabletki, którą chciał wcisnąć komuś do gardła.

Lena zrobiła się spięta, kiedy brzęknęła gitara, a po niej dało się słyszeć sprzężenie. Wstęp, ciężka gitara i bębny, trwał kilka sekund, po czym rozległ się charakterystyczny głos Ann Wilson.

Ethan zmarszczył nos, jakby poczuł przykry zapach.

– Co to za gównno?

– Heart – odparła, starając się utrzymać emocje na wodzy. Serce biło jej tak szybko, że była pewna, iż Ethan słyszy je przez muzykę.

– Nie słyszałem wcześniej tej piosenki. – Nadal miał nachmurzoną minę.

– To nowy album.

– Nowy album? – powtórzył i chociaż patrzyła na drogę, czuła, że wwierca się w nią wzrokiem. – To nie te, które się ze sobą pierdoliły?

– Są siostrami – powiedziała, oburzona tym, że znowu słyszy starą plotkę. Zespół Heart wywarł wielki wpływ na scenę rockową, więc oczywiście chłopcy, którzy już na niej byli, poczuli się zagrożeni i zaczęli rozpowszechniać wstrętne plotki. Sama będąc bliźniaczką, słyszała prawie wszystkie świńskie fantazje na temat sióstr. Na myśl o tym robiło się jej niedobrze.

Ethan podkreślił trochę głośność.

– Niezłe – powiedział, pewnie drażniąc się z nią. – To ta gruba śpiewa?

– Ona nie jest gruba.

Ethan parsknął śmiechem.

– Może zrzucić wagę, Ethan. Zawsze będziesz głupim sukinsynem. – Kiedy się ponownie roześmiał, dodała: – Jakby Kurt Cobain był w takiej dobrej formie.

– Nie lubię tego pedała.

– Dlaczego – zapytała Lena – każda kobieta, która nie chce się z tobą pieprzyć, jest lesbą, a każdy facet, który nie jest na takim luzie jak ty, jest pedałem?

– Nigdy nie mówiłem...

– Tak się składa, że moja siostra była lesbijką – przypomniała mu Lena.

– Wiem o tym.

– Moja najlepsza przyjaciółka jest lesbijką – powiedziała Lena, chociaż nigdy nie zastanawiała się specjalnie, czy Nan jest jej najlepszą przyjaciółką.

– Co cię, kurwa, ugryzło?

– Co mnie ugryzło? – powtórzyła, naciskając tak ostro na hamulce, że omal nie walnął głową w deskę rozdzielczą. – Powiedziałam ci, żebyś zapiął ten pieprzony pas.

– W porządku – rzekł, obrzucając ją spojrzeniem, które mówiło, że jest głupią suką.

– Zapomnij o tym – powiedziała, odpinając swój pas.

– Co ty robisz? – zapytał, kiedy sięgnęła nad jego kolanami, żeby otworzyć drzwi. – Jezu Chryste, co...

– Wsiadaj – rozkazała.

– Co jest, do kurwy nędzy?

– Wypierdalaj z mojego wozu! – krzyknęła, popychając go.

– W porządku! – wrzasnął w odpowiedzi, wysiadając z samochodu.

– Jesteś stuknięta, wiesz o tym?

Wcisnęła pedał gazu do podłogi i drzwi zatrzasnęły się od impetu, z którym ruszyła. Przejechała może sto pięćdziesiąt metrów, po czym nadepnęła tak mocno na pedał hamulca, że aż zapiszczały opony. Kiedy wysiadła z samochodu, Ethan szedł drogą i trząśł się ze złości. Widziała, że ma zaciśnięte pięści, a z jego ust trysnęła ślina, kiedy wrzasnął:

– Nigdy mnie tak nie zostawiaj, ty głupia suko!

Lena czuła się zadziwiająco spokojna, kiedy wyjęła jego rower z bagażnika i położyła na drodze. Ethan zaczął biec, żeby się z nią zrównać. Nadal biegł, kiedy skręcając za róg, zerknęła w lusterko wsteczne.

Z czego się tak cieszysz? – zapytał Jeffrey, kiedy weszła uśmiechnięta do sali odpraw. Stał przy ekspresie do kawy i zastanawiała się, czy na nią czekał.

– Z niczego – odparła.

Nalał kubek kawy i podał go jej.

– Dzięki – powiedziała, biorąc go ostrożnie.

– Chcesz mi opowiedzieć o Terri Stanley?

Lena poczuła skurcz w żołądku.

Nalał sobie do pełna, po czym powiedział:

– W moim gabinecie.

Idąc przodem, Lena czuła, że pot ścieka jej po plecach, i zastanawiała się, czy nie jest to coś, co w jego oczach dopełniło miary. Jediną pracą, jaką kiedykolwiek wykonywała, była praca policjantki. Nie umiała robić nic innego. Dowiodła tego przerwa w ubiegłym roku.

Oparł się o biurko, czekając, aż Lena usiądzie.

– Nie byłaś na pikniku w ubiegłym roku – powiedział.

– Nie – przyznała, zaciskając dłonie na poręczach fotela jak Terri Stanley dwa dni wcześniej.

– Co się dzieje, Leno?

– Myślałam... – zaczęła Lena, ale nie była w stanie dokończyć zdania. Co myślała? Co mogła powiedzieć Jeffreyowi, nie ujawniając zbyt dużo o sobie?

– Czy to alkohol? – zapytał i przez chwilę nie miał pojęcia, o czym on mówi.

– Nie – powiedziała. – Zmyśliłam to.

Nie wydawał się zaskoczony.

– Naprawdę?

– Taa – przyznała. Uchyliła rąbka prawdy, jakby wypuściła cienką strużkę powietrza z balonu. – Dale ją bije.

Jeffrey miał wypić łyk kawy, ale jego ręka z kubkiem zawisała w powietrzu.

– Zobaczyłam sińce na jej ręku. – Kiwnęła głową, jakby potwierdzała to sama przed sobą. – Rozpoznałam je. Wiem, jak wyglądają.

Jeffrey odstawił kubek.

– Powiedziałaś jej, że pomogę jej uciec.

– Nie chciała odejść – domyślił się.

Lena potrząsnęła głową.

Przestąpił z nogi na nogę i skrzyżował ręce na piersi.

– Myślisz, że jesteś właściwą osobą, żeby jej pomóc?

Lena czuła ciężar jego spojrzenia. W tej chwili byli najbliżsi rozmowy o Ethanie, odkąd zaczęła się z nim spotykać w zeszłym roku.

– Wiem, że posuwa się do rękoczynów wobec ciebie – powiedział Jeffrey. – Widziałem ślady. Widziałem, jak przychodziłaś w makijażu, którym starałaś się zatuszować sińce pod okiem. Widziałem, jak się kulisz, kiedy oddychasz, bo bije cię tak mocno po brzuchu, że ledwie możesz prosto stać. Pracujesz w komisariacie, Leno – dodał po chwili milczenia. – Nie pomyślałaś, że gliny to zauważą?

– Które gliny? – zapytała spanikowana, czując się obnażona.

– Ten gliniarz – odparł i było to wszystko, co musiała usłyszeć.

Wpatrywała się w podłogę, a każdy cal jej ciała przenikał wstyd.

– Mój ojciec bił moją matkę – powiedział i chociaż domyśliła się tego dawno temu, była zaskoczona, że tak jej zaufał. Jeffrey rzadko mówił o faktach ze swojego życia osobistego, które nie wiązały się bezpośrednio z jakąś sprawą. – Stawałem między nimi – rzekł. – Myślałem, że jeśli będzie mnie bił, to mniej zostanie dla niej.

Dotykając językiem wewnętrznej strony wargi, wyczuwała głębokie blizny w miejscach, gdzie skóra była rozcięta od uderzeń Ethana. Pół roku temu złamał jej ząb. Dwa miesiące później uderzył ją tak mocno w bok głowy, że nadal miała kłopoty ze słuchem w prawym uchu.

– To nigdy nie działało – mówił Jeffrey. – Wściekał się na mnie, powalał mnie na podłogę, a potem tak samo mocno bił ją. Bił tak, że myślałem, że stara się ją zabić. – Przerwał, ale Lena nie podniosła wzroku. – Aż pewnego dnia zrozumiałem. – Znowu przerwał. – Ona chciała, żeby ją zabił – rzekł bez śladu emocji w głosie. Mówił o tym rzeczowo, jakby już dawno temu uświadomił sobie, że nie może nic zrobić. – Chciała, żeby z nią skończył – ciągnął. – Nie widziała innego wyjścia.

Lena zorientowała się, że kiwa głową. Z nią było tak samo. To, co zrobiła tego ranka, było kolejną próbą przekonania samej siebie, że nie jest absolutnie zgubiona. Ethan wróci. Zawsze wracał. Będzie wolna dopiero wtedy, gdy on z nią skończy.

– Chociaż on już nie żyje – ciągnął Jeffrey – czasami nadal myślę, że ona na to czeka. Czeką na ten jeden cios, który pozbawi ją życia. – Prawie do siebie dodał: – Nie żeby zostało w niej dużo życia.

Lena odchrząknęła.

– Tak – powiedziała. – Myślę, że tak się czuje Terri.

– Terri, tak? – Jeffrey był wyraźnie rozczarowany.

Skinęła głową, zmuszając się do podniesienia wzroku, pragnąc, by w jej oczach nie pojawiły się łzy. Czuła się tak podle, że każdy ruch sprawiał jej problem. Rozmawiając z kim innym, załamałaby się i wszystko opowiedziała. Ale nie z Jeffreyem. Nie mogła dopuścić do tego, by zobaczył ją w takim stanie. Bez względu na wszystko nie pozwoli, by zobaczył, jaka jest słaba.

– Myślę, że Pat o tym nie wie – powiedziała.

– Nie – zgodził się Jeffrey. – Pat przyciągnąłby tu Dale’a, gdyby wiedział. Mimo że są braćmi.

– No więc co zrobimy?

– Wiesz, jak jest. – Wzruszył ramionami. – Wystarczająco długo jesteś w tej robocie, żeby wiedzieć, jak to działa. Możemy wnieść sprawę, ale nic mu nie udowodnimy, jeśli Terri nie stanie na miejscu dla świadka. Musi zeznawać przeciwko niemu.

– Ona tego nie robi – powiedziała Lena, przypominając sobie, jak nazwała ją tchórzem. Jak siebie nazwała tchórzem. Czy ona sama mogłaby stanąć w sądzie i wskazać na Ethana? Czy miałyby wolę go oskarżyć, odesłać? Na myśl o konfrontacji z nim przebiegł jej po grzbiecie dreszcz strachu.

– Na przykładzie mojej matki nauczyłem się, że nie można pomóc ludziom, którzy nie chcą, by im pomóc – rzekł Jeffrey.

– Tak – zgodziła się.

– Statystycznie rzecz biorąc, prawdopodobieństwo tego, że maltreto-

wana kobieta zostanie zamordowana, jest największe wtedy, kiedy odchodzi od swojego kata.

– Racja – powiedziała i znowu przypomniała sobie, jak Ethan biegł za jej samochodem dziś rano. Czy myślała, że to będzie takie łatwe? Czy naprawdę myślała, że on odpuści? Teraz pewnie planował zemstę, myśląc o tych wszystkich rodzajach bólu, jaki może jej zadać, by ukarać ją za to, że w ogóle przyszło jej do głowy, iż może od niego uciec.

– Nie można pomóc ludziom, którzy nie chcą, by im pomóc – powtórzył.

– Masz rację. – Lena skinęła głową.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę.

– Pogadam z Patem, kiedy wróci, powiem mu, co się dzieje.

– Myślisz, że on coś zrobi?

– Myślę, że spróbuje – odparł Jeffrey. – On kocha brata. To coś, czego ludzie nie rozumieją.

– Jacy ludzie?

– Ludzie, którzy nie są w takiej sytuacji – wyjaśnił cierpliwie. – Trudno nienawidzić kogoś, kogo się kocha.

Skinęła głową, zagryzając wargę, niezdolna wydusić z siebie słowa.

Wstał.

– Jest tu Buddy. Dobrze się czujesz? – spytał po chwili.

– Eee – zaczęła Lena. – Tak.

– Dobrze – powiedział. Otwierając drzwi, przybrał oficjalną minę.

Wyszedł z gabinetu, a Lena za nim, nie wiedząc, co powiedzieć. Jeffrey zachowywał się tak, jakby nic między nimi nie zaszło. Flirtował z Marlą, mówiąc coś o jej nowej sukience, kiedy się pochylił, by nacisnąć brzęczyk i puścić Buddy'ego do sali odpraw.

Prawnik wszedł, kuśtykając o jednej kuli. Był bez sztucznej nogi.

Ton Jeffreya wydał się Lenie wymuszony, jakby wbrew sobie starał się udawać, że wszystko jest w porządku.

– Znowu żona zabrała ci nogę? – zażartował z Buddy'ego.

Buddy nie był w swoim zwykłym, dobrodusznym nastroju.

– Miejmy to już za sobą.

Jeffrey cofnął się i puścił prawnika przodem. Kiedy szli, Lena zobaczyła, że Jeffrey kuśtyka niemal tak samo jak Buddy. Buddy też to zauważył i spojrzał na niego ostro.

– W nocy skaleczyłem sobie stopę. – Jeffrey wydawał się zakłopotany.

Buddy uniósł brwi.

– Nie dopuść do zakażenia. – Klepnął swój kikut, żeby wzmocnić przestrożę.

Twarz Jeffreya zrobiła się niemal kompletnie biała.

– Kazałem Bradowi wprowadzić Patty do pokoju na zapleczu.

Lena ruszyła przodem. Idąc do pokoju przesłuchań, starała się nie myśleć o tym, co Jeffrey powiedział w swoim gabinecie. Zmusiła się, by skupić uwagę na rozmowie, jaką Jeffrey prowadził z Buddym o szkolnej drużynie futbolowej, którą czekał ciężki sezon. Obaj mężczyźni cytowali statystyki jak kaznodzieje Biblię.

Usłyszała Patty O’Ryan, zanim jeszcze otworzyła drzwi. Dziewczyna darła się jak potępieniec.

– Zabierzcie mnie stąd, kurwa! Zdejmijcie ze mnie te pierdolone łańcuchy, przekłęci matkojebcy!

Lena stanęła przed drzwiami, czekając, aż pozostali się z nią zrównają. Musiała odizolować tę część mózgu, która nadal trawiła słowa Jeffreya. Nie mogła pozwolić, by uczucia przeszkadzały jej w pracy. I tak już spieprzyła przesłuchanie Terri Stanley. Nie mogła tego schrzanić. Nie potrafiłaby spojrzeć sobie w twarz.

Jakby wyczuwając jej myśli, Jeffrey spojrzał na nią, podnosząc brew, jakby pytał, czy jest gotowa. Skinęła krótko głową.

– Ma dzisiaj drobny problem z głodem – powiedział Jeffrey do Buddy’ego.

– Zabierzcie mnie stąd, kurwa! – wrzasnęła O’Ryan co sił w płucach.

Lena miała przynajmniej nadzieję, że ta dziewczyna nie potrafi drzeć się głośniej. Wyła tak, że drżała szyba w drzwiach.

– Chcesz tam wejść i porozmawiać z nią sam na sam, zanim zaczniemy? – zaproponował Buddy’emu Jeffrey.

– Nie, do diabła – odparł Buddy, wstrząśnięty tą sugestią. – Nie waż się zostawiać mnie z nią samego.

Jeffrey otworzył drzwi i przytrzymał je, żeby Buddy i Lena mogli wejść.

– Tato – powiedziała O’Ryan głosem ochrypłym od krzyku. – Muszę stąd wyjść. Mam spotkanie. Mam rozmowę w sprawie pracy. Muszę wyjść, bo się spóźnię.

– Mogłabyś najpierw iść do domu i się przebrać – zasugerowała Lena. O’Ryan podarła swój skąpy strój striptizerki.

– Ty – powiedziała O’Ryan, skupiając całą wściekłość na Lenie. – Ty się zamknij i pierdol się, ty latynoska suko.

– Uspokój się – rzekł Jeffrey, siadając przy stole naprzeciwko niej. Miejsce Buddy’ego było zwykle po drugiej stronie, blisko podejrzanego, ale usiadł na fotelu obok Jeffrey’a. Lena za nic nie usiadłaby znowu w zasięgu tej dziewczyny, stanęła więc przy lustrze z rękami założonymi na piersiach, by obserwować przebieg przesłuchania.

– Opowiedz mi o Chipie – zaczął Jeffrey.

– Co o Chipie?

– To twój chłopak?

O’Ryan spojrzała na Buddy’ego, szukając wskazówki, co ma odpowiedzieć. Trzeba mu było przyznać, że nawet nie mrugnęła.

– Było coś między nami – powiedziała. Szarpnięciem głowy odrzuciła włosy, które opadały jej na oczy. Jej stopa pod stołem podrygiwała w górę i w dół. Napięty był każdy mięsień jej ciała – Lena wywnioskowała, że dziewczyna rozpaczliwie pragnie działki. Widziała dosyć ćpunów skręcających się w celach z narkotycznego głodu, by wiedzieć, że musi to być kurewskie cierpienie. Gdyby O’Ryan nie była taką suką, być może współczułaby jej.

– Jakie „coś”? – zapytał Jeffrey. – To znaczy, że sypialiście ze sobą, może ćpaliście razem?

O’Ryan miała wzrok skupiony na Buddym, jakby chciała go ukarać.

– Coś w tym stylu.

– Znasz Rebeccę Bennett?

– Kogo?

– A Abigail Bennett?

Wydała pełne obrzydzenia parsknięcie, od którego rozděły się jej nozdrza.

– To fanatyczka Jezusa z tej farmy.

– Czy Chipa coś z nią łączyło?

Wzruszyła ramionami, a kajdanki na jej rękach uderzyły z brzękiem w metalowe kółko w stole.

– Czy Chip był z nią w związku? – powtórzył Jeffrey.

Nie odpowiedziała. Zamiast tego dalej uderzała kajdankami w kółko.

Jeffrey odchylił się do tyłu z westchnieniem, jakby nie chciał robić tego, co zaraz będzie musiał zrobić. Buddy oczywiście poznał tę grę, ale chociaż zebrał się w sobie, nie zrobił nic, żeby ją przerwać.

– Poznajesz Chipa? – zapytał Jeffrey i rzucił na stół fotografię.

Lena wyciągnęła szyję, starając się zobaczyć, od którego ze zdjęć z pokoju Chipa Donnera zaczął.

Wszystkie były nieprzyjemne, ale to – zbliżenie twarzy ukazujące prawie całkowicie oderwaną wargę – było wprost straszne.

O’Ryan uśmiechnęła się z wyższością do Jeffreya.

– To nie Chip.

– A to on? – Rzucił jeszcze jedno zdjęcie.

Zerknęła na nie, po czym odwróciła wzrok.

Lena zobaczyła, że Buddy wpatruje się w jedyne drzwi w pokoju, jakby marzył tylko o tym, by stamtąd czmychnąć.

– A co powiesz o tym? – zapytał Jeffrey, pokazując jej kolejną fotografię.

O’Ryan zaczynała rozumieć. Lena widziała, że drży jej dolna warga. Dziewczyna płakała wiele razy, odkąd znalazła się w areszcie, ale teraz po raz pierwszy Lena pomyślała, że łzy w jej oczach są prawdziwe.

– Co się stało? – wyszeptwała. Jej ciało zeszywniało.

– Najwyraźniej Chip kogoś wkurzył – rzekł Jeffrey, rzucając na stół resztę zdjęć.

Podciągnęła nogi pod brodę.

– Chip – szepnęła, kołysząc się w przód i w tył. Lena często widywała podejrzanych, którzy tak się zachowywali. Uspokajali się w ten sposób, jakby uświadomili sobie, że nikt inny ich nie pocieszy i muszą się przystosować.

– Ktoś chciał go dorwać? – zapytał Jeffrey.

Pokręciła głową.

– Chipa wszyscy lubili.

– Na podstawie tych zdjęć przypuszczam, że jest ktoś, kto by się z tobą nie zgodził. – Jeffrey poczekał, aż to do niej dotrze. – Kto mógłby mu to zrobić, Patty?

– Starał się poprawić – powiedziała, nadal nie podnosząc głosu. – Starał się być czysty.

– Chciał odstawić narkotyki?

Gapiła się na zdjęcia, nie dotykając ich, więc Jeffrey zebrał je i włożył z powrotem do kieszeni.

– Mów, Patty.

– Poznali się na farmie. – Jej ciałem wstrząsnął silny dreszcz.

– Na tej farmie w Catoogah produkującej soję? – sprecyzował Jeffrey. – Chip tam był?

– Tak – odparła. – Każdy wie, że możesz się tam zaczepić na parę tygodni, jeśli musisz. W niedzielę chodzisz do kościoła, zbierasz strąki, a oni dają ci jeść i miejsce do spania. Udajesz, że się modlisz i srasz, a oni dają ci bezpieczne miejsce.

– Chip potrzebował bezpiecznego miejsca?

Potrząsnęła głową.

– Opowiedz mi o Abby – poprosił Jeffrey pojednawczym tonem.

– Poznał ją na farmie. Była jeszcze dzieckiem. Uważał, że jest zabawna. Zaraz potem przymknęli go za posiadanie prochów. Dostał parę lat. Kiedy wrócił, Abby była już dorosła. – Wytarła łzę z oka. – Była taką niewinną suką, wzorem wszystkich cnót, i on się w niej zabujał. Zabujał się na amen.

– Powiedz mi, co się stało.

– Przychodziła do Kociaka. Możecie w to uwierzyć? – Roześmiała się z absurdalności tej sytuacji. – Była w tych swoich brzydkich prostych ciuchach i mówiła: „No dalej, Chip, chodź ze mną do kościoła. Chodź, pomodlimy się”. A on z nią szedł, nie mówiąc mi nawet „do widzenia”.

– Utrzymywali stosunki seksualne?

Parsknęła śmiechem.

– Jeszcze nie wynaleziono takiego łomu, którym można by rozchylić te kolana.

– Była w ciąży.

Głowa O’Ryan podskoczyła do góry.

– Myślisz, że ojcem był Chip?

Nawet nie usłyszała tego pytania. Lena wiedziała, że złość gotuje się w niej jak woda w czajniku. Z porywczosci była podobna do Cole’a Connolly’ego, ale z jakiegoś powodu Lena czuła, że ta dziewczyna, kiedy traci kontrolę nad sobą, stanowi większe zagrożenie niż ten stary.

– Głupia suka – syknęła O’Ryan przez zęby. Znowu uderzała kajdankami o metalowe kółko, wystukując na nim rytm jak werblem. – Pewnie zabrał ją do tego pierdolonego lasu. To było nasze pierdalone miejsce.

– Do lasu w Heartsdale? Do tego lasu?

– Głupia cipa – wyrzuciła z siebie, nie zdając sobie sprawy ze związku, który Jeffrey próbuje ustalić. – Chodziliśmy tam ćpać, kiedy byliśmy w szkole.

– Chodziłaś z Chipem do szkoły?

– Dopóki nie wykopał mnie ten kutas. – Wskazała na Buddy’ego. – Wyrzucił mnie na ulicę. Musiałam radzić sobie sama. – Buddy nawet się nie poruszył. – Mówiłam mu, żeby trzymał się od niej z daleka. Ta cała pierdolona rodzina jest porąbana.

– Która rodzina?

– Wardowie – odparła. – Nie myśl, że ona jedyna przyjeżdżała do Kociaka.

– A kto jeszcze?

– Oni wszyscy. Ci wszyscy bracia.

– Którzy?

– Wszyscy! – wrzasnęła, walnąwszy w stół tak mocno, że kula Buddy'ego upadła z grzechotem na podłogę.

Lena opuściła ręce, gotowa wkroczyć, gdyby O'Ryan spróbowała zrobić coś głupiego.

– Udają takich szlachetnych i wielkich, a są tak samo odrażający jak cała reszta. – Znowu parsknęła, ale tym razem przypominało to bardziej chrząknięcie świni. – Tamten też miał malutkiego chuja. Spuszczał się po trzech sekundach, a potem zaczynał ryczeć jak dziewczyna. – Przybrała płaczliwy ton: – „O Panie, pójdę do piekła, o Panie, będę płonął z szatanem”. Wkurwiał mnie, że nie wiem. Nie obchodziło sukinsyna piekło, kiedy łąpał mnie za głowę i zmuszał, żebym to połknęła.

Buddy zbladł i opadła mu szczęka.

– Który to z nich, Patty? – zapytał Jeffrey.

– Ten niski – odparła, drapiąc się po ręce tak mocno, że zostawiała czerwone rysy. – Ten z nastroszonym językiem.

Lena starała się zorientować, którego O'Ryan miała na myśli. Zarówno Paul, jak i Lev byli tak wysocy jak Jeffrey, obaj mieli gęste, dosyć długie włosy.

O'Ryan dalej drapała się po rękę. Wyglądało na to, że niedługo po drapie się do krwi.

– Dawał Chipowi wszystko, czego chciał. Herę, kokę, trawę.

– Handlował tym?

– Dawał.

– Dawał narkotyki?

– Nie mnie – warknęła ze złością. Spojrzała na swoją rękę, przyglądając się czerwonym zadrapaniom. Noga znowu zaczęła jej podskakiwać i Lena pomyślała, że jeśli ta dziewczyna zaraz nie wbije sobie igły w ramię, trafi ją szlag.

– Tylko Chipowi – powiedziała O'Ryan. – Mnie nigdy nic nie dał. Proponowałam mu nawet pieniądze, ale powiedział, żebym się odpierdoliła. Jakby jego gównem nie śmierdziało.

– Pamiętasz, jak miał na imię?

– Nie – odparła. – Ale zawsze tam był. Czasami siedział tylko przy końcu baru i obserwował Chipa. Pewnie chciał go zerznąć.

– Miał rude włosy?

– Nie – odparła, jakby mówiła do głupiego.

– Ciemne?

– Nie pamiętam koloru, dobra? – Jej oczy płonęły jak u zwierzęcia, które jest głodne. – Skończyłam gadać. – Zwróciła się do Buddy'ego: – Zabierz mnie stąd.

– Zaczekaj – powiedział Jeffrey.

– Mam rozmowę w sprawie pracy.

– Racja – rzekł Jeffrey.

– Zabierz mnie stąd! – wrzasnęła, pochylając się nad stołem tak daleko, jak mogła, żeby dobrać się do twarzy Buddy'ego. – Teraz, niech to szlag trafi!

Buddy cmoknął.

– Chyba nie skończyłaś odpowiadać na pytania.

– Chyba nie skończyłaś odpowiadać na pytania – powiedziała, przedrzeźniając go jak rozzłoszczone trzyletnie dziecko.

– Uspokój się – ostrzegł ją Buddy.

– Sam się uspokój, ty jednonogi kawałku gówna – wrzasnęła w odpowiedzi. Znowu trzęsła się na całym ciele z narkotycznego głodu. – Zabierz mnie stąd, do kurwy nędzy. I to już.

Buddy podniósł kulę z podłogi. Kiedy znalazł się przy drzwiach, powiedział:

– Szefie, rób z nią, co chcesz. Ja umywam ręce.

– Ty w mordę jebany tchórze! – rozdarła się dziewczyna, rzucając się w stronę Buddy'ego. Zapomniała, że jest przykuta do stołu, i kajdanki szarpnęły ją do tyłu jak psa na krótkiej smyczy. – Sukinsyn! – wrzasnęła i wpadła w kompletną histerię. Jej krzesło przewróciło się, gdy próbowała rzucić się na Buddy'ego. Kopnęła je, aż pokoziołkowało po podłodze, a potem zaskowyczała z bólu. – Pozwę was, wy pierdolone sukinsyny! – darła się, trzymając się za stopę. – Pierdolone kutasy!

– Patty – powiedział Jeffrey. – Patty?

Lena walczyła ze sobą, by nie zatkać uszu, kiedy dziewczyna wyła jak syrena. Jeffrey wstał z gniewną miną i trzymając się blisko ściany, ruszył do wyjścia. Lena szybko wyszła za nim na korytarz, nie spuszczać wzroku z O’Ryan, dopóki nie znalazły się między nimi solidne drzwi.

Jeffrey potrząsnął głową, jakby nie mógł uwierzyć, że istota ludzka zdolna jest do takiego zachowania.

– Po raz pierwszy w życiu żal mi tego sukinsyna – powiedział, mając na myśli Buddy’ego. Poszedł korytarzem, żeby jak najbardziej oddalić się od tego hałasu. – Myślisz, że Wardowie mają jeszcze jednego brata?

– Muszą mieć.

– Czarną owcę?

Lena przypomniała sobie ich rozmowę z tą rodziną sprzed dwóch dni.

– Myślałam, że to rola Paula.

– Co?

– To Paul powiedział, że jest czarną owcą w tej rodzinie.

Jeffrey otworzył przed nią drzwi pożarowe do sali odpraw. Zobaczyła, że w gabinecie Jeffrey’a siedzi Mark McCallum, specjalista Biura Śledczego Stanu Georgia od badań na wariografie. Naprzeciw niego siedział Lev Ward.

– Jak, u diabła, udało ci się to załatwić? – zapytała.

– Zażyłaś mnie – odparł Jeffrey, rozglądając się po sali, pewnie szukając Cole’a Connolly’ego. Marla siedziała przy swoim biurku. – Czy Lev Ward przyjechał sam?

Zerknął przez okno w korytarzu.

– O ile się orientuję, tak.

– Kiedy przyszedł?

– Około dziesięciu minut temu. – Uśmiechnęła się uprzejmie. – Pomyślałam, że chciałbyś, bym wezwała Marka, tak żeby zaczął przed obiadem.

– Dzięki – powiedział, kierując się do swojego gabinetu.

– Chcesz, żebym wzięła Brada i pojechała po Cole’a? – zaproponowała Lena.

– Wstrzymajmy się z tym – rzekł Jeffrey i zapukał do drzwi swojego gabinetu.

Mark zaprosił ich kiwnięciem ręki.

– Dopiero zaczynamy – powiedział.

– Dzięki, że zostałeś w mieście, Mark. – Jeffrey podał mu rękę. – Słyszałem, że podobała ci się obsługa pokoi w Dew Drop.

Mark chrząknął i wrócił do kręcenia gałkami w swoim aparacie.

– Panie komendancie – powiedział Lev. Wyglądał na tak odprężonego, jak może być ktoś, kto jest podłączony do wariografu. – Dziś rano dostałem od pana wiadomość. Przepraszam, że nie udało mi się przyjechać wczoraj.

– Dzięki za przybycie – rzekł Jeffrey, wyjmując notes. Zaczął coś w nim notować. – Cieszę się, że znalazł pan na to czas.

– Za parę godzin rodzina zbiera się w kościele na nabożeństwo za Abby. – Zwrócił się do Leny: – Dzień dobry, pani detektyw – powiedział cicho, po czym skupił ponownie wzrok na Jeffreyu. – Chciałbym mieć jak najwięcej czasu, żeby się przygotować. To bardzo trudny czas dla nas wszystkich.

– Spodziewałem się, że przyjedzie z panem Cole Connolly – rzekł Jeffrey, nie podnosząc głowy znad notesu.

– Przepraszam – rzekł Lev. – Cole nic mi o tym nie wspomniał. Będzie na nabożeństwie. Powiem mu, żeby tu wpadł zaraz po nim.

– Nie urządzacie pogrzebu? – spytał Jeffrey, nie przerywając pisania.

– Niestety, ciało musi zostać skremowane. Robimy tylko małe spotkanie w gronie rodzinnym, żeby porozmawiać o jej życiu i o tym, jak bardzo ją wszyscy kochaliśmy. Lubimy robić wszystko w prosty sposób.

Jeffrey skończył pisać.

– Osoby z zewnątrz nie są mile widziane?

– Cóż, to nie jest normalne nabożeństwo, raczej zgromadzenie rodzinne. Proszę posłuchać...

– Wypuścimy stąd pana tak szybko, jak się da. – Jeffrey wyrwał kartkę i podał ją Markowi.

Lev przyglądał się kartce, nie kryjąc zaciekawienia.

– Cieszę się. – Usiadł wygodniej w fotelu. – Paul był przeciwny mojemu przyjazdowi tutaj, ale ja zawsze uważałem, że lepiej jest współpracować.

– Mark? – zapytał Jeffrey, siadając za biurkiem. – Czy to dla ciebie nie jest za duży tłok?

– Eee... – Mark zawahał się przez chwilę. Zwykle był w pokoju sam z osobą badaną, ale wyników badań na wariografie nie brano pod uwagę w sądzie, a poza tym Ward nie został aresztowany. Lena podejrzewała, że wykrywacze kłamstw mają po prostu napędzać ludziom stracha. Nie byłaby zaskoczona, gdyby otworzyła taki aparat i znalazła w środku mysz kręcącą się na kołowrotku. – Nie – odparł Mark. – Nie ma problemu. – Pokręcił jeszcze jakimiś tarczami, po czym zdjął skuwkę z pióra. – Wielebny Ward, jest pan gotowy?

– Proszę mi mówić Lev.

– W porządku. – Mark miał obok wariografu notes, który zasłaniał przed wzrokiem Leva korpus aparatu. Otworzył go i wsunął kartkę od Jeffrey'ego za jego okładkę. – Chciałbym ci przypomnieć, żebyś, jeśli to będzie możliwe, ograniczał się do odpowiedzi „tak” i „nie”. W tym momencie nie musisz niczego szczegółowo omawiać. Wszystko, co twoim zdaniem będzie wymagało wyjaśnienia, zostanie potem omówione z komendantem Tolliverem. Aparat będzie rejestrował tylko odpowiedzi „tak” i „nie”.

– Rozumiem. – Lev zerknął na opaskę na ramieniu mierzącą jego ciśnienie krwi.

Mark włączył przycisk i papier zaczął się wolno wysuwać z aparatu.

– Proszę, postaraj się odprężyć i patrz prosto przed siebie.

Kolorowe igły na papierze drgnęły, kiedy Lev powiedział:

– W porządku.

Mark beznamiętnym głosem odczytywał pytania.

– Nazywasz się Thomas Leviticus Ward?

– Tak.

Mark zaznaczył coś na papierze.

– Mieszkasz przy Plymouth Road 63?

– Tak.

Kolejna adnotacja.

– Masz czterdzieści osiem lat?

– Tak.

I następna.

– Masz syna Ezekiela?

– Tak.

– Twoja żona nie żyje?

– Tak.

I tak ciągnęło się to wypytywanie o prozaiczne szczegóły życia Leva w celu ustalenia linii odniesienia dla prawdziwości jego odpowiedzi. Lena nie miała najmniejszego pojęcia, co zaznaczają skaczące igły, a znaki, które robił Mark, były dla niej hieroglifami. Stwierdziła, że się wyłącza, dopóki nie przeszli do ważnych pytań.

Głos Marka pozostał beznamiętny i obojętny, jakby dalej wypytywał Leva o jego wykształcenie.

– Znasz kogoś, kto mógłby źle życzyć twojej siostrzenicy Abigail?

– Nie.

– Czy według twojej wiedzy ktoś przejawiał zainteresowanie seksualne twoją siostrzenicą?

– Nie.

– Zabiłeś swoją siostrzenicę Abigail?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek przejawiała ona zainteresowanie kimś, kto mógłby ci się wydawać nieodpowiedni?

– Nie.

– Czy byłeś kiedykolwiek zły na swoją siostrzenicę?

– Tak.

– Czy ją kiedykolwiek uderzyłeś?

– Raz, w pupę. To znaczy tak. – Uśmiechnął się nerwowo: – Przepra-

szam.

Mark zignorował ten wtęret.

– Czy zabiłeś Abigail?

– Nie.

– Czy miałeś z nią kiedykolwiek kontakt seksualny?

– Nigdy. To znaczy nie.

– Czy miałeś z nią kiedykolwiek jakiś niestosowny kontakt?

– Nie.

– Czy poznałeś mężczyznę o nazwisku Dale Stanley?

– Tak. – Lev wydawał się zaskoczony.

– Czy wchodziłeś z nim do jego warsztatu?

– Tak.

– Czy masz brata o nazwisku Paul Ward?

– Tak.

– Czy masz innych braci?

– Nie.

– Czy wiesz, gdzie jest twoja siostrzenica Rebecca Bennett?

Lev rzucił Jeffreyowi zdumione spojrzenie.

Mark powtórzył:

– Czy wiesz, gdzie jest twoja siostrzenica Rebecca Bennett?

Lev z powrotem zaczął patrzeć prosto przed siebie.

– Nie.

– Czy zabrałeś coś z warsztatu Dale’a Stanleya?

– Nie.

– Czy zakopałeś Abigail Bennett w lesie?

– Nie.

– Czy wiesz o kimś, kto mógłby mieć zamiar wyrządzić krzywdę twojej siostrzenicy?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek byłeś w Różowym Kociaku?

Usta Leva zmarszczyły się w wyrazie konsternacji.

– Nie.

– Czy twoja siostrzenica wydała ci się kiedykolwiek atrakcyjna?

Zawahał się, a potem powiedział:

– Tak, ale...

Mark przerwał mu.

– Proszę, tak lub nie...

Wydawało się, że Lev po raz pierwszy stracił nieco opanowanie. Potrzęsnał głową, jakby sam chciał się upomnieć za odpowiedź.

– Muszę się wytłumaczyć. – Spojrzał na Jeffreya. – Możemy to przerwać? – Nie czekając na odpowiedź, zaczął ściągać czujniki z klatki piersiowej i palców.

– Pozwól, że ja to zrobię – zaproponował Mark, wyraźnie bojąc się o swój sprzęt.

– Przepraszam – powiedział Lev. – Ja po prostu... Po prostu tego już za wiele.

Jeffrey wskazał Markowi, żeby pozwolił Levowi odłączyć się od aparatu.

– Staralem się być szczery – powiedział Lev. – Dobry Boże, co za gnój.

Mark zamknął swój notatnik. Jeffrey powiedział:

– Za chwilę wrócimy.

Lena odsunęła się z drogi i zajęła miejsce Jeffreya, kiedy obaj mężczyźni wyszli z pokoju.

– Nigdy nie skrzywdziłbym Abby – powiedział do niej Lev. – Co za gnój. Co za gnój.

– Niech się pan tak nie przejmuje – rzekła Lena, odchylając się w fotelu do tyłu. Miała nadzieję, że nie wygląda na tak zadowoloną z siebie, jak się czuła. Instynkt mówił jej, że Lev maczał w tym palce. Było tylko kwestią czasu, kiedy Jeffrey go przyskrzyni.

Lev złożył ręce między kolanami i pochylił się. Trwał w tej pozycji, dopóki nie wrócił Jeffrey. Zaczął mówić, zanim Jeffrey zdążył zająć miejsce Marka.

– Staralem się być szczery. Nie chciałem powiedzieć jakiegoś kłamstwa, żebyście... Och, dobry Boże. Przepraszam. Narobiłem niezłego gnoju.

Jeffrey wzruszył ramionami, jakby było to zwykle nieporozumienie.

– Proszę mi to wyjaśnić.

– Ona była... – Ukrył twarz w dłoniach. – Ona była atrakcyjną dziewczyną.

– Była bardzo podobna do pana siostry – przypomniała sobie Lena.

– Och nie – powiedział Lev trzęsącym się głosem. – Nigdy nie zachowałem się niestosownie ani wobec mojej siostry, ani wobec siostrzenicy. Żadnej z siostrzenic. – Mówił niemal błagalnym tonem, chcąc, by mu uwierzyli. – Raz się zdarzyło, tylko raz, że Abby przechodziła przez biuro. Nie wiedziałem, że to ona. Zobaczyłem ją od tyłu i moja reakcja...

– Zwrócił się do Jeffrey: – Wie pan, jak to jest.

– Ja nie mam ładnych siostrzeniec – odparł Jeffrey.

– O Boże – westchnął Lev. – Paul mówił mi, że będę tego żałował. – Odchylił się na fotelu do tyłu, wyraźnie zmartwiony. – Niech pan posłucha, przeczytałem dosyć prawdziwych historii kryminalnych. Wiem, jak to działa. Zawsze najpierw bierzecie pod lupę członków rodziny. Chciałem to wykluczyć. Chciałem być z wami jak najbardziej szczerzy. – Wzniósł oczy do sufitu, jakby miał nadzieję na interwencję z góry. – To się zdarzyło tylko raz. Szła przejściem koło kserokopiarki i nie poznałem jej z tyłu, a kiedy się odwróciła, o mało nie padłem. To nie było tak, że... – Przerwał, a potem ciągnął dalej, uważnie dobierając słowa. – To nie było tak, że to przemyślałem, nie mówiąc już o tym, żebym to rozważał. Patrzyłem po prostu w przestrzeń i myślałem: „To ładna kobieta”, a potem zobaczyłem, że to Abby, i przysięgam wam, przez miesiąc nie byłem w stanie nawet z nią porozmawiać. Nigdy w życiu niczego się tak nie wstydziłem. – Lev wyciągnął ręce. – Kiedy ten oficer zadał to pytanie, to była pierwsza rzecz, która przyszła mi do głowy. Tamten dzień. Wiedziałem, że zorientuje się, czy kłamię.

– Badanie nie dało jednoznacznego wyniku – ujawnił z rozkoszą Jeffrey.

Wydawało się, że z Leva uszło całe powietrze.

– Schrząniłem wszystko, starając się przedstawić sprawy właściwie.

– Dlaczego nie chciał pan zgłosić faktu zaginięcia drugiej siostrzenicy.

cy?

– Wydawało się... – Urwał, jakby nie mógł znaleźć odpowiedzi. – Nie chciałem zabierać panu niepotrzebnie czasu. Becca często ucieka. Jest bardzo melodramatyczna. – Westchnął.

– Dotykał pan kiedyś Abigail? – zapytał Jeffrey.

– Nigdy.

– Czy ona kiedykolwiek spędzała czas tylko z panem?

– Tak, oczywiście. Jestem jej wujem. I pastorem.

– Czy kiedykolwiek wyznała coś panu? – zapytała Lena.

– To nie jest tak – odparł Lev. – Po prostu rozmawialiśmy. Abby uwielbiała czytać Biblię. Analizowaliśmy wspólnie Pismo Święte. Graliśmy w scrabble. Robię to ze wszystkimi moimi siostrzenicami i siostrzeńcami.

– Sam pan widzi, dlaczego brzmi to dla nas dziwnie – rzekł Jeffrey.

– Przepraszam – powiedział Lev. – Ani trochę wam nie pomogłem.

– To prawda – zgodził się z nim Jeffrey. – Co robił pan u Stanleya?

Lev potrzebował chwili, żeby zmienić bieg myśli.

– Dale zadzwonił, że niektórzy z naszych ludzi chodzą na skróty przez jego posesję. Porozmawiałem z nim, przeszedłem się granicą posesji i zgodziłem się postawić płot.

– Dziwne, że zrobił to pan osobiście – zasugerował Jeffrey. – Pan przecież kieruje farmą, prawda?

– Niezupełnie – odparł Lev. – Każdy z nas zajmuje się swoją działką.

– Nie odniosłem takiego wrażenia – powiedział Jeffrey. – Mnie się wydaje, że to pan jest tam szefem.

– Jestem odpowiedzialny za codzienne prace – przyznał Lev, jak się wydawało, niechętnie.

– To całkiem spore gospodarstwo.

– Owszem.

– Obchodzenie granicy posesji Dale’a, rozmowa o postawieniu płotu... nie mógł pan kogoś do tego oddelegować?

– Ojciec stale mi to wytyka. Obawiam się, że trochę za bardzo lubię dyrygować. Powinienem nad tym popracować.

– Dale to potężny facet – powiedział Jeffrey. – Nie obawiał się pan iść tam sam?

– Był ze mną Cole. Jest brygadzystą na naszej farmie. Nie wiem, czy zdążyliście wczoraj się tego dowiedzieć. Jego historia to jeden z pierwszych sukcesów Świętej Soi. Mój ojciec był jego duszpasterzem w więzieniu. Minęło ponad dwadzieścia lat i Cole jest nadal z nami.

– Został skazany za rabunek z bronią w ręku – rzekł Jeffrey.

– Zgadza się. – Lev skinął głową. – Chciał obrabować sklep całodobowy. Ktoś go wydał. Sędzia nie potraktował go łagodnie. Jestem pewien, że Cole się wyspał, jak sobie pościelił, tak jak jestem pewien, że leżał w tej pościeli dwadzieścia parę lat. Jest teraz zupełnie innym człowiekiem niż wtedy, kiedy pomagał zaplanować ten napad.

Jeffrey popędził go trochę.

– Wszedł pan do warsztatu Dale’a?

– Przepraszam?

– Dale Stanley. Wszedł pan do jego warsztatu, kiedy pan tam pojechał, żeby porozmawiać o płocie?

– Tak. Normalnie nie interesuję się samochodami, to nie moja działka, ale wydawało mi się, że wypada to zrobić z czystej uprzejmości.

– A gdzie był Cole przez ten cały czas? – zapytała Lena.

– Został w samochodzie – odparł Lev. – Nie zabrałem go ze sobą w celu zastraszenia Dale’a. Chciałem tylko, by wiedział, że nie jestem sam.

– Cole był przez cały czas w samochodzie? – zapytał Jeffrey.

– Tak.

– Nawet kiedy obchodził pan granicę między pana ziemią a ziemią Dale’a?

– To jest własność Kościoła, ale tak.

– Czy kiedykolwiek wykorzystywał pan Cole’a do zastraszania?

Lev sprawiał wrażenie, że jest skrępowany. Milczał chwilę, zanim odparł:

– Tak.

– W jakim sensie?

– Czasami przychodzą do nas ludzie, którzy chcą wykorzystać nasz system. Cole rozmawia z nimi. Odbiera to jako osobistą zniewagę, kiedy ktoś chce wykorzystać Kościół. Właściwie naszą rodzinę. Jest niezwykle lojalny wobec mojego ojca.

– Czy kiedykolwiek posuwa się do rękoczynów wobec osób, które próbują wykorzystać rodzinę?

– Nie – rzekł z naciskiem Lev. – Absolutnie nie.

– Skąd ma pan taką pewność?

– Bo zdaje sobie sprawę ze swojego problemu.

– Co to znaczy?

– On ma... miał... bardzo wybuchowe usposobienie. – Lev jakby sobie coś przypomniał. – Na pewno żona powiedziała panu o tym, jak wybuchnął wczorajszego wieczoru. Proszę mi wierzyć, to tylko dlatego, że jego wiara jest tak żarliwa. Pierwszy bym przyznał, gdyby posunął się trochę za daleko, ale zapanowałbym nad sytuacją, gdyby wynikła taka potrzeba.

Lena zastanawiała się, o czym on, do diabła, mówi, ale wiedziała, że lepiej mu nie przerywać.

Jeffrey jednak puścił to mimo uszu.

– Jak bardzo wybuchowe było usposobienie Cole'a? Powiedział pan, że on miał wybuchowe usposobienie. Był bardzo porywczy?

– Posuwał się do rękoczynów. Nie wtedy, kiedy poznał go tata, ale przedtem – dodał Lev. – Jest bardzo silny.

Jeffrey podciągnął trochę żyłkę.

– Nie próbuję tobie przeczyć, Lev, ale miałem go tu wczoraj. Według mnie, sprawia wrażenie zupełnie niegroźnego faceta.

– On jest niegroźny – rzekł Lev. – Teraz.

– Teraz?

– W wojsku był w siłach specjalnych. Robił dużo złych rzeczy. Nie zaczynasz brać heroiny za tysiąc dolarów tygodniowo dlatego, że jesteś zadowolony ze swojego życia. – Zdawał się wyczuwać niecierpliwość Jeffrey'a. – Ten napad z bronią w ręku – dodał. – Pewnie dostałby lżejszy wyrok – nawet nie zdążył wejść do tego sklepu – gdyby nie stawiał opo-

ru podczas aresztowania. Jeden z policjantów został ciężko pobity, omal nie stracił oka. – Lev wydawał się zmartwiony tym obrazem. – Cole rzucał się na niego z rękami.

Jeffrey wyprostował się na fotelu.

– Tego nie było w kartotece.

– Nie wiem dlaczego – powiedział Lev. – Oczywiście nigdy nie widziałem jego kartoteki, ale on się nie wstydzi przyznać do swoich występków w przeszłości. Mówił o tym przed całym zbozem, traktując to jako część swojego świadectwa wiary.

Jeffrey nadal siedział na brzegu fotela.

– Powiedziałeś, że rzucił się na tego policjanta z rękami?

– Z pięściami – sprecyzował Lev. – Zanim trafił do więzienia, zarabiał, staczając walki bokserskie bez rękawic. Spowodował poważne uszkodzenia ciała u paru osób. To część jego życia, z której nie jest dumny.

Jeffrey umilkł na chwilę, by to przetrawić.

– Cole Connolly ma ogoloną głowę.

Zmiana pozycji Leva pokazała, że była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał.

– Tak – powiedział. – Zgolił ją w zeszłym tygodniu. Przedtem strzygł się po wojskowemu.

– Nastroszony język?

– Chyba można to tak określić. Czasami zasychał mu na włosach pot i trochę sterczały. – Uśmiechnął się smutno. – Abby wyśmiewała się z tego.

Jeffrey skrzyżował ramiona na piersi.

– Jak byś opisał stosunek Cole'a do Abby?

– Opiekuńczy. Honorowy. Jest dobry dla wszystkich dzieci na farmie. Nie powiedziałbym, żeby darzył Abby jakimś szczególnym zainteresowaniem. Cały czas pilnuje Zeke'a. Całkowicie mu ufam.

– Znasz Chipa Donnera?

Lev wydawał się zaskoczony tym nazwiskiem.

– Pracował na farmie przez parę lat z przerwami. Cole powiedział

mi, że ukradł pieniądze z kasy podręcznej. Musieliśmy poprosić go, żeby odszedł.

– Nie wezwaliście policji?

– Normalnie nie angażujemy policji w nasze sprawy. Wiem, że to brzmi źle...

– Proszę przestać się martwić o to, jak coś brzmi, wielebny Ward, i po prostu powiedzieć nam, co się stało.

– Cole poprosił Donnera, żeby się wyniósł. Następnego dnia już go nie było.

– Wie pan, gdzie jest teraz Cole?

– Wszyscy wzięliśmy wolny ranek z powodu nabożeństwa za Abby. Myślę, że jest w swoim mieszkaniu w stodole i przygotowuje się do tego. – Lev spróbował jeszcze raz: – Komendancie Tolliver, proszę mi wierzyć, to wszystko należy już do przeszłości. Cole jest łagodnym człowiekiem. Jest dla mnie jak brat. Dla nas wszystkich.

– Jak pan powiedział, wielebny Ward, najpierw musimy wyeliminować z grona podejrzanych rodzinę.

Kiedy zaparkowali przed stodołą ze sprzętem, gdzie mieszkał Cole Connolly, Jeffrey czuł, że podniecenie Leny jest tak samo wielkie jak jego. Jeśli rozwiązywanie sprawy przypominało jazdę diabelską kolejką, to znajdowali się na końcu pochyłości, pędząc z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę ku następnej pętli. Lev Ward miał przypadkiem w portfelu zdjęcie swojej rodziny. Patty O’Ryan użyła swojego zwykłego barwnego stylu, kiedy wskazała Cole’a Connolly’ego jako tego obciążającego kutasa matkojebcę, który odwiedzał Chipa w Różowym Kociaku.

– To rozcięcie na jego palcu – powiedziała Lena.

– O co chodzi? – zapytał Jeffrey, ale zaraz zrozumiał. Connolly powiedział, że rana na jego prawym palcu wskazującym powstała podczas pracy w polu.

– Można by pomyśleć, że powinien mieć więcej niż jedno małe skaleczenie na grzbiecie dłoni, biorąc pod uwagę to, jak wyglądał Chip Donner. Oczywiście, O.J.² miał tylko rozcięcie na grzbiecie palca – przyznała.

– Tak samo Jeffrey McDonald.

² Orenthal James Simpson, zawodowy futbolista i aktor filmowy. W 1994 roku został oskarżony o zamordowanie swojej byłej żony i jej kochanka. W 1995 roku sąd karny oczyścił go z tych zarzutów, ale dwa lata później sąd cywilny uznał go winnym podwójnego morderstwa (przyp. tłum.).

– Kto to taki?

– Zadźgał całą swoją rodzinę na śmierć: dwójkę dzieci i ciężarną żonę. Rozcięcie na grzbiecie palca było jedyną raną, której sam sobie nie zadał.

– Miły facet – zauważyła Lena, a potem zapytała: – Myślisz, że to Cole porwał Rebeccę?

– Myślę, że się dowiemy – odparł Jeffrey, pokładając w Bogu nadzieję, że dziewczyna po prostu uciekła z domu i jest gdzieś bezpieczna, a nie leży pogrzebana pod ziemią, oddychając resztką powietrza i modląc się, by ktoś ją znalazł.

Skręcił na żwirową drogę, którą w poniedziałek jechali do farmy. Trzymali się za starym fordem festiwą Leva Warda, który ściśle przestrzegał dopuszczalnej prędkości. Jeffrey miał wrażenie, że zrobiłby to, nawet gdyby nie jechał za nim żaden gliniarz.

Kiedy Lev skręcał na podjazd do stodoły, włączył nawet kierunkowskaz.

– No to jesteśmy na miejscu – powiedział do Leny, kiedy oboje wysiedli z samochodu.

Lev wskazał na schody w stodole.

– Mieszka na górze.

Jeffrey zerknął w górę, zadowolony, że w ścianie frontowej stodoły nie ma żadnych okien, przez które Connolly mógłby ich zobaczyć.

– Zaczekaj tutaj – powiedział do Leny, wchodząc do stodoły. Lev ruszył za nim, ale Jeffrey go zatrzymał. – Musisz zostać tutaj.

Wydawało się, że Lev chce zaprotestować, ale powiedział tylko:

– Uważam, że pan się grubo myli, komendancie Tolliver. Cole kochał Abby. On nie jest człowiekiem, który by coś takiego zrobił. Nie wiem, jaki zwierz jest do tego zdolny, ale Cole nie...

– Dopilnuj, żeby nikt mi nie przeszkadzał – rzekł Jeffrey do Leny. – Zwrócił się do Leva: – Byłbym wdzięczny, gdyby pan tu został, dopóki nie zejde.

– Muszę się przygotować – odparł kaznodzieja. – Modlimy się dzisiaj o spokój duszy Abby. Czeka na mnie rodzina.

Jeffrey wiedział, że do rodziny należy też szczywany prawnik, i za cholerę nie chciał, by do jego rozmowy z Connollym wtrącił się bezceremonialnie Paul Ward. Były więzień był cwany i będzie mu trudno go złamać nawet bez przeszkód stawianych przez Paula.

Znajdował się poza terenem, na którym miał prawo działać, nie miał nakazu aresztowania i jedyną prawdopodobną przyczyną tego, że musiał porozmawiać z Connollym, były słowa striptizerki, która za działkę zabiłaby własną matkę.

– Rób, co musisz. – Tylko tyle mógł powiedzieć Levowi.

Kiedy pastor odjechał, Lena włożyła ręce do kieszeni.

– Jedzie prosto do swojego brata.

– Trzymaj ich z daleka od tego mieszkania, choćbyś miała użyć siły – powiedział Jeffrey.

– Tak jest.

Wszedł cicho po stromych schodach na górę. Na podeście u ich szczytu zajrzał przez szybę w drzwiach do mieszkania Connolly'ego i zobaczył go stojącego przed zlewem. Stał tyłem do Jeffreya, a kiedy się odwrócił, Jeffrey zobaczył, że napelnia czajnik wodą. Nie wydawał się zaskoczony widokiem czyjejś twarzy za szybą.

– Wejdz – powiedział, stawiając czajnik na kuchence. Rozległa się seria trzasków, kiedy zapalał gaz.

– Panie Connolly – zaczął Jeffrey, niepewny, jak ma zacząć.

– Cole – poprawił go stary. – Właśnie robię kawę. – Uśmiechnął się do Jeffreya, a jego oczy błyszczały tak samo jak dzień wcześniej. – Chce pan kubek? – zaproponował Connolly.

Jeffrey zobaczył na blacie stołu słoik kawy rozpuszczalnej Folgers i stłumił uczucie odrazy. Jego ojciec święcie wierzył w moc drobin Folgers, twierdząc, że to najlepszy lek na kaca.

Jeśli o Jeffreya chodziło, to raczej napiłby się wody z sedesu, ale odpowiedział:

– Tak, chętnie.

Connolly wyjął z szafki jeszcze jeden kubek. Jeffrey zobaczył, że ma tylko dwa.

– Siadaj – powiedział Connolly. Odmierzył dwie czubate łyżki ziarnistej czarnej kawy i wsypał ją do kubków.

Jeffrey wyciągnął krzesło spod stołu, rozglądając się po mieszkaniu Connolly'ego, które stanowiło jedno pomieszczenie, z kuchenką z jednej i łóżkiem z drugiej strony. Na łóżku leżała biała pościel i prosta narzuta, wszystko ułożone po wojskowemu, pod linijkę. Ten człowiek żył w spartańskich warunkach. Oprócz krzyża wiszącego nad łóżkiem i religijnego plakatu przyklejonego taśmą do jednej z pomalowanych na biało ścian, nie było tam niczego, co wyjawiałoby cokolwiek o mężczyźnie, który nazywał to miejsce domem.

– Od dawna tu mieszkasz? – zapytał Jeffrey.

– Och – Connolly zdawał się zastanawiać nad tym. – Chyba idzie piętnasty rok. Jakiś czas temu przenieśliśmy się wszyscy na farmę. Mieszkalem w domu, ale zaczęły podrastać wnuki, każdy chciał mieć swój pokój, przestrzeń tylko dla siebie. Wiesz, jakie są dzieci.

– Tak – powiedział. – Masz tu miłe gniazdko.

– Sam to zbudowałem – rzekł Connolly z dumą. – Rachel zaproponowała mi miejsce w swoim domu, ale zobaczyłem to pomieszczenie tutaj i wiedziałem, że będę mógł coś z tego zrobić.

– Niezły z ciebie cieśla – stwierdził Jeffrey, oglądając pokój uważnie. Skrzynia, w której znaleźli Abby, miała precyzyjne połączenia kątowe, podobnie ta druga. Człowiek, który je zrobił, był skrupulatny, nie szczędził czasu, by wszystko wykonać prawidłowo.

– Mierz dwa razy, tnij raz. – Connolly usiadł przy stole, stawiając jeden kubek przed Jeffreyem, drugi zostawiając dla siebie. Między nimi leżała Biblia, przytrzymująca stos serwetek. – Co cię tutaj sprowadza?

– Mam jeszcze parę pytań – odparł Jeffrey. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Connolly potrząsnął głową, jakby nie miał nic do ukrycia.

– Oczywiście, że nie. Zrobię wszystko, co mogę, żeby pomóc. Strzelaj.

Jeffrey poczuł zapach kawy i musiał odsunąć kubek, żeby móc otworzyć usta. Postanowił zacząć od Chipa Donnera. O’Ryan udzieliła

im informacji o konkretnym powiązaniu między chłopakiem i starym. Związek z Abby był luźniejszy, a Connolly nie był typem, który się powiesi na własnym sznurze.

– Słyszałeś kiedy o barze o nazwie Różowy Kociak?

Connolly patrzył na niego bez mrugnięcia powieką.

– To klub striptizowy przy autostradzie.

– Zgadza się.

Connolly przesunął swój kubek o ćwierć cala w lewo, umieszczając go przed Biblią.

– Byłeś tam kiedy, Cole?

– To dziwne pytać o to chrześcijanina.

– Pewna striptizerka mówi, że tam byłeś.

Connolly potarł czubek swojej łysej głowy, wycierając pot.

– Ciepło tutaj – powiedział, podchodząc do okna. Byli na drugim poziomie, a okno było za małe, ale Jeffrey sprężył się na wypadek, gdyby Connolly chciał się przez nie rzucić.

– Nie bardzo wierzyłbym słowu kurwy – powiedział Connolly, odwróciwszy się do Jeffreya.

– Tak – przyznał Jeffrey. – Mówią ci to, co myślą, że chcesz usłyszeć.

– Szczera prawda – zgodził się z nim Connolly, podnosząc słoik kawy. Podeszedł do zlewu, umył łyżkę i wytarł nieźle spraną ścierką, zanim odłożył ją do szuflady. Zaczął gwizdać czajnik, zdjął go więc przez tę ścierkę z palnika. – Podaj kubki – poprosił Jeffreya, który przesunął je w jego stronę.

– Kiedy byłem w wojsku – powiedział Connolly, nalewając wrzątek do kubków – nie było w okolicy baru z cymbałkami, do którego byśmy nie wpadli przy jakiejś okazji. Jaskinie niegodziwości. – Odstawił czajnik na kuchenkę i wyjął łyżkę, którą przed chwilą umył, by pomieszać kawę. – Byłem wtedy słabym człowiekiem. Słabym.

– Co robiła Abby w Różowym Kociaku, Cole?

Connolly nie przerywał mieszania, zmieniając przejrzysty płyn w nienaturalnie czarny.

– Abby chciała pomagać ludziom – powiedział, wracając do zlewu. –

Nie wiedziała, że wchodzi do jaskini lwa. Była uczciwą duszą.

Jeffrey przyglądał się, jak Cole ponownie myje łyżkę. Włożył ją do szuflady, a potem usiadł naprzeciw Jeffreya.

– Starła się pomóc Chipowi Donnerowi? – zapytał Jeffrey.

– On nie był wart tego, żeby mu pomóc – odparł Cole, unosząc kubek do ust. Z naczynia uniosła się para, dmuchnął więc na płyn, po czym odstawił kubek. – Za gorąca.

Jeffrey odchylił się na krzesło, żeby uciec od tego zapachu.

– Dlaczego nie był wart, żeby mu pomóc?

– Lev i inni tego nie widzą, ale niektórzy z tych ludzi chcą wykorzystać ten układ. – Wycelował palec w Jeffreya. – Ty i ja wiemy, jacy są ci ludzie. Moim zadaniem jest pozbyć się ich z farmy. Zajmują tylko miejsce komuś innemu, kto chce się poprawić. Komuś, kto jest silny w Panu.

Jeffrey podjął wątek.

– Ci źli ludzie chcą to wykorzystać dla swojej wygody. Zabrać, co można, i wynieść się.

– Dokładnie tak – zgodził się Cole. – Moim zadaniem jest szybko się ich pozbyć.

– Zanim to zniszczą.

– Właśnie – powiedział Cole.

– Co Chip zrobił Abby?

– Zabrał ją do lasu. Ona była niewinną dziewczyną. Niewinną.

– Widziałeś, jak ją zabierał do lasu? – zapytał Jeffrey, myśląc, że to dość dziwne, by siedemdziesięcioletni mężczyzna śledził młodą dziewczynę.

– Chciałem się upewnić, że nic jej nie grozi – wyjaśnił Connolly. – Mogę ci powiedzieć wprost, że martwiłem się o jej duszę.

– Czujesz się odpowiedzialny za tę rodzinę?

– Skoro Thomas jest w takim stanie, ja musiałem jej pilnować.

– Stale to widzę – zachęcił go Jeffrey. – Wystarczy zgniłe jabłko.

– Taka jest prawda, mój panie. – Connolly znowu dmuchnął na kawę i zaryzykował łyk. Skrzywił się, bo sparzył sobie język. – Starłem się ją przekonać. Miała zamiar wyjechać z tym chłopakiem. Pakowała

torbę, zmierzała drogą do niegodziwości. Nie mogłem do tego dopuścić. Dla dobra Thomasa, dla dobra jej rodziny. Nie mogłem pozwolić, by stracili jeszcze jedną duszę.

Jeffrey kiwał głową, fragmenty łamigłówek zaczynały się układać. Oczami wyobraźni widział Abigail Bennett pakującą walizki, myślącą, że zacznie nowe życie, dopóki nie wszedł Connolly i nie zmienił wszystkiego. Jakie myśli przebiegały przez głowę Abigail, kiedy prowadził ją do lasu? Musiała być przerażona.

– Nie uważam, żebyś chciał jej śmierci – powiedział Jeffrey.

Connolly poderwał głowę. Przez chwilę patrzył na Jeffreya.

– To ty zbiłeś tę skrzynię, Cole. – Jeffrey wskazał na pokój. – Robisz wszystko, jak należy. Zdradza cię twoja fachowa robota. – Starał się go z tym oswoić. – Nie sądzę, że chciałeś, by umarła.

Connolly nic nie odpowiedział.

– Martwię się o jej matkę – ciągnął Jeffrey. – Esther to dobra kobieta.

– To prawda.

– Musi się dowiedzieć, co się przydarzyło córce, Cole. Kiedy u niej byłem i przeglądałem rzeczy Abby, próbując odkryć, co się jej przydarzyło, Esther błagała mnie. Złapała mnie za rękę, Cole. Miała łzy w oczach. – Przerwał na chwilę. – Esther musi się dowiedzieć, co się przydarzyło jej dziecku, Cole. Potrzebuje tego dla spokoju umysłu.

Connolly tylko kiwał głową.

– Zmierzam do punktu, Cole, w którym będę musiał zacząć doprowadzać ludzi do komisariatu. Będę musiał zacząć rzucać w nich błotem i patrzeć, co się przyklei.

Connolly odchylił się na oparcie krzesła z zaciśniętymi ustami.

– Najpierw każę doprowadzić Mary, potem Rachel.

– Wątpię, czy Paul do tego dopuści.

– Mogę zatrzymać je na dwadzieścia cztery godziny bez przedstawiania zarzutów. Moim zdaniem Mary i Rachel mogłyby być istotnymi świadkami – dodał, nadal starając się znaleźć właściwy punkt nacisku.

– Rób, co chcesz – wzruszył ramionami Connolly.

– Ciężka sprawa będzie z Thomasem. – Jeffrey nie ustawał w wysił-

kach. Wzrok miał utkwiony w Connollym, starając się ocenić, jak daleko może się posunąć w nacisku na starego. Na dźwięk imienia jego nauczyciela napięły się wszystkie mięśnie Connolly'ego, a tymczasem Jeffrey mówił dalej: – Zrobimy wszystko, żeby było mu wygodnie. Drzwi cel są dosyć wąskie, ale na pewno będziemy mogli go wnieść, jeśli jego wózek się nie zmieści.

Kran nad zlewem lekko przeciekał i w ciszy, która potem nastąpiła, Jeffrey słyszał odgłos kapiącej wody, rozchodzący się echem po małym pokoju. Nie spuszczał wzroku z Connolly'ego, patrzył, jak zmienia się wyraz jego twarzy, kiedy wyobrażał sobie, jak spełnia się groźba Jeffrey'ego.

Jeffrey widział, jakie wrażenie wywarły jego słowa, i przycisnął jeszcze mocniej.

– Zatrzymam go w areszcie, Cole. Zrobię wszystko, co będzie trzeba, żeby odkryć, co się zdarzyło. Nie rzucam słów na wiatr.

Connolly mocno ścisnął kubek, ale jego uchwyt zelżał, kiedy wydawało się, że podjął decyzję.

– Zostawicie Thomasa w spokoju? – zapytał.

– Masz moje słowo.

Connolly skinął głową. Nie spieszył się jednak z mówieniem. Jeffrey już miał go sprowokować, kiedy stary powiedział:

– Wcześniej żadna z nich nie umarła.

Jeffrey poczuł przyływ adrenaliny, ale robił, co mógł, żeby nie przerwać rytmu tej rozmowy.

Zawsze podchodzili do tego okrężną drogą, usprawiedliwiając swoje postępowanie, przekonując samych siebie, że w istocie są dobrymi ludźmi, którzy na chwilę zblądzili i zrobili coś złego.

– Wcześniej żadna z nich nie umarła – powtórzył Connolly.

– Komu jeszcze to zrobiłeś, Cole? – Jeffrey starał się nie mówić oskarżycielskim tonem.

Connolly wolno potrząsnął głową.

– A co z Rebeccą?

– Pojawi się.

– Tak jak Abby?

– Jak zły szeląg. Do tej dziewczyny nic nie trafiało. Nigdy nie słuchała, co do niej mówiłem. – Connolly patrzył w swoją kawę, ale w jego zachowaniu nie było ani cienia skruchy. – Abby spodziewała się dziecka.

– Powiedziała ci o tym? – zapytał Jeffrey i wyobraził sobie Abby, jak próbuje wyrzucić tę wiadomością nacisk na starego szaleńca, myśląc, że dzięki temu uda się jej wyperswadować mu, by nie umieszczał jej w skrzyni.

– Chciała mi złamać serce – odparł Cole. – Ale to mnie też przekonało do zrobienia tego, co trzeba było zrobić.

– Więc zakopałeś ją nad jeziorem. W tym samym miejscu, w które zabrał ją Chip, żeby się z nią kochać.

– Miała zamiar z nim uciec – powtórzył Connolly. – Poszedłem, żeby się z nią pomodlić, a ona się pakowała, przygotowywała, żeby uciec z tym śmieciem, wychować ich dziecko w grzechu.

– Nie mogłeś jej na to pozwolić – zachęcił go Jeffrey do dalszych zwierzeń.

– Ona była niewinną dziewczyną. Potrzebowała czasu, żeby się zastanowić nad tym, na co pozwoliła temu chłopakowi. Była zbrukana. Musiała się podnieść i narodzić na nowo.

– To o to chodzi? – zapytał Jeffrey. – Zakopujesz je, żeby mogły się narodzić na nowo? – Nie usłyszał odpowiedzi, zadał więc następne pytanie: – Zakopałeś Rebecę, Cole? To tam teraz jest?

Connolly położył dłoń na Biblii i zacytował: „Niech znikną z ziemi grzesznicy... i niech już nie będzie występnych”.

– Cole, gdzie jest Rebecca?

– Powiedziałem ci, synu, nie wiem.

– Czy Abby była grzesznicą? – Jeffrey nie ustępował.

– Składam to w ręce Pana – odparł stary. – On mi mówi, żebyśmy dawali im czas na modlitwę, na kontemplację. On zleca mi misję, a ja daję tym dziewczynom szansę na zmianę życia. – I znowu zacytował: „Pan strzeże wszystkich, którzy Go miłują, a wytępi wszystkich występnych”.

– Abby nie miłowała Pana? – zapytał Jeffrey.

Connolly wydawał się autentycznie smutny, jakby nie odegrał żadnej roli w tej strasznej śmierci.

– Pan postanowił ją zabrać. – Otarł oczy. – Ja tylko wypełniłem Jego rozkazy.

– Czy On kazał ci pobić Chipa na śmierć?

– Ten chłopak nie robił niczego dobrego dla świata.

Jeffrey przyjął to jako przyznanie się do winy.

– Dlaczego zabiłeś Abby, Cole?

– To Pan postanowił ją zabrać. – Jego żal był szczery. – Po prostu zabrakło jej powietrza – powiedział. – Biedactwo.

– To ty umieściłeś ją w tej skrzyni.

Cole skinął krótko głową i Jeffrey czuł, że stary jest coraz bardziej zły.

– Ja.

– Zabiłeś ją. – Jeffrey przycisnął go trochę mocniej.

– „Ja nie mam żadnego upodobania w śmierci występnych” – cytował Cole. – Jestem tylko żołnierzem. Mówiłem ci o tym. Jestem narzędziem w Jego rękach.

– Ach tak?

– Tak, właśnie tak – warknął Connolly w odpowiedzi na jego sarkastyczną uwagę, waląc pięścią w stół. Z jego oczu wyzierała złość. Trwało chwilę, zanim nad nią zapanował, i Jeffrey przypomniał sobie Chipa Donnera, jego wnętrzności zmiażdżone tymi pięściami. Instynktownie przywarł plecami do oparcia krzesła, czując krzepiący nacisk swojego rewolweru.

Connolly pociągnął jeszcze jeden łyk kawy.

– Skoro Thomas jest w takim stanie... – Przyłożył dłoń do brzucha, w którym złowieszczo zbulgotało. – Przepraszam – powiedział. – Niestrawność. Wiem, że nie powinienem tego pić. Mary i Rachel stale na mnie z tego powodu naskakują, ale kofeina to jedyny nałóg, którego nie mogę rzucić.

– Skoro Thomas jest w takim stanie? – podsunął Jeffrey.

Connolly odstawił kubek.

– Ktoś musi wkroczyć. Ktoś musi zadbać o rodzinę, bo inaczej wszystko, o co się trudziliśmy, obróci się wniwecz. Jesteśmy tylko żołnierzami. Potrzebujemy generała.

Jeffrey pamiętał, że O’Ryan mówiła im, iż ten mężczyzna w Kociaku dawał Chipowi Donnerowi narkotyki. Trudno powiedzieć „nie”, kiedy ktoś macha ci nimi przed nosem.

– Dlaczego dawałeś Chipowi narkotyki? – zapytał.

Connolly poruszył się na krześle, jakby próbował usiąść wygodniej.

– Wąż kusił Ewę i pożywiła się zakazanym owocem. Chip był taki jak reszta. Nikt z nich nie opierał się długo.

– Założę się.

– Bóg ostrzegł Adama i Ewę, żeby nie spożywali owoców z tego drzewa, ale oni spożyli. – Cole wyciągnął serwetkę spod Biblii i otarł nią czoło. Jesteś albo silny, albo słaby. Ten chłopak był słaby. – I dodał smutno: – Nasza Abigail chyba też. Pan działa na swój własny sposób. Kwestionowanie tego nie należy do nas.

– Abby została otruta, Cole. Bóg nie postanowił jej zabrać. Ktoś ją zamordował.

Connolly przyglądał się bacznie Jeffreyowi, kubek z kawą zawisł w połowie drogi do ust. Nie spieszył się z odpowiedzią, napił się z kubka i znowu postawił go przed Biblią.

– Zapominasz, z kim rozmawiasz, chłopcze – ostrzegł, a w jego spokojnym tonie kryła się groźba. – Nie jestem tylko starym człowiekiem, ale starym więźniem. Nie oszukasz mnie swoimi kłamstwami.

– Nie oszukuję cię.

– Wybaczy pan, ale nie wierzę panu.

– Została otruta cyjankiem.

Pokręcił głową, nadal mu nie wierząc.

– Jeśli chcesz mnie aresztować, to myślę, że powinieneś to zrobić teraz. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

– Komu jeszcze to zrobiłeś, Cole? Gdzie jest Rebecca?

– Myślisz, że jestem jakimś szczurem, co? Że kogoś podkabluję, żeby

ocalić własny tyłek! – Connolly potrząsnął ze śmiechem głową i wycelował palec w Jeffrey'a. – Coś ci powiem, synu. Ja... – Przyłożył dłoń do ust i zakasłał. – Ja nigdy... – Znowu zakasłał, a potem zaczął się krztusić.

Jeffrey zerwał się z krzesła, kiedy z ust Connolly'ego trysnęła ciemna struga wymiocin.

– Cole?

Connolly zaczął ciężko oddychać, a potem dyszeć. Po chwili drapał swoje gardło, wbijając paznokcie w ciało.

– Nie! – wydyszał, wlepiając przerażony wzrok w Jeffrey'a. – Nie! Nie! – Jego ciałem wstrząsały tak silne konwulsje, że upadł na podłogę.

– Cole? – powtórzył Jeffrey, stojąc jak wrośnięty i patrząc, jak twarz starca zastyga w strasznej masce bólu i strachu. Jego nogi wierzgnęły i kopnęły krzesło z taką siłą, że roztrzaskało się o ścianę. Popuścił w spodnie i rozmazywał kał po podłodze, pełzając ku drzwiom. Nagle znieruchomiał. Jego ciałem nadal wstrząsały dreszcze, oczy wywróciły się białkami w górę. Nogi trzęsły się tak mocno, że spadł mu but.

Po niespełna minucie już nie żył.

Kiedy Jeffrey zszedł na dół, Lena przechadzała się w tę i z powrotem obok jego samochodu. Wyjął chusteczkę i wytarł pot z czoła, przypominając sobie, że to samo zrobił Connolly na parę chwil przed śmiercią.

Sięgnął przez otwarte okno samochodu po komórkę. Kiedy był pochylony, zrobiło mu się niedobrze, więc się wyprostował i wziął głęboki oddech.

– Dobrze się czujesz?

Jeffrey zdjął marynarkę i cisnął ją do samochodu. Wybrał numer Sary, mówiąc Lenie:

– On nie żyje.

– Co?

– Nie mamy czasu – odparł, a potem zapytał recepcjonistkę Sary: – Może ją pani zawołać? Nagły wypadek.

– Co się stało? – zapytała Lena. Ściszyła głos: – Próbował czegoś?

Niezbyt się zdziwił, że mogła go podejrzewać o zabicie podejrzanego.

go podczas próby aresztowania. Biorąc pod uwagę to wszystko, przez co przeszli, nie służył przykładem.

– Jeff? – Do telefonu podeszła Sara.

– Musisz przyjechać na farmę Wardów.

– Co się dzieje?

– Cole Connolly nie żyje. Pił kawę. Myślę, że musiał być w niej cyjanek. On po prostu... – Jeffrey nie chciał myśleć o tym, co przed chwilą widział. – Zmarł na moich oczach.

– Jeffrey, nic ci nie jest?

Wiedział, że Lena słucha, zostawił więc to pytanie bez odpowiedzi.

– To było naprawdę przykre.

– Kochanie – powiedziała Sara, a on spojrział za samochód, jakby upewniał się, czy nikt nie nadchodzi, żeby Lena nie wyczytała emocji z jego twarzy. Cole Connolly był odrażającym facetem, chorym sukinsynem, który wypaczał słowa Biblii, by usprawiedliwić swoje straszne czyny, ale mimo to był człowiekiem. Jeffrey mógłby wymienić parę osób, które zasługiwały na taką śmierć, ale chociaż Connolly był na wysokim miejscu na tej liście, wolałby nie być świadkiem jego cierpień.

– Musisz tu przyjechać jak najszybciej – powiedział Sarze. – Chcę, żebyś go obejrzała, zanim będziemy musieli wezwać szeryfa. – Z myślą o Lenie dodał: – To nie jest mój teren.

– Już jadę.

Zamknął telefon, włożył go do kieszeni i oparł się o samochód. Nadal wywracał mu się żołądek i cały czas był przerażony, że wypił łyk kawy, mimo iż wiedział na pewno, że nie wypił. Ten jeden jedyny raz w życiu żalotne nawyki jego ojca przyniosły mu korzyść. Zmówił w myślach modlitwę dziękczynną za Jimmy'ego Tollivera, chociaż wiedział, że jeśli istnieje niebo, to Jimmy'emu nie udało się przekroczyć jego bram.

– Szefie? – zapytała Lena. Najwyraźniej nie słyszał, co mówiła. – Pytałam o Rebecce Bennett. Powiedział coś o niej?

– Powiedział, że nie wie, gdzie jest.

– Dobrze. – Lena rozejrzała się po farmie, pytając: – Co teraz robi-

my?

Jeffrey wolałby nie być teraz szefem. Chciał tylko tak stać oparty o samochód, oddychać i czekać na Sarę. Gdyby tylko miał taką możliwość.

– Kiedy Sara tu przyjedzie, jedź sprowadzić Ćwierć Dolara. Powiedz mu, że twój telefon nie miał tu zasięgu. I nie spiesz się, dobrze?

Skinęła głową.

Spojrzał w ciemne wnętrze stodoły, na wąskie i strome schody, które wyglądały jak coś, o czym mógłby napisać Dante.

– Przyznał, że robił to z innymi dziewczynami? – spytała Lena.

– Tak – odparł. – Powiedział, że wcześniej żadna z nich nie umarła.

– Wierzysz mu?

– Tak. – Ktoś napisał tę kartkę do Sary. Ktoś przeżył.

– Rebecca – próbowała zgadnąć.

– To nie było to samo pismo – powiedział, pamiętając liścik, który dała mu Esther.

– Myślisz, że napisała to jedna z jej ciotek? Może matka?

– Niemożliwe, żeby Esther o tym wiedziała. Powiedziałyby nam. Kochała swoją córkę.

– Esther jest lojalna wobec swojej rodziny – przypomniała mu Lena.

– Spełnia życzenia braci.

– Nie zawsze – odparł.

– Lev – rzekła. – Nie wiem, jaki on jest. Nie mogę go rozgryźć.

Kiwnął głową, bojąc się odpowiedzieć.

Lena skrzyżowała ręce na piersiach i zamilkła. Jeffrey znowu spojrzał na drogę, potem zamknął oczy i starał się odzyskać kontrolę nad zbuntowanym żołądkiem. Nie były to jednak tylko mdłości. Kręciło mu się w głowie, czuł się tak, jakby miał za chwilę stracić przytomność. Czy na pewno nie spróbował tej kawy? Przecież parę dni temu wypił nawet parę łyków tej kwaśnej lemoniady. Czy to możliwe, że połknął trochę cyjanku?

Lena zaczęła chodzić w tę i z powrotem, a kiedy weszła do stodoły, nie powstrzymał jej. Wyszła po paru minutach, patrząc na zegarek.

- Mam nadzieję, że Lev tu nie wróci.
- Ile czasu minęło?
- Niecała godzina – odparła. – Jeśli Paul zjawi się tu przed Sarą...
- Chodźmy – powiedział, odrywając się od samochodu.

Lena poszła za nim, przynajmniej teraz zachowując milczenie. Nie pytała go o nic, dopóki nie znaleźli się w kuchni i nie zobaczyła dwóch kubków na stole.

– Myślisz, że zażył truciznę celowo?

– Nie – odparł Jeffrey. Jeszcze nigdy w życiu nie był niczego tak pewien. Kiedy Cole Connolly uświadomił sobie, co się z nim dzieje, wyglądał na przerażonego. Jeffrey podejrzewał, że Connolly nawet wiedział, kto to zrobił. Panika w jego oczach powiedziała Jeffreyowi, że dokładnie zdaje sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje. Co więcej, wiedział, że został zdradzony.

Lena ostrożnie przeszła obok zwłok.

Jeffrey się zastanawiał, czy przebywanie w tym pomieszczeniu nie jest ryzykowne, jakie środki ostrożności powinni podjąć, ale nie mógł na długo skupić myśli na jednej rzeczy. Cały czas myślał o tym kubku kawy. Bez względu na okoliczności zawsze przyjmował poczęstunek od osoby, od której starał się uzyskać jakieś informacje. Wprawienie drugiej strony w stan odprężenia, doprowadzenie do tego, by myślała, że robi coś dla ciebie, że jesteście przyjaciółmi, to stara policyjna sztuczka.

– Spójrz na to. – Lena stała przy szafie, wskazując na ubrania porządnie wiszące na poprzeczce. – Tak samo jak u Abby. Pamiętasz? Jej szafa wyglądała tak samo. Przysięgam, że mógłbyś to zmierzyć linijką. Te same odległości między ubraniami. – Wskazała na buty. – Tutaj też tak samo.

– Cole musiał je z powrotem włożyć – powiedział Jeffrey, rozluźniając krawat, żeby móc oddychać. – Nakrył ją, kiedy się pakowała, żeby wyjechać z miasta.

– Trudno się pozbyć starych nawyków. – Lena sięgnęła w głąb szafy i wydobyła różową walizkę. – To mi nie wygląda na jego własność – powiedziała. Położyła plastikową walizkę na łóżku i otworzyła ją.

Mózg Jeffreya nakazał stopom, by się poruszyły, żeby mógł podejść do łóżka, ale stopy odmówiły posłuszeństwa. Faktycznie cofnął się prawie do drzwi.

Wydawało się, że Lena tego nie zauważyła. Odciągała podszewkę walizki, by zobaczyć, czy czegoś tam nie ukryto. Otworzyła zewnętrzną kieszeń.

– No proszę!

– Co to?

Odwróciła walizkę do góry dnem i potrząsnęła nią. Na łóżko wypadł brązowy portfel. Dotykając tylko jego brzegów, otworzyła go i przeczytała:

– Charles Wesley Donner.

Jeffrey znowu szarpnął krawat. Nawet przy otwartym oknie pokój zamieniał się w saunę.

– Coś jeszcze?

Koniuszkami palców Lena wyciągnęła coś zza podszewki.

– Bilet autobusowy do Savannah – powiedziała. – Datowany na cztery dni przed jej zaginięciem.

– Jest na nim nazwisko?

– Abigail Bennett.

– Zachowaj go.

Lena wsunęła bilet do kieszeni i podeszła do biurka. Otworzyła górną szufladę.

– Jak u Abby – powiedziała. – Bielizna złożona w taki sam sposób jak u niej. – Otworzyła następną szufladę, potem następną. – Skarpety, koszule, wszystko wygląda identycznie jak tam.

Jeffrey oparł się plecami o ścianę. Miał ściśnięty żołądek. Złapanie tchu przychodziło mu z trudem.

– Cole powiedział, że ona miała zamiar wyjechać z Chipem.

– Niczego nie dotykaj! – Jeffrey ostrzegł Lenę głosem przerażonej kobiety, gdy podeszła do szafek kuchennych.

Spojrzała na niego, przechodząc na drugą stronę pokoju. Z rękami na biodrach stanęła przed plakatem. Przedstawiał ogromną parę rąk

trzymających krzyż. Z krzyża rozchodziły się promienie języki ognia przypominające błyskawice. Przesunęła ręką po plakacie, jakby coś z niego ścierała.

– Co tam jest? – zapytał Jeffrey, nie chcąc sam zobaczyć.

– Zaczekaj. – Lena ujęła róg plakatu, starając się nie rozerwać przyklejonego taśmą brzegu. Powoli odsunęła papier. W ścianie za nim była wnęka z kilkoma półkami przybitymi do słupków.

Jeffrey zmusił się, by zrobić krok do przodu. Na półkach leżały torebki. Mógł zgadnąć, co w nich jest, ale Lena i tak je wyjęła.

– Spójrz – powiedziała, podając mu jedną z torebek. Rozpoznał zawartość, ale ciekawsze było to, że znajdowała się na niej nalepka z czyimś imieniem.

– Kto to jest Gerald? – zapytał.

– Kto to jest Bailey? – Podała mu jeszcze jedną torebkę, a potem jeszcze jedną. – Kto to jest Kat? Kto to jest Barbara?

Jeffrey trzymał torebki, myśląc, że ma w ręku prochy o wartości paru tysięcy dolarów.

– Niektóre z tych imion brzmią znajomo – powiedziała Lena.

– To znaczy?

– Ludzie z farmy, których przesłuchiwaaliśmy. – Lena wróciła do wnęki. – Amfa, koka, trawka. Ma tu wszystkiego po trochu.

Jeffrey bez zastanowienia spojrział na zwłoki i stwierdził, że nie może odwrócić od nich wzroku.

– Dawał narkotyki Chipowi – zasugerowała Lena. – Może dawał je też tym innym?

– Wąż kusił Ewę – powiedział Jeffrey, cytując słowa Connolly'ego.

Za nimi rozległy się kroki i kiedy się obejrzał, zobaczył Sarę wchodzącą po schodach.

– Przepraszam, że to trwało tak długo – powiedziała mu, chociaż dotarła tam w rekordowym czasie. – Co się stało?

– Zakryj to – rzucił Lenie, mając na myśli wnękę. Wsunął torebki do kieszeni, żeby móc je zbadać bez konieczności czekania, aż Ed Pelham raczy się na to zgodzić. – Dzięki za przyjazd – powiedział do Sary, wy-

szedł na podest.

– W porządku – odparła.

– Jedź po Ćwierć Dolara – powiedział, kiedy Lena do niego dołączyła. Wiedział, że nic więcej nie znajdują. Już wystarczająco długo zwlekał ze sprowadzeniem szeryfa Catoogah.

Jak tylko Lena wyszła, Sara wzięła go za rękę.

– Po prostu siedział tam, pijąc kawę – powiedział Jeffrey.

Zajrzała do pokoju, a potem z powrotem spojrzała na niego:

– Wypiłeś choć trochę?

Przełknął ślinę, czując się, jakby miał w gardle szkło. Pewnie tak samo zaczęło się u Cole'a, od tego uczucia w gardle. Zaczął kaszleć, potem krztusić się, a potem ból prawie rozpruł go na połowę.

– Jeffrey?

Zdołał tylko pokręcić głową.

Sara nadal trzymała go za rękę.

– Jesteś zimny – powiedziała.

– Jestem trochę zdenerwowany.

– Widziałeś to wszystko?

Skinął głową.

– Stałem tam, Saro. Stałem i patrzyłem, jak umiera.

– Nie mogłeś nic zrobić – powiedziała.

– Może...

– To działa za szybko – przerwała. Ponieważ nie odpowiedział, objęła go i przytuliła. – Już dobrze – szepnęła z ustami przy jego szyi.

Jeffrey ponownie zamknął oczy i oparł głowę na jej ramieniu. Sara pachniała mydłem, płynem lawendowym, szamponem i czystością. Wciągnął głęboko ten zapach, by usunąć odór śmierci, którym oddychał przez ostatnie trzydzieści minut.

– Muszę porozmawiać z Terri Stanley – powiedział. – Kluczem jest cyjanek. Lena nie...

– Chodźmy – przerwała mu.

Nie poruszył się.

– Chcesz zobaczyć...

– Widziałam dosyć – powiedziała, ciągnąc go za rękę, by się ruszył.
– Teraz nie mogę nic zrobić. On stwarza zagrożenie biologiczne. Wszystko tam jest zagrożeniem. Nie powinieneś nawet tam wchodzić. Czy Lena dotykała czegoś?

– Był tam plakat – odparł. – Miał za nim schowane narkotyki.

– Brał je?

– Nie sędzę – odparł. – Proponował je innym i patrzył, czy je wezmą.

Przed stodołę zajechał sedan szeryfa Catoogah, wzbijając kłęby kurzu. Jeffrey nie mógł zrozumieć, jakim sposobem ten człowiek dotarł tutaj tak szybko. Lena nie zdążyła jeszcze nawet dojechać do jego biura.

– Co tu się, do diabła, dzieje? – zapytał Pelham. Wyskoczył z samochodu tak szybko, że nawet nie zadał sobie trudu, by zamknąć drzwi.

– Popelniono morderstwo – rzekł Jeffrey.

– A ty przypadkiem tu byłeś?

– Rozmawiałeś z moją detektyw?

– Mijałem ją na drodze i machnęła ręką, żeby się zatrzymał. Lepiej, żebyś się ucieszył, że właśnie tędy przejeżdżałem.

Jeffrey nie miał dość sił, by powiedzieć mu, gdzie może sobie wsadzić swoją pogroźkę. Ruszył w stronę samochodu Sary, chcąc się znaleźć jak najdalej od Cole'a Connolly'ego.

– Może zechcesz mi powiedzieć, co, do kurwy, robisz na moim terenie bez uzgodnienia tego najpierw ze mną? – zażądał Pelham.

– Odjeżdżam – powiedział Jeffrey, jakby nie było to oczywiste.

– Nie odchodź, kiedy do ciebie mówię – rozkazał Pelham. – Wracaj tu, do diabła.

– A co, aresztujesz mnie? – zapytał Jeffrey, otwierając drzwi samochodu.

– Ed, może powinieneś wezwać do tego Biuro Śledcze – powiedziała Sara, która była tuż za Jeffreyem.

Pelham napuszył się jak paw.

– Bardzo dziękuję, sami potrafimy zająć się miejscem zbrodni.

– Wiem, że potraficie – zapewniła go, przybierając ten słodko uprzej-

my ton, jak zawsze, kiedy miała kogoś zmiażdżyć. – Ale podejrzewam, że ten człowiek na górze został otruty cyjankiem, a ponieważ wystarczy stężenie trzystu cząsteczek tej trucizny na milion cząstek powietrza, żeby zabić człowieka, radziłabym ci wezwać kogoś, kto może mieć lepszy sprzęt do zbadania miejsca zbrodni stwarzającego takie zagrożenie.

– Myślisz, że to jest niebezpieczne? – spytał Pelham, poprawiając pas z rewolwerem.

– Nie sądzę, żeby Jim chciał się tym zająć – powiedziała. Jim Elders był koronerem w Catoogah. Przed przejściem na emeryturę był właścicielem jednego z najlepiej prosperujących przedsiębiorstw pogrzebowych, a teraz, mając pod siedemdziesiątkę, nadal sprawował urząd koronera, żeby mieć na drobne wydatki. Nie był wykwalifikowanym lekarzem, raczej kimś, kto nie ma nic przeciwko robieniu sekcji zwłok za parę dodatkowych dolarów.

Jeffrey odwrócił się i wsiadł do samochodu, a za nim wsiadła Sara.

– Co za dupek – mruknęła, uruchamiając silnik.

– Podwieziesz mnie do tego kościoła? – zapytał.

– Jasne – zgodziła się, cofając samochód sprzed stodoły. – Gdzie jest twój wóz?

– Myślę, że nadal siedzi w nim Lena – odparł. Zerknął na zegarek. – Niedługo powinna być tutaj.

– Nic ci nie jest? – zapytała.

– Będę potrzebował mocnego drinka – powiedział.

– Będzie na ciebie czekał, kiedy wrócisz do domu.

Uśmiechnął się, mimo okoliczności.

– Przepraszam, że zmarnowałem ci czas, ściągając cię tutaj.

– To nie jest strata czasu – powiedziała, podjeżdżając pod biały budynek.

– To jest ten kościół?

– Tak.

Wysiadł z samochodu i patrzył na małą, skromną budowlę.

– Do zobaczenia w domu.

– Uważaj na siebie. – Pochyliła się i ścisnęła go za rękę.

Patrzył, jak odjeżdża, dopóki samochód nie zniknął mu z oczu, po czym wszedł na stopnie prowadzące do kościoła. Pomyślał o tym, żeby zapukać, ale potem się rozmyślił, otworzył drzwi i wszedł do kaplicy.

Duża sala była pusta, ale zza ściany dobiegały głosy. Za kazalnica były drzwi i tym razem zapukał.

Otworzył Paul Ward. Na jego twarzy malowało się zdziwienie.

– Czym mogę służyć?

Zastawiał wejście, ale Jeffrey widział rodzinę zebraną przy długim stole za jego plecami. Z jednej strony siedziały Mary, Rachel i Esther, po drugiej Ephraim i Lev. U szczytu stołu siedział starszy mężczyzna na wózku inwalidzkim. Przed nim stała metalowa urna, prawdopodobnie z prochami Abby.

– Proszę wejść – powiedział Lev, wstając.

Paul powoli usunął się z drogi, wyraźnie niezadowolony z jego obecności.

– Przepraszam, że państwu przeszkodziłem – zaczął Jeffrey.

– Znalazłeś coś? – zapytała Esther.

– Jest pewien postęp – odparł Jeffrey. Podszedł do mężczyzny na wózku inwalidzkim. – Myślę, że nie spotkaliśmy się wcześniej, panie Ward.

Usta mężczyzny poruszyły się niezgrabnie i powiedział coś, co Jeffrey wziął za: „Thomas”.

– Thomas – powtórzył Jeffrey. – Przykro mi, że poznajemy się w takich okolicznościach.

– W jakich okolicznościach? – zapytał Paul i Jeffrey spojrzął na Leva.

– Nic im nie powiedziałem – rzekł tamten. – Dałem ci słowo.

– Jakie słowo? – zażądał wyjaśnienia Paul. – Lev, w co ty się, do diabła, wpakowałeś? – Drżącą ręką Thomas wykonał uspokajający gest, ale Paul ciągnął: – Tato, to poważna sprawa. Jeśli mam być doradcą prawnym rodziny, to muszą mnie słuchać.

– Nie jesteś naszym szefem, Paul – niespodziewanie warknęła Rachel.

– Paul. – Lev starał się załagodzić sytuację. – Usiądź, proszę. Nie są-

dzę, żebym się wpakował w kłopoty.

Jeffrey nie był tego zbyt pewien, ale powiedział:

– Cole Connolly nie żyje.

W pokoju rozległ się stłumiony zbiorowy okrzyk i Jeffrey poczuł się nagle, jakby się znalazł w powieści Agathy Christie.

– Mój Boże – powiedziała Esther, przyciskając rękę do serca. – Co się stało?

– Został otruty.

Esther spojrzała na męża, potem na najstarszego brata.

– Nie rozumiem.

– Otruty? – zapytał Lev, opadając na krzesło. – Czym, na Boga?

– Jestem prawie pewien, że to był cyjanek – powiedział. – Ten sam cyjanek, który zabił Abby.

– Ale... – zaczęła Esther, potrząsając głową. – Powiedział pan, że się udusiła.

– Cyjanek powoduje uduszenie – wyjaśnił Jeffrey, jakby celowo nie ukrył przed nimi prawdy. – Ktoś prawdopodobnie rozpuścił sole cyjanu w wodzie i wlał do rury...

– Do rury? – zapytała Mary. Odezwała się po raz pierwszy i Jeffrey zobaczył, że jej twarz zrobiła się biała jak papier. – Do jakiej rury?

– Do rury, która wychodziła ze skrzyni – powiedział Jeffrey. – Cyjanek wywołał reakcję...

– Ze skrzyni? – powtórzyła Mary, jakby pierwszy raz o tym usłyszała. Może tak jest, pomyślał Jeffrey. Tamtego dnia wybiegła z pokoju, kiedy zaczął wyjaśniać, co się stało z Abby. Może mężczyźni nie pozwolili, by ta wiadomość dotarła do jej wrażliwych uszu.

– Cole powiedział mi, że robił to już wcześniej – rzekł Jeffrey, patrząc na każdą z sióstr po kolei. – Czy karał w ten sposób pozostałe dzieci, kiedy dorastały? – Spojrzał na Esther. – Czy karał w ten sposób Rebecca?

– Dlaczego właściwie miał... – Wydawało się, że Esther ma kłopoty z oddychaniem.

– Komendancie Tolliver, myślę, że powinniśmy zostać teraz sami –

uciał Paul.

– Mam jeszcze parę pytań – rzekł Jeffrey.

– Jestem pewien, że pan ma – odparł Paul – ale my...

– Prawdę mówiąc – przerwał mu Jeffrey – jedno z nich jest do pana.

Paul zamrugał.

– Do mnie?

– Czy Abby przyjechała spotkać się z panem na parę dni przed swoim zaginięciem?

– Hmm... – zastanawiał się. – Tak, myślę, że tak.

– Zabrała do ciebie te papiery, Paul – powiedziała Rachel. – Te na traktor.

– Racja – przypomniał sobie Paul. – Zostawiłem je tutaj w mojej teczce. Było parę dokumentów prawnych, które musiały zostać podpisane i odesłane przed końcem dnia pracy.

– Nie mogła ich przefaksować?

– To musiały być oryginały – wyjaśnił. – To był krótki wyjazd, tam i z powrotem. Abby często tak jeździła.

– Nie często – zaprzeczyła Esther. – Może raz czy dwa razy w miesiącu.

– To kwestia semantyki – rzekł Lev. – Wozila papiery dla Paula, żeby nie musiał się urywać na kilka godzin z pracy.

– Pojechała autobusem – powiedział Jeffrey. – Dlaczego nie wzięła samochodu?

– Abby nie lubiła jeździć autostradą międzystanową – odparł Lev. – Czy to jakiś problem? Myślisz, że poznała kogoś w autobusie?

– Był pan w Savannah w tym tygodniu, kiedy zniknęła? – zapytał Jeffrey Paula.

– Tak – odparł prawnik. – Już panu o tym mówiłem. Spędzam tam co drugi tydzień. Tylko ja jeden prowadzę całą obsługę prawną farmy. To pochłania dużo czasu. – Wyjął z kieszeni mały notatnik i zapisał coś. – To numer mojego biura w Savannah – powiedział, wydzierając kartkę. – Może pan zadzwonić do mojej sekretarki Barbary. Ona może potwierdzić, gdzie byłem.

– A w nocy?

– Pyta mnie pan o alibi? – zapytał Paul z niedowierzaniem.

– Paul... – zaczął Lev.

– Słuchaj pan – rzekł Paul, wyciągając palec w stronę twarzy Jeffreya. – Zakłócił pan pogrzeb mojej siostrzenicy. Rozumiem, że musi pan wykonywać swoją pracę, ale to nie jest odpowiedni czas.

Jeffrey dotrzymał mu placu.

– Zabierz palec sprzed mojej twarzy.

– Mam już dość...

– Zabierz palec sprzed mojej twarzy – powtórzył Jeffrey i po chwili Paul zreflektował się i opuścił rękę. Jeffrey popatrzył na siostry, potem na Thomasa siedzącego w końcu stołu. – Ktoś zamordował Abby – powiedział im, czując, że wzbiera w nim fala niepohamowanej wściekłości. – Została zakopana w tej skrzyni przez Cole'a Connolly'ego. Leżała tam przez kilka dni i nocy, dopóki nie przyszedł ktoś – ktoś, kto wiedział, że jest tam zakopana – i nie wlał jej do gardła cyjanku.

Esther przyłożyła rękę do ust, a w jej oczach pojawiły się łzy.

– Przed chwilą widziałem, jak pewien człowiek umiera taką śmiercią – powiedział. – Widziałem, jak wije się po podłodze, z trudem łapiąc powietrze, dobrze wiedząc, że umiera, prawdopodobnie błagając Boga, by zabrał go jak najszybciej i wyzwolił od tej męki.

Esther opuściła głowę i rozplakała się na dobre. Reszta rodziny wydawała się wstrząśnięta i kiedy Jeffrey rozejrzał się po pokoju, nikt oprócz Leva nie spojrzał mu w oczy. Wydawało się, że kaznodzieja chce coś powiedzieć, ale Paul położył rękę na ramieniu brata, powstrzymując go.

– Nadal nie ma Rebecki – przypomniał im Jeffrey.

– Myślisz... – zaczęła Esther. Umilkła, kiedy zrozumiała, co to oznacza.

Jeffrey obserwował Leva, starając się wyczytać coś z jego pustego spojrzenia. Paul zacisnął szczęki, ale Jeffrey nie wiedział, czy zrobił to ze złości czy z obawy.

To Rachel zadała w końcu pytanie, głosem drżącym z obawy, że jej

siostrzenica znajduje się w niebezpieczeństwie.

– Myśli pan, że Rebecca została porwana?

– Myślę, że ktoś w tym pokoju dokładnie wie, co się dzieje. Prawdopodobnie sam bierze w tym udział. – Jeffrey rzucił na stół garść wizytówek. – Na wszystkich są numery moich telefonów – powiedział. – Zadzwońcie do mnie, kiedy będziecie gotowi poznać prawdę.

PIĄTEK

Sara leżała na boku w łóżku i patrzyła przez okno. Słyszała, jak Jeffrey krząta się po kuchni, stukając garnkami. Około piątej rano wystraszył ją jak cholera – podskakując, wkładał w ciemnościach spodenki do biegania i w cieniach rzucanych przez oświetlone blaskiem księżycy meble wyglądał jak morderca z siekierą. Godzinę później obudził ją znowu, klnąc jak szewc, kiedy niechcący wlaźł na Boba. Chart, wyrzucony z łóżka przez Jeffrey'a, zaczął sypiać w wannie i był tak samo oburzony jak Jeffrey, kiedy stwierdził, że obaj jednocześnie są w wannie.

Mimo to obecność Jeffrey'a w domu poprawiała jej nieco nastrój. Lubiła przekreślić się w nocy i poczuć ciepło jego ciała. Lubiła dźwięk jego głosu i zapach owsianej emulsji, którą smarował sobie ręce, kiedy myślał, że ona nie patrzy. A już szczególnie podobało jej się to, że robił jej śniadanie.

– Rusz tyłek z łóżka i chodź usmażyć jajka – krzyknął Jeffrey z kuchni.

Gramoląc się spod kołdry, Sara mruknęła coś, czego nie powiedziałyby przy matce, bo za bardzo by się wstydziła. W domu panowało przejmujące zimno, chociaż słońce lało się promieniami na jezioro i fale słały miedziane błyski światła ku oknom. Zanim poczłapała do kuchni, chwyciła szlafrok Jeffrey'a i owinęła się nim.

Jeffrey stał przy kuchence, smażąc bekon. Miał na sobie spodnie od dresu i czarny T-shirt, który ładnie podkreślał w porannym słońcu jego

podsiniacone oko.

– Myślałem, że się obudziłaś – powiedział.

– Do trzech razy sztuka – rzekła, głaszcząc Billy'ego, który oparł się o nią. Bob leżał rozwalony na kanapie, z łapami w powietrzu.

Sara dostrzegła też Bubbę, swoją starą kotkę, skradającą się w ogrodzie.

Jeffrey postawił pudełko z jajkami obok miski. Sara zaczęła je rozbić, starając się nie rozchlapać białek po całym blacie. Jeffrey, gdy zobaczył, jaki robi śmietnik, powiedział:

– Usiądź.

Sara opadła na stołek, patrząc, jak sprząta bałagan, który zostawiła.

– Nie mogłeś spać? – Zapytała, jakby nie było to oczywiste.

– Tak – odparł, wrzucając szmatkę do zlewu.

Martwił się tą sprawą, ale wiedziała, że tak samo niepokoi się o Lenę. Przez cały czas trwania ich związku Jeffrey był mniej lub bardziej zatroskany o Lenę Adams. Na początku dlatego, że była zbyt porywcza na ulicy, zbyt agresywna podczas zatrzymań. Potem martwił się, że stale z kimś rywalizowała i chciała być najlepsza w oddziale bez względu na to, na jakie skróty, jak uważała, musiała iść. Starannie szkolili ją jako detektywa – przydzielił jej za partnera Franka, ale sam wziął ją pod swoje skrzydła i przygotowywał do zdobycia czegoś, czego zdaniem Sary ta kobieta nigdy nie zdobędzie. Lena była zbyt zdeterminowana, by przewodzić, zbyt samolubna, by iść za czyjś przykładem. Już dwanaście lat temu Sara mogła przewidzieć, że po tych wszystkich latach nadal będzie martwił się o Lenę. Jediną rzeczą, która zaskoczyła ją w tej kobiecie, było to, że związała się z tym nazistowskim skinheadem Ethanem Greenem.

– Masz zamiar spróbować porozmawiać z Leną? – spytała.

– Jest na to za bystra. – Jeffrey nie odpowiedział wprost na pytanie.

– Nie sądzę, żeby znęcanie się miało coś wspólnego z inteligencją lub jej brakiem – rzekła Sara.

– Dlatego właśnie nie sądzę, żeby Cole ruszył w pogoń za Rebeccą – powiedział Jeffrey. – Ona jest zbyt nieposłuszna. Nie wybrałby kogoś,

kto by za bardzo się stawiał.

– Brad nadal szuka jej w Catoogah?

– Tak – odparł tonem, który świadczył, że nie ma zbytnej nadziei, iż te poszukiwania coś dadzą. Przeskoczył do Cole’a Connolly’ego, jakby w myślach prowadził inną rozmowę: – Rebecca powiedziałaaby matce, co się dzieje, a Esther... Esther rozszarpałaby Cole’owi gardło. – Zdrową ręką wybił jajka, jedno po drugim, do miski. – Cole nie ryzykowałby tego.

– Drapieżniki mają wrodzoną zdolność wybierania ofiar – zgodziła się Sara, znowu myśląc o Lenie. Wydarzenia z jej zmarnowanego życia w jakiś sposób nad nią zapanowały, czyniąc z niej łatwy cel dla kogoś takiego jak Ethan. Sara dokładnie rozumiała, jak do tego doszło. To wszystko było logiczne, a mimo to, znając Lenę, nadal nie mogła się z tym pogodzić.

– W nocy stale go widziałem, tę panikę w jego oczach, kiedy zdał sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje. Jezu, co za straszna śmierć.

– To samo stało się z Abby – przypomniała mu. – Tylko że ona była sama, w ciemności, i nie miała pojęcia, co się z nią dzieje.

– Myślę, że on wiedział – rzekł Jeffrey. – A przynajmniej, że dotarło to do niego na koniec.

Przed ekspresem stały dwa kubki. Napełnił je i jeden podał Sarze. Widziała, że się waha, zanim wypił łyk, i zastanawiała się, czy kiedykolwiek nadejdzie czas, że będzie pił kawę, nie myśląc o Cole’u Connollym. Ogólnie biorąc, miała dużo łatwiejszą pracę niż Jeffrey. On był na pierwszej linii frontu. Pierwszy widział zwłoki, mówił o tym rodzicom i ukochanym, czuł na sobie ciężar ich rozpaczliwego pragnienia znalezienia tego, kto odebrał im dziecko, matkę czy kochankę. Nie można się było dziwić, że odsetek samobójstw wśród gliniarzy był wyższy niż w jakimkolwiek innym zawodzie.

– Co ci mówi instynkt? – zapytała.

– Nie wiem – odparł, mieszając jajka widelcem. – Lev przyznał, że Abby mu się podobała.

– Ale to normalne – powiedziała, a potem wycofała się z tego. – Nor-

malne, jeśli było tak, jak powiedział.

– Paul mówi, że był w Savannah. Mam zamiar to sprawdzić, ale to w dalszym ciągu nie wyjaśnia, co robił wieczorami.

– Równie dobrze może to świadczyć, że jest niewinny – przypomniała mu Sara. Już dawno temu dowiedziała się od Jeffreya, że ktoś, kto ma pewne alibi, jest na ogół osobą, której warto się bliżej przyjrzeć. Ona też nie mogłaby przedstawić świadka, który przysięgłby, że była sama w domu przez całą noc, kiedy zamordowano Abigail Bennett.

– Nie dostaliśmy żadnych wiadomości o tym liście – powiedział. – Zresztą i tak wątpię, czy laboratorium coś znajdzie. – Zachmurzył się. – To kosztuje fortunę.

– No to po co to robić?

– Bo nie podoba mi się, że ktoś kontaktuje się z tobą w sprawie, którą prowadzę – powiedział i usłyszała w jego głosie urazę. – Nie jesteś policjantką. Nie masz z tym nic wspólnego.

– Mogli to przysłać do mnie, wiedząc, że ci powiem.

– To dlaczego nie przysłali tego do komisariatu?

– Mój adres jest w książce telefonicznej – powiedziała. – Osoba, która to przysłała, mogła się obawiać, że w komisariacie list może zaginąć. Myślisz, że to była jedna z sióstr?

– One cię nawet nie znają.

– Powiedziałeś im, że jestem twoją żoną.

– Nadal mi się to nie podoba – rzekł, wykładając jajecznicę na dwie grzanki. Wrócił do pierwszego tematu. – Najtrudniej powiązać z tym cyjanek. – Podsunął jej talerz z bekonem i wzięła dwa kawałki. – Im bardziej się w to zagłębiemy, tym bardziej się wydaje, że jedynym możliwym źródłem jest Dale. Ale – dodał – Dale przysięga, że warsztat jest cały czas zamknięty.

– Wierzysz mu?

– Może bije swoją żonę – zaczął Jeffrey – ale myślę, że mówił prawdę. Te narzędzia to jego źródło utrzymania. Nie zostawi drzwi otwartych, zwłaszcza że łążą tam ci ludzie z farmy. – Wyjął dżem i podał jej.

– Czy to możliwe, że on brał w tym udział?

– Nie wiem, w jaki sposób – powiedział Jeffrey. – Nic go nie łączy z Abby, nie miał żadnego powodu, żeby otruć ją albo Cole’a. Powinieniem zamknąć całą rodzinę, brać każdego z osobna i patrzeć, kto pierwszy pęknie.

– Wątpię, żeby Paul na to pozwolił.

– Może zaobrączkuję tego starego.

– Och, Jeffrey – powiedziała, opanowana z jakiegoś nieznanego powodu opiekuńczym uczuciem wobec Thomasa Warda. – Nie rób tego. To tylko bezradny starzec.

– W tej rodzinie nikt nie jest bezradny. – Zrobił pauzę. – Nawet Rebecca.

Sara rozważała jego słowa.

– Myślisz, że ona ma w tym udział?

– Myślę, że się ukrywa. Myślę, że coś wie. – Usiadł obok niej przy blacie, skubiąc brew, rozmyślając o dręczących go szczegółach, które przez całą noc nie dawały mu zasnąć.

– Coś się przełamie. Musisz po prostu znowu zacząć od początku. – Pogłaskała go po plecach.

– Masz rację. – Spojrzał na nią. – Cały czas wracamy do cyjanku. To klucz do tej sprawy. Chcę pomówić z Terri Stanley. Muszę ją jakoś odciągnąć od Dale’a i zobaczyć, co powie.

– Ma być dziś w klinice – powiedziała Sara. – Musiałam ją jakoś upchnąć w przerwie obiadowej.

– Co się stało?

– Jej najmłodszemu dziecku nadal się nie poprawiło.

– Porozmawiasz z nią o tych sińcach?

– Jadę na tym samym wózku co ty – odparła. – Nie mogę jej przyprzeć do muru i zmusić, by powiedziała, co się dzieje. Gdyby to było takie łatwe, nie miałbyś zajęcia.

W nocy również Sarę gnębiło poczucie winy. Zastanawiała się, jak to możliwe, że widywała Terri Stanley przez te wszystkie lata i nie domyśliła się, co się dzieje w jej domu.

– Nie mogę zdradzić zaufania Leny – kontynuowała – a poza tym

odstraszyłabym ją. Jej dzieci są chore. Potrzebna jest jej ta klinika. To dla niej bezpieczne miejsce. Jeśli kiedyś zobaczę, że któremuś z tych dzieci spadł choć włos z głowy, to możesz mi wierzyć, że zareaguję – zapewniła go. – Nigdy nie wyszłaby z nimi z tego budynku.

– Czy Dale przyjeżdża z nią do kliniki? – zapytał.

– Nie wiem. To dla mnie krępująca sytuacja – powiedziała. Nie podobał się jej pomysł, żeby klinika stała się drugim komisariatem.

– Dale trzyma w warsztacie załadowaną broń i coś mi mówi, że nie lubi, kiedy gliny gadają z jego żoną – powiedział.

– Och. – Tylko tyle mogła powiedzieć. To wszystko zmieniało.

– Może po prostu poczekam na parkingu, aż wyjdzie? – zasugerował. – Potem zabiorę ją do komisariatu.

Sara wiedziała, że byłoby to dużo bezpieczniejsze, ale nadal nie podobała się jej perspektywa wzięcia udziału w wystawieniu Terri Stanley na atak z zaskoczenia.

– Będzie ze swoim synkiem.

– Marla uwielbia dzieci.

– Nie podoba mi się to.

– Jestem pewien, że Abby Bennett nie podobało się przebywanie w skrzyni.

To był argument, ale mimo to nie podobał się jej ten pomysł.

– Jest zapisana na dwunastą piętnaście – ustąpiła Sara wbrew rozsądkowi.

Dom pogrzebowy Brocka mieścił się w rezydencji w stylu wiktoriańskim zbudowanej na początku dwudziestego wieku przez człowieka, który prowadził zakład naprawy taboru kolejowego w Avondale. Niestety, sięgnął do skarbcza kolei, żeby sfinansować tę budowę, i kiedy go złapano, gmach został sprzedany na licytacji. Kupił go John Brock za śmieszne pieniądze i przekształcił w jeden z najładniejszych zakładów pogrzebowych po tej stronie Atlanty.

Po śmierci Johna interes przejął jego jedyny syn. Sara chodziła do szkoły z Danem Brockiem, a dom pogrzebowy znajdował się po drodze. Brockowie mieszkali nad zakładem i każdego ranka wzdrygała się, kie-

dy autobus podjeżdżał pod dom Brocków – nie dlatego, że miała słabe nerwy, lecz dlatego, że matka Dana czekała na zewnątrz z synem, bez względu na pogodę, by pocałować go na do widzenia. Po tym krępującym pożegnaniu Dan wdrapywał się do autobusu, gdzie wszyscy chłopcy cmokali, kierując usta w jego stronę.

Najczęściej siadał w końcu obok Sary. Nie należała do grupy uczniów cieszących się popularnością ani do grupy narkomanów, ani nawet do dziwaków komputerowych. Przeważnie siedziała z nosem w książce i nie zauważała, kto koło niej siedzi, jeśli nie klapnął tam Brock. Już wtedy był gadatliwy i więcej niż trochę dziwny. Sara zawsze mu współczuła i nie zmieniał się to, mimo że upłynęło trzydzieści parę lat. Będąc zaprzysięgłym kawalerem, Brock nadal mieszkał z matką.

– Halo? – zawołała Sara, otwierając drzwi dużego holu, który ciągnął się przez całą długość domu. Od czasu, kiedy jej mąż kupił tę rezydencję, Audra Brock niewiele zmieniła w jej wystroju, więc ciężkie dywany i kotary nadal pasowały do stylu epoki wiktoriańskiej. W pomieszczeniu rozstawione były krzesła i stoliki z chusteczkami higienicznymi, dyskretnie ukrytymi za kompozycjami kwiatowymi, zapraszając żalobników do wytchnienia.

– Brock? – zapytała, kładąc teczkę na jednym z krzeseł, żeby wygrzebać z niej świadectwo zgonu Abigail Bennett.

Zgodnie z obietnicą daną Paulowi Wardowi miała dostarczyć Brockowi papiery wczoraj, ale była zbyt zajęta. Carlos, co mu się rzadko zdarzało, wziął dzień wolnego, a nie chciała, by rodzina Abby czekała jeszcze jeden dzień.

– Brock? – spróbowała znowu, patrząc na zegarek i zastanawiając się, gdzie on jest. Spóźni się do kliniki. – Halo? – Na zewnątrz nie było żadnych zaparkowanych samochodów, przypuszczała więc, że nie odbywa się w tej chwili pogrzeb. Poszła korytarzem, zaglądając do każdego z pomieszczeń, w których wystawiano trumny ze zwłokami, by rodzina i znajomi mogli się pożegnać ze zmarłymi. Znalazła Brocka w ostatnim. Był wysokim, tyczkowatym mężczyzną, ale cała górna połowa jego ciała była w tej chwili schowana w trumnie, której wieko spo-

czywało na jego plecach. Obok niego wystawała z trumny zgięta w kolanie kobieca noga, a mała stopka w bucie na wysokim obcasie zwisała na zewnątrz trumny. Sara podejrzewała by coś obscenicznego, gdyby go dobrze nie znała.

– Brock?

Podskoczył, uderzając głową w wieko.

– Boże wszechmocny. – Roześmiał się i chwycił się za serce, gdy wieko się zatrzasnęło. – Wystraszyłaś mnie niemal na śmierć.

– Przepraszam.

– To chyba najwłaściwsze miejsce na to! – zażartował, klepiąc się po udzie.

Sara zmusiła się do śmiechu. Poczucie humoru Brocka dorównywało jego talentom towarzyskim.

– Zamówienie specjalne. Ładna, co? – Przeciągnął dłonią po lśniącej krawędzi jasnożółtej trumny.

– Ee, tak – zgodziła się, nie wiedząc, co innego powiedzieć.

– Fanka Georgia Tech – powiedział, wskazując czarne prążki na wieku. – Słuchaj – powiedział, uśmiechając się promiennie. – Głupio mi prosić, ale mogłabyś mi przy niej pomóc?

– A co się stało?

Znowu otworzył wieko. Wewnątrz leżała podobna do aniołka kobieta, która miała pewnie około osiemdziesiątki. Jej siwe włosy były upięte w kok, policzki lekko pokryte różem, żeby nadać jej zdrowy wygląd. Wyglądała, jakby powinna stać w gabinecie Madame Tussaud, zamiast leżeć w trumnie. Jedną z przyczyn tego, że Sarze trudno było pogodzić się z balsamowaniem zwłok, były stosowane przy tym sztuczki: ten róż i tusz, środki chemiczne, które konserwowały ciało, zabezpieczając je przed rozkładem. Nie napawała jej entuzjazmem myśl o tym, że umrze i ktoś – o zgrozo, może nawet Dan Brock – wepchnie bawełnę w różne otwory jej ciała, by zapobiec wyciekaniu płynu balsamującego.

– Próbowałem to obciągnąć – powiedział Brock, wskazując na żakiet zmarłej, który marszczył się jej na ramionach. – Jest, jakby to powiedzieć, szorstka. Gdybyś mogła podnieść jej nogi, to mógłbym pocią-

gnać...

– Jasne – powiedziała, chociaż była to ostatnia rzecz, jaką chciałyby zrobić tego ranka. Ujęła kobietę za kostki u nóg i podniosła do góry, a Brock szybko obciągnął żakiet, cały czas gadając.

– Nie chciałem jej taszczyć z powrotem na dół, a mama nie ma już tyle siły, żeby mi przy tym pomagać.

Sara opuściła nogi trupa.

– Dobrze się czuje?

– Rwa kulszowa – rzekł szeptem, jakby matka się wstydziła tej choroby. – To straszne, kiedy zaczynają się starzeć. No tak. – Włożył rękę do trumny i przejechał nią wokół, wygładzając jedwab, którym była wyścielona. Kiedy skończył, potarł dłonią o dłoń, jakby chciał je umyć po skończonej pracy. – Dziękuję ci, że mi przy tym pomogłaś. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Ach. – Sara niemal zapomniała, po co przyszła. Wróciła do pierwszego rzędu krzesel, gdzie zostawiła papiery Abby. – Powiedziałam Paulowi Wardowi, że w czwartek przyniosę ci świadectwo zgonu, ale byłam uwiązana.

– Jestem pewien, że to żaden problem – rzekł Brock, uśmiechając się do niej. – Nie dostałem nawet jeszcze Chipa z krematorium.

– Chipa?

– Charlesa – powiedział. – Przepraszam, Paul mówił o nim Chip, ale to chyba nie może być jego prawdziwe imię.

– Po co Paulowi miałyby być potrzebne świadectwo zgonu Charlesa Donnera?

Brock wzruszył ramionami, jakby prośba ta była czymś najbardziej naturalnym na świecie.

– Zawsze odbiera świadectwa zgonu, kiedy umierają ludzie z farmy.

Sara położyła rękę na oparciu krzesła, czując potrzebę chwycenia się czegoś mocnego.

– Ile osób umiera na tej farmie?

– No nie. – Brock roześmiał się, chociaż nie widziała w tym nic śmiesznego. – Przepraszam, że wywołałem tym u ciebie fałszywe wra-

żenie. Niedużo. W tym roku dwie. Chip jest trzeci. W zeszłym roku chyba dwie.

– Mnie się wydaje, że to dużo – powiedziała Sara, myśląc, że pominął Abigail, co w sumie dawało cztery zgony tylko w tym roku.

– No, być może – powiedział powoli Brock, jakby dopiero teraz dotarło do niego, że jest to dosyć dziwne. – Ale musisz pamiętać, jakie typy tam mają. Przeważnie wraki. Uważam, że ta rodzina postępuje naprawdę po chrześcijańsku, pokrywając koszta pochówku.

– A na co umarli?

– Niech pomyślę – zaczął Brock, pukając się palcem po brodzie. – Wszyscy z przyczyn naturalnych, tyle mogę ci powiedzieć. Jeśli można nazwać przyczynami naturalnymi zapicie i zaćpanie się na śmierć. Jeden z nich, ten facet, był tak nasączony alkoholem, że skremowanie go zajęło niecałe trzy godziny. Przybył tu z własnym przyspieszaczem. Poza tym chudy gość. Niedużo tłuszczu.

Sara wiedziała, że tłuszcz pali się szybciej niż mięśnie, ale nie spodobało się jej, że musi słuchać o tym tuż po śniadaniu.

– A pozostali?

– Mam w biurze kopie aktów zgonu.

– Wydanych przez Jima Ellersa? – zapytała Sara, mając na myśli kornera okręgowego z Catoogah.

– Tak – powiedział Brock, machnąwszy ręką w stronę korytarza.

Sara poszła za nim, czując niepokój. Jim Ellers był miłym człowiekiem, ale, podobnie jak Brock, był szefem domu pogrzebowego, nie lekarzem. Trudniejsze sprawy wysyłał zawsze do niej albo do laboratorium stanowego. Nie przypominała sobie, by w ostatnich ośmiu latach przekazano jej z Catoogah jakiś inny przypadek niż śmiertelne postrzeżenie albo zadżganie. Jim musiał uważać, że zgony na farmie były naturalne. Może były. Brock miał rację, że robotnicy tam zatrudnieni byli wrakami. Alkoholizm i uzależnienie od narkotyków to choroby trudno poddające się leczeniu, a jeśli się ich nie leczy, prowadzą na ogół do katastrofalnych kłopotów zdrowotnych i w końcu do śmierci.

Brock otworzył rozsuwane drzwi do pokoju, w którym kiedyś była

kuchnia. Pomieszczenie to było teraz jego biurkiem. Pośrodku stało ogromne biurko, pojemniki na korespondencję przychodzącą kipiały od listów.

Przeprosił ją za bałagan.

– Mama zbyt źle się czuje, żeby to uporządkować.

– Nie ma sprawy.

Podszedł do rzędu szaf na dokumenty stojących w głębi biura. Znowu przyłożył palec do brody, nie otwierając żadnej z szuflad.

– Coś nie tak?

– Mogę potrzebować chwili, żeby przypomnieć sobie ich nazwiska.

– Uśmiechnął się przepaszająco. – Mama jest ode mnie dużo lepsza w zapamiętywaniu tych rzeczy.

– Brock, to jest ważne – powiedziała. – Idź po matkę.

Tak, proszę pani – powiedział Jeffrey do słuchawki, patrząc na Lenę i wywracając oczami. Lena mogłaby przysiąc, że Barbara, sekretarka Paula Warda, podaje mu wszystkie możliwe informacje oprócz swojego numeru ubezpieczenia. Brzękliwy głos tej kobiety był tak donośny, że słyszała go z odległości kilku metrów.

– To dobrze – powiedział. – Tak, proszę pani. – Oparł głowę na rękę. – Och... przepraszam... przepraszam... – spróbował, a potem powiedział: – Mam drugą rozmowę. Dziękuję pani. – Odłożył słuchawkę, a trajkot Barbary dochodził z niej jeszcze wtedy, kiedy kładł ją na widełki.

– Jezu Chryste – powiedział, trąc ucho. – Dosłownie.

– Próbowwała ratować twoją duszę?

– Powiedzmy, że jest naprawdę szczęśliwa, że jest związana z tym Kościołem.

– Mówiąc innymi słowy, powiedziałaaby wszystko, żeby kryć Paula?

– Prawdopodobnie – odparł, odchylając się do tyłu w fotelu. Spojrzał na swoje notatki, które składały się z trzech słów. – Potwierdza, co powiedział Paul, że był w Savannah. Przypomniała sobie nawet, że pracowała z nim do późna w nocy, kiedy umarła Abby.

Lena wiedziała, że ustalenie czasu zgonu nie jest domeną nauk ścisłych.

– Całą noc?

– W tym rzecz – przyznał. – Powiedziała też, że Abby przyjechała z jakimiś papierami parę dni przed jej zaginięciem.

– Zachowywała się normalnie?

– Powiedziała, że była słonecznym promykiem, jak zwykle. Paul podpisał jakieś papiery, potem poszli na obiad i zawiózł ją na dworzec autobusowy.

– Mogli się posprzeczać o coś podczas obiadu.

– To prawda – zgodził się. – Ale dlaczego miałyby zabić swoją siostrzenicę?

– Może z powodu dziecka, które miała w brzuchu – zasugerowała Lena. – Nie byłby to pierwszy taki przypadek.

Jeffrey potarł szczękę.

– Tak – przyznał i widziała, że myśl o tym napęłniła go niesmakiem.

– Ale Cole Connolly był całkowicie pewny, że było to dziecko Chipa.

– A ty jesteś pewny, że Cole jej nie otruł?

– Jak najbardziej. – Może powinniśmy oddzielić tych dwoje, przestać się na razie zastanawiać nad tym, kto zabił Abby. Kto zabił Cole’a? Kto chciał, by umarł?

Lena nie była w pełni przekonana, że Connolly mówił prawdę o śmierci Abby. To, że był świadkiem konania Connolly’ego, bardzo wstrząsnęło Jeffreyem. Zastanawiała się, czy na jego przekonanie o tym, że Connolly był niewinny, nie wpłynął ten widok, który z pewnością był makabryczny.

– Może – zasugerowała – ktoś, kto wiedział, że Cole otruł Abby, postanowił się zemścić, chciał, żeby cierpiał tak, jak cierpiała ona.

– Do śmierci Cole’a nie powiedziałem nikomu z tej rodziny, że została otruta – przypomniał jej. – Z drugiej strony ten, kto to zrobił, wiedział, że Cole każdego ranka pije kawę. Powiedział mi, że siostry Ward zawsze suszyły mu głowę, próbując go nakłonić, żeby porzucił ten nałóg.

– Rebecca też mogła o tym wiedzieć. – Lena posunęła to o krok dalej. Jeffrey skinął głową.

– Jest jakiś powód, że się trzyma z dala od domu. Przynajmniej mam

nadzieję, że woli się trzymać z dala od domu.

– Jesteś pewien, że Cole jej gdzieś nie zamknął? Żeby ją za coś ukarać? – Lena myślała o tym samym.

– Wiem, że uważasz, że nie powinienem polegać na jego słowie – zaczął Jeffrey – ale nie sądzę, że on ją uprowadził. Ludzie tacy jak Cole wiedzą, kogo wybrać. – Pochylił się nad biurkiem ze złożonymi dłońmi, jakby mówił coś, co miało istotne znaczenie dla tej sprawy. – Tacy jak on wybierają osoby, które nic nie powiedzą. To tak samo jak z Dale'em, który wybrał sobie Terri. Tacy faceci wiedzą, kim mogą dyrygować, kto się zamknie i przyjmie wszystko w milczeniu, a kto nie.

Lena poczuła, że płoną jej policzki.

– Rebecca wydała mi się bardzo niepokorna. Widzieliśmy ją tylko ten raz, ale odniosłam wrażenie, że nie pozwoli nikomu sobą dyrygować. – Wzruszyła ramionami. – Zresztą nigdy nie wiadomo, prawda?

– Tak – odparł, spojrzawszy na nią badawczo. – Z tego, co wiemy, Rebecca ma jakiś związek z tym wszystkim.

W drzwiach stanął Frank z plikiem papierów w ręku. Powiedział coś, czego żadne z nich nie wzięło pod uwagę:

– Otrucie to zbrodnia popełniana przez kobiety.

– Rebecca się bała, kiedy z nami rozmawiała – powiedziała Lena. – Nie chciała, żeby dowiedziała się o tym jej rodzina. Z drugiej strony, może nie chciała, żeby się dowiedzieli, bo nas zwodziła.

– Wydała ci się takim typem? – zapytał Jeffrey.

– Nie – przyznała. – Może Lev i Paul. Ale Rachel też jest bardzo silna.

– A nawiasem mówiąc, co ten brat robi w Savannah? – zapytał Frank.

– To miasto portowe – przypomniał mu Jeffrey. – Zawiera się tam dużo transakcji. – Wskazał na papiery w ręku Franka. – Co tam masz?

– Resztę informacji o wiarygodności finansowej – powiedział, podając mu dokumenty.

– Coś ci się rzuciło w oczy?

Frank pokręcił głową akurat w chwili, kiedy przez trzaski interko-

mu odezwał się głos Marli.

– Szefie, Sara na trzeciej linii.

Jeffrey podniósł słuchawkę.

– Hej.

Lena podniosła się, by mógł swobodnie rozmawiać, ale machnięciem ręki nakazał jej, by usiadła z powrotem.

– Przeliteruj – poprosił, po czym coś zapisał. Potem powiedział: – Dobrze. Następny.

Lena czytała do góry nogami nazwiska, kiedy Jeffrey je zapisywał. Sami mężczyźni.

– Znakomicie – powiedział do Sary. – Zadzwoń później. – Odłożył słuchawkę i powiedział jednym tchem: – Sara jest u Brocka. Mówi, że w ostatnich dwóch latach zmarło na farmie dziewięć osób.

– Dziewięć? – Lena była pewna, że się przesłyszała.

– Cztery ciała dostał Brock. Resztę Richard Cable.

Lena wiedziała, że Cable prowadzi jeden z domów pogrzebowych w Catoogah.

– Jaka była przyczyna śmierci?

Jeffrey wyrwał kartkę ze swojego notatnika.

– Zatrucie alkoholowe, przedawkowanie narkotyków. Jeden miał zawał. Sekcje zwłok przeprowadzał Jim Ellers w Catoogah. Uznał wszystkie zgony za naturalne.

Lena odniosła się sceptycznie, nie do tego, co mówił Jeffrey, ale do wiedzy fachowej Ellersa.

– Powiedział, że dziewięć osób zmarło w ciągu dwóch lat w tym samym miejscu z przyczyn naturalnych?

– Cole Connolly miał dużo narkotyków ukrytych w swoim pokoju – rzekł Jeffrey.

– Myślisz, że im pomógł? – zapytał Frank.

– To właśnie zrobił z Chipem – powiedział Jeffrey. – Cole sam mi to powiedział. Powiedział, że kusił go jabłkiem, czy coś w tym stylu.

– A więc – wywnioskowała Lena – Cole wybierał „słabych”, machając im narkotykami czy czymś tam przed nosem, patrząc, czy wezmą

i udowodnią, że miał rację.

– A ci, którzy wzięli, kończyli, idąc do swojego stwórcy – powiedział Jeffrey, ale z jego szerokiego uśmiechu Lena wywnioskowała, że ma coś jeszcze.

– Co? – zapytała.

– Za kremację wszystkich zwłok zapłacił Kościół Dla Większego Dobra.

– Za kremację – powtórzył Frank. – A więc nie możemy ekshumować ciał.

– Co przeoczyłam? – zapytała, czując, że jest coś jeszcze.

– Wszystkie świadectwa zgonu dostał Paul Ward – powiedział Jeffrey.

– Dlaczego miałyby potrzebować... – zaczęła głupio, ale sama sobie odpowiedziała, zanim dokończyła pytanie. – Ubezpieczenia na życie...

– Strzał w dziesiątkę – powiedział Jeffrey, wręczając Frankowi kartkę z nazwiskami. – Weź Hemminga i przekartkujcie książkę telefoniczną. Mamy książkę Savannah? – Frank kiwnął głową. – Znajdźcie duże towarzystwa ubezpieczeniowe. Od nich zaczniemy. Nie dzwońcie do miejscowych przedstawicieli, dzwońcie na ogólnokrajowe telefony zaufania dla ofiar oszustw. Przedstawiciele miejscowi mogą być w to wciągnięci.

– Udziela nam tych informacji przez telefon? – zapytała Lena.

– Udziela, jeśli będą myśleli, że ich wykiwano – powiedział Frank. – Zaraz się do tego zabiorę.

Kiedy Frank wyszedł, Jeffrey wymierzył palec w Lenę.

– Wiedziałem, że chodzi o pieniądze. Musiało chodzić o coś konkretnego.

– Miałaś rację. – Musiała przyznać.

– Znaleźliśmy naszego generała – rzekł. – Cole powiedział, że jest tylko starym żołnierzem, ale musi mieć generała, który powie mu, co robić.

– Abby była w Savannah parę dni przed śmiercią. Może odkryła coś o tych ubezpieczeniach na życie.

– Jak? – zapytał Jeffrey.

– Jej matka powiedziała, że Abby przez pewien czas pracowała w biurze. Że była dobra w liczbach.

– Lev zobaczył ją kiedyś w biurze przy kserokopiarce. Może zobaczyła coś, czego nie powinna była zobaczyć. – Przerwał, rozważając różne możliwości. – Rachel powiedziała, że Abby pojechała przed śmiercią do Savannah, bo Paul zostawił na farmie jakieś papiery w teczce. Może Abby zobaczyła te polisy.

– A więc myślisz, że Abby rzuciła mu wyzwanie w Savannah?

Jeffrey skinął głową.

– A Paul zadzwonił do Cole’a i zdopingował go do ukarania jej.

– Albo do Leva.

– Albo do Leva – zgodził się Jeffrey.

– Cole wiedział już o Chipie. Poszedł za nim i za Abby do lasu. – Chwilę milczała. – Ale nie wiem – dodała po chwili. – To dziwne. Paul nie wydał mi się bardzo religijny.

– A dlaczego miałyby być religijny?

– Powiedzieć Cole’owi, żeby zakopał jego siostrzenicę w trumnie w lesie? – powiedziała. – Dla mnie to raczej Lev wygląda na tego twojego generała. Poza tym Paul nigdy nie był w warsztacie Dale’a. Jeśli stamtąd pochodzi cyjanek, to wskazuje to wprost na Leva, bo jedynie jego możemy powiązać z tym warsztatem. – Po chwili dodała: – Albo Cole’a.

– Nie sądzę, że to był Cole – upierał się Jeffrey. – Naprawdę rozmawiałaś o tym z Terri Stanley?

Poczuła, że znowu się czerwieni, tym razem ze wstydu.

– Nie.

Zacisnął usta, ale nie powiedział tego, co było oczywiste. Gdyby porozmawiała wcześniej z Terri, to może nie siedzieliby tu teraz. Może Rebecca byłaby bezpieczna w domu, Cole Connolly żyłby nadal, a oni byliby w pokoju przesłuchań i rozmawiali z osobą, która zabiła Abigail Bennett.

– Spierdoliłam sprawę – powiedziała.

– Tak, spierdoliłaś. – Odczekał kilka sekund, po czym powiedział: – Nie wykonujesz moich poleceń, Leno. Muszę móc ci ufać, że zrobisz to, co ci mówię. – Zrobił pauzę, jakby spodziewał się, że mu przerwie. Nie przerwała, więc mówił dalej: – Możesz być dobrym gliną, byстрыm gliną. Dlatego zrobiłem cię detektywem. – Spuściła wzrok, nie mogąc przyjąć tego komplementu. Wiedziała, co nastąpi. – Ja ponoszę odpowiedzialność za wszystko, co się dzieje w tym mieście, i jeśli komuś stanie się krzywda, a co gorsza dlatego, że ty nie wypełnisz moich rozkazów, to wszystko spadnie na mnie.

– Wiem. Przepraszam.

– Tym razem „przepraszam” nie wystarczy. „Przepraszam” znaczy, że rozumiesz, co mówię, i nie zrobisz tego ponownie. – Poczekał, aż dotrze to do niej. – Słyszałem „przepraszam” o ten jeden raz za dużo. Muszę widzieć działania, a nie słyszeć puste słowa.

Jego spokojny ton był gorszy, niż gdyby na nią krzyczał. Lena patrzyła w podłogę, zastanawiając się, ile jeszcze razy pozwoli jej coś spieprzyć, zanim ją wyleje.

Podniósł się szybko, biorąc ją przez zaskoczenie. Lena drgnęła, zdjęta niewytłumaczalnym strachem, że ją uderzy.

Jeffrey był wstrząśnięty i patrzył na nią, jakby jej nigdy wcześniej nie widział.

– Ja tylko... – Nie mogła znaleźć słów. – Przestraszyłeś mnie.

Jeffrey wychylił się przez drzwi i powiedział do Marli:

– Przyślij tu kobietę, która zaraz wejdzie. – Zwrócił się do Leny: – Jest tutaj Mary Ward. Przed chwilą widziałem, jak zajechała na parking.

– Myślałam, że ona nie lubi prowadzić samochodu. – Lena starała się odzyskać równowagę.

– Chyba zrobiła wyjątek – odparł Jeffrey, nadal patrząc na nią jak na książkę, której nie potrafi przeczytać. – Będziesz w stanie to zrobić?

– Oczywiście – powiedziała, podnosząc się z krzesła. Obciągnęła koszulę i wsunęła ją w spodnie, czując się nie na miejscu.

Ujął jej dłoń w swoje ręce i przeżyła jeszcze jeden wstrząs. Nigdy jej w ten sposób nie dotykał. Nie było to w jego stylu.

– Musisz zaraz wziąć się w garść i robić, co do ciebie należy – powiedział.

– Masz to jak w banku – powiedziała, cofając rękę, żeby znowu poprawić koszulę, chociaż nie było na niej ani jednej fałdki. – Chodźmy.

Nie czekała na niego. Wyprostowała ramiona i ruszyła pewnym krokiem przez salę odpraw. Kiedy otwierała drzwi, dłoń Marli spoczywała na brzęczyku.

W holu stała Mary Ward, przyciskając do piersi torebkę.

– Komendancie Tolliver – powiedziała, jakby na wprost niej nie stała Lena. Miała na ramionach zmechacony, stary, czarno-czerwony szal i bardziej, niż kiedy widzieli ją pierwszy raz, wyglądała na starszą panią. Prawdopodobnie była tylko dziesięć lat starsza od Leny. Albo udawała, albo była naprawdę jedną z najżałośniejszych osób stąpających po ziemi.

– Może wejdzie pani do mojego gabinetu – zaproponował Jeffrey, ujmując Mary pod łokieć i wprowadzając ją przez otwarte drzwi, zanim zdążyła się rozmyślić. – Pamięta pani detektyw Adams? – zapytał.

– Lena – podpowiedziała Lena, zawsze życzliwa. – Przynieść pani kawy albo czegoś innego?

– Nie piję kofeiny – odparła Mary, nadal napiętym głosem, jakby wcześniej krzyczała i ochrypla od tego. Lena zauważyła zmiętą chusteczkę wsuniętą w jej rękaw i domyśliła się, że płakała.

Jeffrey posadził Mary przy jednym z biurk przed swoim gabine-tem, prawdopodobnie po to, by osłabić jej czujność. Poczekał, aż usiądzie, potem zajął krzesło obok niej.

Lena trzymała się z tyłu, myśląc, że Mary będzie się lepiej czuła, rozmawiając z Jeffreyem.

– W czym mogę pani pomóc, Mary? – zapytał Jeffrey.

Milczała przez chwilę, oddychając tak głośno, że jej oddech słychać było w małym pokoju. Czekali, aż przemówi.

– Powiedział pan, że moja siostrzenica była w skrzyni, komendancie Tolliver.

– Tak.

– Że Cole zakopał ją w skrzyni.

– Zgadza się – potwierdził. – Cole przyznał się do tego, zanim umarł.

– A pan ją znalazł? Pan sam ją znalazł?

– Byłem z żoną w lesie. Znaleźliśmy sterczącą z ziemi metalową rurę. Sami ją wykopaliśmy.

Mary wyjęła chusteczkę z rękawa i wytarła nos.

– Parę lat temu... – zaczęła, a potem powiedziała: – Chyba powinienam zacząć od początku.

– Proszę się nie spieszyć.

Lena zacisnęła usta, tłumiąc chęć wytrząśnięcia z niej całej prawdy.

– Mam dwóch synów – powiedziała Mary. – Williama i Petera. Mieszkają na zachodzie.

– Pamiętam, że mówiła nam pani o tym – rzekł Jeffrey, choć Lena nie mogła sobie przypomnieć.

– Postanowili opuścić nasz Kościół. – Wydmuchała nos w chusteczkę. – Było mi bardzo trudno pogodzić się ze stratą dzieci. Nie żebyśmy się odwrócili do nich tyłem. Każdy podejmuje własne decyzje. Nie wyłączamy ludzi z Kościoła, bo... – Jej głos uciekł. – To moi synowie odwrócili się tyłem do nas. Do mnie.

Jeffrey czekał, a jedyną oznaką jego zniecierpliwienia było zaciśnięcie ręki na poręczy fotela.

– Cole był dla nich bardzo surowy – powiedziała. – Uczył ich dyscypliny.

– Bił ich?

– Karał ich, kiedy się źle zachowywali. – Tylko tyle przyznała. – Rok wcześniej zmarł mój mąż. Byłam Cole'owi wdzięczna za pomoc. Myślałam, że potrzebują silnej ręki. – Pociągnęła nosem i wytarła go w chusteczkę. – To były inne czasy.

– Rozumiem – powiedział Jeffrey.

– Cole ma... miał... bardzo stanowcze poglądy na temat tego, co dobre, a co złe. Ufałam mu bezgranicznie. Ufał mu mój ojciec. Był przede wszystkim człowiekiem Boga.

– Czy zdarzyło się coś, co to zmieniło?

Wydawała się owładnięta smutkiem.

– Nie. Wierzyłam we wszystko, co mówił. Odwróciłam się tyłem do córki.

Lena poczuła, że unoszą się jej brwi.

– Ma pani córkę?

Skinęła głową.

– Genie.

Jeffrey usiadł wygodnie w fotelu, chociaż jego mięśnie pozostały napięte.

– Ona mi powiedziała – ciągnęła Mary. – Genie mi powiedziała, co jej zrobił. – Przerwała. – Ta skrzynia w lesie.

– Zakopał ją tam?

– Wybrali się na obóz – wyjaśniła Mary. – Często zabierał dzieci na obóz.

Lena wiedziała, że Jeffrey myśli o Rebecce, o tym, jak wcześniej uciekała do lasu.

– Co powiedziała pani córka? – zapytał.

– Że Cole ją oszukał – powiedział, że zabiera ją do lasu na spacer. – Umilkła, ale potem zmusiła się do mówienia dalej. – Zostawił ją tam na pięć dni.

– Co pani zrobiła, kiedy córka o tym powiedziała?

– Zapytałam o to Cole'a. – Pokręciła głową nad swoją głupotą. – Powiedział, że nie może zostać na farmie, jeśli bardziej wierzę Genie niż jemu. Było to dla niego bardzo ważne.

– Ale nie zaprzeczył temu?

– Nie – powiedziała. – Uświadomiłam to sobie dopiero wczoraj wieczorem. Nigdy temu nie zaprzeczył. Powiedział, że powinnam się pomodlić i pozwolić, by Bóg mi powiedział, komu mam wierzyć: jemu czy Genie. Ufałam mu. Miał takie silne poczucie dobra i zła. Uważałam go za bogobojnego człowieka.

– Czy wiedział o tym ktoś jeszcze z rodziny?

Znowu pokręciła głową.

– Wstydziałam się. Ona kłamała. Kłamała w pewnych sprawach – poprawiała się Mary. Teraz to widzę, ale w tamtym czasie trudniej było to zobaczyć. Genie była bardzo buntownicza. Uciekała z chłopcami. Odwróciła się od Kościoła. Odwróciła się od religii.

– Co pani im powiedziała o zniknięciu Genie?

– Poszłam po radę do brata. Poradził mi, żebym im powiedziała, że Genie uciekła z jakimś chłopcem. Była to wiarygodna opowieść. Myślałam, że zaoszczędziła nam zakłopotania, w które wprowadziłyby nas prawda, a poza tym żadne z nas nie chciało denerwować Cole'a. – Osuszyła chusteczką kącik oka. – Był dla nas wtedy tak cenny. Obaj moi bracia studiowali poza domem. Żadna z nas, dziewcząt, nie była zdolna do zajęcia się farmą. Wszystkim zajmowali się mój ojciec i Cole. Dzięki niemu gospodarstwo funkcjonowało.

Otworzyły się z hałasem drzwi pożarowe i wszedł Frank. Gdy zobaczył Jeffreya siedzącego z Mary Ward przy biurku, zatrzymał się, lecz po chwili podszedł, położył rękę na ramieniu Jeffreya i wręczył mu teczkę. Jeffrey otworzył ją, widocznie wiedząc, że Frank nie przeszkadzałby mu, gdyby nie było to coś ważnego. Lena widziała, że patrzy na parę przefaksoowanych stron. Budżet komisariatu był skromny, więc maszyna miała około dziesięciu lat i pracowała na rolkach termicznych, a nie na zwykłym papierze. Przeglądając kartki, Jeffrey wygładził je. Kiedy podniósł głowę, Lena nie mogła się zorientować, czy przeczytał dobrą czy złą wiadomość.

– Mary – powiedział Jeffrey. – Przez cały czas zwracam się do pani nazwiskiem Ward. Czy pani nazwisko po mężu brzmi Morgan?

Na jej twarzy pojawił się wyraz zdziwienia.

– Tak – odparła. – A co?

– A pani córka nazywa się Teresa Eugenia Morgan?

– Tak.

Jeffrey dał jej minutę, żeby się pozbierała.

– Mary – zaczął – czy Abby kiedykolwiek poznała pani córkę?

– Oczywiście. Genie miała dziesięć lat, kiedy urodziła się Abby. Traktowała ją jak własne dziecko. Abby była załamana, kiedy Genie wy-

jechała. Obie były załamane.

– Czy Abby mogła odwiedzić pani córkę tego dnia, kiedy pojechała do Savannah?

– Do Savannah?

Jeffrey wyjął jedną z przefaksowanych kartek.

– Mamy tutaj adres Genie: Savannah, Sandon Square 241.

– No nie – powiedziała Mary, lekko zmartwiona. – Moja córka mieszka tutaj, komendancie Tolliver. Po mężu nazywa się Stanley.

Podczas gdy Lena prowadziła samochód do domu Stanleyów, Jeffrey rozmawiał przez telefon komórkowy z Frankiem. Trzymał na kolanach swój kołonotatnik i zapisywał w nim to, co mówił Frank, wydając od czasu do czasu mruknięcie dla potwierdzenia, że dobrze usłyszał słowa Franka.

Lena zerknęła w lusterko wsteczne, by się upewnić, że Brad Stephens trzyma się blisko nich. Jechał swoim radiowozem i przynajmniej raz Lena cieszyła się, że jest z nimi ten młody policjant. Brad był dumny, ale chodził na siłownię, co było widać po jego mięśniach. Jeffrey powiedział im o załadowanym rewolwerze, który Dale Stanley trzymał na jednej z szafek w warsztacie. Nie czekała z utęsknieniem na konfrontację z mężem Terri, ale jakaś jej część miała nadzieję, że zrobi on coś, co da Jeffreyowi i Bradowi pretekst do pokazania mu, jak to jest, kiedy ktoś większy i silniejszy od ciebie łoi ci dupę.

– Nie, nie umieszczaj jej w celi – powiedział Jeffrey do Franka. – Daj jej mleka i ciastek, jeśli będziesz musiał. Trzymaj ją tylko z dala od telefonu i jej braci. – Lena wiedziała, że mówi o Mary Morgan. Kobięcina była zaskoczona, kiedy Jeffrey powiedział jej, że nie może opuszczać komisariatu, ale, jak większość przestrzegających prawa obywateli, tak się bała, że może iść do więzienia, iż tylko siedziała tam, kiwając głową i zgadzając się ze wszystkim, co mówił.

– Dobra robota, Frank – powiedział Jeffrey. – Daj mi znać, jeśli znajdziesz coś jeszcze. – Rozłączył się. Znowu zaczął coś zapisywać w notesie, nie mówiąc ani słowa.

– Co powiedział? – Lena nie miała cierpliwości, by czekać, aż skoń-

czy.

– Na razie znaleźli dziesięć polis – odparł, nie przerywając pisania. – Jako osoby uposażone, uprawnione do odbioru pieniędzy z ubezpieczenia Abby i Chipa wymienieni są Lev i Terri. Mary Morgan figuruje na dwóch polisach, na dwóch pozostałych Esther Bennett.

– Co powiedziała na to Mary?

– Że nie ma pojęcia, o czym Frank mówi. Wszystkie rachunki rodziny prowadzi Paul.

– Frank jej uwierzył?

– Sam nie wie – odparł Jeffrey. – Do diabła, ja też nie wiem, a rozmawiałem z nią przez pół godziny.

– Nie domyśliłabym się, że żyją na wysokiej stopie.

– Sara mówi, że sami szyją sobie ubrania.

– Na pewno nie Paul – powiedziała. – Na jaką sumę były wystawione te polisy?

– Około pięćdziesięciu tysięcy każda. Byli chciwi, ale nie głupi.

Lena wiedziała, że każda przesadna suma wzbudziłaby podejrzenia w agencjach ubezpieczeniowych. I tak rodzina zdołała uzbierać w ostatnich dwóch latach prawie pół miliona dolarów, do tego wolnych od podatku.

– A co z tym domem? – zapytała Lena.

Wszyscy uposażeni figurowali na polisach pod tym samym adresem w Savannah. Szybki telefon do sądu w Chatham ujawnił, że dom na Sandon Square został kupiony przed pięcioma laty przez niejaką Stephanie Linder. Albo istnieje jeszcze jedna siostra Wardów, o której Jeffrey nie wiedział, albo ktoś spletał rodzinie paskudnego psikusa.

– Myślisz, że Dale też bierze w tym udział? – zapytała Lena.

– Frank sprawdził stan ich finansów – powiedział Jeffrey. – Dale i Terri są po uszy w długach: karty kredytowe, hipoteka, raty za dwa samochody. Trzy razy ściągano od nich należność za usługi medyczne. Sara mówi, że ten dzieciak był parę razy w szpitalu. Pilnie potrzebują pieniędzy.

– Myślisz, że to Terri ją zabiła? – zapytała Lena. Frank miał rację,

mówiąc, że to kobiety najczęściej zabijają za pomocą trucizny.

– Dlaczego miałyby to zrobić?

– Wiedziała, co zrobił Cole. Mogła go śledzić.

– Ale po co miałyby zabijać Abby?

– Może tego nie zrobiła – spróbowała Lena z innej strony. – Może Abby zabił Cole, a Terri postanowiła dać mu zakosztować jego lekarstwa.

Jeffrey potrząsnął głową.

– Nie sądzę, że to Cole zabił Abby. Był autentycznie zasmucony tym, że ona nie żyje.

Lena dała temu spokój, ale pomyślała sobie, że za bardzo uwierzył na słowo jednemu z najbardziej chorych kutasów, z jakimi się kiedykolwiek zetknęła.

Jeffrey otworzył komórkę i wystukał numer.

– Cześć, Molly – rzekł, kiedy ktoś odebrał. – Możesz przekazać Sarze wiadomość ode mnie? – Przerwał na chwilę. – Powiedz jej, że właśnie jedziemy do Stanleyów. Dzięki. – Skończył rozmowę i zwrócił się do Leny: – Sara jest umówiona z Terri w przerwie obiadowej.

Było pół do jedenastej. Lena pomyślała o rewolwerze w warsztacie Dale'a.

– Dlaczego nie moglibyśmy zwinąć jej wtedy.

– Bo nie mamy wstępu do gabinetu Sary.

Lena pomyślała, że to marna wymówka, ale wołała nie naciskać go w tej sprawie. Jeffrey był najlepszym gliną, jakiego znała, ale jeśli chodziło o Sarę Linton, był posłuszny jak piesek. Fakt, że się tak nad nim pastwi, byłby żenujący dla każdego innego mężczyzny, ale on wydawał się z tego dumny.

Jeffrey musiał wyczuć jej myśli, przynajmniej niektóre, bo powiedział:

– Nie wiem, do czego zdolna jest Terri. Za nic w świecie nie chcę, żeby wpadła w furję w przychodni pełnej małych dzieci. – Wskazał na czarną skrzynkę na listy przy drodze. – To tam, po prawej.

Lena zwolniła, wjeżdżając na podjazd Stanleyów. Brad jechał tuż za

nią. Zobaczyła, że Dale pracuje w garażu, i poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Raz już go spotkała, parę lat temu, na policyjnym pikniku, kiedy Pat, jego brat, wstąpił do policji. Zapomniała, jaki jest wielki. Nie tylko wielki, ale również silny.

Jeffrey wysiadł z samochodu, ale Lena zdała sobie sprawę, że się waha. Zmusiła się do położenia ręki na klamce, do otworzenia drzwi i wyjścia z wozu. Słyszała, jak za nią zatrzaskują się drzwi Brada, ale nawet na sekundę nie chciała spuścić wzroku z Dale'a. Stał w garażu tuż za wejściem, trzymając w umięśnionych łapach klucz francuski, który wyglądał na ciężki. Szafka z rewolwerem stała o parę stóp od niego. Podobnie jak Jeffrey, miał pod okiem ciemny siniec.

– Cześć, Dale – powiedział Jeffrey. – Skąd masz tego sińca?

– Wpadłem na drzwi – zażartował, a Lena zaczęła się zastanawiać, jak naprawdę go zarobił. Terri musiałaby stanąć na krześle, żeby sięgnąć jego głowy. Dale ważył około czterdziestu kilogramów więcej od niej i był co najmniej o sześćdziesiąt centymetrów wyższy. Lena spojrzała na jego dłonie, myśląc, że każda z nich jest wystarczająco duża, by mogła się zacisnąć wokół jej gardła. Mógłby ją udusić w mgnieniu oka. Nienawidziła tego uczucia, nienawidziła wrażenia, że trzęsą się jej płuca, uciekają oczy, że wszystko zaczyna znikać, kiedy siłą woli zmusza się, by nie zemdleć.

Jeffrey zrobił parę kroków, mając po bokach Brada i Lenę.

– Musisz wyjść z warsztatu – powiedział do Dale'a.

– O co chodzi? – Dale mocniej zacisnął dłoń na kluczu. Jego usta wykrzywiły się w uśmiechu. – Terri was wezwała?

– Dlaczego miałaby nas wzywać?

– Bez powodu – wzruszył ramionami, ale klucz w jego ręku mówił, że ma jakiś powód do zmartwienia. Lena zerknęła w stronę domu, starając się dojrzeć Terri. Jeśli Dale miał podbite oko, to Terri wyglądała pewnie dziesięć razy gorzej.

Jeffrey najwyraźniej myślał to samo. Mimo to powiedział do Dale'a:

– Nie masz żadnych problemów.

Dale był bystrzejszy, niż na to wyglądał.

– Mnie się tak nie wydaje.

– Wyjdź z warsztatu, Dale.

– Mój dom to moja twierdza – powiedział Dale. – Nie macie prawa tu wchodzić. Natychmiast się stąd wynoście.

– Chcemy porozmawiać z Terri.

– Nikt nie rozmawia z Terri bez mojego pozwolenia, a ja nie pozwalam, więc...

Jeffrey zatrzymał się mniej więcej półtora metra od Dale'a i Lena stanęła po jego lewej stronie, myśląc, że uda się jej dostać do rewolweru przed Dale'em. Zdusiła przekleństwo, kiedy zdała sobie sprawę, że nie dosięgnie. Po tej stronie powinien być stanąć Brad. Był wyższy od niej co najmniej o trzydzieści centymetrów. Zanim Lena przyciągnęłaby stołek, żeby zabrać rewolwer, Dale byłby już w drodze do Meksyku.

– Odłóż ten klucz – powiedział Jeffrey.

Wzrok Dale'a przeskoczył na Lenę, a potem na Brada.

– Może powinniście się cofnąć o krok albo dwa.

– Ty tu nie dowodzisz, Dale – rzekł Jeffrey.

Lena chciała położyć rękę na broni, ale wiedziała, że najpierw powinna dostać sygnał od Jeffrey'a. Trzymał ręce opuszczone po bokach, prawdopodobnie myśląc, że będzie próbował namówić Dale'a, żeby się nie stawiał. Nie była przekonana, że mu się uda.

– Osaczacie mnie – powiedział Dale. – To mi się nie podoba. – Podniósł klucz na wysokość piersi, trzymając go za uchwyt.

Lena wiedziała, że ten mężczyzna nie jest idiotą. Klucz mógł wyrządzić sporą krzywdę, ale nie trzem osobom naraz, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że ta trójka miała rewolwery u pasa. Bacznie obserwowała Dale'a, instynktownie wiedząc, że spróbuje sięgnąć po rewolwer.

– Nie rób tego – powiedział Jeffrey. – Chcemy tylko porozmawiać z Terri.

Jak na człowieka o takiej posturze Dale skoczył szybko, ale Jeffrey był szybszy. Wyrwał pałkę z uchwytu przy pasku Brada i walnął nią Dale'a pod kolana, kiedy tamten rzucił się po broń. Dale padł na podłogę jak wór kartofli.

Lena przeżyła wstrząs, widząc, jak zwykle potulny Brad pakuje kolano w plecy Dale'a, przyciska go do ziemi i skuwa. Jedno uderzenie pod kolana i upadł. Nawet nie próbował walczyć, kiedy Brad, wykreściszy mu ręce do tyłu, założył dwie pary kajdanek, by utrzymać jego przeguby za plecami.

– Ostrzegłem cię, żebyś tego nie robił – powiedział Jeffrey do Dale'a.

Dale zaskomlał jak pies, kiedy Brad podniósł go na kolana.

– Jezu, uważaj – powiedział, poruszając ramionami, jakby obawiał się, że zostały wyrwane ze stawów. – Chcę zadzwonić do mojego prawnika.

– Możesz to zrobić później. – Jeffrey oddał Bradowi pałkę, mówiąc: – Wsadź go na tył samochodu.

– Tak jest – odparł Brad. Podciągnął Dale'a do pozycji stojącej, co znowu wywołało skomlenie. Idąc do samochodu, potężny mężczyzna powłóczył nogami, wzbijając kłęby kurzu.

– Wcale nie taki twardziel, co? Założę się, że naprawdę dobrze się czuje, kiedy bije swoją drobną żonę – powiedział Jeffrey na tyle głośno, by Lena mogła go usłyszeć.

Lena poczuła, że po plecach spływa jej kropla potu. Jeffrey otrzepał kurz ze spodni, po czym skierował się w stronę domu.

– Tam jest dwoje dzieci – przypomniał jej.

– Myślisz, że będzie stawiała opór? – Lena gwałtownie szukała słów.

– Nie wiem, co zrobi.

Drzwi się otworzyły, zanim doszli do werandy. Stała w nich Terri Stanley, ze śpiącym niemowlęciem na biodrze. U jej boku stało drugie dziecko, w wieku mniej więcej dwóch lat. Chłopczyk tarł piąstkami oczy, jakby się właśnie obudził. Terri miała zapadnięte policzki, ciemne obwódki wokół oczu. Wargę była rozcięta, a na szyi widać było czerwone pręgi. Lena zrozumiała, dlaczego Dale nie chciał, by porozmawiali z jego żoną. Zbił ją na kwaśne jabłko. Lena nie rozumiała, jakim cudem ta kobieta trzyma się jeszcze na nogach.

Terri patrzyła, jak prowadzą jej męża do samochodu patrolowego.

– Nie wniosę oskarżenia. Możecie go puścić – powiedziała to bez-

barwnym głosem, rozmyślnie unikając wzroku Jeffrey'a i Leny.

Jeffrey obejrzał się na samochód.

– Chcemy tylko, żeby trochę pocierpiał.

– Tylko wszystko pogarszacie. – Mówiła ostrożnie, wyraźnie starając się, by nie otworzyło się zasklepienie rozcięcie na jej wardze. Lena знаła tę sztuczkę, tak jak wiedziała, że wówczas gardło boli jak diabli i zmusza człowieka do wysilenia głosu, by jego słowa brzmiały zrozumiale. – Nigdy wcześniej tak mnie nie uderzył. Nie w twarz. – Głos jej drżał. Czuła się jak w pułapce, przytłoczona. – Musiały na to patrzeć moje dzieci.

– Terri... – zaczął Jeffrey, ale najwyraźniej nie wiedział, jak ma skończyć.

– Zabije mnie, jeśli go zostawię. – Spuchnięta warga sprawiała, że jeszcze bardziej niż normalnie przeciągała samogłoski.

– Terri...

– Nie wniosę zarzutów.

– Nie prosimy cię o to.

Zawahala się, jakby nie spodziewała się takiej odpowiedzi.

– Musimy z tobą porozmawiać – rzekł Jeffrey.

– O czym?

Uciekł się do starej policyjnej sztuczki.

– Wiesz o czym.

Patrzyła na męża, który siedział na tylnym siedzeniu radiowozu Brada.

– On cię nie skrzywdzi.

Spojrzała na niego nieufnie, jakby opowiedział kiepski dowcip.

– Nie odjedziemy, dopóki z tobą nie porozmawiamy – powiedział Jeffrey.

– No to wejdźcie – ustąpiła w końcu, odsuwając się z przejścia. – Tim, mama musi porozmawiać z tymi ludźmi. – Wzięła chłopca za rączkę i zaprowadziła do pokoju, którego centralnym punktem był duży telewizor.

Lena i Jeffrey czekali w przestronnym holu wejściowym u podnóża

schodów, kiedy wkładała do odtwarzacza płytę DVD.

Lena spojrzała na wysoki sufit, który otwierał się na hol na piętrze. W miejscu, gdzie powinien wisieć żyrandol, sterczało tylko parę przewodów. Na ścianach przy schodach widać było zadrapania, a na górze ktoś wybił kopniakiem małą dziurę. Z drugiej strony schodów tralki, na których opierała się poręcz, były powykrzywiane, a przed podestem na piętrze kilka z nich było pękniętych albo złamanych. Mogła się założyć, że zrobiła to Terri. Wyobrażała sobie, jak Dale ciągnie ją na górę, a ona dziko wierzga nogami. Schody miały dwanaście stopni i dwa razy tyle tralek, których Terri mogła się czepiać, starając się uniknąć tego, co było nieuchronne.

Ostry głos SpongeBob SquarePants rozniósł się po holu i Terri wyszła, nadal trzymając młodszego syna na biodrze.

– Gdzie możemy porozmawiać? – zapytał Jeffrey.

– Pozwólcie, że go położę – powiedziała Terri, mając na myśli niemowlę. – Z tyłu jest kuchnia. – Ruszyła po schodach na górę, a Jeffrey skinął na Lenę, żeby za nią poszła.

Dom był większy, niż wyglądał z zewnątrz. Podest u szczytu schodów prowadził do długiego korytarza i pomieszczeń, które wyglądały na trzy sypialnie i łazienkę. Terri zatrzymała się w pierwszym pokoju i Lena stanęła, nie wchodząc tam za nią. Sterczała w drzwiach pokoju dziecinnego, przyglądając się, jak Terri układa dziecko w łóżeczku. Pokój był pomalowany na jasne kolory – na suficie były chmury, a na ścianach owieczki i krowy, które wyglądały na szczęśliwe. Nad łóżeczkiem wisiał mobil, również z owieczkami. Lena nie widziała dziecka, kiedy matka gładziła je po główce, ale jego nóżki ukazały się z łóżeczka, kiedy Terri zdjęła mu szydełkowe buciki. Lena nie zdawała sobie sprawy, że stopy niemowlęcia są tak małe, paluszki jak guziczki, ich podbicie jak skórka banana.

Terri patrzyła przez ramię uważnie na Lenę.

– Masz dzieci? – Wydała ochryply dźwięk, który Lena wzięła za próbę śmiechu. – To znaczy inne niż to, które straciłaś w Atlancie.

Lena wiedziała, że ta kobieta próbuje jej grozić, przypominając jej, że

obie były w tamtej klinice z tego samego powodu, ale Terri Stanley nie była typem, który jest w stanie spełnić groźbę. Kiedy się odwróciła, Lena czuła dla niej tylko współczucie. W pokoju było jasno, a w promieniach słońca siniec na szczęce Terri wyglądał, jakby był w technikolorze. Rozcięcie na jej wardze otworzyło się i na brodę pociekła strużka krwi. Lena uświadomiła sobie, że pół roku temu mogłaby pomyśleć, iż patrzy w lustro.

– Zrobiłabyś dla nich wszystko – powiedziała Terri smutnym tonem.

– Wszystko byś zniosła.

– Wszystko?

Terri przełknęła ślinę, krzywiąc się z bólu. Najwyraźniej Dale nieźle ją poddusił. Na szyi nie było jeszcze widać sińców, ale niebawem się pojawią, wyglądając jak ciemny naszyjnik. Mocny korektor to zatuszuje, ale przez cały tydzień Terri będzie miała sztywną szyję, będzie ostrożnie obracała głowę, myślała o tym, by się nie krzywić przy przełykaniu, i czekała, aż rozluźnią się mięśnie i przejdzie ból.

– Nie potrafię wyjaśnić... – zaczęła.

– Wiesz, że nie musisz. – Nie Lenie było ją pouczać.

– Tak – zgodziła się Terri. Znowu odwróciła się w stronę łóżeczka i podciągnęła pod brodę dziecka jasnoniebieski kocyk.

Lena patrzyła na jej plecy i zastanawiała się, czy Terri była zdolna do popełnienia morderstwa. Jeśli już, to pewnie użyłaby trucizny. Było niemożliwe, by zabiła kogoś, patrząc mu w oczy. Oczywiście, widać było, że nie pozostała Dale'owi dłużna. Nie podbił sobie oka przy goleniu.

– Wygląda na to, że raz mu dobrze przyłożyłaś – powiedziała Lena.

Terri odwróciła się zmieszana.

– Co?

– Dale'owi – powiedziała Lena, pokazując na swoje oko.

Terri szczerze się uśmiechnęła, a jej cała twarz uległa zmianie. Przez chwilę Lena widziała kobietę, jaką była Terri, zanim się to wszystko stało, zanim Dale zaczął ją bić, zanim życie stało się czymś, co trzeba było znosić, zamiast się nim cieszyć. Była piękna.

– Zapłaciłam za to – rzekła Terri – ale poczułam się tak dobrze.

Lena też się uśmiechnęła, bo wiedziała, jakie to przyjemne uczucie odpowiedzieć ciosem na cios. W końcu płaciłaś za to, ale kiedy to robiłaś, było fantastycznie. Prawie jakbyś była na hajju.

Terri wzięła głęboki oddech i przystąpiła do rzeczy.

– Miejmy to już za sobą.

Lena zeszła za nią po schodach. Ich kroki na deskach podłogi niesły się echem po całym domu. Na parterze nie było żadnych dywanów ani chodników i odgłos ten przypominał stukot końskich kopyt. Dale zrobił to prawdopodobnie celowo, by mieć pewność, że w każdej chwili będzie dokładnie wiedział, gdzie jest jego żona.

Weszli do kuchni, gdzie Jeffrey patrzył na zdjęcia i kolorowe rysunki dzieci na lodówce. Lena zobaczyła, że Terri wypisała na rysunkach nazwy zwierząt, które miały przedstawiać. Lew, tygrys, niedźwiedź. Kropka nad „i” miała kształt kółeczka, jakie stawiają dziewczęta w szkole średniej.

– Usiądźcie – powiedziała Terri, zajmując krzesło przy stole. Jeffrey nie skorzystał z propozycji, ale Lena usiadła naprzeciwko Terri.

Jak na tę porę dnia, w kuchni panował porządek. Talerze i sztućce po śniadaniu schły na suszarce, a blaty były wytarte do czysta. Lena zastanawiała się, czy Terri była z natury taka schludna, czy też Dale wbił jej to do głowy.

Terri wbiła wzrok w swoje ręce, które złożyła przed sobą na stole. Była drobną kobietą, ale sposób, w jaki się poruszała, sprawiał, że wydawała się jeszcze drobniejsza. Smutek otaczał ją jak aura. Lena nie mogła sobie wyobrazić, jak Dale’owi się udało nie rozłupać jej na dwoje.

– Chcecie coś do picia? – zaproponowała Terri.

– Nie – odpowiedzieli jednocześnie. Po tym, co zdarzyło się z Connollym, Lena wątpiła, czy jej szef jeszcze kiedykolwiek pozwoli się komuś czymś poczęstować.

Terri usiadła wygodniej i Lena mogła przyjrzeć jej się uważniej. Zdała sobie sprawę, że są mniej więcej tego samego wzrostu i tej samej budowy. Terri była o jakieś pięć kilogramów lżejsza i może o cztery, pięć

centymetrów niższa, nie było między nimi dużej różnicy.

– Jesteście tu, żeby porozmawiać o Dale’u? – zapytała Terri.

– Nie.

Zaczęła skubać skórkę wokół paznokcia na kciuku. Zasnęta krew zdradzała, że robiła to już wcześniej.

– Chyba powinnam wiedzieć, że w końcu przyjdziecie.

– A to dlaczego? – zapytał Jeffrey.

– Przez tę kartkę, którą wysłałam doktor Linton – powiedziała. – Chyba nie wykazałam się dużym sprytem.

Jeffrey znowu nie pokazał nic po sobie.

– Dlaczego?

– No, wiem, że możecie z tego uzyskać różne dowody.

Lena kiwnęła głową, jakby była to prawda, myśląc, że dziewczyna naoglądała się za dużo kryminałów w telewizji, w których laborantki policyjne w ciuchach od Armaniego i w szpilkach, zdjawszy z ciernia róży mikroskopijny fragment skóry, wracały truchtem do laboratorium, gdzie dzięki cudom nauki odkrywały, że napastnik jest praworęcznym albinosem, który zbiera znaczki i mieszka z matką. Pomijając to, że żadne laboratorium na świecie nie mogło sobie pozwolić na kupno kosztującego miliony dolarów wyposażenia, które pokazywały te filmy, pozostawało faktem, że badania DNA były zawodne. Jego pasmo mogły uszkodzić czynniki zewnętrzne, a czasami ilość była zbyt mała na próbkę. Odciski palców podlegały interpretacji i bardzo rzadko się zdarzało, by było dość punktów do porównania, żeby podtrzymać oskarżenie w sądzie.

– Dlaczego wysłałaś ten list do doktor Linton? – zapytał Jeffrey.

– Wiedziałam, że coś z tym zrobi – odparła Terri, a potem szybko dodała: – Nie żebyście wy nie zrobili, ale doktor Linton troszczy się o ludzi. Naprawdę się nimi opiekuje. Wiedziałam, że ona zrozumie. Wiedziałam, że ci powie.

– Dlaczego nie powiedziałaś jej osobiście? – zapytał Jeffrey. – Wiedziałaś mnie tamtego dnia w klinice. Dlaczego mi wtedy nie powiedziałaś?

– Dale by mnie zabił, gdyby się dowiedział, że się w to mieszam. – Roześmiała się niewesoło. – On nienawidzi tego Kościoła. Nienawidzi wszystkiego, co ma z tym związek. Po prostu... – Zamilkła. – Kiedy usłyszałam, co się stało z Abby, pomyślałam, że to się zdarzało już wcześniej.

– Kto robił to wcześniej?

– Cole. – Z trudem wydobyła ze ściśniętego gardła to imię.

– Zamknął cię w skrzyni w lesie państwowym? – zapytał Jeffrey.

Skinęła głową, a włosy opadły jej na oczy.

– Mieliliśmy obozować w lesie. Zabrał mnie na spacer. – Przełknęła ślinę. – Zaprowadził mnie na tę polanę. W ziemi był dół. Prostokątny. W środku była skrzynia.

– Co zrobiłaś? – zapytała Lena.

– Nie pamiętam – odparła Terri. – Myślę, że nawet nie miałam czasu krzyknąć. Uderzył mnie naprawdę mocno, wepchnął do skrzyni. Rozciąłam sobie kolano, podrapałam rękę. Zaczęłam wrzeszczeć, ale usiadł na mnie i podniósł pięści, jakby chciał mnie uderzyć. – Przerwała, starając się zachować spokój. – Więc po prostu leżałam. Leżałam tam, kiedy kładł nade mną deski i przybijał je jedną po drugiej...

Lena spojrzała na swoje dłonie, myśląc o gwoździach, którymi zostały przebite, metalicznym dźwięku młotka bijącego w metalowy trzpień, bezgranicznej trwodze, którą czuła, leżąc tam, nie mogąc zrobić nic, by się uratować.

– Cały czas się modlił – powiedziała Terri. – Mówił coś o tym, że Bóg daje siłę, że jest tylko narzędziem Pana. – Zamknęła oczy, z których płynęły łzy. – Zanim się spostrzegłam, patrzyłam na te czarne deski. Chyba przez szpary przenikało słońce, ale wyglądało jak jaśniejszy odcień ciemności. Było tam tak ciemno. – Zadrżała na wspomnienie tego. – Słyszałam, jak sypie się ziemia, nie szybko, ale wolno, jakby miał dużo czasu. I nadal się modlił, głośniej, jakby chciał mieć pewność, że go słyszę.

Przerwała, więc Lena zapytała:

– I co zrobiłaś?

Gardło Terri znowu poruszyło się, gdy przełknęła ślinę.

– Zaczęłam krzyczeć, ale to tylko odbijało się echem w skrzyni. Raniło mi uszy. Nic nie widziałam. Ledwie mogłam się poruszyć. Czasem jeszcze to słyszę – powiedziała. – W nocy, kiedy staram się zasnąć, słyszę głucho uderzenia ziemi sypiącej się na skrzynię. Piasek wpada przez szczeliny, więźnie mi w gardle. – Na wspomnienie tego zaczęła płakać. – Był takim złym człowiekiem.

– I dlatego uciekłaś z domu – powiedział Jeffrey.

Terri wydawała się zaskoczona, że o to zapytał.

– Twoja matka opowiedziała nam, co się stało, Terri – wyjaśnił.

– Moja matka? – Roześmiała się głucho, bez cienia wesołości.

– Dziś rano przyjechała do komisariatu.

Do oczu napłynęło jej jeszcze więcej łez, dolna warga zaczęła drżeć.

– Powiedziała wam? – zapytała. – Mama powiedziała wam, co zrobił Cole?

– Tak.

– Nie uwierzyła mi – rzekła Terri, głosem niewiele silniejszym od szeptu. – Opowiedziałam jej, co zrobił, a ona stwierdziła, że to zmyśliłam. Powiedziała mi, że pójdę do piekła. – Rozejrzała się po kuchni, po swoim życiu. – Chyba miała rację.

– Gdzie pojechałaś, kiedy uciekłaś z domu? – zapytała Lena.

– Do Atlanty – odparła Terri. – Byłam wtedy z takim chłopakiem, Adamem. Chciał się stąd wydostać. Ja też nie mogłam zostać, skoro mi nie wierzyli. – Pociągnęła nosem i wytarła go ręką. – Tak się bałam, że Cole znowu mnie dorwie. Nie mogłam spać. Nie mogłam jeść. Czekałam tylko, kiedy znowu po mnie przyjdzie.

– Dlaczego wróciłaś?

– Po prostu... – Jej głos odpłynął. – Tutaj dorastałam. A potem poznałam Dale'a... – Znowu nie dokończyła myśli. – Kiedy go poznałam, był dobry. Taki miły. Nie zawsze był taki jak teraz. To, że dzieci chorują, bardzo go stresuje.

– Od jak dawna jesteście małżeństwem? – Jeffrey nie pozwolił jej kontynuować tego tematu.

– Osiem lat – odparła. Osiem lat, przez które była bita na kwaśne

jabłko. Osiem lat wynajdywania usprawiedliwień, ukrywania tego, co robił Dale, wmawiania sobie, że teraz będzie już inaczej, że tym razem on się zmieni. Przez osiem lat wiedziała w głębi duszy, że się okłamuje, ale nie była w stanie nic zrobić, by to zmienić.

Gdyby Lena musiała to znosić od ośmiu lat, już by nie żyła.

– Kiedy Dale mnie poznał – powiedziała Terri – już nie brałam, ale nadal byłam wyniszczona. Nie bardzo myślałam o sobie.

Lena słyszała żal w jej głosie. Terri nie rozczułała się nad sobą. Patrzyła na swoje życie i widziała, że dół, który sobie wykopała, nie tak bardzo różnił się od tego, w którym umieścił ją Cole Connolly.

– Przedtem – mówiła Terri – brałam amfę, dawałam sobie w żyłę. Robiłam naprawdę złe rzeczy. Myślę, że najwięcej zapłacił za to Tim. Ma naprawdę ciężką astmę. Kto wie, jak długo te narkotyki zostają w organizmie? Kto wie, jakie spustoszenie w nim sieją?

– Kiedy z tym zerwałaś? – zapytał Jeffrey.

– Kiedy miałam dwadzieścia jeden lat – odparła. – Po prostu przestałam. Wiedziałam, że jeśli nie przestanę, nie dożyję dwudziestki piątki.

– Czy od tamtej pory miałaś jakiś kontakt ze swoją rodziną?

Znowu zaczęła skubać skórę paznokcia.

– Jakiś czas temu poprosiłam wuja o trochę pieniędzy – przyznała. – Potrzebowałam ich na... – I znowu poruszyło się jej gardło, kiedy przełknęła ślinę.

Lena wiedziała, po co były jej potrzebne te pieniądze. Terri nie miała pracy. Dale prawdopodobnie dusił każdego centa, który im wpadł do kieszeni. Musiała jakoś zapłacić za klinikę i jedynym sposobem zdobycia pieniędzy było pożyczanie ich od wuja.

– Doktor Linton jest naprawdę miła – powiedziała Terri do Jeffrey’a – ale musieliśmy jej zapłacić za to, co robi. Ubezpieczenie Tima nie pokrywa kosztów jego leków. – Podniosła nagle głowę, a w jej oczach błysnął strach. – Nie mów Dale’owi – zaczęła prosić, tym razem zwracając się do Leny. – Proszę, nie mów mu, że poprosiłam wuja o pieniądze. On jest dumny. Nie znosi zebrania.

Lena wiedziała, że chciałby się dowiedzieć, na co poszły te pieniądze.

– Widywałaś się z Abby? – zapytała.

– Tak – odparła. Usta jej drżały, kiedy starała się nie rozplakać. – Czasami wpadała w dzień, by sprawdzić, jak się czują dzieci i ja. Przyносиła nam jedzenie, słodczyce dla dzieci.

– Wiedziałaś, że jest w ciąży?

Terri skinęła głową i Lena zastanawiała się, czy Jeffrey czuje promieniujący od niej smutek. Pewnie myślała o dziecku, które straciła, o tym, które zostawiła w Atlancie. Lena czuła, że sama o tym myśli. Z jakiegoś powodu przypomniał się jej widok niemowlęcia na piętrecie, jego małych stopek fikających w powietrzu, sposobu, w jaki Terri wsuwała kocyk pod jego miękką bródkę. Musiała spuścić wzrok, by Jeffrey nie zobaczył łez, które pojawiły się w jej oczach.

Czuła, że Terri patrzy na nią. Ta matka miała charakterystyczne dla maltretowanych kobiet wyczucie tego, co się dzieje z innymi, instynktowne rozeznanie zmieniających się emocji, które brało się stąd, że od wielu lat starała się nie powiedzieć ani nie zrobić czegoś niewłaściwego.

– Co powiedziałaś Abby, kiedy dowiedziałaś się, że jest w ciąży? – zapytał Jeffrey, nieświadomy tego wszystkiego.

– Powinnam była wiedzieć, co będzie – odparła. – Powinnam była ją przestrzec.

– Przed czym?

– Przed Cole'em, przed tym, co mi zrobił.

– Dlaczego jej nie powiedziałaś?

– Nie uwierzyła mi moja własna matka – powiedziała szczerze Terri. – Nie wiem... Po latach zaczęłam uważać, że może rzeczywiście to zmyśliłam. Brałam wtedy tyle narkotyków, mnóstwo świństwa. Nie myślałam jasno. Łatwiej było przyjąć, że to zmyśliłam.

Lena wiedziała, o czym mówi Terri. Okłamywała się, by jakoś przeżyć dzień.

– Czy Abby ci powiedziała, że się z kimś spotyka?

– Z Chipem – powiedziała z żalem, kiwając głową. – Mówiłam jej,

żeby się z nim nie zadawała. Musicie zrozumieć, dziewczyny dorastające na farmie niedużo wiedzą. Trzymają nas w izolacji od innych, jakby nas chronili, ale skutek jest taki, że stajemy się łatwiejszym łupem dla wszystkich mężczyzn. – Znowu roześmiała się niewesoło. – Nie wiedziałam, co to stosunek płciowy. Dowiedziałam się w jego trakcie.

– Kiedy Abby powiedziała ci, że wyjeżdża?

– Wpadła po drodze do Savannah na tydzień przed śmiercią – odparła Terri. – Powiedziała mi, że ma zamiar wyjechać z Chipem, kiedy ciocia Esther i wujek Eph pojadą na parę dni do Atlanty.

– Wydawała się zdenerwowana?

Terri zastanowiła się nad tym pytaniem.

– Wydawała się zaabsorbowana czymś. To było do niej niepodobne. Ale miała czymś zaprzątniętą głowę. Była... była zdenerwowana.

– Czym zdenerwowana?

– Jakimiś sprawami. – Terri spuściła wzrok, wyraźnie starając się ukryć swoją reakcję.

– Terri – powiedział Jeffrey – musimy wiedzieć, co to były za sprawy.

– Byłyśmy tutaj, w kuchni – zaczęła Terri. Wskazała na krzesło Leny. – Ona siedziała dokładnie tam. Miała na kolanach teczkę Paula, trzymała ją tak mocno, jakby nie chciała jej puścić. Pamiętam, jak myślałam, że gdybym ją sprzedała, miałabym czym karmić dzieci przez miesiąc.

– To taka ładna teczka? – zapytał Jeffrey i Lena wiedziała, że myśli dokładnie o tym samym co ona. Abby zajrzała do teczki i zobaczyła coś, czego Paul nie chciał, żeby zobaczyła.

– Zapłacił za nią pewnie z tysiąc dolarów – powiedziała Terri. – Puszczam pieniądze, jakby to była woda. Ja po prostu tego nie rozumiem.

– Co powiedziała Abby? – zapytał Jeffrey.

– Że musi jechać zobaczyć się z Paulem, a kiedy wróci, wyjeżdża z Chipem. – Pociągnęła nosem. – Chciała, żebym powiedziała jej mamie i tacie, że kocha ich całym sercem. – Znowu zaczęła płakać. – Muszę im to powiedzieć. Jestem to winna przynajmniej Esther.

– Myślisz, że powiedziała Paulowi, że jest w ciąży?

Terri potrząsnęła głową.

– Nie wiem. Mogła jechać do Savannah, żeby uzyskać jakąś pomoc.

– W pozbyciu się dziecka? – zapytała Lena.

– O Boże, nie – powiedziała wstrząśnięta Terri. – Abby nigdy nie zabiłaby swojego dziecka.

Lena czuła, że poruszają się jej usta, ale głos uwiązł gdzieś w gardle.

– Jak myślisz, czego chciała od Paula? – zapytał Jeffrey.

– Może poprosiła go o parę dolarów? – Terri zaczęła snuć domysły.

– Powiedziałam jej, że jeśli wyjeżdża z Chipem, będzie potrzebowała trochę grosza. Ona nie rozumiała, jak funkcjonuje prawdziwy świat. Jest głodna, a na stole jest jedzenie. Jest zimno, to jest termostat. Nigdy nie musiała się o siebie troszczyć. Ostrzegłam ją, że będzie musiała mieć własne pieniądze i będzie musiała chować je przed Chipem, żeby zachować coś dla siebie, na wypadek gdyby ją zostawił. Nie chciałam, żeby powtórzyła moje błędy. – Wytarła nos. – Była taką miłą, naprawdę miłą dziewczyną.

Miła dziewczyna, która próbuje zaszantażować wuja, żeby zapłacił jej pieniędzmi uzyskanymi ze zbrodni, pomyślała Lena.

– Myślisz, że Paul dał jej te pieniądze?

– Nie wiem – przyznała Terri. – Wtedy widziałam ją po raz ostatni. Potem miała wyjechać z Chipem. Myślałam, że wyjechała, dopóki nie usłyszałam... dopóki nie znaleźliście jej w niedzielę.

– Gdzie byłaś w ubiegłą sobotę wieczorem?

Terri wytarła nos grzbietem dłoni.

– Tutaj – powiedziała. – Z Dale'em i z dziećmi.

– Czy ktoś inny może to potwierdzić?

Przygryzła dolną wargę, zastanawiając się nad tym.

– No, wpadł tutaj Paul – powiedziała. – Tylko na chwilę.

– W sobotni wieczór? – upewnił się Jeffrey, zerkając na Lenę. Paul parokrotnie stanowczo twierdził, że noc, kiedy umarła jego siostrzenica, spędził w Savannah. Potwierdziła to nawet jego gadatliwa sekretarka. Powiedział, że przyjechał na farmę w niedzielę wieczorem, by pomóc szukać Abby. – Po co był tu Paul?

– Przywiózł Dale’owi tę rzecz do jednego ze swoich samochodów.

– Jaką rzecz?

– To coś od porsche – odparła. – Paul uwielbia szpanerskie samochody... do diabła, lubi wszystko, co jest szpanerskie. Stara się ukrywać to przed ojcem i resztą, ale lubi mieć swoje zabawki.

– Jakie zabawki?

– Przyprawdza tu stare rzęchy, które znajduje na przetargach, a Dale doprowadza je do stanu używalności za niższą cenę. Przynajmniej mówi, że daje mu rabat. Nie wiem, ile sobie liczy, ale na pewno taniej jest robić to tutaj niż w Savannah.

– Jak często Paul sprowadza te samochody?

– Z tego, co sobie przypominam, zrobił to dwa lub trzy razy. – Terri wzruszyła ramionami. – Musiałabyś zapytać Dale’a. Przeważnie siedzę na zapleczu, robiąc tapicerkę.

– Kiedy widziałem się z Dale’em parę dni temu, nie wspomniał, że wpadł tu Paul.

– Wątpię, żeby wspomniał – powiedziała Terri. – Paul płaci mu gotówką. Dale nie podaje tego w zeznaniach podatkowych. – Próbowwała usprawiedliwić jego postępowanie. – Komornik siedzi nam na karku. Szpital już zajął zarobki Dale’a za pobyt Tima w zeszłym roku. Bank powiadamia go o wszystkich wpłatach i wypłatach. Gdybyśmy nie mieli tej dodatkowej gotówki, stracilibyśmy dom.

– Ja nie pracuję w urzędzie skarbowym – powiedział Jeffrey. – Interesuje mnie tylko ten sobotni wieczór. Jesteś pewna, że Paul wpadł tutaj w sobotę?

Skinęła głową.

– Możesz zapytać Dale’a – powiedziała. – Byli w warsztacie przez jakieś dziesięć minut, a potem Paul odjechał. Widziałam go tylko przez okno. Paul raczej nie rozmawia ze mną.

– A to dlaczego?

– Jestem kobietą upadłą – powiedziała bez śladu sarkazmu.

– Terri – zaczął Jeffrey – czy Paul był kiedyś sam w warsztacie?

– Pewnie. – Wzruszyła ramionami.

– Ile razy? – naciskał.

– Nie wiem. Wiele.

Jeffrey przestał mówić pojednawczym tonem. Przycisnął ją jeszcze mocniej.

– A w czasie trzech ostatnich miesięcy? Był tu wtedy?

– Chyba tak – powtórzyła poruszona. – A co to ma za znaczenie, czy Paul był w warsztacie?

– Staram się tylko zorientować, czy miał czas, żeby coś stamtąd wziąć.

– Dale ukręciłby mu łeb. – Prychnęła śmiechem na to przypuszczenie.

– A co z polisami na życie? – zapytał Jeffrey.

– Z jakimi polisami?

Jeffrey wyjął złożony faks i rozpostarł przed nią na stole. Terri uniosła brwi, czytając ten dokument.

– Nie rozumiem.

– To polisa na życie na pięćdziesiąt tysięcy dolarów, w której ty jesteś uposażona.

– Gdzie to znalazłeś?

– To nie ty zadajesz pytania – powiedział Jeffrey, porzucając wyrozumiały ton. – Powiedz nam, co jest grane, Terri.

– Myślałam... – zaczęła, ale przerwała, trzęsąc głową.

– Co myślałaś? – zapytała Lena.

Terri potrząsnęła głową, skubiąc skórkę przy paznokciu kciuka.

– Terri? – ponagliła ją Lena, nie chcąc, by Jeffrey zabrał się do niej zbyt ostro. Terri wyraźnie miała coś do powiedzenia; nie można było się niecierpliwic.

– Terri, potrzebujemy w tej sprawie twojej pomocy. – Jeffrey zmienił ton. – Wiemy, że Cole umieścił ją w tej skrzyni tak jak ciebie, tylko że Abby nigdy z niej nie wyszła. Musisz pomóc nam znaleźć tego, kto ją zabił.

– Ja nie... – głos Terri odpłynął.

– Terri, Rebecca nadal się nie odnalazła – powiedział Jeffrey.

Terri mruknęła pod nosem coś, co zabrzmiało jak słowa zachęty.

– Wróć – powiedziała i podniosła się.

– Chwileczkę. – Jeffrey złapał ją za ramię, w momencie kiedy ruszyła do wyjścia z kuchni, ale wzdrygnęła się, więc ją puścił.

– Przepraszam – powiedziała, rozcierając ramię w miejscu, gdzie Dale zrobił jej sińca. Lena widziała w jej oczach łzy bólu. Mimo to Terri powtórzyła: – Zaraz wracam.

Jeffrey nie dotknął jej ponownie, ale powiedział:

– Pójdziemy z tobą. – Z jego tonu wynikało, że nie jest to uprzejma propozycja.

Terri zawahała się, po czym skinęła lekko głową. Spojrzała na korytarz, jakby chciała się upewnić, że nikogo tam nie ma. Lena wiedziała, że wypatruje Dale'a. Mimo że siedział w kajdankach w radiowozie, nadal się bała, że może się do niej dorwać.

Otworzyła tylne drzwi, rzucając jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie, tym razem, żeby się upewnić, czy Lena i Jeffrey idą za nią.

– Zostaw drzwi uchylone, na wypadek gdyby Tim mnie potrzebował – powiedziała Jeffreyowi.

Złapał drzwi siatkowe, żeby się nie zatrzasnęły.

Wyszli we dwoje do ogrodu. Wszystkie psy były kundlami, prawdopodobnie wziętymi ze schroniska. Cicho skomlały, skacząc na Terri, starając się zwrócić jej uwagę. Przechodząc koło nich, głaskała je z roztarzeniem po łbach. Kierowała się w stronę warsztatu. Zatrzymała się przy rogu i Lena zobaczyła za warsztatem przybudówkę. Gdyby Dale patrzył w tę stronę, zobaczyłby, jak idą do tego budynku.

Jeffrey zdał sobie z tego sprawę mniej więcej w tym samym czasie co Lena.

– Mogę... – zaproponował, kiedy Terri wzięła głęboki oddech i wyszła na otwartą przestrzeń.

Lena poszła za nią, nie patrząc w stronę radiowozu, ale i tak czując palące spojrzenie Dale'a na plecach.

– Nie patrzy – rzekł Jeffrey, ale zarówno Lena, jak i Terri za bardzo się bały, by spojrzeć na samochód.

Terri wyjęła z kieszeni klucz i włożyła go w otwór zamka drzwi przybudówki. Kiedy weszli do zagraconego pomieszczenia, zapaliła światło. Pośrodku stała maszyna do szycia, pod ścianami leżały bele ciemnej skóry, u góry paliło się ostre światło. Musiało to być miejsce, w którym Terri szyła tapicerkę do samochodów restaurowanych przez Dale'a. Pomieszczenie było wilgotne i pachniało stęchlizną. Niewiele się różniło od zakładów, w których pracowano na czarno, wyzyskując robotników; w środku zimy musiało tu być strasznie.

Terri odwróciła się i w końcu wyjrzała przez okno. Lena poszła za jej przykładem i zobaczyła ciemną sylwetkę Dale'a Stanleya, siedzącego z tyłu radiowozu.

– Zabije mnie, jak się o tym dowie – powiedziała Terri. – Obróciła się do Leny: – A co tam, jeden raz więcej, nie?

– Możemy ci pomóc, Terri – powiedziała Lena. – Możemy go zaraz wziąć do aresztu i już nigdy nie zobaczy światła dziennego.

– Wyjdzie – rzekła Terri.

– Nie – odparła Lena, bo wiedziała, że są sposoby na to, by więzień nie wyszedł. Jeśli wsadzisz go do odpowiedniej celi z odpowiednią osobą, to możesz mu na zawsze spierdolić życie. – Możemy ci to zapewnić – powiedziała i po spojrzeniu, które rzuciła jej Terri, Lena zorientowała się, że ją rozumie.

Przysłuchując się rozmowie, Jeffrey obchodził małe pomieszczenie dookoła. Nagle odsunął od ściany parę bel materiału. Dobiegł zza nich odgłos jakby skrobienia myszy. Odsunął jeszcze jedną belę i wyciągnął rękę do dziewczynki skulonej pod ścianą. Odnalazł Rebeccę Bennett.

Jeffrey przyglądał się, jak Lena rozmawia z Rebeccą Bennett, i myślał, że gdyby ktoś go zapytał, co powoduje Lenę, to nawet po tylu latach pracy nie wiedziałby, co ma odpowiedzieć. Pięć minut temu, kiedy rozmawiał z Terri Stanley, siedziała w tej samej kuchni, prawie się nie odzywając, zachowując się tak, jakby była przestraszonym dzieckiem. A teraz przejęła inicjatywę i stała się policjantką, jaką mogłaby być, zamiast maltretowanej kobiety, jaką była.

– Powiedz mi, co się stało, Rebecca – rzekła stanowczym głosem, ujmując ręce dziewczyny w swoje dłonie, równoważąc władczość empatią. Robiła to już milion razy, a mimo to trudno było uwierzyć w tę przemianę.

Rebecca, nadal przestraszone dziecko, wahała się. Była wyraźnie wyczerpana, czas, który spędziła na ukrywaniu się przed wujem, nie minął bez śladu. Miała ściśnięte ramiona i pochyloną głowę, jakby marzyła o tym, by zniknąć.

– Kiedy wyszliście – zaczęła Rebecca – poszłam do mojego pokoju.

– To było w poniedziałek?

Rebecca skinęła głową.

– Mama kazała mi się położyć.

– I co się stało?

– Zrobiło mi się zimno, podciągnęłam więc kołdrę i znalazłam tam papiery.

– Jakie papiery? – zapytała Lena.

Rebecca spojrzała na Terri, która lekko skinęła głową, dając jej znak, że wszystko jest w porządku. Rebecca milczała, utkwivszy spojrzenie w starszej kuzynce. Potem wsunęła rękę do kieszeni z przodu sukienki i wyjęła porządnie złożony plik papierów, Lena rzuciła na nie okiem i wręczyła je Jeffreyowi. Zobaczył, że są to oryginały polis, których kopie zdobył Frank.

Lena usiadła wygodniej na krześle i przyglądała się badawczo dziewczynce.

– Dlaczego nie znalazłaś ich w niedzielę?

Rebecca znowu zerknęła na Terri.

– W niedzielę zostałam na noc u cioci Rachel. Mama nie chciała, żebym szukała Abby.

Jeffrey pamiętał, że to samo powiedziała Esther w restauracji. Uniósł wzrok znad dokumentów akurat w porę, by zauważyć wymianę spojrzeń między kuzynkami.

Najwyraźniej Lena też to dostrzegła. Położyła dłoń na stole.

– Co jeszcze, Becco? Co jeszcze znalazłaś?

Terri zagryzła wargę, natomiast Rebecca gapiała się na dłoń Leny na stole.

– Abby ufała, że zrobisz to, co trzeba, kiedy wyjedzie – powiedziała Lena spokojnym głosem. – Nie zawieź tego zaufania.

Rebecca wpatrywała się w dłoń Leny tak długo, że Jeffrey zaczął się zastanawiać, czy dziewczyna nie jest w transie. W końcu podniosła wzrok na Terri i skinęła głową. Terri podeszła bez słowa do lodówki i zdjęła magnes przytrzymujący parę rysunków jej dzieci. Między nim a metalową powierzchnią lodówki było kilka warstw papieru.

– Dale nigdy tu nie zagłada – powiedziała, wyjmując zza dziecięcego rysunku przedstawiającego Ukrzyżowanie kartkę papieru w linie. Zamiast wręczyć ją Jeffreyowi albo Lenie, podała kartkę Rebecce. Dziewczynka powoli rozłożyła kartkę, po czym przesunęła ją po stole w stronę Leny.

– To też znalazłaś w łóżku? – zapytała Lena, patrząc na kartkę.

Jeffrey pochylił się nad jej ramieniem i zobaczył listę nazwisk; niektóre rozpoznał jako nazwiska pracowników z farmy. Widniały przy nich sumy w dolarach i daty, niektóre minione, niektóre odnoszące się do przyszłości. Jeffrey porównał w myślach te daty z polisami. Wstrząśnięty, uświadomił sobie, że jest to coś w rodzaju preliminarza dochodów, rejestr tego, kto ma jaką polisę i kiedy można się spodziewać wypłaty pieniędzy.

– Zostawiła mi to Abby – powiedziała Rebecca. – Z jakiegoś powodu chciała, żebym to miała.

– Dlaczego nikomu tego nie pokazałaś? – zapytała Lena. – Dlaczego uciekałaś?

– Paul – rzekła. – To jego pismo – odpowiedziała za krewną Terri, cicho, jakby się bała, że może sobie napytać kłopotów.

Rebecca miała łzy w oczach. W odpowiedzi na nieme pytanie Leny skinęła głową i Jeffrey poczuł, że jest coraz bardziej napięty. Spodziewał się, że gdy w końcu powiedzą prawdę, poczuje ulgę, a było odwrotnie. Obie dziewczyny były wyraźnie przerażone tym, co przechowywały, ale przekazanie tego policji wcale nie przyniosło im ulgi.

– Boisz się Paula? – zapytała Lena.

Rebecca skinęła głową, podobnie Terri.

Lena znowu przestudiowała kartkę, chociaż Jeffrey był pewien, że zrozumiała każde słowo.

– A więc znalazłaś to w poniedziałek i poznałaś pismo Paula.

Rebecca nie odpowiedziała, ale Terri pospieszyła z wyjaśnieniami.

– Przyszła tu tamtego wieczoru, nie posiadając się ze zmartwienia. Dale się schlał i zasnął na kanapie. Ukryłam ją w szopie do czasu, aż wymyślimy, co robić. – Potrząsnęła głową. – Jakbyśmy mogły w ogóle coś zrobić.

– Wysłałaś Sarze to ostrzeżenie – przypomniał jej Jeffrey.

Terri wzruszyła jednym ramieniem, jakby przyznawała, że ten list był tchórzliwym sposobem ujawnienia prawdy.

– Dlaczego nie powiedziałaś o tym rodzinie? – Lena spytała Terri łagodnie. – Dlaczego nie pokazałaś im tych dokumentów?

– Paul jest ich oczkiem w głowie. Nie widzą, jaki jest naprawdę.

– A jaki jest?

– To potwór – odparła Terri. Jej oczy wypełniły się łzami. – Zachowuje się tak, jakby można mu zaufać, jakby był twoim najlepszym przyjacielem, a potem odwraca się i wbija ci nóż w plecy.

– On jest zły – zgodziła się z nią Rebecca.

– Zachowuje się zupełnie fajnie, jakby był po twojej stronie – kontynuowała Terri pewniejszym głosem, ale w oczach nadal miała łzy. – Chcesz wiedzieć, skąd miałam pierwszą działkę? – Zaciśnęła usta, zastanawiając się pewnie, czy powinna wyznać to w obecności Rebecki. – Od niego – powiedziała. – Pierwszą kreskę koki dał mi Paul. Byłam u niego w biurze i powiedział, że to jest w porządku. Nawet nie wiedziałam, co to było, równie dobrze mogła to być aspiryna. – Teraz była zła. – To przez niego się uzależniłam.

– Dlaczego miałby to zrobić?

– Bo mógł – odparła Terri. – To jest to, co go naprawdę rajcuje: demoralizowanie nas. Panowanie nad wszystkimi, podczas gdy on siedzi sobie wygodnie i patrzy, jak nasze życie się sypie.

– Jakie demoralizowanie? – zapytała Lena.

Jeffrey wiedział, do czego zmierza.

– Nie takie, jak myślisz – odparła Terri. – Jezu, byłoby łatwiej, gdyby nas ruchał.

Słyszając te słowa, Rebecca zeszywniała i Terri powściągnęła język.

– On lubi nas gnębić – powiedziała. – Nie znosi dziewczyn, nienawidzi nas wszystkich, uważa, że jesteśmy głupie. – Łzy pociekły jej z oczu; Jeffrey widział, że jej złość bierze się z palącego poczucia zdrady. – Mama i oni myślą, że on czyni cuda. Powiedziałam jej o Cole’u, a ona poszła do Paula i Paul powiedział, że ja to sobie zmyślam, więc mu uwierzyła. – Parsknęła ze wstrętem. – On jest takim łajdakiem. Zachowuje się przyjaźnie, myślisz, że możesz mu ufać, a kiedy zaufasz, karze cię za to.

– Nie on – powiedziała, choć cicho, Rebecca. Jeffrey widział, że dziewczynie trudno jest przyznać, że jej wuj jest zdolny do takiego zła.

Mimo to mówiła dalej: – Mówi Cole'owi, żeby to zrobił. A potem zachowuje się tak, jakby nie wiedział, co się dzieje.

Terri wytarła oczy, a ręce jej się trzęsły, kiedy przyznała, że tak było.

Lena odczekała parę sekund, zanim zapytała:

– Rebecca... Czy on cię kiedyś zakopał?

Dziewczyna wolno pokręciła głową. Potem rzekła:

– Abby powiedziała, że jej to zrobił.

– Ile razy?

– Dwa. A ten ostatni raz... – dodała.

– O Boże – jęknęła Terri. – Mogłam temu zapobiec. Mogłam jej coś powiedzieć...

– Nie mogłaś nic zrobić – powiedziała Lena, chociaż Jeffrey nie wiedział, czy była to prawda.

– Ta skrzynia... – zaczęła Terri, zaciskając powieki na wspomnienie tego. – Codziennie wraca, modli się. Słyszę go przez rurę. Czasami wrzeszczy tak głośno, że aż się kulisz, ale i tak się cieszysz, że ktoś tam jest, że nie jesteś zupełnie sama. – Otarła pięścią oczy, a w jej słowach kryła się mieszanina smutku i złości. – Kiedy mi to zrobił pierwszy raz, poszłam do Paula, a Paul obiecał, że z nim porozmawia. Byłam taka głupia. Tyle czasu trwało, zanim się domyśliłam, że to Paul kazał mu to zrobić. Było niemożliwe, żeby Cole wiedział to wszystko o mnie, co robiłam, z kim byłam. To wszystko wyszło od Paula.

– Niczego nie robiłyśmy dobrze. – Rebecca zaczęła łkać. – Zawsze był cięty na Abby, starał się, żeby spaprała robotę. Stale jej powtarzał, że to tylko kwestia czasu, kiedy zjawi się jakiś mężczyzna i da jej to, na co zasługuje.

– Chip – wyrzuciła z siebie Terri. – To samo zrobił ze mną. Postawił mi na drodze Adama.

– To Paul ustawił Abby z Chipem? – zapytał Jeffrey.

– Musiał tylko zadbać o to, żeby dużo przebywali razem. Mężczyźni są głupi w tych sprawach. – Zacerwieniła się, jakby dopiero teraz przypomniała sobie, że Jeffrey jest mężczyzną. – To znaczy...

– W porządku – powiedział Jeffrey, nie wypominając kobietom, że

mogą być tak samo głupie. Straciłby pracę, gdyby nie były.

– Po prostu lubił, kiedy działo się źle – podjęła na nowo Terri. – On lubi nad wszystkim panować, wrobić kogoś, a potem mu przywalić. – Zagryzła dolną wargę, aż z przeciętej skóry popłynęła strużka krwi. Widać było, że z upływem lat jej złość nie osłabła. – Nikt nigdy nie kwestionuje tego, co mówi. Oni wszyscy przyjmują, że on mówi prawdę. Uwielbiają go.

Rebecca milczała do tej pory, ale wydawało się, że te słowa dodały jej sił. Podniosła głowę i powiedziała:

– Wujek Paul umieścił Chipa w biurze z Abby. Chip w ogóle się nie znał na tej pracy, ale Paul się postarał, żeby byli razem tak długo, aż do czegoś między nimi dojdzie.

– Do czego? – zapytała Lena.

– A jak myślisz? – odparła Terri. – Spodziewała się dziecka.

Rebecce zaparło dech. Zwróciła oszołomiony wzrok na kuzynkę.

– Przepraszam, Rebecco. Nie powinnam była mówić ci tego – powiedziała Terri ze skruchą.

– Dziecko – szepnęła Rebecca, przyciskając rękę do piersi. – Jej dziecko nie żyje. – Po policzkach płynęły jej ciurkiem łzy. – Och, mój Boże. Zamordował też jej dziecko.

Lena umilkła, a Jeffrey bacznie się jej przyglądał, zastanawiając się, dlaczego słowa Rebecki tak na nią podziały. Równie skonsternowana była Terri. Gapiła się na lodówkę, na kolorowe rysunki swoich dzieci. Lew. Tygrys. Niedźwiedź. Same drapieżniki. Jak Paul.

Jeffrey nie wiedział, co się, do diabła, dzieje, ale wiedział, że Lena nie zadała ważnego pytania, wyręczył ją więc:

– Kto zabił jej dziecko?

Rebecca spojrzała na Terri, po czym obie na Jeffreya.

– Cole – powiedziała Terri, jakby to było oczywiste. – Zabił ją Cole.

– To on otruł Abby? – Jeffrey chciał mieć jasność.

– Otrul? – powtórzyła zdumiona Terri. – Ona się udusiła.

– Nie, Terri. Abby została otruta – wyjaśnił Jeffrey. – Ktoś podał jej cyjanek.

Terri zapadła się w krzesło, a wyraz jej twarzy pokazywał, że w końcu zrozumiała, co się stało.

– Dale ma cyjanek w warsztacie.

– Zgadza się – przyznał Jeffrey.

– Był tam Paul – powiedziała. – Często tam przebywał.

Jeffrey skupił uwagę na Terri, pokładając w Bogu nadzieję, że Lena zrozumiała, jak bardzo spieprzyła sprawę, nie zadawszy Terri tego prostego pytania dwa dni temu. Zapytał więc teraz:

– Czy Paul wiedział o tym cyjanku?

– Raz natknęłam się tam na nich. Dale chromował coś do jednego z samochodów Paula.

– Kiedy to było?

– Cztery, pięć miesięcy temu – powiedziała. – Zadzwoiła jego mama i poszłam tam, żeby mu powiedzieć. Dale wściekł się na mnie, bo nie wolno mi tam wchodzić. Paulowi też się nie podobało, że tam przyszłam. Nie chciał nawet na mnie spojrzeć. – Jej twarz spochmurniała i Jeffrey widział, że wolałaby nie mówić o tym wszystkim w obecności kuzynki. – Dale powiedział jakiś głupi żart o tym cyjanku. Po to, żeby zaszpanować przed Paulem, pokazać mu, jaka jestem głupia.

Jeffrey mógł to sobie wyobrazić, ale musiał to usłyszeć.

– Co powiedział Dale, Terri?

Przygryzła wargę i pojawiła się nowa strużka krwi.

– Dale powiedział mi, że któregoś dnia dosypie mi cyjanek do kawy, że się nawet nie zorientuję, dopóki trucizna nie znajdzie się w moim żołądku i nie uaktywni jej kwas. – Drżała jej warga, ale tym razem z odrazą. – Powiedział, że to mnie zabije powoli, że będę dokładnie wiedziała, co się dzieje, a on będzie się przyglądał, jak miotam się po podłodze i sram w majtki. Powiedział, że będzie mi do ostatniej chwili patrzył w oczy, żebym wiedziała, że to on mi to zrobił.

– A co zrobił Paul, kiedy Dale to powiedział?

Terri spojrzała na Rebeccę i wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać ją po włosach. Nadal trudno jej było powiedzieć o Dale’u coś złego i Jeffrey zastanawiał się, przed czym stara się uchronić dziewczynę.

– Co zrobił Paul, kiedy Dale to powiedział? – powtórzył.

Terri opuściła rękę na ramię Rebecki.

– Nic – odparła. – Myślałam, że się roześmieje, ale nie zrobił absolutnie nic.

Jeffrey po raz trzeci spojrzął na zegarek, a potem z powrotem na sekretarkę pełniącą straż przed gabinetem Paula na farmie. Była mniej gadatliwa niż ta w Savannah, ale tak samo zazdrośnie strzegła szefa. Drzwi za nią były otwarte i Jeffrey widział drogie skórzane fotele i dwa duże kawały marmuru ze szklaną płytą na górze, które służyły jako biurko. Wzdłuż ścian biegły półki, w różnych miejscach leżały książki prawnicze w skórzanych oprawkach i pamiątki związane z golfem. Terri Stanley miała rację, jej wuj na pewno lubił swoje zabawki.

Sekretarka Paula podniosła głowę znad komputera.

– Paul powinien niebawem wrócić.

– Mógłbym poczekać w jego gabinecie – zasugerował Jeffrey, myśląc, że mógłby przejrzeć jego rzeczy.

Sekretarka zachichotała.

– Paul nie lubi, nawet jak ja tam wchodzę, kiedy go nie ma – powiedziała, nadal pisząc na komputerze. – Niech pan lepiej poczeka tutaj. Powinien lada chwila wrócić.

Jeffrey skrzyżował ręce na piersiach i wygodniej rozsiadł się w fotelu. Czekał dopiero od pięciu minut, ale zaczynał myśleć, że powinien iść i sam poszukać prawnika. Wprawdzie sekretarka nie zadzwoniła do szefa, by powiadomić go, że czeka na niego szef policji, ale łatwo było zauważyć jego biały radiowóz z rządowymi numerami. Jeffrey zaparkował go tuż przed głównym wejściem do budynku.

Znowu spojrzął na zegarek, zauważając, że minęła kolejna minuta. Zostawił Lenę u Stanleya, żeby miała oko na te dwie kobiety. Nie chciał, żeby pod wpływem poczucia winy Terri zrobiła coś głupiego, na przykład zadzwoniła do ciotki Esther albo, co gorsza, do wuja Leva. Jeffrey powiedział im, że Lena zostanie tam, żeby je chronić, i żadna z nich nie zaprotestowała. Brad zawiózł Dale'a do aresztu pod zarzutem stawiania oporu, ale nie posiedzi tam dłużej niż jeden dzień. Jeffrey bardzo po-

ważnie wątpił, czy Terri pomoże prokuraturze. Miała zaledwie trzydzieści lat, była obarczona dwójką chorych dzieci i nie miała kwalifikacji do żadnej pracy. Mógł jedynie zadzwonić do Pata Stanleya i powiedzieć mu, żeby przywołał brata do porządku. Gdyby to zależało od Jeffreya, Dale leżałby teraz na dnie kamieniołomu.

– Wielebny Ward? – Jeffrey usłyszał głos sekretarki i Lev wetknął głowę do pokoju. – Wie pan, gdzie jest Paul? Ma gościa.

– Komendant Tolliver – rzekł Lev, wchodząc do pokoju. Wycierał ręce papierowym ręcznikiem, więc Jeffrey przypuszczał, że był w łazience. – Coś się stało?

Jeffrey zmierzył go wzrokiem, wciąż niezupełnie pewny, czy Lev dokładnie nie wie, co się dzieje. Rebecca i Terri upierały się, że nie ma o niczym pojęcia, ale dla Jeffreya było oczywiste, że Lev Ward jest głową tej rodziny. Nie potrafił sobie wyobrazić, by Paulowi uszło na sucho robienie takich rzeczy tuż pod nosem starszego brata.

– Szukam pańskiego brata – powiedział.

Lev spojrzał na zegarek.

– Za dwadzieścia minut mamy zebranie. Nie przypuszczam, żeby był gdzieś daleko.

– Muszę z nim natychmiast porozmawiać.

– Mogę panu w czymś pomóc? – zaoferował się Lev.

– Chodźmy do pańskiego biura – powiedział Jeffrey zadowolony, że Lev ułatwia mu zadanie.

– Czy to ma jakiś związek z Abby? – zapytał Lev, idąc korytarzem na tył budynku. Miał na sobie spłowieiałe džinsy, flanelową koszulę i pozdzierane z wierzchu kowbojskie buty, które wyglądały tak, jakby z dziesięć razy wymieniano w nich zelówki. Do paska miał przypiętą skórzaną pochwę z nożem do cięcia wykładziny dywanowej, o wsuwającym ostrzu.

– Układa pan wykładzinę? – zapytał Jeffrey, przyglądając się nieufnie temu ostremu jak brzytwa narzędziu, którym można było rozkroić prawie wszystko.

Lev wydawał się zmieszany.

– Ach – powiedział, patrząc na swój bok, jakby się zdziwił, odkryw-
szy tam pochwękę. – Otwierałem paczki – wyjaśnił. – Dostawy przycho-
dzą zawsze w piątki. – Zatrzymał się przed otwartymi drzwiami. – To
tutaj.

Jeffrey przeczytał wywieszkę na drzwiach, która głosiła: „Chwal
Pana i wchodź”.

– Moje skromne progi – powiedział Lev, wskazując pokój.

W przeciwieństwie do brata, Lev nie miał sekretarki. W istocie rze-
czy gabinet był mały, niemal taki jak Jeffreya. Pośrodku stało metalowe
biurko i fotel na kółkach bez poręczy. Przed biurkiem stały dwa składa-
ne krzesła, a na podłodze leżały w porządnym stosach książki. Na ścia-
nach wisiały przyczepione pinezkami kolorowe rysunki, prawdopodobnie
Zeke’a.

– Przepraszam za ten bałagan – rzekł Lev. – Ojciec zawsze mówi, że
zagracony gabinet jest oznaką zagraconego umysłu. – Roześmiał się. –
Chyba ma rację.

– Gabinet pańskiego brata jest trochę... bardziej okazały.

Lev znowu się roześmiał.

– Tata stale na niego wsiadał, kiedy byliśmy mali, ale teraz Paul jest
dorosłym mężczyzną i jest trochę za stary na to, żeby przełożyć go przez
kolano. – Spowaźniał. – Próżność jest grzechem, ale wszyscy mamy sła-
bości.

Jeffrey zerknął na korytarz. Naprzeciw gabinetu był krótki korytarz,
w którym stała kserokopiarka.

– A co jest pańską słabością?

Wydawało się, że Lev naprawdę się nad tym zastanowił.

– Mój syn.

– Kim jest Stephanie Linder?

– Dlaczego miałby pan o to pytać? – Lev zdawał się zaskoczony.

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

– Była moją żoną. Zmarła pięć lat temu.

– Jest pan tego pewien?

– Myślę, że wiem, czy moja żona żyje czy nie – oburzył się Lev.

– Jestem tylko ciekaw – powiedział Jeffrey. – Widzi pan, przyjechała do mnie pańska siostra Mary i powiedziała, że ma córkę. Nie przypominam sobie, żeby wcześniej ktoś o tym wspomniał.

Lev był na tyle mądry, że zrobił skruszoną minę.

– Tak, to się zgadza. Ma córkę.

– Córkę, która uciekła od swojej rodziny.

– Genie... Terri – chce, żeby tak się do niej zwracano – była bardzo trudną nastolatką. Prowadziła bardzo niespokojne życie.

– Powiedziałbym, że nadal jest trochę niespokojne. A pan nie?

– Ustatkowała się – wziął ją w obronę Lev. – Ale jest dumną dziewczyną. Nadal mam nadzieję, że się pogodzi z rodziną.

– Mąż ją bije.

– Dale? – Lev otworzył usta ze zdziwienia.

– Poza tym Cole ją też umieścił w skrzyni tak jak Abby. Była mniej więcej w wieku Rebecki, kiedy to zrobił. Czy Mary mówiła panu kiedyś o tym?

Lev oparł się dłonią o biurko, jakby potrzebował pomocy, by się utrzymać na nogach.

– Dlaczego miałby... – Zamilkł, kiedy zaczęło do niego docierać, co przez te wszystkie lata naprawdę robił Cole Connolly. – Mój Boże – wyszeptał.

– Trzy razy, Lev. Cole umieścił Abby w tej skrzyni trzy razy. Ostatnim razem już z niej nie wyszła.

Lev wznosił wzrok na sufit, ale Jeffrey stwierdził z ulgą, że zrobił to po to, by powstrzymać łzy, a nie po to, żeby wygłosić spontaniczną modlitwę. Dał mu trochę czasu, by mógł się uporać z emocjami.

– Komu jeszcze to zrobił? – zapytał w końcu Lev. Jeffrey nie odpowiedział, ale ucieszył się, że w głosie Leva słyszy wściekłość. – Mary powiedziała nam, że Genie uciekła do Atlanty, by usunąć ciążę. – Najwyraźniej myślał, że może uprzedzić kolejną uwagę Jeffrey'a, bo powiedział: – Mój ojciec ma zdecydowane poglądy na ochronę życia, komendancie Tolliver, podobnie jak ja. Mimo to... – Przerwał, jakby potrzebował chwili, by się pozbierać. – Nigdy nie odwrócilibyśmy się do niej ple-

cami. Nigdy. Wszyscy robimy rzeczy, które nie spodobałyby się Bogu. To niekoniecznie znaczy, że jesteśmy źli. Nasza Genie... Terri nie była złą dziewczyną. Była po prostu nastolatką, która zrobiła coś złego, bardzo złego. Szukaliśmy jej. Ja sam jej szukałem. Nie chciała, żebyśmy ją znaleźli. – Potrząsnął głową. – Gdybym wiedział...

– Ktoś wiedział – rzekł Jeffrey.

– Nie – upierał się Lev. – Gdyby ktokolwiek z nas wiedział, co robi Cole, byłyby surowe reperkusje. Sam wezwałbym policję.

– Wydaje się, że nie lubi pan, żeby w cokolwiek mieszać tu policję.

– Chcę chronić naszych pracowników.

– Wydaje mi się, że starając się chronić bandę obcych ludzi, naraził pan na niebezpieczeństwo własną rodzinę.

– Nie rozumiem, dlaczego widzi pan to w ten sposób. – Lev zacisnął szczęki.

– Dlaczego nie chciał pan zgłosić na policji zniknięcia Rebecki?

– Ona zawsze wraca – rzekł Lev. – Musi pan zrozumieć, że ona jest bardzo krnąbrna. Nie możemy nic zrobić, żeby... – Nie dokończył zdania. – Nie myśli pan... – zająknął się. – Cole...?

– Czy Cole zakopywał Rebecę jak inne dziewczęta? – Jeffrey dokończył za niego pytanie, uważnie mu się przyglądając, starając się dociec, co się dzieje w jego głowie. – Jak pan myśli, wielebny Ward?

Lev wypuścił powoli powietrze, jakby trudno mu było przyjąć to wszystko do wiadomości.

– Musimy ją znaleźć. Ona zawsze ucieka do lasu... mój Boże, do lasu... – Zrobił ruch, jakby chciał wyjść, ale Jeffrey go powstrzymał.

– Jest bezpieczna – powiedział.

– Gdzie? – zapytał Lev. – Proszę mnie do niej zabrać. Esther odchodzi od zmysłów.

– Jest bezpieczna – powtórzył Jeffrey, nie mówiąc nic więcej. – Jeszcze nie skończyłem z panem rozmawiać.

– Zadzwoni pan przynajmniej do jej matki? – zapytał Lev.

– Już to zrobiłem – skłamał Jeffrey. – Esther ulżyło, kiedy usłyszała, że Rebecce nic nie jest.

Lev znowu usiadł wygodniej, z wyraźnym uczuciem ulgi, ale widać było, że targają nim sprzeczne uczucia.

– Za dużo tego jak na jeden raz. – Miał zwyczaj zagryzania dolnej wargi, tak samo jak jego siostrzenica. – Dlaczego zapytał pan o moją żonę?

– Czy miała kiedykolwiek dom w Savannah?

– Oczywiście, że nie – odparł Lev. – Stephanie całe życie spędziła tutaj. Myślę, że nawet nigdy nie była w Savannah.

– Od jak dawna Paul tam pracuje?

– Mniej więcej od sześciu lat.

– Dlaczego w Savannah?

– Mamy w tamtym rejonie wielu kupców. Łatwiej mu prowadzić interesy, rozmawiając z nimi bezpośrednio. – Dodał z lekkim poczuciem winy, jak się wydawało: – Dla Paula życie na farmie toczy się zbyt wolno. Lubi czasami być w mieście.

– Jeździ tam z żoną?

– Ma sześcioro dzieci – zwrócił mu uwagę Lev. – Dużo czasu spędza w domu.

Jeffrey zauważył, że Lev błędnie zinterpretował jego pytanie, ale być może w tej rodzinie było rzeczą normalną, że mężowie co drugi tydzień zostawiają żony same z dziećmi. Jeffrey nie mógł sobie wyobrazić mężczyzny, który nie cieszyłby się z takiego układu, ale trudno mu też było wyobrazić sobie kobietę, której by to odpowiadało.

– Był pan kiedy w jego domu w Savannah? – zapytał.

– Bywam tam dosyć często – odparł Lev. – Mieszka nad biurem.

– A nie w domu na Sandon Square?

Lev ryknął śmiechem.

– Skądże – powiedział. – To jedna z najdroższych ulic w tym mieście.

– I pańska żona nigdy nie odwiedziła tego miejsca?

Lev znowu potrząsnął głową i powiedział lekko poirytowanym tonem:

– Odpowiadam na wszystkie pytania najlepiej, jak potrafię. Czy na-

dejdzie kiedyś taka chwila, że powie mi pan, o co w tym wszystkim chodzi?

Jeffrey doszedł do wniosku, że teraz jest jego kolej, by wyjawic trochę prawdy. Wyjął z kieszeni oryginały polis ubezpieczeniowych i podał je Levowi.

– Abby zostawiła to Rebecce.

Lev wziął kartki, rozłożył je i rozpostarł na biurku.

– Jak je zostawiła?

Jeffrey nie odpowiedział, ale Lev nawet tego nie zauważył. Siedział pochylony nad biurkiem, wodząc palcem po każdej kartce, kiedy je czytał. Jeffrey zauważył, że zaciska szczęki, a z jego postawy emanuje gniew.

– Ci ludzie mieszkali na naszej farmie – stwierdził Lev, kiedy się wyprostował.

– Zgadza się.

– Ten tutaj. – Podniósł jedną z kartek. – Larry. Uciekł. Cole powiedział nam, że uciekł.

– Nie żyje.

Lev patrzył na niego, przesuwając wzrokiem w tę i z powrotem po jego twarzy, jakby chciał z niej wyczytać, do czego zmierza.

Jeffrey wyjął swój notes i powiedział:

– Larry Fowler zmarł dwudziestego ósmego lipca ubiegłego roku z powodu zatrucia alkoholem. O dwudziestej pięćdziesiąt zabrał go z farmy koroner z Catoogah.

Lev gapił się na niego z niedowierzaniem jeszcze przez chwilę.

– A ten? – zapytał, podnosząc kartkę. – Mike Morrow. W ubiegłym sezonie był u nas traktorzystą. Miał córkę w Wisconsin. Cole powiedział, że przeniósł się do niej.

– Przedawkowanie narkotyku. Trzynastego sierpnia, dwunasta czterdzieści.

– Dlaczego miałyby nam mówić, że uciekli, skoro umarli? – zapytał Lev.

– Chyba byłoby trochę trudno wyjaśnić, dlaczego w ostatnich dwóch

latach zmarło na waszej farmie tyle osób.

– Myśli pan... myśli pan, że oni... – Lev znowu spojrzął na polisy.

– Twój brat zapłacił za skremowanie dziewięciu ciał.

Twarz Leva była już i tak blada, ale kiedy dotarło do niego to, co się kryło za słowami Jeffreya, zrobiła się biała jak kreda.

– Te podpisy – zaczął i ponownie uważnie przyjrzał się dokumentom. – Ten nie jest mój – powiedział, dźgając palcem jedną z kartek. – A to – rzekł – nie jest podpis Mary; ona jest leworęczna. To na pewno nie jest podpis Rachel. Dlaczego miałyby otrzymać pieniądze z polisy człowieka, którego w ogóle nie znała?

– Niech pan mi to powie.

– To jest niegodziwe – rzekł, ściskając polisy w garści. – Kto mógłby to zrobić?

– Niech pan mi to powie – powtórzył Jeffrey.

Na skroni Leva pulsowała żyła. Z zaciśniętymi zębami dalej kartkował papiery.

– Miał polisę wystawioną na moją żonę?

– Nie wiem – odpowiedział szczerze Jeffrey.

– Skąd wziął pan jej nazwisko?

– Wszystkie polisy wystawione są na adres przy Sandon Square. Jako właścicielka domu figuruje Stephanie Linder.

– On... wykorzystał... – Lev był tak wściekły, że z trudem mówił. – Wykorzystał... nazwisko mojej żony... w tym celu?

W swojej pracy Jeffrey widział wielu mężczyzn doprowadzonych do łez, ale zazwyczaj płakali, bo utracili ukochaną osobę albo – najczęściej – bo zdali sobie sprawę z tego, że pójdą do więzienia, i użalali się nad sobą. Łzy Leva Warda brały się z czystej wściekłości.

– Proszę poczekać – powiedział Jeffrey, kiedy Lev przemknął obok niego. – Gdzie pan idzie?

Lev pobiegł do gabinetu Paula.

– Gdzie on jest? – zapytał wzburzonym głosem.

Jeffrey usłyszał, jak sekretarka mówi:

– Nie...

Lev biegł już do drzwi frontowych, Jeffrey tuż za nim. Kaznodzieja nie wyglądał na szczególnie sprawnego, ale miał długi krok. Zanim Jeffrey dotarł na parking, Lev był już przy swoim samochodzie. Zamiast do niego wsiąść, stał tam jak skamieniały.

Jeffrey podbiegł do niego.

– Lev?

– Gdzie on jest? – warknął Lev. – Niech mi pan da dziesięć minut sam na sam z nim. Tylko dziesięć minut.

Jeffrey nigdy by nie pomyślał, że ten dobroduszny kaznodzieja zdolny jest do czegoś takiego.

– Lev, musisz wrócić do środka.

– Jak on mógł nam to zrobić? – zapytał Lev. – Jak on mógł... – Wydawało się, że zaczyna pojmować wszystko, co z tego wynika. – To on zabił moją siostrzenicę? To on zabił Abby? I Cole'a?

– Tak myślę – odparł Jeffrey. – Miał dostęp do cyjanku. Wiedział, jak go użyć.

– Mój Boże – powiedział, co nie było potocznym zwrotem, ale autentycznym błaganiem. – Dlaczego? – mówił z rozpaczą. – Dlaczego to zrobił? Czy Abby kiedykolwiek coś komuś zrobiła?

Jeffrey nie próbował odpowiedzieć na jego pytania.

– Musimy znaleźć pańskiego brata, Lev. Gdzie on jest?

Lev był tak zły, że nie mógł mówić. Potrząsał tylko głową.

– Musimy go znaleźć – powtórzył Jeffrey, akurat w chwili, kiedy zadzwonił telefon w jego kieszeni. Zerknął na wyświetlacz i zobaczył, że dzwoni Lena. Cofnął się, żeby odebrać, i otwierając aparat, zapytał: – Co jest?

Lena mówiła szeptem, ale słyszał ją wyraźnie.

– On jest tutaj – powiedziała. – Paul właśnie skręcił na podjazd.

Lena czuła, że serce ma w gardle. Tak waliło, że trudno jej było mówić.

– Nic nie rób, dopóki tam nie przyjadę – rozkazał Jeffrey. – Ukryj Rebecę. Nie pozwól, żeby ją zobaczył.

– A jeśli...

– Żadnych pierdolonych „a jeśli”, detektywie. Rób, co powiedziałem.

Lena zerknęła na Rebecę i zobaczyła przerażenie w jej oczach. Mogła to zaraz zakończyć – rzucić Paula na podłogę, zabrać drania do aresztu. A co potem? Nigdy nie wydobyliby przyznania się od prawnika. Śmiałyby się im w nos, dopóki nie stanąłby przed wielką ławą przysięgłych, która uwolniłaby go z powodu braku dowodów.

– Wyrażam się jasno? – zapytał Jeffrey.

– Tak jest.

– Ukryj bezpiecznie Rebecę – rozkazał. – Jest naszym jedynym świadkiem. To teraz twoje zadanie, Leno. Nie spierdol tego. – Z telefonu dobiegł głośny trzask, kiedy się rozłączył.

Terri stała przy oknie frontowym, mówiąc, co robi Paul.

– Jest w warsztacie – rzekła szeptem. – Jest w warsztacie.

Lena chwyciła Rebecę za ramię, ciągnąc ją do holu.

– Idź na górę – rozkazała, ale przestraszona dziewczyna nawet nie drgnęła.

– Obchodzi warsztat od tyłu – powiedziała Terri. – O Boże, pośpieszcie się! – Pobieгла korytarzem, by móc śledzić poczynania Paula.

– Rebecca – powiedziała Lena, pragnąc, by dziewczyna się ruszyła. – Musimy iść na górę.

– A jeśli on... – zaczęła Rebecca. – Nie mogę...

– Jest w przybudówce – krzyknęła Terri. – Becco, proszę! Idź!

– On będzie taki wściekły – zakwiliła Rebecca. – O Panie, proszę...

– Idzie do domu! – Głos Terri zadrżał.

– Rebecca – ponownie spróbowała Lena.

Terri podbiegła i zaczęła popychać Rebecę, kiedy Lena ciągnęła ją ku schodom.

– Mamo! – Tim objął matkę za nogę.

Głos Terri brzmiał surowo, kiedy powiedziała synkowi:

– Idź zaraz na górę. – Ponieważ Tim nie ruszył dostatecznie szybko, dała mu klapsa.

Otworzyły się tylne drzwi i wszyscy zamarli, kiedy Paul krzyknął:

– Terri?

Tim był u szczytu schodów, ale Rebecca stała skamieniała ze strachu, oddychając jak ranne zwierzę.

– Terri? – powtórzył Paul. – Gdzie jesteś, do diabła? – Jego kroki wolno zbliżały się przez kuchnię. – Chryste, ale tu bałagan.

Wyteżając wszystkie siły, Lena podniosła Rebecę, na poły niosąc ją, na poły ciągnąc na górę. Kiedy dotarła na górę, była bez tchu i czuła się tak, jakby ktoś ją rozrywał na strzępy.

– Tutaj jestem! – Terri, stukając butami po płytkach holu, wracała do kuchni. Wpychając Rebecę i Tima do najdalszego pokoju, Lena słyszała stłumione głosy. Za późno zdała sobie sprawę, że są w pokoju dziecięcym.

W łóżeczku gaworzyło niemowlę. Lena czekała w napięciu, aż zacznie płakać. Wydawało się jej, że minęła godzina, zanim odwróciło główkę i ponownie zasnęło.

– O Panie – modliła się szeptem Rebecca.

Lena zakryła jej dłonią usta, prowadząc ją ostrożnie do szafy. Tim

szedł za nimi. Wydawało się, że Rebecca w końcu zrozumiała, o co chodzi. Powoli otworzyła drzwi, zaciskając powieki w oczekiwaniu na skrzypnięcie, które zdradziłoby ich obecność. Nie rozległ się żaden dźwięk i osunęła się na podłogę za stosem ciepłych kocy, ściskając Tima w ramionach.

Lena cicho zamknęła drzwi. Wstrzymując oddech, czekała, że wpadnie tam Paul. Serce tak jej waliło, że ledwie słyszała jego głos. Nagle na schodach rozległo się echo jego ciężkich kroków.

– To miejsce to chlew – powiedział Paul i słyszała, jak przewraca jakieś przedmioty, obchodząc dom. Lena wiedziała, że w domu jest nieskazitelnie czysto, tak jak wiedziała, że Paul to dupek. – Jezu Chryste, Terri, znowu jesteś na koce? Popatrz na ten bajzel. Jak możesz tu wychowywać dzieci? – Terri wymamrotała coś w odpowiedzi, a Paul wrzasnął: – Nie odszczekuj mi się! – Był teraz w wyłożonym płytkami holu, a jego głos huczał w klatce schodowej jak grzmot.

Lena podeszła na palcach do ściany naprzeciwko pokoju dzieciennego i przypląszczyła się do niej, słuchając, jak Paul wrzeszczy na Terri. Odczekała chwilę, po czym przesliznęła się w lewo i ostrożnie, cał po calu, zaczęła się przesuwając w stronę podestu, by zerknąć na dół i zobaczyć, co się dzieje. Jeffrey kazał jej ukryć Rebeccę i czekać, dopóki nie przyjedzie. Powinna zostać w pokoju, przypilnować, żeby dzieci były cicho, upewnić się, że są bezpieczne.

Wstrzymała oddech, zbliżając się do schodów, ryzykując spojrzenie w dół. Paul był odwrócony do niej plecami. Terri stała dokładnie naprzeciw niego.

Lena cofnęła się z powrotem za róg. Serce biło jej tak mocno, że czuła, jak żyła pulsuje jej na szyi.

– Kiedy on wróci? – zapytał Paul.

– Nie wiem.

– Gdzie jest plakietka z mojego samochodu?

– Nie wiem.

Tak samo odpowiadała na jego wszystkie pytania, aż w końcu warknął:

– A co ty wiesz, Terri?

Milczała, więc Lena ponownie spojrzała w dół, żeby się upewnić, czy Terri jest tam jeszcze.

– Niedługo będzie z powrotem – powiedziała Terri, a jej wzrok pomknął ku Lenie. – Możesz zaczekać na niego w warsztacie.

– Chcesz pozbyć się mnie z domu? – zapytał. Lena szybko się cofnęła, kiedy Paul się odwrócił. – A to dlaczego?

Lena przycisnęła rękę do piersi, pragnąc, by serce zaczęło bić wolniej. Ludzie tacy jak Paul mają niemal zwierzęcy instynkt. Słyszą przez ściany, widzą wszystko, co się dzieje. Spojrzała na zegarek, starając się obliczyć, ile czasu minęło od chwili, gdy zadzwoniła do Jeffreya. Dojazd zajmie mu jeszcze co najmniej piętnaście minut, nawet jeśli jechał na włączonych światłach i syrenie.

– Co się dzieje, Terri? – zapytał Paul. – Gdzie jest Dale?

– Poza domem.

– Nie bądź taka sprytna. – Lena usłyszała głośne klaśnięcie. Serce przestało jej bić.

– Proszę – powiedziała Terri. – Po prostu poczekaj w warsztacie.

– Dlaczego nie chcesz, żebym został w domu, Terri? – Ton Paula był swobodny.

I znowu rozległo się to klaśnięcie. Lena nie musiała patrzeć, żeby wiedzieć, co się dzieje. Znała ten obrzydliwy dźwięk, wiedziała, że to uderzenie otwartą dłonią, tak jak dokładnie wiedziała, jakie to uczucie dostać nią w twarz.

Z pokoju dziecinnego dobiegł jakiś szmer. Rebecca albo Tim zmienili pozycję w szafie i zaskrzypiała podłoga. Lena zamknęła oczy i zastygła w bezruchu. Jeffrey kazał jej czekać, chronić Rebecę. Nie powiedział jej, co ma zrobić, jeśli Paul je odkryje. Otworzyła oczy. Dokładnie wiedziała, co robi. Ostrożnie wysunęła pistolet z kabury i wymierzyła go w przestrzeń nad podestem. Paul był potężnym mężczyzną. Na korzyść Leny przemawiał tylko element zaskoczenia i za nic w świecie nie zamierzała z tego zrezygnować. Niemal czuła smak triumfu, który będzie święcić, kiedy Paul skręci za ten róg, spodziewając się zobaczyć prze-

straszone dziecko, a ujrzy wycelowaną w swoją zadowoloną twarz lufę glocka.

– To tylko Tim – zabrzmiał z dołu głos Terri.

Paul nic nie powiedział, ale Lena usłyszała kroki na schodach. Wolne, ostrożne kroki.

– To Tim – powtórzyła Terri. Kroki się zatrzymały. – Jest chory.

– Cała twoja rodzina jest chora – rzekł szyderczo Paul, stawiając ciężko na następnym stopniu nogę w bucie od Gucciego, za który można by spłacić miesięczną ratę kredytu hipotecznego za ten dom. – Przez ciebie, Terri. Przez te wszystkie narkotyki, które wzięłaś, przez tych wszystkich facetów, z którymi się pierdoliłaś. Przez te wszystkie obciążone druty, przez to dawanie dupy komu popadnie. Założę się, że ich nasienie zżera cię od środka.

– Przestań.

Lena ścisnęła pistolet w dłoni, trzymając go prosto przed sobą, celując w miejsce nad podestem i czekając, aż Paul dotrze do szczytu schodów, by zamknąć mu tę pierdoloną mordę.

– Pewnego dnia – zaczął, wchodząc na kolejny stopień – pewnego dnia będę musiał powiedzieć o tym Dale'owi.

– Paul...

– Jak będzie się czuł, wiedząc, że wsadził kutasa w ten cały gnój? – zapytał Paul. – W to wszystko, co ci się w środku kłębi.

– Miałam szesnaście lat! – powiedziała ze szlochem. – Co miałam robić? Nie miałam wyboru!

– A teraz twoje dzieci są chore – powiedział, wyraźnie zadowolony z jej cierpienia. – Chore przez to, co robiłaś. Chore przez te wszystkie choroby i brud, który w tobie siedzi.

Jego ton sprawiał, że żołądek Leny ścisnął się z nienawiści. Chciała zrobić jakiś hałas, który przyciągnąłby go szybciej na górę. Czowała w swojej dłoni gorący pistolet gotowy do strzału, kiedy tylko Paul znajdzie się w jej polu widzenia.

Tymczasem on dalej wchodził po schodach, mówiąc:

– Jesteś tylko pierdoloną kurwą.

Terri nie odpowiedziała.

– I nadal obsługujesz klientów? – zapytał.

Był coraz bliżej. Jeszcze tylko parę stopni i znajdzie się na górze. Jego słowa były tak nienawistne, tak dobrze znane. Równie dobrze mógł to być Ethan i mówić to do niej. Ethan wchodzący po schodach, żeby sprać ją na kwaśne jabłko.

– Myślisz, że nie wiem, po co potrzebowałam tych pieniędzy? – powiedział Paul. Zatrzymał się jakieś dwa stopnie od góry, tak blisko, że Lena czuła zapach jego kwiatowej wody kolońskiej. – Trzysta pięćdziesiąt baksów – rzekł, klepiąc poręcz schodów, jakby opowiadał jakiś dowcip. – To kupa pieniędzy, Ter. Na co je wydałaś?

– Powiedziałam, że ci zwrócę.

– Zwrócisz, kiedy będziesz mogła – rzekł, jakby zamiast dręczycielem był jej starym przyjacielem. – Powiedz mi, na co ci były potrzebne, Genie. Staralem się tylko ci pomóc.

Lena zacisnęła zęby, widząc jego cień na podeście. Terri poprosiła Paula o te pieniądze, żeby zapłacić za klinikę. Musiał kazać jej płaszczyć się przed sobą, a potem kopnął ją w zęby, zanim wyszła.

– Po co ich potrzebowałaś? – zapytał Paul. Teraz, kiedy znalazł łatwą ofiarę, zaczął schodzić. Lena wrzeszczała w myślach, żeby skłonić go do powrotu, ale parę sekund później usłyszała, jak podeszwy jego butów głośno stuknęły o płytki w holu, jakby z radości zeskoczył z ostatnich kilku stopni. – Po co ich potrzebowałaś, kurwo? – Terri nie odpowiedziała i znowu wymierzył jej policzek, którego odgłos huczał w uszach Leny. – Odpowiedz mi, kurwo.

– Zapłaciłam nimi za rachunki ze szpitala – rzekła słabym głosem Terri.

– Zapłaciłaś nimi za usunięcie dziecka z brzucha.

Terri wydała chrapliwy dźwięk. Lena opuściła broń, zaciskając powieki z powodu tego pełnego żalu jęku.

– Abby mi powiedziała – rzekł. – Mówiła mi wszystko.

– Nie.

– Naprawdę martwiła się o kuzynkę Terri – ciągnął Paul. – Nie

chciała, żeby Terri poszła do piekła za to, co miała zamiar zrobić. Obiecałem jej, że porozmawiam z tobą o tym. – Terri powiedziała coś i Paul się roześmiał.

Lena wysunęła się za róg z uniesionym pistoletem, celując w plecy Paula, kiedy znowu uderzył Terri w policzek, tym razem tak mocno, że upadła na podłogę. Chwycił ją, podniósł i okręcił wokół osi, akurat kiedy Lena schowała się za róg.

Znowu zamknęła oczy, w zwolnionym tempie odtwarzając w głowie to, co przed chwilą zobaczyła. Paul złapał Terri, poderwał ją w górę i okręcił się w stronę schodów. Pod marynarką widać było wybrzuszenie. Czyżby miał przy sobie broń?

– Wstawaj, ty kurwo. – W głosie Paula brzmiała odraza.

– Ty ją zabiłeś – rzekła Terri oskarżycielskim tonem. – Wiem, że to ty zabiłeś Abby.

– Uważaj na to, co mówisz – ostrzegł ją.

– Dlaczego? – błagała Terri. – Dlaczego chciałeś skrzywdzić Abby?

– Sama to sobie zrobiła – powiedział. – Wy wszystkie powinnyście już wiedzieć, że nie wolno wkurzać starego Cole’a. – Lena czekała, że Terri coś powie, że zarzuci mu, że jest gorszy od Cole’a, że to on wszystkim kierował, że zasiał w głowie Cole’a przekonanie, iż dziewczyny trzeba karać.

Jednak Terri milczała i jedynym dźwiękiem, który usłyszała Lena, był trzask włączającej się lodówki w kuchni. Wyjrzała zza rogu akurat w chwili, kiedy Terri odzyskała mowę.

– Wiem, że ty to jej zrobiłeś – powiedziała i Lena przeklęła bezczelność tej kobiety. To akurat była ta jedyna sytuacja, w której Terri nie powinna pokazywać, że ma kręgosłup. Niebawem będzie tu Jeffrey, może za pięć minut.

– Wiem, że dałeś jej cyjanek – powiedziała Terri. – Dale wyjaśnił ci, jak go użyć.

– No i?

– Dlaczego? – zapytała Terri. – Dlaczego zabiłeś Abby? Nigdy ci nic nie zrobiła. Zawsze cię kochała.

– Była złą dziewczyną – powiedział, jakby był to wystarczający powód. – Cole o tym wiedział.

– Powiedziałeś Cole’owi – rzekła Terri. – Nie myśl, że nie wiem, jak to działa.

– Jak co działa?

– Jak mówisz mu, że jesteśmy złe. Podsuwasz mu te wszystkie straszne pomysły, a on nas karze. – Roześmiała się kostycznie. – Zabawne, że Bóg nigdy nie mówi mi, żeby karał chłopców. Byłeś kiedy w tej skrzyni, Paul? Zakopano cię kiedyś za to, że spotykasz się z tymi swoimi kurwami w Savannah i wciągasz kokę?

– „Zajmijcie się tą przeklętą i pochowajcie ją...” – warknął Paul.

– Nie waż się rzucać we mnie słowami Biblii.

– „Za bunt przeciw Bogu swojemu poginą od miecza” – zacytował.

Terri najwyraźniej знаła ten werset. Powietrze zgęstniało od jej złości.

– Zamknij się, Paul.

– „Dzieci ich będą roztrzaskane w ich oczach... Ich ciężarne żony będą rozprute”³.

– Nawet diabeł może cytować Pismo Święte dla swoich celów.

Roześmiał się, jakby zdobyła punkt.

– Straciłeś wiarę milion lat temu – powiedziała.

– I kto to mówi.

– Ja nie udaję, że to nieprawda – odcięła się, a jej ton stał się silniejszy, ostrzejszy. To była kobieta, która oddała Dale’owi cios za cios. To była kobieta, która miała odwagę się bronić. – Dlaczego ją zabiłeś, Paul?

– Czekala na odpowiedź, a potem zapytała: – Zrobiłeś to z powodu tych polis ubezpieczeniowych?

Plecy Paula zeszywniały. Nie przestraszył się wzmianki Terri o cy-

³ Wszystkie cytaty z Biblii, z wyjątkiem tego, za: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Poznań–Warszawa 1980. Druga część cytatu z Księgi Izajasza w moim przekładzie z jęz. angielskiego, ponieważ wersja angielska zupełnie odbiega od polskiej (przyp. tłum.).

janku, ale Lena odgadła, że policyjki sprowadziły sprawę na zupełnie inny poziom.

– Co o tym wiesz? – zapytał.

– Powiedziała mi o nich Abby, Paul. Policja też o tym wie.

– Co wiedzą? – Chwyił ją za rękę, wykręcając ją.

Lena poczuła, że napinają się jej wszystkie mięśnie. Znowu podniosła głocka, czekając na właściwą chwilę. – Co im powiedziałaś, ty mała idiotko?

– Puść mnie.

– Urwę ci łeb, ty głupia suko. Powiedz mi, co im powiedziałaś.

Lena drgnęła, kiedy ni stąd, ni zowąd z pokoju wypadł Tim, przebiegł obok niej i niemal stoczył się ze schodów, żeby dostać się do matki. Lena wyciągnęła rękę, by go złapać, ale chybiła i w ostatniej chwili się cofnęła, żeby Paul jej nie zobaczył.

– Mamo! – krzyknęło dziecko.

Terri wydała okrzyk zaskoczenia, a potem powiedziała:

– Tim, wracaj na górę. Mama rozmawia z wujkiem Paulem.

– Chodź tutaj, Tim – powiedział Paul i Lenie ścisnął się żołądek, kiedy jego małe nóżki zaczęły stukać na schodach.

– Nie... – zaprotestowała Terri, a potem powiedziała: – Tim, odejdz od niego.

– No dalej, chodź, duży chłopczyku – rzekł Paul i Lena zaryzykowała szybkie spojrzenie. Paul trzymał Tima na rękach, a dziecko owinęło go nóżkami w pasie.

Lena cofnęła się, wiedząc, że gdyby Paul się obrócił, dostrzegłby ją. Zmešla w ustach przekleństwo. Była na siebie wściekła za to, że nie oddała strzału, kiedy mogła. Po drugiej stronie korytarza mignęła jej Rebecca w pokoju dzieciennym, wyciągająca rękę, by zamknąć drzwi szafy. Lena zakłęła w myślach jeszcze dosadniej, obwiniając dziewczynę o to, że nie zdołała przytrzymać chłopca.

Zerknęła do holu, starając się ocenić sytuację.

Paul nadal był odwrócony do niej tyłem, ale Tim przywarł ciasno do niego, obejmując patykowatą rączką szyję Paula i obserwując matkę.

Z tej odległości trudno było powiedzieć, jakie spustoszenie wyrządziłby jej dziewięćmilimetrowy pistolet. Pocisk mógł przejść przez ciało Paula i trafić Tima. Mogłaby zabić dziecko.

– Proszę – powiedziała Terri, zachowując się tak, jakby w rękach Paula spoczywało jej własne życie. – Puść go.

– Powiedz mi, co powiedziałaś policji – rzekł Paul.

– Nic. Nic im nie powiedziałam.

Paul tego nie kupił.

– Czy Abby zostawiła te polisy u ciebie, Terri? Czy tak zrobiła?

– Tak – odparła Terri drżącym głosem. – Dam ci je. Proszę, puść go.

– Przynieś je, to pogadamy.

– Proszę, Paul. Puść go.

– Idź przynieść polisy.

Terri najwyraźniej nie była wytrawną kłamczynią.

– Są w warsztacie – powiedziała i Lena wiedziała, że Paul ją przejrzał. Mimo to powiedział:

– Idź po nie. Przypilnuję Tima. – Terri musiała się zawahać, bo Paul podniósł głos: – Już! – tak głośno, że Terri krzyknęła. Kiedy znowu się odezwał, jego głos brzmiał normalnie, co dla Leny było jakoś bardziej przerażające. – Masz trzydzieści sekund, Terri.

– Nie...

– Dwadzieścia dziewięć... dwadzieścia osiem...

Rozległo się trzaśnięcie otwieranych drzwi frontowych i Terri wyszła, Lena stała zupełnie nieruchomo, a jej serce waliło jak młotem.

Na dole Paul mówił niby do Tima, ale starał się, żeby jego głos niósł się daleko.

– Myślisz, Tim, że twoja ciocia Rebecca jest na górze? – zapytał wesołym, niemal kpiarskim, tonem. – Może pójdziemy zobaczyć, czy jest tam ciocia, co? Zobaczmy, czy się tam chowa jak szczurek, którym zresztą jest...

Tim wydał jakiś dźwięk, którego Lena nie zrozumiała.

– Tak, Tim – rzekł Paul, jakby się w coś bawili. – Pójdziemy na górę i porozmawiamy z nią, a potem zbijemy ją po buzi. Podoba ci się to,

Tim? Będziemy ją bili po buzi, aż połamiemy jej kości. Zadbamy o to, żeby buzia cioci Becki była tak poharatana, że nikt już nie będzie chciał na nią spojrzeć.

Lena słuchała, czekając, aż wejdzie na górę i będzie mogła rozwalić mu łeb. Nie wszedł. Najwidoczniej to szydzenie było częścią jego gry. Mimo że o tym wiedziała, nie mogła się pozbyć strachu, którym napełniał ją jego głos. Tak bardzo chciała zadać mu ból, uciszyć go na zawsze, żeby już nigdy nie musiała go słyszeć.

Drzwi ponownie otworzyły się i zatrzasnęły. Terri brakowało tchu, jej słowa płynęły ciurkiem.

– Nie mogłam ich znaleźć. Szukałam...

Kurwa, pomyślała Lena. Rewolwer Dale'a. Nie.

– Wybacz mi, że mnie to nie dziwi – powiedział Paul.

– Co chcesz zrobić? – Głos Terri nadal się trząsał, ale pod warstwą strachu kryło się coś, jakaś wiedza, która dawała jej siłę. Musiała wziąć ten rewolwer. Musiała myśleć, że może coś zrobić, by go powstrzymać.

Tim coś powiedział i Paul się roześmiał.

– Tak – zgodził się z chłopcem, a potem rzekł do Terri. – Tim uważa, że tam, na górze, jest jego ciocia Rebecca.

Lena usłyszała jeszcze jeden dźwięk, tym razem szczęknięcie. Od razu go rozpoznała – był to dźwięk odciąganego kurka rewolweru.

Paul był zaskoczony, ale bynajmniej nie zaniepokojony.

– Skąd to wzięłaś?

– To broń Dale'a – odparła Terri i Lena poczuła, że ściska się jej żołądek. – Wiem, jak się nim posługiwać.

Paul się roześmiał, jakby rewolwer był zrobiony z plastiku. Lena zerknęła ponad barierką podestu, patrząc, jak podchodzi do Terri. Zmarnowała okazję. Teraz miał dziecko. Mogła stawić mu czoło na schodach. Powinna była go wtedy załatwić. Dlaczego, do kurwy nędzy, posłuchała Jeffrey'a? Powinna była tylko wyskoczyć zza rogu i opróżnić magazynek, strzelając w pierś tego drania.

– Między wiedzą o tym, jak się posługiwać rewolwerem, a rzeczywistym posłużeniem się nim jest duża różnica – powiedział Paul i słowa te

dźgnęły Lenę jak nóż. Poczwała do siebie odrazę, że się zawahała. Do diabła z Jeffreyem i jego rozkazami. Wiedziała, jak ma postępować. Powinna była posłuchać swojej intuicji.

– Po prostu się odsuń, Paul – powiedziała Terri.

– Masz zamiar tego użyć? – zapytał. – Możesz trafić w Tima. – Droczył się z nią, jakby to była zabawa. – Śmiało. Zobaczmy, jakim jesteś strzelcem. – Lena wyraźnie widziała, jak z Timem w ramionach zmniejsza odległość dzielącą go od Terri. Faktycznie wystawiał dziecko na strzał, prowokując swoją siostrzenicę. – No dalej, Genie, zrób to. Zastrzel swoje dziecko. Jedno już zabiłaś, prawda? Co tam jeszcze jedno?

Terri trzęsły się ręce. Stała w rozkroku i trzymała rewolwer w wyciągniętych rękach, podpierając kolbę jedną dłonią. Z każdym krokiem Paula jej determinacja zdawała się słabnąć.

– Ty głupia kurwo – szydził. – No dalej, zastrzel mnie. – Dzieliło go od niej niespełna pół metra. – Naciśnij spust, dziewczynko. Pokaż mi, jaka jesteś twarda. Obroń się chociaż raz w swoim żalonym życiu. – W końcu wyciągnął rękę i wyrwał jej rewolwer ze słowami: – Ty głupia suko.

– Puść go – błagała. – Puść go i wyjdź.

– Gdzie są te papiery?

– Spaliłam je.

– Ty kłamliwa zdziro! – Walnął ją rewolwerem w lewy policzek.

Terri upadła na podłogę, a z jej ust trysnęła krew.

Lena poczuła, że zaczynają ją boleć zęby, jakby uderzył ją, nie Terri. Musiała coś zrobić. Musiała położyć temu kres. Nie myśląc, co robi, osunęła się na kolana, a później oparła pierś o podłogę. Zgodnie z przepisami, powinna się przedstawić i dać Paulowi możliwość rzucenia broni. Wiedziała jednak, że on za nic się nie podda. Tacy jak on nie dawali za wygraną, dopóki myśleli, że jest szansa ucieczki. Teraz miał dwie szanse: jedną na rękę, drugą na podłodze.

Lena ułożyła się w poprzek podestu, ściskając pistolet w obu dłoniach i opierając spód jego kolby na krawędzi schodów.

– No, no – powiedział Paul. Stał nad Terri, odwrócony tyłem do

Leny, opleciony w pasie nóżkami Tima.

Lena nie mogła się zorientować, gdzie znajduje się tułów chłopca, nie mogła wycelować tak, by mieć stuprocentową pewność, że kula nie dosięgnie również jego.

– Denerwujesz swojego syna.

Tim milczał. Pewnie widział już tyle razy, jak bito matkę na kwaśne jabłko, że przestało to do niego docierać.

– Co powiedziałaś policji? – zapytał Paul.

Terri podniosła ręce w obronnym geście, kiedy Paul ponownie podniósł nogę, by ją kopnąć.

– Nie! – krzyknęła, gdy jego włoski but wylądował na jej twarzy. Znowu padła na podłogę i z bolesnym jękiem, który przejął Lenę do żywego, uszło z niej powietrze.

Lena ponownie wymierzyła w niego, starając się celować jak najstaranniej. Gdyby tylko Paul przestał się poruszać. Gdyby Tim się nieco odchylił, mogłaby zakończyć to wszystko. Paul nie miał pojęcia, że ona tam jest. Leżałby na ziemi, zanim zdałby sobie sprawę z tego, co go uderzyło.

– No dalej, Terri – powiedział Paul. Chociaż nie wykonała żadnego ruchu, który wskazywałby, że chce się podnieść, znowu podniósł nogę i wbił w jej plecy. Usta Terri rozchyliły się i wydobył się z nich jęk.

– Co im powiedziałaś? – powtórzył swoją mantrę. Lena widziała, jak przystawia rewolwer do głowy Tima, i opuściła swój pistolet, wiedząc, że nie może podjąć tego ryzyka. – Wiesz, że go zastrzelę. Wiesz, że rozbryzgam jego mały mózdzek po całym domu.

Terri z trudem podniosła się na kolana. Złożyła ręce jak w błagalnej modlitwie:

– Proszę, proszę. Puść go. Proszę.

– Co im powiedziałaś?

– Nic – odparła. – Nic!

Tim zaczął płakać i Paul go uciszył:

– Teraz bądź cicho, Tim. Bądź silnym mężczyzną dla wujka Paula.

– Proszę – błagała Terri.

Kątem oka Lena dostrzegła jakiś ruch. W drzwiach pokoju dziecięcego stała Rebecca. Lena pokręciła głową, a kiedy dziewczyna się nie ruszyła, przybrała srogą minę, nakazując jej energiczną pantomimą powrót do kryjówki.

Kiedy ponownie spojrzała na hol, zobaczyła, że Tim oparł główkę na ramieniu Paula. Kiedy ujrzał na szczycie schodów Lenę z pistoletem, jego ciało stężało. Ich spojrzenia się splotły.

Paul obrócił się bez ostrzeżenia z podniesionym rewolwerem i oddał strzał w kierunku jej głowy.

Na huk wystrzału Terri krzyknęła, a Lena przekręciła się na bok, pokładając w Bogu nadzieję, że odsunęła się z linii ognia, kiedy rozległ się następny wystrzał. Prysnęły drzazgi drewna i w tej samej chwili otworzyły się z impetem drzwi frontowe, po czym zabrzmiał głos Jeffreya:

– Nie ruszaj się!

Lena słyszała to jak z oddali, a w uchu nadal dzwonił jej huk wystrzału. Coś spływało jej po policzku, nie była pewna, czy to pot, czy krew. Spojrzała na dół. W holu stał Jeffrey z pistoletem wymierzonym w prawnika. Paul przyciskał Tima do piersi, a do jego skroni przyłożył rewolweru.

– Puść go – rozkazał Jeffrey, a jego wzrok pobiegł w stronę Leny.

Lena podniosła rękę do głowy i rozpoznała dotykiem lepłą krew. Miała zakrwawione ucho, ale nie czuła bólu.

Terri lamentowała, przyciskając ręce do brzucha i błagając Paula, by uwolnił jej dziecko. Brzmiało to tak, jakby się modliła.

– Opuść broń – powiedział Jeffrey.

– Nic z tego – odparł tamten.

– Nie masz dokąd uciec – rzekł Jeffrey, spoglądając na Lenę. – Jesteś otoczony.

Wzrok Paula powędrował za spojrzeniem Jeffreya. Lena spróbowała się podnieść, ale nie pozwolił jej na to zawrót głowy. Znowu osunęła się na kolana, a jej ręka z pistoletem zwisała bezwładnie u jej boku. Ledwie widziała na oczy.

– Wygląda, jakby potrzebowała pomocy – powiedział spokojnie

Paul.

– Proszę – błagała Terri, sprawiając wrażenie, jakby znalazła się w swoim własnym świecie. – Proszę, puść go. Proszę.

– Nie masz wyjścia – rzekł Jeffrey. – Opuść broń.

Lena poczuła w ustach metaliczny smak. Ponownie przyłożyła rękę do głowy, badając czaszkę. Nie wyczuła niczego niepokojącego, ale ucho zaczęło ją rwać. Sprawdziła delikatnie chrząstkę i odkryła, skąd się bierze krew. Nie miała górnej części ucha, może z pół centymetra. Po-cisk musiał ją musnąć.

Usiadła na piętach, starając się odzyskać wyraźne widzenie. Patrzyła na nią Terri, niemal wwiercając się w nią wzrokiem, błagając ją, by zrobiła coś, żeby to przerwać.

– Pomóż mu – rzekła błagalnym tonem. – Proszę, pomóż mojemu dziecku.

Lena starła strużkę krwi z oka, dostrzegając w końcu, co było pod wybrzuszeniem marynarki Paula. Telefon komórkowy. Ten sukinsyn miał przyczepiony do paska telefon komórkowy.

– Proszę – skamlała Terri. – Leno, proszę.

Lena wymierzyła pistolet w głowę Paula.

– Opuść to. – W gardle czuła palącą nienawiść.

Paul obrócił się z Timem na rękę. Spojrzał na Lenę, oceniając sytuację. Widziała, że nie może uwierzyć, iż grozi mu kobieta, i to sprawiło, że znienawidziła go jeszcze bardziej.

– Opuść to, ty sukinsynu. – W jej głosie brzmiała śmiertelna groźba.

Po raz pierwszy wyglądał na zdenerwowanego.

– Opuść broń – powtórzyła Lena, trzymając pewnie rękę, kiedy podniosła się na nogi. Gdyby była pewna strzału, zabiłaby go na miejscu, wpakowałaby mu w głowę cały magazynek, waliłaby do niego, dopóki na jego karku nie zostałby tylko sterczący kikut kręgosłupa.

– Zrób to, Paul – powiedział Jeffrey. – Opuść rewolwer.

Paul opuścił powoli broń, ale zamiast pozwolić jej upaść na podłogę, skierował lufę w kierunku Terri. Wiedział, że dopóki zasłania się Timem jak tarczą, nie zaczną do niego strzelać. Wymierzenie broni w Terri było

jeszcze jednym sposobem na zapewnienie mu panowania nad sytuacją.

– Myślę, że sami powinniście posłuchać waszej rady – powiedział.

Terri siedziała na podłodze, wyciągając ręce do synka.

– Nie rób mu krzywdy, Paul – błagała. Tim próbował się wyrwać, ale Paul mocno go trzymał. – Proszę, nie rób mu krzywdy.

– Odłóżcie broń. Już. – Paul cofał się ku drzwiom.

Jeffrey patrzył na niego i przez parę sekund nie reagował. W końcu położył pistolet na podłodze i podniósł ręce do góry, pokazując, że są puste.

– Wsparcie jest w drodze.

– Nieszybko tu będą – odparł Paul.

– Nie rób tego, Paul – powiedział Jeffrey. – Zostaw go tutaj.

– Żebyście za mną pojechali? – zadrwił Paul, poprawiając Tima na rękę. Dziecko uświadomiło sobie, co się dzieje, i jego oddech stał się ciężki, jakby z trudem łapało powietrze. Paul cały czas przysuwał się do drzwi, nie zwracając uwagi na malca. – Nie sędzę. – Podniósł wzrok na Lenę. – Twoja kolej, detektywie.

Lena czekała na skiniecie Jeffrey'a, zanim ukucnęła, by położyć pistolet na podłodze.

Oddech Tima stał się jeszcze cięższy i z jego ust zaczął się wydobywać świszczący dźwięk, kiedy starał się wciągnąć powietrze.

– Będzie dobrze – wyszeptała Terri, cal po calu zbliżając się do nich, na kolanach. Wyciągnęła rękę i dotknęła koniuszkami palców stopy synka. Chłopiec już charczał, a jego wątła pierś unosiła się i opadała. – Tylko oddychaj.

– Nie próbujcie za mną jechać – rzucił Paul, który był już prawie za drzwiami.

– Nie weźmiesz tego dziecka – rzekł Jeffrey.

– No to patrz. – Ruszył na zewnątrz, ale Terri złapała Tima za stopę i zatrzymała ich. Paul przycisnął do jej czoła lufę rewolweru. – Odejdź – ostrzegł, a Lena zamarła na schodach, nie będąc pewna, do kogo to mówi. Zeszła jeszcze jeden stopień, kiedy Paul powiedział ostrzegawczo do Terri: – Odsuń się.

– On ma astmę...

– Nic mnie to nie obchodzi – warknął Paul. – Odsuń się.

– Mama cię kocha – szeptała bez przerwy Terri, nie zwracając uwagi na groźby Paula i trzymając kurczowo stopę Tima. – Mama tak bardzo cię kocha...

– Zamknij się – syknął Paul. Starał się uwolnić, ale Terri mocno zaciśnęła dłoń wokół nóżki Tima. Paul podniósł rewolwer i trzasnął jego kolbą w głowę Terri.

Jednym płynnym ruchem Jeffrey złapał swój pistolet i wycelował go w pierś Paula.

– Zostań tam.

– Dziecko – powiedziała Terri. Zachwiała się, ale pozostała na kolanach, uczeplona nóżki Tima. – Mama jest tutaj, dziecko. Mama jest tutaj.

Tim zsiniał i szczął zębami, jakby było mu zimno. Paul starał się oderwać od jego matki, ale ona mocno trzymała, mówiąc do synka:

– ...wystarczy ci mojej łaski...

– Puść. – Paul starał się wyrwać, ale nie puszczała nóżki syna. – Terri... – Paul wyglądał na spanikowanego, jakby przywarło do niego jakieś wściekłe zwierzę. – Terri, mówię poważnie.

– Moc bowiem w słabości się doskonali.

– Puść, do cholery! – Paul znowu uniósł rewolwer i uderzył ją jeszcze brutalniej. Terri poleciała na plecy, ale upadając, wyciągnęła drugą rękę i złapała go za koszulę. Pociągnęła za nią, usiłując utrzymać pionową pozycję.

Jeffrey miał Paula na muszce, ale nawet z tak bliskiej odległości nie mógł zaryzykować strzału. Między nim a celem był chłopiec. Miał ten sam problem co Lena.

– Terri – spróbowała Lena, jakby mogła jej jakoś pomóc. Zeszła na najniższy stopień, ale mogła tylko patrzeć, jak Terri czepia się Tima, przyciskając do jego nóżki krwawiące czoło. Powieki chłopca trzepotały. Miał sine usta i upiornie bladą twarz, a jego płuca walczyły o powietrze.

– Zostań tam, Paul – powiedział ostrzegawczo Jeffrey.

– ...Ileokroć niedomagam – szepnęła Terri – tylekroć jestem mocny.

Paul usiłował się wyrwać, ale Terri nadal go trzymała. Podniósł rewolwer wyżej i machnął nim z całej siły, ale kobieta w ostatniej chwili uchyliła głowę. Broń odbiła się od jej policzka, uderzyła w obojczyk i ześlizgnęła mu się w dłoni. Wypaliła prosto w twarz Terri. Ta ponownie się zachwiała, ale jakimś cudem utrzymała pozycję pionową, nadal trzymając Paula i swojego synka. W jej żuchwie ziała dziura, zwisały potrzaśkane kości. Z otwartej rany lała się krew, rozpryskując się po płytkach podłogi, a ranna odruchowo zacieśniła uchwyt na koszuli Paula, zostawiając krwawe ślady rąk na jej bieli.

– Nie – powiedział Paul. Dał krok do tyłu, potknął się. Starał się od niej uciec. Był przerażony tym, co widział, jego mina wyrażała mieszaninę strachu i odrazy. Zszokowany, upuścił rewolwer i o mało nie zrzucił Tima na ziemię, kiedy opadł na balustradę werandy.

Terri nadal go trzymała, używając resztek sił, które jej pozostały. W jego koszulę wsiąkała krew, kiedy padając na niego, pociągnęła go na ziemię. Nadal ciągnęła go za koszulę, czołgając się do syna. Tim był trupio blady, oczy miał zamknięte. Terri położyła głowę na jego plecach, odwracając od niego zmiażdżoną część twarzy.

Jeffrey odrzucił kopnięciem rewolwer poza zasięg dłoni Paula, a potem wyciągnął dziecko spod matki. Położył Tima na podłodze i zaczął reanimację.

– Lena – powiedział, potem krzyknął: – Lena!

Otrząsnęła się z transu, a jej ciało zaczęło funkcjonować automatycznie, kiedy otworzyła telefon i wezwała karetkę pogotowia. Ukłękła obok Terri i przyłożyła palce do jej szyi. Wyczuła słaby puls i odgarnęła jej włosy ze zmiażdżonej twarzy.

– Nic ci nie będzie – powiedziała.

Paul usiłował się wydobyć spod niej, ale Lena warknęła:

– Jeśli choćby głośnej odetchniesz, zabiję cię.

Paul skinął głową. Trzęsły mu się wargi, kiedy spojrzał z przerażeniem na głowę Terri, leżącą na jego kolanach. Nigdy wcześniej nie zabił nikogo z tak bliska, zawsze odgradzał się od brudnej rzeczywistości swoich czynów. Pocisk przeszył bok twarzy Terri i wyszedł u nasady

karku. W skórze utkwiły czarne drobiny spalonego prochu. Jej lewy policzek był w strzępach, przez dziurę widać było język. Pogruchotane kości mieszały się z krwią i substancją szarą. We włosach utkwiły szczątki tylnych zębów trzonowych. Lena przybliżyła twarz do jej twarzy i powiedziała:

– Terri, po prostu czekaj.

Powieki Terri zatrzepotały i otworzyły się. Oddychała płytko, starając się coś powiedzieć.

– Terri?

Lena widziała jej język poruszający się w ustach, trzęsącą się z wysiłku białą kość.

– Już dobrze – starała się ją ukoić Lena. – Pomoc jest w drodze. Czekaj.

Terri poruszała wolno szczęką w rozpaczliwym wysiłku, by coś powiedzieć.

– Ja... to zrobiłam. – Te słowa kosztowały ją wszystko.

– Tak, zrobiłaś to – zapewniła ją Lena, biorąc ją za rękę, ostrożnie, by nie wyrzucić jej krzywdy.

Trudno było ocenić skutki urazu kręgosłupa, ale im wyższe partie zostały uszkodzone, tym większe było spustoszenie. Nie wiedziała nawet, czy Terri czuje jej dotyk, ale musiała się czegoś ucześcić.

– Trzymam cię za rękę, Terri – powiedziała. – Nie puszczaj.

– No dalej, Tim – wymamrotał Jeffrey i słyszała, jak liczy, uciskając klatkę piersiową chłopca, starając się, by jego serce zaczęło znowu bić.

Oddech Terri stał się wolniejszy. Znowu zatrzepotały jej powieki.

– Ja... to... zrobiłam.

– Terri? – zapytała Lena. – Terri?

– Oddychaj, Tim – nalegał Jeffrey. Nabrał powietrza i wydmuchnął je w bezwładne usta Tima.

Na wilgotnych wargach Terri pojawiły się pęcherzyki jasnoczerwonej krwi. Z jej piersi dobiegały bulgocące dźwięki, a rysy twarzy jakby się rozmazały.

– Terri? – rzekła błagalnie Lena, trzymając ją za rękę, starając się

tchnąć w nią życie. W oddali usłyszała syrenę. Wiedziała, że to wsparcie; karetka pogotowia nie dotarłaby tak szybko.

Mimo to skłamała.

– Słyszysz to? – zapytała, ściskając rękę Terri najmocniej, jak mogła.

– Pogotowie jest w drodze, Terri.

– No dalej, Tim – zachęcał chłopca Jeffrey. – No dalej.

Terri zamrugnęła powiekami i Lena zorientowała się, że słyszy zawożenie syreny, wie, że nadchodzi pomoc. Odetchnęła gwałtownie.

– Zro... zrobiłam...

– Tysiąc jeden, tysiąc dwa. – Jeffrey liczył uciski.

– Zro... zrobiłam...

– Terri, mów do mnie – prosiła Lena. – No dalej, dziewczyno. Co zrobiłaś? Powiedz mi, co zrobiłaś.

Terri usiłowała przemówić, ale tylko kaszlnęła słabo, spryskując twarz Leny mgiełką krwi. Lena nie cofnęła się, była tuż przy niej, starała się utrzymać z nią kontakt wzrokowy, żeby Terri nie odeszła.

– Powiedz mi – rzekła Lena, szukając wzrokiem jakiejś oznaki, że Terri wyzdrowieje. Musiała skłonić ją do mówienia, do tego, by nie przestawała walczyć. – Powiedz mi, co zrobiłaś.

– Ja...

– Co?

– Ja...

– Dalej, Terri. Nie przestawaj. Nie poddawaj się teraz. – Lena usłyszała, jak radiowóz z piskiem opon zatrzymał się na podjeździe. – Powiedz mi, co zrobiłaś.

– Ja... – zaczęła Terri. – Ja... się...

– Co zrobiłaś? – Lena poczuła na policzkach gorące łzy, kiedy osłabł uścisk, w którym Terri trzymała jej dłoń. – Nie przestawaj, Terri. Powiedz mi, co zrobiłaś.

Jej usta wykrzywił skurcz, prawie tak, jakby chciała się uśmiechnąć, ale nie wiedziała, jak to zrobić.

– Co zrobiłaś, Terri?

– Ja... się... – kaszlnęła, rozsiewając następną mgiełkę krwi... – wy-

rwałałam.

– O to chodzi – powiedział Jeffrey, kiedy Tim zrobił gwałtowny wdech, chwytając pierwszy haust powietrza. – Wspaniale, Tim. Oddychaj.

Z kącika ust Terri pociekła strużka krwi, tworząc na jej policzku linię, jakby narysowaną przez dziecko na kartce papieru jaskrawą kredką. To, co pozostało z jej szczęki, opadło. Jej oczy stały się szkliste.

Umarła.

Lena wyszła z komisariatu około dziewiątej wieczorem. Czowała się tak, jakby od tygodni nie była w domu. Czowała się słaba, bolała ją każdy mięsień, jakby przebiegła tysiąc mil. Po zastrzyku, który dali jej w szpitalu, by zszyć ranę po kuli wystrzelonej przez Paula, miała nadal zdrętwiałe ucho. Odstrzelony kawałek zakryje włosami, ale wiedziała, że za każdym razem, kiedy spojrzy w lustro, za każdym razem, kiedy dotknie tej blizny, przypomni sobie Terri Stanley, wyraz jej twarzy, ten prawie uśmiech, kiedy odchodziła z tego świata.

Chociaż nie było żadnego widzialnego śladu tego, Lena czowała się tak, jakby nadal miała na sobie – we włosach, pod paznokciami – krew Terri. Bez względu na to, co robiła, by się jej pozbyć, czuła ją na sobie, czuła jej zapach i smak. Ta krew była ciężka jak wina i miała smak gorzkiej porażki. Nie pomogła tej kobiecie. Nie zrobiła nic, by ją obronić. Terri miała rację – obie tonęły w tym samym oceanie.

Kiedy była już blisko domu, zadzwonił jej telefon komórkowy. Sprawdziła na ekranie numer dzwoniącego, modląc się, by Jeffrey nie wzywał jej znowu do komisariatu. Spojrzała spod zmrużonych powiek na numer, nie rozpoznając go. Pozwoliła, by telefon zadzwonił jeszcze parę razy, zanim nagle dotarło do niej, czyj to numer. Lu Mitchell. Po tylu latach prawie go zapomniała.

O mało nie upuściła telefonu, starając się go otworzyć, a potem zakląła, bo przyłożyła go do zranionego ucha. Przełożyła aparat do drugiej ręki.

– Halo? – Nie usłyszała żadnej odpowiedzi i zadrżało jej serce, kiedy pomyślała, że wiadomość została przekazana na pocztę głosową.

– Lena? – usłyszała głos Grega, gdy miała już przerwać połączenie.

– Tak – odparła, starając się nie dać poznać, że zaparło jej dech. – Cześć. Jak leci?

– Słyszałem w wiadomościach o tej kobiecie – powiedział. – Byłaś tam?

– Tak – rzekła, zastanawiając się, ile czasu minęło, odkąd ktoś zapytał ją o to, co robiła w pracy. Ethan był zbyt wielkim egocentrykiem, a Nan zbyt delikatna.

– Nic ci nie jest?

– Widziałam, jak umiera – powiedziała Lena. – Trzymałam ją za rękę i patrzyłam, jak umiera.

Usłyszała jego oddech i pomyślała o Terri, o tym, jak brzmiały jej ostatnie oddechy.

– To dobrze, że byłaś przy niej – powiedział.

– No, nie wiem.

– Nie – nie zgodził się z nią. – Dobrze, że ktoś przy niej był.

– Nie jestem zbyt dobrym człowiekiem, Greg – powiedziała, zanim zdążyła się ugryźć w język.

I znowu słyszała tylko jego oddech.

– Popełniłam parę naprawdę dużych błędów.

– Każdy popełnia.

– Nie takie jak ja – powiedziała. – Nie takie jak moje.

– Chcesz o tym porozmawiać?

Najbardziej na świecie pragnęła o tym porozmawiać, powiedzieć mu o wszystkim, zszokować go odrażającymi szczegółami. Ale nie mogła. Bardzo go potrzebowała, potrzebna jej była świadomość, że jest przy tej ulicy i trzyma wełnę, kiedy jego mama robi mu kolejny brzydki szalik.

– No tak – powiedział i Lena przemogła się, by jakoś wypełnić tę ciszę: – Podoba mi się ten kompakt.

– Przesłuchałaś go? – spytał podekscytowanym tonem.

– Tak – odparła, starając się usilnie, by w jej głosie zabrzmiała choć odrobina radości. – Naprawdę podoba mi się ta druga piosenka.

– Nazywa się Oldest Story in the World.

– Wiedziałabym, gdybyś spisał mi tytuły.

– Właśnie dlatego idź i kup sobie tę płytę, ty głupku. – Zapomniała, jak to jest się przekomarzać, i poczuła, że ciężar, który spoczywał jej na piersi, trochę zelżał. – Informacje na wkładce są świetne – ciągnął. – Mnóstwo zdjęć tych dziewczyn. Ann wygląda niezwykle pociągająco. – Zachichotał z samego siebie. – Ale Nan też nie wyrzuciłbym z łóżka, chociaż wiesz, że wolę brunetki.

– Tak. – Poczowała, że sama się uśmiecha, i pragnęła, by mogli tak rozmawiać bez końca, by nie musiała myśleć o umierającej na jej oczach Terri, o jej dzieciach, pozostawionych przez jedyną osobę na świecie, która potrafiła je chronić. Teraz pozostał im tylko Dale – Dale i strach przed tym, by nie zginąć tak jak mama.

Wypchnęła to ze swojego mózgu i powiedziała:

– Dobra jest też dwunasta piosenka.

– To Down the Nile – rzekł Greg. – Od kiedy lubisz ballady?

– Od... – Nie wiedziała, od kiedy. – Nie wiem. Ta mi się po prostu podoba. – Zaparkowała na podjeździe za toyotą Nan.

– Move On jest odjazdowa – mówił Greg, ale słuchała go z roztargnieniem. Światło na werandzie było włączone. O poręcz schodów oparty był rower Ethana.

– Lee?

– Tak? – Jej uśmiech zniknął.

– Dobrze się czujesz?

– Tak – szepnęła. W jej głowie trwała gorączkowa gonitwa myśli. Co tutaj robi Ethan? Co robi z Nan?

– Lee?

Z trudem przełknęła ślinę, zmuszając się do mówienia.

– Muszę kończyć, Greg. Dobrze?

– Coś się stało?

– Nie – skłamała, czując się tak, jakby za moment miało jej pęknąć serce. – Wszystko w porządku. Po prostu nie mogę teraz rozmawiać. – Zakończyła rozmowę, zanim zdążył coś odpowiedzieć, rzuciła telefon

na fotel pasażera i otworzyła drzwi ręką, która odmawiała jej posłuszeństwa.

Nie bardzo wiedziała, jak weszła na schody, ale stwierdziła, że stoi z ręką na klamce, a dłonie ma śliskie od potu. Wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi.

– Cześć! – Nan poderwała się z fotela, na którym siedziała, i obeszła go od tyłu, jakby potrzebowała osłony. Miała szeroko otwarte oczy i mówiła nienaturalnie wysokim głosem. – Właśnie czekaliśmy na ciebie. O mój Boże! Twoje ucho! – Przyłożyła rękę do ust.

– Jest lepiej, niż wygląda.

Ethan siedział na kanapie, z rękami rozłożonymi na jej oparciu i szeroko rozstawionymi nogami, jakby obejmował we władanie cały pokój. Nie odezwał się, ale nie musiał. Z każdego pora jego skóry emanowała groźba.

– Nic ci nie jest? – dopytywała się Nan. – Leno? Co się stało?

– Zdarzyło się to i owo – odparła Lena, nie spuszczać wzroku z Ethana.

– W wiadomościach niewiele powiedzieli – rzekła Nan.

Szła powoli w stronę kuchni; ze zdenerwowania z trudem trzymała się na nogach. Ethan został tam, gdzie siedział. Miał zaciśniętą szczękę i napięte mięśnie. Przy jego nogach Lena zobaczyła plecak i zaczęła się zastanawiać, co w nim ma. Pewnie coś ciężkiego. Coś, czym może ją pobić.

– Chcecie herbaty? – zaproponowała Nan.

– Wszystko w porządku – odpowiedziała jej Lena, po czym rzekła do Ethana: – Chodźmy do mojego pokoju.

– Moglibyśmy pograć w karty, Lee. – Głos Nan drżał. Była wyraźnie przestraszona, ale się nie poddawała. – Może pogralibyśmy trochę w karty?

– Wszystko w porządku – odparła Lena, wiedząc, że musi zrobić wszystko, co w jej mocy, by Nan nie stała się żadna krzywda. Lena sama to na siebie sprowadziła i nie mogła dopuścić do tego, by odbiło się to na Nan. Była to winna Sybil. Była to winna sobie.

Nan spróbowała jeszcze raz:

– Lee?

– W porządku, Nan. – Znowu zwróciła się do Ethana: – Chodźmy do mnie.

Najpierw w ogóle się nie poruszył, dając jej tym samym znać, że to on jest panem sytuacji. Kiedy się w końcu podniósł, zrobił to powoli, wyciągając ręce przed siebie i udając, że ziewa.

Lena odwróciła się do niego plecami, ignorując ten pokaz. Poszła do swojego pokoju i usiadła na łóżku, czekając, modląc się, by zostawił Nan w spokoju.

Do sypialni wszedł powoli Ethan, patrząc na nią podejrzliwie.

– Gdzie byłaś? – zapytał, zamykając z cichym stuknięciem drzwi. Ręce miał opuszczone, w jednej trzymał swój plecak.

Wzruszyła ramionami.

– W pracy.

– Czekałem na ciebie. – Z łoskotem opuścił plecak na podłogę.

– Nie powinieneś tu przychodzić – powiedziała.

– Ach tak?

– Zadzwoiłabym do ciebie – skłamała. – Miałam zamiar później wpaść.

– Wgniotłaś obręcz przedniego koła – rzekł. – Nowa kosztowała mnie osiemdziesiąt baksów.

Wstała i podeszła do biurka.

– Zwrócę ci – powiedziała, otwierając górną szufladę. Trzymała pieniądze w starym pudełku po cygarach. Obok niego leżała czarna plastikowa kasetka z miniglockiem. Ojciec Nan był gliniarzem i po tym, jak zamordowano Sybil, nalegał, by córka wzięła tę broń. Nan dała ją Lenie, a Lena włożyła ją do szuflady, by na wszelki wypadek mieć pistolet w rezerwie. W nocy jej służbowy pistolet leżał zawsze na nocnej szafce, ale mogła zasnąć tylko dzięki temu, że wiedziała, iż w szufladzie, w otwartej kasetce, leży drugi glock.

Teraz mogła go wziąć. Mogła go wziąć, zrobić z niego użytek i w końcu pozbyć się Ethana ze swojego życia.

– Co robisz? – zapytał.

Lena wyjęła pudełko po cygarach i wsunęła z powrotem szufladę. Położyła pudełko na toalecie i otworzyła jego wieko. Pojawiła się przed nią duża dłoń Ethana i z powrotem zamknęła wieko.

Stał za nią, ledwie dotykając ją swoim ciałem. Poczowała na szyi jego oddech.

– Nie chcę twoich pieniędzy.

Odchrząknęła, żeby móc przemówić.

– A czego chcesz?

– Wiesz, czego chcę. – Przysunął się bliżej.

Czuła, jak jego kutas twardnieje, gdy przycisnął go do niej. Wyciągnął ręce i położył dłonie na toalecie, tak że Lena znalazła się w potrzasku.

– Nan nie chciała mi powiedzieć, kto jest tym chłopakiem od kompaktu.

Lena zagryzła wargę, czując ból, kiedy pociekła z niej krew. Pomyślała o Terri Stanley, o tym, jak zapukali tego ranka do jej drzwi, jak trzymała sztywno wargę, kiedy mówiła, by nie otworzyła się na niej świeżo zablizniona rana. Terri nigdy już nie będzie musiała tego robić. Nigdy już nie będzie spędzała w łóżku bezsennych nocy, zastanawiając się, co robi Dale. Nigdy już nie będzie musiała się bać.

Ethan zaczął się o nią ocierać. Robiło się jej od tego niedobrze.

– Ja i Nan mieliśmy naprawdę miłą rozmowę.

– Zostaw Nan w spokoju.

– Chcesz, żebym zostawił ją w spokoju? – Jego ręka owinęła się wokół niej jak wąż i chwycił ją za pierś tak mocno, że zatopiła zęby w war-dze, żeby nie krzyknąć. – To jest moje – przypomniał jej. – Słyszysz?

– Tak.

– Nie może cię dotykać nikt oprócz mnie.

Lena zamknęła oczy, modląc się, by nie zaczęła krzyczeć, kiedy musnęła ustami jej kark.

– Zabiję każdego, kto cię dotknie. – Jeszcze mocniej zacisnął dłoń na jej piersi, jakby chciał ją oderwać. – Jeden trup więcej gównu dla mnie

znaczy – wysyczał. – Słyszysz?

– Tak. – Jej serce uderzyło mocno raz, a potem nie słyszała już jego bicia. Poczła, że drętwieje ze strachu, a potem, równie nagle, przestała czuć cokolwiek.

Odwróciła się powoli. Widziała, jak jego dłonie się zbliżają, nie po to, by ją uderzyć, lecz by czule ująć jej twarz. Zakreśliło się jej w głowie i poczuła się tak, jakby stała obok i obserwowała siebie z Ethanem. Kiedy jego usta napotkały jej wargi, nic nie czuła. Jego język był bez smaku. Jego pokryte odciskami palce nie wywoływały żadnego doznania, kiedy wsunął dłoń w jej spodnie.

W łóżku był brutalniejszy niż kiedykolwiek przedtem, jakby złościło go, że się nie opiera. Lena przez cały czas czuła się tak, jakby stała z boku, nawet kiedy wbił się w nią jak ostrze rozcinające jej wnętrzości. Zdawała sobie sprawę z tego bólu, tak jak zdawała sobie sprawę z tego, że oddycha; był to fakt, niepodlegający jej kontroli proces, który musiało przetrzymać jej ciało.

Szybko skończył i Lena, leżąc, czuła się tak, jakby została zbrukana przez psa. Przekreślił się na plecy, zadowolony z siebie. Dopiero kiedy usłyszała jego stałe, ciche pochrapywanie, poczuła, że powoli zaczynają jej z powrotem funkcjonować zmysły. Zapach jego potu. Smak jego języka. Kleista wilgoć między nogami.

Nie użył prezerwatywy.

Ostrożnie przekreśliła się na bok i poczuła, jak wycieka z niej to, co zostawił. Patrzyła, jak zegar powoli odmierza czas, najpierw minuty, potem godziny. Jedna godzina. Dwie. Odczekała, aż miną trzy godziny, zanim wstała z łóżka. Wstrzymała oddech, czekając na zmianę rytmu oddychania Ethana, kiedy kucnęła na podłodze.

Poruszała się wolno, jak w wodzie. Otworzyła górną szufladę biurka i wyjęła czarne plastikowe pudełko. Usiadła na podłodze, tyłem do Ethana, wstrzymując oddech, kiedy otwierała zamek. Jego dźwięk zabrzmiał w pokoju jak wystrzał. Starła się nie oddychać, gdy Ethan zmienił pozycję w łóżku. Zamknęła oczy, bojąc się, że poczuje jego rękę na plecach, jego palce zaciskające się na swoim gardle. Odwróciła gło-

wę, patrząc przez ramię. Leżał na boku, odwrócony twarzą w drugą stronę.

Broń była naładowana, jeden nabój z magazynka wprowadzony już do komory. Tuliła pistolet w dłoniach, czując, że staje się coraz cięższy, aż w końcu opuściła ręce na kolana. Model mini, mniejsza wersja jej broni służbowej, mógł z bliskiej odległości spowodować takie samo uszkodzenie. Lena znowu zamknęła oczy, czując mgiełkę krwi, którą Terri rozpyliła na jej twarzy, słysząc jej ostatnie słowa, niemal triumfalne: Ja się wyrwałam.

Lena gapiała się na pistolet, czując w dłoniach chłód czarnego metalu. Odwróciła się, by się upewnić, że Ethan nadal śpi.

Jego plecak leżał na podłodze, tam, gdzie go rzucił. Zaciśnęła zęby, rozsuwając zamek. Jego dźwięk rozbrzmiewał echem w jej piersi. Plecak był ładny, z wyposażenia armii szwajcarskiej, z paroma dużymi kieszeniami i mnóstwem miejsca. Ethan trzymał w nim wszystko – swój portfel, książki do szkoły, nawet ubranie, w którym ćwiczył w sali gimnastycznej. Nie zorientuje się, że jest nieco cięższy.

Włożyła rękę do środka, rozpinając dużą, tylną kieszeń wewnętrzną. Były tam ołówki, parę piór i nic więcej. Ukryła w niej pistolet, zaciągnęła zamek i zostawiła plecak na podłodze.

Wczołgała się do łóżka, podnosząc się na rękach, a potem, cał po calu, ułożyła się koło Ethana.

Wypuścił głośno powietrze, niemal prychnął, i przekręciwszy się, przerzucił ramię przez jej pierś. Odwróciła głowę, by widzieć zegar, i zaczęła odliczać minuty do czasu, gdy włączy się budzik i Ethan na zawsze zniknie z jej życia.

SOBOTA

Sara zacisnęła dłoń na smyczy Boba, kiedy poderwał nos, kierując go w stronę pola przy drodze. Był psem myśliwskim i zupełnie nie pannał nad pragnieniem ścigania wszystkiego, co biegło, i Sara wiedziała, że gdyby spuściła go ze smyczy, pewnie już nigdy więcej by go nie zobaczyła.

Jeffrey, który równie mocno trzymał smycz Billy'ego, również zerknął na pole.

– Królik?

– Pręgowiec – zgadła Sara, prowadząc Boba na drugą stronę drogi. Łatwo się temu poddał, bo również lenistwo było genetycznym imperatywem u chartów, i sunął sprężysto drogą, a jego szczupły grzbiet falował przy każdym kroku.

– Zimno ci? – Jeffrey objął Sarę w pasie.

– Mhm – powiedziała, zamykając oczy przed blaskiem słońca. Obydwoje głośno zaklęli, kiedy rano, za pięć siódma, obudził ich telefon, ale zaproszenie Cathy na śniadanie, na które miały być naleśniki, przekonało ich, że warto zwlec się z łóżka. Oboje mieli mnóstwo pracy w ten weekend, ale Sara dowodziła, że będą do niej lepiej przygotowani, mając pełne żołądki.

– Tak sobie myślę – powiedział Jeffrey – że może powinniśmy postarać się o jeszcze jednego psa.

Zerknęła na niego z ukosa. Bob niemal skonał rano na zawał serca,

kiedy Jeffrey odkręcił prysznic, nie sprawdzwszy przedtem, czy pies śpi na swoim zwykłym miejscu.

– Albo kota.

Roześmiała się głośno.

– Nie lubisz nawet tego, którego teraz mamy.

– Ba! – Wzruszył ramionami. – Może polubiłbym nowego, którego byśmy razem wybrali.

Sara położyła głowę na jego ramieniu. Wbrew temu, co uważał Jeffrey, nie zawsze potrafiła odczytać jego myśli, ale akurat teraz dokładnie wiedziała, czego on naprawdę chce. Sposób, w jaki poprzedniego wieczoru mówił o Terri i jej synku, uświadomił Sarze coś, czego nigdy nie brała nawet pod uwagę. Przez wiele lat traktowała to, że nie może mieć dzieci, jako osobistą stratę, ale teraz wiedziała, że była to również strata Jeffreya. Nie potrafiła wyjaśnić dokładnie, dlaczego tak jest, ale wiedza o tym, że jest to dla niego równie głęboka potrzeba jak dla niej, sprawiała, że wydawało się to jej bardziej czymś, co można przezwyciężyć, niż porażką.

– Będę miał oko na te dzieci – powiedział i wiedziała, że ma na myśli dzieci Terri. – Pat ostro się do niego zabierze.

Sara wątpiła, by brat tego człowieka miał na to jakiś wpływ, więc zapytała:

– Czy Dale będzie się nimi opiekował?

– Nie wiem – odparł Jeffrey. – Kiedy uciskałem jego pierś... – zaczął i wiedziała, że źle się czuje z powodu tego, że stosując reanimację, złamał Timowi Stanleyowi dwa żebra. – Są tacy mali. Jego kości są jak zapalki.

– To lepiej niż pozwolić mu umrzeć – powiedziała Sara. Potem, uświadomiwszy sobie, jak surowo musiały zabrzmieć dla niego jej słowa, dodała: – Złamane żebra się zrastają, Jeffrey. Uratowałeś Timowi życie. Zrobiłeś wszystko prawidłowo.

– Ucieszyłem się, widząc tę karetkę.

– Tim za parę dni wyjdzie ze szpitala – zapewniła, głaszcząc go po plecach, by złagodzić jego zmartwienia. – Zrobiłeś wszystko prawidłowo.

wo.

– Przypomniało mi to Jareda – powiedział i jej ręka znieruchomiała. Przez lata traktował Jareda jako kogoś w rodzaju swojego siostrzeńca i dopiero niedawno się dowiedział, że w rzeczywistości jest on jego synem. – Pamiętam, że kiedy był mały, podrzucałem go do góry i łapałem. Boże, on to uwielbiał. Tak się śmiał, że aż dostawał czkawki.

– Jestem pewna, że Nell miała ochotę cię zabić – rzekła Sara, myśląc, że matka Jareda musiała przez cały czas wstrzymywać oddech.

– Kiedy go łapałem, czułem pod palcami jego żebra. Tak wspaniale się śmiał. Uwielbiał być wysoko w powietrzu. – Rozchylił usta w półuśmiechu, myśląc głośno: – Może któregoś dnia zostanie pilotem.

Szli dalej w milczeniu. Słysząc było tylko ich kroki i dzwonienie metalowych blaszek identyfikacyjnych psów. Sara przycisnęła głowę do ramienia Jeffreya, pragnąc tylko być z nim w tej chwili. Objął ją mocniej, a ona spojrzała na psy, zastanawiając się, jakie to byłoby uczucie pchać wózek, zamiast trzymać smycz.

W wieku sześciu lat Sara powiedziała przemądrzale matce, że będzie miała dwójkę dzieci, chłopca i dziewczynkę, i że chłopiec będzie miał jasne włosy, a dziewczynka brązowe. Cathy droczyła się z nią na temat tego wczesnego pokazu determinacji jeszcze wtedy, gdy Sara miała dwadzieścia parę lat. Gdy była w college'u, potem na uczelni medycznej, a w końcu na praktyce, było to stałym rodzinnym żartem, zwłaszcza w obliczu faktu, że najogólniej mówiąc, mogła się pochwalić tylko nielicznymi randkami. Pokpiwali z jej przedwczesnej dojrzałości przez wiele lat, a potem to droczenie się nagle ustało. W wieku dwudziestu sześciu lat Sara stała się bezpłodna. W wieku dwudziestu sześciu lat straciła dziecięce złudzenia, że wystarczy czegoś bardzo chcieć, by stało się to możliwe.

Idąc z głową opartą na ramieniu Jeffreya, Sara pozwoliła sobie na niebezpieczną zabawę, która polegała na tym, że zastanawiała się, jakie byłyby ich dzieci. Jared miał ciemną karnację Jeffreya i intensywnie niebieskie oczy matki. Czy ich dziecko miałoby kasztanową czuprynę, rude włosy, które byłyby skręcone jak sprężyny? Czy może miałby czarną,

niemal granatową grzywę Jeffreya, gęstą i falującą, włosy, które tak uwielbiała przeczesywać palcami? Czy byłby miły i łagodny jak jego ojciec i wyrósł na mężczyznę, który pewnego dnia dałby jakiejś kobiecie szczęście, o jakim nawet nie mogła marzyć.

Pierś Jeffreya uniosła się i opadła, kiedy zaczerpnął głęboko powietrza, a potem je wypuścił. Sara wytarła oczy, mając nadzieję, że nie dostrzegł, jaka jest głupia.

– A jak Lena? – zapytała.

– Dałem jej dzień wolnego. – Jeffrey też przetarł oczy, ale nie mogła na niego spojrzeć. – Zasluguje na medal za to, że w końcu posłuchała rozkazu.

– Pierwszy raz jest zawsze wyjątkowy.

Przyjął ten żart z cierpkim śmiechem.

– Boże, ona jest w takim beznadziejnym stanie.

Zacisnęła ramię wokół jego pasa, myśląc, że oni wcale nie są w dużo lepszym stanie.

– Wiesz, że nie możesz jej zmienić, prawda?

– Tak. – Znowu westchnął ciężko.

Po paru sekundach cmoknął na Billy'ego, przywołując go z powrotem na drogę.

– Mimo wszystko.

– Mimo wszystko – zawtórowała mu.

Odchrząknął parę razy, zanim zdołał powiedzieć:

– Jutro koło południa powinien być tutaj adwokat Paula.

– Skąd przyjeżdża?

– Z Atlanty – powiedział Jeffrey, wkładając w to słowo całą odrazę, jaką czuł do tego miasta.

Sara prychnęła, starając się odzyskać panowanie nad sobą.

– Naprawdę myślisz, że Paul Ward ma zamiar przyznać się do czegoś?

– Nie – przyznał, pociągając za smycz Billy'ego, który zatrzymał się, by obwąchać jakieś zielska. – Zamknął gębę na kłódkę, jak tylko ściągnęliśmy z niego Terri.

Sara milczała przez chwilę, myśląc o poświęceniu tej kobiety.

– Uważasz, że będzie można udowodnić te zarzuty?

– Usiłowanie porwania i użycie broni palnej udało nam się łatwo udowodnić – odparł. – Nie można z tym dyskutować, kiedy świadkami jest dwoje gliniarzy. – Potrząsnął głową. – Kto wie, jak to się potoczy? Mogę z całą pewnością dowieść, że było to zaplanowane; byłem tam. Ale nie wiadomo, jak zadecyduje ława przysięgłych... – Urwał. – Masz rozwiązany but. – Wręczył jej smycz Billy’ego i ukląkł przed nią, by związać jej sznurowadło. – Mogą go wsadzić za popełnienie morderstwa w trakcie dokonywania innego, poważnego przestępstwa i za próbę zabicia Leny. Musi się znaleźć coś, za co powędruje na długo za kraty.

– A Abby? – zapytała Sara, przyglądając się jego rękom. Pamiętała, jak pierwszy raz zasnurował jej but. Byli w lesie i nie była pewna, co do niego czuje, aż do chwili, kiedy przed nią ukląkł. Obserwując go teraz, mogła się tylko dziwić, jak mogła kiedyś nie wiedzieć, jak bardzo go potrzebuje.

– Odejdźcie. – Jeffrey odgonił Billy’ego i Boba, psy starały się chwycić zębami poruszające się sznurowadła. Skończył wiązać podwójny węzeł, a potem się wyprostował i z powrotem wziął od niej smycz. – Nie wiem, jak będzie ze sprawą Abby. Zeznanie Terri obciążało Paula, ale ona już tego nie potwierdzi. Dale raczej nie będzie się chwalił, że powiedział Paulowi, jak można użyć tych soli. – Objął ją ramieniem w pasie i przytulił, gdy ruszyli dalej. – Rebecca jest niepewnym świadkiem. Esther powiedziała mi, że jutro będę mógł z nią porozmawiać.

– Myślisz, że powie ci coś, co będzie można wykorzystać?

– Nie – przyznał. – Może powiedzieć tylko tyle, że znalazła pewne dokumenty, które zostawiła Abby. Do diabła, nie może nawet stwierdzić z całą pewnością, czy to Abby je zostawiła. Nie słyszała, co się stało Terri, bo przez cały czas była w szafie, a w sprawie tego zagrzebywania w ziemi nie może być świadkiem, bo tylko o tym słyszała. Nawet gdyby sędzia dopuścił jej zeznania, to i tak Cole zakopywał te dziewczyny. Paul miał czyste ręce. Dobrze zatarł ślady – przyznał.

– Nie wyobrażam sobie – powiedziała Sara – żeby nawet szczwany

adwokat z Atlanty był w stanie przedstawić w dobrym świetle to, że cała rodzina jego klienta chce zeznawać przeciwko niemu.

Dziwna rzecz, ale jedynie to stwarzało dla Paula prawdziwe zagrożenie. Nie tylko sfałszował podpisy członków swojej rodziny na polisach, ale zrealizował czeki wypisane na ich imiona i schował te pieniądze do kieszeni. Tylko za to oszustwo mógł siedzieć w więzieniu do starości.

– Również jego sekretarka odwołała swoje wcześniejsze zeznania – rzekł Jeffrey. – Mówi, że Paul jednak nie pracował do późna tamtego wieczoru.

– A co z tymi ludźmi, którzy zmarli na farmie? Z tymi robotnikami, na których życie Paul miał polisy?

– Może po prostu zmarli, a Paulowi dopisało szczęście – odparł Jeffrey, chociaż w to nie wierzył.

Nawet gdyby chciał Paula o to oskarżyć, to nie mógł znaleźć żadnych dowodów przestępstwa. Ciała tych dziewięciu osób zostały skremowane, a ich rodziny – jeśli w ogóle jakieś mieli – już dawno postawiły na nich krzyżyk.

– Ta sama sprawa z zabójstwem Cole’a – rzekł. – Na stoiku z kawą nie było żadnych odcisków palców oprócz jego. W pokoju były odciski Paula, ale również wszystkich innych.

– Myślę, że Cole’a spotkał sprawiedliwy koniec – powiedziała, zdając sobie sprawę z tego, że jest surowa. Zanim poznała Jeffrey’a, miała luksus postrzegania prawa w czarno-białych barwach. Wierzyła, że sądy robią, co do nich należy, a przysięgli traktują przysięgę poważnie. Życie z gliniarzem sprawiło, że wykonała zwrot o sto osiemdziesiąt stopni.

– Świetnie się spisałeś – powiedziała.

– Poczuję, że to prawda, kiedy Paul Ward znajdzie się w celi śmierci.

Sara wolałaby raczej, żeby spędził resztę życia, aż do naturalnej śmierci, za kratkami, ale nie chciała wszczynać teraz z Jeffreyem dyskusji o karze śmierci. Była to jedyna sprawa, w której – bez względu na to, jak bardzo się starał – nie potrafił jej skłonić do zmiany zdania.

Dotarli do domu Lintonów i Sara zobaczyła ojca klęczącego przed białym buickiem jej matki. Mył samochód, czyszcząc szczoteczką do zębów szprychy kół.

– Cześć, tato – powiedziała, całując go w czubek głowy.

– Twoja matka była na tamtej farmie – mruknął zrzędlawie Eddie, maczając szczoteczkę w wodzie z mydłem. Był wyraźnie niezadowolony z faktu, że Cathy złożyła wizytę jego dawnemu przyjacielowi, ale postanowił wyładować się na samochodzie. – Powiedziałem jej, żeby wzięła moją ciężarówkę, ale czy ona mnie kiedy słucha?

Sara zdawała sobie sprawę, że ojciec, jak zwykle, nie zauważa obecności Jeffreya. Powiedziała:

– Tato!

– Hę? – mruknął.

– Chciałam ci powiedzieć... – Czekala, aż na nią spojrzy. – Jeffrey i ja mieszkamy razem.

– Serio? – rzekł Eddie, powracając do czyszczenia obręczy koła.

– Myślimy, żeby wziąć jeszcze jednego psa.

– Moje gratulacje – odparł, tonem dalekim od radosnego.

– I ślub – dodała.

Szczoteczka zatrzymała się, a stojącemu obok niej Jeffreyowi odebrało z wrażenia mowę.

Eddie potarł szczoteczką plamkę smoły. Spojrzał na Sarę, potem na Jeffreya.

– Masz – powiedział, wyciągając do niego szczoteczkę. – Skoro znowu zamierzasz zostać członkiem rodziny, to musisz wziąć na siebie trochę obowiązków.

Sara wzięła od Jeffreya smycz Billy'ego, żeby mógł zdjąć kurtkę. Podała jej ją.

– Dziękuję.

Obdarzyła go swoim najśłodszym uśmiechem.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Jeffrey wziął szczoteczkę i ukląkł obok jej ojca, biorąc się z zapałem do czyszczenia szprych.

Według Eddiego najwidoczniej nie dość się przyłożył.

– Włóż w to trochę wysiłku – rzekł ojciec Sary. – Moje dziewczyny robią to lepiej.

Sara przyłożyła dłoń do ust, żeby nie zobaczyli, że się uśmiecha. Zostawiła ich samych, żeby albo się do siebie zbliżyli, albo pozabijali, i przywiązała smycze do balustrady werandy. Kiedy znalazła się na zewnątrz, z kuchni dobiegł wybuch śmiechu, skierowała się więc tam, myśląc, że wydaje się, jakby od ostatniej wizyty, którą tu złożyli, minęły lata, nie sześć dni.

Cathy i Bella znajdowały się niemal dokładnie w tym samym miejscu co poprzednio. Bella siedziała przy stole kuchennym z gazetą w ręku, a Cathy pracowała przy kuchence.

– Co się dzieje? – zapytała Sara, całując matkę w policzek i ściągając plaster bekonu z talerza.

– Wyjeżdżam – powiedziała Bella. – To moje śniadanie pożegnalne.

– Przykro mi to słyszeć – odparła Sara. – Czuję się tak, jakbym się z tobą nawet nie spotkała.

– Bo się nie spotkałaś – wytknęła jej Bella. Zbyła machnięciem ręki przeprosiny Sary. – Byłaś uwiązana w pracy.

– Gdzie zamierzasz pojechać?

– Do Atlanty – odparła Bella, puszczając do niej oko. – Utnij sobie długą drzemkę, zanim przyjedziesz do mnie w odwiedziny.

Sara przewróciła oczami.

– Mówię poważnie, cukiereczku – rzekła Bella. – Przyjedź do mnie.

– Przez jakiś czas mogę być trochę zajęta – zaczęła Sara, nie bardzo wiedząc, jak ma przekazać nowinę. Czowała głupi uśmiech na ustach, kiedy czekała, aż zwróci na nią niepodzielną uwagę.

– Z jakiego powodu? – zapytała matka.

– Postanowiłam wyjść za Jeffrey'a.

Cathy odwróciła się tyłem do kuchenki, mówiąc:

– No, trwało to dosyć długo. To cud, że cię jeszcze chce.

– Stokrotne dzięki – odparła Sara, zastanawiając się, dlaczego w ogóle zadała sobie trud, żeby im o tym powiedzieć.

– Nie zwracaj uwagi na mamę, kochanie – powiedziała Bella, wstając od stołu. – Gratulacje.

– Dziękuję ci – odparła Sara, podkreślając celowo drugie słowo, głównie z myślą o matce.

Cathy zdawała się nie zwracać na nią uwagi.

Bella złożyła gazetę i włożyła ją pod pachę.

– Zostawiam was, żebyście sobie pogadały – powiedziała. – Nie mówcie o mnie nic złego, jeśli nie będę tego słyszała.

Sara patrzyła na plecy matki, zastanawiając się, dlaczego się nie odzywa. W końcu nie mogła już dłużej znieść tego milczenia i powiedziała:

– Myślałam, że będziesz się cieszyła przez wzgląd na mnie.

– Cieszę się przez wzgląd na Jeffreya – powiedziała Cathy. – Nie spieszyło ci się.

Sara przewiesiła kurtkę Jeffreya przez oparcie krzesła Belli i usiadła. Przygotowała się na wykład o swoich wadach, więc następne słowa Cathy ją zaskoczyły.

– Bella powiedziała mi, że pojechałaś z siostrą do tamtego kościoła.

– Tak, proszę pani. – Sara zastanawiała się, o czym jeszcze ciotka powiedziała matce.

– Poznałaś Thomasa Warda?

– Tak – powtórzyła Sara, opuszczając „proszę pani”. – Wydaje się bardzo miłym człowiekiem.

Cathy stuknęła widelcem o brzeg patelni, po czym się odwróciła. Założyła ręce na piersi.

– Chcesz mnie o coś zapytać, czy wolisz użyć tchórzliwego sposobu i znowu przekazać to przez swoją ciotkę?

Sara poczuła, że na twarz wypełza jej rumieniec. Nie przemyślała tego poprzednim razem, ale matka miała rację. Zwierzyła się Belli ze swoich obaw, bo wiedziała, że ciotka przekaze je matce. Wzięła oddech, zbierając się na odwagę.

– To był on?

– Tak.

– Lev jest... – Sara szukała właściwych słów, pragnąc, by mogła przekazać to przez ciotkę. – Lev ma rude włosy.

– Jesteś lekarką? – zapytała ostro Cathy.

– No, je...

– Studiowałaś na akademii medycznej?

– Tak.

– No to powinnaś coś wiedzieć o genetyce. – Sara od dawna nie widziała, żeby matka była taka zła. – Zastanowiłaś się, jak czułby się twój ojciec, gdyby choć przez chwilę myślał to, co ty myślałaś... – Przerwała, wyraźnie starając się zapanować nad swoją złością. – Powiedziałaś ci wtedy, Saro. Powiedziałaś, że był to związek czysto emocjonalny. Nigdy nie przerodził się w fizyczny.

– Wiem.

– Okłamałaś mnie kiedyś?

– Nie, mammo.

– Złamałoby to serce twojemu ojcu, gdyby wiedział... – Celowała w Sarę palcem, ale opuściła rękę. – Czasami zastanawiam się, czy ty masz choć trochę oleju w głowie. – Odwróciła się z powrotem w stronę kuchenki i podniosła widelec.

Sara przyjęła to z takim spokojem, na jaki mogła się zdobyć, mając świadomość, że matka właściwie nie odpowiedziała na jej pytanie.

– Lev ma rude włosy – powtórzyła, nie mogąc się powstrzymać.

Cathy rzuciła widelec i odwróciła się do niej.

– Tak jak jego matka, ty idiotko!

– Czyja matka? – Do kuchni weszła Tessa, z grubą książką w dłoniach.

– Mniejsza z tym – opanowała się Cathy.

– Robisz naleśniki? – zapytała Tessa, rzucając książkę na stół. Sara przeczytała tytuł: Dzieła zebrane Dylana Thomasa.

– Nie – zakpiła Cathy. – Przemieniam wodę w wino.

Tessa rzuciła Sarze pytające spojrzenie. Sara wzruszyła ramionami, jakby to nie ona była przyczyną furii matki.

– Śniadanie będzie gotowe za parę minut – poinformowała je Cathy.

– Nakryjcie do stołu.

Tessa nie ruszyła się z miejsca.

– Prawdę mówiąc, miałam pewne plany na dzisiejszy ranek.

– Jakie plany? – zapytała Cathy.

– Powiedziałam Levowi, że wpadnę do kościoła – odparła, a Sara ugryzła się w język, by nic nie powiedzieć.

– Oni wszyscy przeżywają teraz ciężkie chwile – tłumaczyła Tessa.

Sara skinęła głową, ale odwrócona tyłem Cathy była sztywno wyprostowana, jakby połknęła kij. Jej dezaprobata rzucała się w oczy jak migające światło.

– Niezależnie od tego, co zrobił Paul, nie wszyscy z nich są złymi ludźmi – powiedziała Tessa ostrożnie.

– Tego nie powiedziałam – odparła Cathy. – Thomas Ward jest jednym z najbardziej prawych mężczyzn, jakich poznałam. – Spiorunowała Sarę wzrokiem, rzucając jej wyzwanie, by spróbowała coś powiedzieć.

– Przepraszam, że nie idę do twojego kościoła – zaczęła się usprawiedliwiać Tessa. – Ja tylko...

– Dokładnie wiem, dlaczego tam jedziesz, moja panno – warknęła Cathy.

Tessa spojrzała na Sarę, unosząc brwi, ale Sara mogła tylko ponownie wzruszyć ramionami, zadowolona, że matka podejmuje tę walkę.

– To jest Dom Boży. – Tym razem Cathy wycelowała palec w Tessę. – Kościół nie jest jeszcze jednym miejscem, gdzie można się dać przelecieć.

Tessa się roześmiała, ale przestała, gdy zobaczyła, że matka mówi poważnie.

– To nie to – broniła się. – Lubię tam przebywać.

– Lubisz Leviticusa Warda.

– No cóż – przyznała Tessa, podnosząc kąciki ust w uśmiechu. – Tak, ale lubię też przebywać w tym kościele.

Cathy oparła ręce na biodrach, spoglądając na przemian to na jedną, to na drugą córkę, jakby nie wiedziała, co z nimi począć.

– Mówię poważnie, mamó – rzekła Tessa. – Chcę tam być. Nie tylko

dla Leva. Dla siebie.

Cathy zacisnęła usta i przez chwilę Sara myślała, że może się rozplakać. Zawsze wiedziała, że dla jej matki religia jest bardzo ważna, ale Cathy nigdy nie narzucała im jej siłą. Chciała, by jej dzieci wybrały duchowość z własnej woli, i Sara wiedziała, jaka jest teraz szczęśliwa, że Tessa się do tego przekonała. Przez krótką chwilę czuła zazdrość, że nie może zrobić tak samo.

– Śniadanie gotowe? – ryknął Eddie, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Uśmiech Cathy ustąpił miejsca grymasowi niezadowolenia, kiedy odwróciła się z powrotem do kuchenki.

– Wasz ojciec myśli, że prowadzę jakiś cholerny bar z naleśnikami.

Eddie wszedł cicho do kuchni, z palcami wystającymi z dziurawych skarpetek. Za nim wsunął się Jeffrey z psami, które od razu podeszły do stołu i położyły się na podłodze, czekając na resztki jedzenia.

Eddie spojrział na sztywne plecy żony, a potem na swoje córki, najwyraźniej wyczuwając napięcie.

– Samochód umyty – powiedział. Zdawał się na coś czekać i Sara pomyślała, że jeśli spodziewa się medalu, to wybrał zły moment.

– Dziękuję, Eddie. – Cathy odchrząknęła, podrzucając naleśnik na patelni.

Sara uświadomiła sobie, że nie podzieliła się z siostrą nowiną. Odwróciła się do niej.

– Pobieramy się z Jeffreyem.

Tessa włożyła palec do ust i wydała dźwięk naśladujący wyciągnięcie korka z butelki. „Hura”, które potem zabrzmiało, było dalekie od zachwyty.

Sara odchyliła się na oparcie krzesła. W ciągu ostatnich trzech lat nasłuchiwała się tyle od swojej rodziny, że uważała, iż teraz zasługuje przynajmniej na serdeczny uścisk dłoni.

– Smakował ci ten tort czekoladowy, który przysłałam ci przedwczoraj? – Cathy zapytała Jeffreya.

Sara gapiła się na Boba, jakby na jego brzuchu wypisany był dużymi literami sens życia.

– Tak – wykrztusił Jeffrey, mierząc Sarę przenikliwym spojrzeniem, które poczuła bez potrzeby podnoszenia wzroku. – Najlepszy, jaki ja-
dłem.

– Jeśli chcesz, mam jeszcze trochę w lodówce.

– Wspaniale – powiedział przesłodzonym tonem. – Dziękuję.

Sara usłyszała wibrujący dźwięk i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że dzwoni telefon komórkowy Jeffreya. Pogrzebała w kieszeni jego kurtki, wyjęła aparat i podała mu.

– Tolliver – powiedział. Przez sekundę miał zdezorientowaną minę, a potem spochmurniał. Poszedł na korytarz, żeby móc rozmawiać bez skrępowania. Sara słyszała, co mówi, ale nie mogła się zorientować z jego wypowiedzi, o co chodzi. – Kiedy wyszedł? – zapytał. A potem: – Na pewno chcesz to zrobić? – Po krótkiej przerwie powiedział: – Postępujesz słusznie. – Wrócił do kuchni. – Muszę jechać – powiedział. – Eddie, mógłbym pożyczyć twoją ciężarówkę?

Ku wielkiemu zdziwieniu Sary ojciec odparł:

– Kluczyki są przy drzwiach frontowych. – Zupełnie jakby przez ostatnie pięć lat nie nienawidził każdej kości w ciele Jeffreya.

– Saro? – poprosił Jeffrey.

Wzięła jego kurtkę i poszła z nim korytarzem.

– Co się dzieje?

– To była Lena – rzekł z podnieceniem. – Powiedziała, że w nocy Ethan ukradł pistolet Nan Thomas.

– Nan ma pistolet? – zapytała Sara. Nie mogła sobie wyobrazić, by ta bibliotekarka posiadała coś bardziej śmiertelniejszego niż nożyczki.

– Powiedziała, że pistolet jest w jego plecaku. – Jeffrey zdjął z haczyka przy drzwiach kluczyki Eddiego. – Pięć minut temu pojechał do pracy.

– Dlaczego ci o tym powiedziała? – Podała mu kurtkę.

– Jest nadal na zwolnieniu warunkowym – przypomniał jej Jeffrey, z trudem panując nad emocjami. – Będzie musiał odsiedzieć cały wyrok, jeszcze dziesięć lat.

– Nie rozumiem, dlaczego do ciebie zadzwoniła. – Sara nie mogła

w to uwierzyć.

– Nieważne dlaczego – odparł, otwierając drzwi. – Ważne jest to, że on wraca do więzienia.

Kiedy schodził po schodach, Sara poczuła ukłucie strachu.

– Jeffrey. – Czekala, aż się odwróci. Powiedziała jedyne słowo, jakie przyszło jej na myśl: – Uważaj.

– Za godzinę będę z powrotem. – Puścił do niej oko.

– On ma pistolet.

– Ja też – przypomniał jej, idąc w stronę ciężarówki jej ojca. Machnął ręką, jakby chciał ją odpędzić. – Idź. Wrócę, zanim się zorientujesz.

Skrzypnęły otwierane drzwi i Sara odwróciła się bardzo niechętnie, by wrócić do środka.

Jeffrey jeszcze raz ją zatrzymał.

– Pani Tolliver?!

Sara się odwróciła, a jej głupie serce zatrzepotało w piersi.

– Zostaw mi trochę tortu. – Uśmiechnął się do niej krzywo.

PODZIĘKOWANIA

W tym stadium mojej kariery złożenie podziękowań wszystkim, którzy pomogli mi dojść do tego, do czego doszłam, wymagałoby napisania książki mającej trzy tysiące stron. Na górze każdej listy muszą się znaleźć Victoria Sanders i Kate Elton, które – żywią nadzieję – nie mają mnie jeszcze powyżej uszu. Jestem wdzięczna wszystkim moim przyjaciołom z Random House tutaj i w filiach na całym świecie. Praca z Kate Miciak, Nitą Taublib i Irwynem Applebaumem była czystą przyjemnością. Jestem najszcześniejszą pisarką na ziemi, że należą do mojego zespołu, i jestem szczęśliwa, że moim nowym domem jest Bantam. Nie potrafię wymyślić większej pochwały dla nich niż ta, że są ludźmi, którzy pasjonują się czytaniem.

W Zjednoczonym Królestwie moimi najbardziej ukochanymi orędownikami są nadal Ron Beard, Richard Cable, Susan Sandon, Mark McCallum, Rob Waddington, Faye Brewster, Georgina Hawtrey-Woore i Gail Rebuck (i wszyscy pozostali). Rina Gill jest najbardziej apodyktyczną redaktorką, o jaką mogłam prosić. Wendy Gurham wyciągała w środku nocy Biblię, ratując w ten sposób wszystkie postaci tej powieści przed niebezpieczeństwem, że zostaną nazwane „jak mu tam”.

W minionym roku zafundowano mi niewiarygodne przeżycie, jakim była wyprawa na antypody, w związku z czym chciałabym podziękować ludziom z Random House Australia i Random House New Zealand za to, że pomogli mi w organizacji tej podróży życia. Sprawiliście, że

czułam się wyśmienicie, mimo że byłam o wiele tysięcy mil od domu. Szczególnie wdzięczna jestem Jane Alexander za to, że pokazała mi kangury, i za to, że nie ostrzegła mnie, iż misie koala robią kupę, kiedy trzyma się je na rękach (zdjęcia można obejrzeć na karinslaughter.com/australia). Na gorącą pochwałę zasługują Margie Seale i Michael Moynahan. Ich niez mordowana pomoc uczy mnie pokory.

Kolejne podziękowania za pomoc okazywaną przez te wszystkie lata należą się Meaghan Dowling, Brianowi Groganowi, Juliette Shapland i Virginii Stanley. Rebecca Keiaper, Kim Gombar i Colleen Winters są fajnymi ludźmi i cieszę się, że nadal się ze mną przyjaźnią.

David Harper, doktor nauk medycznych, raz jeszcze dostarczył mi informacji z zakresu medycyny, tak by Sara sprawiała wrażenie, że naprawdę zna się na tym, co robi. Wszelkie możliwe błędy wyniknęły z tego, że albo nie słuchałam go dość uważnie, albo opis właściwego postępowania lekarza jest naprawdę nudny. W sprawach osobistych chciałabym podziękować B.T., E.C., E.M., M.G. i C.L. za ich codzienne towarzysztwo. W razie konieczności zawsze mogłam liczyć na F.M. i J.H. M.L. i B.B.-W. posłużyli mi swoimi nazwiskami (przepraszam was!). Patty O’Ryan była nieszczęśliwą zwyciężczynią loterii „Get your name in a Grant County book!” [Wprowadź swoje nazwisko do książki, której akcja rozgrywa się w hrabstwie Grant]. Ha! To cię nauczy, żeby nie brać udziału w grach hazardowych! Benee Knauer był twardy jak skała. Na szczególną pochwałę zasługuje za złote serce Renny Gonzalez. Ann i Nancy Wilson złagodziły nieco poczucie starzenia się – nadal mnie kołyszecie. Kiedy pojechałam w góry, by pisać, ojciec gotował mi zupy. Kiedy wróciłam do siebie, był tam D.A. – jak zawsze, jesteś moim sercem.